

Przez świat

**Informacje turystyczne
z całego świata**

Tom XIX

pod redakcją naukową

Andrzeja Urbanika

Macieja Brożyny

Łukasza Godka



**WYDAWNICTWO
UNIwersytetu Rzeszowskiego
RZESZÓW 2015**

Autorzy: Katarzyna Anoszczenko, Krzysztof Batycki, Tomasz Cukiernik, Leszek Czmur, Ewa Flak, Beata Gwóźdź, Rafał Gwóźdź, Zbigniew Hauser, Roman Husarski, Aneta Jurczyk, Jarosław Kociel, Anna Kufel-Dzięgowska, Joanna Kusiak, Anna Manczyk, Paweł Manczyk, Daniel Markowski, Anna Migdał, Rafał Robak, Romek Saj, Adam Stępiński, Piotr Wiland, Ewa Wilczyńska-Saj, Marta Wójciak, Walenty Zajkowski

Współpraca redakcyjna

portal internetowy www.travelbit.pl

Recenzował

dr hab. Wojciech Czarny

Projekt okładki

Andrzej Urbanik

Fotografia na okładce

fot. A. + K. Kobus – TravelPhoto.pl

Przygotowanie do druku

Dorota Kocząb

Korekta

Janina Dubiel

ISBN 978-83-903830-0-2 (całość)

ISBN 978-83-7996-198-6 (tom XIX)

CIP – Biblioteka Narodowa

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2015

© Copyright by portal internetowy www.travelbit.pl, Kraków 2015

Autorzy i wydawca tej książki starali się, by jej tekst był rzeczowy i aktualny. Należy zdać sobie sprawę, że podane fakty i dane mogły ulec zmianie. Autorzy i wydawca nie mogą wziąć odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikające z korzystania z podanych w książce informacji. Wydawca nie odpowiada za treść zamieszczonych w tej książce reklam.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU RZESZOWSKIEGO

35-959 Rzeszów, ul. prof. S. Pigoń 6, tel. 17 872 13 69, tel./faks 17 872 14 26

e-mail: wydaw@univ.rzeszow.pl; <http://wydawnictwo.univ.rzeszow.pl>

wydanie I, format A5, ark. wyd. 21,5, ark. druk. 17,75, zlec. red. 107/2015

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

Drodzy Czytelnicy

Książka, która trafia do Waszych rąk, jest niezwykła, niezwykli bowiem są jej autorzy. Na pozór są zwyczajnymi ludźmi, zanurzonymi w szarej codzienności, ale w sercach noszą tęsknotę za dalekimi wożażami, którą zaspokajają w czasie wakacji, przemieniając się w wytrawnych podróżników. Dla nich podróż to sztuka życia, pozbawiona jałowości masowej turystyki. Co więcej, potrafią oni dzielić się swoimi doświadczeniami, a często i bezcennymi informacjami. Z relacji ich podróży powstała ta oto książka, która pozwoli Wam wyruszyć w świat bez niepewności dokąd, jak i za ile. Nie zastępuje ona przewodników, ale je uzupełnia, podpowiada bowiem, jak zrealizować konkretne podróże w ciekawe zakątki świata, zarówno bliskie, jak i dalekie.

Język relacji jest prosty, ale bardzo konkretny, dlatego staraliśmy się zachować specyficzny charakter tej książki, ograniczając korekty redakcyjne do minimum. W tekście zachowano pisownię nazw geograficznych podaną przez autorów.

Tom pierwszy „Przez świat” był swego rodzaju eksperymentem, ponieważ na polskim rynku nie ukazała się dotąd książka tego rodzaju. Jednak powodzenie, jakie osiągnął tom I, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Książka zniknęła błyskawicznie z księgarni, a w mediach ukazały się znakomite recenzje. Jeszcze lepiej wypadły kolejne tomy. Co jednak najbardziej nas cieszy, otrzymaliśmy ogromną liczbę listów zarówno od podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Otrzymujemy także kolejne relacje, którymi dzielimy się z Wami. Kiedy książka ta trafi do Was, będziemy pracować nad następnym tomem, do którego współtworzenia serdecznie zapraszamy.

Tradycyjnie zapraszamy na imprezy przez nas organizowane (informacje o nich znajdziecie na kolejnych stronach), a także na naszą stronę www w Internecie.

Życząc ciekawej lektury, mamy nadzieję spotkać Was na globtroterskim szlaku.



Andrzej Urbanik



www.travelbit.pl

To adres internetowy travelbit-u.

Już od 1996 roku zapraszamy wszystkich podróżników-internautów do odwiedzania naszej strony. Znajdziecie tam informacje o nas, o imprezach przez nas organizowanych, wiadomości zebrane przez OSOTT-owiczów, a także informacje o książkach „Przez świat”. W dziale „Relacje z wypraw” zebrano ciekawe sprawozdania z eskapad po całym świecie. Bardzo przydatny jest dział „Imprezy dla podróżników” będący kalendarium najważniejszych imprez podróżniczych i turystycznych w Polsce oraz na świecie. Osobny dział poświęcono najważniejszemu spotkaniu globtroterskiemu w Polsce, jakim jest Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów (OSOTT).

Jednak chyba najcenniejszą możliwością jest nasza Lista dyskusyjna. Jest ona najbardziej dostępnym i najszybszym sposobem wymiany informacji. Jeżeli zdobyłeś ciekawe wiadomości, po prostu prześlij je do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli szukasz towarzyszy podróży, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli masz jakieś problemy związane z podróżowaniem, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u.

Im więcej będzie nas uczestniczyć w naszej Travelbitowej liście dyskusyjnej, tym łatwiej będzie nam się kontaktować i na bieżąco wymieniać informacje.

W świecie globtroterów

Trudno z całą pewnością ustalić, kiedy w Polsce powstał ruch globtroterski. Najpewniej wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w środowisku akademickim, gdy powszechne stało się organizowanie wyjazdów turystycznych, nazwanych wkrótce trampingowymi. Ich uczestnicy organizowali je sami, wymyślając trasę, a wędrowali bez pomocy biur turystycznych.

Na trampingowy szlak wyruszali także coraz śmielej podróżnicy indywidualni, korzystając z oficjalnych przydziałów dewizowych (po wielu zabiegach można było wykupić, po oficjalnym kursie, niższym pięciokrotnie od czarnorynkowego, równowartość kwoty 150 USD). Hasło „Świat za 150 dolarów” stało się modne i z tą magiczną kwotą wędrowali po nim polscy globtroterzy.

W 1976 roku w Krakowie, w studenckim biurze podróży Almatour, Andrzej Urbanik, jeden z głównych organizatorów trampingowych eskapad, stworzył BIT, czyli Bank Informacji Trampingowej. Początkowo był to zwykły skoroszyt, do którego wpinał relacje z podróży własnych i swoich znajomych. Pomysł okazał się znakomity i wkrótce BIT rozrósł się do rozmiarów sporego archiwum, a w roku 1994 przekształcił się w Travel BIT – Centrum Podróżnicze, które działa w sposób niekomercyjny i specjalizuje się w informacji globtroterskiej. Często jednak okazywało się, że w czasie zdobywania informacji konieczny jest bezpośredni kontakt z tymi, którzy wędrowali w rejonie, do którego chcielibyśmy się właśnie udać. Dotarcie do właściwych osób nie zawsze było proste, a często nie gwarantowało także sukcesu. Przekonał się o tym Andrzej Urbanik, kiedy nie udało mu się uzyskać informacji o Indonezji, a jedynym argumentem „życzliwego” informatora było stwierdzenie, że najlepiej jest się uczyć na własnych błędach. Kiedy Andrzej dotarł wraz ze swoim przyjacielem – podróżnikiem Krzysztofem Kmiecikiem do Indonezji, podzielił się z nim pomysłem zorganizowania mitingu globtroterów. Było to na Bali w 1985 roku. Po powrocie do kraju „rozpuścili wici” i w listopadowy wieczór do podkrakowskich Harbutowic zjechało ponad 50 podróżników. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i odtąd co roku w listopadzie, w różnych miejscach w Polsce, spotykają się na OSOTT (Ogólnopolskie Spotkania Organizatorów Turystyki Trampingowej), czyli głównym mitingu podróżniczym, zarówno polscy, jak

i zagraniczni globtroterzy. Ma on formę sympozjum, w czasie którego prezentowane są przezrocza z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (najważniejsza jest sesja „Geografia Podróżowania”). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone dla doświadczonych podróżników, ale i tych, którzy planują wyruszyć w świat. Warto podkreślić, że impreza ma całkowicie niekomercyjny charakter. Co bardzo cenne – OSOTT-owicze coraz częściej organizują podobne imprezy o charakterze lokalnym lub regionalnym, umożliwiając przekonywanie do podróżowania kolejnych marzycieli.

Ważną rolę od początku istnienia ruchu globtroterskiego w Polsce odgrywały wydawnictwa. W latach 1987–1991 na łamach Ilustrowanego Magazynu Turystycznego „Światowid” ukazywały się rubryki „Vademecum Globtrotera” i „Klub Globtroterów”, redagowane przez Liliannę Olchowik i Andrzeja Urbanika, które były głównym forum wymiany informacji podróżniczej. Od roku 1989 BIT wydawał własne pisma – najpierw „Globtroter”, potem „Travel”. Uczestnicy OSOTT-ów stali się autorami pierwszych globtroterskich przewodników w Polsce. Najpopularniejszy, będący już klasycznym przykładem, to wydany w 1987 roku „Przewodnik Trampingowy: Birma, Tajlandia, Malesja, Singapur, Indonezja” autorstwa Andrzeja Urbanika, z którym powędrowało w ten piękny rejon świata już kilka pokoleń podróżników (ciekawostką jest wydanie plagiatu). Chyba najwięcej zamieszania (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) w podróżniczym światku wywołała książka Ediego Pyrka pod znamienym tytułem „Niech cały świat myśli, że jestem szalony, czyli do Indii za 30 dolarów”. Po jej przeczytaniu wielu dotąd niezdecydowanych marzycieli wyruszyło na globtroterski szlak. Od roku 1996 rozpoczęto wydawanie serii wydawniczej „Przez świat”. Jest ona w pewnym sensie kontynuacją pism „Globtroter” i „Travel”. Książki tej serii spełniają nie tylko zadanie informacyjne, ale także pełnią rolę integracyjną dla środowiska podróżników.

To tyle historii, a teraz odpowiedź – jak trafić do świata globtroterów. Najlepszą okazją jest przyjazd na OSOTT – Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów. Spotkanie przeznaczone jest dla podróżników i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.

Od roku 2013 OSOTT rozszerza swoją formułę, jako że organizowany jest wspólnie przez serwis www.travelbit.pl oraz Uniwersytet Rzeszowski. Więcej informacji na stronie www.travelbit.pl/osott.

OSOTT

Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów

**Uniwersytet Rzeszowski
oraz serwis podróżniczy www.travelbit.pl
serdecznie zapraszają na XXXI OSOTT 2015,
który odbędzie się w Rzeszowie w dniach 6–8 listopada 2015.
Do udziału zapraszamy nie tylko doświadczonych podróżników
ale i tych,
którzy marzą o dalekich podróżach.**

Informacje:

**www.travelbit.pl/osott
www.ur.edu.pl**



Impreza odbędzie się pod honorowym patronatem
Prezydenta Miasta Rzeszowa, Marszałka Województwa Podkarpackiego
oraz Rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego

Konkurs na relację z wypraw

Uniwersytet Rzeszowski oraz Travelbit zapraszają do przesyłania relacji z podróży. Zamieszczone będą na stronie www.travelbit.pl w dziale „Relacje z wypraw”. Mogą one mieć dowolny układ, jednak proponujemy, aby zamieszczać w nich jak najwięcej informacji praktycznych – takie relacje są najchętniej czytane i oceniane najwyżej. Autorzy najlepszych relacji będą nagradzani książkami z serii „Przez świat”.

Mamy także przyjemność poinformować, że jeżeli nadesłane relacje spełnią warunki regulaminu (patrz poniżej), będą automatycznie brały udział w konkursie z nagrodami, a najlepsze z nich znajdą się w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w corocznym konkursie.

Konkurs na relację do tomu XX książki „Przez świat”.

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę sprawozdań/relacji z podróży odbytych w latach 2015–2016. Termin nadsyłania prac – na adres mailowy **travelbit@travelbit.pl** – upływa w dniu 20 lutego 2016. Relacje będą oceniane pod kątem wartości praktycznych informacji, czyli na ile po ich lekturze będzie można zrealizować taką samą podróż.

Zaleca się, aby maksymalna objętość dziennika/sprawozdania wynosiła 12 stron A-4 (12 stron po 1800 znaków); zwięzłość mile widziana. Prosimy także autorów, aby relacje były pisane w tym samym czasie (teraźniejszym lub przeszłym), a także aby nie zamieszczać tabel. Jako wyróżnień tekstu prosimy nie używać WERSALIKÓW, wystarczy **Bold**.

Preferowany układ:

Przejazd – na trasie – za ile – ile trwał – jaki środek komunikacji – ew. firma – uwagi,

Noclegi – nazwa hotelu – adres – cena – uwagi,

Zwiedzanie – nazwy obiektów – lokalizacja – dojazd – ceny wstępów – uwagi,

Dodatkowo – termin odbytej podróży, kursy walut (najlepiej w stosunku do USD lub EUR), ceny żywności oraz inne podstawowe, ważne informacje (np. szczepienia, wizy...). Najlepiej jeżeli te informacje będą podawane w układzie opis podróży dzień po dniu. Jeżeli jednak uznacie, że opracowana przez Was inna forma będzie lepsza – zaproponujcie własny układ. Prosimy o niezamieszczanie informacji opisowych i historycznych, jakie można znaleźć w przewodnikach (chyba że są to nieznanne fakty albo są na tyle ważne, że trzeba o nich napisać).

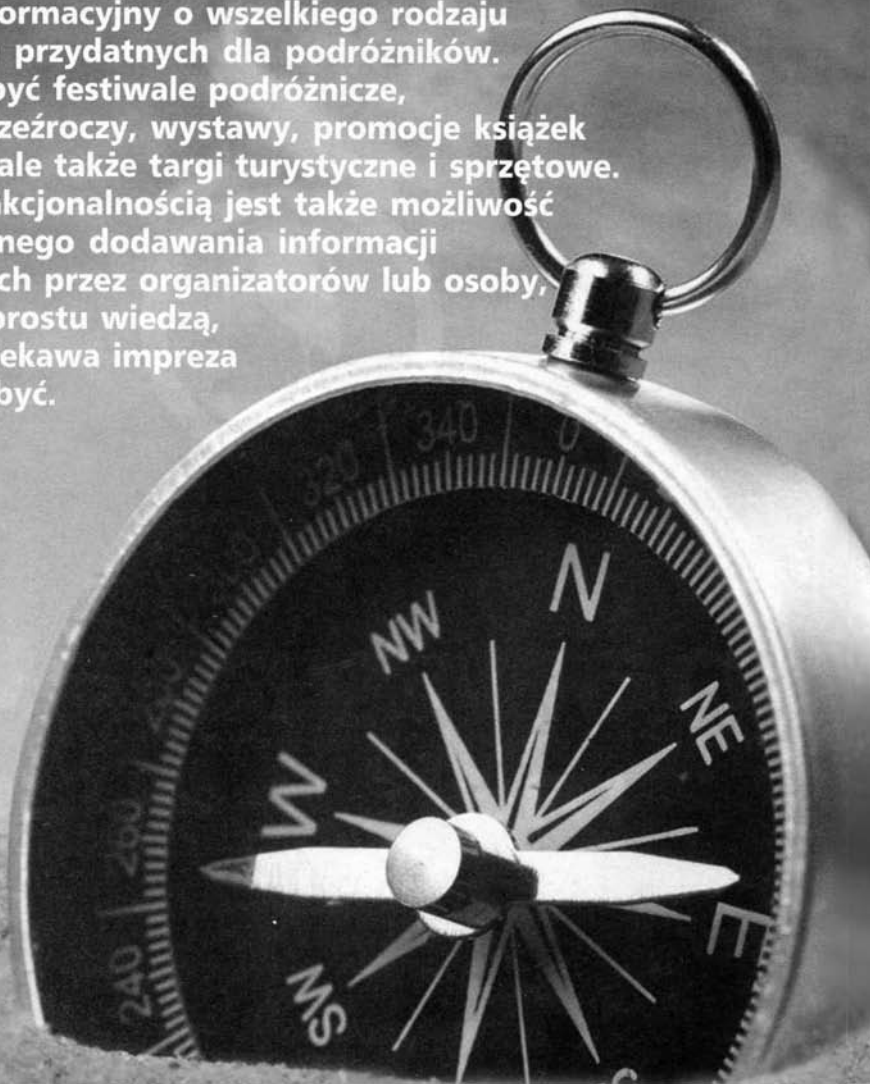
Najlepsze prace zamieścimy w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Przewidujemy umieszczenie prac na stronie **www.travelbit.pl**, a także współpracujących z nami portali (jeżeli uczestnik konkursu nie zgłosi w tej sprawie zastrzeżeń). Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w konkursie.

Z naszej strony nie czynimy przeszkód, aby teksty zamieszczone w książce „Przez świat” były później publikowane w innych mediach.



imprezy-dla-podroznikow.pl

Serwis informacyjny o wszelkiego rodzaju imprezach przydatnych dla podróżników. Mogą to być festiwale podróżnicze, pokazy przeźroczy, wystawy, promocje książek i sprzętu, ale także targi turystyczne i sprzętowe. Cenną funkcjonalnością jest także możliwość samodzielnego dodawania informacji o imprezach przez organizatorów lub osoby, które po prostu wiedzą, że jakaś ciekawa impreza ma się odbyć.



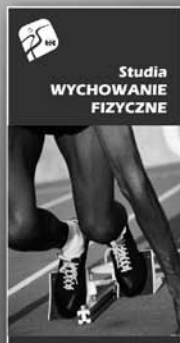


Wydział Wychowania Fizycznego

Uniwersytet Rzeszowski

35-959 Rzeszów, ul. Towarnickiego 3, tel. 17 872 1861

<http://wf.univ.rzeszow.pl>



W ofercie edukacyjnej:

- * studia licencjackie i uzupełniające
- * tryb stacjonarny i niestacjonarny
- * studia w jęz. angielskim
- * letnie i zimowe obozy programowe
- * kursy doskonalące
- * zajęcia w sekcjach sportowych
- * praktyki i staże w krajach Unii Europejskiej
- * studenckie koła naukowe



Absolwencie, czy znalazłeś już swój wymarzony kierunek?
Zapraszamy na Wydział Wychowania Fizycznego!

Kajakiem w poprzek Bałtyku



Czy pokonanie Bałtyku w poprzek kajakiem może brzmieć jak szaleństwo? Zdecydowanie tak, jeśli jedynymi uczestnikami podróży byli kobieta i mężczyzna, którzy wcześniej tylko dwa razy w życiu pływali kajakiem po morzu. Tym bardziej że nikt ich nie wspierał – przez 16 dni zdani byli jedynie na siebie, swój kajak i to, co do niego zapakowali.

Choć nasza podróż może brzmieć jak duże wyzwanie dla kajakarzy – zawodowców, to w rzeczywistości była bardzo przyjemnie spędzonym czasem, bez czyhających niebezpieczeństw. No, może nie do końca one nie czyhały – po prostu staranne przygotowanie pozwoliło nam wszystkie je ominąć (o czym będzie poniżej).

21 czerwca 2013

Wyruszyliśmy samochodem z Radomia do Gdyni, zabierając ze sobą „cały” ekwipunek podróżniczy (m.in. namiot, śpiwory, ciepłe ubrania, palnik z butlą gazową, garczki, ubrania przeciwdeszczowe, wodę i prowiant na 16 dni; latarek nie potrzebowaliśmy ze względu na okres białych nocy). Wieczorem wjechaliśmy na prom do Karlskrony, w którym spędziliśmy noc (bilet w jedną stronę dla samochodu i dwóch osób, z kabiną 2-osobową – ok. 1000 zł).

22 czerwca

Rano wyjechaliśmy z promu i udaliśmy się do Sztokholmu. Tam odbyliśmy spacer po malowniczej sztokholmskiej Starówce i wieczorem wjechaliśmy na kolejny prom, który zabrał nas do Langnas – portu położonego na wyspie na wschód od Mariehamn (stolicy Autonomii Alandzkiej), połączonej ze stolicą mostami (bilet w jedną stronę dla samochodu i dwóch osób – 91 EUR).

23 czerwca

Prom przybił do Langnas o godz. 4 nad ranem. W niespełną godzinę dojechaliśmy do Eckero na zachodnim krańcu największej z wysp archipelagu – wyspy Fasta. Tam nad ranem mieliśmy wypożyczyć zarezerwowany wcześniej kajak. Korzystając z wczesnej godziny, zdrzemnęliśmy się w samochodowych fotelach. Jednak zanim zdążyliśmy zasnąć, obok naszego samochodu pojawiła się sarna, która z zaciekawieniem się nam przyglądała.

Wypożyczony kajak (605 EUR za 17 dni) był specjalnie przystosowany do podróży morskich: ster umożliwiał pełną manewrowość nawet przy silnym wietrze, specjalne fartuchy wiązane pod pachami, opinające kokpity kajakarzy, uniemożliwiały fałom wdzieranie się do wnętrza kajaka. Posiadał on 3 szczególnie zamykane luki bagażowe: na dziobie, na rufie i pośrodku – pomiędzy kokpitami.

Kajak przymocowaliśmy do dachu samochodu i ruszyliśmy do Mariehamn. Jazda z wystającym na metr przed i za samochód, kołyszącym się góra – dół kajakiem była dość dużym wyzwaniem. Nie mogliśmy jechać zbyt szybko, by rozkołysany kajak nie odkształcił dachu samochodu. No i oczywiście musieliśmy uważać, by o coś nie zawadzić.

W Mariehamn wjechaliśmy na kolejny prom (57 EUR za dwie osoby i samochód), którym wieczorem dotarliśmy do Turku. Noc spędziliśmy na kempingu na końcu wyspy Ruissalo (ceny na większości kempingów w Finlandii i Szwecji to 15 EUR od osoby mieszkającej w namiocie, nierzadko zdarzają się kempingi tańsze).

Dlaczego wybraliśmy Morze Archipelagowe?

Pomiędzy Finlandią a Szwecją, na przestrzeni niespełna 200 km, znajduje się największy archipelag świata – 48 tysięcy wysp, wysepek i skał wystających ponad wodę. To czyni akwen bezpiecznym dla kajakarzy: odległości pomiędzy wyspami nie przekraczają z reguły kilkuset metrów, umożliwiając szybkie osiągnięcie lądu w razie nieprzewidzianych wypadków. Z kolei fale rozbijają się o skały i wysepki, dzięki czemu nawet przy silnym wietrze nie zagrażają w sposób istotny wywróceniem kajaka.

Obszar, przez który płynęliśmy, dzieli się administracyjnie na dwie części: Archipelag Turku na wschodzie, będący integralną częścią terytorium Finlandii, oraz na zachodzie – Archipelag Alandzki – autonomiczny region Finlandii.

Każdego ranka otrzymywaliśmy w formie wiadomości SMS (sieć telefonii komórkowej sięgała wszędzie, gdzie byliśmy) informację na temat pogody, która była kluczowa dla codziennie obieranego przez nas kierunku. Ponieważ płynięcie pod wiatr jest niemal niewykonalne, zawsze staraliśmy się płynąć z wiatrem. I choć pierwotnie planowaliśmy przepłynąć się południowymi krańcami archipelagu, to ze względu na kierunek wiatru najpierw popłynęliśmy na północny zachód, a dopiero potem na południowy zachód.

Nawigowaliśmy jedynie przy użyciu kompasu i dwóch map turystycznych: Archipelag Turku 1:200 000 oraz Wyspy Alandzkie 1:100 000 (pierwsza kupiona w dużej księgarni w Helsinkach, druga dostępna bezpłatnie w Informacji Turystycznej w Mariehamn). Mapy nawigacyjne były nam zbędne – miejsca, gdzie można wpłynąć kajakiem są do oceny gołym okiem. Z kolei na posiadanych przez nas mapach zaznaczone były szlaki żeglugowe. Gdy je przecinaliśmy, zawsze upewnialiśmy się, że nie nadpływa żaden statek, który mógłby nas przewrócić utworzoną falą (kilwaterem).

Niemal wszystkie wyspy obu archipelagów wyglądają identycznie – są małe, skaliste, te większe – porośnięte w głębi bujną roślinnością. Wśród wielkich drzew często szukaliśmy schronienia przed światłem – by w nocy mieć chociaż namiastkę ciemności. W okolicach Turku oraz Mariehamn znajdują się setki czy nawet tysiące domków letniskowych, rozsianych po bezludnych wyspach. Domki są małe, z reguły nie posiadają elektryczności ani bieżącej wody. Czasem stoją w grupach po kilka czy nawet kilkadziesiąt, czasem samotnie: jedna wyspa – jeden domek. Wszystkie oczywiście drewniane, w stylu skandynawskim, najczęściej, choć nie zawsze, malowane na czerwono.

24 czerwca

Pół dnia zajęło nam spakowanie całego naszego dobytku do kajaka. Śpiwory, karmaty, namiot i duży plecak z lekkim prowiantem nie zmieściły się do środka – płynęły przywiązane do pokładu. Na dno kajaka natomiast zapakowaliśmy to, co najcięższe: wodę i ciężkie puszki z jedzeniem. Taki załadunek uczynił kajak bardzo stabilnym.

Samochód zostawiliśmy na bezpłatnym, publicznym parkingu w sąsiedztwie zamku i odbiliśmy kajakiem od brzegu wyspy Ruissalo (o godzinie 21), planując nocleg na którejś z pobliskich bezludnych wysp. Jednak znalezienie pozabawionej śladów bytności człowieka wyspy w Archipelagu Turku okazało się zadaniem trudnym, wręcz niewykonalnym. Na każdym skrawku lądu posiadającym wygodny dostęp do wody wznosiły się domki letniskowe. Jak okiem sięgnąć – wszędzie były ich dziesiątki. Namiot rozbiliśmy po półtoragodzinnym wiosłowaniu, na wysepce oddalonej o 4 km od Ruissalo (60,415493 N, 22,020094 E). Posiadała ona kamienistą plażę, a pośrodku samotny domek letniskowy.

25 czerwca

Rano wyruszyliśmy na północny zachód, w okolice miejscowości Merimasku. Kilukrotnie w ciągu każdego dnia wysiadaliśmy na ląd w różnych celach. Po pierwsze, by obejrzeć z bliska ciekawe miejsca. Po drugie – by rozprostować całe ciało po długotrwałym przebywaniu w jednej pozycji. I wreszcie po trzecie – by indywidualnie „skosztować z ustronnych zarośli”.

Tego dnia zaintrygowało nas wznoszące się na wysokiej (jak na Alandy) skale działo, zdobiące plac przed domkiem letniskowym. Jednak najciekawszy był zabytkowy kościółek w Merimasku. Cały drewniany, pomalowany na czerwono, typowy dla północnych regionów Skandynawii. Otoczony cmentarzem, na którym wydzielona była kwatera żołnierzy fińskich poległych w czasie drugiej wojny światowej.

Noc spędziliśmy na piaszczystej plaży (60.490574 N, 21.838556 E), nieopodal Merimasku, w sąsiedztwie domków letniskowych.

26 czerwca

Popłynęliśmy na zachód. Na Wyspie Velkua obejrzeliśmy drewniany, zabytkowy kościół, otoczony cmentarzem z kwaterą żołnierzy, jak poprzedniego dnia. Niedaleko kościoła wznosi się pomnik upamiętniający bitwę szwedzko-rosyjską z 1808 r.

Noc spędziliśmy na kolejnej wyspie (60.477409 N, 21.601816 E) z niewielką, piaszczystą plażą (ostatnią na wiele dni) i kilkoma domkami letniskowymi.

27 czerwca

Tego dnia podziwialiśmy jedynie przyrodę i wciąż niezliczone domki letniskowe. Był to pierwszy, i jeden z niewielu, pochmurny dzień naszej podróży. Słońce pokazało się dopiero wieczorem.

Długo szukaliśmy piaszczystej plaży na obozowisko i gdy już takową wypatrzyliśmy, okazała się ona być wielkim (kilkadziesiąt metrów średnicy), całkowicie płaskim kamieniem (60.50066 N, 21.3874 E). Wyjątkowo dobra imitacja piasku.

28 czerwca

Po drodze zwiedziliśmy kościół z cmentarzem, podobny do dwóch poprzednich.

Domki letniskowe stawały się coraz rzadsze, aż od połowy dnia przestaliśmy widywać jakiegokolwiek ślady bytności człowieka. Liczne mielizny, jak również setki niewiel-

kich, wystających z wody skał czyniły okolice północnego krańca granicy pomiędzy archipelagami Turku i Alandów niedostępnymi dla jednostek większych niż kajak.

Wieczorem dotarliśmy do kamienistej zatoczki (60.532936 N, 21.044651 E) w obrębie twierdzy Katanpaa.

29 czerwca

Twierdza Katanpaa została wzniesiona na początku XX w., z rozkazu cara Mikołaja II. Była najdalej wysuniętym na północ fragmentem „łańcucha Piotra Wielkiego” – linii umocnień, ciągnących się na południu od estońskich wysp Hiiumy i Saremy. Ich zadaniem była obrona wejścia do Zatoki Fińskiej, a tym samym uniemożliwienie dostępu wrogiej flocie do stolicy imperium – Petersburga. Po uzyskaniu przez Finlandię niepodległości w 1917 r. twierdza była użytkowana przez armię fińską. Dopiero niedawno wojsko ją opuściło i została udostępniona dla zwiedzających. Podczas zwiedzania mieliśmy okazję porozmawiać z mężczyzną, który w latach 70. pełnił w niej służbę wojskową. Jak zaznaczył, niemal nic od tamtego czasu się nie zmieniło, jedynie drzewa były wyższe.

Był to kolejny, pochmurny dzień. Ale słońce znowu pokazało się wieczorem.

Po zwiedzeniu twierdzy odbiliśmy od brzegu i nie napotykając śladów cywilizacji przekroczyliśmy granicę Autonomii Alandzkiej, docierając do niewielkiej, malowniczej, skalistej wysepki (60.532936 N, 21.044651 E). Spędziliśmy na niej naszą pierwszą noc na Alandach.

30 czerwca

Kierując się na południe – południowy zachód, pozostawiliśmy zamieszkałe przez człowieka wyspy na wschód od nas, docierając dopiero wieczorem do pierwszych śladów cywilizacji. Grobla, po której biegła szosa, przegrodziła zaplanowaną przez nas trasę. Mając do wyboru rozładunek kajaka, przenoszenie go przez groblę, a następnie noszenie całego bagażu pojedynczo i ponowny załadunek kajaka lub ominięcie przeszkody, wybraliśmy to drugie. Nadkładając kilka kilometrów, ominęliśmy wyspę Palholm od wschodu.

Noc spędziliśmy na kolejnej bezludnej wysepce (60.406616 N, 20.996723 E).

1 lipca

Płynąc dalej na południowy zachód, ponownie cywilizację pozostawiliśmy na wschód od nas.

Tym razem nie znaleźliśmy w pełni bezludnej wyspy nadającej się na nocleg i rozbiliśmy się w sąsiedztwie domku letniskowego (60.297676 N, 20.844761 E). „Trochę” nielegalnie, gdyż uczyniliśmy to bez zgody właściciela. Jednak był to środek tygodnia, więc ani my nikogo nie niepokoiłismo, ani nikt nas. Nazajutrz nie pozostawiliśmy po sobie żadnych śladów bytności, poza wygniecionymi 4 metrami kwadratowymi trawy. I tu mieliśmy bliskie spotkanie z przyrodą Alandów – przez przedśionek namiotu, na naszych oczach, przepełzła żmija zygzakowata! Zdziwiliśmy się my, zadziwiła się ona. Przestraszyć się nie zdążyliśmy – trwało to krótką chwilę. A czy żmija się przestraszyła? Tego nie wiemy.

2 lipca

Dzień na Alandach jak co dzień. Rano śniadanie. Zwykle Ania robiła kanapki, a ja dla Ani – obowiązkowo gorącą kawę. Wodę gotowałem w przedśionku namiotu. Po

śniadaniu myśliśmy naczynia i zęby w Bałtyku. Następnie Ania przystępowała do „upychania” wszystkiego w kajaku, a ja w tym czasie pakowałem rzeczy w namiocie, potem zwinąłem sam namiot, wszystko donosząc na bieżąco w okolice kajaka. Ze wszystkim schodziły zwykle bite 2 godziny. Zaznaczyć tu należy, że wcale się nie spieszyliśmy – byliśmy w końcu na wakacjach.

Wieczorem wyładowaliśmy na skalistej, lesistej, bezludnej wyspie (60.17672 N, 20.726881 E). Rozładunek naszej jednostki wodnej zaczynaliśmy od namiotu, który zawsze starałem się rozbić głębiej w lesie – by drzewa chroniły nas w nocy przed wiatrem i dawały namiastkę ciemności. By w nocy mieć jak najciemniej, a nad ranem nie czuć się w wystawionym na działanie promieni słonecznych namiocie jak w saunie, staraliśmy się biwakować na południowych lub zachodnich brzegach. Dzięki temu namiot chroniły przed światłem zasłaniające nas od północy i wschodu drzewa.

Gdy ja rozbijałem namiot, Ania wydobywała cały nasz bagaż z kajaka i nosiła na miejsce biwaku. Po rozbiciu obozowiska braliśmy kąpiel w Bałtyku, w promieniach przygrzewającego, zachodzącego słońca. Temperatura wody była zbliżona do polskiego Bałtyku – w osłoniętych zatoczkach nieco cieplejsza, na wodach otwartych – nieco chłodniejsza. Zasadniczo wszędzie można było zanurzyć się i popływać, czerpiąc z tego przyjemność. Ania kilka razy korzystała przy pływaniu z pianki do snorkelingu. Ja korzystałem tylko raz – bardziej, by ją wypróbować aniżeli chronić się przed zimnem (pianki zabraliśmy na wypadek niepogody – by ochronić się przed chłodną wodą w razie wywrotki kajaka; jednak ani razu nie zdecydowaliśmy się ubrać ich w czasie wioślowania).

Po kąpeli gotowaliśmy posiłek. Zaopatrzyliśmy się w 20 różnych dań, na każdy dzień inne. Tak więc największą przyjemność z posiłku czerpaliśmy na początku podróży – wówczas był największy wybór.

Jedyne, czego nam brakowało, to podziwianie nocnego, rozgwieżdżonego nieba. No cóż, nie można mieć wszystkiego na raz.

3 lipca

Dzień ów przyniósł nam dwa wyzwania. Pierwszym było opłynięcie wyspy Sottunga. Otaczała ją, w promieniu 2 km, otwarte morze, całkowicie pozbawione nawet małych skał pozwalających na awaryjne lądowanie. Przy ładnej pogodzie i sprzyjających wiatrach nie byłoby to żadnym wyczynem, gdyby nie jeden, drobny szczegół. Z obydwu stron wyspy przebiegały szlaki żeglugowe, pokonywane przynajmniej kilka razy dziennie przez ogromne promy pasażerskie i towarowe łączące Szwecję i Mariehamn z Turku (dokładnie tędy płynęliśmy z samochodem kilka dni wcześniej). Małe, lokalne promy nie robiły na nas takiego wrażenia jak ogromne, 200-metrowe stalowe cielisko wyłaniające się zza pobliskiej wyspy i pędzące 30–40 km/godz. w naszym kierunku. Dopłynąwszy do ostatniej wysepki przed Sottungą, odpoczęliśmy na niej, zjedliśmy posiłek i starannie obejrzelśmy horyzont przez lornetkę. Upewniwszy się, że nie widać żadnego zagrożenia, ruszyliśmy. Chcieliśmy wywnioskować z rozkładu rejsów, o której godzinie promy mogą przepływać przez tę okolicę, jednak nie było to możliwe. Niedługo potem osiągnęliśmy wyspę. Na jej brzegu czynności powtórzyliśmy i ruszyliśmy w drugą, dwukilometrową przeprawę. Gdy byliśmy dokładnie w połowie, zza Sottungi zaczął się wyłaniać wielki, dymiący, czerwony komin przyozdobiony literą „V”. Był oddalony od nas o niemal 10 km, więc spotkanie z nim raczej nam nie groziło. Mimo

wszystko, z przezorności, jeszcze bardziej przyspieszyliśmy. Druga część przeprawy jeszcze szybciej zakończyła się sukcesem.

Drugie wyzwanie było z kolei znacznie przyjemniejsze. W gęsto usianej domkami letniskowymi części archipelagu musieliśmy odszukać kanał Svinsund (60.083007 N, 20.565974 E), którym chcieliśmy skrócić sobie o kilka kilometrów drogę. Miał on zaledwie kilkanaście metrów szerokości, a wejście do niego otoczone było gęstymi trzcinami. Szczęśliwie, dość szybko udało się nam je znaleźć.

Przenocowaliśmy u południowego wylotu kanału, na kolejnej, bezludnej wyspie (60.076229 N, 20.559742 E)

4 lipca

Był to pierwszy dzień naszej podróży, w którym nie ujrzelśmy ani jednego promienia słońca. I wcale nie był on brzydki. W pochmurnej aurze Skandynawia jest również piękna, jak w słońcu. Wszechobecne, różowe skały wydają się jeszcze bardziej różowe na tle szarego nieba i stalowoszarego morza niż w słoneczny dzień na tle błękitnego nieba i wody. Podobnie jest z szeroko rozpowszechnionymi na skałach porostami – niekoniecznie zwracające uwagę w dni słoneczne, wydawały się tego dnia jakoś lepiej wyeksponowane. Surowe oblicze Skandynawii... Nocleg – jak zwykle na bezludnej wyspie (60.015377 N, 20.439283 E).

5 lipca

Wreszcie jakaś „większa” cywilizacja! Dzień rozpoczęliśmy od zwiedzenia malowniczego, murowanego kościoła, otoczonego cmentarzem. Jednak brakowało na nim kwatery żołnierzy poległych w drugiej wojnie światowej. Alandy, jako autonomiczny region zdemilitaryzowany, zachowały neutralność, a ich mieszkańcy nie brali udziału w obronie Finlandii (do dziś zwolnieni są z obowiązkowej służby wojskowej).

Przez kilka minionych dni uzbieraliśmy niewielką torebkę śmieci (kilka puszek, kartonów po napojach, plastikowych opakowań). Postanowiliśmy pozbyć się ich w przy-cmentarnym kontenerze na śmieci. Tak też uczyniliśmy. Jednak nasza radość nie trwała długo. Chwilę później dognił nas, wykrzykując coś po szwedzku, pracujący w okolicy kościoła ogrodnik. Ku naszemu zdziwieniu – trzymał w rękach wyjętą z kontenera torebkę z naszymi śmieciami. Nie namyślając się długo spytaliśmy: „do you speak English?” (czy mówi pan po angielsku?). Chwilę jeszcze coś pokrzyczał po szwedzku i zakończył po angielsku: „this is private trashcan” (to jest prywatny śmietnik), ciskając we mnie torebką ze śmieciami. Nasze zdziwienie sięgnęło zenitu. Początkowo przeszło nam przez myśl, by po prostu zostawić śmiecie gdzieś pod ogrodzeniem cmentarza lub kościoła. Potem stwierdziliśmy, że może człowiek pochodzi z sąsiedniej miejscowości, bardzo nie lubi tej, w której się znajdowaliśmy i chciał nas sprowokować, byśmy porzucili nasz zbędny bagaż przy drodze albo na czyjejś posesji. Finał historii jest taki, że skorzystaliśmy ze śmietnika w pobliskim porcie Degerby. Zwiedziliśmy w nim również maleńkie, lokalne muzeum i zrobiliśmy zakupy w supermarkecie.

Podążając na północny zachód, u wybrzeży wyspy Jarso (60.072421 N, 20.328416 E) napotkaliśmy zardzewiały wrak dużej barki. Skąd się tam wzięła? Jaka była jej historia? Tego nie wiemy.

Wreszcie! Po tylu dniach znaleźliśmy piękną, złocistą, piaszczystą plażę! Prawdziwą! Początkowo nie mogliśmy w to uwierzyć – od wielu dni nie widzieliśmy odrobiny piaszczystego wybrzeża. Ale plaża była prawdziwa. Miała kilka metrów szerokości, niewielki

20-centymetrowej wysokości klif i kończyła się bardzo regularną linią oddzielającą ją wyraźnie od dość gęstej trawy, co nie wzbudziło w nas żadnych podejrzeń. A powinno było.

Wylądowaliśmy, rozbiliśmy namiot, wzięliśmy kąpiel, zjedliśmy kolację i beztrudko poszliśmy spać (60.079534 N, 20.306851 E).

W środku nocy obudził mnie dziwny warkot. Wyrzałem przez moskitierę namiotu, a tu przez wąską cieśninę, nad brzegiem której nocowaliśmy, kilkadziesiąt metrów od nas, sunie ogromny, rozświetlony tysiącem światła prom, z którego dobiega głośna muzyka i odgłosy zabawy. Będąc mocno zaszpany, wahałem się, czy spać dalej, czy może zrobić mu kilka fotografii. Szczęśliwie, zwyciężyło to drugie. Z trudem dobudziłem Anię, by mogła podziwiać wspólnie ze mną ów niecodzienny widok. Gdy dobyteм aparatu fotograficznego, ujrzałem, jak zatoka, przy której biwakowaliśmy, zaczyna się cofać, powiększając plażę o kilkanaście metrów w głąb morza. I już wiedziałem, co za chwilę się wydarzy. Zdążyłem jedynie odłożyć aparat fotograficzny, podwinąć nogawki i w momencie, gdy wyskakiwałem z namiotu, zaczął nadchodzić ogromny kilwater. Przed nadejściem fali zdążyłem złapać suszące się na plaży menażki i mydelnicę, i rzucając je w głąb ładu ujrzałem, jak ogromna fala unosi nasz kajak, a ten zaczyna powoli płynąć w stronę otwartego morza. W ostatniej chwili zdążyliśmy złapać go za dziób, mocząc jedynie nogawki od spodni. Byliśmy uratowani.

Powyższe wydarzenia pokazały nam, jaki jest mechanizm powstawania „antropogenicznej plaży”: fale tworzone każdej nocy przez 4 przepływające tamtędy promy wypychają wszystko z piasku, nie pozwalając roślinności na ekspansję.

6 lipca

Tego dnia, płynąc pod wiatr, pokonaliśmy najkrótszy odcinek w ciągu całej podróży. Chcąc osłonić się przed wiatrem, wpłynęliśmy w cieśninę Sundem (60.097066 N, 20.268849 E). Spotkała nas tam niemila niespodzianka. Cieśnina stawiała się coraz płytsza i płytsza, aż osiedliśmy na mieliźnie. Chciałem wysiąść i pociągnąć kajak z Anią, jednak moja noga zagłębiła się w mule po kolano i nadal nie czułem dna. Pomiar głębokości mułu przy użyciu wiosła wykazał, że jest on głębszy niż długość wiosła. Wiosło wyciągnąć zdołałem. Gdybym jednak nieostrożnie wysiadł z kajaka, Ania mnie wyciągnąć zapewne by nie zdołała.

To jeszcze nie koniec. Teraz musieliśmy wrócić dokładnie tak, jak przyплыliśmy – by nie utknąć na dobre na mieliźnie. Szczęśliwie udało się.

Jakby wrażeń na ten dzień było mało, noc spędziliśmy na bezludnej wysepce (60.11747 N, 20.309408 E) naprzeciwko portu w Langnas, całej porośniętej ostami. Mogliśmy przez całą noc oglądać przyplywające do i odpływające z terminala promy. Kajak „zaparkowaliśmy” w bezpiecznej odległości od linii wody.

7 lipca

Dzień rozpoczęliśmy od pieszej wycieczki do kościoła na wyspie Lumparland. W drodze zatrzymaliśmy się w lodziarni, w której chciano nas uraczyć lodami gałkowymi o smaku wędzonego łososia. Podziękowaliśmy i zadowoliliśmy się tradycyjnymi, owocowymi.

Noc spędziliśmy na kolejnej, kamiennej, bezludnej wyspie (60.221024 N, 20.342342 E), tym razem pod koronami wielkich, rozłożystych sosen. Spotkaliśmy na niej kolejną

zmiję, która wygrzewając się w słońcu na trawie pozwoliła się sfotografować. Po krótkiej sesji fotograficznej spokojnie się oddaliliśmy.

8 lipca

Kolejny dzień, który rozpoczęliśmy od pieszej wycieczki do kościoła, w miejscowości Vardo. Co zwraca uwagę nie tylko na Alandach, ale i wszędzie na północ od nich – nie występują tam typowe wsie jak w Polsce, o zwartej zabudowie i mniej lub bardziej zorganizowanym centrum (kościół, plac targowy, szkoła, karczma). Tam wsie mają postać luźno rozrzuconych na dużym obszarze gospodarstw, między którymi odległości nierzadko przekraczają kilkaset metrów. Tak również jest i z kościołami – często towarzyszą im jedynie plebanie. Żadnych innych domów w bezpośrednim sąsiedztwie.

Piese wycieczki na Alandach mają jeszcze jedną, wielką zaletę: wzdłuż dróg rosną nieprzebrane ilości poziomek.

Wieczorem udało nam się znaleźć kolejną, piaszczystą plażę, która znacząco uprzyjemniła nam biwakowanie na południowo-zachodnim brzegu wyspy Prasto (60.208072 N, 20.249819 E). Na krótko przed jej osiągnięciem stoczyliśmy bój z niewielkim sztormem (60.228306 N, 20.301161 E).

9 lipca

Pobudka o 5.30 nad ranem – najwcześniejsza w historii tej podróży. Mieliliśmy do przepłynięcia ze wschodu na zachód całą zatokę Lumparn, a w południe, według prognozy, miał się zerwać silny wiatr od zachodu, co znacznie utrudniłoby nam wiosłowanie. No i chcieliśmy obejrzeć jeszcze znajdujące się nieopodal miejsca biwaku ruiny rosyjskiej twierdzy Bomarsund. Była to największa budowla, jaką kiedykolwiek wzniesiono na Alandach, jeszcze przed ukończeniem całego wielkiego założenia obronnego, zniszczona w walce przez wojska brytyjsko-francuskie.

Przed godziną 9 udało nam się wypłynąć. Zgodnie z planem przed południem zdołaliśmy opuścić otwarte wody zatoki Lumparn, by o godz. 13 dotrzeć do jedynej na Alandach zamku – Kastelholm. Przechodził on różne koleje losu, toteż do dzisiaj zachowały się z niego jedynie oryginalne mury. Część wewnątrz została zrekonstruowana, tworząc urokliwy nastrój średniowiecznej twierdzy. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że jednymi z jego mieszkańców byli król szwedzki Jan III Waza wraz z żoną Katarzyną Jagiellonką, co podkreśla zamkowa ekspozycja muzealna. Zwiedziliśmy zamek, udaliśmy się na już nasz ostatni nocleg na bezludnej wyspie (60.191076 N, 20.061233 E).

10 lipca

Ostatniego dnia spędzonego w kajaku na Morzu Archipelagowym pożegnało nas „surowe oblicze Skandynawii” – pochmurna, deszczowa i wietrzna aura. Wzdłuż zachodniego brzegu zatoki Lumparn, przez Kanał Lemstroms, dotarliśmy do kempingu Grona Udden w Mariehamn. Nasza wyjątkowa przygoda dobiegła końca.

Zwiedziliśmy jeszcze miasto i Muzeum Morskie, posiadające bogate i fascynujące zbiory – gdyż cała historia Alandów to historia związana z morzem.

11 lipca

Zwiedziliśmy statek – muzeum „Pommern” – jeden z ostatnich istniejących „pogromców wiatrów” – wielkich żaglowców handlowych z przełomu XIX i XX wieku. Budowane przy wykorzystaniu najnowocześniejszych rozwiązań technicznych, przez lata skutecznie konkurowały z parowcami, będąc od nich szybsze i tańsze w eksploatacji.

Wieczorem spakowaliśmy cały nasz dobytek na plecy i udaliśmy się autobusem do terminala promowego w Langnas. Przenocowaliśmy na podłodze w poczekalni dla podróżnych.

12 lipca

O godz. 4 nad ranem wsiedliśmy na prom płynący do Turku (66 EUR za dwie osoby), by nad ranem znaleźć się na miejscu. Z terminalu promowego zabraliśmy samochodem nasze bagaże, a następnie zwiedziliśmy zamek w Turku, Muzeum Morskie i należące do niego statki – muzea.

13 lipca

Odwiedziliśmy moją ciocię w Helsinkach i zwiedziliśmy miasto.

14 lipca

Przeprawiliśmy się promem do Tallina, spacerowaliśmy po mieście (najlepiej zachowane średniowieczne miasto nad Bałtykiem) i rozpoczęliśmy podróż powrotną.

Przenocowaliśmy w motelu w Szypliszkach (90 zł za pokój 2-osobowy) przy granicy z Litwą.

15 lipca

Wróciliśmy do domu.

Co jeszcze można o Alandach powiedzieć? Otóż bardzo, bardzo wiele. Jedyńm językiem urzędowym jest szwedzki – niemal wszyscy mieszkańcy są szwedzkojęzyczni. Porozumiewanie się po angielsku nie stanowi problemu. Walutą, podobnie jak w Finlandii, jest euro. Alandy znajdują się w strefie Schengen – obywatele Unii Europejskiej muszą posiadać jedynie dowód osobisty. Jednak by nabyć nieruchomość, niezbędna jest każdorazowa zgoda rządu Autonomii (już za kilkadziesiąt tysięcy EUR można stać się posiadaczem bezludnej wyspy – każda agencja nieruchomości w Mariehamn takie oferuje).

Przewodnika po samych Alandach w Polsce znaleźć nam się nie udało (krótkie rozdziały znajdują się w przewodnikach po Finlandii). Informacje przed wyjazdem czerpaliśmy z Internetu, a na miejscu można otrzymać w punktach informacji turystycznej liczne ulotki na wiele tematów.

Greckie Cyklady: od Santorini do Mykonos



Termin 6–24 maja 2015 r.

W maju br. odbyłem samotną podróż po greckich Cykladach. Archipelag ten uchodzi za najpiękniejszy z wysp greckich i jest w tym dużo racji. W przeciwieństwie do Krety, Rodosu, Kosu i Korfu nie latają tam czartery. Poleciałem więc tanimi liniami Aegean Airlines. W tamtą stronę na Santorini przez Ateny. Wracałem z Mykonos, również przez Ateny. Bilet na tej trasie wykupiłem w biurze turystycznym przy ul. Puławskiej w Warszawie za 1087 zł. Dodatkowo musiałem zapłacić za bagaż (40 euro w obie strony). Wykupiłem też noclegi na Santorini i na Mykonos. Pomiedzy wyspami przemieszczałem się promami. Wybrałem – moim zdaniem – osiem najciekawszych wysp cykladzkich: Santorini, Ios, Naxos, Paros, Siros, Tinos, Mykonos i Delos, położonych na głównym szlaku promowym z Krety przez Santorini do Pireusu. Poza wymienionymi warto też odwiedzić (położone nieco na uboczu) cztery wyspy: Andros, Kea, Milos i Amorgos, ale promy płyną tam rzadziej. Wybrałem się tam przed sezonem (rozpoczynającym się w drugiej połowie maja), bo mniejszy tłok i niższe ceny (w sezonie trudno znaleźć noclegi poniżej 30 euro).

6 maja. Wylot z Warszawy o 16, przylot do Aten 19.30, wylot na Santorini o 21.35, przylot o 22.20. Aegean Airlines są sympatycznymi liniami. Pomimo krótkiego lotu serwują do Aten gorący posiłek, a do Santorini napoje. Po przylocie, ze względu na późną porę, musiałem brać taksówkę (15 euro) do wykupionego w kraju (za 16 euro ze śniadaniem) hotelu Narkissos na Kemer Beach, tylko 4 km od lotniska. Tak ten jak i wszystkie inne hotele na trasie były wygodne i czyste, był ciepły prysznic i ręczniki. Lokowałem mnie w pokoju dwuosobowym, w którym z reguły byłem sam. Na wyspach prawie wszyscy mówią po angielsku, choć przydaje się kilkanaście słów greckich.

7 maja. Zwiedzanie Santorini rozpocząłem od położonych na stoku górskim ruin antycznej Thiry. Można się tam dostać tylko od strony Kemer Beach. Ponieważ jest daleko i cały czas pod górę, lepiej jest podjechać minibusem turystycznym (10 euro w obie strony). Za wstęp do ruin i muzeów na wyspach płaci się tylko 2 lub 3 euro (czasem 5 euro). Wszędzie też akceptowane są legitymacje dziennikarskie. Pochodzące z IX w. p.n.e. rozległe ruiny z widokiem na położone daleko w dole morze rozciągają

się po obu stronach wijącej się serpentynami ścieżki. Zwracają uwagę wykute na jednej ze skał symbole greckich bogów: orzeł Zeusa, lew Apollina i delfin Posejdona. Na zwiedzanie ruin trzeba przeznaczyć minimum 2 godziny.

Następnie lokalnym autobusem oznaczonym KTEL (1,60 euro) dojeżdżam do głównego miasta Santorini Thiry, skąd kolejnym autobusem (1,80 euro) przemieszczam się do Akrotiri – ruin prehistorycznego miasta sprzed 3500 lat, kojarzonego z domniemaną Atlantydą, zatopioną w zamierzchłych czasach w morzu po katastrofalnym trzęsieniu ziemi (wg Platona). Wstęp 5 euro. Odkopane przez archeologów Marinatosa i Zahna, nakryte ogromnym dachem ruiny miały być częścią zatopionego kontynentu. Duże wrażenie robią świetnie zachowane kilkupiętrowe domy (w niektórych uwagę zwracają ogromne amfory wydobyte z dna morskiego). Niestety najważniejsze ze słynnych fresków minojskich przeniesiono do Muzeum Archeologicznego w Atenach.

Wracam do „stołecznej” Thiry, gdzie oglądam śnieżnobiałe domy i cerkwie z niebieskimi kopułami. Biel i błękit to kolory dominujące w budownictwie na Cykladach. Kręte ulice cykladzkich miast przypominają arabskie medyny, są jednak idealnie czyste, a zamiataczy ulic spotyka się na każdym kroku. Zwiedzam okazałą katedrę prawosławną pw. Chrystusa, oglądam też (zamknięty) kościół Agios Minas. Poniżej domów starówki widać przesuwające się wagoniki kolejki linowej, która łączy górne miasto z przystanią statków wycieczkowych. Następnie autobusem KTEL dojeżdżam do miejscowości Oia (na północnym krańcu wyspy), gdzie tradycyjnie ogląda się wschodzące zachody słońca nad urwiskami Santorini i pobliskimi wulkanicznymi wysepkami Thirassia i Nea Kaimeni, które kiedyś (przed katastrofą) tworzyły wraz z Santorini całość. Na punkcie widokowym niezmiernie tłumy turystów z całego świata (głównie z Azji). Trudno docisnąć się do barierki, by zrobić zdjęcie.

8 maja. Zwiedzam oba muzea Thiry: Archeologiczne i Muzeum Starożytnej Thiry, gdzie z satysfakcją odnajduję niektóre z fresków pochodzące z Akrotiri (zdjęcia dozwolone, ale bez flesza). Następnie docieram do położonego w środku wyspy, na uboczu, bizantyjskiego kościółka Panagia Episkopi z XI w., z cennymi freskami. Świątynię otaczają wysokie cyprysy. Poza mną i klucznicą nie ma tu nikogo. Nareszcie cisza! Jakżóż kontrast ze zgiełkliwą atmosferą miasta!

9 maja. Z Kemeru jadę autobusem do Thiry, a następnie kolejnym autobusem zjeżdżam karkołomnymi serpentynami do przystani promowej Athinie (2,20 euro). Niestety, tego dnia kursują tylko szybkie promy, droższe czterokrotnie (!) od zwykłych (nieco tylko wolniejszych). Bilet na Ios kosztuje więc 29,50 euro (!), ale po godzinie dopływam już do celu. Na przystani czekało już kilku „naganiaczy” (właścicieli lokalnych hotelików). Po targach uzyskałem cenę 15 euro (oczywiście bez śniadania) i nigdzie potem nie udało mi się jej obniżyć. Dostałem ładny pokój w hoteliku Galini, z widokiem na egzotyczny ogród na dziedzińcu.

Ios należy do rzadziej odwiedzanych wysp cykladzkich. Kiedyś był modną mekką hippisów z całej Europy. Na początku maja panuje jednak spokój. Są tu ładne plaże, ale poinformowano mnie, że temperatura wody w morzu wynosi 12 stopni. Nie próbowałem się więc kąpać, ale za to miałem ciszę i taniej. Coś za coś!

Ios ma pięknie położone na stoku góry miasto Chora (jedyne na wyspie). W jednej z krętych uliczek jem pyszne „suwlaki” – mięso i jarzyny zawinięte w naleśniku kosz-

tuje 3 euro. Zaglądam do małego muzeum archeologicznego (zakaz zdjęć). Poza tym niewiele jest do zobaczenia na Ios. Niedawno odkopane antyczne ruiny Skarkas były zamknięte (przed sezonem). Praktycznie jedyną atrakcją jest położony na północy (12 km) domniemany grób Homera, ale taksówkarz żądał za kurs minimum 30 euro, więc zrezygnowałem.

10 maja. Płynę promem (zwykłym) na wyspę Naxos (7 euro). Dość szybko docieram do hoteliku Bourgos (w górnej części miasta, tuż obok zamku, 15 euro). Naxos jest największą z wysp cykladzkich, zasiedloną w głębokiej starożytności, a później skolonizowaną przez Wenecjan, którzy zbudowali tam liczne wieże warowne. Główne miasto, nazywane przez mieszkańców Chora, ze spiętrzonymi na wzgórzu domami, wieńczy cytadela zamkowa, w której mieszczą się trzy muzea (archeologiczne, bizantyjskie i etnograficzne). To ostatnie otwarte jest do późnego wieczora (z przerwą obiadową), pozostałe tylko przed południem (9.00–15.00). Podobne godziny otwarcia są na innych wyspach. Wewnątrz cytadeli stoi też kościół katolicki z XIII w., otwarty tylko rano (z ciekawym wnętrzem). Na lewo od portu, na wąskim półwyspie, stoi marmurowa brama (pozostałość świątyni Apollina z VI w. p.n.e.), zwana przez mieszkańców Portara. Ten symbol wyspy widoczny jest na wszystkich prospektach.

11 maja. Mapy wysp (bezpłatne) są powszechnie dostępne w biurach turystycznych. Penetrację wnętrza Naxos utrudnia kiepska komunikacja. Autobusy KTEL kursują kilka razy dziennie tylko po głównej trasie w poprzek wyspy – do Chalki i Apiranthos. Do pozostałych miejsc tylko raz lub dwa razy dziennie. Autobusy te przeznaczone są w zasadzie dla miejscowej ludności. O turystach nie pomyślano. Dla osób z prawem jazdy celowe byłoby wynajęcie samochodu (na Naxos od 20 do 25 euro za dzień, bez benzyny). Mnie pozostał tylko autostop, funkcjonujący znośnie (z wyjątkiem zatłoczonych Santorini i Mykonos), a najlepiej na Tinos.

Jadę najpierw do Apiranthos (1,60 euro), malowniczej i zadbanej wsi (właściwie miasteczka), z niewielkim muzeum i sklepikami oferującymi lokalne pamiątki (głównie ceramikę). Próbuję dotrzeć do położonego na uboczu klasztoru prawosławnego Agios Joannis Theologu. Kierują do niego strzałki, ale bardzo wyboista ścieżka zamienia się wkrótce w trudne do przebycia wertepy. Wreszcie strzałki urywają się. Po godzinie marszu rezygnuję i wycofuję się zadowolony, że nie połamałem tam nóg. W drodze powrotnej zatrzymuję się w Chalki, by zobaczyć położony na uboczu kościół bizantyjski Agios Georgios Diasoritis z XI w., z zachowanymi freskami. Tym razem strzałki doprowadzają do celu, ale świątynia jest zamknięta. W połowie drogi z Chalki do Apiranthos turyści z plecakami podążają ku grocie Zeusa, położonej w najwyższym na wyspie masywie górskim ZAS (1000 m).

12 maja. Jadę ponownie do Chalki, by zobaczyć w miejscowym kościele Panagia Protothroni (XII w.) zachowane freski, a następnie autostopem docieram do największej atrakcji zabytkowej na wyspie – kościoła bizantyjskiego Panagia Drossiani (z freskami z VI w.!). Kościół ma niezwykle kształt. Składa się z połączonych ze sobą trzech małych świątynek, a według przewodników jest najwybitniejszym dziełem bizantyjskich budowniczych na całym obszarze bałkańskim. Kościołek otwiera około 11.00 (podobno codziennie) mniszka mieszkająca w pobliskiej miejscowości Moni. Następnie autostopem podjeżdżam do miasteczka Filoti, skąd wracam do Naxos. Brak komu-

nikacji uniemożliwił mi obejrzenie świątyni antycznej bogini Demeter i położonego na północy wyspy kamieniołomu, w którym leży (nieukończony w starożytności) dziesięciometrowy posąg Apollina, zwany kourosem.

13 maja. Pieszko wędruję (ok. godzinę) do położonego ponad miastem Naxos żeńskiego klasztoru Moni Chrysostomou z XVII w., gdzie dość sympatycznie przyjęty zostałem przez tamtejsze mniszki, które na pożegnanie dały mi drewniany krzyżyk i cukierki.

Około południa jestem już na przystani i wsiadam na prom (7 euro) na wyspę Paros. Łąduję w jej głównym mieście Parikia. Na przystani decyduję się na hotelik Jimmy's (15 euro). Jego właściciel zawozi mnie tam swym samochodem, a po trzech dniach odwozi na przystań. Pokój jak wszędzie przestronny, z balkonem i gorącym prysznicem.

Po zainstalowaniu się wędruję do największej atrakcji miasta – okazałej bazyliki bizantyjskiej Ekatontapiliani („Stubramna”) z VII w. Umieszczony w ikonostasie wizerunek Matki Bożej dwa razy w roku (na Wielkanoc i 15 sierpnia) obnoszony jest procesyjnie po ulicach miasta. Po prawej stronie monumentalnej, wielokopułowej bazyliki znajduje się baptysterium z VII w. Z położonego na piętrze pomieszczenia dla kobiet można zobaczyć stare freski za ikonostasem. Zwiedzam też położone za bazyliką interesujące Muzeum Archeologiczne.

14 maja. Jadę autobusem KTEL do drugiego większego miasteczka-wczasowiska Naoussa, gdzie oglądam starą twierdzę wenecką z XV w. i zabytkowy most. W drodze powrotnej wysiadam z autobusu na skrzyżowaniu dróg i podążam do widocznego w dali męskiego monasteru prawosławnego Langovarda (XVII w.), otwartego dla zwiedzających (tylko dla mężczyzn, szorty niedozwolone!) w godz. 9–12. Pomimo spóźnienia zostaję sympatycznie przyjęty przez młodego mnicha, który otwiera mi katedrę (główną cerkiew) i pokazuje wnętrze w całości pokryte starymi freskami (zdjęcia możliwe, ale bez flesza). Młody zakonnik, dobrze mówiący po angielsku, przekazuje mi szczegółową historię klasztoru, w którym obecnie przebywa ok. 40 mnichów. Na pożegnanie zostaję poczęstowany kieliszkiem mocnej wódki i bardzo słodkim lukmem, przysmakiem greckim, z którym zetknąłem się już wcześniej na Cyprze. Wracam do Parikii i krętymi uliczkami docieram do wieży zamkowej (pozostałość twierdzy weneckiej), do której budowy użyto fragmentów antycznej świątyni Ateny. Na fundamentach tej świątyni wzniesiono później bizantyjski kościół Agii Konstantinos kai Eleni, w najwyższym punkcie starówki.

15 maja. Jadę autobusem KTEL (1,60 euro) do położonego w środku wyspy malarzniczego miasteczka Lefkes, które kiedyś było „stolicą” wyspy. W drodze powrotnej wysiadam w Marathi, gdzie znajdują się słynne kamieniołomy paryjskie, z których pochodzą liczne marmurowe figurki antycznych bogiń cykladzkich, znajdujące się w wielu muzeach Grecji (i nie tylko Grecji). Rezygnuję jednak z wejścia do wnętrza kamieniołomu, bo ścieżka wiedzie ostro w dół przez wertepy. Sympatyczna pani podwozi mnie do (niestety zamkniętego) monasteru Agios Minas (XVII w.). Dowiaduję się, że liczne kościoły i klasztory otwiera się tylko raz lub dwa razy w roku (na wielkie uroczystości). Rezygnuję (brak komunikacji) z dotarcia do Petaludes – Doliny Motyli, które tysiącami pokrywają tamtejsze drzewa i krzewy. Podobne takie miejsce widziałem kiedyś na Rodos. Następnie podjeżdżam autobusem do Pounda, gdzie jest przystań promowa na wyspę Antiparos (znaną z efektownych grot stalaktytowych), a następnie na plażę Aliki.

16 maja. Pieszko podchodzę do górującego wysoko nad Parikią klasztoru Agii Anargiri, pw. Świętych Kosmy i Damiana. Czekając na otwarcie (o godz. 12) oglądam wspaniały widok na leżącą w dole Parikię. Tamtejszy katholikon jest o wiele skromniejszy (bez fresków) od tych, które już widziałem. Wracam autostopem.

Około południa wsiadam na prom na wyspę Siros (7.50 euro). Po dwugodzinnym rejsie jestem już na przystani w Ermoupolis. Tamtejsi „naganiacze” przyjeżdżają na motocyklach. Każdy z nich żąda za nocleg 20 euro i żaden nie chce obniżyć ceny. Z jednym z nich podchodzę więc, po wielu stopniach, do skromnego hoteliku (właściwie jednopokojowego) „Evdokia”. Był to najskromniejszy (choć najdroższy) nocleg na mojej trasie.

Wyspa Siros jest rzadko odwiedzana przez turystów. Jej główne miasto Ermoupolis jest zarazem niepisaną stolicą i największym miastem Cykladów. Położone jest malowniczo na dwóch wyniosłych wzgórzach, z których jedno wieńczy katedra prawosławna, a drugie katedra katolicka.

Jest siedzibą dwóch biskupów i jednym z niewielu miejsc w Grecji, gdzie wierni obu wyznań razem świętują Wielkanoc. Podobno 90% mieszkańców wyspy to katolicy. Wizytówką miasta jest okazały ratusz wzniesiony w 1876 roku przez bawarskiego architekta Zillera. Po lewej stronie ratusza znajduje się muzeum, prezentujące przedmioty znalezione na pobliskim stanowisku archeologicznym Chalandriani. Z tyłu za ratuszem stoi klasycystyczna Biblioteka, a za nią Teatr Operowy Apollon, będący kopią mediolkańskiej La Scali. Trafiłem tam na próbę spektaklu. Jeszcze wyżej stoi okazała cerkiew Świętego Mikołaja, z wielkim marmurowym ikonostasem.

17 maja. Poza stolicą na wyspie jest niewiele atrakcyjnych miejsc. Jednym z nich jest miasteczko Posejdonia (nazywane lokalnie Dellagrazia), do którego podjeżdżam autobusem KTEL (2,20 euro).

Są tam liczne pałacyki bogatych mieszkańców Siros z przełomu XIX i XX w. Niektóre z nich mają fantazyjne wieżyczki i wykusze. Przez wiele lat zaniedbane, obecnie są odnowione i otoczone pysznymi ogrodami egzotycznymi. Niestety wszystkie były zamknięte. Być może będą w nich muzea. Wracam do Ermoupolis i zamawiam w portowej restauracji małą porcję suwlaki (3 euro).

18 maja. Wsiadam na prom na wyspę Tinos (7 euro). Z przystani zabiera mnie swym samochodem właścicielka hoteliku Virginia (15 euro po długich targach), położonego w centrum miasteczka Tinos. Miasteczko to można nazwać „cykladzką Częstochową”. Jest najważniejszym w Grecji sanktuarium maryjnym. Już na przystani zaczyna się droga procesyjna do widocznego w oddali sanktuarium Panagia Evangelistria (Zwiastowania Matki Bożej). Po obu stronach drogi procesyjnej widoczne są sukienne chodniki, na których zobaczyłem posuwające się na klęczkach w kierunku świątyni dwie dziewczyny. 30 stycznia i 15 sierpnia drogą tą ciągną do bazyliki tysiące pielgrzymów z całej Grecji. Nocują pod gołym niebem i znalezienie wtedy noclegu graniczy z niepodobieństwem. W czasie mego pobytu bazylika była prawie pusta. Wzniesiono ją z białego lokalnego marmuru w latach 1832–1880 w miejscu, gdzie kilkanaście lat wcześniej prawosławnej mniszce Pelagii ukazała się we śnie Matka Boża i wskazała jej miejsce, gdzie ukryty był Jej cudowny wizerunek. Wnętrze świątyni wypełnione jest licznymi wotami. Cudowna ikona znajduje się po lewej stronie od wejścia (nie

w ikonostasie!), oddzielona od wiernych niewielką barierką. W krużgankach jest wejście do Muzeum Artystów z Tinos, wypełnione rzeźbami i obrazami twórców pochodzących z wyspy (zakaz zdjęć).

19 maja. Wczesnym rankiem autobusem KTEL jadę do Pyrgos, miasteczka położonego w górach na zachodzie wyspy. Stąd właśnie pochodziła większość artystów, których dzieła oglądałem wczoraj w muzeum przy bazylice. Ich otoczone cyprysami domy zamieniono na muzea. Spaceruję zadbanymi, urokliwymi uliczkami, wśród domów ozdobionych marmurowymi ornamentami, mijając liczne pomniki. Dochodzę na cmentarz, z licznymi artystycznymi pomnikami mieszkańców miasteczka. Na niektórych nagrobkach wyrzeźbione są symbole zawodów ich właścicieli (pisarze, rybacy, lekarze). Ze względu na wczesną porę dnia wokół panuje cisza, co jeszcze potęguje urok tego miasta muzeum. Wracam autostopem, zatrzymując się po drodze w kilku miejscach. Od krzyżówki na głównej drodze wędruję 2 km do klasztoru Katapoliani (niestety zamkniętego). Powiedziano mi, że otwiera się go raz w roku, chyba na Wielkanoc. Tuż przy głównej trasie stoi kościół Agios Athanasios (XV w.), z bogatą ornamentyką zewnętrzną (też zamknięty). Miła pani podrzuca mnie do Doliny Tarampades, gdzie znajduje się większość „wieży gołębi”. Wielu mieszkańców Tinos hoduje te ptaki, budując dla nich ozdobne wieże, często o dużej wartości artystycznej. Kolejnym autobusem jadę do żeńskiego klasztoru prawosławnego Kechrovounion. Jest to okazały zespół wielu budynków. W jednym z nich jest cela, w której mniszka Pelagia w 1822 r. miała we śnie ujrzeć Matkę Bożą. Klucznicę klasztorną wywołuje się pociągając za sznur uruchamiający dzwon. Mniszki dość niechętnie otwierają katholikon i zakazują robienia zdjęć.

20 maja. O 6 rano jadę autobusem (jedyne na całą dobę) do dwóch wiosek katolickich (w sumie jest ich sześć). Większość mieszkańców Tinos to katolicy. Obie wioski leżą u stóp bardzo stromego wzgórza Exombourgo. Najpierw zatrzymuję się w wiosce Loutra. Błądzą jej uliczkami, zupełnie pustymi o tak wczesnej porze dnia. Dowiaduję się, że główny kościół otwierany jest tylko w niedzielę. Drugi jest zamknięty, bo grozi zawaleniem. Zamknięty był też (o tej porze) klasztor Urszulanek, które prowadzą tam znaną w całej Grecji szkołę dla dziewcząt. Więcej szczęścia miałem we wsi Xinara, gdzie również są dwa kościoły. Jednym z nich jest XIX-wieczna katedra (ta niewielka wieś jest siedzibą katolickiego biskupa). Wywołuję dzwonieniem klucznika, który otwiera świątynię. Wracam autostopem, zwiedzając po drodze, w miejscowości Kionia, ruiny świątyni Posejdona. W starożytności do tego sanktuarium zdążali pielgrzymi z całej Grecji, a wyspa była głównym centrum jego kultu. Wracam do Tinos, gdzie w miejscowym muzeum oglądam antyczny zegar słoneczny, odkopany przy świątyni Posejdona oraz ogromne amfory z VII w. p.n.e., z wyłoczonymi na nich scenami mitologicznymi. W małej restauracyjce zamawiam dużą porcję suwlaki i piwo (10 euro).

21 maja. Wsiadam na prom na wyspę Mykonos (7 euro), gdzie mam zarezerwowany hotel „Demetri Pension”, w centrum miasteczka, dość daleko od przystani (22 euro, bez śniadania). Hotel jest droższy od poprzednich, bo na Mykonos wszystko jest droższe. Podobnie jak na Santorini tłumy turystów, głównie Azjatów, wypełniają zadbane uliczki pełne eleganckich sklepów z pamiątkami. Najczęściej fotografowanym obiektem jest bizantyjski kościół Paraportiani. Wygląda jak wielka niekształtna bryła śnieżna. Podobno otwierany jest trzy razy w roku (tylko z okazji wielkich świąt). Na pobliskim wzgórzu wi-

doczne są cztery okazałe wiatraki (spotykałem je już na Ios i Naxos). Tuż obok znajduje się plaża Alefkandra z tzw. Małą Wenecją. Jest to grupa domów zbudowana tuż nad morzem i jakby z niego wyrastała. Wenecji to jednak wcale nie przypomina. Zwiedzam położone na przeciwległych krańcach miasta muzea. Tuż przy kościele Paraportiani znajduje się Muzeum Etnograficzne, a w pobliżu portu Muzeum Archeologiczne, prezentujące m.in. „pithos” z VII w. p.n.e., tj. ogromną amforę z wytlaczanym przedstawieniem wojny trojańskiej (jest tam najstarszy znany wizerunek konia trojańskiego).

22 maja. Całodzienna wyprawa na Delos, do najważniejszego w całej antycznej Grecji sanktuarium Apollina. Pierwszy statek odpływa ze starego portu Mykonos o 9.00 (później o 10.00 i 12.00) i wraca o 15.00 i 19.00. Przejazd łodzią w obie strony kosztuje 18 euro (do niedawna 15 euro). Dodatkowo trzeba zapłacić – już na Delos – 5 euro za wstęp do ruin i muzeum. Ta mała skalista wyspa (o długości 5 km i szerokości zaledwie 1300 m), dziś niezamieszka (brak możliwości noclegu, trzeba wrócić na Mykonos w tym samym dniu), w starożytności była ośrodkiem jednego z najważniejszych centrów kulturowych i handlowych na obszarze Hellady.

Dzisiaj jest jednym ze znaczących stanowisk archeologicznych. Delos zasiedlony już był w 3 tysiącleciu p.n.e. Kult Apollina datuje się na ok. 1000 r. p.n.e. Na pobieżne zwiedzanie wyspy trzeba przeznaczyć minimum 5 godzin. Największe wrażenie robi słynna Aleja Lwów. Obecnie, pod gołym niebem stoją kopie tych kamiennych lwów (oryginały przeniesiono do muzeum na Delos).

Warte obejrzenia są piękne mozaiki w Domu Delfinów, Domu Masek i Domu Dionizosa, a także świątynia egipskiej bogini Izydy i tzw. Dom Kleopatry (z częściowo zachowanym posągami królowej). Całość obszernych ruin miasta, które w okresie największego rozkwitu liczyło 30 tys. mieszkańców, ogląda się ze wzgórza Kynthos, na które prowadzą schody. Wracam do przystani, mijając po drodze (ongis gęsto zabudowaną) Dzielnice Teatralną. Sam teatr, który mieścił 5000 widzów, jest słabo zachowany.

23 maja. Autobusem KTEL jadę do pobliskiej wsi Ano Mera, by zobaczyć klasztor Panagia Tourliani z XVI w. (drogocenne ikony, pięknie rzeźbiony ikonostas). Otwarty jest w godzinach 9.00–13.00 i 16.00–20.00. Podchodzę 2 km do żeńskiego klasztoru Paleokastro. Katholikon otwiera mi młoda mniszka interesująca się Polską i jej sprawami. Tuż za klasztorem stoi zrujnowana średniowieczna wieża Gizi. W restauracji w Ano Mera (tu trochę taniej niż w Mykonos) zamawiam porcję znanego przysmaku greckiego musaka i kieliszek ouzo (11 euro). Po powrocie do Mykonos decyduję się na jedyną na trasie kąpiel na miejskiej plaży, choć temperatura wody nie przekracza 15 stopni.

25 maja. O 11.00 uczestniczę we mszy świętej w kościele katolickim w Mykonos. Trafiam na uroczystość bierzmowania młodych ludzi przez biskupa. O 14.00 na stacji autobusowej Fabrika (tuż obok mojego hotelu) wsiadam do autobusu na lotnisko w Mykonos (1,60 euro). O 16.00 odlatuję do Aten, a o 17.20 do Warszawy.

Przykładowe ceny w supermarketach:

Zupy w proszku 1,50 euro, puszkowany groszek w sosie pomidorowym 2,50 euro, puszkowane owoce morza 3,00 euro, sardynki w sosie pomidorowym 1,30 euro, kilogram pomidorów 4,00 euro, kilogram brzoskwiń 5,00 euro, jogurt 1,00 euro, butelka wody mineralnej 1 euro, butelka fanty 1,30 euro.

Cypr – lato 2014



Termin i okres pobytu – druga połowa sierpnia, 10 dni

Liczba uczestników: 2 osoby

Przelot samolotami linii LOT: Wrocław – Warszawa (LOT): 0,55 h; 14.08.2014 – 17.50–18.45; Warszawa – Larnaca (LOT): 3 h 20 min.; 14.08.2014–15.08.2014 22.35–2.55; Larnaca – Warszawa (LOT): 3 h 35 min.; 24.08.2014, 3.45–6.20 Warszawa – Wrocław (LOT): 1 h, 24.08.2014, 7.35–8.30.

Bilet na osobę w obie strony kosztował 1350 PLN (kupione 1.03.2014)].

CYPR

Podzielony jest na część południową grecką i północną zamieszkałą przez ludność turecką. Liczba mieszkańców: 840 tys. – w Republice Cypryjskiej (części greckiej) i około 200–270 tys. zamieszkuje po stronie północnej. Ruch na Cyprze po obu stronach (greckiej i tureckiej) panuje taki jak w Anglii.

1 euro = 4,23–4,24 PLN (08.2014).

Ceny dla Cypru po stronie greckiej

Hotele: West End Hotel, Agiou Georgiou 214; Peyia, 8560 Cypr – 70 euro za noc, śniadanie wliczone w cenę pokoju, Wi-Fi w pomieszczeniach ogólnodostępnych, w przypadku niepojawienia się 100% obciążenia za cały pobyt, parking bezpłatny; Themis House Lemithou Village, Trodoos, www.themishouse.com, info@themishouse.com; nocleg – 1 noc – 50 euro, Cleopatra City Centre, Nicosia, 8 Florinis Str – 95 euro – pokój dwuosobowy; Eleonora Hotel Apartments, 55 Hermes Street, Larnaca (info@eleonorahotelapts.com) – apartament typu Studio – 55 euro; Wi-Fi dostępne, bezpłatne, śniadanie dodatkowo 5 euro.

Transport: Benzyna – 1, 475 euro /litr.

Wynajęcie samochodu: Avis – cena za wynajęcie – 879,60 PLN – pożyczony w dniu 15.08.2014 o godzinie 3.30 na lotnisku Larnaca i oddany w tym samym miejscu 24.08.2014 – o godzinie 2.30. Klasa Compact, KIA. Ponadto dopłaciłem 77,34 euro – dodatkowe ubezpieczenie za podwozie oraz dodatkowego kierowcę + 20 euro – opłata manipulacyjna za uzupełnienie paliwa.

Miejsca do zwiedzania: Ruiny Nea Paphos – 4,50 euro; Grobowce Królewskie – Paphos – 2,50 euro; Kykkos Monastery – 5 euro; zamek w Kolossi – 2,50 euro; wstęp do jaskini Neophytosa – 2 euro; ruiny Kourion – 4,50 euro.

Ceny w sklepach: 6 butelek wody mineralnej a 1,5 litra – 2,95 euro (0,5 euro/butelkę); piwo Keo Beer – 630 ml – 2,15 euro; Schweppes Tonic – 1,5 l – 3,00 euro.

Ceny w restauracjach: Themis House Lemithou Village, Trodos, – kolacja dla 1 osoby: 13 euro, śniadanie dla 1 osoby: 5 euro; mała butelka wina (190 ml): 3 euro; sałata – 6,50 euro; starter: 3,50 euro; okra – 8,50 euro; świeży pstrąg – 14 euro.

Napoje i desery: 0,5 l smoothie mangowe – 3,50 euro, frappe Kaffee – 3,10 euro, sok świeżo wyciskany 3 euro; woda 1 litr – 1,50–2,50 euro; cyprus coffee – 2,25 euro; baklava – 3,40 euro.

Północna część Cypru (tereny okupowane przez Turcję wg nomenklatury Greków cypryjskich): Turecka wiza na osobnej kartce – można się legitymować dowodem osobistym (wg pieczętki ważna 90 dni). Turecka część wyspy stara się bardziej o turystów niż ich greccy sąsiedzi, którzy spoczęli na laurach. W wielu miejscach można spotkać szereg prospektów dokładnie opisujących zabytki, a liczba imprez w ciągu całego roku przeznaczonych dla turystów wydaje się być imponująca (www.welcometo-northcyprus.co.uk).

1 euro = 2,87 lira tureckiego (TL).

Ceny:

1 litr benzyny – 3,76–3,94 TL.

Ceny w restauracjach: Yalanci Dolma (gołąbki w liściach z winogron) – 15 TL; kawa po turecku – 3 TL.

Wstęp: Zamek w Girne (Kyrenia) Castle – 12 TL; kościół św. Mikołaja – Bedestan Cultural Centre – 5 TL; opactwo Bellapais – 9 TL; wejście na występ tańca derwiszów – 7 euro (20 TL).

Pierwszy dzień na Cyprze – Paphos

Z Warszawy wystartowaliśmy chwilę przed północą. Samolot leciał niecałe trzy godziny i był na miejscu przed trzecią rano miejscowego czasu. Na lotnisku w Larnace mieliśmy dylemat: gdzie czeka na nas samochód? Jakieżś 3 tygodnie wcześniej zarezerwowałem auto w Avis. Cena była całkiem umiarkowana. Avis jednak nie miał swojego stoiska w budynku lotniska. Mieliśmy ustawić się przy sklepiu Express i czekać na człowieka z tabliczką. W końcu cierpliwość nasza została nagrodzona, człowiek z tabliczką „Avis” się ujawnił i niedługo dojechaliśmy do położonego poza lotniskiem biura Avisu. Dostaliśmy w użytkowanie samochód marki KIA, z bagażnikiem, który pozwalał na umieszczenie obu naszych walizek.

Co kraj to obyczaj w pożyczaniu auta. Aby podreperować finanse, Avis miał dziwny zwyczaj przy oddawaniu auta. Można było wybrać opcję oddania auta z pustym bakiem i ta okoliczność kosztowała wtedy około 100 euro, lub oddać z pełnym bakiem, ale tylko wtedy, gdy jednocześnie dostarczy się rachunek ze stacji benzynowej oddalonej nie więcej niż 10 kilometrów od lotniska, gdzie mieliśmy samochód zwrócić. I nawet wtedy za ten pełny bak obowiązywała jeszcze opłata manipulacyjna za sprawdzenie tych papierków i stanu paliwa za około 20 euro. A cena benzyny wynosi 1,45 euro, czyli licząc to wszystko warto było około 50 litrów paliwa.

Do Paphos prowadzi autostrada ciągnąca się około 130 kilometrów, co jak na Cypr stanowi sporą odległość. Rankiem w Kato Paphos, czyli tzw. dolnym Paphos życie się rozkręcało bardzo wolno. Był 15 sierpnia – dzień wolny od pracy i tylko na pobliskim placu zasiadali na swoich krzesłkach w cieniu starych drzew miejscowi bywalcy pogadać lub pograć w karty. Zagladaliśmy do każdej knajpy i po dłuższym wałęsaniu się około godziny ósmej znaleźliśmy w końcu lokal, gdzie można było dostać śniadanie. Przyszła potem pora na zwiedzanie. Weszliśmy do znajdującego się w pobliżu rozległego pola ruin dawnego miasta Nea Paphos, które kwitło od czasów Aleksandra Wielkiego aż do połowy IV wieku naszej ery. Mieszkańcy się z tego miejsca wynieśli, kiedy to w odstępie dziesięcioletnim miały miejsce dwa trzęsienia ziemi (w 332 i 342 r. n.e.), które zniszczyły miasto.

Zaczęliśmy zwiedzanie od jednego miejsca, gdzie można było znaleźć nie tylko cień, ale również i klimatyzację. W małym budynku muzeum można było obejrzeć film o tym miejscu. Nea Paphos położone jest na płaskim terenie, dookoła którego rozciąga się z jednej strony nowoczesne miasto, a z drugiej strony morze. Najbardziej kompletne mozaiki można było odnaleźć w Domie Ajona (greckiego boga z IV wieku). Dom Ajona był zadaszony, a z pomostów można się było dokładnie przyjrzeć kilku scenom z mitologii, w tym m.in. okrutnemu losowi satyra Marsjasza.

Nad nami zwycięzcą okazało się palące słońce. Obeszliśmy tylko te miejsca, które dawały rękomię jakiegoś cienia, jak przykładowo sporej wielkości Dom Dionizosa, i pojechaliśmy w samo południe do naszego West End Hotelu położonego kilkanaście kilometrów na północ. Pokój już na nas czekał, można było włączyć klimatyzację i nie trzeba było nawet oglądać jakiegokolwiek filmu, aby zapaść w kilkugodzinny sen. Spałimy z przerwami całe popołudnie, ale pod wieczór można było wyjść się rozejrzeć.

Pokój mieliśmy z wyjściem na dziedziniec z niewielkim basenem, w którym kąpiel dawała ochłodę na przynajmniej kilkanaście minut.

Drugi dzień – Paphos – Latsi

W tym dniu zatrzymaliśmy się po raz kolejny w Paphos. W pobliżu plaży znajduje się tam rozległy teren zwany Grobowcami Królewskimi. Nie chowano tam żadnych królów, ale ludzi majątnych, którzy potrafili zapewnić sobie i swojej rodzinie dom nie tylko za życia, ale i po śmierci. Grobowce wykuwano w skale. Do ich wnętrza schodzi się dromosem, czyli korytarzem prowadzącym do atrium. Do dziedzińca zaś przylegały komnaty, które stopniowo zapępiały się lokatorami na wieczny spoczynek. Żywi członkowie rodziny mogli się spotykać w rocznicę śmierci swoich bliskich w grobowcu na specjalnej biesiadzie.

Opuściliśmy Paphos, aby wspinając się górkami serpentynami dotrzeć do położonej na wysokości 400 metrów nad poziomem morza pustelni świętego Neophytosa. Grota, w której modlił się, pisał jak też i malował Neophytos, składa się z dwóch małych pomieszczeń: kaplicy Krzyża Świętego oraz malutkiej celi mieszkalnej, gdzie on pisał swoje dzieła. Tak jak w większości kaplic czy kościółków zdjęć nie można było robić, więc została mi w pamięci jedynie postać Pantokratora wymalowana na zakrzywionej skale.

Droga na północ do miasteczka Polis położonego w zatoce Chrysochou wije się przez pagórkowaty teren, wśród winnic i sadów owocowych. W sierpniu krajobraz nie ma w sobie nic z soczystości, sucha ziemia dopiero za miesiąc czy dwa może oczekiwać

na opady deszczu. Po drodze czasem kupić można hodowane tutaj pyszne mango, banany czy arbuzy. Zmierzaliśmy do Latsi, opisywanej jako spokojna, rybacka wioska i jednocześnie jako brama do odludnego półwyspu Akamas.

Nie ma już takiego miejsca. Latsi przestała być już dziewiczym miejscem i stała się kurortem, gdzie nie sposób prawie przejść przez jezdní. Spacerując wzdłuż portu jest się co chwilę nagabywanym: a to o rejs stateczkiem ze szklanym dnem czy na wycieczkę z nurkowaniem. Można też wybrać się śladami Afrodyty, do położonego parę kilometrów dalej źródółka, gdzie bogini zażywała kąpeli przed i po licznych randkach. Gdy wróciliśmy ze spaceru i wizycie w kawiarni w samochodzie zostawionym w słońcu o godzinie 17 mieliśmy 43 stopnie.

Po tych wszystkich wożach nasz West End Hotel z drugiej strony półwyspu okazał się być oazą samotności. Mieliśmy do swej dyspozycji basen, co wieczór zaś uroczy gospodarz przygotowywał nam cypryjskie frykasy na kolację.

Trzeci dzień – Limassol

Do Limassol prowadzi z Paphos autostrada. Znacznie trudniej było dojechać z naszej wioski do Paphos, szczególnie że wybraliśmy drogę na skróty. Nie ominęły nas typowe garby, jakich w wioseczkach czy miasteczkach pojawia się co najmniej raz na 200 do 500 metrów.

Była niedziela. W pobliżu nadmorskiej promenady na ulicy Jerusalem 2 w Limassol znajdował się kościół katolicki pod wezwaniem św. Katarzyny (St Catherine). W okolicy było gwaro. Rej tu wodziły mniejsze czy większe kręgi filipińskich służących domowych, które w niedzielę, gdy dostają wolne, czasem wpadną do kościoła, ale przede wszystkim spotykają się w różnie licznych grupkach między sobą i wymieniają między sobą plotki, jak i różne dobra materialne. Strzec się należy na Cyprze muzeów w samo południe lub wczesnym popołudniem w miesiącach letnich. Przypominają one raczej łaźnie parowe. Tak się przedstawiało zlokalizowane w zamku, w centrum Limassol, Cypryjskie Muzeum Średniowiecza. W niedzielę otwarte było tylko przez 3 godziny – do godziny 13. Mieliśmy zaledwie 20 minut na zwiedzanie, z czego połowę czasu spędziliśmy owiewani ożywczym zimnym powietrzem wentylatora. W naszym przewodniku był opisany prawie każdy eksponat, który tam się znajdował, co świadczy o dużej dokładności autora, który przetłumaczył jota w jota prospekt o muzeum.

Tuż obok zamku kusiły nas liczne kawiarnie i lodziarnie, gdzie również popularne były wielkie klimatyzatory, a dla stałych klientów, szczególnie tych co zamówili mango-we smoothie, polewano dla ochłody wodą płócienny dach. Wszystko na nic. W końcu odnaleźliśmy w pobliżu coś wyjątkowego: lokal klimatyzowany Ousia Lounge Cafe Bar. Klimatyzacja w lokalu to nie takie częste w tym mieście, gdzie wszystkie knajpy otwarte są na zewnątrz. Miejsce jest godne polecenia: wymyślne potrawy, dobra, lekka muzyka zatracająca o sambę i ten miły chłód. Aż żal było w końcu wychodzić na te 35 stopni. Najważniejsze było wtedy dobiec do rozgrzanej puszkí naszego KIA, gdzie termometr pokazywał około 40 stopni w słońcu, otworzyć okna, i szybko ruszyć, aby poczuć powiew powietrza i po chwili włączyć klimatyzację. I robiło się wtedy coraz bardziej przyjemnie.

Jechaliśmy wzdłuż brzegu morza i resztek słonego jeziora, w kierunku półwyspu Akrotiri. Na mapie wygląda, iż nie ma tam czego szukać, bo był to teren brytyjskiej bazy wojskowej z lotniskiem. I rzeczywiście od czasu do czasu na horyzoncie lądowały

tam jakieś samoloty. Droga szybko przeszła w gruntową, choć ruch był spory. Wszyscy bowiem ruszyli na piaszczystą plażę, o nazwie Lady's Mile, gdzie poza kilkoma restauracjami nie było już hoteli. W końcu to teren wojskowy, choć patrząc po liczbie aut cywilnych zaparkowanych nad samym brzegiem morza, można by pomyśleć, że co drugi obywatel pobliskiej metropolii smaży się na plaży, korzystając z gościnności angielskiej bazy wojskowej. Wprawdzie plany mieliśmy ambitne, bo chcieliśmy odnaleźć drogę do klasztoru znanego jako św. Mikołaja od kotów, ale znaków żadnych nie było i woleliśmy nie wjechać przypadkiem na pas startowy. A morze kusiło, szczególnie, że ani razu nie mieliśmy jeszcze okazji się w nim wykąpać.

Kręcąc się po okolicy, mieliśmy jeszcze w planie odwiedzenie zamku Kolossi. Okolica obfituje w plantacje winogron i sady, szczególnie pomarańczowe. Na obrzeżach wioski z daleka można było dojrzeć sporych rozmiarów wieżę, którą wybudowali joannici, zwani później Zakonem Kawalerów Maltańskich. Wnętrza zamku były zupełnie puste. Można było sobie pochodzić, a nawet pobiegać i wspinać się na płaski szczyt wieży, skąd widać rysujące się na horyzoncie coraz wyższe wzniesienia masywu górskiego Trodoos.

Na sam koniec, czyli w najpiękniejszej porze dla fotografii, wybraliśmy się do położonego na wysokim wzgórzu górującego dwieście, a może nawet więcej metrów ruin miasta Kourion. Można sobie to było zostawić na deser, gdyż zamykano antyczne miasto o godzinie 19.30. Choć większość stanowią ruiny, to trzeba uznać, że sporo wykonano zarówno dla właściwej konserwacji tego co zostało do obecnych czasów, jak i dla samych turystów, którzy mogą bardzo blisko podejść pomostami do najciekawszych fragmentów. Po wjeździe na teren ruin, gdzie uiszcza się opłatę, auto zostawia się na parkingu i stamtąd dużą część dawnego Kourion można obejść na piechotę. Tylko świątynia Apolla Hylatesa mieści się w sporej odległości, i lepiej tam się wybrać autem, ale na to nam już nie starczyło czasu.

Na parkingu spore zamieszanie. Byli strażnicy i policjanci. Okazało się, że ktoś zostawił kluczyk w samochodzie wynajętym przez Avis i gorączkowo poszukiwał kontaktów, w tym numeru telefonu do firmy, czy są mu w stanie pomóc bezkosztowo. Ale nadaremnie, za takie coś trzeba dodatkowo płacić.

Czwarty dzień – góry Trodoos

Nasz gospodarz zasiał w nas spory niepokój, mówiąc, że góry Trodoos nawiedziła fala upałów. Nie było jednak wyjścia. Hotel w górach był już zarezerwowany, a nad morzem czekał na nas ten sam upał. Wstąpiliśmy po raz kolejny do Paphos. Jazda poprzedniego dnia wieczorem pokazała nam miasto w zupełnie różnych odsłonach. Po zmroku tłum ludzi wylewa się dosłownie wszędzie, a do tego sznur samochodów wleających się w korku w kierunku centrum. Neony restauracji świeciły na przestrzeni kilku kilometrów prawie bez przerwy, aż zadziwić się można, że w dużej części są pełne. A w ciągu dnia zupełnie inaczej. Piesi na chodnikach w południe to wyjątkowa rzadkość, restauracje zaś o tej porze nie są jeszcze otwarte.

W pobliżu katakumb znajduje się drzewo terpentynowe, które stało się „drzewem życzeń”. Niezależnie od wyznania, chrześcijanie czy muzułmanie zawiązują tam taśmienki czy białe chusteczki, znalazł się tam nawet i adidas.

Do naszego hotelu w Lemithou, w górach Trodoos mieliśmy około 80 kilometrów. Oddalaliśmy się powoli od wybrzeża; im wyżej, tym droga stawała się bardziej kręta

i wąska. Szczególnie trzeba było zwracać uwagę podczas przejazdu przez małe wioski i miasteczka. Tam regularnie jeden pas jezdni był stale zajęty zaparkowanymi samochodami. Nieraz zdarzało się, że ktoś z kierowców musiał się cofnąć do wolnego miejsca, czasem wypadało to i na mnie, aby dać przejazd z drugiej strony. A jak z jednej strony był duży samochód dostawczy, a z drugiej autobus, to wtedy dopiero można było zobaczyć, jak sobie miejscowi doskonale radzą.

Im było wyżej, tym temperatura spadała wbrew zapowiedziom, że w górach panują niemiłosierne upały. Wreszcie dotarliśmy do klasztoru Trooditissa na wysokości 1380 metrów n.p.m. Napisy przed wejściem na teren zabudowań wyjaśniały, że wejść mogą tam jedynie wierni kościoła ortodoksyjnego. Nie mieliśmy tego wypisanego na twarzach, a aparat dyskretnie włożyłem do plecaczka. W samym kościółku odprawiano mszę, więc można było tylko zerknąć przez próg świątyni.

Po kilku kilometrach w późnych godzinach popołudniowych dotarliśmy do pensjonatu w wiosce Lemithou, który miał być naszą bazą na następne dwa dni. Wieczorem zasiedliśmy na tarasie naszego hotelu, gdzie nasi gospodarze zaoferowali nam prawdziwą ucztę. Na stół wjechało nie mniej niż siedemnaście mniejszych i większych porcji różnych potraw, czyli tzw. mezé. Czego tam nie było: kawałki słonego sera halloumi z mleka koziego, placek chlebowy (pita), houmos (puree z ciecierzycy, oliwy, pietruszki i czosnku), dolamdes (ryż z mielonym mięsem w liściach winogron), tahini czy taramosalata (ikra ryb łososiowatych z ziemniakami i jogurtem). Trzeba się więc dobrze przygotować na taką kolację i powstrzymać się od posiłków na wiele godzin wcześniej.

Piąty dzień – Kykkos – kościołki Trodoos

W pokoju było duszno, ale już na zewnątrz panował przyjemny chłód. Temperatura rano, zanim słońce nie wynurzyło się zza gór, spadała poniżej 20 stopni. Do klasztoru w Kykkos mieliśmy nie więcej niż około 20 kilometrów, ale dojazd do głównej szosy pozwolił nam poznać, czym są wąskie, górskie drogi na Cyprze. Czasem była to droga szutrowa z ostrymi kamykami wyskakującymi spod opon i złapanie gumy na tych spadkach byłoby czarnym scenariuszem. Dopiero ostatnie kilometry szosy wiodącej w kierunku największego i najbogatszego klasztoru na Cyprze były prawie już sielanką. Klasztor położony jest na wysokości 1350 m n.p.m. Było jeszcze stosunkowo wcześnie, może dziesiąta rano i ruch turystyczny nie osiągnął o tej godzinie swojego apogeum.

Obecny klasztor został postawiony po 1831 roku. W tym czasie bowiem pożar ogarnął budynek klasztoru. Ocalała święta ikona. Wejście do klasztoru i kościoła nie ma ograniczeń, w tym również i dla turystów, a opłata za wstęp obowiązuje tylko przy wejściu do muzeum. Najciekawsza wystawa w tym muzeum znajdowała się na samym końcu z wystawionymi licznymi ikonami z XVI i XVII wieku. W samym kościele wielka kolejka ustawiła się do złożenia czci ikonie, która pozostaje ukryta przed wiernymi już od setek lat.

Do klasztoru w Kykkos przybył w wieku 13 lat Michaelis Mouskos, który w 35 roku życia (1948) został wybrany na arcybiskupa Cypru i przybrał nazwę Makarios III. On też został w roku 1959 wybranym pierwszym prezydentem Cypru. Zgodnie ze swoim ostatnim życzeniem jego ciało spoczęło w Kykkos. Sarkofag arcybiskupa znajduje się nie w samym klasztorze, ale na wzgórzu Throni. Lepiej tam przejechać samochodem, bo to kolejne 3 kilometry, gdzie jest parking. Tam też znajduje się sporej wielkości posąg stojącego arcybiskupa. Stamtąd trzeba jeszcze przespacerować się aleją ozdobio-

na licznymi portretami świętych czy mnichów. Wreszcie byliśmy u celu – ciemnego sarkofagu. Wartę sprawowało na zmianę dwóch żołnierzy.

W planie mieliśmy odwiedzenie jeszcze kilku małych kościółków górskich, które zostały wpisane na listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO. Jest ich łącznie dziewięć, ale w ciągu tych kilku godzin udałoby się zobaczyć może z dwie lub trzy świątynie. Jazda po wąskich i krętych górskich drogach dłużyła się niemiłosiernie. Tylko pogoda była wymarzona. Niebo się zachmurzyło, temperatura nie była większa niż 25 stopni.

Dotarliśmy do miejscowości Kalopanagiotis, gdzie wznoszono przez wieki klasztor Agios Joannis Lampadistis „oświecony”. Dla kogoś kto nie ma dużo czasu i chciałby zobaczyć tylko jedną świątynię, jest to odpowiednie miejsce. W rzeczywistości są tu aż trzy kościoły czy kaplice, które przykryto jednym dachem. W większości tych kościołów przy wejściu znajduje się tabliczka, że robienie zdjęć czy filmów jest zabronione.

Miasteczko Kalopanagiotis jest położone na zboczu wąskiego kanionu rzeczki Se-trachos. Spore wrażenie robi szereg kamiennych domów starannie utrzymanych, gdzie zlokalizowano eleganckie hotele, sklepy czy kawiarnie.

Wieczorkiem w naszym pensjonacie Themis House spróbowałem najpopularniejszego piwa, Keo Beer. Pomni na poprzedni wieczór już nie staraliśmy się wypróbować wszystkich zakąsek, którymi nasi gospodarze, co chwilę nas raczyli.

Szósty dzień – droga do Nikozji

Niełatwo było się pożegnać z naszymi gospodarzami w Themis House. Wpierw dostałem do wypełnienia książkę pamiątkową, gdzie chwaliłem wspaniałe kolacje przygotowane przez właścicieli Janullę, a podane przez Florina. W nagrodę czy w dowód sympatii zostaliśmy poczęstowani wspaniałymi ciastkami, upieczonymi przed chwilą przez mamę właścicielki.

Szlak Artemidy został wytyczony wokół najwyższego szczytu Cypru Olimpu, czyli Chionistra, co znaczy „masa zmrożonego śniegu” (1952 m n.p.m.). Na sam szczyt nie zamierzaliśmy się wybierać. Został on przyozdobiony przez Brytyjczyków wielkim radarem przypominającym piłkę golfową. Równie piękne widoki na otaczające nas góry i doliny można było ogarnąć, podążając siedmiokilometrowym szlakiem górskim biegnącym o sto metrów niżej od samego szczytu. Jego pokonanie miało nam zabrać około 3 godz., ale poradziliśmy z tym sobie godzinę krócej, wcale się nie spiesząc i pstrykając sobie w różnych miejscach zdjęcia. Dopingowały nas pojawiające się co kilometr znaki pokazujące dystans, jaki już przebyliśmy. Na szlaku spotkaliśmy zaledwie kilka osób. Pogoda nam sprzyjała, a ścieżka biegła zwykle na tej samej wysokości. Czasem cień rzucały dwustuletnie czarne sosny, ale bez nakrycia głowy i butelki wody lepiej się tam nie wybierać.

Kakopetria, czyli „zły kamień” jest popularnym miejscem turystycznym. Można tam było liczyć na jakiś wybór knajpek. Miasteczko leżało znacznie niżej, bo tylko 670 m n.p.m. Różnicę wysokości poczuliliśmy od razu, gdy tylko wyszliśmy z klimatyzowanego samochodu. Gdy wróciłem do samochodu, który zostawiliśmy na parkingu, w środku było prawie 40 stopni. Miejscowość była z tradycjami i znajdowało się sporo starych chałup.

Kilka kilometrów od tego małego miasteczka znajduje się kościół św. Mikołaja od Dachy (Agios Nikolaos tis Stéis). Kolejna z tych 10 świątyń wpisanych na listę dziedzic-

stwa UNESCO. Na zewnątrz wygląda jak stodoła ze stromym dachem. To przez śnieg, który zalega tu zimą, czego sobie w żaden sposób nie mogłem wyobrazić w to upalne sierpniowe popołudnie. Wstęp nic nie kosztował, ale przy wejściu, jak w większości tych świątyń, widniała tabliczka o zakazie fotografowania.

To był już nasz ostatni kościółek w tym dniu. Czas było dojechać do Nikozji, gdzie hotel mieliśmy w pobliżu murów miejskich. Od czasu zburzenia muru berlińskiego Nikozja jest jedyną na świecie podzieloną stolicą, z której grecka (południowa) część jest stolicą Republiki Cypryjskiej, a północna (turecka) część stolicą uznanego jedynie przez Turcję Cypru Północnego. To może być sporą atrakcją dla osób przybywających, ale dla mieszkańców, szczególnie Greków jest co najmniej irytujące.

Późnym popołudniem upał nadal nie odpuszczał. Centralny deptak greckiej Nikozji z licznymi sklepami znanych marek nie oszałamiał. Nawet się nie spostrzegliśmy, gdy nagle trafiliśmy pod budkę, przy której stała niewielka kolejka. Okazało się, że to jest już granica po stronie tureckiej miasta. W tym kiosku wydawano wizy, które przybijano na odrębnej kartce z podaniem naszego nazwiska, numeru dowodu osobistego oraz datą wstępu. Po stronie greckiej nikt nie dba o to, czy ktoś ma ochotę przejść się na stronę turecką. Aby nie popełnić jakiegoś błędu, zagadaliśmy kobietę siedzącą w kiosku, gdzie Grecy sprawdzali tych, co szli na ich stronę. „Nie musicie mieć żadnych paszportów, aby przejść na terytorium okupowane”. Na posterunku Greków cypryjskich przy powrocie obywatele Unii Europejskiej powinni mignąć swoim dowodem osobistym. Paszport więc nie był zupełnie potrzebny.

Poszwendaliśmy się po uliczkach tureckiej Nikozji, zaglądaliśmy do Meczetu Selima (Selimiye Camii), i już mocno znużeni dotarliśmy do naszej restauracji, gdzie miała nas czekać muzyka na żywo przy basenie. Nic z tego. Okazało się, że muzycy mają urlop i w tym tygodniu nie wystąpią. Dobrze przynajmniej, że kucharze nie mieli wolnego, bo głód nam już mocno doskwierał.

Siódmy dzień – wycieczka do Kyrene

Tuż obok „stemplarni”, czyli tam gdzie Turcy wbijali nam kolejną pieczętkę do naszej tymczasowej kartkowej wizy, mieściła się informacja turystyczna z mnóstwem broszur. Panience w okienku zadałem szereg dręczących mnie pytań, czym tak naprawdę warto pojechać wygodnie i szybko do Kyrene. Do wyboru mieliśmy autobusy rejsowe niedaleko murów miejskich odchodzące co pół godziny oraz taksówki zbiorowe, które wyruszały, jak się znalazł komplet pasażerów. I jeszcze była jedna możliwość. Taksówka, która zawiezie nas tam, gdzie sobie życzymy, czyli nie tylko do Kyrene (turecka nazwa Girne), ale również i opactwa Bellapais położonego kilka kilometrów dalej.

Wybraliśmy taksówkę za 70 euro. Po krótkiej chwili znajomy naszej pani podjechał swoim wygodnym mercedesem z pełną klimatyzacją. Wkrótce byliśmy na drodze szybkiego ruchu łączącej Nikozję z północnym brzegiem wyspy. Wyspa i po tej stronie zachowała najtrwalszą pamiątkę po Anglikach – ruch lewostronny. Nie sposób było dostrzec jakiegóż wyraźnej różnicy w poziomie życia do greckiej części wyspy, choć w statystykach jest to bardziej widoczne na korzyść Grecji. I tu, i tam szereg nowoczesnych biurowców, całkiem znośnych aut. Tylko flagi nieco inne.

Jechaliśmy do małego miasteczka Bellapais z położonymi w jego obrębie ruinami opactwa zbudowanego przez zakon premonstranesów niedługo po upadku Jerozolimy. Gdy wyspę opanowali Turcy, opactwo przekazali we władanie greckiemu ko-

ściołowi ortodoksyjnemu. Stąd też zachował się do tej pory kościół, w którym do lat 70. XX stulecia odprawiano jeszcze msze, dopóki tutejsi mieszkańcy nie zostali wypędzeni. Obecnie krużganek i refektarz tworzy malownicze ruiny, które oparły się pomysłom Anglików, aby wykorzystać kamień do budowy drogi. Kamień podbierali również miejscowi do budowy własnych siedzib. „Białe opactwo” jest przez niektórych traktowane jako najpiękniejsza gotycka budowla na Bliskim Wschodzie. Nie tylko to skłoniło nas do przyjazdu w to miejsce.

Jeszcze bardziej intrygował nas pisarz Lawrence Durrell, który zapuścił tu swe korzenie na dobrych kilka lat w latach 50. XX wieku. To jego refleksje, czyli *Gorzkie cytryny Cypru* czytaliśmy przez kilka kolejnych wieczorów. Zobaczenie niektórych miejsc z nim związanych nie wymagało znacznego wysiłku. Drzewo Lenistwa usytuowane przy placyku w cieniu opactwa wymagało przejścia kilku kroków od wejścia do opactwa. Nieco dalej już mieliśmy do domu, który kupił Durrell i zamieszkał w nim w czasie swego pobytu na Cyprze w latach 1953–1956. Wieś była zamieszкана w tym czasie głównie przez Greków, ale po 1974 roku wszyscy musieli opuścić swoje domy. Mało kto we wsi może więc pamiętać Durrella, który jako Brytyjczyk stał się osobą niepożądaną zarówno dla Greków, jak i Turków. Wąską uliczką wspinającą się stromo pod górę od głównego placyku nie udało się wjechać autem. W samo południe, w tym skwarze posuwaliliśmy się krok za krokiem. Wokół prawie żywego ducha. Ale wreszcie ktoś się pojawił. „Dom Durrella, to jest właśnie tu, jak już zobaczycie, zapraszam Was do mnie na lemoniadę”. I rzeczywiście, nad masywnymi drewnianymi drzwiami widniała tabliczka, że mieszkał tutaj Lawrence. Ocieniony ogródek należał do małego pensjonatu, którego właścicielką była starsza dystygowana pani. Tak oto dotarliśmy do osoby, która mieszkała w tym miasteczku z rodzicami w czasach gdy przebywał tu Lawrence Durrell. Zaczęła nam opowiadać o swoich rodzicach. Jej tata był lekarzem, ale jego największą pasją była muzyka. Obecnie wróciła w te strony i prowadzi pensjonat, ale w miesiące letnie mało kto tu przyjeżdża, bo się nie da w tym skwarze długo wytrzymać.

Chlubą Kyrene jest znacznej wielkości zamek, któremu ostateczny kształt obronny nadali w XVI wieku Wenecjanie. Nigdy nie został zdobyty w walce, a gdy przybyli w te strony Turcy, forteca się poddała bez walki. Zamek chlubi się szczególnie posiadaniem wraku greckiego statku towarowego. Zatonął on niedaleko brzegu z ładunkiem amfor pełnych win w 306 r. p.n.e. Aby zachować odpowiednie warunki pomieszczenie, gdzie został on umieszczony, jest stale klimatyzowane.

Powrót do Nikozji nie zakończył jeszcze naszego pobytu na tureckiej części. Sama północna Nikozja pełna jest zabytków z czasów dawnej świetności za panowania królów cypryjskich z dynastii Lusignanów. Pod tym względem jest tutaj dużo więcej do zobaczenia niż w greckiej części miasta, która straszy opustoszałymi budynkami i parkingami. To wciąż ta niepewność po obu stronach, gdyż pewnie te place czy domy należały kiedyś do tureckich lub greckich mieszkańców Nikozji i sprawy nie zostały uregulowane. Stąd w części greckiej Nikozji nie warto inwestować w cudze budynki. Lepiej zburzyć i ściągać po 3 euro za postój od właściciela auta.

Wróćmy do północnej Nikozji. Od razu po przyjeździe kupiliśmy bilet na taniec derwiszów, mocno reklamowany w całym mieście. Odbывał się on pięć razy dziennie, w dawnym budynku ortodoksyjnej katedry pw. św. Mikołaja, tuż przy meczecie Selima. Punktualnie o 17.00 brama do dawnego kościoła św. Mikołaja (Bedestanu) zоста-

ła zamknięta. Było nas łącznie pięć osób. Zanim jeszcze zabrzmiała muzyka, widownia mogła jeszcze posłuchać krótkiej prelekcji o tańczących sufi. Mieliśmy za chwilę być świadkiem aktywnej medytacji w postaci wirującego ruchu derwisza zwanego też semazen. Głównym celem tańca według sufich jest zbliżenie się do Boga, tak jak to się odbywa z ruchem planet w Układzie Słonecznym dookoła słońca.

Występował tylko jeden tancerz, choć częściej derwisze pojawiają się w grupie kilku osób pod kierownictwem swego przełożonego. Wrażenie wspaniałe. Ruch, muzyka i te gotyckie wnętrza. Warto było przyjść.

Ósmy dzień – Nikozja grecka i turecka

Zostawiliśmy nasze bagaże w hotelu i wspólnie ruszyliśmy na kolejne spotkanie z podzieloną Nikozją. Najlepiej byłoby uczynić to z lotu ptaka. Skrzydeł nie mieliśmy, ale dlaczegoż nie skorzystać z wieży widokowej Shakolas Tower na 11 piętrze, najwyższego budynku w obrębie murów obronnych. Można się było tam dostać idąc przez dom towarowy, na którego szóstym piętrze znajduje się klimatyzowany bar z klimatem. Tam zatrzymaliśmy się na jakąś chwilę, aby, popijając kawę z baklawą, ocenić z właściwej perspektywy to miasto z rysą, jaką stanowi Zielona Linia. Jeszcze lepszy widok przedstawia się, gdy wjedzie się windą na jedenaste piętro, gdzie znajduje się Ledra Museum Observatory (10.00–19.00, cena 2 euro; www.ermes.com.cy). Na horyzoncie Góry Kyreńskie przesłaniały błękit Morza Śródziemnego, znacznie bliżej zaś dominujące dwa minarety meczetu Selima wyznaczały turecką część miasta.

Ponownie w tym dniu przeszliśmy na turecką część miasta. Zachęcenі występem z poprzedniego dnia chcieliśmy przyjrzeć się muzeum poświęconym tańczącym derwiszom. Muzeum Mevlana czy Mevlani Tekke znajduje się w pobliżu Bramy Kyreńskiej. Zakon Tańczących Derwiszy, czy też mewlewitów przetrwał na Cyprze pomimo jego kasacji przez Atatürka w 1925 roku w Turcji. Cypr był w tym czasie brytyjski i nie obowiązywały tu prawa ustanowione w obcym państwie.

To był nasz ostatni wypad poza Zieloną Linie. Nie opuszczaliśmy jeszcze Nikozji. Tym razem już więcej nie wałęsaliśmy się na piechotę, bo upał dawał się nam we znaki. Ruszyliśmy samochodem wzdłuż linii weneckich murów obronnych, aby dotrzeć do ślicznej małej świątyni Panagia Chrysaliniotissa poświęconej Maryi Naszej Pani od Złotego Lnu. Wnętrze ładnego kościółka było pełne ikon i w odróżnieniu od zabytkowych kościółków w górach Troodos nie było tabliczek zakazujących robienia zdjęć. Kościół szczyci się tym, że jego budowę rozpoczęła królowa Cypru Helena z rodu cesarzy bizantyńskich Paleologów w 1450 roku.

W tym dniu mieliśmy spać w Agia Napa, klasycznym kurorcie, który był pospiesznie budowany od połowy lat siedemdziesiątych, gdy Turcy zajęli okolice Famagusty. Wiodła tam z Nikozji wygodna autostrada. Do przejechania mieliśmy niecałe 85 kilometrów. Wystarczyła godzina i byliśmy na miejscu. Nasz hotel w większości był zamieszkały przez rosyjskich turystów i był to prawie urzędowy język tej miejscowości. Kurort nie wzbudzał w nas zbyt dużego entuzjazmu. Nastawiony na masowego turystę oferował głośne bary pełne wałęsających się rosyjskich turystów z domieszką przebywających na urlopie żołnierzy sił ONZ czy brytyjskiej armii.

Dziewiąty dzień – Agia Napa–Larnaca

Agia Napa nie przypadła nam do gustu i wczesnym popołudniem ruszyliśmy do Larnaki. Strefa buforowa zbliża się bardzo blisko południowego wybrzeża, a autostra-

da nawet przez krótki odcinek przecina ją. Skręciliśmy w bok, aby wstąpić do małego miasteczka Pyla, które leży na granicy strefy buforowej. Mieszkają tam wyjątkowo jak na Cypr obie społeczności. Wątpliwą atrakcją tej miejscowości jest posterunek sił tureckich usytuowany na wzgórzu. Przez teleobiektyw można było pooglądać żołnierzy gotowych w każdej chwili do odparcia ataku, jeśli by komuś coś takiego przyszło do głowy po 40 latach zamrożonego konfliktu.

Larnakę polubiliśmy. Tutaj przylecieliśmy i stąd mieliśmy odlecieć w środku nocy. Mieliśmy wykupiony – na tę pierwszą część nocy – swój pokój hotelowy w centrum miasta, gdzie złożyliśmy wszystkie swoje bagaże. Zdecydowanie Larnaka jest warta polecenia zamiast blichtru i nowobogactwa Agios Nikolaos. Była tam i promenada z dziesiątkami barów i restauracji, które starały się zedrzeć jak najwięcej z turystów skuszonych spacerami po promenadzie wysadzonej palmami i powiewem morskiej bryzy. Po posiłku można nawet wskoczyć do wody czy przynajmniej legnąć na plaży.

Larnaka śmiało może się szczycić mianem jednego z najstarszych miast na świecie. W czasach kolonizacji fenickiej znana była pod nazwą Kition czy Kittim. Na końcu plaży ponownie kawał historii, czyli fort pamiętający czasy dynastii Lusignanów. O tej porze około godziny 18 znajdujące się w jego wnętrzach Muzeum Średniowiecza było już pozamykane.

Około godz. 21 weszliśmy do knajpki na jednej z bocznych uliczek. Byliśmy jedynymi z pierwszych gości, bo lokal dopiero zaczął się zapełniać grubo po 22. Nie było wprawdzie żywej muzyki, ale zamówione małe porcyjki meze dla dwóch osób stanowiły godne zakończenie naszego pobytu na wyspie.

Dwie godziny wcześniej na lotnisku ustawił się już długi ogon kolejki przy stanowisku LOT-u. Polskie linie mają najbardziej stresującą godzinę przylotu i odlotu, przebijając w tym samolot z Kijowa o pierwszej w nocy i odlatujący samolot do Belgradu kwadrans później. Na tablicy odlotów wśród 24 lotów od północy do drugiej popołudniu 1/3 (8) leciała do Rosji, trzy-czterokrotnie więcej niż do Aten czy Tel Avivu. Zamiast Enosis (zjednoczenia z Grecją) mamy teraz most powietrzny ze Świętą Matką Rosją, Trzecim Rzymem. Nad Warszawą było sporo chmur, które otuliły miasto na tyle szczelnie, że przez te obłoki przedzieraliśmy się dłuższą chwilę. Niestety, Cypr nie jest w strefie Schengen i ponownie wzięto nas do skrupulatnego przetrząśnięcia naszych bagaży. Starczyło nam jednak czasu, jakąś dobrą godzinę, aby zdążyć jeszcze na samolot do Wrocławia.

Supra gruzińsko-armeńska 2014



Termin: 30 sierpnia – 12 września 2014

30 sierpnia – Kutaisi

Spontaniczna decyzja o kolejnym w tym roku locie, radość z przygotowania kolejnej wyprawy i w mgnieniu oka kilka minut po północy wylatujemy z Katowic do Gruzji. Tym razem podróżujemy w czwórkę: pragmatyczna Basia, Aneta z notatnikiem w ręce i dwójka naszych znajomych. Od jutra przez kilka dni będziemy podróżować w ósemkę o czym w relacji.

Po czterech godzinach lotu i przesunięciu zegarków o dwie godziny do przodu lądujemy w Kutaisi. Zaraz po wyjściu z lotniska obiegają nas taksówkarze w ogromnej liczbie. Jeden z nich po chwili targowania zgadza się zawieźć nas do hotelu w dobrej cenie dziesięciu dolarów. Nie mamy jeszcze lokalnej waluty lari, ponieważ o poranku kantor na lotnisku jest nieczynny. Niestety, bardzo szybko okazuje się, że taksówkarz będzie chciał od nas dużo większą sumę niż ustalona. Całą drogę mówi o tym, że za dziesięć dolarów można dojechać tylko do McDonalda, gdzie znajduje się główny postój marszrutek. Jesteśmy jednak uparci i ostatecznie przy akompaniamencie przekleństw i spluwania docieramy do hotelu. Nauczona doświadczeniem radzę ustalić dokładnie koszt przejazdu z taksówkarzem w czasie targowania, mam na myśli powtórzenie go kilka razy, albo skorzystać ze stoiska wewnątrz lotniska, które prowadzi zapisy na taksówki, jeśli będzie otwarte. Inną opcją jest dojazd marszrutką, które stoją przed lotniskiem i kosztują 5 lari od osoby. Dojazd zajmuje około 30 min. Na lotnisku znajduje się informacja turystyczna, gdzie warto zapytać o mapy, zarówno Kutaisi, jak i Tbilisi oraz Mesti, ponieważ w Gruzji mapy są trudno dostępne.

Zatrzymujemy się w hotelu Agro Palace (ul. Debi Ishknelebi Street 16), który okazuje się być rodzinnym pensjonatem ze skromnymi, ale czystymi pokojami. Pensjonat posiada również szeroki taras z widokiem na miasto. Jedyńm jego minusem jest fakt, że położony jest na wzgórzu, na które wspinanie się może stanowić problem. Pokój dwuosobowy z łazienką kosztuje 94 lari. Śniadanie jest dodatkowo płatne i kosztuje 5 lari. Jest to tradycyjne obfite gruzińskie śniadanie składające się z jajek, sałatki z ogórków i pomidorów, twarożku, sera, dżemu i sera solankowego.

Dajemy sobie czas na odpoczynek i o godzinie dziesiątej wychodzimy na spacer. Musimy zagospodarować jakoś dzień, czekając na znajomych, którzy dojadą do nas dziś z Tbilisi.

Orientacja w Kutaisi nie jest skomplikowana. Ze wzgórza wystarczy iść cały czas prosto i w mniej więcej 15 minut dochodzimy do miasta, gdzie, idąc dalej prosto przez rzekę, dotrzemy do strategicznego punktu w Kutaisi, czyli ronda z fontanną ozdobioną figurami zwierząt. Po drodze wymieniamy dolary na lari po kursie 1 dolar – 1,73 lari. Należy się przyzwyczaić do używanego przy podawaniu cen skrótu GEL. Podobny kurs utrzymuje się cały pobyt. Zatrzymujemy się na targu przy ulicy Cminda Nino, gdzie pierwszy raz kosztujemy tzw. gruzińskiego snikersa, czyli churchele po 2 lari za sztukę. Są to wszechobecne nawleczone na sznurki orzechy włoskie lub laskowe oblane gęstym sokiem z winogron. Na tych samych stoiskach można kupić sok owocowy zasuszony w formie długich płacht, drących się jak papier. Jedna płachta jedno lari. Kupujemy jeszcze kuszące kolorem brzoskwinie po jednym lari za kilogram i idziemy dalej włączyć się uliczkami Kutaisi. Przechodzimy obok słynnej katedry Bagrati, której zwiedzenie zostawiamy sobie na przyjazd znajomych i bardzo szybko odkrywamy, że Kutaisi jest po części odnowionym, ale nużącym miastem. Przechodzimy przez rondo i postanawiamy odnaleźć dworzec. Mamy zamiar kupić bilety na pociąg z Batumi do Erywania. Kupowanie ich w Kutaisi nie jest dobrym pomysłem. Starsza kasjerka gubi się w systemie i stwierdza, że nie ma miejsc w jednym przedziale. Spróbujemy w Batumi. W drodze powrotnej z dworca okazało się, że nasi znajomi dotrą do nas dopiero około 15. Wracamy, więc do centrum, aby znaleźć miejsce oczekiwania. Wybieramy park z niewielką kawiarnią, zamawiamy wino, czerwone półśłodkie Telavuri 15 GEL za butelkę i czekamy.

Po przyjeździe znajomych przechodzimy na postój marszrutek, znajdujący się kilka kroków od parku w kierunku rzeki, przy Czerwonym Moście. Marszrutki do monastyru Gelati odjeżdżają średnio co pół godziny. Normalnie marszrutka kosztuje 1 lari od osoby w jedną stronę. Jako że jesteśmy większą grupą, kierowca decyduje się pojechać od razu tylko z nami, jeśli zapłacimy 25 lari za przejazd. Decydujemy się od razu i za pół godziny zwiedzamy malowniczo położony obiekt. Kierowca ma wrócić po nas za godzinę, która w zupełności wystarczy na zwiedzanie. W tym miejscu ostrzeżenie: w obiektach sakralnych w Gruzji często spotyka się samozwańczych przewodników, osoby gotowe opowiedzieć historię miejsca długo i rozwlekle, nie dając szans na samodzielne zwiedzanie, a następnie domagające się zapłaty około 20 lari. Jeśli nie macie ochoty lub czasu na takie zwiedzanie, nauczcie się asertywnie odmawiać.

Po zjechaniu z monastyru Gelati kierowca proponuje nam zwiezenie do katedry Bagrati. Jako że jest już godzina siedemnasta, zgadzamy się na podwiezienie do katedry, a potem do polecanej przez niego restauracji za 23 GEL. Restauracji nie polecę, bo okazała się zupełną katastrofą. Na szczęście ciężko do niej dotrzeć, bo znajduje się przy drodze wylotowej z miasta. Katedra jest jednym z niewielu punktów, które są warte odwiedzenia w czasie wizyty w Kutaisi.

Na koniec dnia umówiliśmy się jeszcze z naszym kierowcą, że za 20 GEL od osoby zawiezie nas jutro do Borjomi, które były kolejnym punktem naszej trasy zwiedzania, a po drodze zwiedzimy Jaskinię Prometeusza.

31 sierpnia – Jaskinia Prometeusza i Borjomi

W kierunku Borjomi wyruszamy o godzinie dziesiątej. W ten sposób, do subiektywnie jednej z najładniejszych jaskiń przypominającej krainę wyciętą z klasyki literatury fantastycznej, Jaskini Prometeusza, docieramy kilka minut przed jedenastą, tuż przed otwarciem, jaskinia jest czynna do 16. Dzięki temu unikamy tłumów. Ci, którzy do Prometeusza wybierają się marszrutką, powinni najpierw wsiąść w numer 30 do Kskaltubo (1 GEL, 30 minut), a tam zapytać o marszrutkę do Promete za kolejne lari. Bilet wstępu kosztuje 7 GEL, ulgowy 3,5 GEL. Istnieje możliwość wykupienia rejsu łódką po podziemnej rzece. Rejs trwa 10 minut, ale jest wart wykupienia za 8 GEL. Można płacić kartą. Jaskinie zwiedza się z anglo lub rosyjskojęzycznym przewodnikiem. Zwiedzanie zajmuje półtorej godziny. **Ważne: Jaskinia jest zamknięta w poniedziałki.** W jaskini jest sporo schodów do pokonania, ale dzięki licznym poręczom nie są one problematyczne. Z jaskini wychodzimy po drugiej stronie, a do parkingu podwozi nas stylizowany pociąg.

Przejazd do Borjomi zajmuje nam dwie i pół godziny. Nie mamy zarezerwowanego noclegu w Borjomi, więc zatrzymujemy się w punkcie informacji turystycznej, znajdującym się przy wjeździe do miasta. Pracujący tam Arthuro świetnie mówi po angielsku, szybko znajduje dla nas pokoje w prywatnym domu za 25 GEL od osoby. Dopłacamy po 5 GEL za tradycyjne gruzińskie śniadanie. Arthuro udziela nam również wskazówek dotyczących zwiedzania. Jeśli potrzebujecie praktycznych informacji lub noclegu, warto odwiedzić tutejszy punkt informacji turystycznej. Kiedy Arthuro dowiaduje się, że planujemy jutro pojechać do Achalciche, żeby stamtąd dostać się do Vardzi, proponuje nam nowe rozwiązanie. Możemy jutro pojechać marszrutką do Vardzi, zwiedzając po drodze dodatkowe miejsca i na koniec dnia wrócić do Borjomi lub przejechać do Achalciche, jeśli mamy tam nocleg. Zaoszczędzimy w ten sposób jeden dzień. Stąd rada: niekoniecznie musimy jechać do Achalciche i stamtąd rano do Vardzi. Jeśli jedziemy do Borjomi, możemy prosto stąd pojechać do Vardzi, zwiedzając po drodze twierdze w Achalciche. Cały przejazd będzie nas kosztował 20 GEL od osoby. Cena jest bardzo korzystna, więc zgadzamy się, zyskując w ten sposób dodatkowy dzień w Achalciche. Po ustaleniu szczegółów wybieramy się na nieśpieszny spacer uliczkami uzdrowiskowego Borjomi. Naszą uwagę przyciąga apartament zdobiony misternie łączoneymi kawałkami niebieskiego szkła tworzącego kopułę. Wypełnionymi strzelnicami i stoliskami z domowymi przetworami dochodzimy do parku zdrowotnego. Wstęp kosztuje 50 tetri, czyli pół lari. Okazuje się, że park obejmuje rozległy teren, który można przejść czterema szlakami. Od najmniej wymagającego, który zajmuje około półtorej godziny, do wymagającego górzystego, na który będziemy potrzebować trzy godziny. Z braku czasu przechadzamy się tylko krótko po parku. W jednej z uliczek spotykamy Gorgio, artystę z Tbilisi, który dziś kończy sezon i wraca do stolicy. Gorgio maluje abstrakcje techniką łączenia linii. Chce pobić rekord i wyrysować pół miliona linii na jednym obrazie. Zahipnotyzowana abstrakcyjnością płótna, nad którym teraz pracuje, życzę mu sukcesu. Wychodzimy z parku i idziemy na kolację do restauracji Old Borjomi polecanej przez Arthuro. Jedzenie faktycznie jest dobre, choć, jak się później okaże, nienajlepsze. Próbujemy szpinaku z orzechami 3 GEL, grzybów zapiekanych z serem sluguni solankowym (8 GEL) i kurczaka szmeruli; jest to kurczak z rożna pocięty z kośćmi podawany w sosie czosnkowym – uwaga: zawsze bardzo duża porcja. Po kolacji wraca-

my do parku zdrojowego. Tuż obok wejścia znajduje się kolejka gondolowa na górujące nad Borjomi wzgórze. Za przejazd płacimy 2 GEL (osoby niepełnosprawne za darmo) w jedną stronę i możemy obserwować Borjomi nocą.

1 września – skalne miasto Vardzia

Z Borjomi w kierunku Vardzi wyjeżdżamy o dziewiątej. Po około półgodziny docieramy do położonego w lesie zielonego monastynu. Prowadzi do niego kręta leśna ścieżka wyznaczona szlakiem krzyży. Kolejnym przystankiem na naszej trasie jest okazała twierdza Rabathi w Achaciche. Twierdza zachwyca nas swoją rozległością i meczetem z kopułą wykonaną z cegieł. Zwiedzanie zajmuje godzinę, a wstęp kosztuje 5 lari. Możliwe wykupienie zwiedzania z przewodnikiem. Umawiając się z kierowcą, warto mieć na uwadze, że parking znajduje się z innej strony niż wejście. Po odwiedzeniu twierdzy Rabathi przejeżdżamy do pobliskich ruin twierdzy Khertvisi. Wejście do wnętrza twierdzy wymaga 200-metrowego podejścia.

Z twierdzy Rabathi do Vardzi przejazd zajmuje nam niecałe dwie godziny, a twierdza Khertvisi znajduje się około 15 kilometrów przed Vardzią. Na miejscu kupujemy bilety wstępu po 3 lari, dodatkowo bilety na busa, który podwozi nas na górny poziom skalnego miasta (1 GEL). Z powrotem całą trasę będziemy musieli pokonać sami. Zahipnotyzowani widokami spacerujemy wśród tajemniczych wykutych w skale komnat. Mamy do wyboru kilka przejść. Jedna trasa prowadzi na wyższe poziomy i wymaga większej sprawności ze względu na strome podejścia po drabinkach. Trasa druga nie wymaga spaceru po drabinie i w większości prowadzi wzdłuż przejść posiadających poręcze. Jedynie końcowe przejście może być wyzwaniem, ze względu na wąski tunel i sporą liczbę schodów, mimo to jest to jedno z ciekawszych gruzińskich wyzwań. Przejście całości zajmuje półtorej godziny. Na dole wypijamy popularną lemoniadę rozmarynową, bardzo słodką, ale oryginalną w smaku (2 GEL) i po dwóch godzinach docieramy do Achalciche na nocleg. Po drodze zatrzymujemy się jeszcze w tutejszych łaźniach. Nie będę was straszyć, to trzeba zobaczyć. Jest to wielki zbiornik z czterdziestostopniową wodą, który zapomniał o znaczeniu słowa czystość i został wstawiony do sporej wielkości szopy. Za kąpiel w gruzińskim stylu zapłacicie 5 GEL.

Tym razem nocujemy w hotelu Star (Parnavaz King Street 16). Jest to niewielki, za dbany hotel prowadzony przez pomocnego Omari. Znajduje się 10 minut spacerem od centrum miasteczka. Centrum to może za duże słowo, znajduje się tam kilka sklepów i postój marszrutek. Szukając miejsca na kolację, trafiamy do baru, który wygląda na fast food, ale nie dajcie się zmylić. Jedzenie jest naprawdę smaczne i w rozsądnych cenach. Zwłaszcza polecam adżarskie chaczapuri w kształcie łódki z jajkiem i serem za 6 GEL i chaczapuri lobiani z fasolą za 3 GEL. Po powrocie do hotelu spędzamy wieczór w należącym do hotelu garażu zamienionym na niewielki bar, gdzie można posłuchać muzyki, wypić lemoniadę lub piwo (2,5 GEL), a nawet potańczyć. Nie wiedząc, że damy radę zrobić Vardzię w krótszym czasie, oszczędzamy jeden dzień w Achalciche. Właściciel hotelu poleca nam wyjazd do Abastumani, dawnego kurortu, gdzie do tej pory przetrwał jeden ośrodek z wodami termalnymi. Właściciel hotelu prosi kierowcę marszrutki, by podjechał po nas pod hotel rano. Jednocześnie proponuje nam zrobienie domowej kolacji na jutrzejszy wieczór w cenie 15 lari od osoby. Decydujemy się również na śniadanie za 5 lari, którego niestety nie mogę polecić, ze względu na słabą jakość.

2 września – Abastumani

O dziewiątej wyjeżdżamy marszrutką w stronę dawnego kurortu Abastumani za 2 lari w jedną stronę, po drodze zbierając licznych pasażerów. O Abastumani nie przeczytacie w przewodniku. W czasach swojej świetności działało tutaj 15 sanatoriów, gdzie leczono choroby płuc i gruźlicę. Swoją dobroczynny klimat zawdzięcza liczny drzewom sosnowym. Z czasem wszystko popadło w ruinę. Dziś jest to jedno z niewielu miejsc w Gruzji w pełni ocalone przed postępek. Do Abastumani docieramy ok. 10.30. Spacerując główną drogą kupujemy świeżutki chleb w niewielkiej piekarni i spotykamy wielu ludzi gotowych podzielić się z nami historiami swojego życia. Docieramy aż do położonego wyżej parku, gdzie wyciszeni mieszkańcy, siedząc na ławkach, wdychają dobroczynne powietrze, a chętni mogą wybrać się na konną przejażdżkę. Według informacji kierowcy ma być tutaj kolejka na wzgórze, tzw. kanatka (nauczcie się tego słowa, w wielu miejscach Gruzji znajdziecie kanatki). Owszem jest, choć wygląda jak zastygły w czasie relikw przeszłości. Mimo to świetnie prezentuje się na zdjęciach. Podobny relikw przeszłości stanowi jedyne sanatorium z gorącymi basenami, które przetrwało. Ciężko nam uwierzyć, że do miejsca, które w niczym nie przypomina basenu uzdrowiskowego, wypełnionego zardzewiałymi rurami i tajemniczymi konstrukcjami wciąż przyjeżdżają kuracjusze. Spacer z parku z kanatką na basen zajmuje 20 minut. Wystarczy iść cały czas wzdłuż drogi, jeśli nie będziecie mogli trafić, spytajcie miejscowych. Za 5 lari można zażyć kąpieli w tym odrealnionym miejscu. Jeśli będziecie mieć szczęście, uroczą Pani kucharkę w ogromnej czapie ugotuje dla was specjalność stołówki (5 GEL za porcję), którą będziecie mogli zjeść w towarzystwie posągu Lenina i smutnych opowieści o gruzińskim życiu.

Po nieplanowanym obiedzie wracamy do miejsca postoju marszrotek. Z kierowcą umówiliśmy się na 16.30, więc zostało jeszcze trochę czasu. Odpoczywamy w pobliskiej restauracji, pijąc domowe wino po 5 lari za dzban oraz popularną tylko w Abastumani lemoniadę gruszkową za 2 GEL. Do hotelu wracamy o 17. Mamy jeszcze godzinę do kolacji, więc idziemy do centrum poobserwować ludzi. O osiemnastej spotykamy się na wspomnianej kolacji. Jest to prawdziwa domowa supra gruzińska, najlepsza, jaką jedliśmy w Gruzji. Uczymy się, jak jeść chinkali ręką, posypując spód pierożka pieprzem. Spróbujcie, wysmienicie! Próbujemy też gulaszu warzywnego z zielonej fasolki ajaspali i danie, którego ku naszemu rozczarowaniu nie spotkaliśmy już nigdzie więcej, czyli gęstą zupę gulaszową o pikantnym aromacie dopełnionym wyrazistym aromatem kolendry, o nazwie czachochbil. Do tego tradycyjna sałatka z pomidora i górką oraz pieczony kurczak z ziemniakami, a na deser słodziutki arbuz. Innymi słowy, polecamy kolację w hotelu Star.

3 września – Batumi

Razem z marszrutką do Abastumani właściciel hotelu zorganizował dla nas również marszrutkę do Batumi. Wyjeżdżamy o piątej rano. Czeką nas długa droga w wersji ekstremalnej. Taką wybraliśmy, a tym, którzy jeszcze wyboru nie dokonali, przedstawiam obie opcje dojazdu marszrutką nad morze. Jedną z nich jest bezpieczniejsza. Prowadzi drogą okrężną przez Kutaisi, dość dobrze utrzymaną drogą asfaltową. Trzysta pięćdziesiąt kilometrów pokonuje się w około osiem godzin. Przejazd tą drogą kosztuje 20 lari od osoby. Druga opcja to przejazd stu pięćdziesięciu kilometrów drogą prawdziwie ekstremalną. Stwierdzenie, że jest to droga szutrowa jest niewystarczają-

jące. Jest to droga podwyższonego ryzyka wśród dzikich, nieokiełznanych gór, gdzie czas przejazdu wyznaczają siły natury. Widoki górskich olbrzymów i rozsypanych między nimi chwiejnych, bajkowych domów rekompensują każdą niepewność. Mimo to jeśli macie lęk przestrzeni lub wysokości, dobrze rozważcie tę opcję. Jeśli się zdecydujecie, to pokonanie 170 kilometrów zajmie wam blisko osiem godzin. Zapłacie za nią 25 lari od osoby.

Przed drugą docieramy do Batumi. Kierowca marszrutki wysadza nas w pobliżu promenady, skąd taksówką za 5 lari dojeżdżamy do hotelu Moni (Pharnavaza Mepe Street 1). Pokoje są czyste, choć uciążliwy może być zapach papierosów i brak windy, który jest powszechny w gruzińskich hotelach. Za osiem lari wykupujemy śniadanie tureckie. Bardzo obfite: składają się na nie między innymi oliwki, feta, ser żółty, pomidory, miód.

Dajemy sobie czas na odpoczynek i ze skserowaną z przewodnika Pascala mapą wychodzimy na zwiedzanie Batumi. Najpierw jednak odnajdujemy znajdujący się na ulicy Mazashvilego, tuż obok hotelu Old Batumi, punkt sprzedaży biletów kolejowych. Jeśli nie będziecie mogli trafić, spytajcie siedzące przy ulicy babcie, są świetnie zorientowane. W punkcie sprzedaży bez problemu udaje się nam kupić miejsca w czteroosobowym wagonie sypialnym w pociągu do Erywania. Zgłodnieliśmy, więc idąc w kierunku morza, zatrzymujemy się w armeńskiej restauracji Sewan. Zapamiętajcie tę nazwę, jeśli chcecie unikać porażek kulinarnych. Kilka przecznic dalej trafiamy do synagogi św. Mikołaja. Następnie przenosimy się na chwilę do Włoch za sprawą wizyty na placu Piazza. Wychodząc z placu, zaglądamy jeszcze do kościoła św. Grzegorza. Po czym kierujemy się do Parku Cudów. Łatwo rozpoznać tę wciąż rozbudowywaną przestrzeń, dzięki znajdującej się tam wieży alfabetu, która przypomina obudowaną szkłem wieżę ciśnień. Stamtąd kierujemy się na plac Europy z umieszczonym pośrodku pomnikiem Medei, trzymającej złote runo. Stęsknieni za morzem resztę dnia postanawiamy spędzić na promenadzie. Spacer do wejścia głównego nazywanego Batumi Pier zajmuje nam jakieś 20 minut i prowadzi tak zwaną kolumnadą. Nazwa pochodzi od ustawionych wzdłuż kolumn, na których umieszczone są figury chłopców grających na różnych instrumentach. Na początek wypijamy parzoną w tygielku kawę po batumsku (1,50 lari) i zjadamy orzeźwiające tureckie lody za 3 lari. Wzmocnieni jesteśmy gotowi na spacer siedmiokilometrową promenadą. W założeniu mamy dojść do pierwszych tańczących fontann. W praktyce rozkoszujemy się widokiem morza i przekonujemy się, że Batumi doprawdy przypomina oświeconą bombonierkę. Docieramy do zbiornika wodnego, który mógłby być fontanną, ale nikt nie ma pewności, że to tutaj, ponieważ, jak się okazuje, jesteśmy już bliżej Nowego Bulwaru, czyli pokazu drugich fontann. Nie mamy jednak ochoty iść kolejne kilka kilometrów ani czekać od 19 do 21, więc wracamy tą samą drogą. Wieczór pożegnalny spędzamy na hotelowym tarasie. Od jutra będziemy podróżować we czwórkę. W hotelu Moni jest również restauracja, gdzie można smakować tradycyjną kuchnię gruzińską.

4 września – Batumi

Po śniadaniu o dziewiętej wychodzimy poszukać postoju marszrutek. Korzystamy ze wskazówek recepcjonistki, a po drodze i tak musimy zapytać miejscowych. Marszrutką numer 33 za 1 lari dojeżdżamy do twierdzy Gonio. Przejazd zajmuje 30 minut. Uważajcie, żeby nie przeoczyć miejsca zatrzymania, bo twierdza wygląda napraw-

dę niepozornie. Kilka kroków od twierdzy znajduje się również cmentarz. Jest to miejsce godne odwiedzenia ze względu na gruzińską tradycję umieszczania realnych, kolorowych zdjęć na nagrobkach. Wejście kosztuje 3 lari i dwa dla grup, osoby niepełnosprawne za darmo. Po dwudziestu minutach wychodzimy z twierdzy. Naprzeciwko wejścia przechodzimy na drugą stronę ulicy i schodkami dostajemy się na plażę. Najpierw musimy przejść przez wiekowe osiedle mieszkalne, gdzie między budynkami suszy się pranie na sznurkach z kołowrotkiem. Plaża jest opustoszała i cicha, ale równie kamienista jak ta w Batumi. Spędzamy tu kilka godzin, a o piętnastej przemieszczamy się w kierunku ogrodu botanicznego, jednak zamiast marszrutki wsiadamy do wskazanego przez stojącego na przystanku dziadka autobusu numer 1. Jedziemy nim do końca za 70 tetri od osoby. Stamtąd autobusem numer 15 docieramy do ogrodu botanicznego. Jeśli chcecie dojechać tu marszrutką, szukajcie numeru 31. Wstęp kosztuje 8 GEL. Osoby niepełnosprawne za darmo. Spacer po ogrodzie główną ścieżką zajmuje dwie godziny. Z ogrodu o specyficznym mikroklimacie roztaczają się piękne widoki na promenadę. Drogę powrotną można pokonać meleksem za 5 GEL, albo z górnego poziomu wziąć taksówkę do Batumi za 20 GEL. Popołudnie spędzamy, spacerując po plaży. Dzień kończymy wizytą w dzielnicy tureckiej i kupnem bakławy za 15 GEL. Następnie przechodzimy w stronę dolnego przystanku kolejki gondolowej na wzgórze Tirla (blisko portu, tuż obok informacja turystyczna). Przejazd kosztuje 5 lari w obie strony. Na górze znajduje się restauracja i odbywają się koncerty. Wieczorem próbujemy jeszcze znanych tylko tu Magnumów (3 GEL) z dżemem jeżynowym. Na tarasie hotelu urządzamy sobie pożegnalny wieczór, bo od jutra podróżujemy osobno.

5 września – przejazd do Erywania

Rano szukamy tradycyjnego chaczapuri na śniadanie. Pytamy miejscowych i trafiaamy do malutkiej piekarni bez nazwy i dokładnego adresu, gdzie zjadamy cudowne świeże chaczapuri adżarskie i pijemy kawę po batumsku. Idziemy się pożegnać z morzem, mimo wymeldowania możemy zostawić plecaki w hotelu. Spacer do plaży zajmuje nam półgodziny. Wracamy o 12, żeby ostatecznie się wymeldować. Dotarcie taksówką na dworzec Mkhinjauri kosztuje 10 lari i zajmuje raptem 15 minut. Nie ma również potrzeby zjawienia się dużo wcześniej na dworcu, ponieważ jest malutki. Pociąg podstawiają o piętnastej i pojawienie się o tej porze zupełnie wystarcza. Wagony są stare, a dojsie do wagonu restauracyjnego stanowi wyzwanie, lepiej mieć własne zapasy. Podczas wsiadania do pociągu należy upomnieć się u konduktora o pościel, jeśli chcemy ją otrzymać. Później długie szesnaście godzin z pobudką na granicy. Witamy w Erywaniu.

6 września – Erywań

Do Erywania przyjeżdżamy o 7.25. Jeszcze na dworcu zaczepia nas, mówiący po polsku Armeńczyk, Eduard. Jako że mieliśmy zaplanowaną tylko jedną noc w Armenii, jego propozycja wycieczki samochodowej okazuje się świetnym rozwiązaniem. Jeśli tak jak my chcecie zobaczyć wiele ciekawych miejsc w krótkim czasie, zadzwońcie do Eduarda: +37455211125. Dzięki temu, że nie zarezerwowaliśmy wcześniej wszystkich noclegów, co naprawdę nie jest konieczne, przedłużamy pobyt w Armenii o jeden dzień kosztem pobytu w Tbilisi. Jak się później okaże, pobyt w Tbilisi warto skrócić do minimum, ponieważ jest to okropnie głośne i zanieczyszczone spalinami miasto. Jutro jedziemy na Tatev, ale najpierw Eduard podwozi nas za darmo do Hotelu Kan-

tar (10 Deghatan Street). Zapamiętajcie tę nazwę. Jest to najlepszy hotel w trakcie naszego pobytu, a także jeden z lepszych, jakie w ogóle odwiedziłam. Położony zaledwie kilka kroków od Placu Republiki. Niech was nie zmyli brak oznaczeń. Hotel zaczyna się od szóstego piętra budynku naprzeciwko dużego hotelu Plazza. Pokoje są niesamowicie czyste i przestronne, a obsługa przemiła i świetnie mówiąca po angielsku. W cenę hotelu, 24 tysiące dram za pokój dwuosobowy, wliczone jest urozmaicone śniadanie. Część hotelu zajmuje również bardzo schludny hostel. W Kantarze można płacić kartą. Zakwaterowanie zaczyna się o trzynastej, ale jako że jesteśmy wcześniej, bez problemu zostawiamy plecaki i dostajemy nawet śniadanie.

Odświeżeni wyruszamy na zwiedzanie Erywania. Zaskoczeni schludnością i dobrą organizacją stolicy Armenii przechodzimy przez centralny Plac Republiki w stronę Błękitnego Meczetu, gdzie docieramy o 10. Po drodze wstępujemy jeszcze do sklepu spożywczego, który z zewnątrz wygląda jak historyczna hala targowa, a w środku wita kupujących podniebnymi motylami. Po wizycie przed meczetem (nie można go zwiedzać), kierujemy się w stronę fabryki koniaku Ararat. Spacer spod Błękitnego Meczetu zajął nam niecałą godzinę spokojnym tempem. Zbliżając się, zobaczyliśmy, że fabryki są dwie. Jedna tuż przy drodze, w budynku z czarnego kamienia, i druga, ta słynniejsza znajdująca się na wzgórzu, do którego prowadzą liczne schody. Na wstępie pani informuje nas, że powinniśmy zarezerwować zwiedzanie z przewodnikiem co najmniej dzień wcześniej. Na szczęście zgadza się, byśmy dołączyli do grupy angielskiej o 12. Wycieczka ponad godzinę. Zwiedzanie z degustacją dwóch rodzajów brandy kosztuje 4500 dram, a czterech 10 tysięcy dram. Z fabryki koniaku, obserwując miasto, przechodzimy w stronę słynnej Kaskady, gdzie docieramy w okolicach piętnastej. Zanim schodami wejdziemy do słynnego, wypełnionego osobliwościami muzeum, pokonujemy je od zewnątrz, by zobaczyć panoramę miasta i liczne fontanny. W dół zjeżdżamy wewnętrznymi ruchomymi schodami, które są integralną częścią muzeum. Muzeum czynne jest od 11–20 w weekendy, a do 18 w tygodniu. Wstęp jest bezpłatny, z wyjątkiem niektórych wystaw czasowych. Ulice odchodzące od Kaskady obfitują w urocze restauracje. My jednak trafiamy do Sommelier Wine Gallery. Jest to przytulna winiarnia pełna świec i książek o tematyce winiarskiej. Doskonale, by spróbować tradycyjnego armeńskiego wina z granatu (5000 dram). Dzień w Erywaniu kończymy pokazem tańczących fontann na Placu Republiki. Pokazy odbywają się bez przerwy w godzinach od 21 do północy.

7 września – Armenia

Dziś pierwszy nasz wyjazd z Eduardem. Wyjeżdżamy o dziewiątej i o dziesiątej docieramy do Echmiadzyna. Jest niedziela, więc pierwszy chrześcijański kościół jest otwarty. Normalnie można go obejrzeć tylko z zewnątrz. Kolejnym naszym celem jest Chor Wirap, pięknie położony monastyr z widokiem na świętą górę Ormian, czyli Ararat. Docieramy tu o godzinie 11. Stąd krętą i stromą drogą przez wielobarwne góry docieramy do Tateva. Jesteśmy tu o 16. Niestety jest tyle ludzi, że najbliższe wolne miejsca na przejazd kolejką są dopiero na 17.15. Zjechać można o dowolnej porze co 15 minut, aż do 19.30. Kupujemy bilet za 4000 dram w dwie strony (dzieci do 110 cm za darmo) i próbujemy armeńskiej zupy jogurtowej spas za 900 dram. Kontemplujemy przejazd najdłuższą kolejką, a atmosfera na górze tak nas zachwyca, że żałujemy krótkiego czasu, jaki nam został na odwiedziny w Tatevie. Chętnie wybralibyśmy się na

dłuższy trekking do tutejszej wioski. Na pocieszenie kupujemy tradycyjne słodkie ciasto z serem zwane Teva za 500 dram. W planie mamy jeszcze monastyr Norawang, którego nie odwiedzamy. Eduard zawozi nas do winiarni, gdzie próbujemy wina z różnych roczników. Z powrotem do Erywania docieramy przed północą, ale wizyta w Tatevie warta była wielu godzin podróży. Za tę wycieczkę zapłaciliśmy 45 000 dram.

8 września – Armenia

Dziś o dziesiątej opuszczamy Erywań i po raz kolejny z Eduardem udajemy się w kierunku Tbilisi, zwiedzając ciekawe miejsca po drodze. Ta wyprawa również kosztuje 45 000 dram. Około jedenastej docieramy do jedynych zachowanych w Armenii ruin hellenistycznych Garni. Wstęp kosztuje tysiąc dram, a na wizytę wystarczy 30 minut. Kolejnym przystankiem na naszej trasie jest imponujący, wykuty w litej skale monastyr Gerhard (wstęp jak do wszystkich monasterów bezpłatny). Stamtąd udajemy się nad Jezioro Sewan, gdzie docieramy około piętnastej. Wspinamy się stromymi schodami do położonego na wzniesieniu monasteru Sewanak, skąd rozpościera się piękny widok na całe nazywane armeńskim morzem jezioro. Ostatnie warte uwagi miejsce na drodze do Tbilisi to monastyr Haxarzin. Tutaj żegnamy się z Armenią i o godzinie 19 docieramy do Tbilisi. Pierwszy nocleg spędzamy w hotelu Cristal Palace (Street 12) przy ulicy Djavakhishvili, zaledwie 10 minut piechotą od stacji metra Rustaveli. Niestety, ze względu na małą czystość hotelu na pozostałe noce wybieramy znajdujący się tuż obok hotel Margo Palace. Jest to hotel zdecydowanie droższy, ale w lepszym standardzie i ze smacznym śniadaniem. Za nocleg w Cristal Palace płacimy 90 GEL za pokój dwuosobowy, a w hotelu Margo Palace 90 dolarów za pokój dwuosobowy ze śniadaniem.

9 września – Tbilisi

Po porannej zmianie hotelu ze stacji metra Rustaveli dojeżdżamy do stacji Didubbe. Jest tam główny postój wszelakich marszrutek i taksówek w Tbilisi, który od początku przytłacza zupełnym brakiem zorganizowania. Z doświadczenia możemy powiedzieć, że jest to faktycznie dobre miejsce na złapanie marszrutki, ale taksówki zdecydowanie lepiej szukać poza Didubbe, ze względu na pojawiające się nieuczciwe oferty. Aby podróżować metrem, należy najpierw wykupić w kasie kartę za 2 lari, którą się doładowuje w automatach na stacji, obsługa po angielsku. Z jednej karty może korzystać kilka osób. Każdy przejazd kosztuje 50 tetri.

Naszym dzisiejszym celem jest Mccheta. Marszrutki z Didubbe wyjeżdżają średnio co piętnaście minut. Bilety, które kosztują jedno lari w jedną stronę, kupujemy w kasie. Siedzi tam pani, która ma bilety ponumerowane zgodnie z liczbą miejsc w marszrutce, jeśli nie zmieścimy się w jednej, należy czekać na kolejną. Dojazd do Mcchety zajmuje dwadzieścia minut. Marszrutka zatrzymuje się w pobliżu katedry Św. Cchoweli. Stamtąd przechodzimy wąskimi uliczkami w kierunku klasztoru Samtawro. Po zwiedzaniu siadamy jeszcze w niewielkiej restauracji w malutkim pensjonacie i o 14.30 łapiemy marszrutkę powrotną do Tbilisi. Można ją złapać przy drodze głównej blisko wyjścia z klasztoru. Tym razem płacimy u kierowcy. Ze stacji Didubbe przejeżdżamy metrem na stację Alvabri. Z daleka robimy zdjęcia Katedrze Trójcy Świętej, a przede wszystkim znajdujemy taksówkarza, który pojedzie z nami jutro do Kazbegi. Marlen okazał się naprawdę dobrym kierowcą, pokazującym wiele ciekawych miejsc – zainteresowanym podaje telefon: 555308848.

Spod katedry w 15 minut dochodzimy do kolejki gondolowej na wzgórze Solaki z twierdzą Narikala. Przejazd w jedną stronę kosztuje jedno lari. Należy użyć tej samej karty co w metrze. Można ją kupić lub doładować również w kasie kolejki. Po zjechaniu ze wzgórza wychodzimy w stronę Rike Parku z górującym nad nim budynkiem pałacu prezydenckiego i futurystyczną konstrukcją teatru w kształcie rur kosmicznych. Przechodzimy Mostem Pokoju w stronę Starego Miasta. Subiektywnie jest to najbardziej zadbane i przytulna dzielnica stolicy. Zdecydowanie polecam szukać noclegu właśnie w tej okolicy. Po około 15 minutach docieramy do mojego ulubionego miejsca w Tbilisi, czyli pełniącej obecnie funkcję reklamy teatru lalek wieży zegarowej, wyglądającej jak przeniesiona z Disneylandu. Tuż obok znajduje się artystyczna kawiarnia z duszą, gdzie pijemy wino po 5 lari za lampkę i pyszną domową lemoniadę za 4 lari. Zrelaksowani kierujemy się w stronę Placu Wolności. Po drodze decydujemy się na odwiedzić w Rachy. Jest to restauracja na ulicy Lermontowa 6, opisywana jako najbardziej autentyczna restauracja gruzińska. Jeśli poszukujecie miejsca, gdzie czas się zatrzymał niczym w barze mlecznym z czasów PRL-u, miejsca gdzie macie wgląd do kuchni, menu jest tylko po gruzińsku, a zastawa jest bardziej niż różnorodna, przyjdźcie do Rachy. Jedyna moja uwaga: ta restauracja dużo lepiej prezentuje się po zmroku. Ceny wahają się między 4 a 6 lari. Szczególnie polecam chaczapuri i bakłazany z orzechami.

10 września – Stepancminda, dawne Kazbegi

O 9 wyjeżdżamy spod hotelu w kierunku Stepancminda (dawne Kazbegi). Po drodze zatrzymujemy się w twierdzy Ananuri. Następnie zatrzymujemy się na Przełęcz Krzyżowej. O 12 dojeżdżamy w pobliże monastynu Cmind Semba. Aby dostać się na wzgórze, gdzie znajduje się monaster, należy wynająć odpowiedni samochód terenowy. Stoją one na parkingu u podnóża wzniesienia. Wynajęcie całego samochodu na przejazd w obie strony kosztuje 60 lari. Zwiedzenie całości zajmuje 2 godziny. Do monastynu można również wejść piechotą. Po zjechaniu ze wzgórza zatrzymujemy się jeszcze w restauracji One Moment Cafe, znajdującej się przy drodze dojazdowej do parkingu głównego pod szczytem. Próbowujemy tutaj chaczapuri z ziemniakami i serem zwanego Kazbeghiani za 6 lari. Rozkoszujemy się widokiem gór i ze smutkiem wracamy do Tbilisi. Koszt całonocnego wyjazdu ustalamy na 200 lari.

11 września – Kachetia

Dzisiaj przed nami kolejna wycieczka taksówką. Tym razem do rejonu winnego Kachetia za 180 lari (dla zainteresowanych telefon do rozsądnego taksówkarza). Z hotelu wyjeżdżamy o 10, a o 11 jesteśmy w winnicy Kerbach. Jest to najświeższa firma produkująca wino na tym terenie, a miejsce to słynie z systemu tuneli wydrążonych w skale, gdzie w naturalny sposób utrzymują się korzystne warunki do przechowywania wina. Zwiedzanie winnicy z angielskim lub rosyjskim przewodnikiem kosztuje 3 lari bez degustacji, 10 lari z degustacją win europejskich lub 12 z degustacją win produkowanych tradycyjną gruzińską metodą w zakopanych pod ziemią wazach zwanych qwevri. Po zwiedzaniu i spacerze w otaczającym winnice parku jedziemy do położonego na wysokim wzgórzu monastynu Nekresi. Nasz taksówkarz nie może wjechać na sam szczyt, musimy czekać na kursujący co pół godziny busik. Bilet w obie strony kosztuje 1 lari i kupujemy go w kasie na dole. Ostatnim przystankiem jest oddalona o 20 kilometrów od miasta Telavi siedziba królestwa Kachetii Gremi. Pozostałości pałacu królewskiego można zwiedzać (za 20 lari) po opłaceniu usług przewodnika. Jeśli nie

macie ochoty zwiedzać kolejnych monastyrów, można poprosić o wizytę w miasteczku winnym Singhagi lub odwiedzić skalne miasto David Gareja na granicy z Azerbejdżanem. W drodze do winnicy zatrzymujemy się jeszcze w wiosce, która słynie z produkcji najbardziej naturalnych czurczeli. Zarówno te z orzechów włoskich, jak i laskowych są przepyszne. Wracając do Tbilisi zatrzymujemy się jeszcze przy drodze na arbuzowo-melonową ucztę, za którą płacimy 7 lari. Do Tbilisi wracamy o dziewiętnastej.

12 września

Dziś żegnamy się z Gruzją. Wylot mamy dopiero nad ranem, więc umawiamy się z zaprzyjaźnionym taksówkarzem na wieczorny przejazd do Kutaisi. Umawiamy się na dwudziestą. O dwunastej wymeldowujemy się z hotelu (możemy zostawić plecaki) i w ramach zajęcia czasu przejeżdżamy metrem na stację Station Square, przy której znajduje się lokalny targ warzyw. Kupujemy ostatnie winogrona (1,50 GEL za kilogram), figi w takiej samej cenie. Następnie przejeżdżamy w stronę starego miasta, do stacji Freedom Square, i spacerem udajemy się w kierunku synagogi. Po drodze zatrzymujemy się jeszcze w napotkanej winnicy o nazwie Winomania. Następnie odwiedzamy synagogę i uliczkami starego miasta dochodzimy aż do najstarszych łaźni zwanych Abantoubani. Wracamy w kierunku Placu Wolności. Z Gruzją żegnamy się kolacją w jednej ze stylowych restauracji w uliczce odchodzącej od Freedom Square. Dojazd do Kutaisi zajmuje nam cztery godziny. Po drodze zatrzymujemy się jeszcze na nocną wizytę w mieście Stalina Goris, a także kupujemy drożdżowy chleb nazuki w przydrożnej piekarni.

Na koniec wskazówka pogodowa: co prawda w Gruzji wrzesień to koniec sezonu, ale pogoda jest wyśmienita. Temperatura zbliża się do czterdziestu stopni, a deszcze występują rzadko.

Kirgizja, kraj końskiego łajna



W dniach od 18 czerwca do 3 lipca 2014 roku odbyłem dwuosobową podróż do Kirgizji. Bilet tureckich tanich linii lotniczych Pegasus kosztował 1660 zł, a dodatkowo autobus Polski Bus – 140 zł. łączny koszt całej wyprawy to około 3250 zł/os.

Trasa: Berlin – Istambuł – Biszkek – jezioro Issyk-Köl – Karakol – góry Tian Szan – Pristan – Karakol – Koczkor – jezioro Song-Köl – Koczkor – Biszkek – Dżalalabad – Arslanbob – Dżalalabad – Biszkek – Berlin

18 czerwca

Polski Bus z Katowic do Berlina spóźnił się dwie godziny.

19 czerwca

Lot z Berlina do Istambułu samolotem Boeing 737-800 linii Pegasus – około 3 godziny i 20 minut. Lot z Istambułu do Biszkeku takim samym samolotem – około 4, 5 godziny.

20 czerwca

Przylot do Biszkeku na lotnisko Manas w godzinach rannych. Taxi z lotniska na Dworzec Zachodni (około 30 km) – 700 somów, ale podobno można jechać nawet za 400 somów. Następnie taxi do Karakol (ok. 400 km) 1500 somów za dwie osoby – 6 godzin jazdy. Piękna widokowo trasa wzdłuż północnych brzegów jeziora Issyk-Köl.

W Karakol hostel Yak – ul. Gagarina 10, warunki raczej spartańskie, choć tanio – 300 somów za osobę w pokoju 2-osobowym. W biurze CBT kupiłem 3-dniową wycieczkę z przewodnikiem w góry Tian Szan. Kosztowała 8500 somów (ok. 163 USD) za 2 osoby. Po południu zwiedzanie Karakol: meczet Dungan, pomnik Lenina, drewniana prawosławna katedra Świętej Trójcy, rosyjskie domy kolonialne.

W Karakol kantory, gdzie można wymienić waluty, czynne do późna.

21 czerwca

Rano przed wyprawą w góry chcieliśmy zjeść śniadanie, ale okazało się, że restauracje otwierane są dopiero o godz. 9. Bazar za to czynny od godz. 8. W hostelu Yak za darmo zostawiliśmy część rzeczy i o godz. 9 przyjechało po nas auto, żeby dowieźć do początku szlaku na około 2200 m n.p.m. Naszym przewodnikiem był Dostan Zabirow,

29-letni pół Rosjanin, pół Tatar. Cztery godziny trekkingu przez dolinę Karakol, a następnie ostre 2-godzinne podejście w górę. Obóz nad rzeką Kurgak-Tor na wysokości ok. 3000 m n.p.m.

22 czerwca

Pobudka o godz. 6.30. Wokół namiotu biegają jasnorude wiewiórki z szarym ogonem. Dalej spotykamy marabuty. 3-godzinne podejście do jeziora Ala-Köl leżącego na wysokości 3532 m n.p.m. Po drodze wodospady i szerokie płaty topniejącego śniegu. Dalej 2,5 godziny bardzo ostro w górę, przy sporej ekspozycji aż na przełęcz Ala-Köl (3860 m n.p.m.). Okazało się, że aby zejść z przełęczy, trzeba poruszać się po śniegu na bardzo stromej ścianie. Na szczęście nasz przewodnik miał 30-metrową linę, co bardzo ułatwiło sprawę. Po krótkim odpoczynku na przełęczy zejście początkowo po śniegu, a następnie terenem bardziej płaskim – przez wysokogórskie pastwiska. Wszędzie odchody koni, krów, owiec i innych zwierząt. Dalej robi się bardziej zielono. Przejście przez górską, rwącą rzekę Keldeke, a dalej wzdłuż tej rzeki. Po 4,5 godzinach dojście do Altnaraszan, gdzie nocleg w drewnianym domu za 500 somów/os., w tym korzystanie z gorących basenów termalnych. Właściciele proponowali marną kolację i śniadanie (z puszek) po 250 somów, więc zrezygnowaliśmy.

23 czerwca

4,5-godzinne zejście doliną wzdłuż rzeki Araszan. Dalej powrót zarezerwowanym autem do Karakol. W CBT zarezerwowaliśmy guesthouse Culnara – ul. Ubuczeeva 67, 500 somów/os. w pokoju 2-osobowym. Bardzo czysto i dostęp do ciepłego prysznica cały czas. W cenie śniadanie i dostęp do komputera z Internetem. 150 somów za zrobienie prania (pełna pralka).

Obiad w bistro Mustafa.

24 czerwca

Autobus z Karakol do Pristanu nad jeziorem Issyk-Köl (ok. 10 km) – 15 somów/os. Muzeum Przewalskiego – wstęp 30 somów/os.

Plażowanie i kąpiel w jeziorze Issyk-Köl. Wypożyczenie parasola na cały dzień – 150 somów. Do Karakol powrót taxi – 30 somów/os.

25 czerwca

Taxi z guesthouse'u na Dworzec Południowy – 60 somów. Marszrutka do Balykchy wzdłuż południowej strony jeziora Issyk-Köl – 200 somów/os. (ok. 4 godziny). W Balykchy przesiadka na drugą marszrutkę do Korczoru – 150 somów/os. (50 minut). Toaleta na dworcu – 5 somów.

W Korczor geusthouse Tulekeev – 450 somów/os. ze śniadaniem i gorącą wodą.

Wykupienie 3-dniowej wycieczki w góry na koniach nad jezioro Song-Köl. Najtaniej było w biurze Jailoo – 14 450 somów za 2 osoby, w tym 2 noclegi w jurtach, pełne wyżywienie, przewodnik, trzy konie i transport powrotny samochodem.

Banki, gdzie można było wymienić dolary, czynne tylko od godz. 8.30 do 16.00.

26 czerwca

Marne śniadanie w guesthousie – mleczna papka, stary chleb z dżemem i herbata.

Taxi z miejscowymi i Austriakami do wsi Dżumgal – 250 somów/os. Godzina czekania na ostatniego pasażera, 1,5 godziny jazdy przez góry. Na początku wyprawy dosta-

liśmy w wiosce bardzo dobry lunch: tłusty krupnik, opiekane ziemniaki, sałatka z pomidorów i ogórków, chrust i świeży chleb z dżemem.

Wyjazd z przewodnikiem – 15-letnim Kalibikiem na trzech koniach. Wędrówka 5 godzin pagórkowatym terenem przez góry, ogromny upał. Po drodze spotkanie z Rosjanami. Po południu dojdzie do jailoo Klemche (jailoo to wysokogórskie letnie pastwisko), gdzie w jurtach mieszka rodzina Kirgizów. Po kolacji pierwszy nocleg w jurcie.

27 czerwca

Poranek w jurcie i po śniadaniu (niedobra mleczna papka) ciężkie przejście na koniach przez przełęcz Jalgyz Karagai na około 3300 m n.p.m. Tam okazało się, że nasz przewodnik jest tu pierwszy raz i nie zna drogi! Na dodatek bardzo słabo mówił po rosyjsku. Po 4 godzinach doszliśmy na lunch do kolejnych jurt (jailoo Jaman Echki) niedaleko jeziora Song-Köl, którego tafla znajduje się na wysokości 3016 m n.p.m. Następnie 2,5 godziny wzdłuż jeziora do jailoo Song-Köl, gdzie zostaliśmy na noc. Nie udało mi się znaleźć samochodu i chętnego kierowcy, który przewiozłby nas przez bezdroża gór do Dżalalabadu.

28 czerwca

Poznanym Austriakom zaproponowałem przejazd wykupionym przez nas samochodem (podział kosztów) do Koczkoru, ale kierowca chciał za to dodatkową opłatę. Po absurdalnej argumentacji, a następnie ostrej kłótni po rosyjsku kierowca niechętnie zgodził się zabrać Austriaków bez dopłaty. W ten sposób 3-dniowa wycieczka była dla nas tańsza o 1500 somów. 2, 5 godziny jazdy przez góry starym audi 100 do Koczkoru. Po drodze złapaliśmy gumę, ale kierowca szybko sobie poradził z problemem. W Koczkorze taxi do Biszkeku za 200 somów/os., ale musieliśmy czekać godzinę na jego wypełnienie innymi pasażerami. Marszrutka kosztowała 150 somów + 100 somów za bagaż. W 7-osobowym aucie dodatkowo jechała trójka dzieci. Do Biszkeku jechaliśmy 3 godziny, gdzie zjedliśmy obiad za 270 somów i znaleźliśmy taxi do Dżalalabadu za 1200 somów/os. Mercedes miał przejechane 368 tysięcy km i o dziwo działały mu prawie wszystkie liczniki, co jest niezwykle rzadkie w kirgiskich samochodach. Wyjechaliśmy ok. godz. 16, a w Dżalalabadzie byliśmy o godz. 1 w nocy (prawie 600 km). Opłata za drogę przez góry wynosiła 45 somów. Droga najpierw wiedzie doliną wzdłuż rzeki Kara Balta i Abła aż na przełęcz Tör Aszuk (3586 m n.p.m.), gdzie przejeżdża się 3-kilometrowym tunelem. Potem w dół i na kolejną przełęcz Ala-Bel (3184 m n.p.m.). Dalej objeżdża się sztuczny zbiornik wodny Toktogul i jedzie wzdłuż rzeki Naryn, na której ulokowano wiele hydroelektrowni. Okolice Dżalalabadu to tereny bardziej płaskie. Kierowca podwiózł nas pod hotel Mol-Mol przy ul. Lenina – w komunistycznym stylu, ale wyremontowany. Cena 500 somów/os. w pokoju 2-osobowym z łazienką z ciepłą wodą, TV i balkonem w remoncie.

29 czerwca

Nie można było nigdzie wymienić dolarów, bo był pierwszy dzień ramadanu i banki były pozamykane, a kantorów brak. Musieliśmy wyciągnąć z bankomatu 3000 somów, by było na hotel i jedzenie.

Pączki z mięsem na ulicy za 10 somów. Bardzo dobry obiad w porządnej restauracji – dużo lokalnego jedzenia i picia – 500 somów za 2 osoby.

Kirgizi, jak tylko widzą aparat fotograficzny, proszą, żeby im robić zdjęcia. Bez żadnych opłat, jak to ma miejsce np. w Ameryce Południowej. Dwie panie z targu zaprosiły

nas nawet do domu. W parku w Dżalalabadzie znajduje się wesołe miasteczko – park rozrywki z karuzelami i kolejkami pamiętającymi chyba lata 60. Karuzela – 50 somów za 4 minuty. Wstęp na basen – 150 somów; dzieci taniej. W lokalnej knajpcie tańce z Uzbekzkami (Uzbekcy to większość w tej części Kirgizji).

30 czerwca

Taxi do Bazar Kurgan – 280 somów (bez dodatkowych pasażerów) – ok. 30 minut. Taxi z Bazar Kurgan do Arslanbob – 400 somów (bez dodatkowych pasażerów) – ok. 1 godzina. W słynącej z sadów orzechowych wiosce Arslanbob spacer do Małego Wodospadu – wstęp 10 somów. Na straganach można kupić chińskie pamiątki. Szaszłyk w przydrożnym barze z chlebem i herbatą – 140 somów/2 os.

Marszrutka z Arslanbob do Bazar Kurgan – 55 somów/os. Przesiadka do Dżalalabadu – 30 somów/os. W Dżalalabadzie taxi z dworca do centrum (bez dodatkowych pasażerów) – 60 somów.

O godz. 18 msza św. z polskim księdzem Adamem Malinowskim, jezuitą, w języku rosyjskim. Ksiądz pokazał nam swoje obserwatorium astronomiczne, a potem zawiózł nas na polski cmentarz wojskowy żołnierzy gen. Władysława Andersa. Następnie pojechaliśmy na górę, skąd można podziwiać panoramę okolicy i gdzie znajduje się sanatorium – ludzie układają się leczniczym błotem.

Kolacja z baraniną za 450 somów/2 os.

1 lipca

W ciastkarni kupiliśmy pięć dużych słodkich bułek za 150 somów.

Taxi do miejsca, skąd odjeżdżają taxi do Biszkeku – 80 somów. 3-godzinne czekanie na dodatkowych pasażerów do stolicy. Wyjazd ok. godz. 13. Ponad 8 godzin jazdy do Biszkeku. Po drodze tama i elektrownia wodna Kurpsai na rzece Naryn. Kierowca chciał wyludzić dodatkową opłatę za dowiezienie do hotelu (groził zostawieniem na dworcu), ale po krótkiej kłótni niezadowolony dowiózł nas tam, gdzie chcieliśmy.

Hostel NomaD w Biszkeku – najdroższy na trasie, ale najbardziej porządny – 35 USD/pokój 2-osobowy z łazienką, klimatyzacją, TV i Wi-Fi.

2 lipca

Rano w hotelu kupiliśmy widokówki po 35 somów/szt. (w całej Kirgizji nie było widokówek).

Spacer po Biszkeku: poczta (zaczek do Polski za 30 somów), plac Ala-Too, gdzie oglądaliśmy zmianę warty, parlament Kirgizji, przed którym znajduje się wielki pomnik Lenina, Biały Dom (rezydencja prezydenta), Osz Bazar, gdzie kupiliśmy orzeszki, herbaty i przyprawy. Wieczorem kirgiska tortilla z wołowiną na ulicy za 70 somów.

3 lipca

Recepcjonistka zamówiła nam taxi i o godz. 2 w nocy pojechaliśmy na lotnisko. Na lotnisku foliowanie plecaków – 250 somów/szt. Powrót przez Istambuł i Berlin do Katowic.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Przekraczanie granicy

Do Kirgizji Polacy nie potrzebują wiz. Nie ma podatku wylotowego przy opuszczaniu Kirgizji.

Zdrowie

Przy wyjeździe do Kirgizji Sanepid zaleca następujące szczepienia: żółtaczką A i B, dur brzuszny, tężec z błonicą oraz ewentualnie wścieklizna i kleszczowe zapalenie mózgu. Należy pić wyłącznie wodę butelkowaną lub przegotowaną (np. w górach).

Bezpieczeństwo

Kirgizja jest krajem bezpiecznym. Trzeba jednak uważać na wyłudzenie pieniędzy przez taksówkarzy, naciąganie, niewydawanie reszty w sklepach czy restauracjach itp. Podobno zdarzają się wymuszenia łapówek przez policję (szczególnie w Biszkeku), co jednak nam się nie zdarzyło, ale staraliśmy się omijać policjantów, widząc ich z daleka.

Waluty

Nie ma problemów z wymianą pieniędzy. Jednak nie wszędzie są kantory (w Karakol mnóstwo kantorów, a w Koczkor i Dżalalabadzie – brak), które są czynne długo, a banki otwarte są tylko w godzinach 8.30–16.00. Kurs w kantorach i bankach jest podobny. Ja wymieniałem najczęściej po kursie 100 USD = 5200 somów.

Transport

W Kirgizji transport odbywa się głównie marszrutkami (bardzo tanie), które jednak nie wszędzie jeżdżą, i taksówkami, które można wziąć całe lub czekać na zapełnienie innymi pasażerami – wtedy jest taniej. Taksówkami jeździ się nawet na takie odległości, jak z Biszkeku do Oszu (ok. 700 km) i jest to wydatek poniżej 100 zł za osobę. Jest mnóstwo stacji benzynowych, a paliwo kosztuje ok. 2–2,5 zł za litr (w zależności od ilości oktanów).

Noclegi

Noclegi są bardzo tanie, najtańsze hostele to wydatek 300 somów (17 zł) za łóżko w pokoju 2-osobowym. Wydaje się jednak, że lepszym wyborem są prywatne kwatery (guesthouse), gdzie jest znacznie czystiej i nie ma problemu z ciepłą wodą (ok. 500–600 somów).

Jedzenie

Jedzenie zarówno w restauracjach, jak i na ulicy jest bardzo dobre i tanie. Obiad na dwie osoby w restauracji to wydatek około 200–500 somów (w zależności od standardu knajpki). Polecam: manty (duże pierogi z wołowiną i cebulą w środku), różne tłuste zupy najczęściej z makaronem, wołowiną i warzywami, szaszłyki wołowe, baraninę. Ciasto francuskie z mięsem na ciepło sprzedawane na ulicy – 30 somów. Duży chleb okrągły kosztuje 20 somów, arbuz na targu – 50 somów/szt., melon – 70 somów/szt. Duży lód na patyku – 15 somów, lód z automatu – 10 somów.

Woda mineralna 1,5 l kosztuje 25 somów, a 1 l – 20 somów. Warto spróbować Maksyma – to popularny napój o dziwnym smaku z pszenicy, jęczmienia i kukurydzy. Piwo Szachtjorskije Nasze 0,5 l w sklepie kosztuje 45 somów. Należy raczej unikać tradycyjnego kumysu (sfermentowanego mleka kobyły), bo podobno 90 procent obcokrajowców ma po nim kłopoty żołądkowe.

Komórki i Internet

W Kirgizji poza górskimi szlakami nie ma problemu z telefonami komórkowymi, jednak rozmowy do Polski są bardzo drogie (Plus – 8 zł/min). Można kupić kartę miejscowego operatora, wtedy jest dużo taniej. W niektórych hostelach i guesthousesach jest Wi-Fi, najczęściej za darmo. Internet w kawiarence – 20 somów/h.

Pogoda i różnica czasu

W drugiej połowie czerwca w miastach temperatura wahała się między ok. 30 a 45 stopni i była raczej ładna pogoda, choć niebo częściowo zachmurzone. W górach pogoda bardzo zmienna, w ciągu dnia dziesięć razy potrafił padać deszcz i na przemian ustępowały chmury. Dużo zimniej – nad ranem na wysokości 3000 m n.p.m. mogło być ok. 5 stopni. Na przełęczy na ok. 3800 m n.p.m. padał grad. Różnica czasu między Polską a Kirgizją wynosi cztery godziny, które należy dodać.

Język

W Kirgizji prawie wszędzie można porozumieć się po rosyjsku (niekiedy może to być trudne wśród pasterzy w górach, którzy znają tylko kirgiski). W miejscach turystycznych niekiedy jest możliwość rozmowy po angielsku, ale nie wszędzie i nie ze wszystkimi.

Indie 2014



Termin: 6.11–27.11.2014

Trasa: Warszawa – Amsterdam (przesiadka) – New Delhi – Agra – Fatherpur Sikri – Agra – Jaipur – Jaisalmer – Jodhpur – Udaipur – Ranakpur – Udaipur – Khajuraho – Varanasi – New Delhi – Amritsar – New Delhi – Paryż (przesiadka) – Warszawa

Transport: Warszawa – Amsterdam (LOT) Amsterdam – New Delhi (KLM) – New Delhi – Paryż – Warszawa (Air France) 1920 zł/os. bilet powrotny (oczywiście już z podatkami i opłatami) kupiony na stronie jednej z wyszukiwarek lotniczych.

Wiza – 232 zł/os. za pośrednictwem BLS International Services w Warszawie

Waluta: 1 USD – 60 rupii indyjskich (dalej RI – niewielkie zmiany kursu w zależności od banknotów i miast).

Ten wyjazd był planowany od lat. Były jednak kraje, które wywoływały w nas większe emocje. Choć i tak mieliśmy pewność, że wcześniej bądź później nasze stopy staną na półwyspie Dekan. Nie bez znaczenia były też informacje o problemach turystów w Indiach, jakie docierały do Polski. Ostatecznie latem zdecydowaliśmy, że nie można mówić o jakimś poznaniu Azji bez pobytu w Indiach. Wątpliwości dotyczyły właściwie tylko przebiegu trasy, jaką obrać, i logistyki przemieszczania się. Zgodnie uznaliśmy, że podstawowym środkiem komunikacji będzie kolej i autobus, samolot zaś tylko w skrajnej sytuacji niedoczasu. Zaopatrzeni w przewodniki i dużą dozę optymizmu z niecierpliwością czekaliśmy na dzień odlotu.

6 listopada

Znowu pobudka w środku nocy spowodowana rannym lotem do Amsterdamu. Latem pojawiały się w sieci naprawdę atrakcyjne ceny biletów do Indii. Można nawet było tak ustawić pobyt, aby przylot nastąpił do Mumbai (Bombaju), a odlot z New Delhi, co nie zdarza się chyba zbyt często. Jednak już dość szybko stwierdziliśmy, że w tym roku skupimy się na zwiedzeniu Indii północno-zachodnich z lekkim odchyłem na wschód. W ten sposób Bombaj odpadł, może następnym razem. Z Okęcia samolot wystartował z dużym opóźnieniem, którego powodem była mgła nad lotniskiem Schiphol w Amsterdamie. Lot spokojny, a na pokładzie w ramach biletu dostaliśmy jedynie mały wa-

felek Prince Polo i do wyboru kawę/herbatę. Oczekiwanie na lot do New Delhi nie było na szczęście zbyt długie i ustawiliśmy się w długiej kolejce do odprawy. Nowością był skaner, przez który musieliśmy przejść do strefy boardingu. Jak zauważyliśmy, Sikhowie nie musieli zdejmować turbanów z głów. Oczywiście na takiej trasie samolot musiał być duży. I był, niebieski Boening 747, pieszczotliwie zwany Jumbo Jet. W trakcie komfortowego lotu 2 posiłki, smaczne i ciepłe. Napoje alkoholowe (piwo, wino i spirytualia) i bez (woda, soki i gazowce Coca Coli) do wyboru i bez skąpstwa. Centrum rozrywki na pokładzie znakomite – dużo filmów i muzyki. Loty dzienne są o tyle wygodne, że nie odczuliśmy żadnego zmęczenia. Lądowanie nastąpiło z niewielkim opóźnieniem. Wymieniliśmy niewielką kwotę waluty na lotnisku tylko po to, żeby zapłacić za transport do hotelu. Cenę ustaliliśmy przy rezerwacji noclegu przez Internet jeszcze w kraju. Stanęliśmy w kolejce po bagaż, który jednak nie pojawiał się. Dosłownie kątem oka zauważyłem pracownika obsługi z kartką, na której widniały nasze nazwiska. Kiedy podeszliśmy bliżej, to niestety okazało się, że nasze plecaki nie znalazły się w tym samolocie. Taka kłopotliwa sytuacja zdarzyła się nam pierwszy raz. Musieliśmy swoje odstać w kolejce do stanowiska zagubionego bagażu, gdzie w miarę wnikliwie opisaliśmy, jak plecaki wyglądają, co zawierają, gdzie zatrzymamy się i do kiedy. Obiecano nam, że bagaż dostaniemy już następnego dnia bezpośrednio do hotelu. Zastanawialiśmy się, czy pomimo późnej pory (było już po 3 nad ranem miejscowego czasu) zamówiony przez nas kierowca będzie czekał. Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie pomimo późnej pory stał tłum taksiarzy. Szukaliśmy kartki z naszymi nazwiskami, biorąc pod uwagę możliwość najdziwniejszego sposobu ich zapisu. Jeden z taksjarzy był szczególnie aktywny i próbował przekonać nas, że przyjechał po nas. Ale nie udało mu się. „Nasz” kierowca stał dość nieśmiało z boku tłumowi. Do miasta jechaliśmy pustymi ulicami, które były czyste. Nie w miarę czyste, ale czyste. Co nas zaskoczyło, oczekiwaliśmy bowiem sterty śmieci (taki stereotyp wizerunku Indii). Nocleg w dzielnicy Paharganj – Hotel Krishna. Po standardowej procedurze zameldowania w końcu weszliśmy do pokoju. Jak na nasze doświadczenia był olbrzymi. Pierwsze wrażenia pozytywne, bo porządnym i bez niespodzianek.

20 USD – 1100 RI (podły kurs jak to na lotnisku).

800 RI – kurs z lotniska do hotelu.

7 listopada

Wstaliśmy późno, bo po zarwanej nocy i przejściach na lotnisku należał się nam solidny odpoczynek. Wygodne łóżka też nie zachęcały do podniesienia się. Oczywiście od razu nasze myśli i słowa powędrowały w stronę plecaków, w których najważniejszymi rzeczami były lekarstwa (choć te naprawdę potrzebne mieliśmy w małych plecakach) i kable do urządzeń oraz – co najgorsze – akumulator do aparatu fotograficznego. Wyjątkowo, gdyż zazwyczaj zabierałem je do bagażu podręcznego. Ciuchy w Indiach wydały się najmniejszym problemem, podobnie sandały czy klapki pod prysznic. Głównie moje obawy dotyczyły akumulatora i ładowarek. Dostałem nauczkę na przyszłość. Był telefon, że plecaki dojadą jutro rano – zobaczymy. Po lekkim śniadaniu we własnym zakresie, wyszliśmy na zewnątrz. Pierwsze wrażenia nie do opisania, naprawdę to trzeba przeżyć samemu. Ogłuszający hałas klaksonów aut i tuk-tuków. Choć wiedzieliśmy, że nie będzie cicho, to jednak zderzenie z rzeczywistością było bolesne i cholernie dokuczliwe. Na dodatek w poszukiwaniu jakiegoś punktu wymiany waluty

poszliśmy w złą stronę, przez co zmarnowaliśmy ponad godzinę. Zawróciliśmy i po zasięgnięciu języka skierowaliśmy się w kierunku Connaught Place (dalej CP). W pobliżu w pseudorządowej agencji turystycznej wymieniliśmy dolary po – jak mieliśmy nadzieję – normalnym kursie. Na stacji metra kupiliśmy 3-dniowe karty, bo na 1 dzień było bez sensu. Niezależnie, że i tak musieliśmy czekać na bagaże, to planowaliśmy zatrzymać się w stolicy przez jakiś czas. 3 dni wydały się nam rozsądnym rozwiązaniem. Na stacji metra Rajiv Chowk mogliśmy poznać twarde reguły rządzące w transporcie podziemnym. Żadnych przywilejów dla turystów jakiegokolwiek płci. Liczą się twarde łokcie i umiejętność przepychania się w tłumie. Wagony pociągu klimatyzowane. Metro to najlepszy środek lokomocji w tym olbrzymim i zakorkowanym mieście. W metrze oczywiście dokładna kontrola bagażu i pasażerów. Wysiedliśmy na stacji Chawri Bazar, nieopodal Jama Masjid (Meczetu Piątkowego). Doszliśmy do niego wolnym spacerem wśród setek pojazdów, których kierowcy z lubością graniczącą z perwersją korzystali z klaksonów. Zapowiadała się niezła rzeź dla słuchu przez najbliższe 3 tygodnie. Akurat trafiliśmy na czas modlitwy i musieliśmy zaczekać na jej koniec. Obserwowaliśmy otoczenie i zauważyliśmy małe dzieci z namiętnością grające w krykieta. Wiedziałem, że jest to narodowa pasja Hindusów (choćby po obejrzeniu „Slam dog”), ale gra obok schodów prowadzących do meczetu była co nieco zaskakująca. Z powodu późnej pory zrezygnowaliśmy z fotografowania meczetu. Przemieściliśmy się metrem w okolice świątyni Lakshmi Narayan Temple. Od stacji metra zrobiliśmy spacer, ale droga jest dość długa i lepiej wziąć tuka. Tak jak się spodziewaliśmy, swastyki na elewacji świątyni były obecne, ale tutaj to norma i nie budzą żadnych złych skojarzeń. Świątynia naprawdę piękna. Trafiliśmy na jakieś obrzędy z bardzo głośnymi śpiewami. W sklepie obok ceny pamiątek niebotyczne, np. średniej wielkości figurka z drzewa sandałowego (owinięta oczywiście w folię) za blisko 200 USD!!! Wróciliśmy w okolice CP. W zewnętrznym okręgu budynków znaleźliśmy klub z restauracją, w której mogliśmy wypalić sziszę o nieznanym nam smaku kiwi. Znakomita. Nazywa się Cafe One. Siedzieliśmy w strefie ciszy, bo przy barze odbywał się koncert z ogluszającą muzyką na żywo (bębny i śpiew). Swoją drogą to Hindusi muszą być głusi, żeby nie reagować bólem na taki harmider. Do hotelu wróciliśmy tukiem. Ulica, przy której on stoi – Arakashan Road, z powodu liczby kolorowych neonów z daleka budzi skojarzenia z Las Vegas?! Ładny widok.

Wymiana 600 USD – 36 600 RI

40 RI – 2 duże wody

237 RI – zestaw w McDonald's

600 RI – 3-dniowe karty metro (2 os.)

939 RI – szisza i 2 herbaty (cena z podatkami i napiwkiem)

100 RI – kurs tukiem z CP do hotelu

8 listopada

Dzień rozpoczął się fantastycznie, bo z lotniska przywieziono nam plecaki. Co za ulga! Niedaleko hotelu znajduje się główny dworzec kolejowy w New Delhi. Tłum podróżnych daje pojęcie, jak wyglądać będą przejazdy kolejami w Indiach. Już przed przyjazdem czytałem o oszustwach związanych z kupowaniem biletów. Teraz jednak sami Hindusi informują o naciągaczach chcących wprowadzić turystów w błąd, mówiąc np. o zamknięciu biura. Znajduje się ono na I piętrze dworca i jest wyraźnie ozna-

kowane planszami zawieszonymi na ścianach. Oczywiście trzeba swoje odstać w kolejce. Jeżeli kupno biletów odbywa się po raz pierwszy, to należy udać się najpierw do informacji, w której urzędniczka mówi, co i jak należy zrobić. Tak, właśnie tak! Wypełnia się formularze, w których zamieszcza się swoje dane osobowe oraz cel podróży i jaką klasą! Niebywałe przeżycie. Mając dokładny plan podróży, można nabyć bilety na każdy odcinek w tym kraju, pod warunkiem, że są one oczywiście dostępne. Wielość rodzajów pociągów i klas w nich powoduje, że warto dokładnie przemyśleć to zagadnienie wcześniej. Przyjeliśmy, że bilety będziemy kupować na bieżąco. Jest to związane z pewnym ryzykiem, ale mieliśmy być elastyczni na naszej trasie. Do Agry, będącej naszym następnym celem, miejscówki kupiliśmy bez problemu. Klasą sleeper, czyli siedzenia mogące być kuszetkami. Riksą przenieśliśmy się w okolice CP, aby w jednym z punktów telekomunikacyjnych przystosować smartfona do sieci w Indiach. Z niejakimi perturbacjami, ale powiodło się. Teraz mogliśmy rozpocząć prawdziwe zwiedzanie. W pobliżu CP znajduje się Agrasen ki Baoli. Niezwykła budowla z prowadzącymi w dół schodami. W przewodniku wspomniano, że jest ich dokładnie 107. Nie widzieliśmy dotychczas niczego podobnego. Następnie obejrzeliśmy Jantar Mantar, czyli obserwatorium astronomiczne. Wielkie instrumenty posadowione na ziemi, mające za zadanie prowadzenie badań nieba. Podobno są one bardzo dokładne. Tutaj mieliśmy po raz pierwszy do czynienia z dyskryminacją cenową. Miejscowi płacą za wstęp 5 RI, cudzoziemcy 100 RI. I tak już miało pozostać do końca. Po południu postanowiliśmy oderwać się od zgiełku stolicy i pojechaliśmy do Ogrodów Lodi. Oprócz spokoju i dużej ilości zadbanej zieleni głównymi atrakcjami ogrodów są interesujące grobowce władców z dynastii Lodi, panujących w XV w. Na trawnikach piknikowały całe rodziny. Były też dyskretne i czule obejmujące się pary. Przed zmrokiem, który w Delhi pojawia się około 17.30, wróciliśmy w okolice hotelu. Zaryzykowaliśmy posiłek w jednej z jadłodajni ulicznych. Na stojaku reklamowali kuchnię wegetariańską, rodem z płd. Indii i Pendżabu. Całkiem smaczne jedzenie, choć naprawdę solidnie przyprawione, a przez co dla naszych podniebień ostre. W hotelu zastosowaliśmy profilaktycznie wzmocnione napoje. Wieczorem wybraliśmy się do znakomicie wyglądającej kawiarni na specjał hinduski – lassi (mango i papaja) z premią w postaci czekoladowego truflowego ciasta. Kawiarnia w stylu europejskim, z ekspresem ciśnieniowym do kawy, jej różnymi rodzajami (ciepłe i zimne), świetne desery. Wiedzieliśmy już, że na pewno wrócimy do niej przed odlotem do kraju.

40 RI – 2 wody 1,5 l

60 RI – coca-cola 1 l

200 RI – 2 bilety do Jantar Mantar

330 RI – 2 dania w jadłodajni i 2 herbaty masala

30 RI – riksza z dworca do CP

340 RI – 2 bilety kolejowe do Agry (klasa SL)

350 RI – karta 1,5 GB (Vodafone shop przy CP)

200 RI – 2 lassi w kawiarni

80 RI – ciasto czekoladowe

5700 RI – 3 noclegi w Krishna Hotel

9 listopada

W hotelu na rogu Arakashan Road zjedliśmy naprawdę fantastyczne śniadanie. Na antresoli z widokiem na ulicę, prawie w sterylnych warunkach. W formie bufetu, z jedzeniem europejskim. Choć można też zamówić niektóre potrawy hinduskie. Wziąłem pierożki idli, niespecjalnie pasujące do pory dnia. Przynajmniej dla mnie. Ze stacji metra CP podjechalśmy w pobliże Jama Masjid. Dziś jest niedziela, a zatem handel w Old Delhi prawie nie funkcjonuje. Dzielnica jest wyludniona w porównaniu z piątkiem. Właściwie sprzedają tylko kawę, papierosy, drobne jedzenie. Wzięcie za to mają miejscowi golibrodowie. Wejście do meczetu jest bezpłatne, ale za możliwość jego fotografowania należy uiścić stosowną opłatę. Konkretnie wycenioną, nie zaś dobrowolną. Z uwagi na piękno meczetu niewątpliwie warto. Najlepszą porą na zdjęcia jest poranek, wówczas meczet jest dobrze oświetlony. Riksą podjechalśmy do Czerwonego Fortu pod Lahore Gate. Imponująca brama. Nie dość, że olbrzymia, to jeszcze pięknie zdobiona. Byliśmy stosunkowo wcześnie, co pozwoliło nam na szybki zakup biletów i wejście. Znamie niepewnych czasów to oczywiście częste kontrole bagażu w obiektach turystycznych. Jednak pewnym zaskoczeniem jest stanowisko żołnierzy z bronią maszynową i ułożonymi wokół workami. Sam fort jest wielki pod względem powierzchni, choć do zwiedzania jest stosunkowo niewiele. Dlaczego jest wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, doprawdy trudno pojąć. Może chodzi o jego historię i znaczenie dla Indii, bo urodą nie powala? Sporo pawilonów jest odnawianych, co powoduje, że nie można podejść do nich bliżej, nie mówiąc już o wejściu. Myślałem, że zwiedzenie fortu zajmie nam dużo czasu, a tymczasem wyszliśmy po blisko 50 min. Na zewnątrz zobaczyliśmy prawdziwe tłumy czekające na wejście. Przez zatłoczoną i hałaśliwą Chandni Chowk doszliśmy do stacji metra, skąd pojechalśmy do centrum. Chcieliśmy zobaczyć słynne Sekretariaty, będące najlepszymi przykładami kolonialnej architektury. Zostały zaprojektowane przez Anglików, choć z lokalnymi elementami i wpływami. Jednak policja nie dopuściła nas w ich pobliże, dopiero po 15 są dostępne. Tyle czasu na czekanie nie przewidzieliśmy i pojechalśmy na obrzeża stolicy. Do pięknej i majestatycznej Świątyni Lotosu. Kolejka do niej była wprost monstrualna i wiała się chyba na setki metrów. Jest jedną z 7 ważnych świątyń bahaitów na świecie. Wstęp bezpłatny. Ma piękną, czystą formę w kształcie symbolu flory Indii. Choć została zbudowana w latach 80 XX w., to bezsprzecznie jest jedną z najurodziwszych budowli w Now Delhi. Nie można jej pominąć. Na terenie panuje poważny nastrój, niewskazane są głośne rozmowy. Przed wejściem do środka należy oddać obuwie do depozytu. Wewnątrz świątyni panuje skupienie, cisza i zaduma. Zatłoczonym metrem wróciliśmy na CP, a stamtąd tukiem do hotelu. Przed wyprowadzką zjedliśmy obiad w jadłodajni, zamówiliśmy zestaw thali. Jaki był on pikantny! Na dworcu kontrola bagażu. Długo nie czekaliśmy. Pociąg do Agry właśnie nadjeżdżał. Ciekawostką, jaka nas spotkała, była wywieszona na drzwiach wagonu lista pasażerów i miejsc przez nich zajmowanych. Oczywiście znaleźliśmy swoje nazwiska i nie omieszkaliśmy zrobić pamiątkowych zdjęć. W końcu to niecodzienna atrakcja. To nasz pierwszy kontakt w kolejami indyjskimi i na pewno nie ostatni. W wagonie klasy SL razem z nami podróżowali przede wszystkim tubylcy. Pomimo wieczornej pory z okien pociągu widać było, w jakich warunkach żyją i mieszkają Hindusi. Delikatnie określając, nie są one najłatwiejsze. Widać było ogniska, przy których gotowano posiłki. Prymitywne namioty, w któ-

rych śpią. Gdyby podczas jazdy ktoś nie miał swojego jedzenia, to w kolejach indyjskich na pewno nie umrze z głodu i pragnienia. Sprzedaż posiłków, napojów, słodyczy i przekąsek odbywa się taśmowo. Zarówno przez obsługę pociągu, jak i przypadkowych sprzedawców. Do Agry dotarliśmy po 3 godzinach i 15 minutach. Po wielu latach oczekiwania zobaczymy magiczny Taj Mahal. Sprzed dworca pojechaliśmy do hotelu prepaidowym tuk-tukiem. To ciekawa opcja, która pozwala na uniknięcie męczących negocjacji co do ceny kursu wieczorną porą, kiedy myśli się o wypoczynku. Kierowca okazał się zdumiewająco kontaktowy i rozmowny. Od dworca do hotelu Sidhartha jest około 7 km. W drodze zastanawiałem się, czy znalazł się kiedykolwiek jakiś turysta, który przeszedł ten dystans z plecakiem na grzbiecie. Szczerze wątpię. W hotelu pokój się znalazł. Czysty i schludny, w sam raz na nocleg i zostawienie bagaży. Z dachu hotelu w ciemnościach można było dostrzec jedynie kontury Taj Mahal.

590 RI – bufet śniadaniowy (do ceny 250 RI/os. doliczono podatek) – kawa, herbata, soki, naleśniki, idli, płatki czekoladowe z mlekiem, ciemne pieczywo!, jogurty, dżemy, owoce (banany, melon, papaya)

300 RI – opłata za aparat w Jama Masjid

500 RI – 2 bilety do Czerwonego Fortu

30 RI – riksza z meczetu do fortu

30 RI – tuk-tuk z CP do hotelu

20 RI – kiść bananów na ulicy

250 RI – 2 zestawy thali de luxe w jadłodajni

110 RI – sok z granatów 1l w sklepie

100 RI – prepaidowy tuk-tuk w Agrze z dworca do hotelu

30 RI – woda 2 l

10 listopada

To była jedna z najwcześniejszych pobudek w historii naszych wyjazdów. Budzik nastawiliśmy na 5.20! Zapewne daliśmy się uwieść opisom różowej poświaty otaczającej Taj Mahal o brzasku dnia. Na zewnątrz było kompletnie ciemno, gdy wychodziliśmy z hotelu. Nie byliśmy jednak samotnikami zmierzającymi do okienek kasowych. Są one dwa – dla obcokrajowców i miejscowych. W kolejkach byliśmy w pierwszej 20 po bilety, a w pierwszej 10 po selekcji płci, ponieważ na teren kompleksu kobiety i mężczyźni wchodzi oddzielnie! Co kraj, to obyczaj. Nieoczekiwane zdarzenie miało miejsce przy sprawdzaniu mojego plecaka. Wątpliwości strażniczki wzbudził numer „Polityki” z wizerunkiem Żyda na okładce będący zapowiedzią tekstu o otwarciu Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie. Zapewniłem panią, że nie zamierzam wymachiwać czasopismem na prawo i lewo. Z tym niezwyklejnym wschodem słońca to oczywiście przesada. Aby zobaczyć mgły, trzeba znaleźć się po drugiej stronie rzeki Jamuna i obserwować Taj Mahal. Jednak szczerze napiszę – Taj Mahal jest rzeczywiście przepiękny. Położenie tego grobowca, wszechobecna symetria i harmonia oraz kunszt wykonania są obezwładniające i powalają na kolana. Przyznam, że bardziej fascynującego zabytku na świecie nie widziałem. Niewątpliwie największą zaletą раннего pobytu jest stosunkowo niewielka liczba zwiedzających, choć tylko przez pierwszą godzinę od otwarcia bram. Wówczas możliwe jest zrobienie obowiązkowych fotek na ławeczce Lady Di lub trzymając kopułę w palcach. Potem nadciągają niezliczone rzesze ludzi. Po obu stronach mauzoleum stoją dwa identyczne meczety, z których tylko jeden jest

używany do celów religijnych. Drugi zbudowano wyłącznie po to, aby zachować symetrię. Do biletu otrzymuje się butelkę wody i „skarpetki” na obuwiu. Na zewnątrz grobowca i w środku stąpa się po marmurowych płytach, stąd to zabezpieczenie. Na terenie znajduje się muzeum, w którym wystawiono takie eksponaty, jak: kopie pism cesarza Shahdżahana zamawiającego materiały na budowę grobowca i szczegóły płatności, malowane na kości słoniowej portrety władcy i jego ukochanej żony Mumtaz Mahal, monetę o wartości 200 euro z wizerunkiem Taj Mahal, cesarskie firmany, pisma urzędowe i ryciny z XIX i XX w. z mauzoleum w roli głównej. Tak zwiedzając i fotografując, spędziliśmy ponad 4 godziny. Początkowo planowaliśmy wrócić na oglądanie zachodu słońca, ale po rozczarowaniu wschodem zrezygnowaliśmy. Dodam, że bilet jest jednorazowy i obowiązuje tylko na jedno wejście. Może być na cały dzień, ale po wyjściu traci ważność i trzeba kupić drugi. A tani nie jest, bo 750 RI. Po zjedzeniu śniadania w hotelu spacerem (blisko) doszliśmy do Czerwonego Fortu. Fort w Agrze jest znacznie ciekawszy niż ten w New Delhi. Nazwa adekwatnie odzwierciedla jego kolorystykę na zewnątrz i częściowo wewnątrz. Dużo marmuru i interesujących pomieszczeń, na których dokładne zwiedzenie potrzeba sporo czasu. Dla chętnych możliwość wynajęcia przewodnika z licencją. Tukiem przejechaliśmy Yamunę po drodze do Itimad-ud-Daulah zwanego również Baby Taj. Tutaj prawie pusto w porównaniu z Taj Mahal i Red Fort. Skala wielkości budynku nie ta, lecz precyzja wykonania nakazuje wielki podziw dla twórców. Imponujące, naprawdę. Tukiem pojechaliśmy na dworzec kupić bilety na pociąg do Jaipuru. Tak mimochodem wspomnę, że w Agrze są 2 dworce kolejowe – Agra Cant i Agra Fort Station. Po drodze objawiły się nam Indie w pełnej krasie. Wczoraj jechaliśmy wieczorem drogą do Taj, więc dużo nie widzieliśmy. Dziś jechaliśmy przez miasto. Wszystko, o czym czytaliśmy, jest prawdziwe. Wszechobecny brud, tony śmieci, dziurawe ulice, żebracy, potworny hałas – Indie są poza wszelkimi kategoriami i kryteriami wszystkiego. Nie pozostawiają turysty obojętnym, nie są jakieś. Trudno mi zdefiniować, co mam na myśli, ale są poza jakimikolwiek limitami. Jeszcze tak bardzo nam nie dokuczają, jeszcze nas nie odrzucają. W końcu sami chcieliśmy tutaj przyjechać i w formule na własną rękę. Za dnia dworzec Agra Cant wygląda fatalnie, skojarzenie z krajami Trzeciego Świata w pełni uzasadnione. W miarę szybko udało się nam kupić bilety, choć nie mamy potwierdzenia mimo zadysponowania wyższej klasy. Jesteśmy dość wysoko na liście oczekujących, z dużymi szansami na przejazd. To również dla nas nowość. Wróciliśmy w okolice hotelu i wybraliśmy restaurację na obiad, która wyglądała w miarę czysto. Nic dziwnego, była ledwie otwarta od kilku dni. Zamówiliśmy bezpieczne kurczaki masala i curry, z ryżem basmati, plackami ciapati i warzywnymi sałatkami. Znakomita w smaku herbata masala zwieńczyła posiłek. Wieczorem pospacerowaliśmy po okolicy, która jest pełna sklepików z pamiątkami, biżuterią i artykułami spożywczymi. Zaznaczę, że bilet do Taj daje zniżki do fortu, „Baby Taj”, grobu Akbara (ok. 10 km za Agrą), a nawet Fatehpur Sikri. Może i da się wszystko zobaczyć w ciągu jednego dnia, ale chyba nie warto aż tak się spieszyć.

1500 RI – 2 bilety do Taj Mahal

200 RI – 2 śniadania w hotelu (zestaw omlet/jajka smażone z tostami i kawą/herbatą, pieczywo tostowe, płatki)

500 RI – 2 bilety do Red Fort

50 RI – tuk-tuk do Baby Taj

200 RI – 2 bilety do Baby Taj
100 RI – tuk-tuk na dworzec Agra Cant
970 RI – 2 bilety do Jaipuru (klasa AC 3A)
100 RI – prepaidowy tuk z dworca do West Gate Taj Mahal
445 RI – 2 zestawy kurczaka w restauracji
1600 RI – 2 noclegi w Siddartha Hotel

11 listopada

Wczesna pobudka. Hotelowa jadalnia nie działa przed 8.00, a chcieliśmy wcześniej wyjechać do Fatehpur Sikri. Nikt z tuksiarzy nie był zainteresowany, żeby podzucić nas pod Red Fort. Oznaczało to dłuższy poranny spacer. Bez problemu złapaliśmy tuka na rondzie i zadysonowaliśmy kurs na dworzec autobusowy. Długo na odjazd autobusu nie czekaliśmy. Akurat tyle, żeby na drogę kupić ciastka i wodę. Pojazd, którym jechaliśmy, był totalnym rżęchem, ale dawał radę na drodze. Siedzieliśmy za kierowcą, toteż mogliśmy swobodnie wyciągnąć nogi. Czasami jest to luksus. Jazda nie trwała długo, bo około godziny. Fatehpur Sikri jak na warunki indyjskie to ledwie mała wioska, prawie niezamieszкана. Cóż bowiem znaczy 29 tys. ludzi?! Jedyna atrakcja to opuszczone, wymarłe miasto. Kiedyś siedziba cesarza Akbara. Wejść można z dwóch stron, my zrobiliśmy to przez meczet. Przed nim piętrzą się imponujące strome schody. Chętnych do sprzedaży czegokolwiek nie brakowało, ale nie skorzystaliśmy. Przed bramą prowadzącą na dziedziniec sami wolontariusze, niepracujący jako przewodnicy. Chętnie oprowadzą, a niejako przy okazji później zaproszą do sklepu – inna wersja starej piosenki. Na dziedzińcu meczetu wyróżnia się piękny grób szejka Salima Chishti. Ustawiają się do niego kolejki Hindusów, gdyż wizyta ma pomagać w życiu. Sam kompleks pałacowy rzeczywiście jest wymarły. O tej porze nawet turystów nie było zbyt wielu. Niemniej jest bardzo ciekawy, w szczególności pawilon Diwan-i-Khas (Sala Audjencji Prywatnych) z gigantyczną i misternie rzeźbioną kolumną wewnątrz oraz pawilon Rumiego Sultana z niespotykanymi płaskorzeźbami na ścianach. Poza głównym kompleksem znajduje się nietypowa wieża Hiran Minar. O jej oryginalności decydują wystające elementy mające imitować kły słoniowe. Powrót do Agry trwał trochę dłużej z powodu intensywnego ruchu na drodze. Wysiedliśmy na jakimś skrzyżowaniu i tuż przed opuszczeniem hotelu weszliśmy na jego dach, żeby ostatni raz spojrzeć na Taj Mahal. O tej porze też prezentował się imponująco. Na dworcu kolejowym Agra Cant w okienku supervisor'a otrzymaliśmy potwierdzenie naszych biletów i spokojnie czekaliśmy na przyjazd pociągu. Ale się przeliczyliśmy. Zaczęło się długie oczekiwanie na peronie, w towarzystwie chyba setek miejscowych oraz kilkunastu szczurów, na które oprócz nas nikt nie zwracał uwagi. W końcu, po 3,5 godzinach spóźnienia pociąg majestatycznie nadjechał. Teraz mogliśmy cieszyć się z wyboru klasy AC 3A, pozwalającej odpocząć i wyciągnąć się na pryczy. Pierwszy nocleg w pociągu, choć niezaplanowany, stał się faktem. Przyjazd do Jaipuru miał nastąpić wczesnym rankiem.

80 RI – 2 bilety autobusowe do Fatehpur Sikri
520 RI – 2 bilety wstępu do kompleksu
30 RI – kiść bananów
250 RI – 2 śniadania na dworcu autobusowym w Fatehpur Sikri
80 RI – 2 bilety autobusowe do Agry

50 RI – tuk-tuk pod Zachodnią Bramę
30 RI – mała butelka Fanty i 7Up (0,2 l)
300 RI – 2 obiady w hotelu
5 RI – 5 kartek pocztowych
100 RI – tuk-tuk na dworzec Agra Cant

12 listopada

Jaipur powitaliśmy jeszcze w ciemnościach, przed 5 rano. Obawa przed przejechaniem właściwej stacji działała na mnie dość stresująco, co nie pozwoliło zasnąć i w pełni wypocząć. Przed dworcem zaatakowali nas taksiarze, ale odpędziłem ich wzrokiem. Chcieliśmy od razu kupić bilety na nocny pociąg do Jaisalmeru, niestety, okienko sprzedaży było zamknięte. Nie mając zarezerwowanego wcześniej noclegu, byliśmy zmuszeni przeczekać do świtu w dworcowej jadłodajni szumnie nazwanej restauracją. W konsekwencji prawie zasypialiśmy nad stolikami. Jakoś przetrwaliśmy do 7 i wzięliśmy prepaidowego tuka. Hotel znaleźliśmy, korzystając ze smartfona na booking.com. Jazda ulicami była o tyle ciekawa, że po pierwsze już dniało, ale miasto jeszcze się nie przebudziło, a po drugie mignęła nam fasada Hawa Mahal (Pałac Wiatrów). To jeden z najbardziej charakterystycznych obiektów w tym mieście. Bez problemów wynajęliśmy pokój i wyczerpani padliśmy na łóżka. Pokój olbrzymi z wielką łazienką oraz fantastyczną wanną z prysznicem. Z perspektywy czasu oceniam, że był najlepszy. Na śniadanie w hotelu było już za późno. Po południu odświeżeni i wypoczęci wyruszyliśmy na rekonesans miasta. Głodni weszliśmy do jadłodajni wprost z ulicy. Jedzenie – zestaw wegetariański makaron z warzywami – proste, smaczne, nie pikantne i nie zrobiło nam krzywdy. Przewodniki w dziale Jaipur jako obowiązek doradzają wizytę w Lassiwalla celem spożycia lassi. Sęk w tym, że lokali o tej nazwie jest kilka obok siebie. Należy szukać napisu „since 1944” nad wejściem. Łatwo jest go znaleźć. W trakcie pobytu kilka lassi już wypiliśmy, ale to było niezrównane. Naprawdę fenomenalne, niezwykle kremowe i orzeźwiające. Dopiero w Lassiwalla zrozumiałem powody zachwyty nad tym w gruncie rzeczy prostym napojem. Wszelkie uniesienia są całkowicie uzasadnione i w niczym nieprzesadzone. Wypiłem dwa duże gliniane kubki, które można zabrać ze sobą lub widowiskowo stłuc w koszu. Wybrałem to drugie. Dziś mieliśmy za mało czasu na zwiedzanie, toteż tylko spacerowaliśmy po centrum miasta. Oglądaliśmy dzielnice i uliczki bazarowe, podzielone według asortymentu. Ładna jest Brama Tripolia, przez którą na teren City Palace mogą wjeżdżać jedynie członkowie rodziny maharadżów. Fasada Pałacu Wiatrów (Hawa Mahal) jest odnowiona i prezentuje się widowiskowo. Na jej fotografowanie trzeba jednak wybrać poranek, wówczas jest odpowiednio oświetlona. Tak w ogóle zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego Jaipur nazywany jest Różowym Miastem. Ewidently ktoś musi mieć problemy ze wzrokiem, żeby gdzieś dostrzec ten kolor. Dominujący w Jaipurze jest bowiem ceglany. Oprócz oczywiście City Palace i Jantar Mantar, które są spłowiatożółte. Obserwatorium w Jaipurze jest zdecydowanie ciekawsze od tego w New Delhi. Przede wszystkim jest dość dobrze opisane. Tukiem pojechaliśmy na dworzec Jaipur Junction. To główna stacja kolejowa w mieście, bo jest też inna. Historia się powtórzyła i znowu nie mieliśmy potwierdzonych biletów na nocny przejazd następnego dnia do Jaisalmeru, nawet na jeszcze wyższą klasę AC 2A. Kolejny raz znaleźliśmy się na liście oczekujących. Tym razem nie wybrzydaliśmy i zjedliśmy późny obiad w ulicznej jadłodajni obok dworca. Tylko z obowiązku dodam, że by-

liśmy jedynymi białymi w środku. Warunki sanitarne... Hmm, właściwie ich nie było, ale mieliśmy nadzieję, że posiadane szczepienia uchronią nas przed kłopotami żołądkowymi. Niestety, w ofercie dominowało thali. Duże porcje za małe pieniądze. Oczywiście bardzo ostre, choć prosiliśmy o łagodne. Takie prośby są wysłuchiwane, ale i tak potem wszystko jest robione jak zwykle. Stanowczo uznaliśmy, że nie jest to potrawa dla nas i więcej już nigdzie jej nie zamówimy. Lubimy jeść rzeczy nam nieznane, ale nie za wszelką cenę. W sklepie monopolowym obok w celach sanitarnych kupiliśmy małego pomarańczowego Smirnoffa, do tego pomarańczową Mirindę i w hotelu urządziliśmy małą popijawkę. W ten bardzo przyjemny sposób zakończyliśmy dzień.

20 RI – 2 małe kawy na dworcu Jaipur Junction

105 RI – kurs prepaidowym tukiem do hotelu

210 RI – 2 zestawy wegetariańskie w ulicznej jadłodajni

120 RI – 3 duże kubki lassi w Lassiwalla

50 RI – kurs tukiem spod Lassiwalla do New Gate

105 RI – 7 znaczków pocztowych do Europy (na pocztcie)

1820 RI – 2 bilety klasy AC 2A do Jaisalmeru

260 RI – 2 zestawy Royal thali i 2 herbaty massala

180 RI – Smirnoff Orange (180 ml)

35 RI – Mirinda (0,6 l)

100 RI – kurs tukiem do hotelu

13 listopada

Wczoraj wieczorem w hotelu zamówiliśmy śniadanie. Sądziłem, że będzie to skromny zestaw na tacy, ale mile się rozczarowałem. Klasyczny bufet (omlet/jajecznica, płatki kukurydziane z mlekiem, tosty, dżemy, herbata, kawa, banany), potrawy świeżo przygotowane i donoszone, bez limitu. Wszystko smaczne. Kiedyś, oglądając zdjęcia z Jaipur, myślałem, że Hawa Mahal jest wyeksponowanym i oddzielnie stojącym budynkiem. Rzeczywistość trochę przykrawa oczekiwania. Pałac Wiatrów stoi w jednym rzędzie z innymi domami, choć i tak jest wspaniale zdobiony. Bardzo malowniczy i kunsztownie zdobiony zasłuzenie jest chyba najczęściej fotografowanym obiektem w Jaipur. Stąd już blisko do City Palace. Dla zwiedzających udostępniony i podzielony na 3 części. Sala Audiencji Publicznych z portretami władców na ścianach i olbrzymim kryształowym żyrandolem. Muzeum broni z eksponatami w liczbie wystarczającej na potrzeby małej armii. Z galerii ubrań zapamiętałem fantazyjny strój z wyszywanymi motywami chińskich smoków, strój do gry w bilard i polo. Na jednym z wewnętrznych dziedzińców można podziwiać bramy z dekoracjami w kształcie pawi. Bardzo kolorowe i jakże charakterystyczne. Fantazyjnie ubrani strażnicy w każdej chwili są usłudzy do udzielenia informacji turystom, za dodatkową opłatą. W Indiach chyba wszyscy chcą dorobić do podstawowej pensji. Jest to całkiem zrozumiałe. Po południu z przystanku obok Hawa Mahal wsiedliśmy do miejskiego autobusu (bez klimatyzacji, czyli nawiewów) jadącego do Amber Fort. To szybki i tani transport, no i w towarzystwie miejscowych. Uśmiechniętych i uprzejmych. Fort znajduje się tuż za miastem, w odległości 11 km. Jego położenie pośrodku okolicznych wzgórz wywiera niesamowite wrażenie. Fort jest olbrzymi, znajduje się w nim mnóstwo dziedzińców, korytarzy, zakamarków, tarasów i wieżyczek z balkonami. Widoki fantastyczne. To pole do treningu wyobraźni, próbując przenieść się w XIX w. – czas potęgi maharadzów. Kiedyś musiał olśniewać bogactwem i przepy-

chem. Do usytuowanego powyżej fortu Jaigarh potrzebny jest odrębny bilet. Do Jaipur wróciliśmy większym i trochę droższym autobusem z nawiewami. Chwilowo mając przesył ulicznych jadłodajni, na obiad wybraliśmy się do prawdziwej restauracji z zawodową obsługą kelnerską. Niestety lokal oferował jedynie kuchnię wegetariańską. Ceny zdecydowanie wyższe, potrawy smaczne, choć znowu pikantne. W ramach rozrywki planowaliśmy wizytę w kinie na produkcji rodem z Bollywood. Kelner pomógł nam, wskazując nazwę kina i kierunek. Podjechalśmy miejskim autobusem. Nie był to na nasze szczęście żaden multipleks, ale prawdziwe kino z podświetlanym na limonowo napisem z nazwą kina. Wewnątrz kicz w najlepszym wydaniu: duże żyrandole, łukowate wygięte schody prowadzące do sali. Zdążyliśmy na seans najnowszego hitu z optymistycznym tytułem „Happy New Year”. Seans rozpoczął się punktualnie, czuć tu szacunek dla widza. Nie było żadnych reklam! Czas filmu to 3 godziny, jak przystało na prawdziwy romans. Fabuła głupiotka, dialogi w 95% w języku hindi, ale wszystko zrozumiałe i proste. Oczywiście przyszliśmy tutaj przede wszystkim po to, żeby obserwować reakcje miejscowych. A te były żywiołowe – krzyki, gwizdy, oklaski, śmiech. Zostaliśmy niestety tylko do przerwy. Gdyby nie konieczność wcześniejszego potwierdzenia biletów, to siedzielibyśmy do końca ciekawi finału i emocji na widowni. Trochę szkoda, może jeszcze kiedyś. Na dworcu znowu sprzyjało nam szczęście, mieliśmy potwierdzenie naszych biletów. Peron był w miarę czysty, za to na torach biegały setki szczurów! Pociąg przyjechał prawie punktualnie i szybko znaleźliśmy swoje prycze, z pościelą. Zapowiadała się długa podróż oraz spokojna i wygodna noc.

360 RI – 2 śniadania (bufet)

800 RI – 2 bilety do City Palace

400 RI – 2 figurki z metalu na bazarze

20 RI – 2 bilety autobusowe do Amber Fort (bez klimy)

400 RI – 2 bilety do Amber Fort

340 RI – 2 cappuccino i 2 ciastka w sieciowej kawiarni w Amber Fort

30 RI – 2 bilety autobusowe do Jaipur (z klimą)

340 RI – 2 bilety do kina

576 RI – obiad w restauracji (makaron chow mein i minestrone)

44 RI – 2 małe kubki lassi

10 RI – 2 bilety autobusowe sprzed Sanganer Gate w okolicy kina

20 RI – 2 bilety autobusowe sprzed kina pod Sanganer Gate

1000 RI – nocleg w hotelu

110 RI – kurs tukiem na Jaipur Junction

14 listopada

Podróż do Jaisalmer, miasta na pustyni Thar, trwała prawie 12 godzin. Miała dla nas ten komfort, że mogliśmy w końcu wypaść się bez żadnych ograniczeń. U celu jazdy spóźnienie było minimalne, ledwie 10 min. Po wyjściu z dworca otoczyła nas zgraja taksiarzy, naciągaczy hotelowych i wysłanników agencji turystycznych. Kurs tukiem spadł z 80 RI do 40 po ironicznym spojrzeniu na kierowcę. Podrzucił nas w okolicy fortu i stanęliśmy przed dylematem wyboru agencji, której zapłacimy za wyjazd na „pustynne safari”. Nie chcieliśmy tracić czasu i wybraliśmy pierwszą pustą, choć mającą solidną rekomendację. Nazywa się Trotters. Ceny nienegocjowalne (o dziwo!), warunki na piśmie. Podobno w ramach wycieczki wyjeżdżają na „off-beaten track”, cokolwiek to

znaczy. Przypuszczam, że większość agencji tak wabi turystów. Nikt o zdrowych zmysłach, także tych biznesowych, nie zaproponuje przecież zatłoczonych wydym. Po uiszczeniu należności mogliśmy skorzystać z łazienki hotelu zaprzyjaźnionego z agencją. Na zewnątrz hotelu czekał już na nas autentyczny samochód z napędem na 4 koła, żadna podróbka. Chętnych na safari łącznie z nami było 5 osób. Program obejmował dojazd poza miastem do wodopoju owiec, zagubioną wioskę z konsumpcją herbaty, ruiny świątyni oraz widok z jej dachu na pustynię. Najważniejsze było jednak spotkanie z wielbłędami i jazda na ich grzbiecie, obiecano nam dzisiaj 1,5 godziny i drugie tyle jutro. Każde z nas dostało wielbłąda, jednak samodzielnie nie kierowaliśmy nim. Nie było to nasze pierwsze doświadczenie z „okrętami pustyni”. W ciszy, którą tak bardzo doceniałem, spokojnie dotarliśmy do miejsca biwaku, pośród rzeczywiście piaszczystych i pustych wokół wydym. Słońce kończyło swoją wędrówkę na niebie, warto zatem było zająć się fotografowaniem. Te chwile wspominam najmilej. Ciepło, przyjemny lekki wiatr i spokój, co w tym kraju jest wprost bezcenne. W tym czasie przewodnik wraz z kolegami przygotowywał nam ciepłą kolację. W takich okolicznościach każdy posiłek smakuje wybornie, a ten był i syjący, i smaczny. Ryż, dhal i gotowane warzywa. Dla chętnych i odważnych sos chili, piekielnie mocny. Herbata też była. Ogniska i śpiwowół nie było. Za to niebo rozgwieżdżone do maksimum. Księżyc nie było, a światła cywilizacji nie docierały. Z przyjemnością odnajdywałem znane sobie konstelacje. Nocleg oczywiście pod gołym niebem, na rozłożonych na piasku matach. Do przykrycia koce i materace. W środku nocy obudziłem się i aż uśmiechnąłem z wrażenia. Pojawił się Księżyc w pełni, a obok niego najpiękniejszy gwiazdozbiór – Orion.

40 RI – kurs tukiem z dworca w Jaisalmer pod fort

3600 RI – pustynne safari/2 os.

15 listopada

Jednak w nocy trochę wiało i grube materace były przydatne. Wschód słońca zignorowaliśmy na rzecz dłuższego snu. Obsługa na dzień dobry zaserwowała nam herbatę masala. Jaka była dobra! Śniadanie skromne, ale wystarczające: lekko przypieczone tosty, dżem, ciasteczka i banany. Nikt nie wybrzydzał. Wracaliśmy tą samą trasą co wczoraj, tylko trochę szybciej. Dziś uwinęliśmy się w 70 min. Pożegnalne uściski dłoni, a przy okazji wręczenie datku przewodnikowi. Ostatnie zdjęcia z wielbłędami, a samochody już na nas czekały. Szybko wróciliśmy do Jaisalmer. Zastanawialiśmy się nad zmianą miejsca noclegu, ale wizja targania plecaków w pełnym słońcu skutecznie nas zniechęciła. Hotel Gajju Palace ma też swoje plusy. Jest położony niedaleko fortu oraz postaju tuków. Zmieniliśmy tylko pokój. Po południu weszliśmy na teren fortu. Znajdują się tutaj świątynie dżinijskie, ale nie weszliśmy do żadnej z nich. Uliczki w forcie są wąskie, ale nawet i tu jest ruch. Motorowery wcisną się wszędzie. Na ścianach budynków rozwieszone są towary. Zachęty ze strony sprzedawców jak wszędzie, ale nie byli nachalni. Wstąpiliśmy do jednego z hoteli, ale okazało się, że pomimo szyldu Mid Fort jeszcze nie działa. Palace Fort ciekawy, choć i tak najlepsze co ma do zaoferowania to panorama miasta i pustyni z dachu. Przed zachodem słońca można zrozumieć, dlaczego Jaisalmer nazywany jest Złotym Miastem. Obowiązkowy bilet na aparat. Ciekawostką jest fakt, że na dachu stoi facet, który sprawdza, czy fotografujący mają ten specjalny bilet. Zauważyłem, że zabrał on jednemu z miejscowych komórkę, którą ten fotografował. Z ciekawych obiektów są jeszcze haveli – misternie rzeźbione fasady budyn-

ków. Fantazyjne drzwi, okna, balkony. Z niejaką przyjemnością zrobiliśmy zakupy – bez zgiełku, w spokoju i ciepłej atmosferze. Wieczór zakończyliśmy, jedząc obiad w – jakżeby inaczej – Sunset Restaurant, testując dania kuchni radżasthańskiej. Pomimo naszej prośby o wersję light, to i tak dostaliśmy dość ostro przyprawione potrawy. Szczególnie jednak powiem, że bardzo smaczne. Leniwym krokiem opuściliśmy fort i zeszliśmy do hotelu na odpoczynek przed jutrzejszą podróżą do kolejnego kolorowego miasta. Tym razem niebieskiego – Jodhpuru.

600 RI – 2 bilety do Fort Palace

100 RI – opłata za aparat fotograficzny

400 RI – 2 dania kuchni radżasthańskiej w Sunset Restaurant

340 RI – 2 duże piwa Kingfisher

100 RI – sok z guawy w sklepie

16 listopada

Wstaliśmy dość wcześnie z zamiarem szybkiego wyjazdu. Z dachu hotelu fort o poranku prezentował się zjawiskowo. Śniadanie – w formie bufetu – zjedliśmy w hotelu obok. Smaczne i treściwe. Okazało się, że punkt odjazdu autobusów do Jodhpuru jest bardzo blisko hotelu. Na siłę dałoby się nawet dojść na piechotę. Tylko po co, skoro tuk kosztował 20 RI?! Bilety kupiliśmy od ręki i po 9 wyruszyliśmy. Jazda trwała ponad 5 godzin. Niestety, autobus zatrzymał się daleko przed dworcem autobusowym. Zapewne celowo, bo ledwie wyszliśmy po bagaże, zostaliśmy otoczeni przez chmarę taksiarzy. Ceny oczywiście zawyżone. Jeden z taksiarzy wskazał nam nadjeżdżający autobus miejski. Dziwne, bo jego gest pozbawił kolegów z branży zarobku. Autobus wiół się przez ulice Jodhpuru, ale w końcu dotarł na miejsce. Byliśmy przekonani, że nie będziemy mieli najmniejszych problemów z pozostawieniem plecaków na dworcu, bo nie planowaliśmy noclegu w mieście. Tymczasem spotkała nas przykra niespodzianka. Nie ma przechowalni bagażu, a w okienkach biletowych nie zgodzono się. Szczęśliwie udało się nam przekonać sprzedawcę ze sklepiku obok, zapewniając, że zostawiamy tylko ubrania. Co było zresztą prawdą. Wsiadliśmy w tuka i pojechaliśmy w okolice Sardar Market, nad którym dumnie góruje Wieża Zegarowa. Jedna z najładniejszych jakie widzieliśmy kiedykolwiek. Tuż za bramą wejściową ulokował się Shri Mishrilal Hotel. Wbrew nazwie nie jest to miejsce do spania. Podają tutaj zupełnie niezrównane kardamonowo-szafranowe lassi. Jest niewiarygodnie smaczne i zmusza do kupna kolejnego kubeczka. Obok fortu to lassi jest doskonałym powodem odwiedzenia Jodhpuru. Po przejściu przez Sardar Market, wzdłuż pomalowanych na niebiesko budynków, wąskimi uliczkami dociera się do fortu Mehrangarh. Z daleka wygląda majestatycznie. Wprost nie można uwierzyć, że na szczycie góry można było zbudować taką twierdzę. Z bliska zachwyca detalami wykończenia. Wewnątrz natomiast wręcz oszałamia jakością i kunsztem oraz bogactwem wyposażenia. Bezsprzecznie fort nr 1 w Indiach w mojej ocenie. Koszt biletu najdroższy, poza Taj Mhal, ale wart każdej rupii. Fort jest wypełniony eksponatami, z dokładnymi opisami w języku angielskim. Można wypożyczyć bezpłatnie przewodnik audio. Chętni na ludzkiego przewodnika też go znajdą. Zbiory są imponujące i zawierają m.in. ubrania, broń, obrazy, uprząże słoń, wyposażenia komnat itd. Z góry rozpościera się fantastyczna panorama miasta, w której dominuje niebieski kolor. Już po zmroku wróciliśmy na dworzec w obłędnym hałasie klaksonów dobiegających z każdej strony. Chcieliśmy wyjechać do Udaipuru. Jednak gdy

dowiedzieliśmy się, że autobus wyjeżdża o 22.30 i planowo dojeżdża o 5.30, to odpuściliśmy. 7 godzin w autobusie jadącym bezdrożami (tak można określić stan większości dróg w Indiach) i wizja nieprzespanej nocy skutecznie nas zatrzymała w Jodhpurze. Tukiem wróciliśmy na Sardar Market i daliśmy się złowić naganiaczowi, który zaprowadził nas do Heaven Guesthouse. Mały, ale w miarę czysty pokój. Na jedną noc wystarczał w zupełności. Hotel na dachu ma restaurację, z której obserwowaliśmy jeszcze podświetlony imponujący fort Mehrangarh.

400 RI – 2 śniadania (bufet)

20 RI – tuk spod hotelu na przystanek autobusowy

400 RI – 2 bilety autobusowe do Jodhpuru

30 RI – 2 bilety na miejski autobus w Jodhpur

30 RI – kurs tuka na Sardar Market

60 RI – 2 lassi

900 RI – 2 bilety do Mehrangarh Fort

110 RI – obiad w restauracji (curry bakłazanowe i ryż basmati)

30 RI – kurs tuka na dworzec autobusowy

30 RI – kurs tuka pod wieżę zegarową

17 listopada

Wstaliśmy skoro świt, żeby mieć pewność znalezienia się w autobusie jadącym do Udaipuru. Około 7 rano na ulicach było jeszcze pustawo. Staliśmy kilka minut, żeby złapać tuka na dworzec. Po drodze widzieliśmy pod bramą wjazdową miejscowego sądu śpiących na chodnikach ludzi, przykrytych derkami. Jakoś nie mogę przyzwyczaić się do takich widoków, choć widzieliśmy je nie po raz pierwszy. I pewnie nie ostatni. Na dworcu musieliśmy poczekać na otwarcie okienka kasowego. Odjazd nastąpił punktualnie, ale stan dróg był straszny. Nocna jazda byłaby męką. Autobus zatrzymywał się chyba w każdej miejscinie i wiosce. Miejsca mieliśmy tuż za kierowcą, co niestety okazało się koszmarem. Z lubością nadużywał on klaksonu, nawet kiedy nikogo nie wyprzedzał. Choć droga była męcząca i mozolna, to przynajmniej widoki były zmienne. Do Udaipuru dojechaliliśmy po blisko 8 godzinach jazdy. Autobus zatrzymał się gdzieś w mieście i nie był to na pewno dworzec. Oczywiście taksiarze już czekali. Jednak stawki, jakich żądali na początku, były śmieszne. Po negocjacjach spadły do akceptowalnego poziomu. Wybraliśmy z przewodnika Nukkad Guesthouse, który okazał się celnym trafieniem. Jego wadą są niestety strome schody i wysokie piętra, na które trzeba się wspiąć. Cena pokoju jest uzależniona od jego standardu i widoku z okien. Najdroższe są z najlepszymi widokami. Z recepcji i jednocześnie jadalni rozciąga się imponująca panorama na jezioro Pichola oraz Lake Palace. W agencji nieopodal hostelu wymieniliśmy pieniądze (przy zasłoniętych szybach!) oraz poprosiliśmy o sprawdzenie możliwości kupienia biletów kolejowych do Khajuraho i Varanasi. Zostawiliśmy 500 RI depozytu na poczet biletów. Na zakończenie dnia zjedliśmy bardzo dobry posiłek na tarasie Lotus Cafe. Od wyjazdu z Agry w końcu mogliśmy zjeść coś mięsnego. Dodatkową zaletą restauracji, oprócz znakomitej kuchni, jest widok na City Palace.

50 RI – kurs tuka spod wieży zegarowej na dworzec

400 RI – 2 bilety autobusowe do Udaipuru

50 RI – kurs tuka do Nukkad Guesthouse

430 RI – 2 dania w Lotus Cafe

400 RI – 2 duże piwa Kingfisher (czerwona etykieta, mocniejsze)

18 listopada

Śniadanie zjedliśmy w hotelowej restauracji, wybór z karty. Pod Jagdish Temple znajduje się postój tuk-tuków. Wzięliśmy kurs na dworzec autobusowy, gdzie kupiliśmy bilety do Ranakpur. Naszym celem były dziś świątynie dżinijskie. O dziwo, ceny biletów autobusowych dla kobiet są niższe. Zdziwiliśmy się lekko, gdy nadjechał autobus, był to bowiem ten sam, którym wczoraj przyjechaliśmy do Udaipuru. Kontroler też się uśmiechnął, widocznie nas zapamiętał. Droga do Ranakpur trwała 3 godziny i była dość wygodna. No i dziś siedzieliśmy dalej od kierowcy, który już mniej chętnie naciskał klakson. Godziny zwiedzania dla turystów to 12–17. Przed wejściem do największej i niewątpliwie najpiękniejszej świątyni Chaumukha Mandir plecaki są wnikliwie przeszukiwane. Na jej teren nie można wносить żadnego jedzenia, napojów, wyrobów ze skóry i wszelkiej elektroniki. Zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz świątynia jest zachwycająca. Niezwykle precyzyjne i fantazyjne płaskorzeźby dają pojęcie o wielkich umiejętnościach twórców. W środku umiejscowionych jest podobno 1444 rzeźbionych kolumn, ale nawet nie podjąłem próby liczenia. Fakt, że jest ich bardzo dużo. Udostępnionych do zwiedzania obiektów jest tylko 3. Myślałem, że będzie ich znacznie więcej. Inna sprawa, że wywierają wielkie wrażenie. 1,5 godziny w zupełności wystarcza na dokładne zwiedzenie kompleksu świątyń. Bardzo ciche, malowniczo położone pośród wzgórz i urokliwe miejsce. Moim zdaniem nie do pominięcia w Indiach. Dodatkową atrakcją Ranakpur są hordy hasających małp, które nie są zbyt płochliwe i wdzięcznie pozują do zdjęć. W drodze oczekiwaliśmy wieści od agenta w sprawie biletów, ale ich nie było. Powrót do Udaipuru to kolejne 3 godziny, wróciliśmy już po zmroku. Niezwłocznie udaliśmy się do agencji i czekały na nas pomyślne nowiny. Agent kupił nam bilety i w spokoju mogliśmy planować dalsze etapy podróży. Wykorzystaliśmy okazję i od razu kupiliśmy bilety do Varanasi, a stamtąd do New Delhi. Mieliśmy dziś dobrą passę. Ten jakże udany dzień zakończyliśmy smacznym posiłkiem w Lotus Cafe. Po co zmieniać coś, co jest dobre?

255 RI – śniadanie w Nukkad Guesthouse

50 RI – tuk na dworzec

140 RI – 2 bilety do Ranakpur

400 RI – 2 bilety wstępu do świątyń

100 RI – opłata za aparat

155 RI – 2 bilety do Udaipuru

50 RI – tuk pod Jagdish Temple

7676 RI – bilety kolejowe do Khajuraho (AC 2A), Varanasi (AC 3A) i New Delhi (AC 3A)

50 RI – dopłata do depozytu u agenta

415 RI – kolacja w Lotus Cafe (cały kurczak tandoori z sałatką, porcja ryżu, chowmein)

360 RI – 2 duże piwa Kingfisher (zielona etykieta, słabsze)

19 listopada

Zadowoleni z jakości kuchni w Lotus Cafe postanowiliśmy sprawdzić, jakie podają śniadania. Można zamówić zestaw z fasolką w sosie pomidorowym. To chyba echa angielskiej dominacji w przeszłości. Wróciliśmy do Nukkad Guesthouse, zdaliśmy pokój i zostawiliśmy bagaże w recepcji. Dziś zwiedzaliśmy Udaipur. Na początek położo-

ny niedaleko City Palace. W kasie można wykupić pakiet na wszystko, z rozróżnieniem na pory rejsu łodzią po jeziorze. W godzinach 10–14 taniej, 15–17 drożej. Wstępnie nabyliśmy jedynie bilety do City Palace wraz z opłatą za aparat. Kubatura pałacu, jego położenia i wykonanie robią duże wrażenie, podobnie jak widoki na miasto z okien. Wnętrza już tak nie imponują, choćby w porównaniu z Fortem Mehrangarh. Dużo grafik, sporo zdjęć i obrazów ze scenami bitewnymi z ścianach pałacu. Niejakim utrudnieniem były tłumy zorganizowanych grup, które skutecznie spowalniają ruch. Z tym jednak trzeba się liczyć zawsze w atrakcyjnych turystycznie miejscach. Mimo wszystko warto. Po opuszczeniu pałacu zdecydowaliśmy się na dokupienie reszty pakietu, tj. galerię kryształów, muzeum klasycznych aut i popołudniowy rejs. Drogo, ale co tam... Kryształy. To było absolutne szaleństwo. Tysiące przedmiotów – zastawy z pucharami, kieliszkami, talerzami, zestawy perfum, stoliki, stoły, krzesła, podnóżki, fajki wodne, toaletki, barwione żyrandole. Nawet kryształowe łóże. Wszystko trudno zapamiętać i wymienić. Niestety, absolutny zakaz fotografowania, ochrona obecna i czujna. Maharadża, który zamówił w Anglii to wyposażenie, musiał być bogaty jak mityczny Krezus. Zmarł zanim statek dotarł do Indii. Skrzynie nierozpakowane trafiły do lamusa i stały nietknięte przez 110 lat. Teraz odzyskały swój należny blask i stanowią niesamowitą atrakcję Pałacu. Z kryształowych ciekawostek, ale już nie z zamówionej kolekcji, była kryształowa butelka coca-coli z 2010 r. Choćby tylko ta galeria daje odpowiedni kontekst do opowieści o nieprzebranych skarbach indyjskich maharadzów. Kolekcja samochodów też jest ciekawa. W jej skład wchodzi stare rolls-roycey, cadillaki, ford, buick, mercedesy, ople. Jeden z rollsów wykorzystano w jednym z filmów serii Jamesa Bonda, a konkretnie „Octopussy”. Muzeum mieści się poza głównym kompleksem pałacowym. Przed rejsem zrobiliśmy sobie przerwę i zjedliśmy indyjską wersję pizzy w lokalu naprzeciwko muzeum aut. Przyznam, że była to spora przyjemność i oderwanie od kuchni indyjskiej. Tukiem wróciliśmy pod wejście do pałacu. Rejs miał rozpocząć się o 16. Pozostały czas wykorzystaliśmy na spacer i fotografowanie małych pojawiających się obok przystani. Popołudniowy rejs ma tę zaletę, że słońce pięknie oświetla mury City Palace. Opłynęliśmy też romantyczny biały Taj Lake Palace Hotel będący chyba symbolem Udaipuru. Jego olśniewająca w słońcu elewacja oraz powierzchnia obejmująca całą połać wyspy sprawiają wrażenie, jakby hotel unosił się na wodzie. Imponujące. Następnie dobiliśmy do wyspy, na której położony jest jeden z najbardziej luksusowych hoteli w Indiach, Gul Mahal. On również został wykorzystany we wspomnianym wcześniej filmie. Mogliśmy podziwiać patio przed recepcją oraz hotelowy ogród ze sceną na orkiestrę grającą podczas garden party. W porównaniu z panującym w Indiach nieporządkiem (delikatnie mówiąc!), tutaj widać starania o czystość i porządek. Trawniki równo przystrzyżone, alejki pozamiatane. Ciekaw jestem, jaka jest cena doby hotelowej w tym luksusowym hotelu. Na pewno nie mała. Końcówkę popołudnia spędziliśmy, chodząc po sklepach i oglądając towary w nich prezentowane. Wieczorem tukiem pojechaliśmy na dworzec kolejowy i nocnym pociągiem odjechaliśmy do Khajuraho.

340 RI – 2 zestawy śniadaniowe w Lotus Cafe

45 RI – dzbanek herbaty

90 RI – opłata za pranie w hostelu (5 szt.)

230 RI – 2 bilety do City Palace

225 RI – opłata za aparat
2500 RI – 2 pakiety zwiedzania
685 RI – duża pizza Mambo Combo i 2 puszki coca-coli light
30 RI – tuk spod bramy zoo do pałacu
99 RI – sok z granatów w sklepie (1 l)
385 RI – kolacja w Lotus Cafe (dania i 2 lassi)
180 RI – duże piwo Kingfisher
50 RI – tuk spod świątyni Jagdish na dworzec kolejowy

20 listopada

Cały dzień spędziliśmy w pociągu. W takich chwilach odtwarzacze muzyki i książki są wybawieniem. Właściwie nic szczególnego nie zdarzyło się, oprócz 3-godzinnego postoju w Agrze, zupełnie bez przyczyny. Pociąg na dworzec Agra Cant wjechał o czasie, a potem zatrzymał się gdzieś w mieście. W ten sposób byliśmy już w sporym niedoczasie. W Jhansi opóźnienie zwiększyło się do 5 godzin. Zamiast około 19, pociąg wtoczył się na stację w Khajuraho tuż przed północą. Pierwszy raz poczułem chłód podczas naszego pobytu. Przed stacją stały tuki, ale były już wypełnione. Zrządzeniem losu stała też taksówka, do której wsiedliśmy. Kierowca powiedział nam, że miasto jest oddalone o 9 km. W tuku byłoby nam zimno, w taksówce było i ciepło, i wygodnie. Na miejscu mieliśmy problemy ze znalezieniem noclegu z uwagi na porę przyjazdu. Do których hoteli nie zastukaliśmy, to wszędzie były podobno zajęte pokoje. Ostatecznie wyładowaliśmy w Princessa Hotel.

100 RI – 2 omlety w tostach (kupione w pociągu)

200 RI – 2 zestawy birjani w pociągu

21 listopada

Rano okazało się, że brakuje ciepłej wody w łazience. Obsługa przyniosła nam ją w wiadrach! Poza tą niedogodnością hotel jest normalny. Duży pokój, ale pusty. Długo w nim nie zabawiliśmy. Oddaliśmy w recepcji plecaki do przechowania i obok w restauracji zjedliśmy śniadanie. Zestaw wybrany z karty, smaczny i pożywny (smażone jajka, tosty, dżem, płatki z mlekiem, kawa/herbata i sok pomarańczowy). Naprzeciwko hotelu znajdowała się wypożyczalnia rowerów, z której skorzystaliśmy. Na początek pojechaliśmy zobaczyć tzw. Wschodnią Grupę świątyni. Już od wypożyczalni podpiął się do nas jakiś samozwańczy przewodnik. Mimo że dość sympatyczny, to jednak stanowczo podziękowaliśmy mu za oferowane usługi. Wschodnia grupa to ledwie kilka świątyni, dokładnie 4, położonych na uboczu. Co przekłada się też na liczbę turystów, których wielu nie było. Bez erotycznych płaskorzeźb na fasadach. Nie ma żadnych opłat za ich oglądanie. Świątynie dzinijskie położone są niedaleko. Niebrzydkie, choć daleko im do tych w Ranakpur. Z kolei Grupa Południowa położona jest w innej wiosce, do której jedzie się kilkanaście minut. Szczерze mówiąc szалу nie ma, choć są oczywiście interesujące i zadbane. Widać niedawne ślady uzupełnień w strukturze budowlnej. Staliśmy się chwilową atrakcją dla dzieci z pobliskiej szkoły. Dużą przyjemnością była sama przejażdżka rowerami pomiędzy poszczególnymi świątyniami. Ruch na ulicach i drogach prawie nie występował. Było tak cicho i ciepło, że tak naprawdę był to dla nas wypoczynek. Wróciliśmy do miasta na krótką przerwę, którą wykorzystaliśmy na wypicie szklanki lassi w restauracji. Najważniejszą atrakcją Khajuraho jest Zachodnia Grupa świątyni. Znajduje się ona właściwie w centrum miasta, na początku lub koń-

cu głównej ulicy – w zależności, od której strony spoglądamy. Wejście jest biletowane, a co za tym idzie płatne. To tutaj znajdują się sławne na cały świat erotyczne sceny umieszczone na płaskorzeźbach. Te najbardziej fotografowane umiejscowione są dość wysoko, ale niektóre można znaleźć także niżej. Cały kompleks sprawia wrażenie uporządkowanego parku z zabytkami. Można zapomnieć o jakiegokolwiek atmosferze tajemniczości czy też mistycyzmu. Kolejna atrakcja turystyczna. Jednak z całą świadomością mogę stwierdzić, że warto tutaj przyjechać. Nawet biorąc pod uwagę, że tak dużo do oglądania w Khajuraho nie ma. Jednak atmosfera tego małego i cichego miasta – jak na Indie oczywiście – jest przyjemna i zapada w pamięć. Turyści chyba jednak tutaj przybywają i wybywają szybko. Widać to było szczególnie wtedy, gdy wchodziliśmy do sklepów późnym popołudniem i wieczorem. Spotkaliśmy pseudoprzewodnika z przedpołudnia. Tym razem daliśmy się mu namówić na potencjalne zakupy. Powiedział mi, że w ten sposób zarabia na swoje utrzymanie. Rozumiałem to i nawet mu to powiedziałem, choć z zastrzeżeniem, że raczej niczego nie planuję kupować. Naganiasze i obsługa starają się w każdy możliwy sposób sprzedać swój towar. Po zjedzeniu wieczorem dobrego posiłku pozostało nam tylko czekanie na porę odjazdu pociągu. W hotelu zamówiliśmy tuka, którego dzieliliśmy z parą dziewczyn z Francji. O dziwo, wieczory były chłodne. Temperatura doskwierała nam podczas przejazdu na dworzec. Pociąg do Varanasi był już podstawiony, stąd wyruszał i nie mógł się spóźnić! Zamówiliśmy śniadanie u chłopaka z obsługi, płatność z góry.

1080 RI – nocleg w Princessa Hotel

400 RI – 2 zestawy śniadaniowe

100 RI – opłata za 2 rowery

120 RI – 2 szklanki lassi

400 RI – 2 metalowe figurki

740 RI – kolacja (2 zupy, 2 porcje ryżu, cały kurczak masala, sałatka z papai)

440 RI – 2 duże piwa Kingfisher

200 RI – 2 śniadania w pociągu

22 listopada

Obudził nas chłopak, u którego zamówiliśmy śniadanie. Trochę suche, ale pomogło na chwilę zaspokoić pierwszy głód. Pociąg już zdążył złapać opóźnienie, na szczęście tylko godzinę. Na dworcu w Varanasi nie mieliśmy szansy. Od razu przyczepił się do nas jakiś taksjarsz. Odeszliśmy w stronę biura obsługi turystów. Kupiliśmy bilety na pociąg z New Delhi do Amritsar, niestety, znowu jesteśmy na liście oczekujących. Mamy za to potwierdzone bilety powrotne do stolicy. Doświadczenie nabyte wcześniej sprawia, że teraz procedura kupna idzie nam znacznie sprawniej. Wiemy, jaki wybrać pociąg, klasę. Byłem zdumiony, gdy wyszliśmy z biura do hallu dworca. Taksjarsz cały czas czekał na nas. Nie mogliśmy tego mu zrobić i zlekceważyć go. Taka cierpliwość wymagała docenienia. Poszliśmy z nim do budki prepaidowej i po chwili już siedzieliśmy na tylnym siedzeniu tuka. Zatrzymaliśmy się w okolicach Starego Miasta, dalej już się nie dało. Wzięliśmy riksarza, który też niedługo nas wiozł. Tłum na ulicach był gigantyczny. Hotel wybraliśmy z przewodnika. Zapytałem o drogę do niego, od razu znalazł się chętny. Wiedziałem, że w hotelu będzie chciał kasę za poprowadzenie, dlatego zbyłem go. Po kilkunastu minutach dotarliśmy do hotelu Alka. Zostawiliśmy paszporty do zameldowania, a następnie wróciliśmy po nie. Trzeba być przygotowanym w Varanasi na

niespodzianki, spięcia i awantury. Hindus w recepcji spytał, czy znam gościa stojącego przed wejściem. Był to koleś, którego zagadnąłem o kierunek do hotelu. Zapewne przylazł do hotelu i domagał się wypłaty prowizji za doprowadzenie nas. Powiedziałem mu, że zapytałem go przecież jedynie o kierunek i to wszystko. To samo powtórzyłem recepcjonście. Więcej już nie zwracałem sobie tym głowy, niech rozstrzygną to między sobą. Korzystając z faktu, że hotel posiada bezpośrednie zejście nad Ganges, poszliśmy obejrzeć ghaty. Było tak, jak się spodziewaliśmy. Miejscowi bez wahań kąpali się w potwornie zaśmieconej i brudnej rzece, prali w niej ubrania. Kilkaset metrów dalej zobaczyliśmy płonące stosy, rzecz jasna ze zwłokami ludzkimi. Był to osławiony ghat Manikarnika, główne miejsce palenia zwłok w Varanasi. Staliśmy z boku, przyglądając się tej „ceremonii”. Oczywiście pojawili się „ochotnicy” tu pracujący, którzy informowali nas, że nie możemy robić zdjęć. Nie chcieliśmy, nie mieliśmy nawet takiego zamiaru. Aparat spoczywał w plecaku. Jeden z nich uprzedzał nas, że nie możemy także zbyt długo stać się i przyglądać się. Grzecznie odpowiadałem, że nie potrzebujemy jego pomocy i dziękuję za informacje. W końcu poszedł sobie. Generalnie jednak wrażenie z tego miejsca jest niesamowite. Zauważyłem, że tuż obok stosu siedział chłopak i swobodnie rozmawiał przez komórkę. Zupełnie nie przeszkadzało mu otoczenie i odbywający się obrzęd. Obserwowaliśmy, jak czynione są przygotowania do całopalenia. Niespalone ludzkie resztki są bezpośrednio wrzucane do wody! W tym kontekście zupełnie zdumiewający jest fakt, że miejscowi korzystając z takiej wody (kąpiele, pranie) nie chorują przewlekłe?! Następnie spacerowaliśmy po krętych uliczkach starej dzielnicy. Postanowiliśmy znaleźć rekomendowany lokal Blue Lassi. Oferujący jeden tylko produkt, ale za to w ilu odmianach! Karta lassi jest rzeczywiście imponująca. 9 sekcji (jabłko, banan, kokos, granat, jagoda, mango, szafran i 2 inne), łącznie w czystej postaci i miksach daje aż 80 rodzajów, policzyłem dokładnie. Lassi dobre, ale nie aż tak, aby specjalnie szukać w tych wąskich alejkach handlowych. Obiad zjedliśmy na tarasie, widok z niego jest największym atutem hotelu. Wolno płynąca święta rzeka Ganges, ghaty i masy ludzi przechodzących poniżej! Naprawdę świetny. Po obiedzie poszliśmy w stronę ghatu Dashashwamedh, skąd przeszliśmy się ulicami Starego Miasta, gdzie odbywa się handel. Asortyment nam dobrze znany, zachowania i sztuczki też. To na co nie byliśmy przygotowani, to duża liczba żebraków. Wśród nich niestety także kobiety, z widocznymi bliznami. Zapewne ofiar zemsty małżonków bądź ich rodzin. Szalenie przykre doświadczenie, jedno z najgorszych podczas tego pobytu.

2960 RI – bilety kolejowe do Amritsar i powrotny do New Delhi

95 RI – tuk z dworca w okolicy Starego Miasta

50 RI – riksza

395 RI – obiad w restauracji hotelowej

200 RI – puszka piwa 0,5 l Kingfisher

165 RI – 2 lassi w Blue Lassi

23 listopada

Będąc w Varanasi, nie sposób ominąć rejsu łodzią po Gangesie o brzasku dnia. Po budka kilka minut po 6. Wczoraj nawet nie próbowaliśmy rezerwować łódki, bo uznaliśmy, że nie będzie z tym najmniejszego problemu. I tak było. Bezpośrednie zejście schodami z hotelu na nabrzeże przynosi korzyści. Ledwie pojawiliśmy się na nim, od razu zjawili się naganiacze. Szybko ustaliliśmy cenę i trasę, następnie upewniliśmy się,

czy wioślarz wszystko rozumiał. Nie chcieliśmy później użerać się z nim na przykład, że cena była w walucie obcej lub coś jeszcze innego. Następnie ostrożnie weszliśmy na łódkę. Wschodu słońca oczywiście i tak nie było widać, bo horyzont był przesłonięty przez wioskę po drugiej stronie rzeki. Jednak trzeba przyznać, że o tej porze ghaty były widowiskowo oświetlone. Wioślarz od czasu do czasu zbliżał się do brzegu, przez co mogliśmy z bliska obserwować rytualne modlitwy oraz kąpiele Hindusów w tej nieprawdopodobnie brudnej wodzie. Nie mogła opuścić mnie myśl, co powoduje brak epidemii w tym mieście. Może rzeczywiście jest jakiś duchowy pierwiastek w Gangesie, który chroni mieszkańców? Osobiście nie zanurzyłbym w nim nawet koniuszka palca. Nad ghatami wznoszą się imponujące budowle, których świetność dawno już minęła. Teraz jednakże doskonale wpisują się w klimat śmierci, która jest tutaj akurat wszechobecna. W pewnej chwili wioślarz zwrócił nam uwagę na... unoszące się na wodzie zwłoki mężczyzny!!! Nie był to bynajmniej topielec. Denat niewątpliwie został gwałtownie pozbawiony życia, miał bowiem rozplątany brzuch od mostka po pępek, a wnętrzności wydostały się na zewnątrz. Czysta makabra! Byliśmy wstrząśnięci tym widokiem, choć wioślarz ledwie wzruszył ramionami. Byliśmy też świadkami, jak na łodzi stojącej blisko brzegu jakaś skośnooka kobieta wyklócała się z młodym kolesiem stojącym na brzegu. Wioślarz nie reagował, łódka stała może z metr od brzegu, przez co turyści mieli odcięty dostęp do ładu. Awantura na pewno dotyczyła ceny za rejs. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy stawka 100 RI od osoby, to nie jest klasyczna podpucha. I czy my też będziemy się tak chandryczyć. Nie dopłynęliśmy do ustalonego wcześniej ghatu, gdyż nie wyrobilibyśmy się w umówioną godzinę. Poprosiłem wioślarza, żeby zawrócił i przybił do brzegu. Obyło się bez zatargów. Do hotelu wróciliśmy, przyglądając się zanurzającym się tubylcom, przy okazji robiąc zdjęcia. W hotelowym patio zjedliśmy śniadanie, zdaliśmy pokój i zostawiliśmy bagaże w recepcji. Mieliśmy do dyspozycji cały dzień przed odjazdem pociągu. Akurat tyle, żeby wybrać się do Sarnath. Odległość od 10 do 20 km, według różnych źródeł. Oczywiście nie obyło się bez uciążliwych negocjacji z taksiarzami. Droga jest fatalna, trzęsło nami niesamowicie. Widoki znajome: krowy na ulicach, śmieci wszędzie, uliczne toalety. Wypad do Sarnath przynosi niejaki odpoczynek od zgiełku Varanasi, jest tu stosunkowo cicho. W miasteczku jest kilka świątyń: birmańska, tajska, dżinijska i buddyjska. Przed powrotem musieliśmy znowu odbyć zwyczajową nerwową przeprawę z taksiarzami. Żądali absurdalnych kwot, więc olewaliśmy ich. Podjechał do nas tuk, którego kierowca zgodził się na cenę przez nas proponowaną. I rozpoczęła się awantura pomiędzy nim a innymi. Głośno pokrzykiwali, potem szarpali go za ubranie. Jeden z taksiarzy powiedział nam, abyśmy się nie wtrącali się do tego sporu. Odeszliśmy mocno zniesmaczeni. Pewnie ten młody chłopak złamał znowu cenową. Długo nie czekaliśmy, bo pojawił się ten chłopak. Cena jednakże wzrosła do zwyczajowej. Przez wzgląd na jego niedawne przejścia zgodziliśmy się tyle mu zapłacić. Wysiedliśmy w starej dzielnicy. Minął nas żałobny kondukt, toteż podążyliśmy za nim. Zatrzymaliśmy się na chwilę w Blue Lassi. Dotarliśmy do ghatu Manikarnika i ponownie obserwowaliśmy dogasające stosy pogrzebowe. Zauważyliśmy, że w wodzie stał człowiek, który przesiewał przez duże sito resztki ze stosu. Zapewne w poszukiwaniu czegoś cennego. Uznaliśmy, że widzieliśmy już wystarczająco dużo i wróciliśmy w okolice hotelu. Spotkaliśmy porannego wioślarza, który po południu okazał się naganiancem do sklepu. Pomimo zachęty w postaci zdjęć z zakupów znanej polskiej dzien-

nikarki podróżniczej oraz gwiazdy filmowej nie daliśmy się namówić na zakupy. W okolicach kolorowego ghatu Dashaskwamedh zrobiliśmy kilka sytuacyjnych zdjęć m.in. majestatycznie rozłożonych krów na czerwonym dywanie. Z ulicy wzięliśmy tuka i pojechaliśmy na dworzec. Mimo potężnych korków, tuksiarz znalazł jakieś skróty i mieliśmy ponad godzinę do planowanej pory odjazdu. Niestety, nasze prycze w pociągu były przy drzwiach. Oznaczało to ich ciągłe otwieranie w nocy i przeciągi.

200 RI – rejs łodzią rano po Gangesie (2 os.)

300 RI – 2 śniadania w hotelu

150 RI – kurs tuka do Sarnath

200 RI – 2 bilety wstępu

150 RI – kurs tuka do Varanasi

1350 RI – nocleg w Alka Hotel

460 RI – obiad w hotelowej restauracji

100 RI – kurs tuka na dworzec kolejowy

24 listopada

Z niewielkim, bo tylko 45 min opóźnieniem pociąg wjechał na stację Anand Vihar Terminal w New Delhi. Musieliśmy przenieść się na dobrze już nam znany główny dworzec kolejowy. Jednak pierwszy raz mieliśmy to zrobić z pełnym ekwipunkiem. Nie było łatwe, przede wszystkim z powodu kontroli bagażu w metrze, gdzie trzeba spuścić z oczu plecaki i szybko je odebrać. Ryzyko utraty jest całkiem spore, gdyby trafił się ktoś nieuczciwy. A ponadto na kluczowej stacji przesiadkowej Rajiv Chowk przy CP. W okienku na dworcu okazało się, że nasze szanse na wyjazd po południu do Amritsar znacznie wzrosły. Byliśmy już w pierwszej 20. Ponownie musieliśmy sprawdzić naszą pozycję. Czekaliśmy w biurze obsługi turystów na I piętrze. Po 14 dostaliśmy ostateczne pozytywne potwierdzenie. W wagonie, w którym mieliśmy miejsca, byli sami Hindusi, w przeważającej mierze Sikhowie. Z charakterystycznymi turbanami na głowie, gęstymi brodami i wąsami. To tak jakbyśmy już znaleźli się na terytorium Pendżabu. Ekspres Shatabdi relacji New Delhi – Amritsar należy do kategorii i szybkich, i wygodnych. Nasze miejscówki miały status CC. Dużo miejsca na nogi, lotnicze fotele i sprawna klimatyzacja. Komfort w europejskim wydaniu. Dla znających język gazeta i magazyn. Do tego wypas żywnościowy: częste i ciepłe posiłki. W liczbie mnogiej, bo było ich 4. Na początek kanapka (pieczywo tostowe z warzywami w sosie majonezowym), potem pikantna przekąska na sposób indyjski, suche paluszki chlebowe do zanurzenia w kubku z czymś co przypominało zupę pomidorową (taki był smak). Dodatkowo były cukrowe „włosy”. Potem dostaliśmy kompletny posiłek – zupa, danie pikantne z ryżem – odstawiłem, miałem dość ostrych smaków. A na koniec deser – lody. Podano też litrową butelkę wody oraz opakowanie wody smakowej, limonkowo-cytrynowej. A zatem prawie na koniec naszych wojaży z kolejami indyjskimi mieliśmy okazję przejechać się w komfortowych warunkach. Przed dworcem w Amritsar wzięliśmy tuka, którym dotarliśmy do Lucky Guesthouse.

36 RI – 2 przejazdy metrem z Anand Vihar Terminal do New Delhi Railway Station

180 RI – 2 dania na dworcu w barze

120 RI – 2 kubki lassi

100 RI – kurs tuka z dworca w Amritsar do Lucky Guesthouse

1000 RI – nocleg

25 listopada

Największą zaletą Lucky Guesthouse jest jego położenie. Dosłownie kilkadziesiąt metrów od kompleksu, w którym usytuowana jest Złota Świątynia. Przed wejściem należy zdjąć obuwie, które oddaje się do przechowalni (bez opłaty). Wymagane jest też nakrycie głowy chustą, żadnej czapki z daszkiem nie widziałem, także na głowach turystów. A następnie obmycie nóg. Tej ostatniej czynności dokonuje się w niewielkim i płytkim zbiorniku wypełnionym letnią wodą. Byliśmy przy Złotej Świątyni przed 10 i widok był zdumiewający. Jej piękno i bijący w słońcu blask oczarował nas nieskończenie. Sądzę, że niezależnie od pory dnia wygląda ona olśniewająco. Męcząca podróż z Varanasi via New Delhi do Amritsar została zrekompensowana. Złota Świątynia znajduje się pośrodku stawu – Amrit Sarovar, w którym wydzielone są miejsca do rytualnej kąpieli Sikhów. Wczesnym rankiem i późnym wieczorem odbywa się ceremonia przenoszenia świętej księgi Sikhów do i ze świątyni ze specjalnego pomieszczenia. Mogą w niej uczestniczyć tylko mężczyźni, ale nie tylko Sikhowie. Znowu byliśmy atrakcją dla miejscowych. Liczba chętnych do wspólnego zdjęcia oscylowała chyba około setki, ale tylko dlatego że były to wycieczki szkolne. Na terenie kompleksu w Guru – Ka-Langar rozdawane są darmowe i smaczne posiłki. Przewodnik informuje, że dziennie wydają ich od 60 do 80 tys. Spróbowaliśmy: ryż na mleku jak w dzieciństwie, placki ciapati, jakaś zupa, a na koniec herbata masala. Przy okazji zwiedziliśmy muzeum Sikhów. Jego główne eksponaty to obrazy przedstawiające sceny batalistyczne z historii narodu oraz okazałe zbiory broni. Nie brakuje też wizerunków guru, świątobliwych mężów, wojowników i zdjęć męczenników – ofiar wypadków i zamieszek z niedalekiej przeszłości. W sumie dość smutne muzeum, choć stanowi powód do dumy Sikhów. Spotkaliśmy w nim dwóch brodatych mężczyzn, z których jeden pokazywał mi poszczególne obrazy. Nie mogliśmy porozumieć się, bo nie znał angielskiego. Jednak z jego twarzy wyzierała duma. Po wyjściu z budynku zaprosił nas na napój z mango. Nawet chciał jeszcze sprezentować mi metalowe kółko na nadgarstek, które noszą. Był to jedyny przypadek w Indiach, gdzie ktoś zachował się bezinteresownie i nie chciał nam niczego wcisnąć. W ogóle Sikhowie okazali się niezwykle sympatyczni, pomocni i uczynni. Obok świątynnego kompleksu znajduje się Jallian-wala Bagh – miejsce, w którym Anglicy dokonali masakry cywilów w 1919 r. Ślady po kulach na murach są starannie zabezpieczone. Niestety z braku czasu i konieczności powrotu do New Delhi musieliśmy zrezygnować z wyjazdu na granicę indyjsko-pakistańską. Tym samym ominął nas podobno niezwykle napuszony show kompanii wojskowych wrogich sobie armii. Szkoda, może innym razem. Tukiem podjechalśmy na dworzec, tym razem od drugiej strony. Pociąg odjechał z opóźnieniem. Niestety, był i wolniejszy, i mniej komfortowy. Do jakże nam znanego dworca w stolicy dotarliśmy po 23. Nie chciało się nam już przebierać w hotelach i weszliśmy do pierwszego z brzegu, który jakoś z ulicy wyglądał – Arya Hotel. Płatność nastąpiła z góry, potem wyjaśniło się dlaczego. Był to jedyny nocleg, w którym towarzyszyły nam szczypawki. Nie polecam.

10 RI – 2 kartki pocztowe w sklepiu

50 RI – kurs tuka na dworzec w Amritsar

120 RI – 2 dania w barze na dworcu kolejowym

900 RI – nocleg w Arya Hotel

26 listopada

Po pobudce i wyprowadzeniu z hotelowej nory pierwsze kroki skierowaliśmy ponownie do Amici Cafe. Od dnia wyjazdu z New Delhi czekaliśmy na przyjemność zjedzenia śniadania tutaj. O dziwo, jeden z chłopaków obsługi poznał nas i powitał z uśmiechem. Chwilę porozmawialiśmy i złożyliśmy zamówienia. Jak zwykle wszystko było pyszne i – co istotne – łagodne w smaku. Świetna kawa, naleśniki na amerykańską modłę, smażone jajka, europejskie jogurty i świeże owoce. Z czystym sumieniem mogę entuzjastycznie polecić to miejsce. Ze stacji metra przy CP przenieśliśmy się w okolice Grobu Humayuna. Miejsce jest warte odwiedzin, choćby z tego powodu, że Taj Mahal podobno wzorowano na architekturze tego mauzoleum. Szczęśliwie przybyliśmy jeszcze przed tłumami wycieczek szkolnych, a co za tym idzie zwiększonym zainteresowaniem naszymi osobami. Choć i tak nie obyło się bez uścisków dłoni, przybijaniem piątek i kolejnych zdjęć. Gdy wychodziliśmy, spokojne otoczenie grobu, jakie zastaliśmy, było już tylko wspomnieniem. Przeszliśmy się do położonego nieopodal mauzoleum Hazrat Nizam-ud-Din Dargh. Tu też było tłumnie. Jednym z symboli polityki Indii jest rodzina Gandhich. Pamiętałem jak w 1984 r. Dziennik Telewizyjny informował o zamordowaniu Indiry, a w 1991 r. już Wiadomości o zamachu i śmierci jej syna Rajiva. Smutne losy tej rodziny przywodzą koleje losu braci Kennedych. Dom Indiry Gandhi – obecnie muzeum – położony jest w prestiżowej dzielnicy stolicy kraju. Widać to choćby po czystych ulicach w pobliżu. Wokół domu – muzeum też jest sterylne czysto, jak na Indie oczywiście. Pełno straży, prześwietlanie bagaży, odbierają nawet wodę, która trafia do depozytu. Wśród eksponatów największe wrażenie wywołują ubrania, w których zginęli premierzy Indii, matka i syn. W ogrodzie na końcu mostka zaznaczone jest miejsce, w którym została zastrzelona Indira przez swoich ochroniarzy, Sikhów. Była to zemsta za interwencję wojskową w Amritsar. Na koniec zwiedzania zostawiliśmy kompleks Qutab Minar, wpisany na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Znajduje się on dość daleko od centrum. Interesujący, choć największe wrażenie i tak sprawia wyjątkowo wysoki i malowniczy minaret. Późnym popołudniem dotarliśmy pod Bramę Indii. Była już podświetlona i całkiem nieźle wyglądała. Już po zapadnięciu zmroku dotarliśmy na CP. Wróciliśmy do restauracji Cafe 1 na pożegnalne wypalenie sziszy. Drobne zakupy miejscowego alkoholu i piwa zwieńczyły dzień. Tukiem wróciliśmy na Arakashan Road i zjedliśmy późną obiadową kolację w jakimś lokalu. Zamówiliśmy kurczaka i choć poprosiliśmy o łagodną wersję, to oczywiście dostaliśmy pikantną. Może szwankuje komunikacja językowa? A wydaje się, że rozumieją po angielsku! Ostatnie chwile przed wyjazdem spędziliśmy w kawiarni, tej samej co na początku pobytu. Ponownie poprosiliśmy o jakże smaczną kawę i ostatnie już lasi. Resztki pieniędzy wydaliśmy na indyjską herbatę i kurs tuka do stacji metra. Nie jest to zwykła stacja, lecz specjalnie wybudowany terminal do bezpośredniego połączenia z lotniskiem. Wewnątrz wielkie puste przestrzenie, pasażerów niewielu. Mieliśmy karty ważne do końca dnia i ani rupii w portfelu. Spotkała nas jednakże niespodzianka. Karty metra nie były ważne na tę akurat linię, nie mogliśmy kupić żetonów, bo nie mieliśmy już rupii. Znaleźliśmy się w przystawionej kropce. Z kłopotu wybawił nas młody Sikh, który podarował nam pieniądze na kupno żetonów. Byliśmy mu niezmiernie wdzięczni za przysługę. Tym samym ugruntował nas w przekonaniu, że nacja ta jest niezwykle sympatyczna i pomocna. Transport na lotnisko odbył się w niemalże pustym, choć kli-

matyzowanym wagonie. Pozostawało to w ogromnym kontraście do naszych dotychczasowych doświadczeń. Droga na lotnisko trwała około 40 min. Szybka odprawa przy stanowisku i mogliśmy w spokoju oczekiwać na odlot do Paryża Jumbo Jetem. Catering Air France słabiutki, ale lot spokojny. Startując do Warszawy z lotniska Charles'a de Gaulle'a, zobaczyliśmy stojącego na postumencie cudownego Concorde'a.

590 RI – 2 śniadania w Amici Cafe

200 RI – 2 jednodniowe bilety na metro

100 RI – zastaw za 2 plastikowe karty

500 RI – 2 bilety do Humayani's Tomb

30 RI – riksha do Humayani's Tomb spod stacji metra

40 RI – tuk w odwrotnym kierunku

30 RI – tuk spod stacji metra do Indira Ghandi Muzeum

30 RI – tuk spod stacji metra do Qutab Minar

500 RI – 2 bilety do Qutab Minar

20 RI – tuk w odwrotną stronę

20 RI – tuk spod stacji metra do Bramy Indii

20 RI – tuk w odwrotnym kierunku

Po 3-tygodniowym pobycie w Indiach mogę zrozumieć, dlaczego pomimo dużych niedogodności ten kraj fascynuje i skłania do powrotu. Głównym powodem jest jego różnorodność, każdy dzień przynosi nowe doznania. Choć widzieliśmy ledwie fragment tego wielkiego państwa, to spodobało mi się na tyle, że chciałbym powrócić w niedalekiej przyszłości. Wiem, czego mogę oczekiwać. Negatywne strony już znam, będę cieszył się pozytywnymi.

Birma i Katar – 2014



Termin i okres pobytu – druga połowa października, 16 dni

Liczba uczestników: 2 osoby (Piotr i Jacek Wiland)

Przełot samolotami głównie Qatar Airways: Wrocław – Warszawa (LOT): 1 h; Warszawa – Doha (Qatar Airways): 5 h 30 min; Doha (Hamad Int) – Yangon (Qatar Airways): 6 h 35 min; Yangon – Bangkok (Bangkok Airways): 1 h 25 min; Bangkok – Doha (Qatar Airways): 7 h 15 min; Doha – Warszawa (Qatar Airways): 6 h; Warszawa – Wrocław (LOT): 1 h.

1 USD = 3,12 PLN (10.2014)

Ceny

Katar

Liczba mieszkańców wraz z pracownikami zatrudnionymi czasowo: 1,7 mln

Wiza do kraju: 100 riali katarskich, można uzyskać na lotnisku

Nocleg: Swiss – Belhotel Doha – 399 QR – jedna noc – 114,32 USD

1 USD = 3,64 rial (QR)

Iced latte – 18 QR, Double machiato – 13 QR

Doha Bus – (www.dohabus.com) – 180 QR

Birma

Liczba mieszkańców: 53 mln (2013)

Ogólne uwagi: Internet w niektórych miejscach jest trudno osiągalny – sieć Wi-Fi ma nieraz bardzo słaby sygnał, wtyczki do prądu tak jak w Anglii lub niekiedy jak w Europie kontynentalnej, mój telefon komórkowy w sieci Plus nie funkcjonował w Birmie. Rangun ma też nazwę Yangone, a Pagan jest nazywany też Bagan; synonimem Birmy i jej oficjalną nazwą jest Myanmar.

Hotele: Hotel Grand United – Yangon – 100 USD/noc; Ayarwaddy River View Hotel – Strand Road (22 i 23 rd Str) – Mandalay – 100 USD /noc; Hotel Umbra – Bagan – 80 USD/noc; Golden Lotus Hotel Inle (www.goldenlotushotel.net) – Nyuang Shwe – 70 USD/noc; Best Western Green Hill Hotel – Yangone – 116 USD/noc.

Pranie w hotelu: koszulki za sztukę – 1000 kyatt.

Transport

Lot balonem: firma Ballons over Bagan (www.balloonsoverbagan.com) – koszt 320 USD. Warunki przelotu: zbiórka 5.15, ale nie przewiduje się zwrotu, jeśli się nie przybędzie na miejsce zbiórki, co zaznaczono w warunkach lotu, kobiety ciężarne latać nie mogą, a inne choroby należy zgłaszać wcześniej przewoźnikowi; osoby ponad 125 kilo lub gdy zachodzi podejrzenie, że zajmą miejsce dwóch osób ze względu na swe rozmiary, muszą zapłacić podwójną opłatę; z różnych względów czasem lot może być odwołany i wtedy opłata jest zwracana; dzieci mogą latać, jeśli są starsze niż 8 lat, a poniżej 16 roku życia i wzrostu powyżej 137 cm tylko w towarzystwie dorosłych.

Statek – Mandalay – Bagan – 40 USD (w tym śniadanie i lunch) – około 10–11 h (River Nmai HKA Travels and Tours) – pływa codziennie od 1.10 do 31.03.

Pociąg – Yangun – Mandalay – 12 500 kyatt.

Taksówki: lotnisko – Chinatown (Yangun) – 10 000 kyatt; centrum Yangun od 2000 do 4000 kyatt; taksówki w Mandalay – z okolic nad rzeką do centrum od 5000 do 8000 kyatt (pałac lub do Mandalay Hills); jazda przez cały dzień taksówką Mandalay – Mahamuni Paya – Amarapura, Inwa – Sagaing Hill – Most U Bein – cena ustalona na 50 000 kyatt; Nyuangshwe – lotnisko Heho – 9000 kyatt.

Łódź – wycieczka po jeziorze Inle – 30 000 kyatt – cały dzień wraz z przewodnikiem z Nyuangshwe – od 7.30 do 17.00 (Mr Min Hsu, Excellent Travel Agency – Main Road/Phaung Daw Pyan Road, e-mail: minmin.myintzu@gmail.com).

Samolot – Bilet lotniczy Heho – Yangon – Asia Wings – 126 USD/os. + 1000 kyatt (podatek lotniskowy) (Mr Min Hsu, Excellent Travel Agency1).

Miejsca do zwiedzania

Yangone: Shwedagon Pagoda – 8000 kyatt; Kan Daw Gyi Nature Park (dla cudzoziemców) – 2000 kyatt; wieczór z oglądaniem tańców birmańskich i kolacją w formie bufetu – Karaweik Palace – 30 000 kyatt, dodatkowo napoje np. Campari 2500 kyatt, w cenie wliczone występy od 18.30 do 21.00; Botahtaung Pagoda, relikwia świętego włosa Buddy – 3 USD za osobę, ale bezpłatnie robienie zdjęć czy kręcenie filmu; Myanmar Drug Elimination Museum (Hanthawaddy i Kyuntaw Street) – 3 USD.

Mandalay: Mahamuni Pagoda – nie ma opłat za wstęp, ale za aparat – 1000 kyatt, cena płatka złota – 1700 kyatt; wstęp za wiele miejsc w Mandalay i okolicach, ważne 7 dni: 10 000 kyatt; Pon Nya Shin Pagoda (Sagaing Hills) – opłata tylko za aparat – 300 kyatt.

Bagan: wstęp do wszystkich obiektów w Bagan na 5 dni – 15 USD.

Jezioro Inle: wstęp do strefy jeziora Inle – ważne na tydzień od wydania – 10 USD (euro) – powyżej 5 roku życia.

Ceny w sklepach

Woda mineralna – 300–400 kyatt; piwo Tiger, Myanmar – 1100–1300 kyatt.

Ceny w restauracjach

Zupy: zupa akacjowa – mała – 1000 kyatt, zupa cebulowa – 3500 kyatt; roselle soup – 1000 kyatt, chickenpea soup (ciecierzyca) – mała – 1000 kyatt, lentil soup 2000 kyatt, zupa kokosowa – 2000 kyatt.

Przekąski i drugie danie: smażone tofu – 2000 kyatt, tempura – 2500 kyatt, bruschetta – 4000 kyatt, pizza – 7500 kyatt, spaghetti z pomidorami – 4500 kyatt, vegetarian spring roll 3500–4000 kyatt, baranina z ziemniakami curry – 12 500 kyatt, ryż – 1000 kyatt, shan tofu – 3000 kyatt, egg curry – 2600 kyatt, ryż ziemniaczany – 1500 kyatt, ryż pomidorowy – 1500 kyatt, smażony ryż – 1800 kyatt, fried vermicelli (smażone cienkie kluski z warzywami) – 3500 kyatt, smażony ryż z warzywami – 3500 kyatt.

Napoje i desery: herbata – 1000 kyatt, kawa birmańska – 500 kyatt, kawa – 2000 kyatt, cappuccino – 3000 kyatt, piwo Myanmar (0,64 l) – 3500–4000 kyatt, fried banana – 1500 kyatt, woda mineralna – 400 kyatt.

Do podanych cen, które pochodzą z różnych restauracji, zwykle dolicza się w rachunku za usługę 10% oraz 5% podatku.

Pierwszy dzień – Wrocław – Warszawa – Doha

W Warszawie było 12 stopni, pochmurno, w Katarze zaś miało nas oczekiwać co najmniej 20 stopni więcej. Z naszego samolotu zaledwie kilkanaście osób zostawało w Katarze, reszta wysiadła, aby udać się do punktu transferowego i ruszyć w dalszą podróż. Na odprawie granicznej personel był wyłącznie męski. Urzędnik, który zaczął przeglądać nasze paszporty, ubrany był jak wszyscy w przepisową białą dżalabiję i chustę na głowie przytrzymaną przez czarną opaskę. Po wydaniu z karty kredytowej po 100 rialów katarskich (nie można było zapłacić gotówką), co stanowi równowartość około 90 PLN, zostaliśmy posiadaczami pieczętki uprawniającej nas do miesięcznego pobytu w tym najbogatszym kraju świata. Najbogatszym pod względem dochodu na jednego mieszkańca. Ale ten przelicznik dotyczy tylko rodowitych obywateli, których jest podobno niecałe 15%, a może i 25% mieszkańców (350 tysięcy). Pozostali rezydenci pochodzą z różnych kontynentów, choć ze względu na bliskość najczęściej bywa tu Hindusów oraz Egipcjan.

Przesunęliśmy wskazówki zegarka o godzinę i odnaleźliśmy punkt wymiany walut. Wymiana dolarów na lotnisku wymagała dokładnego czytania obowiązujących zasad. Za 99 USD płacono się 2 riale „comission”, ale już za 100 USD stawka wzrastała do 15 riali. Nie przeczytałem tego co trzeba i za 100 USD dostałem o 15 riali mniej. Taksówka do naszego hotelu kosztowała 50 riali, ale i odległość z lotniska do miasta nie była zbyt duża. Po około kwadransie byliśmy już w hotelu. Była już północ i nie wychylił się już nosa poza pokój.

Drugi dzień

Nasz pokój był olbrzymi, aż trudno było przywyknąć. Zmęczenie dawało nam się we znaki. Nic więc dziwnego, że pokój opuściliśmy dopiero koło 14. Bez okularów przeciwsłonecznych lepiej było nie wychodzić z hotelu. Ulice były puste, sklepy pozamykane. To nie była dobra pora na zwiedzanie. Większość ulic służy posiadaczom aut, chodniki zaś służą mieszkańcom, aby wysiąść z auta i dojść do sklepu. Stara część miasta, czyli suk Waqif do początku lat siedemdziesiątych był położony tuż nad morzem. Od czasu do czasu morze zalewało pobliskie tereny. Potem zaczął się proces odzyskiwania lądu na jakże cenne w tym mieście działki budowlane. Brzeg morski oddalił się w ten sposób od suku. W latach 90. zaczęto przywracać blask tej okolicy, odbudowując nieraz od podstaw sklepy czy kawiarnie z użyciem tradycyjnych materiałów, jak glina, kamień czy drewno umocnione gipsem.

Z labiryntów uliczek wyszliśmy na pieszy, szeroki deptak stanowiący oś wystawową suku. Mieści się przy nim szereg restauracji oferujących smaki Maroka, Egiptu czy Włoch. Tuż obok wielkiego parkingu dla samochodów w starej dzielnicy Doha znajdowała się zagroda dla wielbłądów. Mieszkańcy dawno się już przesiedli do wielkich samochodów, ale nic nie szkodzi, aby pokazać światu swoje korzenie. Podobno rano odbywa się nawet przechadzka wielbłądów. Wstawiliśmy jednak zbyt późno, aby móc tego doświadczyć. Kilkaset metrów od tej zagrody usytuowano stajnie dla koni. Większość z nich tęsknie wyglądała ze swojego boksu na otwartą zagrodę, gdzie niektórym wierzchowcom pozwolono się wyhasać.

W pobliżu znajdował się jeden z największych w tej części świata targ dla myśliwych pustyni. W wielu pomieszczeniach wystawiono sokoły, których ceny osiągały zawrotne sumy. Ptaki miały oczy zakryte kapturkami i czekały na podstawkach na swojego kupca. W pobliżu znajdował się kilkupiętrowy budynek mieszczący szpital dla sokółów. To podobno największa tego typu instytucja na świecie. Wieczorem suk znacznie się ożywił. Od morza wiał wiatr i można było usiąść na zewnątrz przy stoliku, przyglądając się spacerom wieloetnicznej ulicy. Zdarzały się i kobiety okryte na czarno od stóp do głów, ale akcja „Szanujcie nasze obyczaje” skierowana do Europejczyków nie odnosiła tutaj jeszcze sukcesów. Trafiały się i krótkie spódnice, odkryte ramiona czy czułości w miejscach publicznych. A w miarę jak zaczęła się zbliżać Mistrzostwa Piłki Nożnej 2022 roku, władze Kataru będą musiały jeszcze popuścić w strefie obyczajów. Najbarwniejszy okazał się targ gołębi, choć nazwa była nieco myląca, gdyż dominowały rozwierkane papugi. W ofercie były też inne ulubione zwierzązki, jak małe króliczki, kotki, a nawet szczury.

I mnie też opanował szal kupowania. Cekał mnie przecież już niedługo bal kostiumowy z różnych krajów świata z okazji 20-lecia OSOTT-u. Nie namyślałem się zbyt długo i zdecydowałem się na kupno pasującej rozmiarowo białej tuniki zwanej *kandura* czy też *dish-dash*. Do tego jeszcze wziętem białą chustę na głowę zwaną *goutra* i czarną opaskę z dwoma frędzlami spadającymi z tyłu na ramiona zwaną *igal*, która miała za zadanie utrzymywać chustę na głowie. Wyglądałem prawie jak rasowy Katarczyk i to za jedyne 130 PLN (140 riali, po obniżce ze 150).

Trzeci dzień – Katar i wylot do Yangone

Na transport publiczny w Katarze nie ma co liczyć. Po dzielnicy biurowej jeżdżą autobusy dwóch linii: błękitnej i czerwonej, ale nie dojeżdżają do południowej części miasta. Za co należy władze pochwalić, to za bezpłatny przejazd. Za wszystko płaci emir. Tym razem nie można było spać do południa, bo musieliśmy się wymeldować. Dano nam jednak szansę, aby przesunąć wymeldowanie na godzinę 14. Śniadanie w hotelu kosztowało 75 riali, więc woleliśmy spałaszować śniadanko w knajpce marokańskiej na starym suku, gdzie oferowano m.in. szakszuskę, czyli zapiekane jajka na ostrym sosie pomidorowym z różnymi przyprawami. Tym razem na deptaku i w sklepach było pustawo.

Złapaliśmy taksówkę, którą wzdłuż malowniczej promenady wysadzaney palmami, zwanej Corniche dotarliśmy do dzielnicy drapaczy chmur. Tam również można się było jedynie poruszać samochodami, chodniki dla pieszych kończyły się po kilkudziesięciu metrach, albo też służyły wyłącznie temu, aby wyjść z budynku i dojść do stojącego na parkingu auta. Z daleka dzielnica wygląda futurystycznie i ciekawie. Z bliska jedyne

miejsce, gdzie warto było wysiąść z samochodu, stanowiła galeria handlowa. Wróciliśmy więc na stare śmieci do restauracji przy deptaku. Okazało się jednak, że również w Doha taksówkarze jak świat światem próbują „ograć” swoich klientów, jeśli nie zapyta się o cenę lub nie zażąda włączenia taksometru. W jedną stronę zapłaciliśmy 40 riali, a w drugą – przy włączonym taksometrze – jedynie 14 rialów. Rada: najlepiej usiąść z przodu i być czujnym.

Na lotnisku byliśmy na dwie godziny przed odlotem. Lot trwał sześć godzin, ale trudno było się wyspać, gdyż co chwilę zapalano światło i roznoszono posiłki. Wreszcie przyszedł moment, gdy samolot dotknął kołami płyty lotniska w Yangunie.

Czwarty dzień – Rangun (Yangone)

Kwestia wizy do Birmy okazała się prostsza niż myślałem. Na początku września 2014 roku można było już o wizę wystąpić drogą internetową. Trzeba było zapłacić za wizę 50 USD z karty kredytowej, wysłać cyfrowe zdjęcie w kolorze zrobione w ciągu ostatnich 3 miesięcy i mieć paszport ważny przez 6 miesięcy. Jako miejsce przybycia podaliśmy lotnisko w Rangunie, ale nie trzeba było już rezerwować lotu. I to wszystko bez ruszania się z miejsca i wydawania dodatkowych pieniędzy za pośrednictwo czy jazdę do ambasady w Berlinie. Czekaliśmy 5 dni aż przyszła przez Internet pozytywna decyzja, z czasem ważności wizy na 3 miesiące.

Ten voucher wydrukowałem i mogłem wręczyć go urzędnikowi na granicy. Pierwsze wrażenie po żółtym kolorze monochromatycznego Kataru wspaniałe. Trafiliśmy na eksplozję zieleni. Taksówka z klimatyzacją do centrum miasta kosztowała 10 dolarów, czyli 10 tysięcy kyattów. W porównaniu do innych metropolii świata tylko w Quito z lotniska do centrum było taniej. Zabrało nam to więcej niż pół godziny, gdyż nasz hotel był po drugiej stronie miasta w chińskiej dzielnicy. Wejście do hotelu Grand United 21st Street i sama ulica niczym się nie wyróżniała z otoczenia. Wąskie ulice, wokół jadłodajnie, na świeżym powietrzu z małymi plastikowymi krzeselkami stanowiły kontrast do tego co miał nam do zaoferowania hotel. Sztandarowy taras widokowy z chromowanymi poręczami i dużymi parasolami na dziewiątym piętrze, który przyciągnął moją uwagę przy wyborze hotelu, był miejscem, gdzie podawano gościom śniadanie lub obiady. Odpoczęliśmy, sprawdziliśmy Internet, coś tam zjedliśmy i ruszyliśmy przed siebie w miasto.

Najwygodniejszym środkiem transportu w Yangon, pomimo ciągłych korków ulicznych, pozostaje taksówka. Prawie co drugie auto w centrum to taksówka. Panuje tu zakaz używania jednośladów, co odróżnia miasto od Hanoi czy Sajgonu. Ceny za przejazd taksówką nie były wygórowane – średnio przejazd kosztuje 3 tys. kyattów, choć zdarzało się nam płacić po 2 i 4 tys. Najważniejszym punktem miasta pozostaje pagoda Shwedagon. Tam też się i wybraliśmy. Wysiedliśmy w pobliżu dwóch wielkich stworów – ni to gryfów, ni lwów, jakie często widzi się przy świątyniach buddyjskich. Świątynia i jej centralny punkt – złota stupa mieszczą się na wzgórzu, do którego prowadzą wejścia z czterech stron. My wybraliśmy południową bramę, położoną od strony jeziora Kandawgyi. Zanim dotknęliśmy schodów należało zdjąć nie tylko buty, ale i skarpetki, wrzucić jakiś datek i już boso podążać do świątyni. Przejście było zadane i chroniło przed słońcem czy ulewami w porze deszczowej. Mieściło się tam mnóstwo sklepików z wyrobami typowymi dla kramów odpustowych. Wśród dewocjonaliów dominowały przeróżne figurki Buddy. Na szczycie schodów znajdowała się kasa, gdzie od cudzoziemców ściągane są opłaty, tym razem w wysokości 8 tys. kyattów. Nie brako-

wało też punktów wymiany waluty. Na tablicy kursów wymienione były tylko trzy waluty: dolar amerykański, euro i dolar singapurski.

Znakiem rozpoznawczym Shwedagon i Yangunu jest złota stupa, ale ona stanowi jedynie środek całego kompleksu. Tym razem trwały prace remontowe i przykrywał ją gąszcz rusztowań, a z części jej zdjęto złotą powłokę. Wokół stupy pobudowano w ciągu wieków wiele innych mniejszych stup, świątyń z licznymi posągami Buddy, pawilonów, kapliczek. Strumień pątników porusza się w kierunku wskazówek zegara, ale nie ma przymusu, można sobie pójść w drugą stronę. Turyści giną w masie Birmańczyków, dla których ta świątynia jest najświętszym miejscem w ich kraju.

Wracając do hotelu, wstąpiliśmy po drodze na stację kolejową, gdyż postanowiliśmy wybrać się do Mandalay koleją. Biletów na następny dzień nie sprzedawano na dworcu kolejowym, ale udało się odnaleźć miejsce przedsprzedaży. Pod blaszanym dachem na klepisku znajdowało się szereg stanowisk, gdzie tak jak za dawnych brytyjskich czasów wpisywano wszystkie dane do starej księgi, a bilet wypisywano odręcznie. Za 12,5 tys. kyattów za każdego z nas otrzymaliśmy bilet do Mandalay w przedziale z miejscami sypialnymi (Upper Class Sleeper).

Piąty dzień – Yangone – Mandalay

Stacja kolejowa w Yangunie przypomina pałacyk. Na peron wpuszczano tylko po okazaniu biletu. Kolejne 14 godzin mieliśmy spędzić w przedziale z dwoma Birmańczykami. Ruszyliśmy i nasza lokomotywa stopniowo zaczęła się rozpędzać. Zbyt szybko nie mogła, gdyż tory stanowiły arterię komunikacyjną dla mieszkańców Yangunu. Okresowo jazda pociągiem przypominała niemal doświadczenia z rollercoasterem. Nierówne tory i zawrotna prędkość jak na te warunki sprawiały, że co chwilę unosiliśmy się w powietrze. Klimatyzacja nie była potrzebna. Okna były pootwierane na oścież, a wiatrak wentylatora leniwie przesuwiał się pod sufitem. Uważać trzeba było tylko, aby nie wałnąć się w głowę przy wstawaniu. Co stację wpadali sprzedawcy, u których w odróżnieniu od restauracji piwa nigdy nie brakło i zawsze była świeża dostawa. Piwo tak jak bułeczki było tak świeże, że jeszcze ciepłe.

Szósty dzień – Mandalay

Pociąg wprawdzie miał mieć duże opóźnienie, ale ostatecznie nadrobił i na stację w Mandalay wjechaliśmy tylko z półgodzinnym opóźnieniem. Dla tych, którzy odjeżdżają ze stacji Mandalay, dworzec wygląda bardzo reprezentacyjnie i nowocześnie. Dla tych, co wysiadają z pociągu, jest jak w Birmie. Nie muszą się niczemu dziwić. Wygląda równie staroświecko i ponuro jak na stacji w Yangunie. Niezłe się też trzeba natrudzić, aby wyjść na zewnątrz. Wpierw wejście po stromych schodach, gdzie ktoś z obsługi odbiera pasażerom ich bilety (nie dało się zachować ich na pamiątkę), potem w dół, a dalej jeszcze raz do góry i w dół, i można już było wziąć taksówkę. Nasz hotel położony był nad rzeką Irawadi. Personel hotelu spisał się na piątkę, gdyż mogliśmy otrzymać pokój zaraz po przyjeździe. Trochę relaksu i wczesnym popołudniem wzięliśmy taksówkę do pałacu królewskiego. Potężne mury otoczone szeroką fosą zajmują powierzchnię ponad 2,5 km². Mury miasta obejmowały kiedyś całą dzielnicę zamieszkaną przez ludzi z wyższych sfer, kiedy to Mandalay stał się stolicą Birmy w 1857 roku. Obecnie dla cudzoziemców otwarta jest tylko brama wschodnia. Tam też kupuje się bilet, który kosztuje 10 tys. kyattów; ważny jest przez 5 dni i obejmuje większość atrakcji w samym Mandalay i w pobliskich miejscowościach. W tym miejscu znajdo-

wał się kiedyś kompleks pałacowy będący rezydencją ostatniego króla Birmy Thibawa i jego jedynej żony, pięknej Supayalat. Podczas II wojny światowej toczyły się tu zaciekle walki pomiędzy armią brytyjską i japońską, w wyniku czego znajdujący się tu pałac uległ całkowitemu zniszczeniu. W latach 90. odtworzono w większości dawne zabudowania pałacowe. Obecnie wzrok przyciąga szczególnie Wielka Sala Audiencyjna przykryta siedmioma dachami; umieszczono tam posągi dwóch ostatnich władców z ich małżonkami.

Otrzymaliśmy propozycję od kierowcy co do objazdu trzech innych stolic Birmy i to wszystko w jeden dzień. Władcy Birmy mieli w zwyczaju od czasu do czasu przenosić stolicę o te kilka czy kilkanaście kilometrów dalej. Wtedy część budowli rozbierano i stawiano już w nowej stolicy. Ułatwia to poznanie historii Birmy współczesnemu turysty. Cena 50 dolarów za cały dzień i możliwość odwiedzenia łącznie 4 stolic brzmiała ciekawie i w końcu wieczorem ostatecznie umówiliśmy się na całodniową wycieczkę.

Do zachodu słońca nie zostało już zbyt dużo czasu. Najlepszym miejscem na spektakl pt. zachód słońca było Mandalay Hill, 250 metrów nad doliną rzeki Irawadi. Można tam było wejść schodami, ale dopiero po zdjęciu butów i skarpetek. Dla tych, co zbyt dużo czasu nie mieli, lepiej było skorzystać z taksówki. Na taras widokowy położony na szczycie buddyjskiej świątyni prowadziły ruchome schody. Ulga dla tych, co całą drogę przeszli na własnych nogach. Panorama Mandalay przyciągnęła sporo turystów i mnichów. Ci ostatni aż Ignęli do przybyszów z innych kontynentów, bo była to dla nich wspaniała okazja na praktyczną lekcję języka angielskiego. Wieczorem odwiedziliśmy godną polecenia restaurację Green Elephant. Stoliczki w ogrodzie, kadzidełka przeciw komarom, piwo Myanmar, reszta była też wyborna. Ciemno się robiło – i to tak jest w tej części świata cały rok – około wpół do szóstej, więc zazwyczaj nasza kolacja zwykle kończyła się dość wcześnie. Starczyło w tym dniu nam jeszcze czasu, aby wrócić do hotelu i zamówić piwo podczas występu teatru marionetkowego w restauracji na dachu hotelu. Teatryki marionetkowe to szczególna specjalność tego miasta, a marionetki są jednym z najczęstszych przedmiotów oferowanych w sprzedaży.

Siódmy dzień – okolice Mandalay

Ośma rano. Pierwszy przystanek zrobił sobie nasz kierowca. Odebrał z bocznej uliczki najważniejszy pakunek, który pozwolił mu przetrwać cały dzień, czyli paczuszki betelu. Jak tylko spróbował pierwszy pakunek, jego angielski stał się dla nas jeszcze bardziej młaskający i mniej zrozumiały, gdyż cały czas miał w ustach betel.

Najbardziej czczonym miejscem w Mandalay jest świątynia Mahamuni Paya. Przed wejściem trzeba oczywiście zdjąć buty i skarpetki, które dzięki gościnności naszego kierowcy zostawialiśmy w samochodzie. Ale nie od razu bosymi stopami można dostać się do wnętrza świątyni. Wpierw trzeba podreptać pod zadaszonym przejściem wzdłuż setki sklepików, aby wreszcie ujrzeć posąg Buddy mierzącego nieco ponad 4 metry. Wejście nic nie kosztuje, ale już za robienie zdjęć pobiera się opłaty. Wypada też kupić mały pakuneczek zawierający cieniuteńkie płatki złota. Nie ma tu równouprawnienia płci. Kobiety nie mogą pójść do samego posągu Buddy, gdyż według prawa mogą tam zbliżyć się tylko mężczyźni. Bez znaczenia buddyści lub nie. Kobietom pozostaje więc tylko czcić figurę w dozwolonej odległości, gdzie można i fotografować.

Klasztor Maha Ganayon Kyaung, położony w pobliżu słynnego mostu U Bein, stanowi centrum studiów nad buddyzmem od prawie 100 lat. Pogłębia tutaj swoją edu-

cję ponad tysiąc mnichów prawie w każdym wieku. Są tu i siedmiolatki, ale przeważają młodzi ludzie w wieku dwudziestu, dwudziestu pięciu lat. O ściśle wyznaczonej porze, o godzinie 10.15 ma tutaj miejsce tzw. mnisi lunch. Na parkingu o tej porze prawie nie było już miejsca. Codziennie rano klasztor jest miejscem zjazdu wszystkich grup wycieczkowych, a liczba turystów może zbliżać się do liczby samych mnichów. Mnisi, obojętni na ten tłum turystów, ustawiali się w dwóch rzędach, podążając swoim rytmem w kierunku sali jadalnej. Każdy z nich dzierżył miskę wypełnioną ryżem z różnymi przyprawami; z obu stron prawie równoliczna grupa turystów strzelała im jak co dzień tysiące zdjęć. Ta swoista procesja trwała bez przerwy wiele, wiele minut, co raz dołączali kolejni mnisi w swych cynobrowych szatach. Nawet jak już weszli do jadalni, podglądanie przez okna trwało dalej.

Ruszyliśmy dalej. Kierowca uparcie zatrzymywał się tam, gdzie wszystkie inne wycieczki. Nie zabrakło nas przy pracowni tkania długich szat birmańskich czy snycerstwa. Nie był jednak zarówno on, jak i sami sprzedawcy, pod tym względem zbyt natarczywy. To jednak nie były Indie, gdzie wszyscy pospół – kierowcy i sprzedawcy – próbują wydusić ze swojego potencjalnego klienta każdy grosz, a raczej kyatt. Mogliśmy wejść i wyjść bez żadnych tłumaczeń, dlaczego nic nie chcemy kupić.

Opuściliśmy jedną ze stolic Amarapurę, dokąd mieliśmy jeszcze poprowadzić popołudniową porą, aby zjechać do kolejnej stolicy o znacznie starszym rodowodzie. Inwa czy też Ava była stolicą czterokrotnie w latach od 1364 roku do 1841 roku. Obecnie najszybciej tam było się dostać motorową łodzią na drugi brzeg rzeki, która stanowiła dopływ rzeki Irawadi. Witały nas tam prawdziwe wiejskie zapachy. Bo głównym środkiem komunikacji pozostaje tam bryczka zaprzęzona w chudą szkapę. Potrafiła pociągnąć woźnicę, naszą dwójkę z plecaczkami i sam wózek. Razem przynajmniej pół tony. Za 8 tys. kyattów w ciągu półtorej godziny mieliśmy okazję zwiedzić cztery zabytki.

Inną atrakcją jest Sagaing. Aby tam dojechać, należy skorzystać z mostu. Obecnie jest ich nawet aż dwa do wyboru. Przed wjazdem trzeba było uiścić jakąś drobną opłatę. Zresztą bramki do płacenia za przejazd drogą spotyka się dość często. Nie ma znaczenia, czy jest to droga przypominająca szwajcarski ser, czy autostrada z krwi i kości. Sagaing słynie z ponad pięciuset klasztorów, których białe punkciki widzi się zarówno płynąc rzeką, jak i wspinając się po pagórkach. Dla pieszych są dróżki czy schody, a dla tych zmotoryzowanych sieć dróg asfaltowych. Mieszka w tej okolicy ponad 6000 mnichów.

Godzinę przed zachodem słońca dotarliśmy do ikony Birmy, czyli Mostu U Bein. Pod zachód słońca most staje się niemiłosiernie tłoczny. Szeroki jest na tyle, iż może się minąć swobodnie dwoje, a czasem i troje ludzi. Wszystko dzieje się na wzór włoskich przechadzek po miasteczku. Wieczorem kolejny raz odwiedziliśmy Green Elephant, zastanawiając się, co czynić następnego dnia: płynąć czy jechać do Bagan. Sprawa okazała się bardzo prosta. W hotelu sprzedali nam bilety na statek i wystarczyło się tylko o odpowiednio wczesnej porze obudzić, co nam już prawie weszło w krew.

Ósmy dzień – rzeka Irawadi

Nasz statek miał trzy pokłady. W ramach biletu mieliśmy zapewnione już śniadanie i obiad. Po kilkunastu minutach od wypłynięcia minęliśmy zabudowania miasta i już niedługo na horyzoncie pojawiła się charakterystyczna sylwetka dwóch mostów rozpiętych nad rzeką i jednocześnie dziesiątki, jeśli nie setki białych i złotych sylwetek pagody rozproszonych na wzgórzach Sagaing. Naszą podróż urozmaicał rytm posił-

ków, które tym razem były na wskroś wegetariańskie. A do tego jeszcze nie brakowało piwa. Nie mogliśmy więc skarżyć się na monotonię, nawet porównując z atrakcyjną jazdą pociągiem. Późnym popołudniem zgodnie z rozkładem jazdy statek przybił do brzegu rzeki, a na pokład wbiegli pierwsi tragarze, oferując swą pomoc w wyniesieniu bagaży. Mała chybota kładka przy zejściu ze statku na ląd nieprzypadkowo taką była. Dla tych z walizkami było to zadanie dość karkołomne, by nie wywalić się z nimi do rzeki. Uznaliśmy, że damy sobie radę, i tak się stało. W pobliżu była już cała armia witających i oferujących swoje hotele i środki transportu, do wyboru. Można było przejechać się dwukołowym lub cztero kołowym wózkiem zaprzężonym w jedną szkapę lub taksówką. Na rogatkach miasta trzeba było wykupić bilet ważny na zwiedzanie zabytków Paganu. Bilet był ważny przez kolejne pięć dni i kosztował 15 USD lub 15 euro. Po przybyciu na miejsce starczyło jeszcze nam czasu na powitanie zachodu słońca z pobliskiej świątyni i przejażdżkę rowerem do wynalezionej w sieci restauracji wegetariańskiej Moon.

Dziwiasy dzień – Bagan

Najlepszą formą zwiedzania rozległych ruin Baganu (lub Paganu) okazał się dla nas elektryczny skuter, zwany tu popularnie e-bike. Doświadczenia z poprzedniego dnia z jazdy rowerem po ciemku i myśli, że będziemy musieli naciskać na pedały w samo południe przy trzydziestokilkustopniowym upale, odstraszyły nas od azjatyckich rowerów, nawet jeśli cena ich wynosiła 2 dolary. Koszt wynajęcia skutera na jeden dzień wynosił 8 tys. kyattów – ale ta czterokrotna przebitka wynagradzała wygodę nowego środka transportu. To cudo wprawdzie nie osiągało jakichś zawrotnych prędkości (mniej niż 30 km/h) i dostawało zadyszki, gdy chciało się tym podjechać pod górke. Ale teren był równy, więc nie miało to aż tak dużego znaczenia. Można było za to wjeżdżać na każdą polną drogę.

W tym dniu rozpoczęliśmy zwiedzanie od najbliższej nas położonej części rozległego kompleksu, zwanego Starym Pagan. Podjechaliliśmy naszymi skuterkami pod sporych rozmiarów świątynię Thatbyinyu Pahto, czyli najwyższą świątynię w Pagan mierzącą 68 metrów wysokości. Podjeżdżały tam dziesiątki autobusów ze szkolną wycieczką z miasta Mandalay. Wszyscy byli poubierani w jednakowe jasnoniebieskie mundurki. Stanowili dla nas swoistą atrakcję (a my dla nich), gdy setkami wchodzili i wychodzili z kolejnej świątyni. Tuż obok chwasty i krzaki stanowiły przysmak dla przepędzanych tutaj przez okolicznych mieszkańców stad kóz i wychudzonych krów.

Wśród przeróżnych środków transportu przewożących turystów zdarzały się nie tylko klimatyzowane autobusy, ale i wozy na dwóch kołach ciągnięte przez jedną szkapę.

W ciągu 230 lat rozkwitu królestwa Pagan zbudowano ponad 4 tysiące świątyń, nie licząc takich budowli jak pałace czy większe domy, które się nie zachowały do dnia dzisiejszego, gdyż konstruowane były z mniej trwałych materiałów.

Okolica jest narażona na trzęsienia ziemi i w ciągu ostatnich 800 lat odnotowano ich co najmniej 16, z czego najbardziej niszczące było w roku 1975. Obecnie gorączka budowlana trwa, bo i sponsorów łatwo znaleźć zarówno w kraju, jak i za granicą. Są to wierni z krajów buddyjskich, takich jak Japonia czy Tajlandia, którzy w ten sposób dbają, aby poprawić swoją karmę. Wiele stup jest w idealnym stanie, gdyż szacuje się, że w ciągu ostatnich 20 lat zbudowano od podstaw około 1300 budowli sakralnych.

Dziesiąty dzień – Bagan

Prognozy co do ruchu turystycznego w Birmie wyglądają imponująco. Z danych za obecny rok 2014 od stycznia do sierpnia włącznie okazało się, że do Birmy przybyło prawie 700 tysięcy osób z zagranicy, czyli prawie 90 tysięcy na miesiąc. Miejscowi narzekają, że w martwym sezonie (czyli od kwietnia do września), kiedy to temperatury podnoszą się ponad 40 stopni, a następnie pojawia się pora deszczowa, turystów prawie nie ma. Nie do końca się to zgadza z oficjalnymi liczbami, bo w tych miesiącach sporo osób wybiera się na letnie wakacje i nie zważa na meandry pogodowe.

Tym razem udało się nam wstać niemal ze wschodem słońca. To najlepszy czas na zwiedzanie, kiedy unoszą się mgiełki, a słońce jest wciąż jeszcze słabowite. Na samym południu zachowało się na obrzeżach ruin Pagan kilka wiosek. Ich mieszkańcy bardzo chętnie służą pomocą i od razu ruszają szukać „kluczniaka”, jeśli pagoda jest jeszcze zamknięta. W Pagan po opłaceniu za 5 dni wstępu nie ma już osobnych opłat za wejście, więc miejscowi liczą na jakieś drobne napiwki czy zakup kolejnego zestawu pocztówek. Jechałem przez bezdroża, potem małe wioseczki i wyglądało, że tylko coraz bardziej się oddalałem od mojego hotelu. Wreszcie natrafiłem na drogę asfaltową. Zaczynało się robić coraz goręcej, aż w końcu dojechałem do Nowego Paganu, miejscowości, gdzie mieści się całkiem duża liczba hoteli nieraz dość luksusowych. Stamtąd miałem jeszcze trzy kwadranse jazdy, jako że skuterek szybciej niż 20–25 km/h nie wyciągał. Ale zdążyłem jeszcze być przed dziewiątą na śniadaniu.

Niedaleko naszego hotelu znajdowała się świątynia Shwezigon Paya. Tak jak przy większości czynnych świątyń, należało wpierv przejść przez pasaż handlowy. Sprzedawano tam dosłownie wszystko, nie tylko buddyjskie dewocjonalia. Ta świątynia oferowała jednak coś więcej niż dziesiątki czy setki mniejszych lub większych posągów Buddy. Aby to „więcej” zobaczyć, trzeba było skierować się do jednego z bocznych pomieszczeń. Było tam 37 figurek bóstw opiekuńczych – natów. Większość z figurek ustawionych rzędem doznawała istotnej czci wiernych. Wdzięczni za opiekę i łaski oddawali swoich dobroczyńców banknotami o różnych nominałach czy też naszyjnikami.

Moją ulubioną świątynią, obok której nieraz przejeżdżaliśmy, skracając sobie drogę do świątyń Centralnego Płaskowyzu, była Świątynia Ananda. Znajdowała się już poza obrębem murów Starego Paganu. Zachwycała swoim kształtem i spiczastą złotą iglicą na wysokość 56 metrów – była jednym z najbardziej charakterystycznych obiektów Paganu. Jest licznie odwiedzana zarówno przez wiernych, jak i turystów. Sprzedawców było więc zatrzęsienie, nie tylko przy schodach wejściowych, ale niemal w każdym prawie zakamarku świątyni. Przyznam szczerze, że da się z nimi jakoś żyć i nie obrzydzają swoją natrętnością kontemplowania świątyni. Oferty nieraz mają ciekawe, np. kolekcję banknotów z całego świata. W ich zbiorach znajdowały się i czerwone stużłotówki z Waryńskim, jak i inne banknoty z dawnych krajów socjalistycznych. Wymiana może być barterowa, najlepiej na nowsze nominały dolarów.

Świątynią obleganą szczególnie podczas zachodów słońca jest już tradycyjnie Shwe-san-daw. Po południową porą ruch na drodze gruntowej do tej pagody przekraczał wszelkie granice, a na poszczególnych tarasach tej świątyni coraz trudniej było znaleźć po zachodniej stronie jakąkolwiek przestrzeń. To było jedyne miejsce w Pagan, gdzie sprawdzano bilet wstępu. Świątynia ma formę piramidy, na którą można się wspiąć po schodach, po drodze wstępując – jeśli się ma ochotę – na każdy z pięciu tarasów. Można się nimi było przespacerować dookoła i przyjrzeć przepyszej panoramie.

Wieczorem ostatecznie dowiedzieliśmy się, że uda się nam polecieć balonami. Wcześniej mogliśmy przeczytać, że trzeba rezerwować miejsce na kilka tygodni z wyprzedzeniem. A jednak, gdy zapytaliśmy się w naszej recepcji, okazało się, że dwa wolne miejsca się znalazły i należało tylko wysupłać bagatela... po 320 dolarów za osobę. Nie ma okazji ominąć tych zaporowych cen. Zdecydowaliśmy się i następnego dnia rano wszystkie budziki poszły w ruch, abyśmy nie przespali naszego przelotu balonem.

Jedenasty dzień – przelot balonem nad Pagan

O wpół do szóstej rano czekaliśmy na boisku sportowym w pobliżu złotej stupy buddyjskiej pagody w Bagan, aż zostanie napompowany balon, którym mieliśmy wznieść się w powietrze. Do kosza weszło łącznie czternaście osób i o szóstej rano zaczęła się nasza balonowa przygoda nad starożytnym birmańskim miastem Bagan. Razem z nami niemal jednocześnie odfrunęło jeszcze pięć, a może nawet i więcej balonów. Wiatr pchał nasz balon jak co dzień na południe. Coraz bardziej oddalaliśmy się od szerokiej wstęgi rzeki Irawadi, co jakiś czas wznosząc się raz wyżej, potem niżej i znowu do góry. Lot trwał niecałą godzinę; pokonaliśmy w linii prostej nie więcej niż kilkanaście kilometrów, aż przyszła komenda schodzenia do lądowania. Kiedy już dotknęliśmy ziemi, doskoczyła do nas cała drużyna chłopaków, próbując utrzymać nasz kosz na ziemi i jednocześnie uwolnić sznury naszego balonu z korony drzew. Operacja lądowania odbywała się planowo na jakimś pastwisku, chwilowo wolnym od inwentarza. Do tradycji należy w takiej chwili uczczenie tego lampką szampana z kawałkiem chleba bananowego. Ba, nawet można było prosić o dolewkę szampana.

Powróciliśmy do naszego hotelu tym samym pojazdem pochodzącym z demobilu z czasów II wojny światowej. Niestrudzeni rannym przelotem ponownie wsiedliśmy na nasze skuterki i pojechaliśmy jeszcze raz na odkrywanie świątyń Paganu. Przy którejś ze świątyń nawiązaliśmy rozmowę z jednym z kierowców. Od dwóch dni negocjowaliśmy bowiem wciąż z małym biurem turystycznym, jak by tu dojechać nad jezioro Inle. Miał być samolot, ale miejsca były już wykupione lub też nazwa linii nie budziła naszego zaufania. W końcu już machnęliśmy ręką i zgodziliśmy się na przejazd w tym biurze z kierowcą prywatnego auta. Po wpłaceniu zaliczki okazało się następnego dnia, że mamy coś dopłacić i byliśmy w rozterce. A tu okazało się, iż cena za przejazd mogła być znacznie, znacznie niższa. Wzięliśmy wizytówkę naszego potencjalnego kierowcy i umówiliśmy się, że damy wkrótce znać.

Lunch najprzejemniej nam się spędzał w restauracji Moon. Dbano tam o nas i chyba nie wyobrażano sobie kolejnego dnia, jeśli byśmy ich nie odwiedzili. Nasze rumaki zostawialiśmy przed wejściem, bez troski o zamykanie na kluczyk. Po południu odebraliśmy swoje pieniądze w biurze turystycznym, które wpłaciliśmy dzień wcześniej na poczet naszego przejazdu autem do Inle. Mieliśmy mocną pozycję przy ponownych negocjacjach o cenę za podróż do Nyuangshwe i zwyżka o kolejne 20 czy 50 USD była dla nas Rubikonem nie do przekroczenia. Chłopak zza biurka wołał nam oddać pieniądze niż opuścić cenę; niedługo później spotkaliśmy się w hotelu z kierowcą oferującym tańszą formę przejazdu, choć oferta już wzrosła do 150 tys. kyattów, ale i tak było taniej.

Dwunasty dzień – Przejazd nad jezioro Inle – Nyuangshwe

Dzień drogi. Po czterech dniach opuszczaliśmy na dobre Bagan. Drogi były nie-raz dziurawe, ale przede wszystkim zatłoczone, szczególnie podczas przejazdu przez mniejsze i większe wioski. Po takim miejscu jak Bagan małe miasteczko Nyuangshwe

w pobliżu jeziora nie wzbudza już takiego zachwytu. Niedługo przed wjazdem do miasteczka trzeba było uiścić turystyczne myto, czyli bilet na okolicę jeziora Inle po 10 dolarów lub euro, bo w tej części świata różnica pomiędzy dolarem a euro jest znikoma pod względem kursu.

Ostatecznie dojechaliśmy do Nyuangshwe po ośmiu godzinach i do zmroku zostało nam zaledwie dwie i pół godziny. Co było więc robić, oprócz zameldowania się w hotelu Golden Lotus Hotel Inle i wyboru jakiejś knajpki na lunch. Smakując zupę z soczewicy, czyli prawie standardowe i smaczne danie w większości birmańskich restauracji, przeczekaliśmy pierwszą większą ulewę podczas pobytu w tym kraju. Koniec października powinien być również końcem pory deszczowej, ale dla każdej reguły są wyjątki. Ulewa jak szybko przyszła, tak błyskawicznie ustąpiła i znowu się rozpogodziło. Przed sobą mieliśmy jeszcze kilka orzechów do zgryzienia. Po pierwsze, jak dojechać z powrotem do Rangunu, i jak spędzić mile popołudnie oraz kolejny dzień nad jeziorem Inle. Na naszej ulicy znajdowało się kilka małych biur podróży. Nasz wybór padł na ten najbliższy punkt, czyli Travel & Tours Mr. Hin Hsu. Po chwili od naszego przybycia zjawiła się tam matrona, której syn prowadził ten interes. Podobno było wszystko do załatwienia, ale dopiero po zmroku, kiedy to jej syn się miał pojawić. Jedyne co nam mogła doradzić na popołudnie, to eskapadę na pobliskie plantacje winogron.

Jednym z magnesów, który miał przyciągnąć chętnych do hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, była możliwość gratisowego skorzystania z roweru. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. To bardzo głupie przysłowie. Po przejechaniu kilometra miałem niemal już dość. Całkowity flak w tylnej oponie, tylko nieco lepiej w przedniej, do hotelu z powrotem daleko, a do winnicy niewiedomo jak daleko. Wreszcie, po tych kilku kilometrach pojawiła się upragniona tabliczka z grubymi czcionkami Red Mountain Estate. Skręciliśmy w boczną drogę, skąd widać już było rzędy winorośli na pobliskim wzgórzu. Do skosztowania było kilka rodzajów miejscowego wina: Chardonnay, Sauvignon Blanc. Klientami miejscowej winiarni byli przede wszystkim Niemcy i Francuzi. Porównywali, czy aby na pewno wino nad jeziorem Inle smakuje równie przednio jak nad Mozela czy Loarą. Po zmroku dotarliśmy do miasteczka i wybraliśmy się jeszcze raz do sprawdzonego biura podróży, gdzie zaoferowano nam wycieczkę prawie na cały dzień po jeziorze Inle oraz zapewniono, że znajdą nam również bilety samolotowe na powrót do Rangunu, tak abyśmy nie musieli przedzierać się tych kilkanaście godzin autobusem, na który podobno mogło już nie być miejsca.

Na kolację usiedliśmy w gronie innych tzw. „białasów” na tarasie chwalonej w sposób zasłużony restauracji Beyond Taste. Ceny nie były niskie, ale za to do wyboru mieliśmy wszelaką kuchnię, w której zarówno wschodnie, jak i zachodnie smaki były godnie reprezentowane na talerzu.

Trzynasty dzień – Jezioro Inle

Mieliśmy w tym dniu bardzo rozległy program. Pierwszy przystanek wypadł nam w Ywama przy pływającym targu. Już nam to wcześniej wspomniano i nie byliśmy rozczarowani, że wprawdzie targ będzie, ale na pewno nie pływający, bo poziom wody był za niski. Miejscowość Ywama stała się wielkim spędem turystów, którzy muszą obowiązkowo przejść wzdłuż bardzo długiego rzędu stoisk z pamiątkami.

Wszyscy odwiedzający przybywali o podobnej porze, czyli po śniadaniu i tak to kołtowaliśmy się we własnym sosie, zwłaszcza gdy obszar tego „kotła” nie jest tak duży,

jak w okolicy Pagan. Nasz program był prawie całodniowy i stąd popłynęliśmy później wąskim kanałem obrosniętym trzcinami do wioski Inthein czy Indein. O tej porze dnia do wioski, a w szczególności położonej na wzgórzu świątyni Shwe Inn Thein Pya, szła cała masa członków mieszkanki plemion zamieszkujących bliższą i dalszą okolicę jeziora Inle. Wszyscy oni przygotowywali się do mających nastąpić kilkudniowych uroczystości. Między nimi była najliczniejsza grupa etniczna – po Birmańczykach – czyli naród Szan. Zgodnie z tzw. wersją obowiązkową każdej, w tym również i płatnej wycieczki, mieliśmy w planie odwiedzenie przeróżnych warsztatów. Nie musieliśmy tam nic kupować, ale odwiedzić je było koniecznością. Nie było jednak żadnego nagabywania co do kupna, Birmańczycy są pod tym względem mniej natarczywi w porównaniu do Indii czy Chin. A może i liczba turystów przewijająca się codziennie jest na tyle duża, że sprzedający nie muszą walczyć o nich z dużą determinacją. Odwiedziliśmy więc i warsztat szkutniczy, produkujący długie łodzie pływające po jeziorze, zakład kowalski, manufakturę tkacką, punkt wytwarzania cygar, gdzie można by wydać każdą ilość pieniędzy, ale pod tym względem zachowaliśmy spory umiar.

Czasem jednak pomiędzy jednym sklepikiem a drugim w programie mogliśmy coś pozwiedzać. Takim miejscem okazała się Phaung Daw Oo Paya, która szczególnie ożywa podczas corocznego festiwalu buddyjskiego trwającego prawie trzy tygodnie. Termin jest ruchomy i zależy od fazy księżyca, czyli od pierwszego dnia po nowiu księżyca aż do trzeciego dnia po ukazaniu się księżyca w pełni (Thadingyut) na przełomie września i października. Przybyliśmy już niestety po terminie.

Pod koniec naszej eskapady podpłynęliśmy do stojącego nad wodą Nga Hpe Ky-aung, czyli Klasztoru Skaczących Kotów. Nazwa została, świątynia się trzyma mocno, a nawet są i koty. Niestety, ich trener jakiś czas temu umarł i nikt już ich nie ćwiczy i o pokazie skaczących kotów przez obręcz można przeczytać tylko w książkach. I to byłoby już prawie wszystko, gdyby nie legendarni rybacy wypływający nad jezioro, używając siły swojej nogi, do której mają przywiązane wiosło. Sposób dający szansę, aby dość szybko płynąć, szukając szczęścia w połowach, korzystając z ogromnych węćierzy do łowienia ryb. Ale większe korzyści przynosi im nie rybołówstwo, ale pozowanie do zdjęć.

Czternasty dzień – przelot do Yangone

Nasz hotel oprócz kiepskich rowerów miał również bardzo kiepski internet. Ale w końcu po dłuższym grzebaniu w sieci internet przyspieszył i tuż przed wyjazdem osiągnąłem swój cel. Mogłem zarezerwować hotel Green Hills Best Western na ostatnie nasze dwa dni w Yangonie. Na lotnisko Heho dotarliśmy zgodnie z planem na godzinę przed odlotem. Widząc chmury, jakie kłębiły się nad łańcuchem górskim otaczającym dolinę jeziora Inle, nie byliśmy do końca pewni, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem. Bilety dostaliśmy bezimienne, jedyne co na nich było to numer lotu i miejsca do siedzenia. Samoloty jeszcze nie lądowały ze względu na mgłę, ale podobno nie mieliśmy się czym zamartwiać, bo miały kiedyś przylecieć.

Przed wejściem do poczekalni prześwietlono nasze bagaże. Przez bramkę przeszedłem, demonstracyjnie trzymając niedopitą dużą butelkę coli. Tutaj na takie drobiazgi nikt nie zwracał uwagi.

W poczekalni tłum był niesamowity, głównie turyści. Wszyscy czekali, aż zniknie mgła nad Heho. Im bardziej Birma zaczyna się nastawiać na turystów, tym więcej można policzyć linii lotniczych. W tym dniu z częstotnością co 5 minut wylądowały samolo-

ty takich linii, jak: Air Pagan, Air Mandalay, KBZ czy Asian Wings. Tą ostatnią mieliśmy polecieć do Yangon. Trzeba było tylko być czujnym, aby nie przegapić chłopaków biegających z tubą i tabliczką z wypisaną nazwą linii, czasem wylotu i docelowym lotniskiem. Przy tym harmiderze i tubalnych nawoływaniach w języku birmańskim, a niekiedy również i angielskim okazało się, że chyba ktoś na nas czeka. To nasz samolot nosił się z ideą startu. Od dawna tak szybko nie biegłem do samolotu.

Samolotem ATR-72 wzniesiliśmy się wysoko ponad taflę jeziora Inle, aby dalej podążać wzdłuż linii drogi ekspresowej łączącej Yangone z Mandalay i stopniowo zniżać się nad licznymi ryżowiskami otaczającymi Yangone. W hotelu Green Hill Hotel Best Western w pobliżu jeziora Kandawgyi mieli już dla nas posprzątany pokój. W planach mieliśmy odwiedzenie Muzeum Eliminacji Narkotyków (Drug Elimination Museum). Miało ono być pochwałą rządu Birmy na rzecz walki z produkcją opium w rejonie Złotego Trójkąta. Wzięliśmy taksówkę, ale łało i korki stawały się coraz potężniejsze. Nasza taksówka zamieniła się bowiem w amfibię. Woda runęła na główne ulice, gdzie ludzie próbowali brnąć zanurzeni po kostki, a gdzieś indziej brnąć po kolana. Gorzej mieli właściciele straganów czy ulicznych jadłodajni. Ale pewnie dla nich to prawie codzienna udręka w porze deszczowej, która w Yangone, jak widać, trwa dłużej niż w innych częściach Birmy. Zaledwie godzina deszczu zamieniła Yangone w Wenecję. Gdy już dotarliśmy na miejsce, godzina 16 okazała się być porą zamykania muzeum. Dobrze, że następnego dnia mogliśmy tu powrócić, a z tym samym taksówkarzem wróciliśmy do hotelu.

Wieczorem czekała jeszcze jedna atrakcja w położonym nad jeziorem Kandawgyi budynku, który kształtem przypominał złotą łódź. Były tam tańce, śpiewy i występy artystów. Show na średnim poziomie. Muzyka nie wciskała się zbyt głęboko w duszę, nie widziałem też oryginalności w aranżacji poszczególnych występów; stąd moje oklaski były wystudzone.

Piętnasty dzień – Yangone

Największy targ w Yangone to Bogyoke Aung Sun Market. Wszyscy spragnieni posiadania trwałej pamiątki z Birmy powinni zawsze tam wstąpić. Trzeba się tylko strzec tych, którzy ofiarowują się nam pomóc w tych zakupach. Oczywiście trudno było się nam skryć ze swoją białą skórą przed nimi. Nasz samorządny przewodnik zaprowadził nas do wymiany walut, gdzie przyjmowali wyłącznie nowe i tylko w doskonałym stanie banknoty dolarowe. Ze wzajemnością. Tak jak oni byli bardzo wybredni pod względem stanu moich banknotów, takimi samymi standardami posługiwałem się podczas przyjmowania kyattów. Zabawa była przednia, ale to przestroga dla wszystkich nowo przyjeżdżających, aby mieć dolary w idealnym stanie i wszystkie powinny pochodzić z XXI wieku. Nasz przewodnik zaprowadził nas do sklepu z płytami, gdzie mogłem sobie po wybierać ich etnicznej muzyki. Byliśmy tam na tyle długo, że udało nam się zmylić trop i umknąć naszemu stróżowi, by samemu się pokreślić po różnych sklepikach.

Po raz kolejny wsiedliśmy do taksówki i zażyczyliśmy sobie przejazdu do Muzeum Eliminacji Narkotyków. Przy wysiadaniu pierwszy zgrzyt. Taksówkarz zażyczył sobie za przejazd 8 tys. kyattów, podczas gdy z dotychczasowych doświadczeń wynikało, że nie powinno być to więcej niż połowa tej sumy. Tak sobie więc siedzieliśmy w taksówce i przekomarzaliśmy się. W końcu nam się znudziło i zapłaciliśmy wprawdzie mniej, ale i tak za dużo. Niesmak został i postanowiliśmy od tego czasu zawsze się py-

tać o cenę przejazdu. Samo muzeum otwarto w 2001 roku i jego budowa miała kosztować ponad miliard kyattów. Od cudzoziemców kasuje się po 3 dolary za każdego, więc opłatę za filmowanie czy robienie zdjęć po 5 dolarów już sobie darowaliśmy. Muzeum stanowi istną apoteozę rządzących generałów pokazywanych na obrazach. Ludzie w zielonych mundurach stoją w polu maków i wydają rozkazy lub pozdrawiają uczciwych rolników. Czasem jednak o tę uczciwość było bardzo trudno, gdy za zbiory opium wieśniak otrzymywał 10 do 15 razy więcej niż za zbiory ryżu. Propaganda, propaganda, tylko zwiedzających garstka. W trzypiętrowym olbrzymim gmachu była tylko nasza dwójka i pracownicy muzeum. A wokół nas cytaty wypływające z ust generałów zapewniających o bezwzględnej walce z producentami i handlarzami narkotyków. Owszem od 1993 do 2006 roku produkcja opium zmniejszyła się o 80%, ale wciąż Birma pozostaje nadal drugim producentem opium na świecie po Afganistanie oraz największym na świecie eksporterem metamfetaminy.

Miało się już pod wieczór, gdy podążając ścieżkami nieutartymi przez przewodnik LP, doszliśmy do Sakura Tower położonym w pobliżu dworca kolejowego. Budowla zaprojektowana przez japońskich architektów mierzy sobie ponad 100 metrów. Widoki z dwudziestego piętra syciły nasze oczy. Wraz z w miarę zamożną częścią śmietanki towarzyskiej Yangone i jeszcze liczniejszymi turystami zamówiliśmy piwo i rozkoszowaliśmy się widokiem pogrążającego się w nocy miasta. W barze widać było, że nawet tutaj docierają elementy Halloween.

To był nasz ostatni wieczór w Yangone. Na zakończenie wieczoru zdążyliśmy jeszcze przed dziewiątą wieczorem wejść do następnej świątyni. To była jedna z najbardziej uznanych świątyń, czyli Botataung Pagoda (Paya). Szczyci się ona prawie 2000-letnią historią. Czułem się tam jak w labiryncie; z kolei dla dzieciaków stanowiło to doskonałą okazję do zabawy w chowanego. Obecnie pagoda jest jednym z bardzo żywych miejsc modlitw, szczególnie że są tutaj w osobnych pomieszczeniach trzymane figurki natów. Tu również można zwrócić się o powodzenie w interesach do Pani Szmaragdowego Pałacu. Ostatnim miejscem w tym dniu była dla nas zachwalana restauracja Monsoon, wypełniona wyłącznie gośćmi spoza Birmy.

Szesnasty dzień – powrót do Polski

Na dwie i pół godziny przed odlotem odjechaliśmy taksówką na lotnisko. Tym razem połączenia były mniej dogodne, wpierw do Bangkoku, aby następnie około północy wylądować w Katarze, a potem jeszcze kolejne kilka godzin lotu do Polski, aby wczesnym porankiem wylądować we Wrocławiu.

Birma 2014



Ekipa: Marta, Sławek i Zuza

Zastanawiacie się nad podróżą do Myanmaru? Nie traćcie czasu na rozmyślanie i szybko organizujcie wyjazd, póki Birma nadal jest nieskażonym przez masową turystykę miejscem, a jej pogodni i życzliwi mieszkańcy traktują turystę nie jak chodzącą maszynkę do wyciągania pieniędzy, ale jak mile widzianego i intrygującego gościa z dalekich stron.

Jak to w azjatyckiej części świata bywa, podane ceny nie są stałe i zależą od umiejętności negocjujących. Na początku wyjazdu zawyża je brak rozeznania, na koniec – zmęczenie niewygodami i potrzeba odetchnięcia od nich.

Bangkok – Mandalay, czyli witamy w Birmie – ok. 2-godzinny lot; Air Asia zapewnia darmowy transport autobusem z lotniska do centrum; koszt przejazdu tak-sówką 12 USD.

MANDALAY

Gdzie spać: ET Hotel (83rd St) 40 USD/3 os. pokój, śniadanie wliczone w cenę; hotel typu „blok”, wysokie, duże pokoje, czysto, ale bez klimatu; na miejscu możliwość załatwienia transportu do okolicznych atrakcji; ciekawie prezentuje się „Royal Guest”(25th St) – potrzebna wcześniejsza rezerwacja ze względu na duże obłożenie.

Co i gdzie przekąsić: w rejonie polecanego przez przewodnik Pascala „Lashio Lay” (23rd St) liczne punkty gastronomiczne serwujące bufety (duży wybór dań, również przygotowywanych na miejscu mięs i zup, pełny bufet 3 USD, wegetariański 1,5 USD).

Co zobaczyć: wejście na Wzgórze Mandalay 1 USD; klasztor Shwe In Bin Kyaung; Mahamuni Paya

Mandalay – Mingun – Sagain – Inwa – Amarapura. 50 USD za samochód z kierowcą plan w praktyce niewykonalny, każde z miejsc warte osobnej wycieczki, maksymalnie połączenia dwóch w jeden wypad, wyjeżdżając o 8.30 i kończąc w Mandalay ok. 19.00, kiedy jest już ciemno, musieliśmy zrezygnować ze zwiedzania Sagainu i zadowolić się jego panoramą (wspaniała, koniecznie trzeba zatrzymać się na zdjęcia) z mostu Ava, zwanego też Inwa Tada.

Mingun. Wstęp 3 USD/os., do 12 lat bezpłatny.

Inwa. Przeprawa łodzią 0,8 \$/os., bryczka obwożąca po wyspie 10 USD, wstęp do klasztorów 10 USD/os.

Mandalay – Bagan

Jak dojechać: przejazd (nie do końca) nocnym autobusem 12 USD/os.; wyjazd 22.00, planowany przyjazd 5.00, w rzeczywistości na miejsce dotarliśmy o 4.00, pomimo godzinnego przymusowego postoju, związanego ze zmianą koła.

W autokarze rozdawane są koce (bardzo przydatne, bo klimatyzacja szaleje na całego), mile widziane byłyby również zatyczki do uszu – kierowcy najchętniej raczyliby pasażerów lokalną muzyką lub serialami do upadłego, w dodatku na pełny regulator.

Wjeżdżając do Baganu, jeszcze w autokarze uiszcza się opłatę za wstęp do strefy archeologicznej 15 USD/os.

BAGAN

Gdzie spać: na miejscu, mimo wczesnej pory, nie ma problemu ze zorganizowaniem transportu (powozy konne), gorzej przedstawia się sytuacja z wolnymi miejscami w hotelach w rejonie dworca; my zatrzymaliśmy się w poleconym przez osoby poznane w trakcie przejazdu, guest house „Shwe Na Di”; niestety, nie od razu mogliśmy się w nim zakwaterować; cena 30 USD/3 os., 20 USD/2 os. plus śniadanie; bardzo pomocny właściciel, hotel przyzwoity, ale w pokojach wilgoć i grzyb; możliwość wynajęcia roweru 1,5 USD/dzień.

Co i gdzie przekąsić:

Nowy Bagan

Restauracja San Kabar – włoskie jedzenie; starają się, ale nie zawsze im wychodzi, blisko hotelu, w którym się zatrzymaliśmy.

Większość lokali skupia się przy Nyaung U Rd, uliczce odchodzącej od głównej drogi, na północ od dworca autobusowego; elegancka restauracja „A Little Bit of Bagan” – doskonałe jedzenie, wspaniale prezentuje się wieczorem oświetlona dziesiątkami lampionów; kilka miejsc dalej świetne lokalne dania w przestronnej knajpie dla miejscowych na świeżym powietrzu, z plastikowymi stołami i krzesłami, gdzie wieczorami prezentowane są telewizyjne transmisje meczów, gwarno i tłoczno.

Stary Bagan

Restauracje-zajazdy wzdłuż głównej drogi, przed murami Starego Miasta – to tu trafia większość zorganizowanych wycieczek, fatalne jedzenie, przypadkiem nie wolno dać się namówić na bufet, lepiej wybrać jedno, proste danie; w pobliżu pagody Ananda Pahto wegetariańskie knajpki z doskonałymi daniami.

Co zobaczyć: korzystając z wczesnej godziny przyjazdu autokaru, warto tego samego dnia wyruszyć na oglądanie wschodu słońca ze szczytu jednej z pagód (15 USD konny powóz dla 3 osób, 5 USD za osobę); świetnym rozwiązaniem jest zwiedzanie okolicy na rowerze (1,5 USD wynajęcie sprzętu na cały dzień, na każdym kroku znajdziecie punkty oferujące takie usługi, dla ceniących wygodę możliwość wynajęcia rowerów elektrycznych 8 USD/dzień).

Co kupić: w Baganie warto kupić malowane na podkładzie z piasku obrazy, w innych miastach na nie nie trafiliśmy, średniej wielkości obraz powinien kosztować 4–5 USD, oczywiście ceny wyjściowe są dużo wyższe.

Bagan – Kalaw

Jak dojechać: autobus 11 USD/os., wyjazd 7.30, przyjazd ok. 15.00, z postojem na posiłek.

Kalaw

Gdzie spać: Golden Lily Guest House (5/88 Natsin Rd) 20 USD/3 os., 14 USD/2 os., śniadanie wliczone w cenę; naszym zdaniem najlepszy wybór, szczególnie dobrze prezentują się pokoje na samej górze, ze wspólnym, drewnianym, przestronnym tarasem; czysto.

Gdzie i co przekąsić: w biurze Sam Family Trekking Guide Service (Merchant Rd) działa godna polecenia restauracja; po drodze z Golden Lily do agencji Sam Family traficie na piekarnię i cukiernię w jednym, pyszne „europejskie” ciastka.

Co zobaczyć: czyli trekking – główna atrakcja pobytu w Kalaw, które jest doskonałą bazą wypadową do organizowania wycieczek w góry; zamiast tłuc się autokarem, możecie stąd wyruszyć pieszo nad Jezioro Inle, po drodze podziwiając przyrodę oraz kulturę i zwyczaje mniejszości etnicznych zamieszkujących ten rejon Birmy.

Trekking Kalaw – jezioro Inle

Organizowany przez wiele agencji w Kalaw (w zasadzie każdy hotel w mieście załatwi wam przewodnika lub takowy zaczepi was na ulicy, oferując swoje usługi), my skorzystaliśmy z oferty Sam Family Trekking Guide Service (Merchant Rd), rodzinnej agencji polecanej przez Pascala, ale również turystów spotkanych w Birmie; cena 3-dniowego trekkingu 47 USD/os. w 3-osobowej grupie (czyli my sami), dla grupy 5–6-osobowej 10 USD mniej od osoby; w cenie przewodnik, noclegi, wyżywienie, transport bagażu do wybranego hotelu w Inle (jeżeli nie macie na miejscu hotelu, w agencji pomogą go wam wybrać i zarezerwują) oraz transport łodzią w Inle; cena nie obejmuje natomiast zapasu wody na czas trekkingu i opłaty wstępu na obszar Jeziora Inle (10 USD/os.).

Trasa: krótsza, 3-dniowa trasa obejmuje ok. 6-godzinny trekking przez pierwsze dwa dni i 5-godzinny trzeciego dnia; od strony kondycyjnej nie jest trudna, dokuczliwe mogą okazać się jedynie wysokie temperatury (w marcu ok. 35°C); w trasę wyrusza się ok. 8.00 (trzeciego dnia wcześniej), ok. 12.00 przerwa na lunch i odpoczynek, po 18.00 kolacja; wszystkie posiłki przygotowywane są i podawane przez przewodnika, proste, ale różnorodne, smaczne i w dużych ilościach; warto mieć ze sobą ciastka lub snaki, bo mimo że posiłki są obfite, przerwy między nimi trwają długo, a na trasie tylko w niektórych wioskach znajdują się sklepy; noclegi – we wsiach na trasie trekkingu; można liczyć na miskę zimnej wody w ramach wieczornej toalety; w nocy temperatura spada, ale liczba koców jest na tyle duża, że nie ma obaw o zmarznięcie.

JEZIORO INLE

Opłata wjazdowa 10 USD/os.

Gdzie spać: hotel Little Inn (Phaungdawpyan Rd) zarezerwowany za pośrednictwem Sam Family, 25 USD/3os.; ładny ogród, miła obsługa, dobre śniadanie w cenie noclegu, ale małe pokoje bez klimatyzacji (wentylator), ciasno i duszno, miejsce popularne wśród plecakowiczów, jednak przerobiony z niedużej „dwójki” na „trójkę” pokój okazał się nietrafionym pomysłem; wystarczyło natomiast zajrzeć do Aquarius Inn po drugiej stronie ulicy, by szybko się tam przeprowadzić; zwykłe pokoje w porównywal-

nej cenie; pokój de lux 45 USD/2 os., przestronny, czysty, pięknie urządzony; do tego fantastyczny ogród hotelowy, pomocna obsługa; gorąco polecamy.

Co i gdzie przekąsić: po tej samej stronie co Aqarius Inn, idąc od portu, pierwsza przecznica w prawo, na rogu – Htoo Htoo Aung Restaurant, restauracyjka z lokalnym jedzeniem (rewelacyjny crispy fried pork 4 USD); po prawej stronie w tej samej przecznicy nepalska restauracja Everest Nepali, doskonałe curry i pozostałe dania.

Co zobaczyć: rejs łodzią po Jeziorze Inle, m.in. targ Nyaug Won, Indein (las pagód), Phaung Daw Oo Pagoda, Nga Hpe Chaung (Klasztor Skaczącego Kota), 18 USD za łódź; rejs załatwiony za pośrednictwem hotelu Aquarius Inn, nie ma najmniejszego problemu ze zorganizowaniem takiej wycieczki, zajmie się tym każdy hotel, w okolicy portu mnóstwo przewoźników oferujących swe usługi; kobiety-żyrafy, jedna z atrakcji rejsu, typowy wabik mający przyciągnąć turystów do sklepów z pamiątkami; rybacy i ich widowiskowa metoda wiosłowania – oczywiście można popłynąć na płatny spektakl o zachodzie słońca, będą wyszukane pozy i słynne bambusowe kosze z siecią do połowu ryb (zapewne puste), ale bez dodatkowych opłat takie widowisko możecie mieć zagwarantowane każdego ranka w wykonaniu lokalnych rybaków, którzy faktycznie, na co dzień korzystają z nietypowej sztuki wiosłowania; co do komercyjności rejsu po Jeziorze Inle – wystarczy zaznaczyć przewodnikowi, że nie chce się odwiedzać sklepów z suvenirami i różnego rodzaju „fabryk” (kolejne zakamuflowane sklepy z pamiątkami), a wycieczka daje możliwość przyjrzenia się prawdziwemu życiu mieszkających „na wodzie” ludzi, bez turystycznej fasady i handlowej otoczki.

Inle – Rangun

Jak dojechać: przejazd luksusowym autokarem JJ Express (niemającym nic wspólnego ze stanem birmańskich dróg); obszerne fotele, 3 w rzędzie; kolacja w cenie biletu; 20 USD/os.; wyjazd ok. 19.00, przyjazd do Rangunu ok. 6.00.

Rangun

Gdzie spać: godny polecenia guest house Okinawa oraz pobliski nowo otwarty Okinawa II, 45 USD/3 os., 30 USD/2 os., śniadanie wliczone w cenę; świetny, utrzymany w japońskim stylu hotel, o niskich, drewnianych pokojach, dobra lokalizacja w pobliżu Sule Paja.

Co i gdzie przekąsić: Aung Restaurant, blisko Okinawy II; obskurne, plastikowe stoliki, zimne piwo Myanmar w kufkach i widok na Sule Paja.

Co zobaczyć: zachwycająca w dzień i niezwykła w nocy Shwedagon Pagoda (wstęp 5 USD/os.), Sule Paja (3 USD/os.).

Rangun – Ngwe Saung

Jak dojechać: bilet w dwie strony za 10 USD/os.; wyjazd 7.00, na miejscu ok. 13.00 z przerwą na posiłek.

Ngwe Saung

Gdzie spać: wśród hoteli zlokalizowanych na południe od dworca do tańszych należą Pearl Ngwe Saung Hotel (25–35 USD za bungalowy) oraz Yuzana Resort Ngwe Saung (35 USD bungalowy); fatalne warunki, wilgoć, grzyb, brak klimatyzacji.

Hotel Silver View położony przy plaży, 60 USD/2 os., 75 USD/3 os.; piękny palmowy ogród, świetna restauracja hotelowa, ale nieskuteczna klimatyzacja w domkach, duszno, wystrój i wyposażenie nie pierwszej nowości.

Central Hotel w tej samej cenie co Silver View, nowy obiekt na pld. krańcu Ngwe Saung, z basenem, efektowną architekturą i wystrojem; wymarzone miejsce na kilkudniowy wypoczynek.

Hotele w mieście – nic szczególnego, typu bloki, ceny 40–50 USD/2 os.

W Ngwe Saung prąd jest od 18.00 do 6.00; duże hotele mają swoje generatory, więc w ciągu dnia istnieje możliwość podładowania elektrycznego sprzętu na recepcji.

Co i gdzie przekąsić: Ko Kyaw Restaurant, w połowie drogi między dworcem a pld. krańcem Ngwe Saung, dobra kuchnia, rewelacyjne smażone ryby ogromnych rozmiarów; restauracja hotelu Silver View pyszne krewetki w sosie ostrym.

Co zobaczyć: plaże – oczywista oczywistość; cegielnie – jest ich kilka, cegły wyrabiane są tam ręcznie, niesamowite miejsca, niezwykli, serdeczni ludzie, możliwość przyjrzenia się z bliska całemu procesowi i związanej z nim ciężkiej pracy; okoliczne wioski, a w nich uśmiechnięci, życzliwi i ciekawi świata ludzie, spotkania będące radością i wyjątkowym doświadczeniem dla obu stron.

Informacyjny miszmasz na koniec: w dużych miastach są już bankomaty, pieniądze wymienić można w bankach.

Ceny:

Posiłki od 1,5 USD do 5 USD, piwo Myanmar 2–2,5 USD, woda 1 litr od 0,2 USD do 0,5 USD.

Bilety autokarowe – do kupienia za pośrednictwem każdego hotelu; w autokarach z klimatyzacją zimno, przydatne ciepłe ubrania i zatyczki (zarówno klima, jak i muzyka lub filmy włączone na cały regulator).

Pamiątki: przed niemal każdą świątynią stragany, często w formie ciągnących się w nieskończoność pasażów, do kupienia rękodzieło, maski, figurki, marionetki, ozdobne tkaniny, w Baganie obrazy malowane na podkładzie z piasku, oryginalne otwieracze do butelek, mające postać deszczki z wkręconą śrubą.

Maroko, czyli dla każdego coś miłego – 2014 r.



Termin i czas podróży: 19 dni na przełomie kwietnia i maja 2014 r.

Liczba osób: siedmioro, czyli dwie rodziny: trzy osoby dorosłe i czworo dzieci w wieku 5, 9 lat i dwoje 7-latków.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Przelot liniami lotniczymi Ryanair: Wrocław – Londyn – Rabat; Fez – Londyn – Wrocław.

Waluta: 1 dirham (Dh) = 38 groszy.

Bardzo dużo bankomatów. Nigdy nie mieliśmy problemów z wyciągnięciem pieniędzy.

Temperatura: 20–32 stopnie C.

Przykładowe ceny:

Kawa latte (wszędzie pyszna): 6 Dh – 10 Dh.

Herbata marokańska (bardzo słodka zielona herbata z miętą): 3–6 Dh

Soki pomarańczowe (wyciskane) 300 ml: 4–10 Dh.

Omlet: 6–20 Dh.

Naleśniki: 1,5–20 Dh.

Tażin: 22–150 Dh (zależy od wielkości).

Melon: 10–30 Dh za 1 kg.

Frytki: 5 Dh.

Panini (zapiekana bułka z mięsem wg wyboru, warzywami, serem żółtym): 10 Dh.

Kartka pocztowa: 2Dh.

Znaczek do Polski: 8,40 Dh.

Magnes pamiątkowy: 10–20 Dh.

Benzyna 1 litr: 13, 39 Dh

Wyprawę zaczęliśmy od wyzwania: spakować siebie i dzieci na prawie 3 tygodnie tylko w bagaż podręczny, w którego składzie będą 4 śpiwory. Ale czego się nie zrobi, by tanio polecieć! Jak mus, to mus. I w tej sytuacji udało nam się to bez większego problemu!

1 dzień: Wrocław – Londyn – Rabat

Wylecieliśmy punktualnie około południa z Wrocławia, by z krótkim przystankiem w Londynie (Stansted) wieczorem wylądować w stolicy Maroka. Entuzjazm całej naszej siedmioosobowej ekipy, w której zdecydowanie prym wiodło najmłodsze towarzystwo, szybko został ostudzony baaardzo długimi formalnościami na lotnisku. Marokańscy pogranicznicy przepisywali ręcznie wypełnione przez nas kwitki, dopytując o wiele szczegółów z naszego życia zawodowego.

Uwolnieni wreszcie od lotniskowej biurokracji wypłaciliśmy pieniądze z bankomatu i ruszyliśmy już po ciemku w stronę postoju taksówek. Niemile rozzarowani stałą, czyli czytają: horrendalnie wysoką ceną przejazdu do Ville Nouvelle (centrum, gdzie zamierzaliśmy przenocować) zmęczeni i zrezygnowani wpakowaliśmy się do dwóch taksówek. Zgodnie z tablicą na postoju kurs nocny wyniósł 200 Dh (dzienny tańszy – 150 Dh) za 1 pojazd. Nie bez problemów spowodowanych przepełnieniem hoteli nocleg znaleźliśmy w hotelu „El-Maghrib-Al-Jadid” w medynie, niedaleko targowiska na ulicy Sebbahi 10. Do naszej dyspozycji mieliśmy zaledwie 1 pokój z 3 łózkami i toaletą za 350 Dh. Ciepła woda była w oddzielnej łazience za opłatą 10 /5 Dh (dorosły/dziecko). Korzystając z koców, ułożyliśmy na podłodze legowiska dla osób, dla których zabrakło łóżek. Okazało się, że już w pierwszym dniu przydały nam się nasze śpiwory.

2 dzień: Rabat

Rano zobaczyliśmy, że naprzeciwko naszego hotelu mieści się tania jadłodajnia o nazwie „Taghazoute”, w której przez najbliższe dwa dni jedliśmy śniadania. Spragnieni zwiedzania nie zmieniliśmy noclegowni, by nie tracić cennego czasu na poszukiwanie hotelu na kolejną noc.

W ciągu jednego dnia, korzystając czasem z tramwaju (bilet 6/3 Dh), obejrzelśmy wszystkie najważniejsze zabytki tego cesarskiego miasta: niedocenianą, a naprawdę ładną białą-błękitną medynę, Kazzę Al-Udaja, pałac Mulaja Ismaila wraz z ogrodami, Meczet Hassana i Mauzoleum Muhammada V. Z zaśmieconej plaży czym prędzej uciekliśmy i ruszyliśmy do Sali, która jest właściwie dzielnicą Rabatu. Nowoczesność z rozmachem wkroczyła do Afryki, bo dostaliśmy się tam nowoczesnym tramwajem, a nie jak drzewiej bywało – łódką.

Krążąc po Sali w poszukiwaniu medresy Abu-al-Hasana, wzbudziliśmy zainteresowanie miejscowego samozwańczego przewodnika (Maroko niechlubnie z nich słynie). Niestety, mimo korzystania z nowoczesnych udogodnień w postaci nawigacji musieliśmy ulec namowom człowieka, który zobowiązał się, że nas zaprowadzi do celu. Sprzęt elektroniczny nie poradził sobie z zawiłościami medyny, a miejscowy oprowadzacz owszem. Okazując nam wielką sympatię, opowiadał nam o historii medresy. Czując się zobowiązani na koniec wręcziliśmy mu 50 Dh uważając, że „szarpnęliśmy się” i okazaliśmy hojność za 15-minutowe towarzyszenie nam w zwiedzaniu zabytku. Chłopak prychnął jednak, cała jego sympatia zniknęła jak ręką odjął i zażądał od nas 300 Dh. Z niesmakiem pożegnaliśmy go, a on wykrzykiwał coś za nami. Nawet ostentacyjnie rzucił 50 dirhamowy banknot na ziemię, ale obserwowany przez nas kątem oka, podniósł go wkrótce. Nie zapowiadało się bowiem, że spotka kolejnych naiwnych, bo oprócz nas nikt z turystów po Sali się nie kręcił.

No cóż, niechlubna tradycja została podtrzymana, a my mimo że słyszeliśmy o niej przed przyjazdem do Maroka i tak staliśmy się jej ofiarami. Ale to był pierwszy i ostatni raz. Naiwna wiara w prawość ludzi na całym świecie prysnęła jak bańka mydlana. A szkoda...

3 dzień: Rabat – Al-Jadida

Rano wyruszyliśmy taksówką (60 Dh) z pobliskiej ulicy Muhammad V do dworca autobusowego linii CTM. Po drodze Tomek robił zdjęcia. Nagle nasza taksówka została zatrzymana przez policjanta, gdyż czujne oko władzy dostrzegło obcego robiącego zdjęcia. Ruszyliśmy dopiero po kontroli paszportowej i wykasowaniu zdjęcia, na którym jego obecność występował dla nas w roli przypadkowej, ale dla niego pierwszoplanowej.

Na dworcu kupiliśmy bilety do Al-Jadidy. Okazało się, że punkty sprzedaży biletów CTM znajdowały się w okolicach suku w medynie i mogliśmy je zarezerwować dzień wcześniej. Ale nie mieliśmy problemów z kupieniem biletów na ostatnią chwilę, czyli na godzinę 10.30. Zapłaciliśmy 75 Dh od osoby oraz 5 Dh za 7 walizek. Autobusy w tym kierunku odjeżdżały co godzinę. W ramach jednego biletu mieliśmy przesiadkę w Casablance na inny autobus, ale za bagaże musieliśmy dopłacić 10 Dh.

Wysiedliśmy na zaprzyjaźnionym dworcu w Al-Jadidzie i zaczęliśmy sami szukać kasy biuletowej na przejazd do Marrakeszu, który planowaliśmy za 2 dni. Pomni zachłanności Marokańczyków nie bardzo słuchaliśmy miejscowego człowieka, który usilnie próbował nam powiedzieć, że liniami CTM nie dojedziemy do Marrakeszu i musimy wybrać inną linię. I w ogóle najlepiej, żebyśmy pośpieszyli się z kupnem biletów, bo jutro zaczyna się kilkudniowe święto, za chwilę braknie biletów i utkniemy na dłużej w Al-Jadidzie. Pan był tak natarczywy, że chcąc nie chcąc, dotarła do nas jego mowa. W okienku kasowym wszystko się potwierdziło i czym prędzej kupiliśmy bilety do Marrakeszu za 55 Dh. Pan zachęcony tym, że jego słowa się potwierdziły, nawijał dalej: że poleca dobry, czysty i tani hotel „Bordeaux”, żeby do hotelu iść na piechotę, bo to jest około 20 minut drogi, a taxi są bardzo drogie – 70 Dh za kurs. Powiedział jeszcze, że swego czasu wyleczył go ortopeda z Polski, a przy tym wszystkim ani słowa o kasie za udzielenie samowolnej pomocy. Niepozorny człowieku – przywróciłeś nam wiarę w ludzi!

Upała i dziurawe chodniki przełamały naszą wolę dotarcia do hotelu na piechotę. Po wielkich negocjacjach taksówkarz spuścił z ceny 10 Dh i za 60 Dh zawiózł nas do rzeczywiście czystego i niedrogiego hotelu „Bordeaux” (pokój dwuosobowy – 180 Dh, trzyosobowy – 230 Dh, w cenie klimatyzacja i łazienka w pokoju z ciepłą wodą).

W tym mieście podczas wieczornych wędrówek kupiliśmy najtańsze melony i truskawki, a wzmacnialiśmy się sokiem z trzciny cukrowej za 5 Dh. W ciągu dnia zjadaliśmy się najtańszymi chyba w całym Maroku naleśnikami za 1,5 Dh i dogadzaaliśmy sobie ogromnymi pączkami za 2 Dh.

Jak zachwycano nas tu jedzeniem, tak plaża, zachwalana przez Marokańczyków i innych na forach internetowych, bardzo nas rozczarowała. Szeroka, piaszczysta plaża z usianymi wzdłuż licznymi knajpkami pełna była śmieci. Mimo naszych oporów dzieci musiały pobawić się w piasku, który bardziej przypominał błoto. Silny i zimny wiatr wkrótce wygonił nas na pobliski deptak, który prezentował się znacznie okazalej, a na pewno czyszej niż plaża.

4 dzień: Al Jadida – Marrakesz

Do południa zwiedziliśmy portugalską fortecę usytuowaną nad brzegiem oceanu oraz cysternę (10 Dh/ 3 Dh). Po południu wyruszyliśmy ze znanego nam już dworca autobusowego do Marrakeszu. Po 3,5 godzinie drogi byliśmy na miejscu. Labiryntami medyny dostaliśmy się do hotelu „Dar Youseff” blisko placu Dżemma El-Fna. W pierwszym dniu moja czteroosobowa rodzina z braku miejsc gniotła się w małym pokoju

dwuosobowym bez okna (150 Dh), ale kolejne dwie noce spędziliśmy już w większym pokoju dwuosobowym z oknem i w miarę szerokimi łóżkami (200 Dh). Pokoje były czyste, klimatyzacja nie była potrzebna, łazienka z toaletą znajdowały się na korytarzu, ciepła woda była bezpłatnie non stop.

Obowiązkowo wieczorem udaliśmy się na Dżemma El-Fna, by poczuć klimat tego słynnego placu, napić się soków wyciskanych z pomarańczy za 4 Dh z 300 ml szklanek mytych w plastikowym wiaderku oraz skosztować miejscowych specjałów: chleba w formie placka, oliwek, owoców morza, itd.

Potem wszystkie wieczory spędzaliśmy w tym klimatycznym miejscu.

5 dzień: Marrakesz

Ten dzień okazał się narodowym świętem Marokańczyków i ku naszej wielkiej ucieśze wstępy do wszystkich zabytków były darmowe. Skrzętnie to wykorzystaliśmy, podziwiając Grobowce Sadydów, Pałac Bahia, Synagogę. Obejrzelśmy też meczet Kutubija (jako niemuzułmanie tylko z zewnątrz zaglądając przez otwarte drzwi do środka).

6 dzień: Marrakesz

Do południa zrobiliśmy sobie około godzinny spacer przez medynę w stronę ogrodów Majorelle, których właścicielem był Yves Saint-Laurent. Długa kolejka do wejścia na około 30 minut stania świadczyła o wartości atrakcji. Nie zawiedliśmy się. Ogrody zostały starannie odrestaurowane i w pięknych okolicznościach przyrody odpoczęliśmy od zatłoczonego miasta. Wstęp – 50 Dh, dzieci gratis.

Popołudnie spędziliśmy na włóczędze w labiryntach suku.

7 dzień: Marrakesz – Telouet (Talwat)

Dzień wcześniej na ulicy Muhammad V sprawdzaliśmy oferty wypożyczalni samochodów. Jednak najlepszą dostaliśmy w naszym hotelu – 250 Dh za dzień przy opcji wypożyczenia na 7 dni. Dodatkowo w pakiecie wypraliśmy kilka kilogramów ubrań za darmo oraz uczestniczyliśmy w lekcji parzenia marokańskiej herbaty wraz z degustacją.

Tego dnia dwiema kilkuletnimi Daciami w średnim stanie technicznym wyruszyliśmy w Atlas Wysoki do miejscowości Telouet. Droga była dobra, prowadziła nas jednak nawigacja, gdyż drogowskazów było niewiele. Jadąc drogą N9 za przełęczą Tizi n-Tizka na zakręcie jak spod ziemi wyrósł drogowskaz „Telouet” (w lewo i w dół drogą niewzbudzającą zaufania). Do tej maleńkiej miejscowości, do której bez własnego transportu raczej się nie dotrze, dojechaliśmy późnym popołudniem. Przywitał nas porwisty i zimny wiatr. Wybraliśmy przepiękną kwatere urządzoną ze smakiem jak namiot Tuaregów – „Maison D'hote La Kasbah” – 250 Dh za pokój 3-osobowy z łazienką i ciepłą wodą, ze śniadaniem (kawa, herbata, omlet, chleb, dżem).

Powodowani głodem udaliśmy się na plac, który pełnił funkcję centrum miasteczka. Zastaliśmy tam tumany kurzu, jedną otwartą restaurację i jeden otwarty sklep. Poza nami ani żywego ducha. Nie mając wyboru, zamówiliśmy obiad: sałatkę marokańską (ryż, ugotowane ziemniaki, pietruszka, oliwki i przyprawy), tażin (tym razem wołowina przygotowana z figami i migdałami), deser (różne owoce, w tym truskawki) oraz sok z fig i migdałów. To był jeden z naszych najdroższych posiłków, bo kosztował 85 Dh od osoby (po targowaniu się z ceny 110 Dh), ale nie byliśmy zawiedzeni.

Po tej uczcie ciepło ubrani w polary i chusty na głowach wyruszyliśmy podziwiać w zachodzącym słońcu kaszbe Gławich. Widok ruin, w których hulał wiatr, przewraca-

jąc wszechobecne śmieci, nie wskazywał na znamienitą historię tego glinianego pałacu. Gdy piasek w zębach zaczął nam doskwierać, wróciliśmy do hotelu.

10 dzień: Telouet – Ait Bin-Haddu – Scoura

Zwiedziliśmy wnętrza kazby Glawich – wstęp 20 Dh. Anglojęzyczny przewodnik ciekawie opowiadał o niezwykłej historii miejsca, które gościło m.in. Churchila i Hemingwaya. Aż dziw brał, że walące się mury skrywały tak piękne sale z misternie rzeźbionymi drewnianymi sufitami i mozaikami na ścianach. Z uwagi na to, że pałac niechybnie wkrótce runie (jeśli dalej nikt nie będzie go odrestaurowywał), to wnętrza można było zwiedzać tylko w towarzystwie przewodnika, który bezpiecznie przeprowadzał nas przez popękane korytarze.

Miło spędziliśmy czas, ale czar prysł, kiedy przewodnik zażądał od nas dodatkowo 200 Dh jako „napiwek” do biletu wstępu. Zostawiliśmy przewodnika bez owego napiwku i ruszyliśmy w kierunku kazby Ait Bin-Haddu. Ta kilkupoziomowa gliniana forteca umieszczona na liście światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO, malowniczo położona w oazie nad rzeką jest sztandarowym zabytkiem Maroka. Wstęp gratis. Turyści było tu wielu, ale gubili się w zaułkach pałacu – miasta.

Wieczorem dojechalśmy do miejscowości Scoura (Sakura). Zatrzymaliśmy się w centrum pod jedynym hotelem w tej części miasta, który nie miał nazwy. Zaoferowano nam nocleg w pokoju 3-osobowym za 100 Dh (łazienka z ciepłą wodą na korytarzu). Gdy już prawie byliśmy zdecydowani, podszedł do nas człowiek i zaproponował nam nocleg za 16 Dh za pokój, ale w medynie. Upewniliśmy się, czy na pewno jest mowa o 16 (sixteen) a nie 60 (sixty) i zostało to potwierdzone. Pojechalśmy obejrzeć pokoje. Kwatera okazała się riadem, a naganiacz oszustem. Te pseudo „sixteen” okazało się „sixty” i to za osobę. My potrzebowaliśmy tylko przespać się, bo następnego dnia z samego rana ruszaliśmy na Saharę do Merzugi. Luksusy absolutnie były zbędne. Wróciliśmy do uprzednio znalezionej hotelu, ale po drodze na około godzinę zatrzymaliśmy się na zwiedzanie kazby Amirhidl, na którą po prostu wjechalśmy, szukając drogi do centrum. Bieganie po labiryntach tego bajkowego pałacu, którego wizerunek znajduje się na 50-dirhamowym banknocie, sprawiło wiele radości dzieciakom. Bilety wstępu kosztowały 10 Dh, dzieci gratis.

11 dzień: Scoura – Merzuga

Pyszne i bardzo tanie śniadanie zjedliśmy w pobliskim barze (naprzeciwko naszego hotelu, po drugiej stronie ulicy), który wyglądał mocno swojsko, czym słusznie wzbudził nasze zaufanie. Przed sobą mieliśmy około 500 km drogi przez malowniczą dolinę Dades z charakterystycznymi berberyjskimi domkami przyklejonymi do pomarańczowych zboczy gór. Co jakiś czas górski żółto-czerwono-pomarańczowy krajobraz ożywiała wyrastająca zupełnie nieoczekiwanie soczysta o tej porze roku zieleń oaz. Około godziny 16.00 dotarliśmy do wrót Sahary w Merzudze. Mimo przestróg nie napadła nas gromada chichwych organizatorów wycieczek. W spokoju, przez nikogo nienagabywani wybraliśmy jedną z agencji turystycznych. Po negocjacjach zapłaciliśmy 1200 Dh za 7 osób, mając w tym: przejazd na wielbłądach (ja miałam osobnego wielbłąda, Tomek jechał razem z córką Niną, Ania jechała razem z synem Michałem, dwoje 7-latków: Kacper i Lena jechali razem), nocleg z kolacją i śniadaniem na Saharze, na drugi dzień przejazd jeepem po pustyni (około pół dnia) i zwieńczenie wyprawy koncertem kapeli prezentującej muzykę Afryki.

Z Merzugi do obozu na pustyni dzieliło nas 1,5 godziny jazdy na wielbłądach. Pierwsza godzina podróży wśród złocących się od zachodzącego słońca wydmy Saha-

ry była prawdziwą przyjemnością. Podziwiając w oddali poruszające się jak nasza karawana, nietrudno było sobie wyobrazić życie Tuarega. Jednak ostatnie pół godziny kołowania jadąc okrakiem na niewygodnym garbie, pozbawiło świat Tuaregów idyllicznego charakteru. W głowie mieliśmy tylko jedno – „wysiąść” wreszcie z tego środka lokomocji. Ja i tak byłam w „najwygodniejszej” sytuacji, jadąc samodzielnie.

Do obozu dotarliśmy tuż przed zachodem słońca, ale na tyle wcześniej, że Tomek zdążył nacieszyć się robieniem zdjęć. Wioska zbudowana absolutnie tylko na potrzeby turystów składała się z około 8 namiotów i tego dnia, jak co dzień, została zamieszкана przez międzynarodowe towarzystwo. Po zachodzie słońca zaproszono wszystkich na obfitą i smaczną kolację, w której królowały potrawy marokańskie. Potem kto miał siłę, to uczestniczył w pokazie gry na bębnach oraz nocnych rozmowach, a kto nie – poszedł spać do namiotu wyposażonego w łóżka i koce.

Siedząc pod jedynym w swoim rodzaju rozgwieżdżonym saharyjskim niebem, z wielkim smutkiem ujrzałam, że nikt oprócz mnie nie dostrzegał magii tej chwili. Wszyscy bowiem cieszyli się z dobroci cywilizacji w postaci zasięgu na telefonie komórkowym.

Z lekką słowiańską nostalgią położyłam się spać we własnym śpiworze, nakrywając się beduińskimi kocami. W nocy było zimno.

12 dzień: Merzuga – Sidi Ifni

Poranny chłód został błyskawicznie rozwiany przez promienie wschodzącego słońca. Po śniadaniu wszyscy turyści odjechali, a nasza siódemka czekała na przyjazd jeepa. Wkrótce wyruszyliśmy, by podziwiać nieksiążkową Saharę – czarne skały kryjące w sobie pozostałości fauny morskiej sprzed milionów lat. Warto było wydłużyć swój pobyt na Saharze, gdyż wyprawa ponad 500 km tylko po to, by spędzić tu wieczór i noc wywołałaby u nas niedosyt. Dojeżdżając do Merzugi, kierowca zatrzymał się przy budynku, w którym odbywał się pokaz tradycyjnej muzyki i tańców afrykańskich. Napojeni herbatą uściliśmy napiwek w wysokości 20 Dh i zostaliśmy odwiezieni do... łaźienki. Wszystko było zorganizowane tak, że po wyprawie można było wziąć ciepły prysznic.

Wieczorem wróciliśmy do Scoury, do naszego hotelu za 100 Dh za pokój.

13 dzień: Scoura – Sidi Ifni

Zjedliśmy śniadanie w naszym ulubionym zapyziałym barze (tym naprzeciw hotelu, koło targowiska) i ruszyliśmy w drogę. To znaczy moja rodzina podjechała do bankomatu (przy głównej trasie wylotowej z miasteczka), a samochodu Ani z nami nie było. Wróciliśmy pod hotel. Tam okazało się, że jej auto nie chce odpalić. Panowie z kablami do akumulatora szybko się znaleźli i udzielili jej skutecznej pomocy. Uff, udało nam się wyruszyć w całonocną podróż do nadmorskiego, a raczej nadoceanicznego, Sidi Ifni.

Po kilku godzinach jazdy postanowiliśmy zrobić kilkuminutowy postój w wiosce po drodze. Nieoczekiwanie wydłużył on nam się do 2 godzin, bo samochód Ani odmówił dalszej jazdy. Jak spod ziemi błyskawicznie wyrósł mechanik, który stwierdził, że akumulator padł zupełnie. Skontaktowaliśmy się z właścicielką naszej wypożyczalni, która kazała kupić nowy akumulator, wziąć za zakup fakturę i zobowiązała się oddać pieniądze po naszym powrocie.

Do Sidi Ifni dotarliśmy niesamowicie krętą drogą wśród żółtych i zielonych gór, wśród nadmorskich urwisk, gdy słońce kąpało się już w Oceanie Atlantyckim. Wydawało nam się, że nigdy nie dojedziemy na miejsce, gdyż nawigacja jak zaklęta przez 2 godziny podawała ciągle ten sam czas przejazdu – „za 30 minut cel zostanie osiągnięty”. To było najdłuższe pół godziny w moim życiu!

Zatrzymaliśmy się w widocznym z daleka hotelu „Suerte Loca”. Za 3-osobowy pokój z łazienką i widokiem na Atlantyckie Wybrzeże zapłaciliśmy 280 Dh. Przemiliła obsługa i pyszne jedzenie w hotelowej restauracji wspominamy do dziś.

14–15 dzień: Sidi Ifni

Cały dzień spędziliśmy na plaży w miejscowości Legzira, której atrakcją były czerwone łuki skalne. Ich piękno wydobywało zachodzące słońce, które opromieniało skały, nadając im różne odcienie czerwoności. Wszyscy, którzy przyjechali tam przed godziną 17.00, mogli zobaczyć zaledwie namiastkę niezwykłej urody krajobrazu.

Ocean był zimny, więc darowaliśmy sobie kąpiele.

Parking przed plażą, do którego zjeżdżała się szutrową drogą biegnącą po lewej stronie luksusowego resortu, był płatny – 5 Dh. Przy plaży było kilka barów. Dobre miejsce do plażowania znajdowało się za skałą, idąc w lewo.

16 dzień: Sidi Ifni – Marrakesz – Fez

Wyjeżdżając rano około 8.00 dotarliśmy do Marrakeszu na godzinę 15.00, płacąc po drodze 60 Dh jako opłatę za autostradę. Umówieni na dworcu autobusowym przewoźnika „Supra Tours” oddaliśmy pożyczone samochody. Ania bez jakichkolwiek problemów odzyskała pieniądze zainwestowane w akumulator. Udaliśmy się na dworzec, by kupić bilety do Fezu. Jakże się zdziwiliśmy, gdy okazało się, że najbliższy autobus odjeżdżał za 8 godzin, czyli o godzinie 23.00 (cena biletu – 130 Dh). Sprawdziliśmy „CTM” – odjazd za 5 godzin, czyli o godzinie 20.00 (cena biletu – 150 Dh). Najkrótszy czas oczekiwania mieliśmy na pociąg – odjazd za niecałe 2 godziny. Ten wybór wiązał się z najwyższymi kosztami (195 Dh), ale około północy byliśmy w Fezie.

Mimo tak późnej pory zaraz znalazł się taksówkarz, który za 50 Dh zawiózł nas do najstarszej medyny na świecie – Fas-El-Bali. Tu przejął nas kolejny naciągacz, zaprowadzając do hotelu „Lamrani” na ulicy Tala Saghira – 250 Dh za pokój 4-osobowy z łazienką i ciepłą wodą.

17 dzień: Fez

Rano doceniliśmy znakomitą lokalizację naszego hotelu – niedaleko słynnej zielono-niebieskiej bramy Boujloud, zaraz obok tanich restauracyjek z pysznym jedzeniem. Cały dzień poświęciliśmy na snucie się w najbardziej skomplikowanym labiryncie świata, czyli medynie Fas-El-Bali. Rzeczywistość rodem ze średniowiecza pokonała naszą XXI-wieczną nawigację. Mimo cywilizacyjnych udogodnień musieliśmy pogodzić się z faktem, że bez pomocy Marokańczyków nie znajdziemy garbarni, medres (cena wstępu – 10 Dh) i ukrytych wśród suków meczetów. Do portfela sięgać musieliśmy, nagradzając ich za udzieloną przysługę. Ktoś zaprowadził, fajnie poopowiadał, a potem atmosferę szybko zatruwał jakąś kosmicznie wygórowaną kwotą. Dawaliśmy, ile uznawaliśmy za słusze – od 1 do 10 Dh.

Nagabywanie handlarzy skutecznie gasiliśmy pytaniem „foto?” i wyciąganiem w ich stronę aparatu. Czasem niechęć do uwiecznienia miejscowych krajobrazów i scen wśród Marokańczyków była tak duża, że mimo chęci zakupu oferowanych przez nich towarów nie mogliśmy zrobić zdjęcia!

18 dzień: Fez – Volubilis – Mulaj Idris – Meknes – Fez

Co krok obserwując zmnę cenową miejscowych taksówkarzy, zdecydowaliśmy się na wykupienie całodziennego wycieczki w napotkanej w medynie agencji turystycznej

„Live & Breathe Morocco” (travelmorocco.com.au, oustad@travelmorocco.com.au). Za 1000 Dh za 7 osób dostaliśmy klimatyzowanego busa z anglojęzycznym kierowcą, który zawiózł nas do:

- rzymskich ruin Volubilis (z uwagi na upał trzeba zwiedzać do południa, wstęp – 10 Dh),
- świętego miasta muzułmanów Mulaj Idris, niedostępnego dla „niewiernych” (oglądało się panoramę miasta przypominającą wielbłąda),
- cesarskiego miasta Meknes z darmowym wejściem do Mauzoleum Mulaja Idrisa i placem przypominającym Dżemma-El-Fna w Marrakeszu. Wybierając tu restaurację, należało sprawdzać, która nie pobiera dodatkowych opłat w postaci nawet 20% pseudonapiwków.

Podróżowanie z tą agencją obyło się bez niemiłych niespodzianek. Dlatego też umówiliśmy się z kierowcą, że zawiezie nas na lotnisko – za 200 Dh za 7 osób.

18 dzień: Fez – Londyn

Rano dogadaliśmy się z właścicielem naszego hotelu, że za 100 Dh weźmiemy 1 pokój na całą naszą siódmkę, z którego będziemy korzystać do godziny 19.00, czyli do czasu wyjazdu na lotnisko. Przez cały dzień włożyliśmy się po medynie, zachłannie chłonąc ostatnie chwile w Maroku, którego atmosfera powodowała, że żal było nam opuszczać ten kraj.

Wykąpani i spakowani zaczęliśmy gramolić się do naszej umówionej taksówki. Ania wręczyła hotelarzowi 200 Dh i czekała na zwrot 100 Dh. I się nie doczekała. Gość stwierdził, że źle go zrozumieliśmy i nie chciał nam oddać reszty. Mieliśmy dokładnie wyliczony budżet na ostatni dzień i akurat brakowało nam tych 100 Dh do opłacenia taksówki. Tomek zareagował jak zwykle w takich sytuacjach – „jak nie oddasz, wzywam policję!” To zawsze skutkuje. I tak było tym razem.

Kierowca po raz kolejny nas nie zawiódł. Cekał w umówionym miejscu i za ustaloną wcześniej kwotę zawiózł nas na lotnisko. Poprosiliśmy o wizytówkę: Mr Sehrouchni Abdelmalek oferuje transport po całym kraju (abdelmalek111@hotmail.co.uk).

Dzień zakończyliśmy długimi formalnościami na lotnisku i jeszcze dłuższym oczekiwaniem na spóźniony samolot. Ale w końcu przyleciał – z napisem „Katowice Airport”. W Londynie byliśmy około północy. Była to jakaś godzina szczytu lądowania na Stansted. Wszędzie tłumy ludzi i kolejki.

Gdy już przeszliśmy odprawę paszportową, skorzystaliśmy z punktu informacyjno-usługowego i zamówiliśmy sobie taxi do uprzednio zarezerwowanego na booking.com hotelu „Day Inn Stansted Bishops Stortford”. Przejazd kosztował nas 15 funtów, a hotel oferował dawno niewidziany przez nas europejski standard. Zresztą za bardzo nie mogliśmy się nim nacieszyć, gdyż padliśmy momentalnie. A po 5 godzinach snu budzik zadzwonił jak wściekły.

19 dzień: Londyn – Wrocław

Rano czekała już na nas taksówka. Przejazd z hotelu na lotnisko dla 7 osób wyniósł tak samo jak dzień wcześniej 15 funtów. Tym razem samolot do Wrocławia się nie spóźnił.

Zdobyć Tubkal – Maroko 2015



Termin: W dniach od 4 do 26 marca 2015 roku odbyłem samotną podróż do Maroka. Bilet hiszpańskich linii lotniczych Iberia na trasie Bruksela – Dirhamryt – Tanger – Dirhamryt – Bruksela 400 zł. Łączny koszt całej wyprawy to około 3100 zł.

Trasa: Bruksela – Tanger – Inezgane – Agadir – Tafraoute – Tiwadou – Tafroute – Marrakesz – Imlil – Dżebel Tubkal – Imlil – Tanger – Algeciras – Gibraltari – Algeciras – Ceuta – Tanger – Bruksela

4 marca

Po przylocie do Tangeru od razu wziąłem taksówkę z lotniska na dworzec autobusowy – 100 Dh, gdzie kupiłem bilet na całonocny autobus do Inezgane za 180 Dh.

5 marca

Po 14 godzinach przyjazd do Inezgane ok. godz. 9 rano. Po drodze długie postoje m.in. w Casablance i Rabacie. W Inezgane hotel Louz, koło dworca – 100 Dh w pokoju 1-osobowym z łazienką. Na targu kupiłem tradycyjny męski marokański strój – dżelabę za 180 Dh. Z Inezgane do Agadiru (ok. 7 km) jeżdżą miejskie autobusy nr 97 lub 98 – 3 Dh. W Agadirze szeroka, piaszczysta plaża, marina, hotele, dużo kawiarni, gdzie przesiadują Marokańczycy, a brakuje miejsc, gdzie można by coś zjeść. Taxi do ruin twierdzy górujących nad miastem i z powrotem – 100 Dh. Super widoki z góry na miasto, port i plażę.

6 marca

O godz. 7.30 wyjazd autobusem do Tafraoute – 50 Dh, 4,5 godziny przez góry. Na miejscu okazało się, że większość hoteli była zajęta, bo w dniach 6–8 marca odbywał się festiwal migdałowy. Dopiero w czwartym hotelu znalazłem pokój 1-osobowy. Pokój w hotelu Tanger kosztował 50 Dh. Na obiad tradycyjne danie – berberyjski tajin – w specjalnym naczyniu wołowina z cebulą, a na to jajka na twardo, pomidory i śliwki węgierki – 60 Dh z bagietką.

Wieczorem odbył się festiwal migdałowy – to połączenie pikniku rodzinnego, zabawy ludowej z koncertami i ekologicznymi targami produktów rolnych. Na festiwalu poza różnymi miksturami z migdałów można było kupić miód, oliwę, orzechy, biżuterię itp.

7 marca

Na śniadanie jajecznica za 10 Dh i kawa za 6 Dh. Z dwoma Niemkami wypożyczyliśmy rowery (80 Dh/dzień). Podjechaliśmy busem kilkanaście kilometrów w góry (20 Dh), a następnie przejazd rowerami w dół – około 30 km do wsi Tiwadou. Po drodze kilka wsi w pustynnych górach AntyAtlasu, niektóre opuszczone, i oazy. Nocleg w Auberge Sahnoun – 150 Dh z kolacją, śniadaniem i herbatami. Wieczorem wizyta w domu Berberów.

8 marca

Wyruszyłem z jedną Niemką w góry AntyAtlasu na kilkugodzinną wycieczkę. Był straszny upał i źle się poczułem. Wieczorem miałem okazję zobaczyć w wiosce prawdziwe berberyjskie wesele. Byłem świadkiem tylko części imprezy, bo całość odbywa się aż przez cztery dni – to był akurat dzień drugi, w domu panny młodej. W pierwszy dzień zapraszana jest cała wioska na posiłek, imam czyta Koran i następują zaślubiny. W drugim dniu kobiety malują się henną. Trzeciego dnia mają miejsce tańce i zabawa, ale kobiety i mężczyźni bawią się w osobnych pokojach. Czwartego dnia goście weselni przenoszą imprezę na ulice wioski.

9–12 marca

Rozwinęła mi się choroba i cztery dni przespałem w hotelu Tanger w Tafraoute, wychodząc tylko dwa razy dziennie na posiłki. Kupiłem jedynie widokówki (1 Dh) oraz znaczki do Polski (8,40 Dh).

13 marca

O godz. 8.30 autobus firmy Voyages Sahara (najtańszy; 120 Dh) z Tafraoute do Marrakeszu – ponad 9 godzin, po drodze niepotrzebne długie postoje. W Marrakeszu hotel Al-Hilal – 120 Dh za pokój 2-osobowy, bo nie mieli 1-osobowego.

14 marca

Zwiedzanie medyny w Marrakeszu: plac Dżema el-Fna, Muzeum Fotografii – 40 Dh, medresa Ali Ben Youssef – 10 Dh, minaret Koutoubia. Potem naganiacz zaprowadził mnie do miejsca, gdzie obrabiane są skóry zwierzęce – dostał napiwek 50 Dh. Do południa da się jeszcze chodzić po marrakeskiej medynie wąskimi uliczkami, ale po południu i wieczorem jest zatrzęsienie ludzi.

15 marca

Przejazd z Marrakeszu do wioski Imlil (1740 m n.p.m.) w Atlasie Wysokim. Bus z Marrakeszu do Asni – 1,5 godz. kosztował 50 Dh, bus z Asni do Imlil – 1 godz., 20 Dh. W Imlil przy autobusie przyczepił się do mnie facet, okazało się, że właściciel fajnego pensjonatu, który można polecić. Guest house Dar Adous (Douar Ait Souka B. P52) – 100 Dh w pokoju 1-osobowym z łazienką, kolacja 50 Dh, wypożyczenie raków – 100 Dh/dzień, kije trekkingowe – gratis.

16 marca

Po śniadaniu o godz. 8 wyjście na szlak w góry w kierunku Tubkala. Najpierw pogubiłem drogę przez wieś Around (1960 m n.p.m.), a następnie nie wiedziałem, jak przejść przez rzekę i musiałem się potem wracać pół godziny. Na szlaku mija się obładowane osiołki i punkty, gdzie można kupić coś do picia i jedzenia. Od około 3000 m n.p.m. zaczął się śnieg. Mijałem grupy z Niemiec i Francji, które przyjechały pojeździć na nartach. Po koło 7 godz. spokojnego trekkingu doszedłem do schronisk na wysoko-

ści ponad 3200 m n.p.m. i zainstalowałem się w tym tańszym – położonym nieco wyżej. Łóżko w pokoju 26-osobowym – 125 Dh, w łazience tylko bardzo zimna woda, brak mydła i papieru toaletowego, obiad – 70 Dh.

17 marca

O godz. 6.20 po marnym śniadaniu wyszedłem na szlak. Od razu była konieczność założenia na buty raków. Wysiłkowo jest to dość wymagająca trasa – cały czas trawersem, ale ostro pod górę po zmrożonym śniegu, duża ekspozycja, ale nie ma odcinków trudnych technicznie, nie ma wspinaczki, nie był potrzebny czekan. W wyższych partiach niedaleko szczytu nie było śniegu, tylko wielkie głązy, kamienie. Normalnie na szczyt idzie się około 3 godz., ja byłem osłabiony po chorobie i zajęło mi to 4 godziny. Ze szczytu Tubkala (4167 m n.p.m.) piękna panorama 360 stopni na ośnieżone góry wokół, w dole widać wioskę Aroumd. Zejście w dół – 2 godziny do schroniska. Całą trasę można bez problemu pokonać bez przewodnika, bo choć nie ma znaczonego szlaku, to droga jest jedna, a poza tym idzie wiele ludzi. Gdyby ktoś chciał, to przewodnik kosztuje ok. 600–800 Dh za dzień/os.

18 marca

Zejście ze schroniska do Imlil – 4 godziny. Nastąpiło załamanie pogody i wieczorem padał śnieg.

19 marca

Rano wokół biało. Spacer na przystanek i bus do Asni (10 Dh) i następnie przesiadka na autobus do Marrakeszu (20 Dh). Taxi na dworzec kolejowy w Marrakeszu – 30 Dh. Bilet na nocny pociąg do Tangeru, 2 klasa – 205 Dh.

Spacer po marrakeskim nowym mieście, czyli Ville Nouvelle. Problem miałem tylko z plecakiem, bo ani na dworcu kolejowym, ani na pobliskim dworcu autobusowym nie było przechowalni bagażu. W rezultacie plecak zostawiłem niemal na cały dzień w dworcowej kawiarni. O godz. 20.45 miałem całonocny pociąg do Tangeru.

20 marca

Po około 10 godzinach pociąg dojechał do Tangeru. Taxi do portu, skąd odpływa prom do Tarify w Hiszpanii – 50 Dh. Bilet na prom – 390 Dh, w tym dowóz autokarem do Algeciras (ok. 20 km). Tzw. szybki prom płynął ok. 50 minut.

W Algeciras hostel Gonzalez – 12 euro/pokój 1-osobowy. Obiad w knajpcie – 8 euro. W porcie kupiłem bilet na prom do Ceuty wypływający za 2 dni – 36 euro. Spacer po mieście – wszędzie blisko, nie ma konieczności brania taksówek ani autobusów. Jedzenie na kolację i śniadanie – zakupione w supermarkecie – około 5 euro.

21 marca

Autobus z Algeciras do La Linea – 2,45 euro, 35 minut. Z dworca jest kilkadziesiąt metrów do granicy z Gibraltarem. Zaraz za granicą przechodzi się wszerek przez pas startowy lotniska. Informacja turystyczna znajduje się na placu Kazamatów, gdzie dają darmowe mapki Gibraltaru oraz broszurki w wielu językach, w tym także po polsku, o tym, co można zwiedzić w mieście. Spacer po centrum Gibraltaru: muzeum szkła (za darmo), katedra św. Marii Koronowanej, Konwent – siedziba władz. Doszedłem na koniec półwyspu, gdzie znajduje się biały meczet, latarnia morska, armata-pomnik, klasztor oraz pomnik poświęcony katastrofie lotniczej premiera Władysława Sikorskiego. Po tem podejście na Skałę – wstęp 1 euro. Po ulicach chodzą dzikie małpy – makaki. Poza

tym: ruiny zamku arabskiego, tunele z czasów II wojny światowej – wstęp 26 euro, a bilet na zamek plus tunele z czasów oblężenia – 15 euro. Gibraltar jest tak mały, że nie ma konieczności korzystania z dość drogich autobusów miejskich. Wieczorem powrót autobusem do Algeciras.

22 marca

O godz. 9.30 prom z Algeciras do Ceuty – 1 godz. 20 minut. W Ceucie hostel Central – 39 euro za pokój 1-osobowy. Zwiedzanie miasta: plac Afrykański z dwoma kościołami, mury miejskie, plaża, marina.

23 marca

Dalsze zwiedzanie Ceuty: dom z rzeźbami smoków, Muzeum Legionów (Franco). Następnie autobus miejski na granicę z Marokiem – 0,8 euro. Ponieważ z granicy nie ma bezpośredniego autobusu do Tangeru, trzeba jechać inaczej. Opcja taxi do Tangeru kosztuje 200 Dh. Natomiast ja wziąłem grand taxi (taksówka zbiorowa) do Tetouan – 20 Dh. W Tetouan dodatkowo musiałem wziąć petit taxi (mała taksówka) na dworzec autobusowy – 10 Dh. Autobus do Tangeru – ponad 1 godzina, 15 Dh. W Tangerze taxi z dworca autobusowego do Mediny – 40 Dh.

W Tangerze hotel Mamora – 120 Dh za pokój 1-osobowy. Zwiedzanie miasta: Petit Socco, Grand Socco.

24 marca

Zwiedzanie Tangeru: Muzeum Fundacji Lorin (darmowe, ale są wolne datki), Tangerskie Muzeum Amerykańskiej Legacji – 20 Dh, stary kościół hiszpański – zamknięty, kościół anglikański St. Andrews – zamknięty, katedra hiszpańska – zamknięta, suki, piaszczysta plaża – szeroka, ale dość brudna.

25 marca

Muzeum kazby – 10 Dh, ale niezbyt ciekawe. Obok muzeum fajny widok z góry na budowany nowy port i na Hiszpanię.

Taxi na lotnisko – 100 Dh. Samolot spóźnił się pół godziny i nie zdążyłem na następny samolot z Madrytu do Brukseli. Iberia bez problemu zapewniła mi porządną hotel z kolacją, śniadaniem oraz przejazdem do i z lotniska.

26 marca

Dopołudniowy przelot z Madrytu do Brukseli linią zależną od Iberii – Air Nostrum – 50-osobowy samolot Bombardier 200.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Przekraczanie granicy

Do Maroka Polacy nie potrzebują wiz. Nie ma podatku wylotowego przy opuszczaniu Maroka.

Bezpieczeństwo

Maroko jest krajem bezpiecznym. Trzeba jednak uważać na zawyżanie cen przez taksówkarzy, handlarzy itp.

Waluty

Nie ma problemów z wymianą pieniędzy. Podczas pobytu w Maroku z każdą kolejną wymianą dostawałem więcej dirhamów, bo w tamtym czasie umacniał się dolar. 100 USD wymieniałem po kursie od 916 Dh do 991 Dh.

Transport

W Maroku transport dalekobieżny odbywa się zarówno autobusami (wiele konkurujących prywatnych firm), jak i koleją (między głównymi miastami). Lokalnie są dwa rodzaje taksówek: grand taxi (taksówka zbiorowa) oraz petit taxi (mała taksówka). Ceny zarówno taksówek, jak i autobusów są dość niskie.

Noclegi

Noclegi są bardzo tanie, najtańsze hostele to wydatek 50 Dh (19 zł) za pokój 1-osobowy. W Maroku nie ma praktyki wieloosobowych pokoi w hotelach. Średnio hotele kosztowały 100 Dh (38 zł) za pokój 1-osobowy. W hotelach nie ma ogrzewania i nad ranem było dość zimno, ale są dostępne grube koce. W hotelach ani w publicznych toaletach nie ma papieru toaletowego, trzeba kupić samemu – 2–4 Dh/rolka.

Jedzenie

Jedzenie zarówno w restauracjach, jak i na ulicy jest dość tanie, choć wybór pozostawia wiele do życzenia. Porządny obiad w restauracji to wydatek około 30–80 Dh (w zależności od standardu knajpki). Tradycyjne danie marokańskie to tażin. Przede wszystkim polecam wyciskane soki z różnych owoców, najpopularniejsze są z pomarańczy w cenie już od 4 do 10 Dh za dużą szklankę. Woda mineralna 1,5 l kosztuje 5 Dh.

Komórki i Internet

W Maroku nie ma problemu z zasięgiem telefonów komórkowych, jednak rozmowy do Polski są bardzo drogie (w Plusie ponad 13 zł/min). Internet w kawiarence – 5–10 Dh/h.

Pogoda i różnica czasu

W marcu na południu Maroka było dość gorąco – powyżej 30 stopni, choć noce zimne. Na północy – około 15–25 stopni i czasem chmury. Wysoko w Atlasie Wysokim – śnieg. Różnica czasu między Polską a Marokiem wynosi jedną godzinę, którą należy odjąć.

Język

W Maroku najpopularniejszym językiem poza arabskim i berberyjskim jest niestety francuski. Mało kto zna nawet podstawowe słowa po angielsku. Jedynie w miejscach turystycznych niekiedy jest możliwość rozmowy po angielsku, ale nie wszędzie i nie ze wszystkimi.

Burkina Faso – kierunek Północ



Podróż odbyta w lutym 2014 roku przez Romana Husarskiego i Łukasza „Riddima” Dragana.

„Burkina Faso ma opinię kraju płaskiego, w którym nie ma za wiele do zobaczenia”. Jedynie z pierwszym poglądem mogę się zgodzić. Wielu podróżników traktuje Burkinę Faso jako kraj tranzytowy, przed Mali lub Ghaną, warto się tu jednak zatrzymać na dłużej. My również mieliśmy zamiar odwiedzić sąsiadów, ale zdecydowaliśmy się przyjrzeć bliżej „krajowi ludzi prawych”.

Choć ambasady USA, Francji i Wielkiej Brytanii przestrzegają przed jechaniem na północ Burkiny, to właśnie ten region zdecydowaliśmy się odwiedzić. Zagrożenie ma wynikać z powodu niestabilnej granicy z Mali (kraje dzieli czysta pustynia) i obecności rewolucyjnie nastawionych Tuaregów. W rzeczywistości ryzyko jest jedynie teoretyczne, ponieważ jak dotąd w Burkina Faso nie było porwań turystów. Za to w ostatnich latach dochodziło w całym kraju do krwawych protestów przeciwko rządzącemu już prawie trzydzieści lat prezydentowi Blaise Compaore. Staraliśmy się być na bieżąco z informacjami, słuchać rad miejscowych (zazwyczaj cenniejszych od tych z ambasad) i zachować podstawowe środki ostrożności. Burkina Faso okazała się niezwykle przyjazną i bezpieczną krainą.

Przygotowania

Bilet lotniczy do Burkina Faso znaleźliśmy w promocyjnej sprzedaży Turkish Airlines. Warto obserwować te linie, nie tylko z powodu ich wyrobionej reputacji (nagroda najlepszych europejskich linii lotniczych w 2014 roku), ponieważ często oferują tanie loty do Afryki. Za bilet z Pragi do Wagadugu zapłaciliśmy 329 euro w dwie strony.

Przed wyjazdem przygotowaliśmy nasze żółte książeczki (które i tak ostatecznie nie zostały ani razu sprawdzone). W Burkina Faso wymaga się szczepień na żółtą febrę. Inne szczepienia zalecane, które również przyjąłem, to: wirusowe zapalenie wątroby typu A i B, tężec, błonica i dur brzuszny. Ani ja, ani Riddim nie zdecydowaliśmy się natomiast na szczepionkę przeciwko wściekliźnie. Szanse ugryzienia przez jakieś zwierzę (które też niekoniecznie oznacza zakażenie) oceniliśmy jako stosunkowo niewiel-

kie. Nie jest to też szczepienie obojętne dla organizmu i istnieje ryzyko powikłań. Plusy okazały się w tym przypadku mniejsze od minusów.

Ze względu na wysokie zagrożenie malarią, na którą brak szczepienia, zabraliśmy moskitierę i wiele środków przeciw komarom (musi to być substancja przeciwko owadom tropikalnym, a nie spray standardowy dla Polski, my używaliśmy preparatów Muga). Mielśmy też ze sobą lek antymalaryczny Malarone. Choć ze względu na cenę (180 zł za 12 tabletek) oraz przeciwwskazań, by nie brać leku dłużej niż miesiąc (cała nasza podróż po Zachodniej Afryce trwała trochę dłużej), nie przyjmowaliśmy go codziennie, a jedynie był on zabezpieczeniem – w przypadku wystąpienia objawów malarii planowaliśmy zażyć tzw. dawkę uderzeniową (opcja sprawdzona podczas innej podróży). Niestety, nawet zażywając leki antymalaryczne, trzeba pamiętać, że nie gwarantują one 100% ochrony. Dlatego pomimo upałów, nosiliśmy ubrania zasłaniające nasze ciała i zachowywaliśmy szczególną uwagę po zmroku, kiedy komary wychodzą na żer.

Wizę do Burkina Faso wyrobiliśmy sobie w ambasadzie francuskiej. Oprócz biletu lotniczego i ubezpieczenia, należało okazać rezerwację hotelową. Tym, którzy by nie chcieli podejmować decyzji o noclegu przed przyjazdem, mogę polecić takie strony internetowe jak: booking.com, które mają możliwość bezpłatnego odwołania swojej rezerwacji przed przyjazdem. Za wizę dwukrotnego wjazdu zapłaciliśmy 60 euro.

Znając już realia z poprzednich podróży afrykańskich, dokładnie przygotowaliśmy nasz sprzęt. Poza rzeczami oczywistymi zabraliśmy ze sobą: latarki (najlepiej się sprawdzają czołówki), papier toaletowy (podstawa przetrwania) i wielofunkcyjne scyzoryki (też ważne, choć nie tak jak papier). Spodziewając się silnego słońca i pyłu, spakowaliśmy czapki i chusty. Do naszych plecaków trafiły oczywiście środki chroniące przed słońcem i apteczka. Będąc podróżnikami o raczej niewielkim budżecie, zabraliśmy też ze sobą namiot (polecam przed wyjazdem się upewnić, czy namiot jest w pełni szczelny i dobrze chroni przed deszczem). Generalnie nie było sensu brać za wiele. Posturaliśmy się, by plecaki były lekkie i wygodne, mój w momencie przyjazdu ważył 8 kg.

Zazwyczaj podczas podróży spotykaliśmy różnych dobrych ludzi, którzy otwierali przed nami swoje serca. Pamiętam, jak kiedyś usłyszałem na jednym wykładzie, że w kontaktach z autochtonami jesteśmy ambasadorami naszego kraju. Chcieliśmy zostawić dobre wrażenie. Spakowaliśmy ze sobą cały zestaw pocztówek i wielką paczkę krówek (ten cukierek idealnie nadaje się do zabrania w każdą podróż, jest niezniszczalny i wytrzymuje każdą temperaturę). Nic wielkiego, a dzięki temu podczas podróży mogliśmy się przynajmniej symbolicznie odwdziżyć za nocleg czy przejazd autostopowy.

Choć preferujemy chodzić własnymi drogami i zwiedzać na własną rękę, to zabraliśmy ze sobą kilka przewodników. To nie wstyd (jak sugerują co niektórzy), a posiadanie takiej podręcznej bazy informacji (przede wszystkim mapy i historia) oszczędza wielu nieporozumień. W *Lonely Planet Burkina Faso* opisana jest tylko w zbiorowym, pełnym błędów przewodniku *West Africa* i w jeszcze słabszym, irytującym *Africa* (ale co powiedzieć o książce, która próbuje opisać cały kontynent, a na niektóre kraje przeznacza zaledwie kilka stron). Za to przyzwoite kompendium wiedzy o Burkina Faso oferuje Bradt.

W końcu doczekaliśmy się dnia podróży. Do czeskiej stolicy dojechaliliśmy samochodem, ale by zbilansować koszty, na oba przejazdy zabraliśmy użytkowników blablaclar.pl (platforma pozwala na przemieszczanie się z innymi użytkownikami za niewielką opłatą na wskazanych trasach, lub dodawanie własnych przejazdów).

Wagadugu

Do stolicy Burkina Faso dolecieliśmy wieczorem. Nie chcieliśmy szukać noclegu po zmroku, więc zdecydowaliśmy się spędzić noc na małym lotnisku Wagadugu. Nie obawialiśmy się specjalnie, zwłaszcza, że w sali znajdowało się więcej policjantów od pasażerów. Z dużym zdziwieniem za to przywitały nas rano panie sprzątaczkі. Zapewne dwóch białych w śpiworach to niecodzienny widok. Na lotnisku skorzystaliśmy z bankomatu (w Burkina Faso, jak i w trzynastu innych państwach Afryki, walutą jest frank CFA, 1 USD = 600 CFA), po czym wyruszyliśmy w miasto.

Do centrum Wagadugu mieliśmy ok. dwóch km. Idealnie, by zakosztować klimatu metropolii. Być może dobrym pomysłem na przemieszczanie się po mieście byłoby wynajęcie motoru lub roweru, jednak można też spokojnie zwiedzać je na piechotę.

Wagadugu pełne jest interesujących kontrastów. W niektórych miejscach jest tak zatłoczone, że nie da się przejść na drugą stronę. W innych krowy spokojnie pasą się przy ulicy. Długie, duże drogi, przecinają pod kątem prostym, ale i tak łatwo się zgubić, bo nic nie jest dobrze opisane. Gliniane lepianki spotykają się tu z ceglanyimi blokami, czasami nie wiadomo, gdzie kończy się wieś, a gdzie zaczyna prawdziwe miasto.

Zatrzymaliśmy się przy wielkiej katedrze, w prowadzonym przez katolickie siostry ośrodku „Les Lauriers”. Niezwykle ciche i przyjazne miejsce stanowiło kontrast do zabieganego miasta. Pokój kosztował 5000 CFA, my jednak woleliśmy rozbić namiot pod wielkim drzewem (2000 CFA). Obiekt zamykano na noc i był on strzeżony (można jednak było zbudzić strażnika, wracając z koncertu itp.). Podawali tam też bardzo dobre obiady (opcjonalnie, za 1000 CFA).

Siostry Dominikanki mieszkające w ośrodku pochodziły dosłownie z całej Afryki, od Ghany po Kongo, były również niezwykle miłe i chętnie rozmawiały z gośćmi. Ku naszemu zaskoczeniu w „Les Lauriers” można było kupić zimne piwo. Innym razem, gdy płaciłszy za nocleg, siostra skojarzyła Polskę z Janem Pawłem II. W efekcie dostaliśmy zniżkę.

Sama katedra ma już prawie sto lat i jest jedną z najstarszych i największych w Zachodniej Afryce. Z jednej strony wyglądem przypominała francuską bazylikę, z drugiej została zbudowana z glinianej cegły. Stanowi więc piękny przykład eklektyzmu kulturowego. Warto tu było zajrzeć na mszę, która oczywiście strukturalnie nie różni się od polskiej, ale siła śpiewu, wielkie bębny i afrykański temperament robiły wrażenie. Prawdę mówiąc, katedra była też jedynym naprawdę ładnym zabytkiem w Wagadugu.

Poza zabytkowym kościołem największą atrakcją miasta było jego życie kulturalne. Koncerty, nauka gry na afrykańskich instrumentach, festiwale, film, sztuka – każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

Najlepszym miejscem na zacerpnięcie informacji był Institut Francais. Można tam było też skorzystać z mediateki (spora kolekcja komiksów), zjeść (drogo) lub zobaczyć małe muzeum (wstęp 1000 CFA). Instytut sam regularnie organizuje własne pokazy filmowe (często darmowe) i spotkania z artystami. Niestety w pobliżu tego miejsca kręci się wielu męczących naciągaczy. „Kup pocztówki! Masz już takie? Ale nie kupiłeś ode mnie! Twoje pocztówki są jak Peter Tosh, moje jak Bob Marley” – pewien irytujący sprzedawca nie zważał na moje grzeczne odmowy i lał za mną aż do pobliskiego fast foodu, gdzie zatrzymaliśmy się coś zjeść. Na koniec burknął: „Nie jesteś dobrym rastamanem. Chcesz widzieć czarnego człowieka w łańcuchach”. Taka absurdalna sytuacja zdarzyła się na szczęście tylko raz. W kolejnych dniach już nie

sililiśmy się na grzeczności, tylko zdecydowanie ostro odpowiadaliśmy, że nic nie chcemy. Pomogło.

W Wagadugu raz na dwa lata odbywa się też wielki panafrkański Festiwal Filmowy FESPACO. Wielu mieszkańców stolicy Burkiny bardzo często wspominało nam o tym wydarzeniu. Pewien mężczyzna w kawiarni tak nam rekomendował festiwal: „Chcecie zobaczyć prawdziwe życie miasta, przyjdźcie na FESPACO. Wybraliście po prostu zły rok. Wracajcie do Polski, zaoszczędzicie pieniądze i przyjdziecie na festiwal”. Woleliśmy jednak kontynuować naszą podróż, ale zainteresowanie zostało. Może kiedyś się jeszcze uda? Najbliższa edycja festiwalu rusza w roku 2015 pod koniec lutego, szczególnie na stronie: www.fespaco-bf.net (tylko po francusku).

Pod względem muzyki Wagadugu ustępuje jedynie Bobo Dioulasso. Spacerując, kilkakrotnie natknęliśmy się na spontaniczne afrykańskie jam session, m.in. w pobliżu katedry. Większość kawiarni w centrum miasta organizowała wieczorne koncerty. Przy *jardin du maire*, znajdował się mały muzyczny targ. Tam spotkaliśmy lokalnego rastamana Hermana. Mężczyzna był prawdziwym *djembefola*, czyli mistrzem gry na djembe. Wspólnie pograliśmy, a przed wyjazdem zakupiliśmy od niego instrumenty. Tego sympatycznego człowieka zapewne dalej można spotkać na muzycznym targu. W mieście odbywają się też duże muzyczne festiwale: w kwietniu Jazz à Ouaga, w październiku i listopadzie Festiwal Ouaga Hip-Hop. Odwiedziliśmy także świetne „Muzeum muzyki” (1000 CFA). Znajduje się w nim wielka kolekcja afrykańskich instrumentów, od balafonów po dunduny. Co najdziwniejsze, znudzony opiekun muzeum, pozwalał nam testować i grać na eksponatach!

Wielkim plusem jest różnorodność mieszkańców stolicy. W Wagadugu można spotkać wszystkich przedstawicieli grup etnicznych Burkina Faso m.in.: Mossi (największa grupa etniczna w kraju), Fulani, Malinke, Bobo, Senufo, Lobi, a czasem nawet Tuaregów. W centrum widzieliśmy zarówno kościoły, jak i meczety. Jak mówi popularne powiedzenie: „Mieszkańcy Burkina Faso są w 50% muzułmanami, w 50% chrześcijanami i w 100% animistami”. Waga jest pod tym względem idealnym przykładem spełniającym nasze wyobrażenie o afrykańskim kociołku kulturowym. Pomimo wszystko miasto sprawiało wrażenie dużo bardziej spokojnego od stolic sąsiednich krajów. Waga dało się lubić!

Trochę gorzej z uliczną kuchnią. Choć była bardzo tania (to my mówimy za ile chcemy zjeść, zazwyczaj za 300 CFA), to mdła i na dłuższą metę strasznie monotonna. Jedynie czasami znajdowaliśmy pyszne bagietki (mistrzostwem jest wypełnienie z awokado, pastą jajeczną i smażoną cebulą). Gdy mieliśmy dość ulicznego jedzenia, wchodziliśmy do obskurnych, mniej ekskluzywnych restauracji, gdzie jedliśmy „spaghetti” lub ryż z warzywami za ok. 1000/2000 CFA. Dodam, że jako osoba o wegetariańskich preferencjach nie miałem problemu z jedzeniem w Burkina Faso, jednak niezależnie od diety warto do tego kraju zabrać ze sobą jakieś lekarstwa na problemy z żołądkiem.

Poza kuchnią, w Wagadugu istnieje jeszcze kilka innych potencjalnych zagrożeń. Wiele dróg w stolicy Burkina Faso nie posiadało asfaltu. Z powodu pyłu unoszącego się w powietrzu, wędrując po mieście, zaślanialiśmy twarze chustami. Przy okazji chroniliśmy się przed zapachami miasta. Niewiele te nasze zabiegi dawały, bo i tak wydychaliśmy z nosów wieczorami piach. Ja potrzebowałem też użyć raz soli fizjologicznej, którą mam ze sobą od czasu, jak kiedyś w Etiopii zatarłem sobie oko. Riddim po prostu wołał nosić okulary.

Lepiej uważać na wszystkich zagadujących nas na ulicy. Dodam, że zazwyczaj ci, którzy posługiwali się angielskim, byli największymi naciągaczami. Wszystkim, którzy wybierają się w ten region świata, polecam więc odświeżyć francuski lub przyswoić sobie chociaż podstawy. Bez języka byłoby nam bardzo ciężko utargować odpowiednią cenę czy uzyskać jakiegokolwiek użyteczne informacje.

Rezygnowaliśmy również z używania w Burkina Faso couchsurfingu (couchsurfing.org). Dostałem od znajomych ostrzeżenie, że tutejsza grupa użytkowników tego popularnego portalu to w większości oszuści, naciągający turystów na piwo i oferujący swoje usługi w roli przewodnika. Opcja darmowego noclegu brzmi kusząco, ale po co pakować się bez sensu w kłopoty.

Choć generalnie Burkina Faso jest bardzo bezpiecznym krajem, to w Wagadugu szczególną ostrożność należy zachować też na targach i po zmroku.

Miejsce nie do bani

Po Burkina Faso przemieszczaliśmy się autostopem. Wagadugu jest bardzo rozciągniętym miastem, przez co wydostanie się na obrzeża stanowiło pewien problem. Mogliśmy przejść pieszo, ale jak wspominał nam inny podróżnik, zajęłoby to nam od trzech do czterech godzin. Na szczęście, na drogach wyjazdowych ze stolicy znajdują się małe stacje benzynowe. Pierwszy zapytany przez nas kierowca zgodził się nas podrzucić na koniec miasta. Był tak miły, że podwiózł nas, mimo że nie było mu to po drodze.

Tu czekało nas zaskoczenie. Po pierwsze na trasie wiodącej na północ mieliśmy wrażenie, jakby miasto-wioska nigdy się nie kończyła. Liczne, małe, gliniane chatki ciągnęły się przy głównej drodze. Po drugie brakowało samochodów.

Generalnie decydując się na autostop po Burkina Faso, trzeba się uzbroić w dużą dozę cierpliwości. Pojazdów niebędących autobusami nie ma tu za wiele (a i te drugie nie za często przejeżdżają). Już 100 km za Wagadugu nie jeździ praktycznie nic (poza trasą na Bobo). Nic dziwnego, Burkina Faso jest wciąż jednym z najmniej rozwiniętych krajów na świecie. Dla większości mieszkańców tego kraju już motor, który jest w tym klimacie praktyczniejszy, stanowi luksus. Tak naprawdę niewiele osób przemieszcza się tu na dalekie dystanse. Oczekiwanie dwu, trzygodzinne to norma. Przejechanie trasy Wagadugu – Bani zajęło nam 8 godzin, czyli dwukrotnie dłużej niż autobusem. Wizyta w tej małej wiosce przeszła nasze najśmielsze oczekiwania.

Bani słynie z glinianych meczetów. Aż pięć z nich rozrzuconych jest na pobliskim wzgórzu. Największy dominuje w sercu wioski. Zostały zbudowane w charakterystycznym stylu kaktusowym. Ponieważ po każdej porze deszczowej trzeba budowlę odbudowywać, stąd minarety są najeżone drewnianymi palami, służącymi jako rusztowania. Niestety, wszystkie meczety są uszkodzone (dwa z nich prawie całkiem zmyło). Na wzgórzu ostał się tylko jeden minaret. Według mieszkańców dla Bani nastały gorsze czasy. „Z powodu kryzysu w Mali, turyści przestali do nas przyjeżdżać, a przecież tu jest całkowicie bezpiecznie” – ubolewał syn mężczyzny, który prowadził mały hotel „Fofó” w centrum wioski. W jego księdze gości ostatni odwiedzający pojawił się w Bani tydzień przed nami.

Naprawdę ciężko uwierzyć, że kompleks zbudowany został niecałe czterdzieści lat temu. Wszystko za sprawą pewnego charyzmatycznego imama El Hadj Hama Mohamadou Ibn Hamadou, który w swoim łączeniu islamu z lokalnymi wierzeniami daleko odszedł od głównego nurtu religii proroka Mahometa. Świątynie na wzgórzu zamiast w stronę Mekki nakierowane są na główny meczet w wiosce. Popularność duchowe-

go przywódcy o długim nazwisku nie spodobała się wielu co bardziej ortodoksyjnym nauczycielom. Imama oskarżano o wiele obrzydliwych praktyk, takich jak pozbawianie zmarłych mężczyzn ich przyrodzenia. Choć nie wiem, ile w tym prawdy, praktyki religijne, które zaobserwowaliśmy w głównym meczecie, przypominały te charakterystyczne dla sufizmu – z zaśpiewami i medytacją z wykorzystaniem sznura modlitewnego.

Właściciel wspomnianego hotelu „Fofa” był synem religijnego charyzmatyka. Nie dlatego jednak zdecydowaliśmy się na nocleg w innym miejscu. Zachwyciły nas ślicznie wymalowane burkińskie chaty oferowane przez „Le Nomad”. Były przestronne i posiadały moskitiery. Na podwórku stał lekko zdezelowany, ale działający zestaw do gry w piłkarzyki. Za wynajem z wyżywieniem płaciliśmy 5000 CFA od głowy.

Bani było jednym z najbardziej urokliwych miejsc, jakie odwiedziłem w Afryce. Jest tu mnóstwo okazji do poczynienia ciekawych obserwacji kulturowych – chodząc uliczkami, widzi się podwórka każdego domu. Ze wzgórza lub piętra meczetu można podziwiać wspaniałą panoramę wioski i piękno Sahelu. Wieczorem zewsząd dobiegał nas charakterystyczny stukot ubijanego prosa. Gdy zrobiło się chłodniej, na lokalnym boisku pojawili się gracze. I nam się udało rozegrać niejeden mecz, choć w lidze dziecięcej (co w niczym nam nie pomogło, bo młodzi Burkińczycy mają football we krwi). Zresztą horda dzieci towarzyszyła nam praktycznie cały czas przy zwiedzaniu, co do pewnego stopnia było zabawne, ale na dłuższą metę trochę męczyło.

Również za wstęp do meczetów nie pobrano od nas żadnej opłaty. Zdziwiło nas to, ponieważ mieszkańcy ubolewali na brak pieniędzy potrzebnych do rekonstrukcji obiektów, a przecież mogliby zarabiać na tak nietypowej atrakcji.

W okolicy znajduje się także kilka innych urokliwych wiosek, gdzie mogliśmy się przyjrzeć normalnemu życiu na co dzień i porozmawiać z ich mieszkańcami. W Bani zdecydowanie warto zatrzymać się dłużej niż jeden dzień.

W Dori zaboli

Po kilku dniach spędzonych w Bani ruszyliśmy autostopem do Dori. Dojechalśmy bez problemu. Samo miasteczko nie miało za wiele do zaoferowania.

Przy meczecie napadła nas lokalna starszyzna, niezadowolona, że obfotografujemy święty budynek. Na targowisku chcieliśmy się zastosować do przysłowia ludu Mossi: „Kto spieszy się na targu, może kupić co najwyżej głowę psa”, niestety nam nie dano. Sprzedawcy się przekrzykiwali, a zgraja dzieci szalała dookoła.

Zrezygnowani, wyszliśmy łapać stopa do słynnego, pustynnego miasta, Gorom Gorom. Pewnie by się udało, gdyby nie nagłe pojawienie się młodego mężczyzny, który oświadczył nam, że nie możemy wyjechać z Dori bez policyjnego zezwolenia.

Podeszliśmy sceptycznie do tych rewelacji. Przewodnik Bradta wspominał, że zarejestrować się na komisariacie policji trzeba dopiero w Gorom Gorom. Gdy jednak pojawił się drugi mężczyzna, głosząc te same wieści, zawróciliśmy do komisariatu.

Tam czekały na nas biurokratyczne katusze. Policjant wypytywał, ale prawie nas nie słuchał i w dodatku co chwila znikał. Gdy pytaliśmy się, w czym problem, tylko uśmiechał się pobłaźliwie i odpowiadał, że wszystko zależy od jego szefa, którego nie ma obecnie w mieście. Niestety, nie raczył wykonać żadnego telefonu, pomimo że pytaliśmy się o to co chwila. Gdy minuty zamieniły się w godziny, zrozumieliśmy, że mundurowy ewidentnie czekał na jakiś gest z naszej strony. Poirytowany powiedziałem mu, jak najspokojniej mogłem, że jesteśmy studentami i że niestety mamy mały budżet.

Policjant pokręcił nosem, po raz setny przestudiował nasze paszporty, po czym przystąpił do pytań. Po wypytaniu o podstawowe informacje, zaczęło się robić absurdalnie: „Adres Uniwersytetu, adres mieszkania rodziców, czy mamy psa...” Ten człowiek ewidentnie wykorzystywał swoją pozycję, by sobie z nas kpić. Oburzony zapytałem, o co mu chodzi. Policjant z paskudnym uśmiechem odpowiedział, że o nic i że właściwie to możemy iść. Zapytałem czy wypisze nam jakąś przepustkę, potwierdzenie, cokolwiek. Oczywiście nic nie dostaliśmy. Dwie godziny na zabawę z burkińskim służbistą. Mieliśmy jednak satysfakcję, że nic od nas nie dostał.

Mężczyźni, którzy zaprowadzili nas do komisariatu, cały czas na nas czekali. Gdy wyszliśmy, od razu do nas doskoczyli. Jak można się było spodziewać, okazali się lokalnymi samowzwańczymi przewodnikami. Gdy grzecznie podziękowaliśmy, mówiąc, że jedziemy tylko do Gorom Gorom, to równie grzecznie przytaknęli. „Świetnie, nasz znajomy już tam na was czeka” – oznajmili. Nie mogliśmy się wręcz doczekać...

Gorąco jak w Gorom Gorom

Z powodu późnej godziny do Gorom pojechaliśmy rozpadającym się autobusem (2000 CFA). Miasto znajdowało się na kompletnej pustyni, nie był to może Timbaktu, ale robiło wrażenie. Nie zdążyliśmy zejść z autobusu, a tam czekał już na nas człowiek, który przedstawił się jako Hasan. Początkowo nie chcieliśmy z nim wchodzić w żadne interesy, ale ostatecznie otrzymaliśmy ciekawą propozycję. Pobyt w jego domu, z jego rodziną, za dowolną opłatą. Zgodził się też nie pytać o usługi turystyczne, skoro sobie tego nie życzymy.

Rodzina Hasana miała kilka glinianych chat, połączonych wspólnym podwórkiem, po którym spacerowały kury, koza i stara krowa. Wspólny posiłek (rękami) był jednym z najbardziej niezapomnianych w naszej podróży. Hasan opowiedział, że przez brak turystów nie ma z kim ćwiczyć angielskiego. Twierdził zresztą, że posługuje się aż siedmioma językami. Po posiłku, zaciągając się skrętami z marihuany, Hasan rozluźnił się na tyle, że wzięło go na opowieści dotyczące afrykańskiej duszy. Zapytaliśmy go, czy lokalnych mużulmanów nie drażni kościół, znajdujący się dosłownie kilkadziesiąt metrów dalej, na tej samej ulicy. „Czemu ktoś miałby robić problemy z powodu modlitwy do tego samego Boga? Różni się tylko budynek” – odpowiedział nie wykazując specjalnych emocji.

W samym kościele zaskoczył nas obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Okazało się, że miejscowy ksiądz studiował kiedyś w... Katowicach i przywiózł ze sobą pamiątki.

Dużo mniej przyjemna okazała się kolejna wizyta w komisariacie. Tym razem obyło się bez owijania w bawełnę. Funkcjonariusz zebrał tylko nasze podpisy i ostrzegł przed samowolnym opuszczaniem miasta. Zresztą złagodniał, jak usłyszał, że zatrzymaliśmy się u Hasana. Zdaje się, że był kimś z rodziny, ale ciężko było zrozumieć jego język francuski wymieszany z lokalnymi językami.

Gorom Gorom słynie z wielkich targowisk, niestety, byliśmy w nieodpowiednim czasie. Przespacerowaliśmy się za to dokładnie dookoła miasteczka. Uderzyła nas ulica (czyt. piaszczysta droga) „imprezowa”. Na takiej pustyni mieli piwo i muzykę! Puby były szczelnie zasłonięte. Można pić, ale poza obszarem publicznym. Coby nie razić starszyny i pewnie co bardziej gorliwych mułków.

Na wchodzie od miasta znajdowała się skała – wybryk na całkowicie płaskim pustkowiu. Było to świetne miejsce do uchwycenia zachodu słońca nad Gorom Gorom. Ostatnie chwile naszego pobytu w tym magicznym miejscu spędziliśmy właśnie tam.

Autostopowa gorączka

Według planu z Dori mieliśmy pojechać do Djibo. Niestety, tym razem autostop nas zawiódł. Przez cały dzień ujechalśmy zaledwie 40 km. Nie jeździło nic albo samochody obciążone były tak, że szpilki się nie dało wcisnąć, a co dopiero człowieka. Zasady grawitacji nie obowiązywały. Żywy inwentarz mieszał się na zdezelowanych jeepach z ludźmi. Na tej trasy nie jeździły też busy, a jedynie małe motoriksze.

Po kilku godzinach spędzonych pod drzewem zatrzymaliśmy jeepa. Kierowca porozmawiał, wysłuchał naszej historii, a na koniec oświadczył, że niestety należy do organizacji pozarządowej i nie może nas ze sobą zabrać.

W porze obiadowej bilans przejechanych kilometrów prezentował nam się wyjątkowo niekorzystnie. Od Dori oddaliliśmy się zaledwie na 40 km. Przechodzący w pobliżu wieśniak poinformował nas, że tego dnia, już nikt nie pojedzie do Djibo. Będzie może ktoś jechał, ale tylko do Aribindy. Kiedy dokładnie? *Inshallah* – usłyszeliśmy w odpowiedzi, czyli nie wiadomo było, czy w ogóle ktoś się będzie tam wybierał. W tej sytuacji zdecydowaliśmy się łapać autostop w dwie strony. W razie czego chcieliśmy wrócić do Wagadugu.

W końcu pod wieczór dojechalśmy z powrotem do Dori. Ostatnim rzutem na taśmę, przy zachodzącym słońcu, przy pozdrowieniach tuareckiej starszyny, przy podskakujących dzieciach proszących o zdjęcia, zatrzymaliśmy jeepa. Prosto do Wagadugu.

Z perspektywy czasu chciałbym jednak polecić podróżowanie autostopem w Burkina Faso, pomimo że podróż może się bardzo wydłużyć. Przede wszystkim, to wspinały sposób by poznać ludzi. Nie tylko kierowców. Podczas naszych postojów na trasie często lokalni mieszkańcy przychodzili się przywitać. Zdarzały się poczęstunki herbatą czy kawą. Również zgraje dzieci nigdy w Burkina nie naprzykrzały się nam tak, jak zdarzało się to w innych krajach Afryki. Czasami któryś z malców poprosi nieśmiało o prezent (cadeau?) lub rozradowany krzyknie „białas!” (le black!). Dodatkowo dzieci niesłychanie cieszą się, gdy robi się im zdjęcia.

Autostop w Burkina jest też zrozumiały. Istnieje nawet specjalny zwrot: „fair l'occasion”, po którego wypowiedzeniu na twarzach kierowców pojawiał się uśmiech i drzwi stawały otworem. Ani razu podczas podróży nie padło pytanie o pieniądze.

Są też plusy niskiego samorozwoju kraju. Poza wspomnianym Wagadugu i Bobo-Dioulasso, miasta (raczej wiosko-miasteczka) są bardzo proste w nawigacji. Główna droga jest tam, gdzie asfalt, zgubić się nie sposób.

Zazwyczaj łapany przez nas transport to prywatne jeepy, na które mogą sobie pozwolić raczej najbardziej majątni ludzie w kraju, ewentualnie firmy. Zdarzyło nam się też jechać tirami, w jednym zaskoczył nas solidny sound system, z którego płynęła panaafrykańska muzyka, popularnego w Burkina Faso Tiken Jah Fakoly.

Kierowcy chętnie robili sobie z nami wspólne zdjęcia, a raz zaproszono nas na piwo. Mój towarzysz w podróży zapytał, ile w Burkina można wypić za kółkiem. Rozbrajająca odpowiedź brzmiała „ile się chce”. Policja w Burkina Faso raczej nie posiada alkomatów. Biorąc pod uwagę, jak bardzo ludzie lubią się tu napić piwa (pomimo że połowa mieszkańców kraju to muzułmanie), to może i dobrze, że w kraju nie ma za wiele pojazdów...

Ewa Wilczyńska-Saj,
Romek Saj

Karnawałowe Cabo Verde (Wyspy Zielonego Przylądka)



Termin: 5.02–21.02.2015 r.

Uczestnicy: Ewa i Romek

Wiza: 25 EUR/os; internetowo lub (najczęściej) zaraz po wylądowaniu na lotnisku

Waluta: Escudo (CVE); oficjalny przelicznik: 110 CVE = 1 EUR (nieoficjalny: 100 CVE = 1 EUR)

Czas: GMT –1

Języki: portugalski (urzędowy), kreolski (narodowy) oraz w mniejszym stopniu na poszczególnych wyspach: francuski, angielski i włoski

Prawo jazdy: wymagane międzynarodowe (w praktyce zazwyczaj wystarcza krajowe)

Udogodnienia: Wi-Fi dostępne w wielu miejscach turystycznych (hotele, lokale gastronomiczne, place miejskie); bankomaty znajdują się we wszystkich większych miejscowościach, jednak płatności kartą bardzo rzadko możliwe.

Zdrowie: brak obowiązkowych szczepień (przy wlocie z Europy); zagrożenie na wyspach malarią czy dengą niemal nie występuje

Pogoda: cały archipelag leży w strefie klimatu tropikalnego i bardzo suchego; średnia temperatura roczna to 25°C (wody 20–25°C)

Bezpieczeństwo: jest to kraj przyjazny i bezpieczny

Koszty podróży (za 2 osoby): loty zewnętrzne 800 EUR, loty wewnętrzne 350 EUR, prom (powrotny) 32 EUR, transport lądowy (bus, aluger, taxi) 64 EUR, wycieczka z przewodnikiem 50 EUR, noclegi 665 EUR, gastronomia 350 EUR

Przegloty zewnętrzne: Kraków – Eindhoven (bus) Amsterdam – Sal – Amsterdam (bus) Eindhoven – Kraków

Transport pomiędzy wyspami:

Sal – Sao Vicente (samolot)

Sao Vicente – Santo Antao (prom)

Santo Antao – Sao Vicente (prom)

Sao Vicente – Sal (samolot z przesiadką na stołecznej Santiago)

Trasa wewnątrz wysp: (taksówki, alugery, busy i pieszo)

Sal: lotnisko – Santa Maria – Esparagos – lotnisko

Sao Vicente: lotnisko – Mindelo – Calhau – Mindelo – port

Santo Antao: port – Porto Novo – Ponta do Sol – Fontainas – Ponta do Sol – Ribeira Grande – Paul – Ponta do Sol – Porto Novo – port

Sao Vicente: port – Mindelo – lotnisko

Sal: lotnisko – Santa Maria – wycieczka z przewodnikiem (Esparagos – Palmeira – Buracona – Pedra de Lume) – Santa Maria – lotnisko

Noclegi:

Sal (Santa Maria): Patio Antigo Residence (40 EUR/noc), Hotel Central (51 EUR/noc + śniad.)

Sao Vicente (Mindelo): Residencial Beleza (45 EUR/noc + śniad.), Aparthotel Avenida (60 EUR/noc + śniad.)

Santo Antao (Ponta do Sol): Residencial Ponta do Sol (37,5 EUR/noc + śniad.), (Porto Novo): Hotel Anthillas (43 EUR/noc). We wszystkich hotelach pobierana jest dodatkowa opłata 2 EUR/noc od osoby.

Przykładowe ceny: (są spore wahania cen w zależności od tego, jak bardzo turystyczne miejsce odwiedzamy, dlatego podajemy przybliżone przedziały) **w lokalach:** woda min. 0,6–1,30 EUR, czarna kawa 0,6–2 EUR, piwo 1,4–3, 2 EUR, poncz 0,7–1,5 EUR, cachupa 2,5–4 EUR, promocyjny obiad dnia od 4 EUR, **poza lokalami:** woda (1,5 l) ok. 0,5 EUR, piwo ok. 0,8 EUR, 1 kg bananów ok. 1,5 EUR, woreczek małych pączków 1,5 EUR, kostka mydła 1,3 EUR, znaczek do Europy 0,6 EUR.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1: Kraków – Eindhoven – Amsterdam

Z podkrakowskich Balic samolot startuje niemal planowo, o godz. 17.20, by pod Eindhoven wylądować na 19.20. Stamtąd można dostać się autobusem, bezpośrednio do centrum Amsterdamu (w ok. 1,5 godz.). Nocleg zarezerwowany jest w Amstel Botel (30 EUR/noc), do którego, co pewien czas, dopływa darmowy prom z Amsterdam Veer Centraal Station do przystani obok hotelu – Amst. Veer NDSM Werf.

Dzień 2: Amsterdam – Sal (Santa Maria)

Aby dotrzeć na lotnisko, trzeba wrócić promem do Centraal Station i stamtąd co kilkanaście minut jedzie pociąg do Schiphol (4,5 EUR/os.), by po 18 min być pod główną halą odlotów. My korzystamy z czarterowego lotu firmy turystycznej Arke (u nas Tui), więc to pod ich stoiskiem oddajemy bagaże rejestrowane i idziemy jeszcze na kawę z ciastkiem przed odprawą (mała czarna za 3,20 EUR). Dokładnie o 14.40 startujemy w górę i po 6 godzinach lądujemy na Sal. Jest już ciemno, ale przyjemnie ciepło względem Europy. Ponieważ wizę załatwialiśmy internetowo (z pomocą Arke), to z bagażami udajemy się prosto do wyjścia. O tej porze ciężko szukać busów czy alugerów, więc wsiadamy w taksówkę (12 EUR) i jedziemy prosto pod zarezerwowany hotel w Santa Maria – Patio Antigo. Wieczorem nie ma już nikogo z obsługi, ale jest pozostawiony numer telefonu do kontaktu i niezwykle uprzejmy ochroniarz obiektu, który sam dzwoni po właścicielkę, a nam przynosi ławeczkę i czekamy. Niedługo potem

dostajemy klucze do czystego i przestronnego pokoju, z aneksem kuchennym i łazienką. Po chwili wychodzimy na spacer zapoznawczy z wyspą i siadamy w pobliskiej knajpcie (Sapo Com Fome), przy której siedzi zespół i muzykuje w kabowerdyjskim stylu. Zamawiamy zupełną rybą (6 EUR) oraz piwo (3 EUR), ciesząc się chwilą i otoczeniem. Nie jest to może najtańsze miejsce, ale wszyscy uśmiechają się i kołyszą w rytm muzyki, więc trudno nie zakochać się w takim klimacie. Dla nas jest to idealny początek na Cabo Verde.

Dzień 3: Sal (Santa Maria)

Główną i wszędzie powtarzaną zasadą na Wyspach Zielonego Przylądka jest „no stress”, co szalenie nam się podoba i planujemy się do niej dostosować. Dlatego dzień mija na leniwej aklimatyzacji i rozeznanii w terenie. Dość łatwo znaleźć bankomaty przy głównych placach w miasteczku, więc po wybraniu gotówki, siadamy na śniadanie w Gelateria Giramondo. Zamawiamy naleśnika z bananami (3 EUR), bułkę z szynką i serem (2,5 EUR), espresso (0,9 EUR) i wodę (1 EUR), po czym idziemy na plażę. Santa Maria jest niewielką miejscowością, więc wszędzie można spokojnie przejść pieszo i są to krótkie dystanse. Widok na ocean jest nieprawdopodobnie piękny. Mieliśmy okazję być na kilku „najpiękniejszych plażach świata”, jednak to ta zmiata nas z nóg. Urzeczeni widokiem ulegamy ekskluzywnej restauracji (Odjod Agua), na wysuniętej skarpie z wodą dookoła i oszczędnie zamawiamy małe piwo (1,8 EUR) oraz lemoniadę (2,8 EUR), by choć chwilę posiedzieć w tak niezwykłym miejscu. Po pewnym czasie decydujemy przejść miasteczko wzdłuż i wszerz, chcąc podejrzeć życie codzienne mieszkańców. Przy okazji znajdujemy kilka sklepików (w tym zaskakującą liczbę prowadzonych przez Azjatów), w których dostać można „szwarc, mydło i powidło”. Przykładowe ceny: sok owocowy (1 l) 1,8 EUR, woda mineralna (1,5 l) 0,9 EUR, woreczek ciastek imbirowych 1 EUR, zupka „chińska” z nudlami 0,5 EUR, 4 banany 1,5 EUR. Na obiadokolację szukamy knajpki z lokalnymi potrawami, ale niestety dominują restauracje włoskie, angielskie i ogólnoeuropejskie. Nieco rozzarowani siadamy więc przy plaży w Sal Beach Club na burgerach z frytkami, ryżem i surówką (za 6 EUR) i korzystamy z Internetu (karteczkę z kodem na godzinę wręcza obsługa). Wieczory robią się chłodnawe względem dziennych temperatur, więc warto zabierać ze sobą coś do narzucenia na ramiona (niektórym nie zaszkodzi i skarpetki).

Dzień 4: Sal (Santa Maria)

Zasada „no stress” pochłonięła nas zupełnie, więc postanawiamy kolejny dzień spędzić bez konkretnego planu. Na śniadanie wybieramy Palm Beach (knajpkę przy plaży z niebezpiecznie wygodnymi sofkami, ustawionymi w stronę wody), gdzie przesiadujemy sporo czasu na czytaniu i blogowaniu (z przerwami na snorkeling), jedzeniu oraz picciu. Deska serów i wędlin 6 EUR, panache (piwo + Sprite) 3,5 EUR i americano (kawa) 1,20 EUR muszą nas zadowolić, bo lokalnego nic nie dostaniemy (choć menu mówi co innego). Nieopodal tego „gniazdka” jest wciąż zatłoczone molo, które okazuje się być targiem rybnym. Wybór i kolorystyka ryb zadziwia i stwarza swoisty raj dla fotografów, więc zdecydowanie warto tam pospacerować o różnych porach dnia. Po południu z głównego placu miasteczka dobiegają rytmiczne łomoty i kto może, udaje się w tamtym kierunku. Na miejscu mamy okazję obejrzyć jedną z wielu prób przed hucznymi obchodami zakończenia karnawału. Różnorodność cieszy oczy i uszy. Bębny małe i wielkie, kolorowe i jednolite, perkusiści od najczarniejszych po zupełnie białych, roześmiani i skupieni – super klimat. Zbiegło się sporo mieszkańców z dziećmi w wymalo-

wanych twarzach, bajkowo przebranych i z balonami. Kolejka po watę cukrową ciągnie się przez cały plac – jest karnawał. Wieczorem znów siadamy w Sal Beach Club, bo jest stosunkowo tanio jak na klub przy plaży i do tego kilka ekranów z różnymi meczami wokoło, więc jest wesoło (Kabowerdyjczycy uwielbiają piłkę nożną!). Posilamy się angielskim „baked potato” z tuńczykiem i kukurydzą (5,50 EUR) i cheesburgerem (6 EUR) plus americano (2 EUR) i piwo (3,20 EUR), po czym idziemy na spacer, poznać nocne oblicze miasteczka wciąż tętniącego życiem. Jest gwarno, radośnie i naprawdę bezpieczne (nawet „biała kobieta”, zostająca gdzieś sama po zmroku, nie czuje się nieswojo).

Dzień 5: Sal (Santa Maria – Esparagos) – Sao Vicente (Mindelo)

Tym razem wstajemy wcześniej rano, by pobiegać wzdłuż brzegu, zanim rozkręci się ruch turystyczny. To nasz ostatni dzień na piaszczystej Sal, więc szkoda nie skorzystać. Do charakterystycznego cypla i z powrotem przemierzamy blisko 4 km, w cudnie budzącym się słońku. Po drodze spotykamy jedynie grupę rybaków wyciągających łupy na łódzie, szkołę windsurfingu i kilku innych aktywnych turystów. To zupełnie inne oblicze okolicy niż dotąd poznane, więc zdecydowanie warto skrócić nieco sen. Przed powrotem po bagaże do hotelu zjadamy naleśniki przy plaży (3,50 EUR/os.), a w Informacji Turystycznej zdobywamy mapkę wyspy i dopytujemy o noclegi w innych miejscowościach na Sal (w tym momencie nie za bardzo jest taka możliwość). Z plecakami omijamy wszystkie taksówki i idziemy na przystanek busowy, a w nich za miejsce do Esparagos płaci się 1 EUR (zwykle za plecaki liczą dodatkowe 1 EUR, bo często nie ma innej opcji niż złożenie ich na dodatkowym siedzeniu). Kierowca rusza zawsze po zapełnieniu samochodu, więc bywa ciasno, ale nieporównywalnie taniej. Poza tym, według nas, lepiej i ciekawiej przebiega podróż z lokalsami i ich radosną muzyką w głośnikach. Główne miasto wyspy jest dużo mniej turystycznie rozwinięte niż Santa Maria. Jedyne hotel jest nieczynny, ulice pustawe i tylko mały plac z kościołem jest dość zadbane. Przy głównym skrzyżowaniu stoi największa knajpka (Esplanada Bom Dia), gdzie – w końcu! – dostajemy słynną (jak dotąd tylko z przewodników) cachupę. Jest to główne danie tradycyjne tego regionu i choć odmian jest kilka, tak wszystkie opierają się na fasoli i dodatkach. Za wersję z kiełbasą i jajkiem płacimy po 2,50 EUR (oraz 1,50 EUR za colę i 0,60 EUR za espresso). Posileni, jedziemy na lotnisko (taxi i bus ta sama cena – 3 EUR), gdzie po odprawach wsiadamy w samolot miejscowych linii lotniczych TACV – wielkości przeciętnego autokaru. Startujemy ok. godz. 17.35, z wyluzowanym (jak na „no-stress-kraj” przystało) opóźnieniem, ale już po 35 minutach lotu, lądujemy na Sao Vicente. Zachód słońca pięknie koloruje górzysty krajobraz wyspy i podekscytowanie nowym miejscem sięga zenitu. Na lotnisku warto popatrzeć ludzi o wspólny transport do Mindelo (niemal wszyscy tam się udają), bo zawsze taniej wyjdzie taksówka (10 EUR za kurs). Wsiadamy pod samym hotelem Residencial Be-leza, gdzie dostajemy pokój z fajnym widokiem na jedno ze wzniesień oraz na miasto. Ubieramy się ciepło i wychodzimy na kolację. Zaskakuje nas dość nieprzyjemny zapach spalin samochodowych, ale gdy docieramy nad samą zatokę, nie jest on tak odczuwalny. Kulturalna stolica Cabo Verde nie emanuje specjalnie aktywnym życiem po zmroku. W Informacji Turystycznej dowiadujemy się kilku szczegółów dotyczących karnawałowych obchodów i idziemy szukać restauracji. Siadamy w mniej zapełnionym barze Simpatico, gdzie z angielskim wśród obsługi jest dużo słabiej niż na Sal, ale za to jest darmowe Wi-Fi i duże porcje jedzenia (szaszłyk drobiowy z frytkami i surówką

8 EUR, kurczak curry 6 EUR, cappuccino 1,50 EUR). W drodze powrotnej udaje nam się znaleźć wolny pokój na noc kończącą karnawał (koniecznie trzeba szukać wcześniej, bo na koniec zostają już tylko droższe hotele, a i tam bywa ciężko coś znaleźć w ostatniej chwili). Dzięki temu, dużo spokojniejsi wracamy „do siebie”.

Dzień 6: Sao Vicente (Mindelo)

Fakt, że jest to ośrodek administracyjny wyspy, nie przyciąga tak, jak jego kulturalna renowacja. Dlatego od rana (po śniadaniu w hotelu) zapuszczamy się w miasto, by pokluczyć, pobłądzić i poznać. W porcie od razu kupujemy bilety powrotne na prom (16 EUR/os.), by móc spędzić kilka dni na Santo Antao i na pewno wrócić na karnawałowe szaleństwo. Z kartonikami w rękach, zadowoleni siadamy przy samej jachtowej przystani, w zaskakująco nieturystycznej (bo mocno schowanej) i uroczej kawiarence Porto Grande. Ceny bajkowe: tosty z szynką i serem 0,80 EUR oraz kozim serem 0,90 EUR, espresso 0,60 EUR i piwo 1,30 EUR. Miejsce tak fajne, że aż żal wychodzić, jednak ruszamy dalej. Przy wypożyczalni samochodów zastanawiamy się nad małym jeepem „Jimmy” (42 EUR/dobę) na następny dzień, by objechać wyspę, jednak ostatecznie decydujemy się przemieszczać alugerami i piechotą. Przy głównej ulicy – Wyzwoliceli Afryki – siadamy na chwilę w kultowej Cafe Lisboa. Miejsce bardzo malutkie, ale przytulne i przyjazne. Kiedy szef lokalu usłyszał, że jeszcze nie piliśmy dotąd ponczu, bez wahania daje do spróbowania miodowy i tamaryndowy (mocny, ale pyszny!). Po chwili podchodzi jeszcze z telefonem i na anglojęzycznej Wikipedii pokazuje, z czego składa się ten trunek. Wybieram bardziej kwaskowaty (czyli grog z owocami tamaryndy), Romek małe piwo i na koniec espresso, za co płacimy 3,60 EUR (nie dostajemy rachunku, więc trudno powiedzieć co za ile). Resztę dnia spędzamy na obejściu targów, placyków, uliczek i ich fotografowaniu. W sklepie muzycznym Harmonia, po przesłuchaniu kilku płyt, wybieramy jedną – zespołu z Santo Antao (15 EUR) i po kolacji w Marina Bar (stek z łososia i frytki 7 EUR) wracamy na noc do hotelu.

Dzień 7: Sao Vicente (Mindelo – Calhau – Mindelo)

Po śniadaniu w restauracji hotelowej (z pięknym widokiem i tarasem obok) szykujemy się na wypad poza Mindelo. Wcześniej jednak potrzebujemy chwilę popracować, więc siadamy w Cafe del Mar, z szybkim Internetem oraz dużym i niezbyt drogim wyborem gastronomicznym (tosty 1,20 EUR, americano 0,70 EUR). Kupujemy pocztówki (0,60 EUR/szt.) ze znaczkami (0,60 EUR/szt.) i idziemy na Plac Estrela, skąd odjeżdżają busy do Calhau. Ku naszemu zaskoczeniu, najbliższy ma odjechać o określonej godzinie, więc szwędamy się jeszcze po okolicy blisko godzinę i ruszamy planowo w drogę (za 2 EUR/os.). Jest to fajna opcja zobaczenia wyspy, która pomiędzy miasteczkami ma niemal równie księżycowy klimat jak Sal, tylko dużo bardziej górzysty – piękny! Głowa podczas trasy kręci nam się niemal dookoła, a najbardziej rozbija uczynność kierowcy, który objeżdża przystanki i zajeżdża ludziom pod same drzwi domów, odstraszałac zwierzaki domowe uskakujące na boki. Do tego pogawędka z wysiadającym, serdeczności, pozdrowienia i jedziemy odwiedzić kolejnego pasażera – pełny „no stress” i coraz bardziej podoba nam się ten nieturystyczny klimat wysp. Na samym końcu wysiadamy my, pośrodku niczego konkretnego, ale jest to jednocześnie miejsce o niezwykłym uroku. Tutaj czas się zatrzymał i pewnie mało kto posiada zegarek. Kilka domów, na zewnątrz tylko mały pies patrzy na nas leniwie, niezbyt piaszczysta i ciemna plaża – pusta oczywiście – oraz widok na dwie sąsiednie wyspy, mające na horyzoncie.

I cisza... Wracamy powoli spacerkiem w stronę jedyne go wypatrzonego wcześniej miejsca, które wyglądało na knajpkę. Wprawdzie tabliczka z napisem SERENATA jest chyba większa niż wyposażenie baru, ale to jeszcze bardziej dodaje miejscu uroku. Bardzo miła kobieta niemal na migi obsługuje nas, po czym znika, a my siadamy i oddajemy się życiowym refleksjom (przy piwku i wodzie mineralnej za 1,70 EUR razem). Czar pryska, gdy podjeżdża bus i kierowca woła nas do środka, bo dziś to już ostatni transport publiczny do Mindelo. Znow „zwiedzamy” poszczególne domostwa, przekazujemy jakieś pakunki i torby z zakupami, po czym docieramy leniwie do celu. Wieczorem zjadamy kolację w hotelu (grilowana ryba-garoupa w zestawie z ryżem, frytkami i surówką 7 EUR) i chcąc poznać nocne życie „serca Cabo Verde”, wychodzimy potańczyć. Jednak pierwsze miejsce – Chez Loutcha, to taki trochę dancing jak u nas, a my szukamy lokalu z morną (rozślawionym przez Cesarię Evorę stylem muzycznym wysp), więc po wypiciu miodowego ponczu (1,30 EUR/szt.) ruszamy dalej. Gdy na schodach prowadzących do Casa da Morna słyszymy pożądane dźwięki, to serce się kraje, słysząc kilka sekund później – „dobranoc i dziękujemy” (jest godzina 22). Podążamy wobec tego do już ostatniego poleconego nam miejsca na ten wieczór – Cafe Royal. I choć wystrój jest iście królewski, ze sceną mającą w tle spory wizerunek Cesarii, to wewnątrz zastajemy dwa zajęte stoliki i nieśmiałą muzykę dobiegającą z głośników. Zrezygnowani siadamy przy jeszcze jednym ponczu (1,50 EUR/szt.) i dajemy się namówić na miejscowy przysmak „fried milk” (1,50 EUR/szt.) do wyboru na zimno lub ciepło, po czym – jeszcze przed północą – opuszczamy (powoli już sprzątany) lokal. Na zewnątrz miasto śpi, więc i my wracamy do hotelu.

Dzień 8: Sao Vicente (Mindelo) – Santo Antao (Porto Novo – Ponta do Sol)

Dziś wyruszamy na – najbardziej odległą od stałego lądu Afryki i zarazem najbardziej dziką – Santo Antao. W porcie mamy być na 14.30, więc dość spokojnie się pakujemy i jeszcze trochę włóczymy po uliczkach Mindelo. Na lunch zjadamy tosty z kawą w Cafe del Mar i ruszamy w stronę promu. Wszystko przebiega dość sprawnie, plecaki zostają na dole, my idziemy na górę i jesteśmy gotowi do drogi. Choć odcinek między wyspami jest stosunkowo krótki, to i tak fale na tyle dają się we znaki, że obsługa rozdaje pasażerom szczelne woreczki. Na szczęście bez specjalnych komplikacji dobijamy po godzinie do portu, gdzie czeka już na nas osoba transportująca do hotelu (nie ma się jednak co martwić, gdyby nikt nie był umówiony, bo przed budynkiem, na potencjalnych klientów, wyczekuje tłum kierowców). Wsiadamy we wskazany bus (4,50 EUR/os.) i po zapewnieniu go, ruszamy do Ponta do Sol. Wszyscy w aucie żywo dyskutują, atmosfera jest niezwykle pozytywna, do tego donośna muzyka z głośników i nieopisanie piękne widoki za oknem sprawiają, że trudno przestać się uśmiechać. Po pewnym czasie mieszkańcy zagadują do nas i niezwykle przyjaźnie mija reszta zawiłej, górskiej trasy. Wsiadamy przed samym hotelem Residencial Ponta do Sol i dostajemy pokój na II piętrze, z widokiem na góry. Zostawiamy rzeczy i idziemy rozejrzeć się po miasteczku oraz przy okazji na kolację. Siadamy w pięknie położonym nad wodą O Veleiro Bar, gdzie zamawiając cachupę i grog (3,50 EUR i 0,60 EUR), zyskuje się szczególną sympatię obsługi. Generalnie jest to bardzo mało turystyczna wyspa i odczuwa się to na każdym kroku, zwłaszcza przy kontaktach z miejscowymi. Są bardziej otwarci, ciekawi, szczerzy i nienachalni. Już po kilku godzinach czujemy, że będzie to nasza ulubiona wyspa.

Dzień 9: Santo Antao (Ponta do Sol)

Pogoda od rana nie rozpieszcza, bo pada. Jest to dosyć wyjątkowe zjawisko na Cabo Verde, ale akurat na S. Antao zdarza się najczęściej i dzięki temu roślinność jest tutaj najbardziej okazała. Jednak podziwianie jej w deszczu nie jest naszym marzeniem, więc decydujemy się na pozostanie w miasteczku i poleniuchowanie. Śniadanie zjadamy w hoteliku na dole, tam też korzystamy z Internetu, po czym wracamy do pokoju, by przygotować pranie do zostawienia w recepcji (3 EUR/kg ciuchów). Generalnie są to nasze najtańsze noclegi na wyspach, więc i standard jest niższy, ale w pełni wystarczający, a do tego śniadania w cenie są opcją mocno zadowalającą. Czytamy, notujemy, blogujemy i gdy nieco się przejaśnia, idziemy na spacer. Po przejrzaniu cen w kilku dostępnych restauracjach, wracamy znów do O Veleiro Bar, bo cenowo korzystnie, widoki najciekawsze, a i atmosfera jest super. Do tego dziś muzyka na żywo, więc zostajemy bez dwóch zdań. Tym razem próbujemy pizzę ze świeżymi owocami morza (7,60 EUR), a do tego espresso (0,60 EUR) i sok z guawy (1,30 EUR). Po zebraniu się muzyków idziemy jeszcze popробować ponczu o innych smakach niż miodowy i znajdujemy je w Bukinha Salgod (lokal ten za dnia jest też swego rodzaju Informacją Turystyczną). Zamawiamy tamaryndowy i kokosowy, a za szklaneczkę każdego płacimy 1 EUR. Niebo daje nadzieję na ładniejszą pogodę od jutra i z taką właśnie wiarą wracamy na noc do hotelu.

Dzień 10: Santo Antao (Ponta do Sol – Fontainhas – Ponta do Sol)

Słońca nie ma, ale nie pada, więc po szybkim śniadaniu szykujemy się do trekkingu w kierunku perełki tutejszych okolic – Fontainhas. Po drodze okazuje się, że właśnie rusza przez miasteczko mały pochód karnawałowy dzieciaków. Podzielone na klasy, z której każda prezentuje inne tematycznie stroje, poruszają się tanecznym krokiem, przy dźwiękach radosnej muzyki dobiegającej z głośników. W tym momencie nawet sklepy na chwilę zostały zamknięte i kto mógł, wyszedł na ulicę, by po chwili wszyscy wrócili do swoich obowiązków. My zakupiliśmy wodę na drogę i zaczęliśmy nasze podejście pod górę. Z każdym krokiem oczy otwierały się nam szerzej z podziwu dla otoczenia i widoków. Choć to kilka kilometrów w jedną stronę, to droga nie dłuży się wcale. Podejścia nie są trudne, a trasę pokonuje się powoli, chcąc nieprzerwanie stawać na zdjęcia, filmowanie czy po prostu podziwianie drogi. Generalnie większość trasy ciągnie się wąską drogą wzdłuż oceanu, dopiero bliżej docelowej wioski prowadzi nieco w głąb lądu. Na miejscu w jednym z domów jest pomieszczenie pełniące rolę sklepiku, z kilkoma podstawowymi produktami. My kupujemy tam banany i po soku owocowym, za co (nieco zaskoczony nami) mężczyzna woła 1,20 EUR, zagadując z zaciekawieniem. Posilamy się, napawając widokami i wracając decydujemy jeszcze zagadać do tej samej rodziny o możliwość kupna u nich ponczu miodowego domowej roboty. Jeszcze bardziej zaskoczeni organizują dla nas buteleczkę i za ok. 300 ml płacimy 1,50 EUR. Droga powrotna mija już nieco szybciej i nawet słońko zaczyna przebić przez chmury. W miasteczku siadamy w O Veleiro Bar na słynnej languście (w wersji grillowanej), którą bierzemy na 2 osoby (18,40 EUR), a do tego colę (0,90 EUR) i piwo (1,40 EUR). Po odpoczynku w hotelu wychodzimy jeszcze na kolację i tym razem kusi nas walentynkowa (dziś 14 II) muzyka na żywo w restauracyjce Gato Preto. Wystrój pełen serc, kwiatów i świec wygląda bajecznie, a i kuchnia pozytywnie nas zaskakuje. Zamiast romantycznych zestawów dań bierzemy (znów na spółkę) zestaw kabowerdyjskich potraw (8 EUR). Pierwszy raz spotykamy się z taką opcją, gdzie obok miseczki ca-

chupy jest też kilka innych, mniej lub bardziej ostrych dań z fasoli, kurczaka, kukurydzy, papai i chyba wołowiny – smaczne i ładnie podane. Dodatkowo – już niemal tradycyjnie – próbujemy nowy smak ponczu, tym razem – czekoladowy (za 1,50 EUR). Jak się później okazuje, na rachunku dopisano „muzycy – 2 EUR”, ale było warto.

Dzień 11: Santo Antao (Ponta do Sol – Ribeira Grande – Paul – Ribeira Grande – Ponta do Sol)

Dziś mieliśmy przenosić się z noclegiem do Paul, ale finansowo dużo bardziej opłaca się zostać tu, gdzie jesteśmy, więc przedłużamy pobyt o dodatkową dobę i po śniadaniu ruszamy zobaczyć ten „rajski ogród Cabo Verde”. Najlepiej jest nie zamawiać nigdzie transportu, tylko iść (jedyną możliwą) drogą na południe wyspy i zatrzymać (co jakiś czas) przejeżdżającego busa. Nawet nie trzeba machać, same zwalniają, by spytać, czy nie zabrać ze sobą. Nas zabiera po 3 min spaceru i jedziemy do Ribeira Grande za 0,50 EUR/os. Tam nie przesiadamy się od razu, tylko rozglądamy po okolicy i siadamy na kawę z ciastkiem za 1 EUR (na tyłach stacyjki benzynowej). Gdy ruszamy dalej, różni kierowcy oferują nam podwiezienie do Paul za 10 EUR, ale my znów idziemy główną drogą w stronę celu i po chwili zabiera nas bus, jadący w tamtym kierunku, za 1 EUR/os. Wysadza nas dokładnie przy drodze w kierunku rajskiej doliny (pod widowiskowym i patrzącym na nas z góry św. Antonim), więc po szybkich zakupach lekkiego prowiantu ruszamy przed siebie. Trudno opisać słowami, jak niezwykła jest to trasa, która z każdym kilometrem zachwyca czymś nowym, stąd „warto”, to mało powiedziane. My docieramy do końca drogi i po kilku godz. trekkingu, postanawiamy powoli wracać. Zmęczenie daje się we znaki, więc łapiemy na stopa przejeżdżający samochód z paką i nim wracamy do miasta. Po drodze zatrzymuje nas na chwilę grupa uczestników karnawałowego zamieszania (Mandinguas, czyli ludzie z całym ciałem pokrytym czarnym olejem), która potem poprowadzi pochód w centrum Paul, z muzykami grającymi na pace ciężarówki. W tym czasie my jemy w tutejszym oddziale O Veleiro Bar (cachupę za 3,50 EUR z kokosowym ponczem po 1,10 EUR), po czym zbieramy się za roztańczonym korowodem, w kierunku Ribeira Grande. Po drodze rozpoznaje nas kierowca z pierwszego dnia na Santo Antao i oferuje zabranie do samego Ponta do Sol. Chętnie wsiadamy na pick-upa i przez kilkaset metrów stajemy się częścią karnawałowego tłumu przebie-rańców. Po pewnym czasie puszczają nas dalej i jedziemy jedną z najpiękniejszych tras nad oceanem, jakie można sobie wyobrazić. W centrum Ribeira Grande zbiera się inny korowód i kierowcy pytają, czy nie zostalibyśmy popatrzeć i „za chwilę” pojedziemy dalej. Przystajemy na to z ochotą i umawiamy się pod samochodem, po czym znikamy wszyscy w tłumie ludzi. Jednak zasada „no stress” w pełni działa i tu, więc pochód rusza dopiero po ok. dwóch godzinach, jak już się ściemnia. Gdy znika za zakrętem, idziemy pod umówione miejsce. Jednak nasi kierowcy zaczynają kombinować, przeciągając odjazd, a do tego żaden nie wygląda na trzeźwego, więc mówimy, że już sami pojedziemy w kierunku Ponta do Sol (licząc na złapanie jakiegoś transportu). Ostatecznie te kilka kilometrów idziemy pieszo w absolutnej ciemności, nad skrajem oceanu, bo o tej porze (i przy takich uroczystościach) nikt już nie jeździ. Do hotelu docieramy jeszcze przed północą i padnięci ze zmęczenia zasypiamy bez kolacji.

Dzień 12: Santo Antao (Ponta do Sol – Porto Novo)

Podczas śniadania prosimy, by recepcjonistka zarezerwowała nam nocleg w Porto Novo, bo akurat dość dobrze mówi po angielsku, a telefonicznie tutaj pewniej niż inter-

netowo. Płacimy za hotel, zbieramy rzeczy i idziemy do sąsiadującej kawiarenki z kafejką internetową. Mamy tam możliwość zwolnić karty pamięci pod kolejne zdjęcia i można też dokupić dodatkową (filmujemy więcej niż planowaliśmy, ale jest co uwieczniać!). Za godzinę różnych tego typu operacji, dodatkową kartę oraz dwie kawy z ciastkami płacimy ok. 15 EUR, po czym idziemy po czekające w hotelu bagaże. Bus do Porto Novo ma podjechać planowo ok. 13.00 (jeździ dwa razy dziennie, na czas przybycia promu i wraca na północ wyspy). Za osobę płacimy 4 EUR i jedziemy tą samą widokową trasą, co pierwszego dnia na wyspie. Hotel Anthilias jest położony bezpośrednio przy porcie, a nasz narożny tarasik wychodzi na przepiękny widok zatoki, gór oraz Sao Vicente na horyzoncie. Popołudnie mija leniwie i nie bardzo jest gdzie się udać, bo miasteczko po odpłynięciu ostatniego promu niemal zamiera. Romek znajduje jednak ciekawy lokalik – La Lampara da Giorgio – prowadzony przez Włocha, gdzie siadamy do kolacji. Zamiast menu jest rozmowa z właścicielem i dogaduje się, co można zjeść. Sympatyczna atmosfera i miły wieczór, który zaburza jedynie żal, że opuszczamy tę niezwykłą wyspę. Pogodą może nie rozpieściła, ale przyroda rekompensuje wszystko.

Dzień 13: Santo Antao (Porto Novo) – Sao Vicente (Mindelo)

Nastaje długo wyczekiwany dzień zakończenia karnawału, więc wracamy do Mindelo na jego najhuczniejsze obchody. Rano zjadamy tylko banany w biegu, pakujemy się i jesteśmy w porcie pół godziny przed czasem (9.30). Gdy ruszamy, wiatr jest tak uciążliwy, że większość pasażerów chowa się do środka, rezygnując z pokładu widokowego. Ale jest tam malutki bar, w którym bierzemy sobie po kawie i podziwiamy widoki za oknem. Nieco ponad godzinę później dopływamy do Mindelo, skąd kierujemy się prosto do pobliskiego Aparthotel Avenida. Pomimo że jest prawie południe, pokój jest już gotowy, więc składamy plecaki i ruszamy na dół do Cafe del Mar na spóźnione śniadanie (tosty 1,20 EUR i smoothie z mango 3,50 EUR). Wracamy do pokoju zapakować się w taki sposób, by nie mieć przy sobie żadnych toreb czy plecaków (łatwych do potencjalnych kradzieży). Z saszetkami biodrowymi i aparatami schodzimy zająć miejsca wśród czekających tłumów. Stajemy wzdłuż Rua de Lisboa, gdzie pierwsze grupy przebierańców już stoją (przed czasem, bo planowo ruszać mają o 15.00). Mnie udaje się przycisnąć do przodu, na krawężnik koło dzieciaków i mam stąd niezłe miejsce do fotografowania. Romek (przy swoim 185 cm wzrostu) radzi sobie spokojnie z tyłu, filmując pochód z góry. I tak mija nam wiele godzin, aż do wieczora. Mniej więcej w połowie zmieniamy miejsce na bardziej oświetlone (kilka przecznicy dalej), by nie spieć się na słońcu za bardzo, a po drodze zagryzamy drożdżówkami (0,70 EUR/szt.) z kawą (0,60 EUR), żeby mieć siłę zostać do końca. W jednym zdaniu o korowodzie: głośno, tanecznie, kolorowo, bogato, różnorodnie... jednym słowem – warto! Ludzi jest ogrom, poprzebieranych grup również sporo, więc gdy się ściemnia, a my już padamy z głodu i zmęczenia, wracamy do Cafe del Mar na kolację (znów tutaj, bo niskie ceny, dobre jedzenie, sporo miejsca i szybki Internet). W towarzystwie ludzi poznanych jeszcze na Santo Antao zjadamy fish&chips (3,50 EUR) i cheesburgera (3 EUR) z ponczem miodowym (1,50 EUR) i rozmawiamy o wrażeniach. Obserwując rosnące zamieszanie na ulicach, sporo alkoholu i coraz więcej służb wojskowych wokół, zwijamy się do hotelu, by popatrzeć na wszystko z – rewelacyjnie ustawionego na zatokę (i plac pełen imprezowiczów) – tarasu. W zasadzie nie ma poczucia, że robi się bardzo niebezpiecznie, ale my chyba jednak mamy za mało alkoholu we krwi, by do końca poczuć klimat

tego rodzaju integracji, a i brak przebrań nam nie pomaga. Myśląc, że ludzie będą bawić się do rana, szykujemy sobie ucztę na tarasiku, ale koło 23 godziny wszystko cichnie, ludzie stopniowo wykruszają się i koło północy miasto niemal zasypia... dziwne!

Dzień 14: Sao Vicente (Mindelo) – Santaigo (Praia) – Sal (Santa Maria)

Śniadanie – zgodnie ze standardem hotelu – pyszne i obfite, jednak trzeba było szybko zwijać się na lotnisko. Dlatego po nacieszeniu podniebień i oczu (widokiem z tarasu), zbieramy się na Plac Estrela. Co pewien czas odjeżdżają stąd alugery do Sao Pedro, czyli miejscowości obok lotniska. Płacimy po 2 EUR/os., a że pierwszy rząd poświęcono na plecaki (nie tylko my udajemy się na lotnisko), to nie pobierają dodatkowej opłaty za bagaż. Po 10–15 min jesteśmy podwiezieni pod samo wejście do hali, a ponieważ ludzi jest jeszcze mało, to odprawa trwa moment i można usiąść oraz skorzystać z Wi-Fi. Z czasem pojawiają się niemałe tłumy na 3 różne loty, Internet zanika, robi się ciasno, a żaden z samolotów nie odlatuje planowo. Zaczynamy się niepokoić, bo w Praia (na Santiago) mamy przesiadkę do Sal i choć to te same linie lotnicze, to nie wiemy, co będzie. Jednak obsługa uspokaja słowami „no stress” i tłumaczy, że albo samolot poczeka, albo wsadzą nas w inny. Podobno takie sytuacje są tu na co dzień i zawsze to jakoś ogarniają. Pomimo ponad godzinnego opóźnienia samolot na Santiago faktycznie czeka, jednak – ku naszemu przerażeniu – startujemy widząc, jak nasze bagaże leżą w wózkach na płycie lotniska i nie lecą z nami! Steward informuje tylko, że zdecydowano wysłać je najbliższym samolotem jeszcze dziś, co i tak średnio nas pociesza. Para Holendrów obok też niezadowolona, ale dopiero przy okienku „lost&found” widzimy, jak wiele osób zostało bez bagaży, również przesiadając się z Mindelo. Podajemy adres hotelu, ale ponieważ lot ma być niedługo przed północą, to ostrzeżono nas, że najpóźniej plecaki dostaniemy jutro z rana. Jest to kiepska wiadomość jak na to, że loty razem miały trwać około godziny i my przy sobie nie mamy nic poza dokumentami, sprzętem elektronicznym i paczką chusteczek. Jednak ludzie robią taki rumor z tego powodu, że jest jakaś szansa na rozwiezenie w nocy tych wszystkich bagaży. Lekko zmięci całą tą sytuacją i już mocno głodni, siadamy w jedynym lotniskowym barze, przypominającym przeciętną stołówkę studencką. Ceny wyglądają co najmniej kusząco, bo za dwa hamburgery płacimy 5 EUR, dużą wodę 1,20 EUR i espresso 0,60 EUR. W kiosku przy wyjściu kupuję jeszcze skarpetki na wieczór (za 2 EUR) i idziemy – omijając znów taksówki – na główną trasę, by złapać bus do Santa Maria. Wsiadamy po kilku minutach i (bez plecaków) płacimy po 1 EUR/os. Kierowca nie wjeżdża jednak do samego centrum, bo na ulicach trwa karnawał (pomimo oficjalnego końca dzień wcześniej). Poprzezbierani ludzie grillują na ulicach, tańczą, wygłupiają się i robią zdjęcia z turystami – pełny luz. Odnajdujemy nasz Hotel Central, informujemy o sytuacji z plecakami i idziemy nad wodę. Jest dużo chłodniej niż ponad tydzień temu i dość mocno wieje. Chowamy się więc w przyjemnie wyglądającym lokaliku Londres i bierzemy po ponczu (tym razem kokosowy i orzechowy) w cenie 1,50 EUR/szt. Korzystamy z Internetu, a na koniec kusimy się jeszcze na deser – płonące banany (polane grogiem i straszliwie słodkie) za 4 EUR, co dobrze jest popić gorzką, zieloną herbatą (1 EUR). Po powrocie do hotelu rzeczy nie ma, więc kładziemy się spać. Na szczęście około 1 w nocy dzwonią z recepcji – dotarli!

Dzień 15: Sal (Santa Maria)

Planowo to ostatni luźniejszy dzień na wyspach, który poświęcamy między innymi na to, czego się jeszcze dotąd nie udało, np. pocztówki, zakupy czy spróbowanie wina

z wyspy Fogo. Poza tym chcemy znaleźć na jutro jakąś korzystną opcję objechania całej Sal z przewodnikiem, bo jest kilka punktów, które chcemy zobaczyć przed wylotem. Nie bardzo jest sens opisywać tutaj włączenie się po różnych miejscach, targowanie czy szukanie najlepszych ofert krok po kroku, więc wymienimy same efekty. Wycieczkę udaje się załatwić na następny poranek za 25 EUR/os. („half day trip” w tej cenie jest niemal wszędzie, różni się tylko dni tygodnia). Z cen gastronomii, o której jeszcze nie pisaliśmy, to: lampka białego wina z Fogo 2,50 EUR, smażone kalmary 4 EUR, pieczony ser kozi z konfiturą 3 EUR (Londres Bar). Z gadżetów kupujemy: magnesy (2 EUR/szt.), wiszącą maskę (utargowane 10 EUR), drewnianą grę z nasionami (utargowane 13 EUR), kabowerdyjską kawę (najlepiej u Chińczyków: 0,50 EUR/szt.), bransoletki 1–2 EUR. Poza tym dzień jest chłodny i wietrzny, nawet miejscowi się dziwią, że tyle dni z rzędu jest tak chłodno. Pozostaje mieć nadzieję, że jutrzejszy – głównie wycieczkowy – będzie cieplejszy i słoneczny.

Dzień 16: Sal (Santa Maria – Esparagos – Palmeira – Buracona – Pedra de Lume – Santa Maria) – Gambia (Banjul/przeziadka)

Pobudka ok. godz. 7, bo trzeba się spakować, zejść na śniadanie, plecaki zostawić w recepcji i zdać pokój, a o 9.00 jedziemy na ostatnią wycieczkę. Pogoda jest kiepska, bo pochmurna i z dużym wiatrem. Ale nie ma już odwrotu, więc wsiadamy w jepa z dwójką Holendrów i ruszamy. Kierowca pełni również rolę przewodnika i powoli objeżdża Santa Marię, tłumacząc co jest gdzie i pokazując stare fotografie tych miejsc. Dalej przejeżdżamy przez tereny odzyskiwania soli z wody morskiej i ja tykam aviomarin, bo jedziemy takimi terenami, że nawet jeepowi można współczuć wysiłku. Stajemy przy plaży ze szkołą kitesurfingową i stwierdzamy, że chyba tylko oni się dziś cieszą z takich warunków atmosferycznych. Drogą pełną wybojów jedziemy dalej. Stajemy przy plaży po innej stronie wyspy – Baia de Murdeira, która zwykle wygląda pięknie i nawet dziś robi niezłe wrażenie, ale wzburzone fale, kłębiące się chmury i szarówka wokół nie dają tego efektu (podobno tu jest świetne miejsce do snorkelingu, ale w innych miesiącach). W Esparagos robimy mały przystanek (w Esplanada Bom Dia) na kawę (na własny koszt) i wc, po czym jedziemy na górę (pełniącą również funkcję wieży lotniskowej), by obejrzeć wyspę z serca administracyjnego wyspy. Kolejny punkt to rybackie miasteczko Palmeira, gdzie robimy tylko kilka zdjęć i zmierzamy w stronę Buracony. Niestety, diamentowy „Blue Eye”, z powodu braku słońca i za dużych fal, wygląda jak zwykłe bajorko w skałach (przed czym ostrzegał kierowca, ale nie sprzedające wycieczkę biuro). Mocno rozzarowani, cieszymy czy chociaż spektakularnymi falami wybijanymi wysoko w górę, po czym wsiadamy do samochodu. Z jego ciepłego wnętrza otoczenie wygląda niezwykle ładnie i tajemniczo. Może i pasko, pusto, czy pustynnie, ale to też ma ogromny urok. Zatrzymujemy się na moment, by obejrzeć zjawisko fatamorgany na pustych obszarach i stąd już prosto do salin przy Pedra de Lume. Krater wulkanu wygląda zjawiskowo, a niemal księżycowy widok naokoło tworzy niecodzienny krajobraz. Gdy jest cieplej, można tu korzystać ze zdrowotnych kąpiel, o czym teraz oczywiście możemy zapomnieć. Poniżej są pozostałości z lat świetności tego miejsca, co tworzy klimat jak ze starego westernu. Dalej, zmęczeni zimnem i wiatrem, podjeżdżamy jeszcze na plażę, gdzie zwykle pływają małe rekiny, ale – naturalnie przez taką pogodę – nie dziś (sic!). Przed samą Santa Marią stajemy jeszcze w miejscu, gdzie na wielkiej fali ćwiczą profesjonalni kitesurferzy, windsurferzy, surfe-

rzy i... fotografowie, którzy mają idealne okazje do „pocztówkowych” zdjęć. Tu też odbywają się mistrzostwa świata tych sportów, ale dziś tylko trenują. Odstawiamy Holendrów pod hotel, a nas kierowca wysadza (na życzenie) pod ichniejszym biuromyeczynowym, bo obok można zjeść tani obiad dnia (4 EUR/os.). Chwilę potem idziemy jeszcze na plażę i siadamy, by wypić kawę (1,20 EUR) oraz piwo (ze Spritem 3,50 EUR) na ulubionych sofaach w Palm Beach oraz pożegnać się zarówno z oceanem, jak i tym miejscem. Do hotelu wracamy po bagaże, zostawiamy od siebie polską „książkę w podróży” na półce w holu i udajemy się na lotnisko. Standardowo już, idąc do busa, dziękujemy taksówkarzom i za 3 EUR jedziemy z plecakami do celu. Na miejscu siadamy w stołówce lotniskowej przy kawałku pizzy (1 EUR/szt.) i herbacie (1 EUR/szt.), w łazience szykujemy się do nocy w samolocie i kierujemy do odprawy. Ciekawe jest to, że już dzień wcześniej informowano nas o około półtoragodzinnym opóźnieniu samolotu, więc my zgodnie z zasadą „no stress” nie spieszymy specjalnie do bramek. Jednak zaczęto nawoływać o planowanym czasie, że samolot już czeka na płycie lotniska i wraz z grupą równie zaskoczonych osób musimy biec do samolotu bez możliwości kupienia już w bezcłowym, zaplanowanego ponczu tamarindo. Jest to lot czarterowy docelowo do Gambii, więc samolot prawie pełny. Siadamy na miejscach osób, które chwilę wcześniej wysiadły i od godz. 21.10 czeka nas ponad godzinny lot na losowych miejscach. W Banjul wszyscy wysiadamy na blisko 40 min, podczas wymiany załogi, sprzątania i tankowania. Nie rozpaczamy, bo Gambijczycy są bardzo przyjaźni, a my mamy okazję napić się gambijskiego piwka i napoju (razem 1,20 EUR); wsiadamy do samolotu jeszcze przed północą, by obudzić się już nad samym Amsterdamem.

Dzień 17: Amsterdam – Eindhoven – Kraków

Ładujemy na Schiphol koło godz. 7, czyli zgodnie z planem. W łazienkach szybko ogarniamy się po nocy i wychodzimy z bagażami do głównej hali. W markecie, przy kasach pociągów, kupujemy – najtańszą na terenie lotniska – kawę z kanapkami i zbieramy się do centrum Amsterdamu (pociągi co kilkanaście minut). Na miejscu mamy dwie godziny, więc siadamy coś przekąsić i autobus do Eindhoven rusza (z miejsca nieopodal dworca central.) o 15.30. Po półtorej godziny staje pod halą odlotów, skąd bezpośredni samolot do Krakowa startuje o 19.45. W Balicach jest 21.35, gdzie kończy się nasza kabowerdyjska wyprawa.

Podsumowanie: była to nasza pierwsza od dawna wyprawa nieoparta na gonitwie od zabytku do zabytku i choć momentami uczucie w związku z tym było dziwne, to bardzo od poczęliśmy. Codzienny kontakt z tak niezwykłą przyrodą cieszył i motywował do aktywności fizycznej. Różnorodność pomiędzy wyspami jest znacząca i warto o tym poczytać przed wyjazdem, bo jak na Sal można się było opalać, tak na Santo Antao bywało czasem naprawdę chłodno (nie tak jak w zimowej Polsce, ale jednak). Przeżycie karnawałowych uroczystości na każdej z tych wysp też jest niezwykle doświadczeniem, które warto poznać. Kraj jest z pewnością afrykański, jednak duży wpływ Portugalii (i powoli turystyki) dostrzegalny jest w miejscach częściej odwiedzanych, co przejawia się choćby kuchnią czy standardami hotelowymi. A wisienka na torcie, to niezwykła muzykalność kabowerdyjczyków, spotykana na każdym kroku. Innych wysp nie poznaliśmy, niestety, ale to co wiemy na pewno, to: jeśli plaże – zdecydowanie Sal, trekking – naturalnie Santo Antao, a pełen przepychu karnawał – koniecznie Mindelo (Sao Vicente). Po więcej opisów o Cabo Verde, zapraszamy na nasz blog: www.gonimyslonce.pl.

Tanzania 2014 – równikowa zima w środku europejskiego lata



Czas: 30 dni na przełomie sierpnia i września 2014 r.

Uczestnicy: Joanna i Tomasz Kusiak oraz Kacper (7 lat) i Nina (5 lat) Kusiak.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Przejazd: Wrocław – Kudowa Słone – Praga (samochód); przelot: Praga – Stambuł – Arusha, Dar es Saalam – Stambuł – Praga; linie lotnicze Turkish Airlines.

Wiza: 50 USD, wersja on arrival, niepotrzebne zdjęcie. W przypadku przylotu z Europy „żółta książeczka” nie była potrzebna, ale zabraliśmy ją ze sobą z potwierdzonym szczepieniem na żółtą febrę.

Przewodnik: Bradt – „Tanzania Północna” (po polsku).

Waluta: szyling tanzański. 1 USD = 1658 szylingów tanzańskich (Tzs). Pieniądze wymienialiśmy w kantorach dostępnych w całej Tanzanii, najgorszy kurs był na Zanzibarze w Nungwi (warto podejść do wioski i wymienić w kantorze przy głównej drodze, a nie w biurach przy plaży).

Ceny poszczególnych produktów:

Chleb (tostowy, ale smaczny) – 1000 Tzs (za paczkę)

Woda mineralna 1,5 l – 1000 Tzs

Coca-cola 0,5 l – 1600 Tzs

Piwo w restauracji – od 2500 do 4500 Tzs

Obiad – od 8000 do 14 000 Tzs

Pizza – od 8000 do 12 000 Tzs

Ananas – 3000 Tzs

Banany (8 sztuk) – 4000 Tzs

Sok z trzciny cukrowej (na ulicy) 0,5 l – 1000 Tzs

Magnesy pamiątkowe – 5 USD

1–3 dzień: Praga

Do Pragi dojechaliśmy samochodem – koszt winiety na miesiąc wyniósł 440 Kc (kupiona na pierwszej stacji benzynowej w Czechach). Hotel zarezerwowałam na brytyj-

skiej stronie www.hotels4u.com, na której znalazłam lepszą ofertę niż na przykład na booking.com czy agoda.pl (podobna propozycja była na polskiej stronie www.turez.pl). Za pokój 4-osobowy z łazienką i ze śniadaniem w hotelu „A i O” za 3 noce zapłaciliśmy 92 funty (około 460 zł). Pokój był czysty, duży, a śniadania w wersji bufetowej oferowały spory wybór produktów. My byliśmy bardzo zadowoleni z jakości usług w tym hotelu. I zastanawiam się, czy płatność w funtach miała znaczenie?

Do stacji metra „Strizkov” mieliśmy około 200 metrów. Po Pradze poruszaliśmy się metrem i tramwajami. Bilet na wszystkie rodzaje komunikacji miejskiej na 72 godziny kosztował 310 Kc (na 24 godziny – 110 Kc). Dzieci do 10 roku życia przejazdy miały gratis.

Ważna informacja dla rodziców podróżujących z dziećmi (i nie tylko): wszystkie toalety były płatne – 10 Kc. Klienci McDonalda też płacili.

Zwiedziliśmy sztandarowe zabytki Pragi. A żywił się w typowej czeskiej jadłodajni: królowały tam lokalne potrawy w przyzwoitych cenach. Bar „Havelska Kuchyne” znajdował się koło Vaclavskie Namesti – na rogu ulic Melantrichova i Havelska.

4 dzień: transfery Praga – Stambuł – Arusha

Wcześniej przez Internet zarezerwowaliśmy sobie parking niedaleko lotniska (www.parkovisteletisteruzne.cz, nr tel.: +420 776 488 558) – za 24 dni parkowania na miejscu zapłaciliśmy 1200 Kc. Na lotnisku w Pradze formalności odbyły się sprawnie i pośpiesziliśmy do Afryki z międzylądowaniem w Stambule. Po niespełna 10-godzinnym locie wreszcie znaleźliśmy się w Arushy. Tutaj formalności wizowe i paszportowe trwały już dłużej niż w Pradze, ale przeszły bez komplikacji. Po godzinie 1.00 opuściliśmy lotnisko, udając się z oczekującym na nas kierowcą do hotelu „Stereo” (dobra jakość za 50 USD za pokój 4-osobowy z łazienką i ciepłą wodą oraz śniadaniem). Korzystając z podpowiedzi na travelbitowym forum, mejlowo negocjowaliśmy ceny safari z polecanym „Bobby Camping Safaris”. Wyprawę „skrojono” na naszą miarę, uwzględniając nasze potrzeby i pragnienia. Za 6 dni safari dla dwojga dorosłych i dwojga dzieci (Kondoa oraz Parki Narodowe: Tarangire, Serengeti i Ngorongoro) zapłaciliśmy 2500 USD. Cena obejmowała przejazdy jeepem, który mieliśmy tylko dla naszej rodziny, noclegi pod namiotem (sprzęt dostarczony przez agencję, tylko śpiwory mieliśmy swoje), jedzenie, przewodników, kucharza, wstępy do parków, wodę mineralną oraz przywiezienie nas z lotniska do hotelu po przylocie do Afryki. Nie przesyłaliśmy zaliczki, płaciliśmy na miejscu. Dodatkowo płatne były napiwki: dla przewodnika – 15 USD dziennie, dla kucharza – 10 USD dziennie.

5 dzień: Arusha

Rano po dokończeniu formalności z naszymi organizatorami safari wyruszyliśmy załatwić inne sprawy organizacyjne (wymiana waluty, zakup biletów autobusowych do kolejnego celu po safari).

Temperatura nas nie rozpieszczała – 20 stopni C tuż poniżej równika! Ale mieliśmy afrykańską zimę. Arusha to ośrodek turystyki dla wybierających się na safari, ale miasto oprócz bliskości lotniska i wielu parków narodowych nie oferowało absolutnie nic. Prowincjonalna niska zabudowa, trochę asfaltu, wszędzie śmieci. A, co nas zaskoczyło, białych jak na lekarstwo. Ale czuliśmy się tu bezpiecznie. Nawet tak bardzo nas nie zaczepiali. Może dlatego, że nastawiliśmy się na atakowanie nas przez naciągaczy z każdej strony. Czasem chcieli nam coś sprzedać. Oczywiście ceny podawali z księżycą!

Pobyt w tym miejscu pozwolił nam załapać błyskawicznie klimat afrykański. Poszliśmy na pocztę, by standardowo wysłać kartkę do mojej babci. O godzinie 14.00 czasu międzynarodowego (w Tanzanii obowiązuje także czas suahili) pani miała otworzyć okienko. Czekaliśmy długo po tej godzinie i się nie doczekaliśmy. Odeszliśmy w przekonaniu, że to tutaj typowa sytuacja. Nastawiliśmy się, że wiele takich przed nami... Ach, w końcu mieliśmy wakacje.

Obiad zjedliśmy wśród miejscowych (za 2,5 USD na 2 osoby), siedząc na balkonie budynku przy dworcu autobusowym i obserwując niesamowity ruch pod nami. Pakowanie się Afrykańczyków do autobusów było fascynującym widowiskiem! Liczba osób i rzeczy spakowanych do środka i na dach dawno powinna przekroczyć możliwości objętościowe autobusu. Czy afrykańskie autobusy są z gumy po raz pierwszy mieliśmy okazję sprawdzić za 6 dni.

6 dzień: safari – Kondo

Jak budzik zadzwonił o godzinie 5.20, to w pierwszej chwili nie wiedziałam, o co chodzi. Za chwilę mieliśmy już telefon do pokoju, czy na pewno już wstaliśmy, bo jeep czekał. O godzinie 6.00 ruszyliśmy na naszą wyprawę safari. Ale gwoli wyjaśnienia – zwierzęta oglądaliśmy dopiero w dniu następnym, gdyż zaczęliśmy od podróży „dla mnie”, czyli malowideł naskalnych w Kondo.

Podróż była cudowna. Wjechaliśmy w Afrykę wiosek budowanych z gliny i zwierzęcego łajna, zagród z gałęzi i kolczastych krzaków, pomarańczowych dróg, sawanny, wyschniętych rzek, kobiet noszących wodę w kubłach na głowach, dzieci biegających boso w pyłe i mężczyzn przesiadujących bez celu gdzie popadnie. Prawdziwa Afryka. Nie to co zapyziała Arusha. Afryka o jakiej dopiero co czytałam u Kapuścińskiego, który tu przecież był tak dawno temu! Oczywiście reprezentowałam zachwyt z punktu siedzenia w jeepie i obserwatora tego zapylonego pomarańczowego świata prostoty, ale i... biedy. Dla nas to była atrakcja, egzotyka, dla nich proza życia – nie do pozazdroszczenia.

Po około 6 godzinach jazdy po afrykańskich bezdrożach dotarliśmy na camping położony na wzgórzu. Roztaczał się przed nami widok na malownicze góry i sawannę porośniętą od czasu do czasu akacjami i baobabami. Te afrykańskie krajobrazy warte były wszelkich pieniędzy. A to był dopiero początek, jeszcze wiele było przed nami. Nasza ekipa (Jolis – kierowca i przewodnik w jednym, oraz Faradzi – kucharz) rozbili nam namiot. Byliśmy tu jedynymi klientami! Po lunchu przyjechał nasz kolejny przewodnik, aby zabrać nas do Kondo. Drogą, którą mogły pokonać tylko pojazdy z napędem na 4 koła, dotarliśmy jak najdalej się dało, a potem wędrowaliśmy pod górę do stanowisk archeologicznych położonych wśród skał. Trasa jakoś wybitnie trudna nie była, ale nie wyobrażam sobie pokonywać jej latem w prażącym słońcu! Stanowiska te były rozsiane w różnych miejscach, w tym do jednego musieliśmy dotrzeć ponownie wsiadając do jepea i jadąc kilkanaście kilometrów. Malowidła odkryte w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku mimo patronatu UNESCO były w takim stanie, że jeśli poważnie nie podejdzie się do ich ochrony, to za chwilę będzie można oglądać tylko reprodukcje.

Wieczór nadszedł błyskawicznie i zrobiło się kompletnie ciemno, gdyż nie było elektryczności. Prysznic w klasycznej wersji „afrykańskiego campingu”, czyli baniaka z podgrzaną wodą i zaworem, mimo konieczności wykąpania dwójki dzieciaków, nawet nam sprawnie poszedł.

7 dzień: Park Narodowy Tarangire

Zostaliśmy zbudzeni o godz. 5.30, by zjeść śniadanie i ruszyć do Parku Narodowego Tarangire. Droga z Kondoa zajęła nam kilka godzin, gdyż wracaliśmy tą samą trasą, którą tu przyjechaliliśmy, czyli drogą off-road: przez piachy i doły. Tarangire inaczej nazywany jest rzeką komarów. Użyliśmy zatem naszego „ulubionego” podróżniczego „dezodorantu”, czyli muggi (repellent). Przed wjazdem do parku każdy jeep został spryskany jakąś substancją. Pewnie stąd komara tam nie uświadczylimy. Po dosyć długim oczekiwaniu na załatwienie przez Jolisa formalności wjazdowych wreszcie mogliśmy spełnić nasze marzenie. Ledwo wjechaliliśmy, przebiegło nam przed jeepem stado zebr. Kilka metrów dalej napotkaliśmy grupę antylop gnu i żyrafy podążające do wodopoju. A dalej stada słoni – rodziny z maluchami, guźce ryjące w ziemi, na których widok dzieciaki z radości krzyczały „pumba”, płochliwe strusie, mangusty, małpy, różne inne antylopy i gazy (nie bardzo odróżnialiśmy jedno od drugich). Przyglądanie się tej całej menażerii w jej naturalnym środowisku było niesamowitym doświadczeniem. Tego uczucia nie dało się do niczego przyrównać! Godzinami mogliśmy na nie patrzeć. Motyle w brzuchu mieliśmy cały czas. I powtórzyliśmy to jeszcze przez kolejne 4 dni!

Lunch zjedliśmy w parku. Mieliśmy wtedy dodatkową atrakcję, gdyż małpa ukradła Ninie muffinkę. Na spanie zjechaliliśmy na camping położony poza parkiem. I jak „rzeka komarów” w Parku Narodowym Tarangire wyschła (pewnie z powodu oprysków), tak tutaj zalała nas ze zdwojoną siłą. Tomka ugryzła jakaś tropikalna osa (wyglądem różniła się mocno od naszych), ale nic mu się nie stało. Na naszym campingu nawet był basen, ale temperatura nie zachęcała do kąpieli. I jak w dzień było to super, bo nie byliśmy zmęczeni, tak wieczorem z 20 stopni C spadała do około 15 stopni C. Nie marzliśmy, ale kąpiele w basenie, a tym bardziej mycie się w zimnej wodzie (woda ogrzewana bateriami słonecznymi szybko stygła w godzinach popołudniowych), dodatkowo w chmurze rozsierzdzonych moskitów, do przyjemności nie należało.

Faradzi przygotował nam pyszną kolację (jak zwykle na ciepło), a po niej, jak wielu innych turystów z całego świata, poszliśmy spać do namiotu. Przepełnione pole namiotowe znajdowało się obok domków, które świeciły pustkami. Ceny w Afryce były nieracjonalnie wysokie. Przedstawiciele dużo bogatszych krajów spali w takich samych warunkach jak my. Stąd na tej wyprawie nie czuliśmy się jak ubodzy krewni!

8 dzień: droga do Serengeti, czyli „nieszczęcia chodzą parami...”

Dzień przed wyjazdem dowiedzieliśmy się od Jolisa, że droga do Serengeti będzie okropna. Mimo że rząd Tanzanii pobiera tak ogromne opłaty za wstęp do Parku – 60 USD! – to nie inwestuje w żadną infrastrukturę. Jadąc do Serengeti, przejechaliliśmy przez Park Ngorongoro, jadąc tylko kalderą i nie wjeżdżając do krateru wulkanu. Ale ta droga dostarczyła nam pięknych widoków na panoramę krateru (na punkcie widokowym było bardzo zimno), ale także na zwierzęta, takie jak zebry, żyrafy i słonie, wspinające się na strome zbocza.

A potem zaczął się koszmar. Droga, którą podążały absolutnie wszystkie jeepy kierujące się do Serengeti, była kamieniem na kamieniu, po której przejazd auta wznosił tumany szarego pyłu. Po jednym stopie na „bush toilet” byliśmy opyleni od stóp do głów. Po drodze mijaliśmy wiele jeepów z turystami, które złapały gumę, a co gorsza też dwa, które urwały koło! Droga w tych warunkach to było ciągłe podskakiwanie przez około 3 godziny! Szarpało nami na wszystkie strony.

Według planów, co dało nam chwilę wytchnienia od podskoków, po drodze zajeżdżaliśmy do wioski masajskiej. Okurzeni zyskaliśmy kolejną warstwę brudu, którą z wielką siłą przywiał wiatr. Ale czego się nie robiło dla spotkania z tradycją, na temat której się studiowało. Możliwość 45-minutowego przebywania z Masajami kosztowała bagatelą 50 USD (za całą rodzinę)! Tańcem przywitała nas grupa mężczyzn, która wkrótce porwała Kacpra do zabawy. Następnie ja i Nina zostaliśmy wciągnięti do grupy śpiewających kobiet. Potem jeden z Masajów zaprosił nas do domu zbudowanego z chrustu i wygłosił jak litanię z pamięci regułek o ich koczowniczym życiu. Zapytałam go, czy ta wioska jest budowana „pod turystów”. Odpowiedział, że nie i wyraził szczerze zdziwienie moim pytaniem. Powiedział, że mieszkają tu od 3 lat i za rok będą się przenosić w nowe miejsce. Potem Masajowie zabrali nas na oglądanie pamiątek, które zajmowały cały plac centralny wioski. Bardzo pilnowali czasu naszego pobytu, ciągle nas poganiali, mówiąc, że nasza wizyta tam dobiega końca, chociaż u nikogo żadnego zegarka nie widziałam. My czasu nie kontrolowaliśmy. Bardzo chcieliśmy kupić pamiątki bezpośrednio od Masajów. Wiedzieliśmy, że takie same spotkamy wszędzie w Tanzanii, ale nam zależało, żeby pieniądze trafiły bezpośrednio do wytwórców, a nie pośredników. Masajowie twierdzili, że za te pieniądze kupują wodę pitną. Targując się, rzeczywiście staliśmy pod cysterną z wodą. Nasz Masaj – przewodnik cenę każdego przedmiotu omawiał z kobietą, która go robiła, pytając jej, czy się zgadza na podaną przez nas cenę. Za kolie, 2 bransoletki, 2 figurki i niespotykankę torebkę z koralików zapłaciliśmy prawdziwy majątek. Nawet nie podam ile. Ale wyszłam z poczuciem, że dla tej społeczności zrobiłam coś ważnego. Liczyli się drogo, ale mimo rządowych zakusów ciągle starają się zachować swoją odrębność. A pieniądze od turystów przynajmniej w jakiejś części zapewniają im możliwość kultywowania tradycyjnego stylu życia. Nie czułam się tam do końca dobrze. Z tym poganianiem nas trochę mnie irytowali. Oczekiwałam może większego otwarcia. Ale z drugiej strony dla nich otwarcie oznaczałoby zagładę. Pociągający są dlatego, że są ciągle tajemniczy. Pokazują tyle z siebie, ile świat turystów zachłanny na egzotykę od nich oczekuje: tańce, śpiewy i wyrecytowana z pamięci opowieść o życiu nomadów. To, że zjawiłam się tam ja, jakaś nawiedzona podróżniczka posiadająca większą od przeciętnych turystów wiedzę na temat ich zwyczajów, pragnąca głębszych, niepowierzchownych doznań, było dla nich nieistotne. Ważne jest przetrwanie. Gdyby mieć możliwość posiedzenia w wiosce na dłużej... Ale to nierealne, przynajmniej na razie. Jako bonus dostaliśmy możliwość obejrzenia jeszcze wioskowej szkoły. Znudzony nauczyciel, żujący jakąś trawę, siedział w kącie szafasu, a wraz z nim było kilkanaścioro zakurzonych dzieciaków. Po głębszym zastanowieniu się, jednak stwierdzam, że warto było odwiedzić Masajów.

Gdy wreszcie dojeżdżaliśmy do wjazdu do Parku Serengeti, okazało się, że było tam tak wielu turystów, że musieliśmy długo czekać. Ale czas oczekiwania jakoś dziwnie zaczął się przeciągać. Coś nam tu przestało pasować. Jolisa nie było i nie było. Przyszedł wreszcie jakiś zdenerwowany i zaczął nerwowo rozmawiać z Tomkiem. Szkoda, że nie byłam świadkiem tej rozmowy, bo Tomek wyprawy nie przygotowywał i nie wiedział paru ważnych faktów. Za wjazd do wszystkich parków w Tanzanii przewodnicy płacą specjalną kartą TANAPA, na której lokowane są środki. Indywidualny turysta może zapłacić za wstęp tylko kartą Mastercard, w grę nie wchodzi gotówka. Takie rozwiązanie ma na celu przeciwdziałanie korupcji i transparentność przelewów. Okazało się, że

tym, co tak bardzo zdenerwowało Jolisa, był fakt, że jego karta jest... pusta! Murtaza, czyli manager naszej agencji, któremu daliśmy całą kwotę za safari, na czas nie zrobił przelewu na kartę. Podobno taka sytuacja zdarzyła im się po raz pierwszy. Tomek poproszony o zapłacenie naszą kartą, niestety skłamał, że nie mamy kart, ale gotówkę. Gdybym była przy rozmowie... Jolis kasę wziął, wypisał nam pokwitowanie i pobiegł z powrotem do kolejki. I znowu nie wracał i nie wracał. Powód oczywiście był znany – brak możliwości zapłacenia gotówką za wstęp do Serengeti. Już byłam tak wściekła, że tyle czasu straciliśmy, stojąc w pyle na wjeździe, zamiast oglądać zwierzęta, że kazałam Tomkowi świecić oczami przed Jolisem i dać mu kartę. Ale w tym momencie wbiegł z kwitkiem w ręce. Okazało się, że w naszej sprawie dzwonił do kierownictwa TANAPA, aby jednorazowo zezwolili na zapłacenie gotówką.

Już mocno spóźnieni, bo słońce za 1,5 godziny miało się schować za horyzontem, ruszyliśmy z kopyta po tej koszarnej drodze. I... zbyt daleko nie ujechaliśmy. Nagle jeep osiadł na tyle! Złamała się półoś lewego tylnego koła! Nikt nie płakał, nikt nie był wściekły. Z tej niemocy zaczęliśmy się śmiać. Za chwilę podjechały 2 jeepy, jeden pełen turystów, dla których staliśmy się obiektem do fotografowania, a drugi pusty. Chłopaki z obcej agencji przepakowali nas błyskawicznie do swojego jeepa. Zabrali nas i kucharza – Faradżiego, a Jolisa zostawili z zepsutym samochodem. Miał dotrzeć później. Na do widzenia i dla pocieszenia powiedzieliśmy mu, że w Polsce mamy takie powiedzenie: „nieszczęścia chodzą parami”.

Znowu pędziliśmy jak szaleni, bo słońce nieubłaganie chyliło się ku zachodowi, a na camping mieliśmy około 1 godziny drogi. Nagle zobaczyliśmy dużą grupę jeepów stojących w jednym miejscu. Nasz nowy kierowca, nie bacząc na zmierzch, błyskawicznie skierował jeepa w tym kierunku. Na miejsce zajechaliśmy jako ostatni i nie mieliśmy wiele możliwości manewru w tym tłumie samochodów. Nie musieliśmy długo zastanawiać się, na co tak wszyscy czekali. Nagle jakieś 5 metrów przed nami wyszło jedno z najrzadziej oglądanych na safari zwierząt – czyli gepard! Popatrzył prosto w Tomka obiektyw. Niesamowite uczucie. Tak blisko nas siedział gepard! Gdyby nam się ten jeep nie zepsuł, kto wie, czy zobaczylibyśmy przepięknego kota. Byliśmy bardzo podekscytowani tym spotkaniem i jacyś tacy pewni, że rzeczywiście „nieszczęścia chodzą parami” – czyli limit wyczerpaliśmy.

Do obozu dotarliśmy tuż przed zapadnięciem całkowitych ciemności. I znowu czekała nas kąpiel w zimnej wodzie, w łazience, w której nie było światła ani żadnego wieszaka, na którym można byłoby powiesić ręcznik czy ubranie. Ale radość z widoku geparda przyćmiewała niewygodę. Tu spędziliśmy 2 noce. Camping znajdował się w środku Serengeti, nie był ogrodzony żadnym płotem. W nocy słyszeliśmy lwa! W dzień musieliśmy uważać na sporej wielkości małpy baboon i mogliśmy podziwiać całe stada mangust, które przemierzały tymczasowo zamieszkałe przez nas terytorium.

9 dzień: Serengeti

Zaczęliśmy standardowo: wczesna pobudka (godz. 6.00) + mycie w zimnej wodzie + ubieranie się w ciepłe ubrania + pyszne śniadanko – na umilenie tych niewygód. I na tym koniec oczywistości, gdyż nasz jeep był nadal unieruchomiony. Ale na naszym campingu mieszkała para Włochów, którzy też byli klientami tej samej agencji. Zgodzili się, byśmy jeździli z nimi. A safari byliśmy spragnieni bardzo, bo przez wczorajsze przygody, mieliśmy pół dnia „w plecy”.

Na dzień dobry spotkaliśmy cztery lwy pożerające zebrego na śniadanie. Za chwilę znowu dopisało nam szczęście, gdyż wśród skał dostrzegliśmy lamparta. A potem jeszcze były słonie, żyrafy, antylopy, bawoły, zebry i krokodyl. Po lunchu nasz jeep był już gotowy do drogi i wyruszyliśmy na kolejne safari. Poprosiliśmy tylko o wodę. Jolis oznajmił nam, że nie ma dla nas więcej wody, gdyż Booby (szef agencji) nie dał mu więcej ponad to, co już wypiliśmy. Nieco rozłoszczeni stwierdziliśmy, że jako dorośli pijąc po 2 litry, a dzieci po 1 litrze dziennie to naprawdę nie byliśmy wymagającymi klientami. Woda dla nas została wkrótce zakupiona i to nie z naszych funduszy. Po południu pojechaliśmy oglądać hipopotamy. Zanim zobaczyliśmy ich monstrualne ciała w liczbie ponad 50 sztuk taplające się, walczące i ryczące w jednym bajorze, to po drodze widzieliśmy oczywiście wszystkie te zwierzęta oglądane przez nas rano. Widoki były urocze.

10 dzień: Serengeti – Ngorongoro, czyli „dzień lwa”

Jak zwykle wczesna pobudka, około godz. 5.00, zagwarantowała nam sprawne wyruszenie na Serengeti. Zaraz na początku spotkaliśmy trzy lwy, a potem rodzinę z małym lwiątkiem, następnie kolejną kocią rodzinę i znowu... lwy. Wszystkie leniwie wypoczywały koło drogi. Po lwim poranku wróciliśmy do obozu, zjedliśmy lunch, a w tym czasie nasz ekwipunek został zapakowany do jeepa. Ruszyliśmy do Ngorongoro National Park drogą, która przypominała nam koszmarny przyjazd. Dzień lwa jeszcze się nie skończył, gdyż tuż przed wyjazdem z Serengeti spotkaliśmy rodzinę lwów, której samiec siedział na dachu jakiegoś budynku, a samica z lwiątkiem leżały obok na ziemi. Tym razem krótkie formalności pozwoliły nam szybko zanurzyć się w pył drogi prowadzącej w stronę sławnego wulkanu. Po kilku godzinach podrygiwania na wertepach dotarliśmy na pole namiotowe – jedyne w tym Parku. Dość wczesny przyjazd miał znaczenie, gdyż tuż po naszym przyjeździe zaroilo się od ludzi z całego świata. Łazienkę z zimną wodą w porze popołudniowej dopadliśmy w ostatniej chwili przed kolejką chętnych (następnego dnia o godz. 5.00 odkryłam ciepłą wodę. Cóż, o całe 12 godzin za późno.). Zostaliśmy poinformowani, że w porze suchej ten camping codziennie odwiedza słoń, który przychodzi tu do wodopoju.

Faradzi błyskawicznie zarezerwował nam stolik w budynku jadalni i dzięki temu nie musieliśmy jeść na dworze w szybko spadającej temperaturze (w nocy było 10 stopni C – zmierzylśmy termometrem). Ale wielu nie miało tyle szczęścia i musiało jeść na dworze. Tomek z niebywałą prędkością dopadł gniazdka elektrycznego i mógł wreszcie naładować sprzęt (w Serengeti takiej możliwości nie było).

Wieczne mycie zębów dość nieoczekiwanie przerwało nam trąbienie... słonia. Krzyknęłam do dzieciaków: „słoń oznajmił, że przychodzi!” i popędziliśmy do wodopoju, a wraz z nami kto żyw sięgał po latarki i biegł w to samo miejsce. Za chwilę to wielkie i majestatyczne zwierzę wyłoniło się zza budynku i wkroczyło na camping, zmierzając prosto do źródła wody. Staliśmy jak zauroczeni. Do ruszenia się z miejsca zmusiło nas tylko to, że trzeba było poinformować fotografa rodziny – czyli Tomka – o fakcie goszczenia się słonia. Popędził, napstrykał zdjęć, po czym poczuł się tak swobodnie po kilku dniach obcowania z dzikimi zwierzętami, że stojąc przed słoniem zaczął oglądać swoją fotograficzną pracę. Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że wokół niego zrobił się jakiś hałas. Podniósł wzrok i zobaczył, że słoń zaczął na niego szarżować. Randżersi błyskawicznie odgonili słonia, nie czyniąc mu żadnej szkody.

11 dzień: Ngorongoro – Arusha, czyli pożegnanie z Afryką (dzika)

Hmm – dzień zaczęliśmy nudno, czyli wczesną pobudką, chyba najwcześniejszą, bo o godz. 4.45 wygrzebywaliśmy się z ciepłych śpiworów. Po zimnej nocy wyszliśmy w równie zimny i zachmurzony poranek. Chmury wisiały na czubkach drzew, którymi była porośnięta kaldera wulkanu Ngorongoro, a pod tymi drzewami rozbity był nasz namiot! Ruszyliśmy w dół do krateru, zostawiając ten widok wysoko za sobą. Na dzień dobry kontynuowaliśmy „dzień lwa”. Piękny, stary, wielkogrzwy samiec siedział przy drodze. My ruszyliśmy na poszukiwania ostatniego z „wielkiej piątki” do „naszej fotograficznej i emocjonalnej kolekcji”, czyli nosorożca. Od razu uprzedzę fakty – bardzo trudno go zobaczyć i nie mieliśmy szczęścia, tak jak i inni tego dnia. Ale przez to kolejny cel podróży został postawiony. W Ngorongoro na te wszystkie zwierzęta patrzyliśmy już z taką nostalgią, gdyż wiedzieliśmy, że w Tanzanii oglądamy je po raz ostatni. Chcieliśmy jak najdłużej zachować uczucie ekscytacji widokiem dzikich zwierząt na wolności, na wielkich afrykańskich przestrzeniach. Na koniec obejrzelśmy walkę sępów o mięso antylopy uderzonej przez jeepa. Te wstrętnie wyglądające pierzaste łysolę przegoniły od swej zdobyczy nawet szakala i hienę!

Do Arushy dotarliśmy wieczorem, po drodze zaliczając absolutne „must see” Tanzanii, czyli niesamowity widok na coraz niestety mniej ośnieżony szczyt Kilimandżaro. Niestety zachowaliśmy go tylko w sercu, gdyż był zbyt daleko, by Tomkowi udało się go sensownie sfotografować.

Jolis oddał nam pożyczone na wstęp do Serengeti 250 USD. W hotelu czekały na nas nasze pozostałe bagaże, ciepła woda i łóżka. I mimo że wiedzieliśmy, iż kolejnego poranka znowu czekała nas wczesna pobudka (najczęściej autobusy w Tanzanii odjeżdżały o godz. 6.00, gdyż ta pora gwarantowała dotarcie w miarę na czas do następnego celu), to nie byliśmy w stanie wziąć szybkiego prysznica. Delektowaliśmy się ciepłą wodą bez opamiętania.

12 dzień: Arusha – Lushoto, czyli jak wygląda typowy afrykański dzień

O godz. 5.45 wyszliśmy z pokoju i w czarną noc udaliśmy się na pobliski dworzec autobusowy. Naszym kolejnym celem była miejscowość Lushoto w górach Usambara. Miejscowi w ciemnościach wskazali nam właściwy autobus do Lushoto kompanii „Safa”, na którego bilety kupiliśmy jeszcze przed wyruszeniem na safari (25 000 Tzs za 4 bilety). Rzeczony nie robił dobrego – czytaj: bezpiecznego – wrażenia. Jak weszliśmy do środka, uderzył nas straszliwy smród. No cóż, klamka zapadła, czas by przywyknąć, jesteśmy w Afryce. Zanim odjechalśmy przez nasz środek lokomocji przewinęły się tabuny sprzedawców chleba, jajek ugotowanych na twardo (jedno i drugie kupiliśmy), oranżady, orzeszków, okularów słonecznych, zegarków, chińskiej tandety dla dzieci (nie kupiliśmy), skarpet i pasty do zębów. W autobusie zostaliśmy usadzeni z przodu i mogliśmy obserwować drogę. W miarę jak upływał czas, coraz bardziej przyzwyczajaliśmy się do standardu ponad 20-letniego rzęcha, który z 15 lat temu został wycofany z ruchu w Europie i rozpoczął swój drugi i długi żywot w Afryce. Przestaliśmy siedzieć jak na szpilkach i zwracać uwagę na drogę. A smród? Gdzieś lub z kimś się ulotnił. Po drodze kierowca zgarniał kolejnych przydrożnych pasażerów bez bagaży i z bagażami: worami, wiadrami, miskami, żywym inwentarzem. Miejsc siedzących dawno brakło, a ludzi ciągle przybywało. Ja na kolana też dostałam prychówek – dwuletniego malca.

Mieliśmy jechać 6 godzin. Po upływie tego czasu nasza nawigacja pokazała nam, że do celu mamy jeszcze 2,5 godziny. Tymczasem autobus stanął na „przerwę na lunch”. Zakupiliśmy zatem 3 kg siatkę pomarańczy w przeliczeniu za 4 zł i 1 kg marakui też za 4 zł (2000 Tzs). Zdążyliśmy już się posilić, a przerwa „na lunch” ciągle trwała. Tylko że kierowca, zamiast jeść, grzebał w silniku. Błyskawicznie koło nas znalazła się osoba, która zaproponowała nam podwiezienie za stosowną kwotę do Lushoto. Awaria wyglądała na długotrwałą, więc postanowiliśmy już nie czekać dłużej. Gdy podjechał po nas bus, a nie samochód osobowy, zaproponowałam obniżenie kosztów niespodziewanego wydatku (40 000 Tzs) poprzez wspólną podróż z dwiema Irlandkami, które razem z nami zmierzały do Lushoto feralnym autobusem. Dziewczyny się ucieszyły, ale kierowca zażądał od nich tej samej kwoty co od nas. W tej sytuacji one zaczęły się wycofywać, a kierowca zobaczywszy, że nie żartują, zgodził się na pierwotną cenę. W konsekwencji podzieliliśmy wydatek na pół (czyli zapłaciliśmy 20 000 Tzs). Naszym kosztem razem z nami trzech miejscowych chłopaków też dojechało do celu, nie płacąc ani grosza.

Po godzinie znaleźliśmy się w nierezewowanej wcześniej „Karibuni Lodge” (20 000 Tzs za pokój 4-osobowy z łazienką i ciepłą wodą – ogrzewana bateriami słonecznymi). Przez 2 dni gościła nas i żywiła przemiłą Greczynka o imieniu Katarina. Gotowała nam pyszne i bardzo obfite dania kuchni greckiej z przyprawami afrykańskimi (ceny przyzwoite, ciepła obiadokolacja dla 4 osób z herbatą i piwem kosztowała 31 000 Tzs). Taki fushion bardzo nam przypadł do gustu. Wieczory spędzaliśmy na tarasie z widokiem na tropikalny las. Na miejscu mieliśmy wszystko: piękne widoki, pyszne jedzenie, piwo, soki wyciskane z owoców, kawę, herbatę i... świetną atmosferę. Katarina ciągle coś podrzucała dzieciakom, a to książeczki, a to słodycze i owoce.

13 dzień: Góry Usambara – Lushoto

Miejscowa społeczność powołała stowarzyszenie organizujące wycieczki po Górach Usambara, podczas których ich uczestnicy nie tylko mieli okazję poznać miejscową przyrodę, podziwiać widoki, ale także zjeść organiczne warzywa uprawiane przez mieszkańców. Wszystko było transparentne, cena stała, nie trzeba było się targować, nikt nie oszukiwał i nie naciągał, wypisywali rachunki, a uzyskane pieniądze były przekazywane na potrzeby edukacyjne mieszkańców Lushoto. Angielskojęzyczny przewodnik zarabiał na prowadzeniu wycieczek, miejscowy chłop na dostarczeniu warzyw na lunch, a kierowca na zwiezieniu utrudzonych wędrowców z punktu widokowego. Wszyscy byli zadowoleni.

My też byliśmy. Spośród zróżnicowanej oferty (w Górach Usambara można by się dzieć co najmniej 2 tygodnie) wybraliśmy dłuższą wycieczkę przez tropikalny las na punkt widokowy (koszt 40 USD od osoby dorosłej, dzieci gratis). Cały czas w temperaturze około 20 stopni C wędrowaliśmy lasami, nie męcząc się za bardzo, gdyż rzadko musieliśmy ostro podchodzić pod górę. Często przechodziliśmy przez wioski, których przedstawiciele najmłodszego pokolenia na widok naszej 5-letniej córki wołali radośnie „toto”! (dziewczynka!). A terenem naszej wędrówki był „dom kameleonów”. Nasz przewodnik co jakiś czas wynajdywał je dla nas. Te mniej bojące siedziały nam nawet na rękach! W przerwie na lunch przewodnik zrobił piknik i na łonie natury przygotował nam pyszną sałatkę z awokado, pomidorów, ogórków i cebuli, którą podał do placzków ciapati i trójkątnych naleśników z mięsem. Wkrótce staliśmy się sensacją dla miej-

scowych dzieciaków podążających po przerwie obiadowej do szkoły. Radości z robienia zdjęć i dotykania białych dzieci nie było końca. Ale trzeba było uważać na zegarki, gdyż miejscowe dzieciaki próbowały nam je zdjąć.

Po około 6–7 godzinach dotarliśmy na punkt widokowy i nawet nie odczuliśmy, kiedy pokonaliśmy pieszo około 15 km. Widok ze skały na wysokości 1500 m na płaskowyż pod nami zapierał dech w piersiach. Aż kręciło się w głowie. Stamtąd do naszej kwatery wróciliśmy już samochodem.

14 dzień: Lushoto – Dar es Salam – Stone Town

Powtarzam się: tradycyjnie wcześniej wstaliśmy, by zdążyć na godz. 6.00 na autobus do Dar es Salaam. Umówione dzień wcześniej poranne taxi na dworzec autobusowy było drogie – 7000 Tzs. Cudowna Katarina powiedziała, że nie wypuści nas bez śniadania i słowa dotrzymała mimo bardzo wczesnej pory. Tylko wyjazd tak wcześniej dawał nam szansę dostania się jeszcze tego samego dnia promem na Zanzibar. Tym razem autokar mieliśmy znacznie lepszej jakości i około godz. 13.00 dotarliśmy do Dar. Zdawało mi się, że jest już późno i szybko przystąpiliśmy do negocjacji z taksówkarzem w celu zawiezienia nas do portu. Początkową kwotę z księżycą obniżyliśmy o prawie 50%, płacąc w końcu za kurs 17 000 Tzs. Wyjeżdżając z dworca czekała nas niemiła niespodzianka – opłata rządowa za każdą osobę w samochodzie – po 1000 Tzs. Już nie miałam ochoty na kolejne targowanie się z cwaniakiem taksówkarzem, gdyż czas uciekał – do ostatniego promu na Zanzibar mieliśmy niecałą godzinę. Tomek zapłacił za 4-osobową rodzinę, a kierowcy rzucił, że za siebie ma zapłacić sam. Taksówkarz po drodze jeszcze musiał zatankować, co uczynił z naszej kasy, a Tomek nie omieszkął skomentować, że co to za zawodowy kierowca, który nie ma w baku paliwa. Tamten wcale się tymi słowami nie zraził. Jako typowy przedstawiciel kontynentu afrykańskiego po prostu funkcjonował w życiu od kasy do kasy. Gdy nie było pieniędzy, jego egzystencja zamierała. Przechodził w stan hibernacji. Siedział, czekał i marzył. Marzył o wielkich pieniądzach. I wiedział, że jak trafi się biały, którego można naciągnąć, to i trafi się kasa, która zostanie wydana natychmiast na trochę paliwa, doładowanie do komórki, może proste jedzenie.

Z dworca autobusowego do przystani promowej jechaliśmy ponad 30 minut. Ale rzutem na taśmę zdążyliśmy na ostatni prom, który odpływał o godz. 14.30. Taniej było kupić bilety w dwie strony, gdyż na wyspie bilety powrotne były droższe: koszt 35 USD za osobę w jedną stronę w klasie ekonomicznej, ale na powrót w tej samej cenie dostaliśmy bilety w klasie „VIP”. Na temat Zanzibaru czytałam dużo. Ale to książka Małgorzaty Szejnert *Dom zółwia. Zanzibar* uczyniła tę wyspę kolejnym celem wyprawy. Na lądzie oblała nas przyjemna fala gorąca (wreszcie!) i... oczywiście, czyli tabuny taksówkarzy. Zignorowaliśmy ich, gdyż nawigacja w telefonie pokazywała nam odległość 600 m do naszego hotelu. Idąc, poznawaliśmy wszystkie opisane i przedstawione na fotografiach w wyżej wspomnianej książce zabytki. Ale naszą wielką radość przyćmiewały przewalające się wszędzie śmieci. To one bardziej niż zabytkowe budynki rzucały się nam w oczy. Kto był w Azji, ten nie uwierzy moim słowom, ale Azja jest czystsza od Afryki! Hotel w Stone Town zarezerwowałam wcześniej w promocji na booking.com. Miejscówka 4-osobowa z wiatrakiem, łazienką i ciepłą wodą oraz śniadaniem o nazwie „Coco del Mer Hotel” kosztowała bagatela 80 USD i nie była warta nawet 20% tej kwoty. Ale w tym mieście znaleźć coś sensownego (dobry stosunek jakości do ceny) grani-

czyło z cudem. Podczas trzeciego dnia pobytu wysiadł bojler i nikomu nie zależało na dokonaniu jego naprawy, co skutkowało dla nas brakiem podstawowej wygody w postaci ciepłej wody. Jakies zwroty kosztów były wykluczone.

15–17 dzień: Stone Town

Trzy dni w Stone Town spędziliśmy intensywnie. Zwiedzaliśmy miasto, nie dając się prowadzić samozwańczym przewodnikom-naciągaczom. Ich usługi nie były potrzebne. Podziwialiśmy budynki z czasów Sultanatu Omanu i Zanzibaru, z czasów niechlubnej historii Afryki, czyli królowania niewolnictwa. W przeciwieństwie do nas miejscowi ich nie podziwiają, nie dbają o nic, a w wilgotnym klimacie wszystko szybko ulega rozkładowi. Stone Town to było kolejne miejsce w naszej podróżniczej tułaczce, które w najbardziej wartościowej formie nie ma szans na przetrwanie do czasów, kiedy nasze dzieci dorosną. Chyba, że Tanzańczycy zaczną dbać o swoją historię...

Zwiedziliśmy także „ogrody przypraw” – 20 USD dorośli, 10 USD dzieci. Spotkanie z olbrzymimi ponad 100-letnimi żółwiami lądowymi na Prison Island było przeżyciem niesamowitym. Najstarszy żółw miał 185 lat! W cenie tej wycieczki (15 USD od osoby) było snorklowanie na rafie, która sama w sobie nie była najgorsza, ale ryb tam za wiele nie było.

Pierwszego wieczoru w Stone Town już nie mogliśmy się doczekać z powodu uczty dla podniebienia na słynnych „Forodhani Gardens”, czyli skweru nad Oceanem Indyjskim, na którym sprzedawano owoce morza. Popędziliśmy głodni jak wilki i spragnieni wrażeń. I... psss. Wydmuszka pękła. Po pierwsze w kraju, w którym idący plażą człowiek niemal potykał się o morskie jedzenie, ceny nas zabiły. Za patyczek długości 20 cm z 6 krewetkami lub 4 małżami wszyscy żądali ponad 4 USD, a za kawałek lobстера jeszcze więcej, bo 7 USD! Nawet grillowana kolba kukurydzy kosztowała ponad 4 USD! Ceny nie były do negocjacji. Również Amerykanów ceny odstręczały. A po drugie największym rozczarowaniem było nieświeże jedzenie! Sprzedawcy wielokrotnie je podgrzewali i wielokrotnie zamrażali. Ze sławy „Forodhani Gardens” zostało tylko robienie zdjęć przez turystów suto zastawionym straganom. Natomiast wszyscy pożywiali się świeżo robioną tzw. zanzibarską pizzą, czyli podwójnym plackiem z farszem mięsnym, warzywnym, owocowym lub czekoladowym – do wyboru. Kosztowały od 1,5 do 2,5 USD.

Wieczorem udaliśmy się także na taras Hotelu „Africa House”, by stamtąd podziwiać zachód słońca. I choć hotel należał do bardzo drogich (ładne, tradycyjne wnętrza), to ceny w barze były bardzo przyzwoite: piwo 4500 Tzs, coca-cola – 2500 Tzs. Pewnie człowiek zjadłby tu lepiej niż na „Forodhani Gardens”, niewiele więcej płacąc. My tego nie sprawdziliśmy, gdyż ograniczyliśmy się do skosztowania pysznego piwa tanzańskiego. Ale inni goście zamawiali dokładki posiłków.

Z przyjemnością błądząc po wąskich uliczkach, dotarliśmy do domu sławnego handlarza niewolników Tipu Tippa. I jakież było nasze zdziwienie, gdy dom okazał się otwarty. Oczywiście skorzystaliśmy z okazji i weszliśmy do środka. I tu nastąpił „zdziwienie” ciąg dalszy. Mocno zniszczone wnętrze pozasłaniane było materiałami z napisami w azjatyckim alfabecie typu „krzaki”, a wszystko to było spowite dymem z grilla obsługiwanego przez dwóch półnagich mężczyzn o azjatyckiej fizjonomii, przypominających wyglądem zawodników sumo. Rzeczywistość co najmniej filmowa prysła, gdy wkrótce okazało się, że panowie byli chińską ekipą remontującą zabytkowy dom. W swej uprzejmości poczęstowali nas grillowanym mięsem, które było tak niejadalne,

że dyskretnie wypuliliśmy je ku radości przechadzających się obok kur. Wolę nie myśleć co to było za mięso!

Idąc tropem niezapomnianych klimatów, wstąpiliśmy do zakładu fotograficznego jak z poprzedniego wieku. „Capital Art Studio” pełne było czarno-białych zdjęć, na których uwieczniono historię niepodległości Tanzanii oraz zmiany zachodzące na Zanzibarze. Obecny właściciel pan Rameh Oza odziedziczył zakład i pasję po swoim ojcu. I jak on robi zdjęcia na kliszach czarno-białych. I tak jak jego ojciec uwieczniał burzliwą historię Tanzanii z Karume i Neyerere na czele, tak on fotografuje najważniejsze wydarzenia polityczne w kraju (np. odwiedziny księcia Karola) oraz zmieniający się Zanzibar. W książce *Dom złotych. Zanzibar* została opisana jego historia. On sam chętnie opowiadał i pokazywał ogromną kolekcję zdjęć swoich i ojca. Tego świata już nie ma... Pan Oza jeszcze jest i ciągle opiera się cyfryzacji. Oby jak najdłużej... Warto zrobić sobie u niego zdjęcie w starym stylu na tle wypłowiałej fototapety.

18–27 dzień: Nungwi

Przejazd do Nungwi załatwiliśmy w recepcji naszego hotelu w Stone Town. Kosztował nas 10 USD od osoby dorosłej i 5 USD od dziecka. Kierowca dał nam nr telefonu i w drodze powrotnej skorzystaliśmy także z jego usług (koszt taki sam).

Noclegi w Nungwi zarezerwowałam wcześniej przez Internet, korzystając z „Trivago”, który wyszukał mi ciekawą ofertę na Hotels.com. Już na miejscu okazało się to dobrym rozwiązaniem. W czterogwiazdkowym hotelu „Baobab Beach Resort” za 4-osobowy pokój (rzadkość – każde dziecko miało swoje łóżko) ze śniadaniem płaciliśmy 97 USD. W codziennie sprzątanym pokoju, z lodówką, klimatyzacją i stale ciepłą wodą, z codziennie zmienianymi ręcznikami łazienkowymi, z codziennie nowymi ręcznikami plażowymi i śniadaniem bufetowym składającym się z co najmniej 15 dań do wyboru spędziliśmy komfortowo 9 dni. Za bardzo kiepskie warunki w postaci ciasnego pokoju z materacem na betonie, wiatrakiem, ciepłą wodą do godziny 16.00 i śniadaniem w postaci kromki chleba tostowego z jajkiem okoliczna gawiedź żądała 60 USD. W okolicach naszego hotelu nie było też komarów, gdyż codziennie rano dokonywano oprysków. Z nieustającą radością napawaliśmy się kojącymi widokami lazurowego oceanu łagodnie wpływającego na biel piasku przed naszym hotelem. Mieliśmy szczęście, gdyż niewielkie odpływy pozwalały nam się cieszyć dobrze wydanymi sporymi pieniędzmi za noclegi. Podczas gdy klienci niedalekiego Hiltona nawet nie wyściubiali nosa spoza obszaru hotelowego, gdyż plaża przed nim straszyla glonami, zabłoconymi kamieniami, a wody trzeba było wypatrywać przez lornetkę.

Z pobliskiego „Mtutu Office” (za restauracją „Nungwi Inn”) wykupiliśmy sobie wycieczkę do Jozani Forest, wytargowując cenę 80 USD za wszystkich (transport, bilety wstępu, przewodnik). W Stone Town taka wycieczka kosztowała 45 USD od osoby dorosłej i 45 USD za dwoje dzieci. Pół dnia w towarzystwie jednego z najstarszych gatunków małp na świecie – endemicznych trójkolorowych Red Colobus – było miłym przeżywaniem leniwego wypoczynku.

Blisko naszej plaży nie było żadnej rafy koralowej. Aby zobaczyć atol, trzeba było popłynąć z wycieczką – od 100 USD od osoby. Miejscowi naciągacze w podobnej cenie (czasem w akcie desperacji schodzili do 50 USD) oferowali rejs na zachód słońca. Polegał on na płynięciu wzdłuż brzegu łajbą, którą z uwagi na głośną muzykę słyszeć było już z daleka. Z plaży zachodzące słońce „kapąło” się w oceanie równie malowniczo, bez tej okropnej muzyki i... za darmo! Same plusy.

Obiady jedliśmy w pobliskich knajpach. Miejscowi wskazali nam tańsze lokale. Wkrótce też odkryliśmy restaurację na plaży „Loca” prowadzoną przez dwie Wrocławianki. Łatwo było do niej trafić, idąc w stronę latarni morskiej, gdyż z daleka powiewała flaga Polski. Ryba wędzona z sosem guacamole i sos kalamari to była specjalność zakładu.

Obiady na Zanzibarze kosztowały nas 10 000–13 000 Tzs za osobę.

Z wielką przyjemnością odwiedziliśmy Akwarium znajdujące się obok latarni morskiej, w którym, płacąc 5 USD za wstęp, mogliśmy wesprzeć lokalną inicjatywę polegającą na ratowaniu zagrożonych wyginięciem żółwi zielonych. Dla nas wszystkich wielką atrakcją było karmienie tych zwierząt. Co roku 20 lutego odbywa się gremialne wypuszczanie żółwi do oceanu. Atrakcja w postaci uczestniczenia w tej wielkiej chwili dla żółwi i ich opiekunów – wolontariuszy kosztuje 20 USD od osoby i towarzyszy jej zainteresowanie turystów z całego świata. Organizatorzy starają się, by każdy dostał swojego żółwia, który będzie mu zawdzięczał wolność.

W Nungwi było też drugie Akwarium do pływania z żółwiami, ale ta komercyjna działalność nas nie interesowała.

KONIEC WYPRAWY

Zamówionym dzień wcześniej busem dotarliśmy z Nungwi do Stone Town. Bagaze za darmo zostawiliśmy w hotelu, w którym poprzednim razem spaliśmy. Do odpłynięcia naszego promu mieliśmy jeszcze kilka godzin, które poświęciliśmy na pożegnalny spacer po wąskich uliczkach miasta. Zapuściliśmy się w nowe zakamarki i trafiliśmy do „Coffee House”. Wzmocnieni dobrą kawą (ceny od 4500 Tzs) udaliśmy się do portu, by po prawie 3 godzinach rejsu nowoczesnym katamaranem dotrzeć do Dar Es Salaam. Stamtąd po długim targowaniu się taksówką za 10 000 Tzs pojechaliśmy do hotelu „Pearl Hotel” (na rogu Pemba i Lumba Street), w którym w przyzwoitych warunkach w pokoju dwuosobowym z łazienką i bez śniadania (na czym nam zależało, były też oferty ze śniadaniem) za 27 000 Tzs przespaliśmy się do godziny 1.00. W nocy z umówionym taksówkarzem pojechaliśmy na lotnisko za 20 USD. Żegnając magiczną i nie dbającą o punktualność Afrykę, do Stambułu wylecieliśmy o czasie. Stamtąd natomiast z godzinnym opóźnieniem wylecieliśmy do Pragi. Obsługa parkingu odebrała nas z lotniska i wkrótce już jechaliśmy naszym autem przez Zgorzelec do Wrocławia.

Parki narodowe USA – z namiotem



W lipcu 2014 r. uczestniczyłem w 10-osobowej wyprawie do parków narodowych USA. Przebyliśmy ok. 10 000 km, w 12 stanach i zobaczyliśmy 25 parków narodowych oraz 4 miasta: Los Angeles, Salt Lake City, Las Vegas i San Francisco. Bezpiecznie, bez awarii i przymusowych postojów. Przy dobrej, najczęściej słonecznej pogodzie. Wspomnieć trzeba, że udział w wycieczce samochodowej jest jedyną możliwością zwiedzenia tych wspaniałych parków.

Nie dojeżdżają tam autobusy Greyhounda ani żadne inne.

Wiza. Można ją otrzymać w konsulatach w Warszawie i Krakowie. W czerwcu 2014 r. kosztowała 496 zł (160 USD). Obecnie jest wydawana tylko na drodze elektronicznej (długa procedura poczynawszy od wypełnienia wniosku aż po rozmowę z konsulem). W sezonie letnim czeka się ok. 2 tygodnie. Odbiór awizowanego paszportu na dalekich peryferiach stolicy (w poczcie kurierskiej).

Natomiast w czasie pobytu w USA nigdzie (poza krótką rozmową w Immigration na lotnisku) nie żądano ode mnie paszportu.

Dolot: Liniami Air Berlin z berlińskiego lotniska Tegel do Chicago, a stamtąd liniami Americana do San Francisco (ok. 3500 km w obie strony). Odprawa paszportowa i bagażowa na lotnisku tranzytowym. Kontrola sanitarna, wspomagana przez psy, wyciągnęła z mojego plecaka półkilogramowy kawałek salami (bezwzględny zakaz wwozu owoców i przetworów mięsnych).

TRASA

1 lipca. Wyjazd z Warszawy do Kostrzyna n. Odrą, gdzie czekała już na mnie część uczestników.

2 lipca. O 4 rano wyjazd minibusem na lotnisko Tegel w Berlinie, z którego o 8.00 odlatywał mój samolot do Chicago. Po 7 godzinach lotu nad Atlantykiem i Grenlandią dotarłem do Chicago, a następnie do San Francisco. Po spotkaniu na lotnisku z resztą uczestników, którzy lecieli przez Miami, nadjechał wynajęty minibus. Po przejeździe go przez pilota pojechaliśmy do pierwszego na trasie motelu w San Leandro (dalekie przedmieście San Francisco) – Fairmont Inn (32 USD/os.).

3 lipca. Wyruszyliśmy w kierunku połączonych Parków Narodowych Kings Canyon i Sequoia, leżących na zachód od najwyższych gór Kalifornii – Sierra Nevada. W bramce na granicy parków wykupiliśmy kartę na wszystkie parki narodowe USA – 80 USD za samochód, tj. 8 USD na osobę, ważną jeden rok. Tanio! Widocznie władzom zależy na promocji parków. Po okazaniu tej karty w kolejnych parkach rangerzy dołączali do niej szkieletowe mapki z opisem parków.

Zaczynamy od kolejnych punktów widokowych w Kings Canyon. Później zatrzymujemy się w Grant Grove Village, z licznymi okazami sekwoi, m.in. General Grant Tree (druga co do wielkości). Olbrzymie drzewa robią na nas wielkie wrażenie – zrealizowaliśmy nasze marzenia! Zatrzymujemy się na kempingu na granicy parku. Był to najzimniejszy kemping na całej trasie, ponadto trochę w nocy padało. Dodatkowy stres stwarzały grasujące w okolicy czarne niedźwiedzie. Nie podeszły jednak do naszych namiotów. Wszędzie na kempingach widzieliśmy pojemniki na śmiecie z wymalowanymi na nich „misiami”. Nie wolno było trzymać żywności w namiotach – tylko w zamkniętym samochodzie.

4 lipca. Kontynuujemy zwiedzanie Sequoia NP. Podchodzimy do olbrzymiego mamutowca (inna nazwa sekwoi) General Sherman Tree, największego i najstarszego drzewa na świecie (84 m wysokości, wiek ponad 3500 lat), otoczonego parkanem. Dopiero tu uświadamiamy sobie jej wielkość! Pod wydrążonym w innej z nich łukiem przejeżdżają samochody! Później wchodzimy na kopulastą skałę Moro Rock długimi i stromymi schodami (wspaniałe miejsce widokowe na okoliczne góry). Biwakujemy już poza granicami parku.

5 lipca. Dojeżdżamy do Los Angeles – największego miasta – molocha na zachodzie USA. Omijamy wieżowce Down Town z efektownym Civic Center i podobno interesujące muzea. Ze względu na brak czasu wyznaczamy trzy najbardziej interesujące nas miejsca. Oczywiście jest wśród nich Hollywood, który nas rozczarował. Przeszliśmy kilkakrotnie główną jego ulicą Hollywood Boulevard, z wykutymi w chodniku gwiazdami i nazwiskami sławnych aktorów. Stanęliśmy na chwilę przed chińskim teatrem, w którym odbywają się światowe premiery galowe z udziałem gwiazd, obejrzelśmy odciski w betonie chodnika ich dłonie i stopy. Wszystko to, wraz z otaczającym ten przybytek zgłębliwym tłumem, złożyło się na wrażenie niesamowitego kiczu. Dlatego się stamtąd wynieśliśmy w kierunku plaży Santa Monica. Bardzo szeroka i piękna piaszczysta plaża i (wbrew oczekiwaniom) dość ciepła kąpiel w oceanie – jedyna na całej naszej trasie. Oglądaliśmy tu zachód słońca. Następnie wyjeżdżamy daleko za miasto, gdzie jest taniej i znajdujemy motel za 25 USD /os. Było właśnie Święto Niepodległości i do późnej nocy towarzyszył nam ogłuszający huk petard.

6 lipca. Wracamy do „Miasta Aniołów”, by na cmentarnym wzgórzu Forest Lawn Memorial Park w dzielnicy Glendale obejrzeć słynną panoramę Golgoty pędzla naszego Jana Styki. Ogromny obraz namalowany przez niego z inicjatywy Ignacego Paderewskiego i wystawiony od 1951 r. w specjalnie zbudowanym kościele zrobił na nas duże wrażenie (wstęp bezpłatny).

Następnie jedziemy na wschód, do pustynnego Parku Narodowego Drzew Jozuego (Joshua Tree NP) Dziwaczne kształty i liście drzewa przypominały odwiedzającym te strony mormonom brodę starotestamentowego patriarchy i dlatego nazwali to drzewo (będące wielką juką) imieniem Jozuego. Drzewa te dominują w krajobrazie parku usia-

nego olbrzymimi skałami i głazami. Jest tam też piękny zagajnik kaktusowy. Śpiemy na kempingu bez światła i wody, ale płacąc tylko 2,5 USD od osoby, i w jakiej scenerii!!

7 lipca. Jedziemy w kierunku Wielkiego Kanionu (Grand Canyon NP). Po 11 latach znów staję na jego południowej krawędzi (South Rim). Jeździmy bezpłatnym busem „shuttle” pomiędzy jego punktami widokowymi. Kanion ma 446 km długości mierzonej wzdłuż biegu rzeki Colorado. Jest najbardziej imponującym na świecie przykładem działania erozji. Dla geologów jest otwartą księgą dziejów Ziemi, a dla milionów turystów oszałamiającym cudem natury. Rozbijamy namioty na ogromnym kempingu, ok. 2 km od południowej krawędzi.

8 lipca. Kontynuujemy wędrowki wzdłuż brzegu kanionu, docierając do punktu widokowego Desert View. Następnie jedziemy w kierunku ruin kilku indiańskich puebli, najpierw do puebli Lomaki i Wukoki, później do największych z nich Wupatki National Monument. W tym ostatnim ruiny są szczególnie efektowne. Można tam obejrzeć m.in. boisko do gry w piłkę (podobnie jak u ludów Mezoameryki) oraz dawny amfiteatr. Przy ruinach jest Visitor Center, gdzie można zaopatrzyć się w broszury informacyjne. Stamtąd jest już niedaleko do Sunset Crater Volcano National Monument, czyli do wygasłego wulkanu. Oglądamy zastygłe pola lawy i typową dla tego środowiska roślinność. Namioty rozbijamy po przejechaniu miasta Flagstaff.

9 lipca. Zwiedzamy Petrified Forest NP – Skamieniały Las. O wyjątkowości tego parku przesądzają sfosylizowane pnie drzew, które rosły 225 mln lat temu i wielobarwna sceneria Malowanej Pustyni, a także pradawne indiańskie rysunki i ryty naskalne. Jest to największe i najbardziej efektowne w świecie zbiorowisko skamieniałego drewna. Oglądamy Puerco Indian Ruin – odkopane XIV-wieczne osiedle ludu Anasazi i ich naskalne dzieło sztuki – Newspaper Rock (skała-gazeta) – piaskowcowy klif, na którym Anasazi wykonali tajemnicze inskrypcje, których znaczenia nikt dotąd nie rozszyfrował. Fascynujące ryty oglądamy w zbliżeniu, korzystając z lunet ustawionych na punkcie widokowym. Biwakujemy w pobliżu parku.

10 lipca. Malowniczy Kanion de Chelly położony jest już na plemiennym terytorium Indian Navajo. Ich poprzednicy – lud Anasazi – pozostawili tu wiele domostw w skalnych niszach, wysoko na piaskowcowych skałach. Jednym z takich miejsc jest White House Ruin. Ciekawym miejscem jest też Spider Rock Overlook – punkt widokowy, z którego widać wśród skał tzw. Skałę Pajęczą, tj. dwie wysokie wieżycy na dnie doliny otoczonej górami. Wg legendy przedstawia ona kobietę – przadkę, która nauczyła Navajów prząść. Około południa docieramy do słynnej doliny Monument Valley – fantastycznego krajobrazu uwiecznionego w wielu filmach. Prawie w całości należy do Indian Navajo. Na ich terytorium znajdują się najciekawsze formacje skalne. By się tam dostać, trzeba wykupić bilet – 6 USD/os. Ale uprawnia on tylko do wstępu na przedpola tej krainy. Na parkingu touroperatorzy indiańscy oferują wycieczki jeepem (po 25–30 USD/os.) Rezygnujemy z tego. Robimy sobie zbiorowe zdjęcie na tle najbardziej okazałych formacji skalnych i opuszczamy Monument Valley. Podjeżdżamy pod punkt widokowy, z którego oglądamy niewielki Gooseneck State Park. W parkach stanowych płaci się za wstęp osobno, ale nie jest on wysoki. Park można prawie w całości obejrzeć ze wspomnianego wzgórza. W dole widać rzekę meandrującą między wysokimi górami.

11 lipca. Po noclegu na pobliskim kempingu zwiedzamy Natural Bridges National Monument, już w stanie Utah. Są tu trzy naturalne mosty wyrzeźbione przez dopływ

rzeki Colorado. Dwa z nich, Sipapu i Kachina, pod względem wielkości zajmują drugie i trzecie miejsce w świecie. Różnica między skalnym łukiem i mostem polega na tym, że łuk jest efektem działania wiatru i wody opadowej, most zaś rzeźbi woda strumieni i rzek. Z parkingu krótkimi szlakami dochodzimy do każdego z trzech mostów.

Następny punkt programu okazał się wielkim nieporozumieniem. Był nim pomnik o nazwie Four Corners, ustawiony w miejscu, gdzie stykają się ze sobą cztery stany: Arizona, Utah, Meksyk i Colorado. Nic więcej poza straganami indiańskimi tam nie ma. Za tę przyjemność Indianie Navajo biorą 5 USD/os.

Ale czekała nas największa atrakcja tego dnia – Mesa Verde NP, w którym byłem już 11 lat temu. Teren ten zamieszkiwał przez niemal 1500 lat (do XV w.) lud Anasazi, budując (od XII w.) domostwa na skalnych ścianach. Puebla, często dwukondygnacyjne, wyginały się łukiem wokół centralnej podziemnej komory zwanej „kiva”. Najbardziej efektowne miejsca w Mesa Verde NP to Spruce Tree House, do którego schodzi się w dół zardzewioną aleją, i Cliff Palace, który podziwia się z góry lub zwiedza się grupami z rangerem (obowiązkowym i płatnym). Wreszcie Balcony House (niewidoczny z tarasu widokowego) zwiedza się grupami z rangerem, wspinając się po drabinkach zawieszonych na skałach. W pobliżu są też fragmenty indiańskich domów (pithouses) i dość dobrze zachowana Świątynia Słońca. Zastanawialiśmy się, co skłaniało dawnych Indian do budowania całych wsi w tak niedostępnych miejscach, pod nawisami skalnymi.

Wieczorem dotarliśmy do miasteczka Moab, gdzie w tamtejszym motelu mieliśmy dwa kolejne noclegi, po 15 USD/os. A więc możliwość wypoczynku, dokładnego mycia i prania.

12 lipca. Przedpołudnie wypełnia nam zwiedzanie Parku Skalnych Łuków (Arches NP). Najczęściej odwiedzanym tu obiektem jest Delicate Arch, do którego prowadzi pustynny szlak (5 km w obie strony, pod górę, przy 40-stopniowym upale). Rezygnuję więc, także dlatego, że przy łuku tym byłem już 11 lat temu. Natomiast podszedłem do łatwiej dostępnych łuków Big Window i Small Window. Wracając, pilot zatrzymał się przy efektownej skale Balanced Rock.

Po południu część grupy pojechała do zespołu kanionów Canyonlands NP, rozciągającego się w sercu wyżyny Colorado. Najciekawszy jest tu płaskowyż Island in the Sky i Needles District, gdzie są piaskowcowe łuki, obłe i ostre ostańce, iglice i kaniony, a także prehistoryczne domostwa Anasazi. Z Canyonlands NP sąsiaduje Dead Horse Point State Park, który ogląda się z punktu widokowego. Trudno dociec, skąd wzięła się dziwna nazwa tego parku, bo nigdzie po drodze zdechłego konia nie widzieliśmy.

13 lipca. Opuszczamy „nasz dom” w Moab i puszcza się w daleką 10-godzinną drogę do Yellowstone NP, położonego już nie tylko w innym stanie (Wyoming), ale i klimacie. Pustkowia, czerwone skały i kaniony ustępują miejsca lasom iglastym, wśród których widać było tafle licznych jezior, a na polach pasące się jelenie i bizony. Najpierw jednak docieramy do Grand Teton NP, w pobliżu którego rozbijamy namioty.

14 lipca. Zwiedzamy Grand Teton NP, park typu alpejskiego, z ośnieżonymi szczytami. Skalne kolosy wyrastają nagle z niziny na wysokość 4200 metrów. Lodowce i śnieżne pola z daleka wydają się wisieć na niemal pionowych urwiskach. Podjeżdżamy pod przystań nad jeziorem Jenny Lake. Łódź typu „shuttle” przewozi nas na drugą stronę jeziora (tam 9 USD, tam i z powrotem 15 USD). Z przystani podchodzimy (dość stromo, po kamieniach) do wodospadów Hidden Falls.

Jedziemy dalej w kierunku Yellowstone NP. To najstarszy park narodowy, nie tylko w USA, ale i w świecie, założony już w 1872 r. Jest chyba najbardziej znanym w świecie obszarem chronionym, słynie z gejzerów i gorących źródeł. Zmierzamy przede wszystkim do sławnego gejzeru Old Faithful. Ponad dwie godziny czekamy na jego wybuch. Następnie przechodzimy drewnianymi mostkami całe pole gejzerów (Upper Geysir Basin). Nie mieliśmy rezerwacji kempingu na terenie parku, musieliśmy więc biwakować poza jego obszarem.

15 lipca. Wracamy do Yellowstone NP. Oglądamy Grand Prismatic Spring – szerokie niebieskie rozlewisko o beżowo kremowych brzegach. Wędrujemy pomostem poprzez gęste opary wydostające się z gorących niebieskich lub seledynowych jezior i źródełek. Porównuję ten krajobraz z widzianymi kiedyś gejzerami Islandii, Nowej Zelandii i północnego Chile. Następnie jedziemy w kierunku Mammoth Hot Springs, gdzie są liczne gorące źródła, różnej wielkości, od cienkich strużek po rzeczki płynące lśniąco kolorowymi terasami, które powstają z wytrącających się w wodzie minerałów, dodatkowo barwionych przez bakterie. Podziwiamy przepiękną martwicę wapienną zwaną trawertynem. Widziałem już kiedyś podobne krajobrazy – daleko stąd, w Pamukkale... Ale tu jest piękniej...

Na koniec oglądamy przepaścisty Wielki Kanion Yellowstone, gdzie zielona woda z hukiem spada wielkimi wodospadami do głębokiego na 370 m wąwozu o wielobarwnych ścianach, z przewagą żółtych odcieni (stąd nazwa Yellowstone – Żółty Kamień). Kanion jest dziełem erozji rzecznej. Wracając, mijamy pasące się bizona, klempy (samice łosia) i jelenie.

16 lipca. Zmierzamy w kierunku Salt Lake City – „duchowej twierdzy” mormonów – czyli Świętych Dnia Ostatniego. Zamierzamy biwakować na terenie Antelope Island State Park – wyspy na Jeziorze Słonym, porosłej niskimi krzewami. Zamierzamy też wykąpać się w jeziorze, sądząc, że będzie ona podobna do kąpieli w Morzu Martwym. Nic z tego nie wyszło. Jezioro jest bardzo płytkie, a na „plaży” unoszą się miliony much. Skończyło się na brodeniu do kostek i szybkim powrocie na parking oddalony od brzegu jeziora o kilometr. Przejeżdżamy przez Salt Lake City i z trudem znajdujemy kemping po jego drugiej stronie, ale w ładnej okolicy (dwa jeziora).

17 lipca. Wracamy do miasta i parkujemy w pobliżu Temple Square, duchowego centrum mormonów. Byłem tu już w 2003 r. Ponownie więc zwiedzam kultowe obiekty. Najpierw Tabernacle, gdzie często odbywają się koncerty chórów i orkiestr (okazałe organy). Podobne przeznaczenie ma pobliski Assembly Hall. Główna świątynia (The Temple) jest zamknięta dla turystów i dostępna tylko w czasie wielkich świąt mormońskich. Wszędzie zwraca uwagę czystość i porządek. Plac upiększają klomby kwiatów. Często spotyka się młode dziewczyny, z księgami mormońskimi pod pachą i oferujące przewodnictwo po zespole. Zwiedzanie kończę w zadbanym Church History Museum, prezentującym bardzo powikłaną historię Kościoła Mormonów, ich peregrynację ze wschodu USA na zachód oraz pionierskie działania na terenie stanu Utah.

Opuszczamy Salt Lake City i jedziemy w kierunku Capitol Reef NP. Jest to górzysty fałd, a jego gładkie skalne kopuły kojarzyły się pierwszym osadnikom z siedzibą Kongresu USA w Waszyngtonie. To jeden z mniej znanych parków południowego zachodu. Ma on wyraźnie podłużny zarys i dzieli się na trzy części. Ograniczamy się do części środkowej, gdzie oglądamy skały Chimney Rock i The Castle. Okolice były tere-

nem osadnictwa mormońskiego (wokół miasteczka Fruita). Z tamtych czasów pozostała niewielka drewniana szkoła, wzniesiona pod nawisem skalnym i dom osadnika Behunina. Na pobliskich skałach widoczne są petroglify.

18 lipca. Dojeżdżamy do Bryce Canyon NP. Jest to chyba najpiękniejszy z odwiedzanych przez nas kanionów. Długo będziemy pamiętać jego białe, żółte i pomarańczowe iglice i wieże, o kształtach jak ze snu. Są tam naturalne mosty, skalne łuki i wielkie głązy balansujące na szczytach wyniosłych wieżyc, a także okna przebite na wylot w miękkiej wapiennej skale. Wszystko to podziwiamy z licznych punktów widokowych, np. z Sunrise Point, skąd można też zejść kilkaset metrów w dół, w kierunku widocznej z góry groty.

Przenosimy się do Zion NP. Jest to zdumiewający krajobraz urwisk i kanionów, kolorowych skał, z których erozja wyzarowała przedziwne kształty i jeden z największych na świecie łuków. Oglądane z daleka skalne ściany i kopuły wyglądają jak świątynie wzywające wiernych do modlitwy. Dlatego też mormońscy osadnicy scenerię tę nazwali Zion, czyli Syjonem. W Zion NP, podobnie jak w Bryce NP, poruszamy się autobusami „shuttle”, które kursują między najważniejszymi punktami widokowymi. Najpierw docieramy do stacji Temple of Sinawawa, skąd dwukilometrowy szlak doprowadza do grupy amfiteatralnie ukształtowanych skał nad wezbranym potokiem. Następnie podchodzimy do jednego z jezior Emerald. Wreszcie szukamy kempingu poza parkiem.

19 lipca. Najpierw stajemy nad zaporowym Jeziorem Powella, z licznymi zatokami i wyspami.

Później dojeżdżamy do położonego w sercu Arizony Kanionu Antylopy, traktowanego przez Indian Navajo jako miejsce ich kultu. Najpierw płacimy za dojazd do parkingu (8 USD), a później do touroperatorów, urzędujących pod namiotem. Wystawiają nam bilety za przejazd jeepem do kanionu (25 USD/os.). Pomimo wcześniejszej rezerwacji czekamy dwie godziny, bo podobnie jak w innych parkach tak i tu są tłumy turystów. Po 15-minutowej jeździe po straszliwych wybojach docieramy do Kanionu Antylopy. Jest to płatanina skalnych bloków, otoczona pustynią. Idzie się 250 metrów tunelem wśród skał, przez które od czasu do czasu prześwituje słońce. U wylotu tunelu widok na piaszczyste wydmy.

Wieczorem dojeżdżamy do położonego już w stanie Nevada Las Vegas, miasta założonego w latach 30. XX wieku na pustyni. Przy ulicy Strip podziwiamy nocną panoramę tego miasta hazardu i nocnych rozrywek. Obok licznych kasyn zwracają uwagę wątpliwej jakości kopie słynnych obiektów z różnych części świata. Są wśród nich budowle Wenecji, jest wieża Eiffla i egipski Sfinks. To typowe dla Amerykanów naśladowanie Europy. Znajdujemy wreszcie motel, gdzie za „jedynekę” musimy zapłacić aż 45 USD. Ale wreszcie wypocznę, bo zostajemy tu dwie noce.

20 lipca. Jedziemy do Tamy Hoovera, wzniesionej w latach 30. XX w. i nazwanej imieniem ówczesnego prezydenta USA. Najpierw wchodzimy na wiadukt, z którego dobrze widać tamę i jezioro Mead. Mijamy liczne pomniki budowniczych tej tamy. Wielu z nich budowę tę przyplaciło życiem. Gigantyczne prace na pustyni, w wyniku których powstały liczne miasta-ogrody (jednym z nich jest Las Vegas), budzą uznanie.

Następnie spacerujemy po Downtown w Las Vegas. Przy jego głównej ulicy Fremont Street mieszczą się główne kasyna i lokale rozrywkowe. Następnie przejeżdżamy jeszcze raz (tym razem w dzień) przez Strip. Wieczorem większość uczestników uda-

je się na nocne zwiedzanie kasyn. Niektórzy wygrywają, inni przegrywają niewielkie sumy. Ja korzystam z możliwości zasłużonego wypoczynku.

21 lipca. Wyruszamy w kierunku Doliny Śmierci (Death Valley), położonej już w Kalifornii. Dolina ta jest częścią Pustyni Mojave i wciśnięta między nagie skały stromych górskich zboczy. W plejstocenie wypełniało ją płytkie jezioro, po czym pozostały solniska, wielkie płyty spękanego błota i piaszczyste wydmy. Stajemy najpierw na punkcie widokowym Zabriske Point. Pan Zabriski (o prawdopodobnie polskich korzeniach) był dyrektorem wielkiego przedsiębiorstwa i zabiegał o stworzenie tu parku narodowego. Następnie zjeżdżamy w dół i stajemy przy Badwater, w miejscu największej depresji w USA 86 m. Na otaczającej to miejsce skale zaznaczono to napisem „Sea Level”. Nasz termometr w samochodzie wskazuje plus 53 stopnie C (maksymalnie bywa 56 stopni C). Jest rzeczywiście gorąco, ale da się wytrzymać (byliśmy tam zaledwie półtorej godziny). Następnie przejeżdżamy obok centrum turystycznego Furnace Creek, które przypomina oazę wśród palm. Na koniec zatrzymujemy się przy wydmach Sand Dunes. Daleko im do tych na Saharze, ale warto było zrobić kilka zdjęć. Po długich poszukiwaniach udaje się nam znaleźć kemping – prawie u stóp gór Sierra Nevada i ich najwyższego szczytu Mt. Whitney (4418 m). Było to urokliwe miejsce. Ciepło, księżycowa noc...

22 lipca. Jedziemy na północ wzdłuż gór Sierra Nevada. W miejscowości Bishop skręcamy na północny zachód, w kierunku jeziora Mono Lake, położonego już na przedpolach Yosemite NP. Jezioro jest powulkaniczne, otoczone tufowymi wieżami i iglicami. Woda zawiera dużo węgla wapnia. Jezioro jest siedliskiem wielu endemicznych gatunków fauny i flory. Następnie wjeżdżamy do najbardziej chyba popularnego w USA Yosemite NP. Zanim jednak dojedziemy do jego „jądra”, Yosemite Valley, przez wiele kilometrów jedziemy szosą wśród mieszanych lasów i jezior, zatrzymując się przy punktach widokowych nad kolejnymi jeziorami. Wreszcie w oddali widać najbardziej znany skalny monolit El Capitan (2307 m), przy którym robimy sobie zdjęcia. Niestety, największe atrakcje parku, wodospady, w lipcu przypominają raczej strużki wody niż kaskady. W oddali widzimy jednak trójkaskadowy wodospad Yosemite Falls, znany z licznych pocztówek (739 m wysokości). Zatrzymujemy się na parkingu z widokiem na grupę skał Dome (Kopuła). Autobusem „shuttle” podjeżdżamy do miejsca, w którym zaczyna się dwukilometrowy szlak do wodospadu Vernal, podobno jedynego „czynnego” o tej porze roku. Łatwy spacer doprowadza do drewnianego mostu, z którego ogląda się wodospad. Niestety czas nagli i musimy już opuścić park, omijając wiele pięknych miejsc. Pozostaje więc niedosyt...

23 lipca. Po ostatnim kempingu, już poza parkiem, jedziemy w kierunku oddalonego o 200 km San Francisco. Około południa oglądamy już, z różnych punktów widokowych, umieszczonych na okolicznych górach, słynny most Golden Bridge – wizytówkę miasta, a za nim jego panoramę. Most zbudowano w 30. latach XX w. Po drugiej stronie zatoki widoczny jest drugi most, łączący San Francisco z przedmieściem Oakland i zbudowany także w latach 30. XX w. przez naszego rodaka Ralpha Modrzejewskiego (syna Heleny Modrzejewskiej). Obecnie most ten jest nieczynny i zastąpiony zbudowanym obok nowoczesnym mostem. Następnie wędrujemy do dzielnicy Chinatown i zamawiamy tam chińskie potrawy. Później bezskutecznie szukamy taniego noclegu. Najtańsza oferta to 60 USD od osoby. Wobec tego wyjeżdżamy za miasto i trafiamy na

znany nam już z początku wyprawy motel Fairmont Inn w San Leandro (26 USD/os.). Wypoczywamy przed czekającym nas jutro i pojutrze beznoclegowym maratonem.

24 lipca. Wracamy do miasta. Próbuje „załapać się” na rejs do słynnego Alcatraz, więzienia na wyspie. Ale, jak wszędzie na trasie tak i tu – tłumy turystów. Najbliższa rezerwacja to... 20 sierpnia. Rezygnujemy więc i spacerujemy wzdłuż nabrzeża Fisherman's Warf. Znajduję tam piękne akwarium. Widziałem już wiele akwariów w świecie, ale takiej kolekcji różnobarwnych meduz nie spotkałem nigdzie. Podjeżdżamy do centrum miasta. Stajemy przed ratuszem, który, podobnie jak w innych dużych miastach USA, zwieńczony jest okazałą kopułą (można wejść do środka). Z tyłu za ratuszem widać Operę i Filharmonię (nieczynne ze względu na okres letni). Obok zamknięte na głucho Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Podchodzę do widocznej na wzgórzu nowoczesnej katedry Wniebowzięcia NMP. Wewnątrz ciekawe rzeźby w drewnie i witraże. Dochodzę do placu Union Square, z wielką kolumną wystawioną z okazji zdobycia przez USA Filipin. Chodząc ulicami tego miasta, wszędzie muszę wspinać się pod górę lub schodzić w dół. Takimi ulicami jeżdżą słynne tramwaje, obwieszone stojącymi na stopniach pasażerami. Zwracają uwagę liczne kamienice, w których piętra połączone są zewnętrznymi schodami (są to podobno schody ewakuacyjne w razie pożaru). Na ulicach pełno żebraków, często natarczywych i obdartych „meneli”. Wieczorami musi tu być niebezpiecznie. Następnie jedziemy na przedmieścia na ostatnie już zakupy i kolację w McDonalddie, a później na lotnisko. O 22.00 oddajemy właścicielowi wynajęty minibus. Czeką nas całą noc na lotnisku. Samolot do Chicago mamy o 6.00 rano.

25 lipca. Około 10.00 lądujemy w Chicago, a po trzech godzinach postoju wsiadamy do samolotu do Berlina.

26 lipca. O 7.00 lądujemy na lotnisku Tegel. Żegnamy się. Odjeżdżamy do swoich miast – Kostrzyna, Piły, Olsztyn, Zakopanego, Krakowa i Warszawy.

Informacje praktyczne. Przybliżony łączny koszt wyprawy 8500 zł (dzięki namiotom było taniej). Wynajęcie samochodu, benzyna i parkingi 3600 zł/os.

Opłaty na kempingach. Bardzo różne od 5 USD za samochód (tj. 0,5 USD/os.) do 130 USD za samochód (tj. 13 USD/os.). Niektóre z nich, na pół roku wcześniej, rezerwował pilot. Na pozostałe przyjeżdżaliśmy bez rezerwacji. Rozbijanie namiotów poza wyznaczonymi kempingami jest zabronione. Standard kempingów był różny – od pozbawionych prądu i wody do wyposażonych w prysznice. Nie zawsze cena odpowiadała standardowi.

Motele. Było ich cztery (ceny w tekście).

Apropozycja i wyżywienie. Śniadania i kolacje gotowaliśmy na butlach gazowych kupionych w USA (butli nie można przewozić w samolocie). Zwykle w połowie dnia zatrzymywaliśmy się na posiłek i zakupy. Najtaniej można było zjeść w McDonal'd's lub Burgerkingach. Jedna ciepła kanapka z kurczakiem kosztowała tam nieco ponad dolara. Zwykle brałem ich trzy i to zupełnie wystarczyło. Na najtańszy obiad w restauracji przeznaczyć trzeba było 25 USD. Zaopatrywaliśmy się w megasamach, przede wszystkim w sieci Walmart, rzadziej w Smith's. Znajdowaliśmy tam małe puszki z parówkami za 1 USD, konserwy rybne za 2 USD. Pokrojony chleb (tylko biały) 1,5 USD. Wszędzie w domach towarowych, restauracjach i na stacjach benzynowych są bezpłatne toalety (restrooms).

Katarzyna Anoszczenko (Zuza)
Rafał Robak (Mundi)

South Dakota – Roadtrip po bezdrożach USA



Termin: 4–20 lipca 2014 roku

Trasa: **Illinois** (Chicago; Galena) – **Iowa** – **Nebraska** – **South Dakota** (Lewis & Clark Recreation Area; Tyndall; Mitchell; 1880 Town, Badlands National Park, Wall; Elsworth Air Force Museum, Bear Country; Rapid City, Nemo Road, Sturgis, Spearfish, Spearfish Canyon Scenic Byway {Bridal Veil Waterfall, Roughlock Falls, Little Spearfish Falls}, Lead, Deadwood, Pactola Reservoir, Hill City, The 1880 Train, Keystone, Mount Rushmore NM, Iron Mountain Road (tunele), Custer State Park, Wildlife Loop Road, Needle Hwy (tunele), Little Devils Tower trail, Sylvan Lake, Droga 87 (tunel), Crazy Horse, Custer, Jewel Cave National Monument, Four Mile Old West Town, Custer, Gordon Stockage Historic Fort, Mount Coolidge, Wind Cave National Park, Cold Brook Lake Project, Hot Springs – Mammoth Site, Hot Springs – gorące źródła, Cascade Falls), **Nebraska** (Toadstool Geologic Park, Alliance-Carhenge, Nebraska National Forest), **Iowa** (Maquoketa Cave State Park), **Illinois** (Chicago).

Przewodniki: Mount Rushmore & The Black Hills including The Badlands – Laura A Bidwell; Hiking Black Hills Country – Bert & Jane Gildart; Atlas topograficzny South Dakota DeLorme; Atlas topograficzny Nebraska DeLorme.

Uczestnicy: Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi), Jasio Robak i Basia Robak.

Środek transportu: Toyota Camper 1987 w stanie znośnym.

Koszt benzyny: 621 USD (174 galony).

Długość trasy: 2480 mil = 3992 km.

Noclegi: Kempingi 5–18 USD lub bezpłatnie w lasach należących do National Forest.

Kilka słów wstępu: Opisana poniżej relacja dostarcza przede wszystkim cennych informacji osobom podróżującym z dziećmi, co nie oznacza, że ci podróżujący bez nich nie znajdą tu wielu opisów miejsc, które po prostu trzeba zobaczyć, odwiedzając Południową Dakotę. Miejsce to zachwytiło nas i utwierdziło w przekonaniu, że wszędzie, gdzie dotarliśmy, pełno było przyrodniczych „niespodzianek” i krajobrazowych „cu-

dów". Podróżowaliśmy głównie po rejonie Black Hills, który jest również rajem dla motocyklistów, którzy co roku na początku sierpnia opanowują tę część stanu, zjeżdżając się na Sturgis Motorcycle Rally (ponad 400 000 motocyklistów!!!). Południowa Dakota kojarzy się każdemu głównie z Mount Rushmore, czyli tzw. „głowami prezydentów”, ale to przede wszystkim dzika przyroda – na wschodzie ciągnące się w nieskończoność prerie, a na zachodzie góry z pionowymi wychodniami granitowych ostańców, wodospady, jaskinie, potoki pełne pstrągów, lasy zamieszkałe przez dzikie kozy górskie, ale i „badlands”, czyli ziemie pustynne z niesamowicie zerodowanymi formami o dziwacznych kształtach. To również miejsce, gdzie poszukiwacze złota zostawili po sobie wiele śladów, a które dzisiaj stanowią nie lada atrakcje dla zwiedzających. Jednym słowem, idealne miejsce na wspaniałe i niedroge wakacje dla tych wszystkich, którzy kochają przyrodę i dziki zachód. My od kilku lat na wakacje udajemy się wiekowym „kempingowozem” zaopatrzonym w miejsca do spania, kuchenkę, lodówkę i mini-lazienkę, co niezmiernie ułatwia nam organizację tychże wakacji spędzanych z małutkimi dziećmi. Auto jest niezmiernie powolne, osiągając średnią prędkość 40 mil na godzinę, co praktycznie uniemożliwia nam bezpieczne poruszanie się po autostradach, gdzie wszyscy pędzą średnio 70–80 mil na godzinę. Fakt ten sprawia, że wybieramy drogi słabo uczęszczane i wolne od rozpędzonych ciężarówek, poznając małomiasteczkowe oblicze Ameryki, a mówiąc krótko: największe „zadupia” jakie można sobie wyobrazić...

Dzień 1

Początek naszej wyprawy nie zapowiadał się najlepiej... kiedy już załadowaliśmy po brzegi naszego kampera, usadawiając wygodnie nasze potomstwo, coś niezapowiedzianego stało się z naszym autem. Podczas tankowania dostrześliśmy jakoś dziwnie wyglądający smar, który ochlapał wewnątrz przednich nadkoli. Skłoniło nas to do zawrócenia z trasy i odwiedzenia mechanika, który na szczęście rozwiął nasze obawy i utwierdził w przekonaniu, że to tylko towot z rutynowego smarowania podwozia w czasie zmiany oleju. Kamień spadł nam z serca...

Po tej wspaniałej wiadomości, że wszystko z naszym wozem jest w porządku, ruszamy w końcu na zachód autostradą nr 90 z Chicago do Rockford i przeskakujemy na 20., by spokojnie już toczyć się naszym tempem w kierunku **Galeny**. Zatrzymujemy się na chwilę w okolicy miasteczka **Elizabeth** na „rest area”, by rozprostować kości i rozładować „zagęszczoną atmosferę” powstałą wskutek niewyjaśnionego konfliktu Jasio – Ziemia. Żałujemy niezmiernie, że zbyt późno się tu znaleźliśmy, bo główną atrakcją jest tu **Apple River Fort State Historic Site**, zamknięty już niestety dla zwiedzających (311 E. Myrtle, Elizabeth; czynny w godz. 9–16 od środy do niedzieli). Do Galeny dojeżdżamy dopiero wieczorem i z trudem udaje nam się znaleźć miejsce do zaparkowania. Miejsce to niezmiernie popularne wśród turystów – dziś z powodu Święta Niepodległości pęka w szwach. Po objechaniu wszystkich możliwych uliczek udaje nam się znaleźć parking nad samą rzeką obok wypożyczalni kajaków i kanoe (S. Bench Street/hwy20). Korzystając z ostatnich chwil dnia, przechadzamy się główną ulicą miasta i pstrykamy kilka fot naszym maluchom. Cały wał nadrzeczny okupowany jest przez ludzi, czekających w napięciu na patriotyczny pokaz fajerwerków. Wciskamy się i my w ten tłum i czekamy... widowisko miało rozpocząć się tuż po zmroku, ale mijają minu-

ty i nic się nie dzieje. Dopiero po 22.00, po kilku nieudanych próbach wystrzałów niebo rozświetlają fajerwerki. Jasiowi strasznie się podoba całe to widowisko i nie może wyjść z zachwytu, głośno je komentując w drodze powrotnej do auta. Jako że jest już bardzo późno, postanawiamy nie ruszać się z miejsca i przenocować na parkingu.

Dzień 2

Nocleg przebiegł w spokoju i ciszy, zakłócony został dopiero o świcie przerażającym wrzaskiem Basii domagającej się śniadania. Za niedługą chwilę ten dźwięk został „wzbogacony” o kolejny wrzask – tym razem Janka, który domagał się również posiłku. Po spełnieniu życzeń i napełnieniu brzuchów ruszamy na podbój dzikiego zachodu... powolutku miła za miłą ciągniemy się 20., przejechawszy rzekę Mississippi (będącej granicą ze stanem **Iowa**), Dubuque, Waterloo, Fort Dodge, docieramy do Sioux City. Przedostajemy się na drugą stronę rzeki Missouri i jedziemy chwilę przez **Nebraskę** (wjeżdżając na drogę nr 12), gdzie tak naprawdę nic się nie dzieje. Za Newcastlem (drogą nr 19) przekraczamy znów rzekę Missouri i „wkracamy” dumnie do **Półudniowej Dakoty**. I tak toczymy się jeszcze chwilę wzdłuż rzeki, by w końcu – wycieńczeni „rozwrzeszczaną młodzieżą” zdecydować się na cywilizowany nocleg na kempingu. Naszym celem jest **Louis and Clark Recreation Area** i Cottonwood campground (prowadzony przez NPS, 16 USD/noc, gorące prysznice). Wypuszczamy przeładowanego skumulowaną energią Janka na kempingowy plac zabaw, Basia dostaje „przydział miejsca” w chodziku, a my w końcu odreagowujemy „transzytowy” stres i racząc się małym, zimnym piwkiem, celebруем osiągnięcie celu naszych wakacji.

Dzień 3

Pobudkę rozpoczyna jak zawsze Basia i jej – delikatnie mówiąc – śpiew skowronka... Janek za chwilę dołącza się jako drugi głos do chóru i nie ma już możliwości ponownego zapadnięcia choćby w kilkuminutową drzemkę. Jemy owsiankę i po krótkim spacerze brzegiem Missouri suniemy już dalej, zaglądając na chwilę do **Tyndall**, gdzie rzekomo miało znajdować się zoo z jego słynnym mieszkańcem – „zonkey”, czyli zebroosłem. Zoo niby jest, ale w zasadzie cały jego „dobytek” zlokalizowany jest w chłopskiej zagrodzie otoczonej siatką. Objężdżamy więc je dookoła, bo wejścia do niego nie ma, i wypatrujemy zebroosła, ale poza lamami, wołami, sarną i osłami żadnego innego stwora nie widzimy. Są jeszcze kucyki, które Janek dokarmia żdźbłami trawy, ale i te nie mają nic wspólnego ze sławnym zonkey. Może to i lepiej, że go nie spotkaliśmy, bo jak wytłumaczyć trzylatkowi, że zonkey to jakiś skrzyżowany genetycznie stwór, który człowiek stworzył dla swojego kaprysu. Za Tyndall zmieniamy trasę na 37 i dojeżdżamy do **Mitchell** – miasteczka znanego z Corn Palace, czyli budynku ozdobionego wewnątrz i na zewnątrz „obrazami” zrobionymi wyłącznie z kukurydzy. Jakoś nie rzuca nas na kolana jego wygląd... i po 10 minutach już nas tam nie ma. Mamy niewiele czasu, żeby dostać się do naszej następnej atrakcji, a w zasadzie pierwszego poważnego celu programowego tej wycieczki – **1880 Town**. Pokonujemy 160 mil w miarę sprawnie, chociaż atmosfera zagęszczona jest aż po sufit... Nie ma nic miłego w spędzeniu kilku godzin z 2 małuchami pozbawionymi przestrzeni i możliwości wariowania w dosłownym tego słowa znaczeniu. Na zjeździe nr 170 opuszczamy autostradę i parkujemy pomiędzy stacją Shella i wejściem do skansenu (bilet 11 USD/os., czynny 6–21 czasu górskiego). Właśnie w tym punkcie zmienia się czas z centralnego na górski, czyli jednym słowem „oszczędzamy” godzinę. Przez następne 5 godzin penetrujemy tu każdą dziurę

i zakamarek – a jest co penetrować... wszystkie budynki są autentyczne (choć przywiezione z różnych miejsc Południowej Dakoty), umeblowane i pełne ciekawych historii. W ciągle prosperującym saloonie można posiedzieć przy stoliku, racząc się zimną lemoniadą albo zagrać na stuletnim automacie na „quotery” (czyli 0,25 USD). Można też wypożyczyć sobie epokowe stroje (7 USD/os.) i zrobić sobie super fajną sesję fotograficzną. W stodole – będącej też obiektem muzeum – znajduje się całkiem pokaźna wystawa poświęcona filmowi „Tańczący z wilkami”, który był kręcony na terenie stanu (znajduje się tu również kilka rekwizytów filmowych). Dużo jest też informacji dotyczących Indian – szczególnie fotografii. Delikatny „niesmak” budzi wychodek z podaną instrukcją użycia kolb kukurydzy o określonym kolorze i w określonej kolejności (wielokrotnego użycia) zamiast papieru toaletowego... Na końcu miasteczka umiejscowiony jest mały kościółek przywieziony tu z całą „zawartością” – perfekcyjne miejsce na ceremonię ślubną w oryginalnym stylu. Gdzieś w samym rogu skansenu na słońcu wygrzewa się pan wielbłąd. Ogólnie powiedziawszy miejscówka ciekawa i godna polecenia dla małych i dużych. Kilka minut po 22.00 zostajemy grzecznie wyproszeni... jak ten czas szybko zleciał... i wracamy do naszej karety, odjeżdżając w ostatnich promieniach zachodzącego słońca na oddaloną kilka mil na zachód „rest area”, gdzie szybko zapadamy w głęboki sen.

Dzień 4

Zrywamy się przed 6 rano i po zjedzeniu gorącej owsianki pędzimy w deszczu autostradą do zjazdu nr 131 prowadzącego do **Badlands National Park** (bilet 15 USD/ auto – ważny 7 dni). Zatrzymujemy się w Big Badlands Overlook, gdzie musimy sterczyć przymusowo przez godzinę w aucie, bo burza nabiera niewyobrażalnej siły i jak tylko wychylilibyśmy nosy, zmyłoby nas momentalnie z powierzchni ziemi. Burza przeszła, ale sine niebo pozostało, „soczyście” kontrastując z tą jałową, pustynną ziemią. Po przejściu paru kroków po wyjątkowo śliskiej kładce zboczyliśmy na chwilę w celu zrobienia pamiątkowego zdjęcia i to okazało się olbrzymim błędem – do naszych butów przykleiło się kilka kilo błota, a raczej mokrej, ciężkiej gliny, która w kontakcie z podłożem powodowała niesamowity ślizg. Do tego nie dało się jej w żaden sposób pozbyć... wycieranie w drewnianą kładkę niewiele pomogło. Wyglądaliśmy wszyscy żałośnie... Musieliśmy zmienić buty i dopiero w nowych udaliśmy się na punkt widokowy. Muszę jeszcze dodać, że niesamowitego uroku dodawały tu rozsiane aż po horyzont „yellow sweet clover”, czyli nostrzyki żółte – archeofity, których za rok już tu nie będzie, ponieważ jest to roślina dwuletnia i kwitnie już po raz drugi z rzędu na tym terenie. Pachnące żółte kwiaty na pustyni to naprawdę rarytas dla zwiedzających... Podjeżdżamy kawałek do następnego punktu – wychodzą stąd 3 szlaki – Door Trail, Window Trail i Notch Trail. Zaczynamy od Door Trail – ale w zasadzie dochodzimy tylko do końca kładki, bo brnięcie po lepkiej i śliskiej glinie nie daje możliwości swobodnego i bezpiecznego poruszania się. Za dużo jest przepaści, w które można się zsunąć, więc decydujemy się nie narażać siebie i dzieci... Następny szlak – Window Trail wiedzie kładką do samego końca i jest króciutki, więc dochodzimy do samego punktu widokowego, a ostatni ze szlaków – Notch – najciekawszy w parku jest już większym wyzwaniem. Ziemia w ciągu zaledwie godziny po burzy zdążyła już wyschnąć, więc decydujemy się na 1,5-milowy spacer, pokonując wspinaczkę po wysokiej (około 20-metrowej) drabinie, co wcale nie wydaje się prościwą – szczególnie dla Janka. Szlak kończy się nad przepaścią, dając niesamowitą panoramę parku. Basia zasnęła kołysana przez tatę w plecaku-nosi-

dełku i nawet nie zdążyła nacieszyć się pierwszym w swoim życiu przebytym szlakiem. Wracamy w pełnym słońcu, które smaży nas niemiłosiernie – w końcu czujemy, że jesteśmy na pustyni. Zejście po drabinie okazuje się znacznie trudniejsze niż wejście po niej. Musimy schodzić „na raty”, sprowadzając najpierw Jasia na dół. Uciekamy prędko do auta i ruszamy w kierunku Ben Reifel Visitor Center, żeby trochę się ochłodzić w klimatyzowanym pomieszczeniu... bo na zewnątrz jest ponad 40°C. W budynku informacji aż roi się od turystów, chociaż w zasadzie nie ma tu za wiele do oglądania. Kilka wystaw i krótki filmik o parku zajmuje nam około 40 minut... (film chyba nie zaciękał Janka i Basi, bo poszli sobie spać zaraz na jego początku). Ruszamy dalej Badlands Loop Road na zachód i zatrzymujemy się we wszystkich punktach widokowych, robiąc krótkie spacerki. Drogą nr 240 wjeżdżamy następnie do miasteczka **Wall** i kierujemy nasze kroki do reklamowanego wszędzie (nawet w londyńskim metrze!) Wall Drug, czyli wielkiej badziewiarni, gdzie można kupić dosłownie wszystko (nawet drewniane suveniry – pudełeczka made in Poland!!!). Miejsce to pomimo swojego kiczowatego charakteru trzeba jednak odwiedzić i chociażby skosztować hot doga z bizona, który okazuje się naprawdę smaczną kiełbaską. Hamburger z bizona już nie smakuje tak wykwintnie... ceny są tu przystępne, a jeśli ktoś ma ochotę na kawę, to kosztuje tu całe 0,25 USD (hot dog z bizona 5,65 USD, bizonowy hamburger z sałatką 7,49 USD, frytki 2,69 USD). W restauracji pracuje dużo studentów z całego świata – m.in. bardzo sympatyczna para z Polski, która przyjechała tu popracować w ramach programu „work and travel”. Rozmawiamy z nimi chwilę, dzieląc się wrażeniami z odwiedzonego parku Badlands. Po napełnieniu brzuchów uciekamy czym prędzej z miasteczka i organizujemy sobie całkiem porządną nocleg na „rest area” (mila 99 obok miasteczka Wasta).

Dzień 5

Jakoś nie możemy się zebrać z naszego noclegu... opóźniając nasz wcześniej zamierzony plan rozpoczęcia zwiedzania muzeum lotnictwa od momentu jego otwarcia... Ale niestety perfekcyjna organizacja w drużynie z dwójką małych dzieci po prostu nie działa. Docieramy w końcu do zjazdu nr 67 i **South Dakota Air and Space Museum** (wejście bezpłatne, czynne 8.30–18.00), gdzie Mundek i Janek „odkrywają swoje drugie Ja”... zafascynowani historią, modelami i w ogóle wszystkimi pierdółkami dotyczącymi lotnictwa, nie pozwalają się wyciągnąć z budynku, i w jednej chwili każdy z nich staje się potencjalnym kandydatem na zawodowego lotnika. Najciekawszym okazem dla mnie osobiście jest samolot B52 (należący niegdyś do prezydenta USA), który mógł pozostawać w powietrzu przez 365 dni w roku, a paliwo było do niego dotankowywane w powietrzu przez inne samoloty. Dopiero około 14 udaje mi się dosłownie wyszarpać chłopaków z budynku muzeum i zmobilizować do dalszej podróży. Wskakujemy na chwilę na autostradę, by dosłownie 6 mil dalej z niej zjechać na drogę nr 16T, którą to dojeżdżamy do następnej atrakcji turystycznej w dosłownym tego słowa znaczeniu – **Bear Country USA** (Drive through Wildlife Park, 16 USD od osoby). Jest to położone na ogromnym obszarze „zoo”, gdzie dzikie zwierzęta poruszają się swobodnie, dlatego też surowo zabronione jest opuszczanie samochodu lub nawet otwieranie szyb w oknach. Po prostu jedzie się wyznaczoną trasą auto za autem i wypatruje niedźwiedzi, wilków, jeleni, pum, górskich kozic itp., przy czym „wypatruje” to nie jest odpowiednie słowo, ponieważ zwierzęta sama wychodzi na drogę i szczerzy kły lub złowrogo patrzy nam w oczy. Safari takie jest warte wydania tych 16 USD,

szczególnie dla osób, które nie miały nigdy „szczęścia” napotkania takowej zwierzyny w naturze. Całą trasę pokonać można tylko raz i nie ma możliwości powrotu, chyba że zapłacimy za kolejny bilet. Po zakończeniu przejazdu parkujemy przy visitor center i udajemy się na mały spacer do „Babyland”, gdzie fikają małe niedźwiadki i inne stwory. Miło jest popatrzeć, jak misie wdrapują się na drzewa i dosłownie dyndają na gałęziach niczym małpki. Późnym popołudniem opuszczamy Bear Country i wracamy na północ w kierunku **Rapid City**, robiąc zakupy w Safeway’u (polish sausage!!!) i zaglądamy też na kolację do chińskiej restauracji „Hunan” (1720 Mt Rushmore Rd) tylko dlatego, że według informacji w przewodniku właścicielem jest światowej sławy fotograf przyrody – Robert Wong, którego prace podziwiać można wewnątrz tegoż lokalu. Zdjęcia są niesamowite i bardzo inspirujące, jedzenie natomiast zbyt słone i szczerze mówiąc, nieróżniące się niczym nadzwyczajnym od podawanego w każdej innej chińskiej knajpie. Proponuję więc jedynie zatrzymać się tu na chwilę i pooglądać fotografie, a posiłek zjeść sobie zupełnie gdzie indziej. W promieniach zachodzącego słońca wjeżdżamy jeszcze na Wzgórze Dinozaurów (940 Skyline Drive; wjazd bezpłatny; czynne od świtu do zmierzchu) i taszczy my śpiącą już Basię w nosidełku na sam szczyt, z którego dumnie spoglądają na miasto kamienne dinozaury o realnych rozmiarach. Słońce już zaszło i na żer wyszły chmary komarów, które nie pozwalają nam się nacieszyć wieczornym spacerem po wzgórzu, zmuszając do bardzo szybkiej ewakuacji z powrotem do auta. Zjeżdżając serpentynami do miasta, jesteśmy prowadzeni przez sarenkę, która najwyraźniej woli tuptać po drodze asfaltowej niż leśnej. Jest już tak późno, że na nocleg udajemy się w mało przyjemne miejsce, a mianowicie: na stację benzynową Pilot Truck Stop (zjazd nr 55).

Dzień 6

Rano zbieramy się szybko i ruszamy w kierunku Canyon Lake (droga 44) na szybkie śniadanko, by już za chwilę stanąć przed niesamowitą drewnianą kaplicą **Chapel in the Hills** (3788 Chapel Ln, wstęp bezpłatny; czynne od 8 do zmroku), będącą wierłą repliką kaplicy z okolic Bergen w Norwegii. Miejsce to jest bardzo urokliwe, rzadko odwiedzane przez turystów, a więc w spokoju można sobie pospacerować pośród pachnących sosen i świergocących ptaków. Do zwiedzania udostępniona jest świątynia, leśna ścieżka z ustawionymi wzdłuż niej rzeźbami świętych i małe muzeum – kabiną, a wszelakie informacje na temat „wikingowego cuda” można uzyskać w małym visitor center. Dosłowny rzut beretem od Chapel in the Hills znajduje się kolejna ciekawa atrakcja – stawy hodowlane – **Cleghorn Springs State Fish Hatchery** (4725 Jackson Blvd; wjazd bezpłatny; czynne od poniedziałku do piątku 7.00 –15.30). Tu Janek łapie wiadro pełne karmy dla ryb i biegnie razem z innymi dziećmi do stawów wypełnionych po brzegi pstrągami. Dzieciaki wrzucają śmierzące kulki do wody, a tysiące ryb rzuca się na nie jak wygłodzone piranie na kroplę krwi. O 10.30 przychodzi strażnik i zaprasza nas do odwiedzenia zamkniętego pomieszczenia – pawilonu, w którym znajdują się „kotły” z mniejszymi pstrągami. Tu też można je dokarmiać, ale tylko sproszkowaną karmą, znajdującą się bezpośrednio przy zbiornikach. Po obejściu wszystkich ministawów i dokarmieniu ryb wychodzimy na zewnątrz, gdzie Mundek bawi się w łowienie, a w zasadzie łapanie „gołymi” rękami kłębiących się w wodzie pstrągów. Janek jest wniebowzięty i z trudem daje się namówić na opuszczenie tego miejsca. Ale po czekoladowej zachęcie nie ma już żadnych oporów, zważywszy również na fakt, że na-

szym następnym punktem programu jest Storybook Island (1301 Sheridan Lake Rd.; wjazd bezpłatny, czynny 9–19 codziennie tylko w sezonie letnim), czyli olbrzymi plac zabaw pełen dziecinnych niesamowitości. Pierwsza atrakcja zdobyta przez Janka to oczywiście pociąg, którym za 1 USD można się kajtnąć 2 razy. Potem – pokaz magika na całkiem wysokim poziomie (2 USD/os.), karuzele, na których razem z Basią kręć się w nieskończoność, chuśtawki, ślizgawki i tysiąc innych rzeczy, od których ciężko jest, niestety, odciągnąć Janka, by podążać dalej zgodnie z naszym planem. Zachęcony kolejną czekoladką i ciekawy następnej atrakcji opuszcza dosłownie w podskokach plac zabaw. Podjeżdżamy do Main Street, gdzie parkujemy i kierujemy się na południe po 6th Street, gdzie to znajdują się sławne na całe miasteczko graffiti. Cała alejka Art Alley (a w zasadzie budynki na tyłach 2 głównych równoległych do siebie arterii miejskich Main i St Joseph street) pokryta jest aż po dach malowidłami w stylach różnych... robimy kilka fotek i podążamy dalej z powrotem do Main street obok charakterystycznego browaru ulokowanego w dawnym budynku straży pożarnej (Firehouse Brewing Company). Kiedy już dochodzimy do długo wyczekiwanej atrakcji, a mianowicie miejskich fontann, czyli „sprinklers”, tu już naszego Młodego Gniewnego powstrzymać się nie da. Jak burza wpada pod tryskające strugi wody i piszcząc z radości zaczyna ochlapywać siebie i innych wodą. Przyjemność na pewno to wielka, zwłaszcza na temperaturę powietrza, która oscyluje w granicach 35°C. Woda jest lodowata, bo po jakichś 15 minutach nasz Młodzik trzęsie się cały z zimna, a jego usta stają się sine. Znak to, aby wydobyć go z tego miejsca jak najszybciej i zaprowadzić do auta, co okazuje się bardzo trudną walką... jakoś udaje się go w końcu odciągnąć od wody, oczywiście za pomocą przekupstwa. Miejscówka ogólnie świetnie przystosowana do spędzenia miłego popołudnia – dookoła fontann porozstawiane są stoliki z parasolami dla rodziców nadzorujących swoje pociechy. Za fontannami mały amfiteatr, w którym odbywają się koncerty i inne wydarzenia, tuż obok „eleganckie” publiczne toalety. Zbieramy się, myśląc już tylko o jak najszybszym opuszczeniu miasta i pędzimy Nemo Road (CR234) w poszukiwaniu noclegu. Zaraz po opuszczeniu Rapid City wkraczamy w krainę górską i wszechobecną soczystą zieleń drzew. Droga jest bardzo malownicza. Za wioską Nemo skręcamy na Boxelder Forks Campground (USD 16/noc, pryszniców brak) i wybieramy najlepsze miejsce (nr 13) na rozbiecie obozowiska. Twardy Mundek bierze orzeźwiającą kąpiel w strumyku, a ja z Jankiem zbieramy drewno na ognisko. Smażymy „polish sausage”, która nie ma niestety wiele wspólnego z jakąkolwiek polską kiełbasą, bo jest czymś pomiędzy zmielonym na miazę serdelkiem a dziwnie pachnącą mortadelą... cóż lepszy rydz niż nic.

Dzień 7

Po śniadaniu ruszamy dalej na północ drogą CR26 w kierunku amerykańskiej stolicy harlejowców, czyli Sturgis. Miasto poza kilkoma klimatycznymi barami nie oferuje nic nadzwyczajnego. Robimy sobie kilka pamiątkowych fotek na rozklekotanych motorach stojących przed knajpami i suniemy dalej autostradą w kierunku Spearfish. Kierowani GPS-em trafiamy w końcu po okrężnej drodze do Termesphere Gallery (1920 Christensen Drive, Spearfish; wejście bezpłatne; czynne pon.–pt. 9–17, niedz. 12–17; można fotografować), która ku naszej rozpaczce jest chwilowo zamknięta, ale kartka na drzwiach informuje nas, że za 3 godzinki ktoś tu jednak wróci i otworzy wrota galerii dla zwiedzających. Właścicielem i twórcą tej galerii jest Dick Termes – światowej sławy

artysta malujący w trójwymiarze (6-punktowa perspektywa). Nie pozostaje nam nic innego, jak pojechać do następnego punktu wycieczki, czyli **D.C. Booth Historic National Fish Hatchery** (423 Hatchery Cir, Spearfish; wstęp bezpłatny; czynne od świtu do zmierzchu). Miejscówka pierwszorzędna jeśli chodzi o miłe spędzenie czasu z dziećkami. Janek dokarmia oczywiście pstrągi, jest ich tu znacznie więcej niż wody, w której pływają... Odwiedzamy stary „Railcar”, w którym mieści się obecnie muzeum, a „pan konduktor” opowiada historię związaną z tymże wagonem i pokazuje nam wszystkie urządzenia i przedziały. W wagonie tym do roku 1920 rozwożone były ryby do zarybiania jezior, i z informacji, które podał nam przewodnik, tym wagonem przewieźli aż 72 miliardy tychże rybek. Po 2 godzinach czas wreszcie wrócić do galerii **Termesphere**. Pan artysta Dick Termes zamieszkuje tutaj w domu w kształcie kopuły, również jego galeria i większość jego dzieł jest kulista. Podziwiamy sztukę przez chwilę, po czym wyruszamy w końcu w prawdziwą dziczą, jakimi są góry Black Hills na penetrację „zielonej wyspy na prerii”, jak poetycko, acz trafnie są one określane. Obieramy **Spearfish Canyon Scenic Byway** (droga nr 14) – jedną z bardziej spektakularnych tras w Black Hills. Pierwszą „petardą” (po przejechaniu 6 mil od Spearfish) jest 20-metrowej wysokości wodospad **Bridal Veil** spływający wąską smugą do potoku Spearfish. Wodospad jest widoczny z drogi, a po wschodniej stronie jest umiejscowiony punkt widokowy dla chcących go sfotografować. Kilka mil dalej zatrzymujemy się na przydrożnym parkingu w celu uspokojenia i nakarmienia płaczącej wniebogłosy Basi, a chłopaki korzystają z okazji i pluskają się w rzece. Zaraz za miejscowością Savoy skręcamy w prawo i zatrzymujemy się na **Roughlock Falls** Picnic Area. Wiedzie stąd 1-milowy szlak, a w zasadzie wybetonowana droga, prowadząca do serii spektakularnych wodospadów. Są 3 punkty widokowe, ale najpiękniejszy znajduje się na samym dole, gdzie spędzamy najwięcej czasu. Wdrapawszy się z powrotem po stromej ścieżce na parking, postanawiamy cieszyć się dłużej tym pięknym uroczyskiem. Udajemy się niezwłocznie na pobliski kemping o wdzięcznej nazwie **Rod and Gun** (7 miejsc, woda, 16 USD/noc), gdzie rozpalamy wielkie ognisko i wcinamy na kolację kaszę jęczmienną z sosem kurkowym (mniam!). Kemping jest położony w miejscu, gdzie 24 lata temu kręcono „Tańczącego z wilkami”. Siedząc przy ognisku, patrzymy w rozgwieżdżone niebo i opowiadamy Jasiowi bajki o leśnych stworach.

Noc 8/9

I tego się niespodziewialiśmy... chrup chrup chrup... o 3 nad ranem budzi nas jakieś chrupanie... chrup... no to mamy autostopowicza na gapę... Odkrywamy, że potwór dorwał się do naszego chrupkiego pieczywa znajdującego się w jednej z szuflad... i do tego pożarł jeszcze najlepsze na świecie migdałowe batoniki... Oczywiście, jak tylko zapaliliśmy światło, chrupanie ustało, a potwór zaszył się gdzieś w zakamarkach szafek... Nie sposób było go zlokalizować. Wracamy więc do łóżek i zapadamy w czujny detektywistyczny sen.

Dzień 8

Wstajemy bardzo rano i od razu po błyskawicznym śniadaniu ruszamy z powrotem do drogi nr 14 – parkujemy w samym rogu parkingu przy „Latchstring Restaurant”, co się okazuje w zasadzie nad samym wodospadem **Little Spearfish**. Wzdłuż drogi ruszyliśmy w kierunku szlaku na dół wodospadu, ale tu spotkała nas niemiła niespodzianka napis – „Trail Closed” – jednoznacznie dawał do zrozumienia, że iść dalej nie może-

my. Czego jednak się nie robi, trzymając się zasady „jest ryzyko, jest zabawa” – ruszamy więc spokojnie dalej rozglądając się bacznie dookoła i szukając jakiegokolwiek przyczyny zamknięcia szlaku. Przed nami pojawił się wąski most, którego stalowa konstrukcja wydawała się nam całkiem solidna, mimo wszystko Mundi jako ochotnik udaje się pierwszy w celu sprawdzenia jego wytrzymałości. Po wykonaniu testu Mundeck wraca po resztę brygady i już w czwórkę, kroczek po kroczeniu przechodzimy na drugą stronę rzeki. Dla mnie takie przejścia wiążą się z dodatkowym stresem spowodowanym lękiem wysokości, a te były naprawdę pokaźne. „Z nożem na gardle”, patrząc przed siebie..., a nie na stopy, pod którymi poprzez wielkie dziury widać było tylko przepaść i kłębiącą się wodę, przedostaję się na drugą stronę... i szybko uciekam w głąb lasu. Za kilka kroków dochodzimy do miejsca widokowego u stóp wodospadu, gdzie czujemy dosłownie jego silny podmuch, a wraz z nim dość intensywną mgiełkę wody na sobie, która w słońcu tworzy tęczę – widok ten jest niesamowity. Nacieszywszy się tą „idyllą”, ruszyliśmy dalej ścieżką po szlaku i udało nam się przejść w zasadzie kilkaset metrów, gdy drogę zagroził nam szlaban z informacją o urwanym moście. Czyli to była główna przyczyna zamknięcia całego szlaku. Zawracamy i znowu z sercem w gardle pokonujemy stalowy most prowadzący do parkingu. Cieszymy się, że nie zniechęciliśmy się i dotarliśmy mimo zakazów do stóp wodospadu. Dalej 14. i 85. suniemy do **Lead** – miasteczka słynącego z największych, najgłębszych (ponad 2500 metrów!) i najbardziej produktywnych kopalni złota na północnej półkuli. Według przewodnika w ciągu całego okresu działalności tutejszych kopalń wydobyto tu 40 milionów uncji (1,25 mln kg) tego kruszcu. Miasteczko położone jest na stromych wzgórzach, więc z wielkim wysiłkiem, forsując do granic wytrzymałości nasz wehikuł, pokonujemy kolejne wzniesienia, dodatkowo zmagając się z utrudnieniami związanymi z robotami drogowymi pokrywającymi dosłownie całe „downtown”. (Miasto zapada się z powodu licznych pokopalnianych tuneli znajdujących się pod jego centrum). Generalnie poza szybkim wyskokiem do Visitor Center (160 Main St) i „looknięciem” na ziejającą z ziemi dziurę pokopalnianą („open cut”) nie zatrzymujemy się na dłużej w miasteczku i zjeżdżamy do Deadwood. Parkujemy przed Visitor Center (767 Main Street, parking 0,25 USD za pół godziny) i udajemy się na podbijanie dzikiego zachodu. Pierwsze kroki kierujemy do Saloon nr 10, gdzie co 2 godziny odbywa się inscenizowana strzelanina – legendarny zamach i morderstwo Wild Billa, bacznie obserwowane przez dziesiątki turystów. Basia nie wytrzymuje jednak tego napięcia i zaczyna nerwowo płakać niezadowolona z przebiegu sprawy, co powoduje, że muszę się z nią wycofać w głąb lokalu. Córcia w ciągu kilku chwil zmienia przeraźliwy płacz w promienny uśmiech, którym zdobywa serce stałego bywalca, sączącego drinka przy barze. Z powodu braku innego towarzystwa lokalny żulek staje się naszym najlepszym „fumflem” i z dumą przyznaje, że jego matka była Polką, ale niestety nie nauczyła go mówić po polsku. Jedyne co przechodzi mu przez zachrypnięte gardło to „na sdrofie” i „jak se mas?”... i na tym punkcie kończymy w zasadzie konwersację z panem, bo z tłumu wyłania się Mundeck z Jasiem. Opuszczamy świątynię rozpusty i udajemy się w kierunku hotelu Hampton Inn, przed którym ma odbyć się kolejne przedstawienie – tym razem o innej legendzie dzikiego zachodu – Calamity Jane, grane przez lokalnych aktorów upodabniających się do rzeźmieszków z czasów gorączki złota. Miejscówka na ten spektakl okazuje się mierna, gra aktorów też jakaś taka mialka i nudna. Troszkę zniesmaczeni wracamy do centrum De-

adwood i wałęsamy się, zaglądając przy okazji do kilku sklepików (i na obiecane – za dobre zachowanie – lody dla Jasia). W Lucky Nugget Gambling Hall (622 Main Street), a w zasadzie dokładnie w piwnicy pod nim mieści się makieta kolejowa Deadwood (bezpłatnie) – warto zajrzeć choćby na chwilę i docenić starania jej twórcy. Janka nie można dosłownie oderwać od szyby wystawowej – przylepił się do niej z wywiezionym językiem chłonie każdy ruch lokomotywy ciągnącej ciężkie wagony towarowe oraz każdy misternie wykonany szczegół, zatapiając się myślami w świecie makieety kolejowej. Po opuszczeniu Deadwood jedziemy 385. na południowy wschód, mijając co chwilę bardzo komercyjne kempingi, pensjonaty, stragany z lokalnym badziewiem i inne pułapki turystyczne, które jednoznacznie wskazują na przybliżanie się do najbardziej rozpoznawalnej w Południowej Dakocie atrakcji – **Mount Rushmore**, do której każdy odwiedzający ten stan człowiek zajeżdżać po prostu „musi”. Dzień miał się już ku końcowi, więc zaczęliśmy rozglądać się za noclegiem. Zajeżdżamy do Sheridan Lake Recreation Area i wypełniony po brzegi kemping (24 USD/noc, pryszniców brak) i po przejechaniu labiryntu „uliczek”, zniesmaczeni panującym tu klimatem opuszczamy czym prędzej i cofamy się nieco na północ w kierunku rezerwuaru **Pactola** (droga 385 i 258). Tutejszy kemping Pactola jest wypełniony po brzegi, więc jedyną opcją jest odbicie w szutrową drożkę nr 253 w kierunku **Bear Gulch Campground**. Tocząc się 6 mil, rozglądamy się na boki w celu znalezienia ewentualnego miejsca na nocleg. Kiedy już docieramy na miejsce, oczom naszym ukazuje się straszne pobojowisko, a raczej wysypisko – sterty worków wokół przepełnionego śmietnika ze śmierdzącymi odpadkami, a nad nimi unoszące się stado much i do tego jeszcze odrażający odór... Widocznie służby leśne zapomniały o tym miejscu, a może to tylko nieodpowiedzialni użytkownicy kempingu nie wywieźli ze sobą śmieci, bo gdyby nie to, to zatoczka godna polecenia. Niestety zajęte wszystkie 6 miejsc – ktoś z „mieszkańców” informuje nas, że cały kemping jest zarezerwowany z powodu jakiegoś ichniego „family reunion”. Cofamy się więc do wcześniej upatrzonego miejsca około 1 mili od kempingu i tu robimy obóz. Miejsce wspaniałe, na polance otoczonej wysokimi sosnami jest o wiele ciekawszą alternatywą niż wszystkie inne opcje dzisiejszych poszukiwań. Janek skacze z tatą pomoczyć nogi w potoku, a ja z Basią zaczynamy śpiewać kołysanki.

Zupełnie wypadł nam z głowy „nocny nalot” gryzoniowego intruza, dopiero teraz gdy zapadł zmrok, koszmarna myśl o potworze powróciła. Jutro musimy poszukać jakiegoś sklepu z pułapkami na myszy.

Dzień 9

Po wydostaniu się z głuszy dobijamy do drogi nr 385 i po krótkim postoju na parkingu przed winiarnią **Prairie Berry** (23837 U.S. 385 Hill City), która okazuje się niestety jeszcze zamknięta, ruszamy do **Hill City**, słynącego z kolei parowej **The Train 1880**, która przewozi już teraz tylko turystów. Po zaparkowaniu biegiem ruszamy na stację kolejową (222 Railroad Ave), bo według naszych informacji za chwilę odjeżdża pociąg. Lokomotywa właśnie „nabierała wody” i za minut kilka pan kolejarz daje znak do odjazdu. Z wielkim gwizdem i w tumanach czarnej chmury lokomotywa wytacza się w kierunku Keystone. A my ruszamy do centrum miasteczka, kierując kroki do restauracji Bumpin Buffalo Bar & Grill (245 Main Street), gdzie według naszego przewodnika model pociągu nieustannie krąży wokół jedzących hot dogi klientów. Jak się okazuje, pociąg rzeczywiście kiedyś jeździł, ale ponad 10 lat temu się zepsuł i nikt od tamtej pory nie wziął

się za naprawienie... Cóż, najbardziej zasmuciło to naszego młodego fascynata kolei..., ale na pocieszenie i otarcie łez zabieramy go na obiecane lody, na które zasłużył swoim „prawie” wzorowym zachowaniem (Bar Dairy Queen). Po krótkim spacerze wsiadamy do swojej ukochanej bryki i wracamy na północ miasteczka do miejsca, gdzie odbywał się Festiwal Drwali. Po drodze wskazujemy tylko do sklepu ogrodniczego po pułapki na myszy!!! Bo nasz sublokator znowu poskubywał chrupki chlebek w nocy. Festiwal odbywał się w zasadzie standardowo jak na tę branżę – drwale konkurowali na czas w ścinaniu ustawionych pionowo kłód, ludzie bili brawo, dzieci zjadały się śmieciowym fastfoodowym żarciem, komentator gadał przez megafon, podając czas ścięcia kolejnej kłody, a my włączyliśmy się bez celu – atmosfera iście odpustowa. Jediną atrakcją dla nas, a w zasadzie dla Janka, okazała się konkurencja dla wszystkich dzieci wyszukiwania „quoterów” zakopanych w trocinach. Dzieciaki, tarzając się w drzewnych wiórach, nurkowały w poszukiwaniu monet. Janek z dumą przyniósł nam jeden pieniążek i po tej konkurencji zwijamy się z festiwalu, słysząc w oddali ruszający mozolnie parowóz. Postanawiamy go gonić. Wskakujemy do auta i ruszamy pędem drogą nr CR C323 (a w zasadzie dróżką), która co chwilę przecina tory kolejowe, dając możliwości wykazania się aparatem fotograficznym w malowniczym plenerze z ciuchcią w akcji w tle. Pogoń okazuje się jedną z ciekawszych atrakcji naszej wycieczki. Maszynista nieustannie do nas trąbi, turyści machają, Janek się cieszy przyklepiony do szyby samochodu i również macha do turystów w pociągu. Trasa jest niezwykle widowiska i w ogóle nieuczyszczana, więc mamy pociąg w stu procentach dla siebie... Jak tylko dotarliśmy do **Keystone**, pobiegliśmy jeszcze na peron, by ostatni raz pomachać maszyniście już tym razem z dziesiątką innych gapiów. Przejazd kolejką kosztuje 24 USD w jedną stronę i odbywa się w sezonie letnim 5 razy dziennie (7.30, 10.00, 13.15, 15.45, 18.45 wyjazd z Hill City). Miasteczko Keystone to malutka przyjazna miejscinka – zaplecze dla „Głów Prezydentów” – nastawiona oczywiście na turystów i ich portfele. Ponieważ nadciąga wielka burza, uciekamy – zresztą w ostatniej chwili – do auta, gdzie w spokoju obserwujemy, jak w przeciagu dosłownie kilku minut ulice zamieniają się w rwące potoki, a na szybko lecą nam z wielkim łomotem kule gradowe. W ciągu następnych kilku minut stan wody w strumieniu podnosi się, aż wylewa się poza koryto. Nie czekając na poprawę pogody, jedziemy na skraj miasteczka do kolejnej atrakcji – Black Hills Glass Blowers, oferującej bezpłatne pokazy wydmuchiwania szkła (909 Old Hill City Rd, czynne 9–17, niedz. 11–17; zakaz fotografowania). Mistrz wydmuchuła właśnie łabędzie i do ich środka wlewał niebieski płyn, potem to „zalepiając”. Dla lubiących takie pierdutki to nie lada atrakcja... (w sklepie pełno jest wszelakiego rodzaju figurek, dzbanuszków, kwiatuszków itp). Drogą 244 wspinamy się do **Mount Rushmore National Monument** (13000 Hwy 244; czynne 8–22, wstęp bezpłatny, ale parking 11 USD). Bilet na parkowanie jest ważny do końca roku kalendarzowego, ale tylko na samochód, którym wjeżdżamy. Przed opuszczeniem pojazdu nastawiamy myszołapki. Oby się złapała!!! Zwiedzanie zaczynamy, omijając oblegane przez tłumy główne wejście, i kierujemy się na ścieżkę (Nature Trail) prowadzącą do Sculptor’s Studio, które akurat za moment zamykali, więc szybkim przelotem przechodzimy przez jego wnętrze, nie wczytując się dogłębnie w tablice informacyjne. Potem dźwigając wózek (a w nim książniczkę Basię oczywiście) wchodzimy mozolnie po **421** schodach, by dotrzeć w końcu do najbardziej spektakularnego widoku na Prezydenckie Głowy (do którego łatwiej dotarlibyśmy, tocząc wózek po chodniku od strony głównego

wejścia i amfiteatru!!!). Zaglądamy jeszcze na chwilę do Visitor Center i kina, gdzie odbywają się projekcje filmu dokumentalnego o budowie i historii tego pomnika. Ja z wymęczoną Basią zmykam czym prędzej do auta, by położyć ją spać i oczywiście sprawdzić, czy ofiara złapała się w nasze siatki. Niestety, jednak pułapka pozostawała w niezmienionym położeniu od 3 godzin. (Jak się okazało po czasie... myszowała się wyprawa i już nigdy jej nie słyszeliśmy). Z ciekawostek, jakie znaleźliśmy w przewodniku o trwającym 14 lat (1927–1941) „projekcie rzeźbiarskim”, to to, że brało w nim udział 400 robotników, którzy stworzyli prostymi metodami szerokie na 56 metrów i wysokie na 18 metrów dzieło, przy którym nikt o dziwo nie zginął..., co na tamte czasy było wręcz niewiarygodne, biorąc pod uwagę ekstremalnie trudne warunki. „Rzeźbili” oni w twardej granicie za pomocą dynamitu i młotów pneumatycznych, zawieszani na prymitywnych siedziskach przymocowanych linami do skały. Smutną częścią tej historii jest to, że góra ta należała do świętych miejsc plemienia Dakotów i została im, jak wiele innych terenów, bezprawnie odebrana m. in. w celu „przyciągnięcia jak największej liczby turystów” do stanu. Nie dość, że zabrali Indianom ich własność, to jeszcze uczynili z niej symbol amerykańskiej demokracji i wolności. Paradoksalne, ale prawdziwe. Codziennie o godz. 21.00 odbywa się w amfiteatrze ceremonia odśpiewania hymnu amerykańskiego, projekcja patriotycznego (czytaj propagandowego) filmu i iluminacja prezydenckich głów, na które to widowisko walą tłumnie turyści. Tata i Janek nie są gorsi i wracają dopiero o 22.00, kiedy my już z Basią smacznie śpimy. Ponieważ nie ma już czasu na znalezienie jakiegoś kempingu, wyjeżdżamy drogą 244 na zachód i zatrzymujemy się po prawej stronie drogi w zatoczce zaraz za tablicą informującą, że wyjeżdżamy do **Black Hills National Forest**. Razem z nami nocują tam też skałkowicze... na sąsiedniej skale.

Dzień 10

Rano decydujemy, że wstąpimy jeszcze na chwilę do **Mount Rushmore NM** na szybką fotkę w świetle porannego słońca. Po drodze ujrzelśmy przy jezdni pasące się stado kóz śnieżnych (Mountain Goats) sztuk 10. Oczywiście zatrzymaliśmy wóz i ruszyliśmy pędem na polowanie z aparatem. Najśłodsze były kozłatka, których uszy ledwo wystawały z wysokich traw. Za chwilę już na poboczu stało 15 innych aut i stromowane kozy powędrowały sobie w głąb lasu. Zbieramy się więc i my i ze wczorajszym biletem parkingowym wjeżdżamy do Monumentu. Po krótkim spacerze po promenadzie i pstryknięciu kilku szybkich „oklepanych” fotek, jedziemy już zakręconą, widokową drogą nr 16, czyli **Iron Mountain Highway** w kierunku **Custer State Park**. Niesamowicie spektakularna trasa prowadzi serpentynami, wijącymi się wśród soczystych traw i pachnących iglaków, oraz przez ciasne, jednokierunkowe zabytkowe **tunele** wydrążone w skałach, w które na szczęście się mieścimy. Niezwykłym przejawem amerykańskiej megalomanii jest to, że są one tak perfekcyjnie zaprojektowane, że przez wydrążony tunel zawsze widać „prezydentów” w tle. Wjeżdżamy w końcu do Parku (15 USD/auto – bilet ważny 7 dni) i pierwszy postój robimy sobie przy historycznym Game Lodge, gdzie wskazujemy na chwilę zwiedzić lobby „schroniska” i skorzystać z cywilizowanej łazienki. W barze siedzi grupka powściągliwych Japończyków oglądająca finałowy mecz mistrzostw świata w piłce nożnej (Niemcy – Argentyna), nie wykazując przy tym żadnych emocji (!!). Cóż, z dziećmi i tak nie mamy szansy pokibicować, więc jedziemy bezpośrednio do sąsiedniego Visitor Center, w którym akurat rozpoczyna się pogadanka z leśnikiem o bizonach. Po zaopatrzeniu się w kilka niezbędnych (bezpłatnych) map tere-

nu, wracamy na tył Game Lodge do wyjścia na szlak **Lover's Leap Trail** (pętla 3,5 mili). Tablica z bardzo ważną informacją ostrzega, że końcowa część szlaku w dolinie potoku gęsto porośnięta jest poison ivy, czyli jadowitym bluszczem, który powoduje groźne poparzenia skóry, niejednokrotnie kończące się hospitalizacją. Nie zastanawiając się długo, cofamy się do auta i pomimo straszego upału zmieniamy krótkie spodenki na długie portki. Teraz już w bezpiecznym umundurowaniu ruszamy stromym podejściem pod górę. Podejście jest naprawdę wyczerpujące, ale po wdrapaniu się na pasmo idziemy już w zasadzie po płaskim terenie aż do punktu widokowego. Generalnie na szlaku poza jedną rodzinną grupką (w krótkich spodenkach..., więc chyba nie przeczytali informacji o poison ivy) nie spotykamy nikogo. Po zdobyciu „szczytu” łagodnie schodzimy w dół do doliny, gdzie to właśnie występują dość gęsto jadowite bluszcze porastające brzegi potoku. Miejscami musimy nawet przedzierać się przez gęstwiny z Jaśkiem na rękach, bo obawiamy się o to, by się nie poparzył trującymi roślinami. Basia ulokowana wygodnie w plecaku-nosidełku spogląda w spokoju na otaczającą przyrodę. Szlak dochodzi w końcu do „16.” i dalej już (około 1 mili) musimy iść wzdłuż drogi. Wyczerpani dosłownie padamy... jest już niestety za późno, by wziąć udział w wieczornym „wildlife loop caravan”, prowadzonym przez wolontariuszy rangerów (bezpłatna wycieczka). Wycieczka ta polega na jechaniu własnym autem za pilotem, który zatrzymuje się w miejscach, gdzie można obserwować dziko pasące się bizona (przy okazji wolontariusz opowiada ciekawe historie). Trzeba dodać, że bizona poruszają się po parku swobodnie, a ich liczba szacowana jest na około 1300 sztuk. W poszukiwaniu noclegu, a zarazem wiedzeni chęcią spotkania jakieś dzikiej zwierzyny, zjeżdżamy z głównej drogi parkowej (Wildlife Loop Road) na zachód w szutrową nr 8 (Barnes Canyon Road). Mijamy miejsca, gdzie bizona wyraźnie zaznaczyły swoją obecność, ale żadnego osobnika nie udaje nam się spotkać (widzimy tylko 3 sarny). Mimo to droga w dzicz, którą wybraliśmy, jest malownicza i na pewno godna eksploracji. Przejeżdżamy obok Bagder Hole (dom należący niegdyś do poety Charlesa Badgera Clarka) i zatrzymujemy się przy Legion Lake na parkingu, skąd mamy idealny widok na rybaków (i rybaczki) moczących kije w jezioru. Korzystając z tego, że za rogiem znajduje się kemping (Legion Lake Campground 21 USD/noc, niestety wypełniony po brzegi), bierzemy gorący prysznic (bezpłatnie) i już w zupełnych ciemnościach przedzieramy się przez niezliczone leśne zakręty (drogą 16A) z powrotem do Game Lodge, gdzie parkujemy i zapadamy w zasłużony sen.

Dzień 11

O przebudzeniu o poranku oczom naszym ukazuje się truchtający obok naszego auta bizon... Tak po prostu sobie idzie jakby nigdy nic..., a wczoraj cały dzień spędziliśmy na wypatrywaniu i nie wypatrzyliśmy żadnego okazu. Dziś sam nas znalazł i majestatycznie w całej okazałości przeszedł obok nas, niemalże ocierając się o maskę toyoty. Pełni nadziei na zobaczenie całego stada jedziemy szybko pod **Peter Norbeck Visitor Center**, skąd rusza o godzinie 9.00 „caravan” (jak się okazuje jesteśmy jedynymi chętnymi). Prowadzeni przez pana Hawarda jedziemy wolniutko do pierwszego punktu „widokowego”, znajdującego się tuż na początku Wildlife Loop Road, a dokładnie na polanie przy „dump station”. Oczom naszym jawią się dziesiątki bizonów i bizoników spacerujących swobodnie pomiędzy autami, domkami kempingowymi wolontariuszy, część z nich wyleguje się wręcz perfidnie przed czymś namiotem???!!!! Bizona mają to do siebie, że robią co chcą i chodzą, gdzie im się podoba... W końcu są u sie-

bie i mają do tego prawo. Ale trzeba uważać, bo pomimo że nie są to z reguły zwierzęta agresywne, dźwięk klaksonu na przykład może je wyprowadzić z równowagi, a następstwem tego może być staranowanie auta. Wystarczy sobie obejrzeć na youtube, jak wygląda spotkanie z bizonem w parku stanowym Custer (lub np. w Yellowstone NP) i od razu odechce się wygłupów. Ponieważ bizony zmierzają w naszym kierunku, odjeżdżamy dalej do następnego punktu widokowego...na bizony. Tym razem inne stado, może około setki, pasie się w dystansie i spokojnie możemy wyjść z auta, żeby na nie popatrzeć. Następnym punktem jest „preria” i kilka historii wolontariusza o kręconych tu filmach (np. „National Treasure” z Nicolasem Cage’em) oraz miasteczko piesków preriowych. Odwiedzamy też miejsce, gdzie odbywa się coroczny „Roundup”, czyli spęd bizonów w celu ich selekcji i sprzedaży. Kowboje na koniach i w pikapach zapędzają tu wszystkie bizony, by je zbadać, zaszczepić i w końcu wybrać około 300 sztuk na licytację, a zebrane pieniądze zasilają budżet parku stanowego. Co roku we wrześniu można bezpłatnie jako obserwator wziąć udział w tym widowisku. Ostatnim postojem jest „ośli przystanek” i polega na wyjęciu worka marchewek z lodówki i karmieniu tychże osłów – kiedyś udomowionych (dlatego wolno je karmić, bo to nie dzikie zwierzęta), ale dziś na nowo zdziczałych. Osiółki, gdy tylko spostrzegą potencjalnego sponsora, od razu przybiegają i natarczywie przeczesują węchem delikwenta od stóp do głów. W pewnym momencie zostajemy otoczeni przez całe stado „burros” i jako że marchew się już skończyła, musimy się ewakuować ile sił w nogach. Po prawie 3 wspólnych godzinach żegnamy się z naszym „prywatnym” przewodnikiem Howardem i kontynuujemy dalej Wildlife Loop Road, łącząc się z drogą 87 i znowu lądujemy nad Legion Lake. Po krótkiej naradzie decydujemy się jechać 14-milową **Needle Highway**, która prowadzi przez tunele znacznie węższe i niższe od tych, które udało nam się pokonać na Iron Mountain Highway. Według wymiarów, jakie podaje przewodnik, powinniśmy zmieścić się na styk – przypomnę, że poruszamy się kamperem i nasze gabaryty są dwa razy większe niż samochodu osobowego. Pan Howard powiedział nam, że wczoraj jakiś RV utknął w jednym z tuneli i stworzył przez to gigantyczne korki... Cóż, będziemy monitorować sytuację na bieżąco i w razie niebezpieczeństwa zawrócimy... Taki plan właśnie przyjmujemy. **Needle Highway** jest najbardziej spektakularną drogą w Black Hills i smutno byłoby się nią nie „kajtnąć”. Mijamy więc **Legion Lake** i wskakujemy na 87. w kierunku północnym. Po przejechaniu 3 mil odbijamy na chwilę w Playhouse Road (nr 753) i zajeżdżamy na przeczodowny **Center Lake Campground** – miejsce idealne na spędzenie stacjonarnych wakacji. (Oczywiście wypełniony po brzegi turystami). Na skrzyżowaniu stoi sobie mały leśny teatrzyk – **Black Hills Playhouse** – który jest najdłużej działającym profesjonalnym teatrem letnim w USA (od 1946 roku). Dzięki wolontariuszom i licznym sponsorom został odrestaurowany kilka lat temu (za kwotę ponad 500 000 USD) i od czerwca do połowy sierpnia grane są tu sztuki teatralne – dramaty, musicale, komedie – dla każdego coś dobrego (jutro np. wystawiana jest sztuka Monty Pythona). Wracamy do głównej drogi i dalej już serpentynami pniemy się w górę drogą nr 87. Pierwszy tunel okazał się błahostką, drugi natomiast wywołał w nas lekką panikę. Chcąc nie chcąc stajemy się widowiskiem na skalę lokalną. Ja idąc tyłem przez tunel, „prowadzę” Mundka – kierowcę, starannie oglądając co chwilę wszystkie rogi naszego kanciatego auta, czy przypadkiem nie zahażają o wystające zaokrąglone u sufitu skały tunelu. Na koniec dostajemy gromkie bra-

wa. Nadmienić należy, że wymiary na znakach informacyjnych (przed wjazdami do tuneli) są podane troszeczkę „na wyrost” i nasz strach był tu zupełnie niepotrzebny, aczkolwiek uzasadniony. Parkujemy na chwilę i spacerujemy po okolicy, spoglądając na przeciskające się przez gardziel auta. Jako że dzień się nam już kończy, finiszujemy nad **Sylvan Lake** w celu „zdobycia” jakiegoś sympatycznego kempingu, co oczywiście okazuje się niemożliwe z powodu popularności tej okolicy. Objeżdżamy pętlę kempingu dookoła i co prawda znajdujemy jedno wolne miejsce, ale po próbie zamówienia go telefonicznie okazuje się, że już ktoś nas wyprzedził. System, jaki obowiązuje w Custer State Park, polega na tym, że telefonicznie (specjalne aparaty telefoniczne umieszczone na budynku łazienki) łączymy się z operatorem – rangerem, który informuje nas, czy na danym kempingu są jakieś dostępne miejsca i jeśli takowe się znajdzie, to musimy mu podać numer karty kredytowej jako jedyną możliwość płatności. W naszym przypadku jednak zostaje nam znalezienie jakiegoś noclegu na „dziko”, co też czynimy. Miejscówkę znajdujemy przefantastyczną – niedaleko wyjścia na szlak **Little Devils Tower**. Skracamy w połą dróżkę z 87. i zaszywamy się na polance otoczonej wysokimi świerkami. Ogniska co prawda zrobić tu nie możemy, raczymy się więc kielbaską ugotowaną w gorącej wodzie, zagryzając pajdą chleba. O zmroku podchodzą do nas 4 pigowate sarenki, dziwiąc się zapewne, co na ich „podwórku” robi taki dziwny pojazd.

Dzień 12

Rano po szybkim śniadaniu ruszamy na szlak – **Little Devils Tower** (3,5 mili w obie strony). Pierwsza część szlaku jest raczej łagodna i wiedzie przez kwieciste łąki, następnie zaczyna się wspinąć, by ostatecznie w części końcowej dojść do etapu prawdziwej wspinaczki po wysokich, stromych skałach. Wzajemnie się podtrzymując i wciągając, docieramy w końcu na sam szczyt, z którego rozpościera się fantastyczna – zapierająca dech w piersiach – panorama (widać m.in. Harney Peak – najwyższy szczyt w Południowej Dakocie). Zejście ze szczytu okazuje się znacznie trudniejsze niż wejście i zajmuje nam dużo więcej czasu. Schodząc, spotykamy dopiero ludzi, którzy nadziwić się nie mogą, jak taki mały brzdąc mógł pokonać taki trudny szlak o własnych nogach (i rękach). Janek naprawdę wykonał kawał dobrej roboty. Każdy, kto przeszedł ten szlak, rację przyznać nam musi. Trochę wymęczeni decydujemy się na jeszcze jeden spacer tym razem dookoła **Sylvan Lake** (1 mila pętla). Mundi, nie czując własnych ramion po wcześniejszym szlaku, decyduje się usadzić tym razem Basię w wózek i wyruszamy na zatłoczony deptak wokół jeziora. Po wodzie pływają kajaki i rowery wodne, czwórka nastolatków upchana na małym zapadniętym w połowie pontonie (swoją drogą nie mam pojęcia, jak oni się zmieścili), ktoś skacze ze skały na główkę, ktoś łowi ryby – ogólnie mówiąc: istny rekreacyjny „plac zabaw”. Idziemy wzdłuż brzegu chodniczkiem, który ku naszemu nieszczęściu kończy się wraz z momentem dotarcia do tamy. Tego nie przewidzieliśmy. Przechodzimy przez wąską gardziel, taszcząc złożony wózek na plecach i schodkami dochodzimy do rozgałęzienia z innym szlakiem, my natomiast zupełnie nieprzygotowani do panujących tu warunków pakujemy z powrotem Basię do wózka i co chwila wdrapując się na skałki taszczymy go do góry, będąc pośmiewiskiem wszystkich nas mijających ludzi. W końcu dochodzimy do miejsca, gdzie wózek toczony być już może i dalszą część szlaku pokonujemy już z przyjemnością po chodniczku. Jezioro jest bardzo widowiskowe, a otaczające go skałki w kształcie bobków dodają mu niesamowitego klimatu. W związku z tym, że ulubionym zajęciem Jan-

ka stało się w tym właśnie momencie grzebanie patykiem w piasku na plaży, rozdzielamy się i część damska udaje się do samochodu na drzemkę. Część męska rodziny grzebie więc razem w piachu przez najbliższą godzinę i rozwijając tę pasję zaczyna nawet budować zamek wyciągniętą z plecaka koparką. Chłopaki nawet próbują skorzystać z kąpielii wodnej, ale po zanurzeniu stóp szybko zmieniają plany. Woda górskiego jeziora jest lodowata i z podziwem patrzą tylko na pływających śmiałków-twardzieli, wracając posępnie do grzebania w piasku. Po skończonej zabawie chłopaków i zarazem drzemce Basi podjeżdżamy z powrotem na Sylvan Lake Campground, by skorzystać z zasłużonego gorącego prysznica. Zaraz po nim wyruszamy w kierunku miasteczka Custer, obierając drogę nr 87 (w kierunku północnym) biegnącą przez tunel (ostatni potrzebny do naszej kolekcji tuneli z Black Hills). Droga okazuje się niezwykle widowiskowa, pełna serpentynowych zakrętów. Skracamy w 385., biegnącą na południe i jadąc nią rzucamy okiem na **Crazy Horse Memorial** (jednokierunkowy wjazd jest tak skonstruowany, że nie można się wycofać lub zakręcić) (bilet kosztuje 28 USD za auto lub 11 USD za osobę). W Custer tankujemy i drogą nr 16 odbijamy na zachód w celu znalezienia noclegu, który planujemy w Comanche Park Campground. Ale rezygnujemy z tego pomysłu, bo jest już bardzo późno i nie zamierzamy już rozpalać ogniska, a za kilkugodzinny parking na kempingu płacić 14 USD nam się nie uśmiecha. Znajdujemy jakąś boczną drogę leśną milę czy dwie na zachód i tam zaczynamy chrapać.

Dzień 13

Budzi nas dźwięk uruchamiania koparki, obok której zaparkowaliśmy wczoraj w nocy (myśleliśmy, że jest to stara, porzucona koparka, która czeka tylko na powolną śmierć poprzez zardzewienie i zarośnięcie chwastem). Pan operator podjechał tu swoim pikapem, wysiadł, przemknął poprzez wysokie trawy do kabiny, następnie uruchomił silnik, podjechał koparką do pikapa i zaparkował obok nas (w tym momencie wydawało nam się przez chwilę, że pan chce nas zepchnąć tą koparką z drogi, być może za naruszenie granic czyjejs własności ziemskiej!). Następnie za pomocą jakiś magicznych czynności podpiął auto do koparki i odjechał w siną dal (z tym podpiętym pikapem oczywiście), machając nam przyjaźnie na pożegnanie. Jasio nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Zjadamy szybko poranną owsiankę i ruszamy w kierunku **Jewel Cave National Monument** (Scenic Tour 12 USD/osoba dorosła, dzieci za darmo). Jeszcze przed celem droga asfaltowa kończy się i brniemy po jakichś wykopaliskach. Doświadczamy koszmaru robót drogowych w pełnej okazałości. Ruch jest wahadłowy, a więc musimy czekać w nieskończoność, aż kolumna samochodów z przeciwnego kierunku skończy swój przejazd. Spędzamy na tej drodze chyba z godzinę. Docieramy na parking Jewel Cave chwilę przed 9.00 i ku naszemu zdziwieniu poza naszym autem są tylko 4 inne pojazdy. Delegacja mama plus Janek udaje się na penetrację jaskini, a Tato z Basią zostają w RV-iku. Przewodniczka po jaskini okazuje się, mówiąc krótko, beznadziejna. Nie można spokojnie zrobić zdjęcia, bo się tej pani bardzo śpieszyło. Robiła postoje w najmniej ciekawych miejscach, gdzie słuchaliśmy jej wyuczonych opowiadań, które bełkotała, trajkotała lub, jak kto woli, recytowała jak nakręcona – nie było ciekawych widoków. Jaskinia i jej formy nie były powalające na kolana i generalnie można było sobie tę wycieczkę darować. Przemieszczamy się do punktu Historic Area, gdzie znajduje się historyczne oryginalne wejście do jaskini – w zasadzie miejsce, gdzie Jewel Cave została odkryta ponad sto lat temu. Piknikujemy trochę przy stoliku, wsuwając śledzia z puszki i ruszamy dalej, wło-

kąc się remontowaną 16. znowu w kierunku **Custer** (na wschód). Przed miasteczkiem zatrzymujemy się na chwilę w **Four Mile Old West Town** (bilet 5 USD/os.) – komercyjnym miniskansenie pełnym starych gratów na sprzedaż, ale Janek nie daje się namówić na wejście do środka, skrzeczając tylko o obiecanej niespodziance w postaci lodów. I oczywiście, jak tylko dojeżdżamy do Custer, wrzeszczy już jak opętany. Nie pozostaje nam więc nic innego jak dotrzymanie obietnicy i wizyta w lodziarni Dairy Queen. Pomimo że kupujemy średnie porcje, ledwo udaje nam się je zjeść, za to Janek nie poddał się i z honorem wpałaszował wszystko do końca, bez mrugnięcia okiem. Spacerujemy sobie z tymi lodami po miasteczku, zaglądając do starej siedziby sądu – Court House, na tyłach którego znajdują się powozy i karety oraz urządzenia rolnicze z XIX wieku – taki miniskansen. Przesłodzeni lodami wracamy z niesmakiem do samochodu i ruszamy dalej na wschód 16., zatrzymując się w **Gordon Stockage Historic Fort** (wjazd bezpłatny). Mały fort, ulokowany na zachodnim brzegu jeziora Stockage, składa się z 3 oryginalnych kabin i kilku innych wystylizowanych na ich wzór wiernych kopii, a wszystko otoczone jest płotem z drewnianych bali. Zajeżdżamy szutrową drogą na drugą stronę jeziora, gdzie kilku rybaków moczy kije w nadziei na wyłowienie pstrąga i musimy zawracać, ponieważ droga niespodziewanie się kończy. Jako że do wieczora jeszcze daleko, nie zostajemy tu na dłużej, ale notujemy w pamięci, że miejsce to idealnie nadaje się na nocleg. Jadąc dalej na wschód zaglądamy na chwilę nad **Bismark Lake** (nienależące już do Custer State Park, obowiązuje tu dodatkowa opłata za wjazd – tzw. day use) i przy **Legion Lake** skręcamy na południe w 87. w kierunku **Wind Cave National Park**. Zaraz za zakrętem znajduje się wjazd na **Mount Coolidge** (1836 m n.p.m.) – górę, na której umiejscowione są liczne anteny telewizyjne i radiowe, a także znakomity punkt obserwacyjny dający panoramiczny widok 360 stopni. Wjazd jest wąską, szutrową drogą długości 1 mili, troszkę stromo, stanowiąc dla naszej toyoty kolejne wyzwanie. Miejsce to nie jest w zasadzie w ogóle uczęszczane przez turystów, nie ma nawet o nim wzmianki w przewodniku. Jadąc dalej na południe, mijamy kilka miasteczek piesków preriowych, bynajmniej nie mających nic wspólnego z psami, ale raczej z wiewiórkami, a nazwano je tak prawdopodobnie ze względu na odgłosy, jakie wydają w momencie zagrożenia, by się ostrzegać. Przypomina to szczekanie psa i stąd ta nazwa. Miasteczka te charakteryzują się niezliczoną liczbą nor – kopczyków połączonych ze sobą siecią tuneli. Pieski wystawiają z nich łebki i jak tylko podejdziesz się bliżej, zaczynają szczekać, ostrzegając o zbliżającym się zagrożeniu, po czym szybko chowają się w swoich norach. Podobno liczba piesków w miasteczku może dochodzić do około 25 000, a pożywienie, jakie zjadają, równa się ilości pożywienia zjedzonego przez 100 krów lub 800 owiec. Te małe szkodniki dają się łatwo oswoić i prowadzić na smyczy jak prawdziwego psa czy kota, tylko w sumie po co? Po drodze mijamy jeszcze 10 dzikich indyków, spacerujących sobie wzdłuż pobocza oraz stado antylop widłorogich, a także 2 wielkie bizony. Dobjamy do drogi nr 89 i wjeżdżamy do Parku Narodowego **Wind Cave** (bezpłatny), kierując się od razu na kemping **Elk Mountain Campground** (18 USD/noc, brak pryszniców, bezpłatne drewno na ognisko). Kemping jest całkiem przyjemny, czysty i prawie pełny. Rozpalamy ognisko i pieczemy zakupione wcześniej grube serdele nazwane „Turkey Polska Kielbasa”. W związku z jej serdelkowatością wielką trudność sprawia nam utrzymanie jej na kiju nad ogniskiem, wielokrotnie musimy wyławiać ją z żaru ogniska. Smak tego czegoś na pewno nie przypomina smaku polskiej kielbasy. Zaprzyjaźniamy się z naszym sąsiadem Australijczykiem, który odbywa kilkumiesięczną podróż po Sta-

nach razem ze swoją rodziną, poruszając się również wiekowym camperem i jest zauroczony pięknem natury w tym kraju... cóż – któż nie jest? Janek dzielnie walczy z gasnącym ogniskiem dorzucając drewna, co chwila rzucając jakiś śmieszny tekst typu „ugryzłem się w ząbek” albo „połknąłem już kaszel i teraz pływa mi w brzuchu”. Jednym słowem, wspaniale spędzamy jeden z ostatnich miłych wieczorów na naszej eskapadzie.

Dzień 14

Budzimy się o 5 rano, dzięki wrzaskom Basi i już nie udaje nam się, niestety, zmrzyć oka. Szykujemy śniadanie i po załadowaniu kilku kłód drewna do samochodu ruszamy drogą nr 385 na południe w kierunku **Hot Springs**. Tuż przed miasteczkiem odbijamy z głównej drogi, zaglądając na chwilę do **Cold Brook Lake Project** – jest to małe jezioro rybackie połączone z przyjemnym kempingiem (8 USD/noc, woda, pryszniców brak, plac zabaw) – idealne miejsce na bazę wypadową. Dojechawszy do **Hot Springs**, od razu kierujemy się do **Mammoth Site** (1800 US 18 Bypass; czynne pon.–sob. 9.00–15.30, niedz. 11.00–15.30; bilet 10 USD/os., w cenę wliczony jest krótki film oraz 30-minutowa wycieczka z przewodnikiem dookoła wykopaliska, umiejscowionego wewnątrz budynku oraz zwiedzanie muzeum). W miejscu tym w 1974 roku podczas prac budowlanych robotnicy natknęli się na skamieniałości mamutów zachowanych w idealnym stanie (największa ich koncentracja na świecie – 61 sztuk w jednym miejscu!!!). Od tamtej pory nieprzerwanie pracują tu archeolodzy, odnajdując coraz to nowe kości (pracują tu tylko przez 1 miesiąc w roku, znajdując taki nadmiar skamieniałości, że pozostałą część roku muszą przeznaczyć na ich badanie laboratoryjne i analizowanie). Poza mamutami znaleziono tu również szkielety niedźwiedzi, wilków, amerykańskiego wielbłąda, wołów i mniejszych ssaków. Dookoła wykopaliska prowadzą wybetonowane chodniki, po których można spacerować, podglądając pracujących archeologów i wolontariuszy, no i oczywiście kości i skamieniałości. Następnym punktem dzisiejszego dnia jest kąpiel w gorących źródłach i nie jest to komercyjny basen **Evans Plunge** zasilany w 100% wodą z tychże źródeł, ale „sekretnie” miejsce w rzece **Fall River** obok Brooksie Apartments (201 South River Street), gdzie za darmo można pomoczyć tyłek w leczniczej ciepłej wodzie. Po 2 godzinkach rodzinnych uciech w wodzie, wyruszamy dalej na południe drogą nr 71 do wodospadów **Cascade Falls**, które okazują się w zasadzie mierną atrakcją, w dodatku otoczoną jadowitym bluszczem i lokalnymi indiańskimi pijakami. Uciekamy więc stamtąd czym prędzej w kierunku Nebraski. Wjeżdżając do Ardmore – ostatniej na naszej trasie miejscowości położonej w Południowej Dakocie – ogarnia nas przeraźliwy strach, a może nawet panika. Wszystkie domy są opuszczone, szyby w oknach powybijane lub „zabite dechami”, drzwi trzepoczą na wietrze, nie ma tu żywej duszy... aż strach pomyśleć co by było, gdyby na przykład zepsuł nam się tu samochód. To idealne miejsce do nakręcenia jakiegoś horroru z zombie w roli głównej. Uciekamy stąd jak najszybciej, pchani przez silny preriowy wiatr. Jedziemy szutrową drogą wzdłuż torów kolejowych, po których równolegle do nas toczy się 100-wagony pociąg towarowy. Przemierzamy dzikie bezludzia **Ogala National Grassland**, by w końcu o zachodzie słońca dojechać do naszego celu: **Toadstool Geologic Park** (bilet dzienny 3 USD, kemping 5 USD, brak wody, tylko 6 miejsc kempingowych). Poza nami stacjonuje tu tylko 1 para. W sumie nie ma się czemu dziwić – miejsce jest zbytnio oddalone od jakichkolwiek atrakcji turystycznych. Rozpalamy ognisko, ale wiatr jest tak silny, że musimy je od razu zgasić, by nie spowodować pożaru na otaczającym nas suchym, trawiastym terenie. Zwiewa wszystko, co wystawiliśmy na zewnątrz samochodu, łącznie z wiankiem Basi, po którą musimy pędzić, żeby jej nie stracić.

Dzień 15

Wstajemy rano tuż po wschodzie słońca, by jak najszybciej wyjść na szlak. Temperatura ma dzisiaj dojść do 40 stopni C. Szlak wychodzi z kempingu i jest prostym 1-milowym spacerkiem wśród gliniastych i piaszczystych białych grzybów skalnych – miejsce to przypomina trochę Badlands National Park. Przedpołudniowy żar z nieba wygania nas ze spaceru i zaczynamy mozolną tułaczkę przez najnudniejszy stan – **Nebraskę**. Zdajemy sobie sprawę, że co najlepsze na wakacjach, to za nami. Na naszej trasie kolejnym miejscem godnym uwagi jest **Carhenge** w miasteczku Alliance (wjazd bezpłatny). Jest to pole pełne wysprejowanych starych samochodów powbijanych w ziemię, tworzących dziwne, ale ciekawe instalacje artystyczne, przywołujące na myśl słynne Stonehenge. Upał jest okropny i nie możemy wytrzymać tu zbyt długo. Fajnie byłoby tu zostać do zachodu słońca – na pewno zdjęcia byłyby powalające na kolana. Wyjeżdżamy z Alliance i włączamy się 2. wzdłuż torów. W zasadzie nic się nie dzieje do końca dnia, poza tym, że dzieci dają czadu, zamęczone monotonią i nudą. W końcu dojeżdżamy do **Nebraska National Forest**, gdzie znajdujemy świetny kemping położony nad rzeką **Middle Loup** (Bessey Recreation Complex campground 8–11 USD/noc – prysznice). Chłopaکی od razu wskakują do rzeki, by zregenerować siły, po czym zbierają drewno na ognisko, które płonie dzisiaj wyjątkowo długo, celebrując koniec wakacji. Smażymy resztki wspaniałej amerykańskiej – polskiej kiełbasy i grzejemy tyłki, siedząc na ławeczkach wokół ogniska i wspominając ostatnie dwa tygodnie.

Dzień 16

Wstajemy mozolnie, zbierając się do wyjazdu, czeka nas trudny i monotony dzień spędzony w samochodzie, co raczej nie napawa optymizmem. Drogą nr 91 suniemy na zachód aż do granicy z **Iowa** i przekroczywszy rzekę **Missouri** zjeżdżamy od razu na plac zabaw, by nasi najmłodszy mieli chwilę relaksu. Jedziemy dalej 30. i podśmiewając się zza okna, a powodem tego są wielkie zagrody pełne stojącego w błocie i g... bydła. Śpimy na parkingu przy kasynie Meskwaki.

Dzień 17

Wymemłani drogą powrotną, już nie możemy się doczekać powrotu do domu, ale na drodze staje nam jeszcze **Maquoketa Cave State Park** (wjazd bezpłatny), który okazuje się istną petardą. System jaskiniowych korytarzy i leśnych ścieżek tworzy bardzo przyjemny program na spędzenie kilku godzin. Wszystkie jaskinie połączone są systemem szlaków prowadzących w dwóch kierunkach z parkingu. Bezpłatne mapki rozdawane przed wejściem przez rangerkę pomagają nam zorganizować dobrze plan wycieczki. A ponieważ jaskiniowe nietoperze zarażone są tzw. „White Nose Syndrome”, trzeba przed wejściem na szlak i po powrocie z niego dokładnie wyczyścić buty o specjalną szczotkę, by nie roznieść choroby. Dwie największe jaskinie są w środku podświetlone, a ścieżka w nich wybetonowana, by swobodnie można się było przemieszczać. Nie udało nam się zobaczyć żadnych stalaktytów i stalagmitów – niestety, z tego co wyczytaliśmy na ulotce, większość z nich została zniszczona przez „niegrzecznych” turystów dawno temu. Mimo wszystko penetracja jaskiń jest przyjemnym zakończeniem superczadowych wakacji. Ładujemy się do auta i przejechawszy rzekę **Mississippi** wjeżdżamy do stanu Illinois. Za 3 godziny jesteśmy już w Chicago, witani korkami na ulicach i fantastycznym „świeżym” powiewem spalin.

USA – wspaniały zachód



Termin: od 31 sierpnia do 20 września 2014 roku

Uczestnicy: Joanna i Walenty Zajkowsky

Trasa: Salt Lake City – Yellowstone NP – Yosemite NP – Las Vegas – Zion NP – Bryce Canyon NP – Coyote Buttes North – Grand Canyon NP – Santa Fe – Chaco Culture NP – Mesa Verde NP – Arches NP – Salt Lake City

Koszt pobytu: ok. 8 tys. zł/os.

Przygotowania do podróży:

Przedstawiona trasa jest uzupełnieniem poprzedniej, miesięcznej podróży Grey-handem dookoła USA. Ze względu na ewentualną korektę trasy w trakcie jej trwania, braliśmy pod uwagę jako port docelowy Las Vegas lub Salt Lake City. Najlepsze ceny są do Las Vegas, ale ze względu na godziny przylotu i wylotu zdecydowaliśmy się na niewiele droższe Salt Lake City (2,9 tys./os. – Air France i Delta). We wstępnych planach były również kanadyjskie Góry Skaliste (słynne Banff i Jasper), ale w 3 tygodnie to nie jest możliwe. Wynajmując samochód, zdecydowaliśmy się, na sprawdzony już, rentalcars.com z opcją zwrotu w miejscu wynajmu, co jest najkorzystniejsze cenowo. Pośrednik przydzielił nam Alamo. I bardzo dobrze – tani i solidny. Redukując koszty, z żalem serca odpuściłem Mustanga, kosztem Chevroleta Spark automat (3 tygodnie za ok. 1800 zł z pełnym ubezpieczeniem). Na miejscu dokupiliśmy, zgodnie z sugestiami na forach, ubezpieczenie opon (6 USD/dzień). Zalecane szyby były już w cenie. Wymagany depozyt przez wypożyczalnię – 75 USD (karta koniecznie wypukła). Ubezpieczenie wypożyczonego samochodu nie obejmuje poruszania się po drogach szutrowych. Trudno, trzeba będzie ryzykować. Międzynarodowe Prawo Jazdy jest wymagane, ale nikt tego nie sprawdza. Cena paliwa Regular 85–87 oktanów waha się od 3,03 USD/galon do 4,19 USD/galon (3,8 l.) w parkach narodowych i na ich obrzeżach.

Hotele najlepiej zarezerwować z maksymalnym wyprzedzeniem. W październiku 2013 r. już nie wszystkie miały wolne miejsca w interesującym nas terminie, szczególnie te w pobliżu parków narodowych. Hotele rezerwowaliśmy przez booking.com. Trivago i tak w 90% przekierowuje na booking. Oczywiście nie ma problemu również z re-

zerwacją na miejscu, z czego również korzystaliśmy, ale przy superatrakcyjnych miejscach coś w rozsądnej cenie można znaleźć tylko do godz. 14. Przez Internet dokonaliśmy rezerwacji (ceny bez podatku, podobnie jak większość cen w USA):

1/2/3.09.2014 – Drift Lodge k. Yellowstone – 168 USD/2 noce

4/5.09.2014 – Virginia Creek Settlement k. Yosemite – 32 USD (namiot)

5/6.09.2014 – Travel Inn and Suites, Fresno – 40 USD

7/8.09.2014 – Stratosphere Hotel & Casino, Las Vegas – 30 USD

8/9/10.09.2014 – Adobe Sands Motel, Panguitch – 98 USD/2 noce

10/11/12.09.2014 – Royal Inn & Suites, Kanab – 100 USD/2 noce

12/13.09.2014 – Econo Lodge Lucky Lane, Flagstaff – 50 USD

13/14/15.09.2014 – Super 8 Santa Fee – 88 USD/2 noce

15/16.09.2014 – Aneth Lodge Budget 6, Cortez – 58 USD

16/17.09.2014 – Blue Mountain Horsehead Inn, Monticello – 50 USD

17/18.09.2014 – Book Cliff Lodge, Green River – 40 USD

Coyote Buttes North, a właściwie to „The Wave”, to takie ciche marzenie każdego, kto planuje odwiedzić USA. Nie jest to takie proste ze względu na surowe ograniczenia w liczbie zwiedzających. O zwiedzaniu decyduje losowanie: 10 osób w losowaniu internetowym (5 USD za jedną aplikację) i 10 z losowania na miejscu. Szansa znikoma. Przez Internet rejestruje się dziennie ok. 300 osób z całego świata, a na miejscu to nie wiem, bo nie musiałem. Na wrzesień trzeba rejestrować się w maju. Oczywiście zrobiłem to już pierwszego dnia miesiąca, podając trzy preferowane terminy.

Pierwszego sierpnia świat stanął na głowie. Ja, który w życiu nie znalazłem nawet 10 groszy na ulicy, w totka nie miałem nigdy nawet trójki, wylosowałem The Wave!!! Cały wyjazd rozbił się na dwie części. To co przed i to co po The Wave. Oczekiwania były ogromne. Chyba tak duże, że prawie pewien byłem rozczarowania. Od razu wpłaciłem po 7 USD za permity, z opcją odbioru w Kanab (można wybrać przy rejestracji inne miejsce).

Przez Internet zarezerwowałem jeszcze wstęp do Antelope Canion (33 USD/os. w Adventurous Antelope Canyon Photo Tours – www.navajointelopesanion.com), ale można to zrobić bezpośrednio na miejscu przy bramie do parku lub na 302 mili drogi nr 89, za Page.

Ceny jedzenia w supermarketach zbliżone do polskich. Chociaż trafiają się promocje, np. w Barstow – wszystko po 99 centów. Wielka, zimna cola 2 l – również.

W sprawach wiz niewiele zmieniło się na lepsze. Doszła rejestracja elektroniczna, ale na ulicy dalej trzeba stać, tylko dużo krócej. Jeśli, tak jak u nas, powstanie jakiś problem ze zdjęciem do wizy, zakład po przeciwnej stronie ulicy jest wyspecjalizowany w tego typu usługach.

31 sierpnia

Całodzienny lot rekompensują piękne widoki Grenlandii i Wielkiego Słonego Jeziora, podczas podejścia do lądowania w Salt Lake City, ale tylko siedzącym z prawej strony samolotu.

Bezproblemowa odprawa, żadnych pytań, uśmiechnięty urzędnik. Wszystkie większe wypożyczalnie mają biura w jednym pomieszczeniu, a za ścianą parkingi z czekającymi autami. Dreszczyk emocji związany z inauguracyjną jazdą autem. Niepotrzebnie. Pierwsze odczucia, to bardzo duża kultura jazdy i trochę inne oznakowanie,

gdzie numery dróg są ważniejsze od nazw miejscowości. Ze względu na zmęczenie długim lotem zatrzymujemy się na noc na przedmieściach Idaho Falls. Dopiero w trzecim hotelu proponują nam akceptowalną cenę (Yellowstone Motel – 63 USD/noc). Pewnie dlatego, że to ostatni dzień amerykańskiego długiego weekendu.

1 września

Skoro świt wjeżdżamy Bramą Zachodnią do PN Yellowstone. Za 80 USD kupujemy roczny karnet wstępu do wszystkich parków narodowych w USA. Podpisy na karnecie uniemożliwiają przekazanie go znajomym, chociaż nie w każdym parku były one porównywane z paszportami. Wjeżdżając do parków, dostajemy bardzo dobrą szczegółową mapę z opisami większości ciekawych miejsc oraz broszurę z aktualnościami.

PN Yellowstone składa się z 2 pętli, które polecam pokonywać w kierunku odwrotnym do ruchów wskazówek zegara, aby uniknąć przekraczania linii ciągłej, zjeżdżając do największych atrakcji.

Mieli rację ci, którzy pisali na forach, że na Yellowstone trzeba przeznaczyć minimum 2 dni. Jest mnóstwo wydzielonych zatoczek i dużych parkingów do zatrzymania się w trakcie pokonywania pętli, a do tego niezaplanowane postoje na podglądanie zwierząt. Nie ma problemów z obserwacją bizonów, jeleni, łosi, gorzej z niedźwiedziami, mimo że prowokowaliśmy koszykiem piknikowym, jak w słynnej kreskówce. Bizony potrafią wejść na jezdnię i hamować całą kolumnę aut, o czym przekonaliśmy się, stojąc w długim korku. Z północnej pętli zdecydowanie polecam Mammoth Hot Springs, chociaż ze względu na popularność miejsce mocno oblegane przez turystów, oraz Norris Geyser Basin. Zbliża się wieczór. Wracamy ok. 20 mil do zarezerwowanego Drift Lodge.

2 września

Najbardziej spektakularne miejsca są jednak przy południowej pętli. Old Faithful i okolice to zdecydowanie nr 1 parku. Kładki prowadzą do licznych gejzerów i gorących źródeł, chociaż nie brakuje ich również w innych częściach parku. Tutaj jednak nagromadzenie ich jest wyjątkowe. Zresztą każdy rejon parku ma jakąś perełkę. Chociażby Grand Prismatic Spring, który jednak obserwowany z kładki trochę rozczarowuje, przede wszystkim tych, którzy wiedzą jak wygląda z lotu ptaka.

W parku bywają zamykane odcinki tras, nawet głównej obwodnicy. Dlatego trzeba mieć zawsze zapas czasowy i paliwa, gdyby się okazało, że do jakiejś atrakcji musimy dojechać okrężną drogą. Wbrew sugestiom niektórych podróżników nie da się jednak zaplanować zwiedzania, żeby w kilka godzin załapać się na większość ciekawych wybuchów gejzerów, szczególnie że gejzery na pewno nie dopasują się do naszego terminu zwiedzania. Tak naprawdę to niezawodny jest tylko Faithful, z dokładnością do 10 minut. Pod Daisy przesiedzieliśmy z grupką zapaleńców ponad godzinę i nic, mimo że symptomy wybuchu były. Całe szczęście są gejzery, które strzelają gorącą wodą z częstotliwością karabinu maszynowego. W tych miejscach pasjonaci przesiadują godzinami.

3 września

Dzisiaj w planach mamy do przejechania ponad 700 mil. Przy amerykańskich drogach nie jest to żadne wyzwanie. Najpierw wracamy do Salt Lake City, a potem kierujemy się międzystanową nr 80 na zachód. Ok. 10 mil za lotniskiem jest zjazd nad Wielkie Słone Jezioro. Koło sali koncertowej, przypominającej arabski pałac, jest dogodne

zejście do jeziora. Po ok. 200 metrach dochodzimy do krawędzi jeziora, gdzie można kąpać się praktycznie samotnie ze względu na rozległe nabrzeże i małą liczbę odwiedzających to miejsce.

Kilka mil przed Wendover jest zjazd na parking z pamiątkową tablicą, a tuż przed miasteczkiem, droga w prawo prowadzi do świątyni prędkości – Bonneville Salt Flats. Dla zwykłych śmiertelników przygoda kończy się wraz z asfaltową drogą. Do toru jest jeszcze ok. 1 kilometra i zakaz wjazdu.

Najlepszym miejscem do spania na drodze w kierunku Reno jest Elko z licznymi motelami w cenie do 60 USD.

4 września

Virginia Town – miasteczko z czasów gorączki złota przerobiono na turystyczny deptak. Sznur samochodów po obu stronach ulicy szpeci ogólny jego obraz. Warto zatrzymać się przy drodze nr 395, skąd z platformy widokowej podziwiamy piękną panoramę Mono Lake. Dojazd nad brzeg jeziora jak również do znanego z westernów Bodie Ghost Town jest ryzykowny ze względu na nawierzchnię szutrową. Nocleg w Virginia Creek Settlement, co prawda tani w namiotach, ale temperatura 2°C sprawia, że właściwie czujemy całą noc, a nie śpimy.

5 września

Yosemite we wrześniu rozczarowuje. Słynne wodospady i Mirror Lake suche, a strażnicy są wyjątkowo skrupulatni w egzekwowaniu przepisów ruchu drogowego na terenie parku.

6 września

Z Fresno do Sequoia National Park jedziemy drogą 180, aż do olbrzymia General Grant, a następnie wracamy kilka mil i w lewo drogą 198 przejeżdżamy najciekawsze rejony parku z General Sherman na czele. Dla planujących dłuższy pobyt wytyczono sporo pieszych tras o różnym stopniu trudności. Jeśli nawet doskonale wiemy, jak wyglądają sekwoje, to i tak w naturze robią niesamowite wrażenie. Przed wjazdem do parku trzeba zadbać o pełny zbiornik paliwa. Najlepiej już na wylocie z Fresno. W całym parku nie ma stacji benzynowych, a droga jest tak kręta, że nawet stosunkowo niedługie odcinki na planie parku są znaczące w terenie. Najbliższa stacja na wyjeździe w kierunku Visalia jest 7 mil za bramą parku. Udało się dotrzeć dosłownie na oparach, więc zamiast się złościć na cenę, płaciliśmy szczęśliwi po 4, 19 za galon.

Za Visalia autostradą 99, a za Bakersfield 58 podążamy w kierunku Las Vegas. Mijana po drodze Pustynia Mojave, to amerykańska strefa militarna ze słynną Edwards Air Force Base. Szkolenie pilotów musi być ekstremalne. Za oknem 104°F. Na nocleg wybieramy Barstow, gdzie przy autostradzie jest dużo moteli.

7 września

Wstajemy skoro świt i jeszcze przed oficjalnym otwarciem zwiedzamy Calico Ghost Town, czyli za darmo. Biorąc pod uwagę dostępne rozrywki i łatwość dojazdu, w niedzielne południe będzie tutaj niezły kocioł. Nie mamy zamiaru tego sprawdzać i czym prędzej udajemy się do Vegas, aby skorzystać z jak największej liczby atrakcji proponowanych przez Stratosphere Hotel & Casino. Hotel bardzo polecam, ale żeby to wszystko ogarnąć to nie w ciągu jednej nocy. Ponad godzinę zajmuje uaktywnienie całej oferty, łącznie ze wszystkimi zniżkami i prezentami od hotelu. Nawet przy dłuższym

pobyć nie można tego odłożyć na później, bo najwięcej zniżek jest oferowanych na pierwszą noc. My załapaliśmy się na darmowy show z mało wstydliwymi dziewczynami z Playboya oraz na wjazd na wieżę widokową. Nie wiem, jak się załatwia miejsca w pierwszym rzędzie, a może to jest po prostu uzależnione od standardu pokoju. Niezależnie od drobnych niedogodności występ idealnie wpasował się w mój gust i oczekiwania. Zniżki natomiast obejmują posiłki, bar, kasyno. Na atrakcje na wieży chyba spóźnił się o jakieś 20 lat. Skoki z wieży, wagonik hamujący przed ponad stumetrową przepaścią, podróż do nieba, hardcore w najlepszym wydaniu.

Kwintesencją Las Vegas jest Fremont Street Experience, 400-metrowy deptak z 2 milionami świateł, w północnej części Strip.

8 września

Mimo późnonocnego rajdu po Vegas wstajemy bardzo wcześnie, żegnając w holu wczorajszych graczy na automatach. Ostatnia szansa dla losu i... znów nic. Kierunek Zion. Piękna pogoda nastraja nas optymistycznie przed zaplanowaną ciekawą trasą kanionem The Narrows utworzonym przez Virgin River. Jest to niewątpliwie najpiękniejsza część parku. Aby dostać się do punktu wyjścia, zostawiamy samochód przy bramie parku. Poruszanie się po parku jest możliwe specjalnymi parkowymi autobusami. Jedziemy na końcowy przystanek Temple of Sinawava i obok bezwodnego wodospadu po kilkuset metrach dochodzimy do początku trasy. Można wypożyczyć specjalne obuwie do brodzenia w wodzie, zwykłe sandały, lub po prostu boso. Przyda się również kij do sprawdzania gruntu przed sobą. Trasa biegnie korytem rzeki ze stromymi ścianami po bokach zbliżającymi się do siebie miejscami na kilka metrów. Rzeka meandruje, dlatego kilkakrotnie musimy pokonywać w poprzek bardzo wartki nurt. Turysty są przygotowani jak na jakieś ekstremalne wyzwanie. Specjalistyczne buty, ciepłe ubrania, teleskopowe kijki, kurtki od deszczu. My przy nich wyglądamy jak na spacerze po plaży (Asia boso), ale nie mamy zbyt ambitnych planów i po kilku zakrętach planujemy zawrócić, aby podziwiać inne rejony parku. Dzięki górskiemu przygotowaniu żony, mojemu instynktowi ciągłej rywalizacji i brakowi zbędnego bagażu uzyskujemy tempo marszu nieosiągalne innym turystom. Miejscami poziom wody jest maksymalny z możliwych do pokonania w krótkich spodenkach, ale zawsze udaje się nam znaleźć optymalne przejście nawet bez sprawdzania gruntu. Nasze tempo powoduje, że mamy coraz mniej sąsiadów, aż w końcu osiągamy taki punkt, że jesteśmy zupełnie sami na szlaku, po ponad 3-godzinny marszobiegu. Oczywiście dawno zrezygnowaliśmy z wcześniejszego powrotu. Widoki za każdym zakrętem są coraz piękniejsze.

Nagle, niesamowita historia, mała chmurka i już kilka kropli deszczu. Następna to samo. Trzecia w zamian za to przysłoniła cały wąwóz. Kompletne ciemności i ulewa jak deszcz monsunowy. Woda strumieniami spływająca ze skalistych ścian tworzy z obu stron dwa wielkie wodospady i my dwa małe ludziki w środku. W takich sytuacjach chora wyobraźnia ma pole do popisu. Jeśli nastąpi takie zjawisko, jak w kanionach szczelinowych, które szybko wypełniają się wodą, to marnie z nami, a gołym okiem widać, że poziom wody podnosi się. Rzucamy się do ucieczki. Nie mamy najmniejszego zamiaru spędzić nocy na jakiejś półce skalnej w kanionie. Po 1,5 godzinie dobiegamy do bramy szlaku. Nie wiem jak pokonaliśmy najgłębsze miejsca i śliskie kamienie bez upadku, ale się udało. A wystarczyło sprawdzić prognozę pogody.

Na najbliższe 2 noclegi wybraliśmy Panguitch.

9 września

Bryce Canyon to prawdziwa perełka wśród amerykańskich parków narodowych. Co ciekawe, bajkowe widoki są efektem osuwiska i działania czynników atmosferycznych, a nie skutkiem działania górskiej rzeki. Niestety, zmienna deszczowa pogoda utrzymuje się w dalszym ciągu, więc najciekawsze widoki Sunrise Point, Sunset Point i Inspiration Point podziwiamy samotnie. Jest jedno miejsce w Bryce Canyon, które musimy przejść bez względu na pogodę, to Navajo Trail. W parku do wszystkich miejsc widokowych można podjechać autem.

10 września

Dzisiejszy dzień to właściwie przygotowanie do jutrzejszej wyprawy do The Wave. W pierwszej kolejności chcemy odebrać nasze permity. Najpierw udajemy się do Visitor Center GSENM (Grand Staircase Escalante National Monument), na wylocie drogi 89 w kierunku Page, za stacją benzynową po lewej stronie, otwarte codziennie od 8.00 do 16.30. Właśnie tutaj odbywa się losowanie chętnych do The Wave. Zapisy są dzień wcześniej do godz. 8.30, a losowanie o 9.00. Permyty odbiera się w stacji rangerów, 38 mil od Kanab po prawej stronie drogi 89, jadąc w kierunku Page. Piękne różowe karteczki czekały na nas i ośmiu innych szczęśliwców. Na trasie spotkaliśmy również 2 osoby z zielonymi permitami, być może z losowania na miejscu, albo jakieś specjalne wejściówki, bo miał ją żołnierz USA stacjonujący w Niemczech. Permyty lepiej odebrać dzień przed zwiedzaniem. Można zorientować się co do stanu dróg dojazdowych i przeanalizować szczegółowo mapę dojścia do The Wave, jaką dostaje się razem z permitem. Na mapie jest 12 charakterystycznych punktów w terenie (6 do The Wave i 6 na powrót), ale w miejscach piaszczystych, dobrą wskazówką są pozostawione ślady.

Niestety, po ostatnich ulewach, House Rock Valley Road od strony północnej okazała się nieprzejezdna i zamiast 8,3 mili szutru, możemy dostać się do punktu wyjścia, Wire Pass Trailhead, od południa przez Jacob Lake, gdzie od 89A musimy przejechać 19 mil szutrem. Biorąc pod uwagę warunki wypożyczalni, trochę ryzykowne. Oczywiście nic nie jest w stanie nas powstrzymać, szczególnie że zapowiada się piękna pogoda (dojście pieszo do początku trasy też braliśmy pod uwagę).

Mieliśmy już 100% potrzebnej wiedzy przed jutrzejszą wyprawą życia i trochę wolnego czasu. W pobliżu stacji rangerów między 19 i 20 słupkiem milowym po lewej stronie z parkingu można zwiedzić Toadstool hoodoos, piękny teatrzyk skalnych grzybów. Wielokolorowe skały. Taki przedsmak jutrzejszego dnia.

11 września

Biorąc pod uwagę okrężną drogę dojazdu i 19 km szutrowej drogi, nastawiłem budzik na 4.00. Szybkie śniadanie, odpowiedni zapas wody i ruszamy, żeby o świcie być na początku szutrowej drogi 1065. Mała tabliczka 100 m przed zjazdem wskazuje kierunek. Droga może nie jest w najgorszym stanie, ale nasz Spark radzi sobie z kłopotami, szczególnie na wybojach. Niemniej po godzinie jesteśmy na parkingu Wire Pass Trailhead. Niestety, byli szybsi i już są na trasie, ale mam z nimi kontakt wzrokowy. Błyskawicznie wpisujemy się do zeszytu, zabieramy zalecaną ilość wody (1,5 galona/osobę) i ruszamy w pościg. Nie jest to trudne zadanie. Na 3 punkcie (Small Saddle) już jesteśmy na czele. W końcowym etapie trzeba się kierować na charakterystyczną, pionową szczelinę w skale. Cała trasa od Wire Pass Trailhead do The Wave, przy nor-

malnym tempie zajmuje ok. 1,5 godziny. To, co ujrzeliśmy na końcu, to kompletny kosmos. Mało jest miejsc na świecie, gdzie stan faktyczny bije na głowę nawet najlepsze foto. To jest jedno z nich. Cała zresztą okolica jest fantastycznie cudowna. Z wodą to lekka przesada. Nam wystarczyły 2 litry, a przecież był upał.

12 września

Dzisiaj znów bardzo wczesna pobudka. Na 8.30 mamy rezerwację na Photo Tours do Antelope Canyon i do przejechania ponad 80 mil. Zamiast do biura na 302 mili drogi 98 jedziemy od razu pod bramę parku. Dobrze że mamy zapas czasowy i w ostatniej chwili meldujemy się we właściwym miejscu zbiórki. Po dokonaniu wpłaty (33 USD/osobę) samochodami terenowymi podjeżdżamy pod wylot Antelope Canyon. Tłok niesamowity. Nikt, kto chce obejrzeć kanion, nie odejdzie z kwitkiem. Navajo zrobili z tego maszynkę do robienia pieniędzy. Kanion leży na terenie ich rezerwatu. Przewodnik bierze od każdego telefon komórkowy, błyskawicznie przedstawia opcje w aparacie i wyczarowuje piękne artystyczne zdjęcia kanionu. Oczywiście, nie stanowi przeszkody marka telefonu. We wszystkich orientuje się doskonale. W kilka minut poznałem lepiej swojego iPhone niż w ciągu ostatniego roku eksploatacji. Antelope Canyon to perełka wśród kanionów szczelinowych, bardzo popularny ze względu na wyjątkowo dogodny dojazd drogą asfaltową pod samą bramę.

W drodze na nocleg do Flagstaff górę wziął sentyment i po 15 latach znów trafiliśmy do Wielkiego Kanionu Kolorado. Dojazd drogą 64 zapewnia piękne widoki Małego Kanionu Kolorado, które podziwiamy zupełnie samotnie. Wielki Kanion Kolorado piękny, ale to szczyt komercji, tak jak przy poprzedniej naszej wizycie. Mam wrażenie, że jest tylko dodatkiem do tego, co jest naokoło.

13 września

Z Flagstaff udajemy się w kierunku Santa Fe. Po ok. 30 milach drogą w prawo dojeżdżamy do Meteor Crater. Wielka dziura w ziemi z ciekawą ekspozycją muzealną. Wstęp 18 USD. W Holbrook zjeżdżamy z autostrady nr 40 i drogą 180 dojeżdżamy do bramy południowej Petrified Forest NP. Jadąc parkiem na północ, ponownie wrócimy na 40. w kierunku Santa Fe. W parku największą atrakcją są skamieniałe drzewa sprzed 225 milionów lat. Wstęp do parku tylko 10 USD, my oczywiście korzystamy z naszego karnetu.

14 września

W okolicach Santa Fe są bardzo interesujące wioski Indian Pueblo. My wybieramy najslawniejszą, Taos Pueblo, ale wcześniej koniecznie trzeba zajechać do wioski Chimayo z magicznym kościołem pielgrzymkowym. Atmosfera jest urzekająca, szczególnie przed zjawieniem się pierwszych turystów, ale w ciągu dnia też nie ma tłumów. Bilet wstępu do Taos Pueblo kosztuje 16 USD/os. W środku senna atmosfera z licznymi sklepikami i galeriami. Sprzedawcy nie są nachalni, raczej subtelnie uprzejmi.

Będąc w tej okolicy, nie sposób pominąć Los Alamos. To tutaj realizowano Projekt Manhattan, który doprowadził do powstania pierwszej bomby jądrowej. Cała historia jest pięknie opowiedziana w Bradbury Science Museum, podobno najlepsze tego typu na świecie. Oczywiście oglądamy również repliki słynnych Little Boy i Fat Man, czyli bomb zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki. Na koniec można obejrzeć film o roli badań jądrowych dla ludzkości – amerykańska papka propagandowa.

Na dzień dzisiejszy zaplanowaliśmy jeszcze popołudniowe zwiedzanie Santa Fe. Niestety, najbardziej nas interesująca Kaplica Loretańska otwarta jest tylko do 17.00. Przez to kilkunastominutowe spóźnienie przekładamy zwiedzanie na dzień jutrzejszy.

15 września

O godzinie 9.00, jako pierwsi turyści, zwiedzamy słynne spiralne schody w Kaplicy Loretańskiej. Wstęp 3 USD. Schody zbudował nieznany cieśla, bez użycia śrub i gwoździ. Schody nie mają środkowego wspornika i teoretycznie powinny się rozpaść, ale tylko teoretycznie.

Następnie drogą 550 udajemy się w kierunku Cortez, miejsca naszego następnego noclegu. Mniej więcej w połowie tego odcinka w lewo odchodzi droga do Chaco Culture NHP. Na Google Map sprawdzałem, że jest to droga gruntowa. A tutaj niespodzianka. Nowiutki asfalt. Aż żal pominąć, w takiej sytuacji, obiekt z Listy Światowego Dziedzictwa UNESCO. Niestety, to co widzieliśmy, to tylko zachęta na początek. Po 8 milach asfalt zastępuje zwykła szutrowka przez następne 8 mil. Ostatnie 5 mil to już niezłe wyzwanie dla naszego maluszka. Droga jest w trakcie remontu, prawdopodobnie docelowo z nawierzchnią asfaltową, bo 9-milowa pętla w parku ma już asfalt. Wstęp 8 USD/samochód. Zapłaciliśmy, ale prawdopodobnie można było na karnet.

16 września

Mesa Verde, to taki amerykański Biskupin. Miejscowi wyrażają się z dużym szacunkiem o tym miejscu. Aby podziwiać największe atrakcje, czyli Cliff Palace i Balcony House. Trzeba wykupić w Visitor Center zwiedzanie grupowe z przewodnikiem (8 USD). Niemniej interesujący Spruce Tree House można oglądać samodzielnie.

Po Monument Valley nie spodziewaliśmy się niczego dobrego. To tereny Indian Nawajo, więc jedynym celem jest złupienie turystów. Wstęp 35 USD/samochód i masowy przerób jak w Antelope Canyon. Nie wiem, czy to jest warte akurat w tym wypadku, bo cała droga 163 ma piękne, podobne widoki jak z Visitor Center, a najsłynniejsze ujęcie z widokiem na monumenty jest absolutnie za darmo z drogi kilka mil w kierunku Mexican Hat.

W związku z tym, że ceny noclegów w Moab w sezonie są astronomiczne, na nocleg wybraliśmy Monticello.

17 września

Arches National Park to jeden z ciekawszych na naszej trasie. Wstęp tylko 10 USD/samochód. Na zwiedzanie wraz z krótkimi trasami trekkingowymi trzeba przeznaczyć cały dzień. Bardzo polecam Devils Garden Trailhead, Double Arch, Balanced Rock, ale kto nie widział z bliska Delicate Arch, ten nie był w Arches NP. Wymaga to ok. 2-milowego ostrego podejścia, ale widok wart jest każdej wylanej kropli potu. Nie bez powodu Delicate Arch jest symbolem parku i często umieszczany na okładkach przewodników po USA.

18 września

To już ostatni dzień zwiedzania amerykańskich parków. Już nic nie jest w stanie nas zaskoczyć. A jednak Goblin Valley i pobliski Bell Canyon, okazały się przysłowiową wisienką na torcie. Goblin Valley to park stanowy, więc płatny poza karnetem, 8 USD/samochód. Dolina wygląda jak wioska smerfów i nie wiem, czy nie była inspiracją dla twórców kreskówki. Pobliski Bell Canyon (droga jak do Little Wild Horse Ca-

nyon) to piękny kanion szczelinowy z bardzo wymagającym przejściem. Pokonujemy liczne progi skalne, szczeliny tak wąskie, że można się prześlizgnąć dopiero na pewnej wysokości. Idealne miejsce, żeby ostatecznie załatwić nasze ubrania, szczególnie że było mokro po ostatnich opadach. Widokową drogą 24, przez Capitol Reef, dojeżdżamy do międzystanowej nr 15.

19 września

Noc spędziliśmy 100 mil przed Salt Lake City. Najważniejsze zatankować auto pod korek, aby nie płacić prawie dwukrotnej ceny za niedobory w baku. Znaki na lotnisku kierują bardzo precyzyjnie do miejsca zwrotów wypożyczonych samochodów. Zwrot jeszcze bardziej bezproblemowy jak wypożyczenie.

Przez 3 tygodnie przejechaliśmy ponad 5,5 tysiąca mil. Oczywiście było to zwiedzanie bardzo pobieżne, ale trasa chyba optymalna. Chrzest bojowy w automacie zaliczony. Nie wiem, dlaczego Europa tak kocha manualną skrzynię biegów.

To takie krótkie podsumowanie. Mogę jeszcze dodać, że parki są ładniejsze niż się spodziewałem, a jest to uczucie rzadkie po zakończonej podróży. Najczęściej pozostaje niedosyt. Tym razem nie mam takiego wrażenia.

I tak podróż bezproblemowo dobiega końca.

Nic bardziej mylnego. Strajk Air France i to jeszcze prawdopodobnie przez tydzień. Całe szczęście jesteśmy wcześniej na lotnisku i pani obiecuje, że coś poszuka. Na propozycję lotu jutro inną trasą nie możemy się zgodzić, ze względu na zobowiązania zawodowe w kraju. Ostatecznie w Paryżu zmienimy Air France na LOT, ale z 8-godzinnym oczekiwaniem. Okazało się później, że byliśmy w gronie nielicznych szczęśliwców, chociaż paryskie Charles de Gaulle, ze swoją obsługą, bardzo przypomina moskiewskie Szeremietiewo, na którym mieliśmy podobną przygodę.



Kolumbia w pigułce

Kolumbia w potocznym pojęciu to kraj kartelów narkotykowych, tłącej się wojny domowej i guerilleros porywających turystów dla okupu – jednym słowem niebezpieczne tereny, gdzie lepiej się nie zapuszczać. Nic bardziej mylnego. Dzisiejsza Kolumbia, dla turysty, który nie zamierza się zapuszczać w rejony odradzane przez przewodniki, jest krajem bezpiecznym i bardzo przyjaznym. Ma do zaoferowania wspaniałe muzea, zabytki z epoki pre- i kolonialnej, fantastyczną przyrodę, piaszczyste plaże i ciepłe morze. A poza tym jest to przecież kraj złota, szmaragdów i kawy.

Termin wyjazdu: 27.01 – 27.02.2014 r.

Liczba osób: 2

Koszt całkowity: około 7500 zł na osobę, w tym:

Bilet Lufthansy na trasie: Warszawa – Frankfurt – Bogota i z powrotem: 3200 zł

Przeloty awianką z Medellin do Cartageny i z Santa Marta do Bogoty: 750 zł

Przejazdy autobusami: 470 zł

Taksówki: 390 zł

Toury: 400 zł

Wstępy do muzeów i rezerwatów: 380 zł

Hotele (pokoje dwuosobowe z łazienką): 930 zł. Większość zarezerwowałam przez Internet.

Wyżywienie: ok. 1000 zł

Wizy nie są wymagane, podobnie jak szczepienia

Waluta: peso kolumbijskie. Najlepiej wymieniać w kantorach. Średnio wychodziło po 650 peso za złotówkę. Najkorzystniejszy kurs był w Medellinie – 1950 peso za dolara (670 peso/zł).

Klimat: byliśmy w szczycie pory suchej. W Bogocie, ze względu na położenie (2700 m n.p.m.) temperatura wynosiła ok. 18–24 stopni i codziennie kropiło przez godzinę. W pozostałych miejscowościach było słonecznie i gorąco. Nigdzie nie było moskitów.

Elektryczność 110 V. W sklepach z gospodarstwem domowym można kupić za ok. 10 zł specjalne wtyczki z płaskimi bolcami. Są małe i lepiej pasują do gniazdek niż nasze kostki przełącznikowe.

DIENNIK PODRÓŻY

Dzień 1. O 9.40, samolotem Lufthansy, odlatujemy z Okęcia. W Bogocie lądujemy o 19.35. W kantorze lotniskowym wymieniamy 50 dolarów USD (lepsze są dolary niż euro). Do hotelu jedziemy taksówką (najlepiej kupić „bilet” na taksówkę w kantorze przy wyjściu z lotniska) za 20 000 peso. Zakwaterowanie mamy w Explora Hotels, cl 12c; Cr 3 – 19. Za wygodny pokój z 2 łózkami i łazienką płacimy 30 000 peso. Oczywiście, w tym hotelu są pokoje dużo tańsze (z podwójnym łóżkiem i łazienką na korytarzu), a z lotniska do hotelu można dostać się autobusem za 1800 p.

Dzień 2. Bogota. Mieszkamy w najstarszej dzielnicy Bogoty – La Candelaria. Sama stolica została założona w 1538 r. przez grupę Hiszpanów, pod wodzą Gonzalo Jimeneza Quesady i nazwana Santa Fe de Bogota. W pobliżu istniała wtedy stolica państwa Muisków – Bocata. Hiszpanie przejęli władzę i nazwę miasta. Po epoce kolonialnej pozostała zabytkowa La Candelaria, z wąziutkimi uliczkami i malowniczymi kamieniczkami. Jest to także centrum kulturalne Bogoty – liczne szkoły i biblioteki, 6 teatrów, barokowe kościoły i casony hiszpańskie zamienione na muzea i domy kultury.

Pierwsze kroki kierujemy na placik Rosario przy alei Jimeneza. Tam mieszczą się liczne kantory. W jednym z nich, oferującym najlepszą cenę, wymieniamy pieniądze. Każdy banknot jest ostemplowany w naszej obecności. Jest to gwarancja, że nie jest fałszywy. Następnie łapiemy taksówkę i jedziemy na dworzec autobusowy (La Terminal), żeby kupić bilety na autobus nocny do Pitalito – 62 000 p. Za taksówkę na dworzec, poczekanie i powrót do hotelu zapłaciłyśmy 25 000 p.

Bogota położona jest na równinie okolonej górami. Na jednym ze wzgórz wybudowano kościół, gdzie umieszczono kopię posążka Czarnej Matki Boskiej z Montserrat w Hiszpanii. Można wejść pieszo na szczyt, ale jest to niezbyt bezpieczne. Nieraz zdarzały się tam napady na turystów. Lepiej jest zapłacić 15 500 p i wjechać kolejką linową. Z góry rozciąga się panorama stolicy. Całość szczytu jest przystosowana do zwiedzania. Znajdują się tu piękne rzeźby z brązu przedstawiające sceny z Męki Pańskiej, a także restauracja, bary i sklepy z pamiątkami. Całość tonie w zieleni i kwiatach.

W drodze powrotnej (od kolejki do centrum) wступujemy do Quinta Bolivar (wstęp bezpłatny). Jest to posiadłość (budynek mieszkalny, gospodarstwo i ogrody), gdzie przemieszkiwał Simon Bolivar w czasie swoich pobytów w Bogocie, podarowana mu przez Kolumbijczyków. Dziś jest to muzeum wewnątrz z licznymi pamiątkami po Libertadorze.

Jeszcze degustujemy piwo w kafeterii na pl. Rosario. Najbardziej smakuje nam czerwony club (jest jeszcze czarny i złoty). Na straganie kupujemy gorące pasteles con carne: spory pieróg z ciasta półfrancuskiego, nadziany różnościami, pieczony lub smażony. Pyszny!

Dzień 3. Rano idziemy do Museo de Oro – Muzeum Złota (wstęp 3000 p). Jest to jedno z najbogatszych tego typu muzeów na świecie. Nominalnie właścicielem jest Bonco Nacional, który zgromadził ponad 55 000 przedmiotów ze złota z czasów prekolumbijskich. Na 3 piętrach można zapoznać się z historią regionu i sposobami produkcji wyrobów ze złota, z których większość to prawdziwe dzieła sztuki. Oprócz złota prezentowana jest także ceramika antyczna niezwyklej urody i przedmioty wykonane z innych materiałów, a znalezione w grobowcach prehistorycznych.

W Muzeum jest także niewielki dział etnograficzny oraz poświęcony kawie. W muzealnej kafejce można degustować kawę z wybranej plantacji, a także nabyć ziarnistą lub mieloną.

Popołudnie spędzamy w Muzeum Fernando Botero. Jest to najślawniejszy artysta kolumbijski. Cechą rozpoznawczą jego dzieł jest „puszystość” postaci. Muzeum składa się z kilku działów umieszczonych w 2 domach kolonialnych i nowoczesnym łączniku. Obok dzieł Botero można podziwiać prace innych, miejscowych artystów, a także obrazy Picassa, Dalego, Miro, Chagalla i francuskich impresjonistów.

Jest też duży dział poświęcony mennicy (dawniej Museo de Moneda).

Dzień 4. Dziś wycieczka do Zipaquirá – miasta wyrosłego na soli. Od wieków mieszkańcy bogacili się na handlu solą wydobywaną z miejscowej góry zbudowanej głównie z soli. Nieczynne już wyrobiska przerobiono na katedrę. Główna nawa ma ponad 25 m wys. Wnętrza są surowe i właściwie jedyną ozdobą są kolorowe światła reflektorów. Zwiedza się w grupach z przewodnikiem.

Z Transmilenio (rodzaj autobusowego metra), autobusem B24 jedziemy 1 przystanek w kierunku Portal Norte. Stąd autobusem docelowym po 40 min docieramy na miejsce. Miasteczko jest niewielkie i bardzo malownicze. Zaglądamy do barokowego kościoła na placu, zbudowanego z cegły i tufu wulkanicznego. Wstępujemy też do miejscowego muzeum archeologicznego z bardzo bogatą kolekcją ceramiki. Przed kopalnią, czekając na swoją turę, zaglądamy do muzeum, gdzie pokazana jest geologia i historia solnej góry. Samo zwiedzanie trwa około 1,5 godziny.

W drodze powrotnej wstępujemy na obiad do restauracji poleconej przez miejscowych. Za 8000 p serwują nam zupę ryżową na rosole, pierś kurczaka z rusztu, ryż, fasolkę, sałatkę warzywną, smażonego banana i butelkę piwa. W restauracji polecanej dla turystów zapłacilibyśmy co najmniej 4 razy tyle.

Dzień 5. Bogota – najpierw idziemy na zwiedzanie zespołu franciszkańskiego z XVI–XVII w., przy alei Jimeneza, naprzeciwko Museo de Oro. Zespół składa się z trzech budowli: głównego kościoła pw. św. Franciszka (najstarsza świątynia w stolicy), kaplicy Vera Cruz, która jest jednocześnie narodowym panteonem i małego kościoła La Tercera. Wszystkie pięknie odrestaurowane, ze stropami artesonado i niezwykle bogatymi, barokowymi ołtarzami.

Następnym etapem zwiedzania jest Plac Bolívara i jego okolice. Przy placu stoi katedra i obok niej kaplica Sagrario z bardzo bogatym wyposażeniem. Plac otaczają budynki użyteczności publicznej, m.in. Kapitol i Pałac Sprawiedliwości. Przy uliczce (Cr 8) wychodzącej z placu stoi dawny kościół i klasztor św. Klary – dziś Muzeum Sztuki Sakralnej. Niezwykle piękne wnętrza i bardzo interesująca kolekcja obrazów i rzeźb, m.in. portrety trumienne mniszek.

Po sąsiedzku, w dawnym klasztorze augustianów oglądamy wystawę minerałów i kilka ekspozycji fotograficznych. Bardziej interesujące są same wnętrza, a przede wszystkim cieniste patio z portykiem. Naprzeciwko klasztoru znajduje się pałac prezydencki, a nieopodal kościół św. Augustyna (II poł. XVI w.). Jest niewielki, ale prześliczny.

W drodze do hotelu wstępujemy do Muzeum Etnograficznego, gdzie załapujemy się na koncert muzyki dawnej. A potem taksówką za 15 000 jedziemy na terminal i nocnym autobusem do San Agustín.

Dzień 6. Do Pitalito dojechaliśmy o 5.30. Ciemno i lodowato. Na przystanku stoi van, który przewozi podróżnych do San Agustín za 6000 p. W miasteczku jest mnóstwo miejsc noclegowych. Wybieramy hotelik, w którym spałam w 1998 r. – „Mi Terruno”. Nocleg od osoby kosztuje 15 000 p, no i mamy blisko do Rezerwatu Archeologicznego.

Żyzne doliny andyjskie w górnym biegu rzeki Magdaleny od prawików były zamieszkałe przez ludy rolnicze, które w początkach naszej ery wykształciły kulturę nazywaną przez archeologów kulturą San Agustín. Charakteryzują ją centra ceremonialne i cmentarzyska z imponującymi grobowcami. Jedno z nich znajduje się pod San Agustín (wstęp do Rezerwatu – 20 000 p). Na kilku wzgórzach (mesetach), w tropikalnej dżungli stawiano posągi bóstw i chowano zmarłych. Najokazalsze grobowce składały się z kapliczki z rzeźbami stojącymi w wejściu. Za nią był korytarz oblicowany płytami kamiennymi. Składano w nim dary dla zmarłego. Na końcu znajdowała się komora z kamiennym sarkofagiem. Całość przykrywano kurhanem ziemnym, a wokół niego stawiano kamiennych strażników. Dziś grobowce są odsłonięte. Z mesety na mesetę prowadzą dobrze oznakowane ścieżki. Dodatkową atrakcją stanowi dno rzeczki przepływającej między mesetami. Jest ono wyrzeźbione w wizerunki węży i ludzi. Zwiedzanie całości zajmuje kilka godzin. Po drodze można zatrzymać się w barze, gdzie gospodyni serwuje świeżo wyciśnięty sok z trzciny cukrowej.

Dzień 7. Wczoraj wykupiłyśmy sobie, za 25 000 p, tour po okolicznych atrakcjach – w miasteczku jest mnóstwo agencji z ofertami. Wyjazd o świcie. Jedziemy terenowym samochodem w 8 osób – najpierw wzdłuż wąwozu Magdaleny do Salto del Mortino (wodospad). Po drodze zatrzymujemy się na plantacji lulo, którego owoce używane są do wyrobu lekko kwaskowatego, pysznego soku. Okolica górzysta, zielona, przepiękna. Wodospad ogląda się ze specjalnego tarasu widokowego. Jeszcze jeden wodospad – Los Bordes i rezerwat Alto de los Idolos, odpowiednik San Agustín. Kończymy wycieczkę nad Estrecho de Magdalena – Przełom Magdaleny. Rzeka, ściśnięta skałami rwie wąskim korytem, a wokół strome ściany i dżungla.

Dzień 8. Rano, przez Pitalito, jedziemy do Popayan (6 godz., 30 000 p) – dużego miasta słynnego z zabytków XVI i XVII w. oraz wyższych uczelni i życia kulturalnego. Zatrzymujemy się w hotelu La Alcayata (alcayatahotel@gmail.com), naprzeciwko kościoła św. Franciszka, 10 min pieszo od dworca (taksówką 4000 p). W cenę 25 000 p. jest wliczone śniadanie amerykańskie (z jajecznicą). Na dworcu kupiłam bilety do San Andres de Pisimbala (44 000 p) i na nocny autobus do Medellin (75 000 p).

Dzień 9. Dziś zwiedzamy miejscowe atrakcje: Panteon, Museo de Mosquero – towarzysza Simona Bolívara, urządzone w jego domu. Wnętrza zachowały swój charakter. Są nawet części stroju generała. Następnie Museo de la Naturaleza z dużymi zbiorami geologicznymi i zoologicznymi (wstęp 3000 p); diecezjalne Museo de Arte Religioso (5000 p). Nie wolno robić zdjęć, ale oprowadzająca siostra zakonna na wieść, że jesteśmy z Polski sama proponuje pamiątkową fotkę u stóp skrzydlatej Madonny. Zaglądamy też do licznych kościołów, które, jak wszędzie w Ameryce Łacińskiej, mają wspaniałe, barokowe ołtarze kapiące złotem. Tylko w San Francisco trzeba uiścić opłatę (1000 p), ale za to można wejść na dzwonnice i obejrzeć mumie budowniczego kościoła.

Dzień 10. Rano wyjeżdżamy do San Andres de Pisimbala, wioski położonej w sercu gór, w pobliżu której znajduje się rezerwat archeologiczny Tierradentro (bilet 44 000 p).

Autobus dość ciasny, ale krajobrazy tak piękne, że zapominamy o niewygodach. Jedzie się 6 godzin, wliczając w to postój w przydrożnej gospodzie, gdzie serwują fantastyczne zupy i gorące placuszki (obiad 8000 p).

San Andres liczy 1200 mieszkańców. Przy rezerwacji są hotele, ale dość drogie. My wybrałyśmy hotel „La Portada”, w wiosce (15 000 p/os.). Pokoje obszerne, wygodne, w łazience gorąca woda, a z tarasu wspaniałe widoki na góry. W osobnym budynku jest recepcja i restauracja (obiad 7000 p) z pysznym jedzeniem. Wioska tonie w kwiatkach, a na ryneczku jest gliniany kościółek z XVII w.

Dzień 11. Tierradentro zaliczane jest do kultury San Agustin, ale tutejsi mieszkańcy mieli inne poglądy na chowanie zmarłych. Na grani albo osobnym wyniesieniu wykuwano głęboki szyb (4–9 m gł.) ze schodami. Z szybu przechodziło się do komory, gdzie składano ciało zmarłego. Po odpowiednim czasie zbierano jego kości, wkładano do dużego, ozdobnego naczynia i przenoszono do grobowca rodzinnego, o podobnej konstrukcji, tyle że komora była większa, wsparta na filarach i pokryta freskami.

W rezerwacji znajdują się takie miejsca grzebalne, dość odległe jedno od drugiego. Na zwiedzenie wszystkich potrzeba 2 dni. Dobrze jest mieć ze sobą latarkę, bo nie wszystkie grobowce mają oświetlenie. Najpierw zapoznajemy się z ekspozycją w muzeum archeologicznym i etnograficznym (20 000 p). Potem idziemy do Alto de Segovia, gdzie jest ponad 20 grobowców. Następnie, ścieżką, wśród plantacji bananów, kawy i marihuany docieramy do El Duende. Do El Tablon, gdzie znajdują się rzeźby w stylu San Agustin, dochodzi się stromą i krętą ścieżką, a później trochę szosą. Trzeba uważać, żeby nie przegapić drogowskiego przy ścieżce odchodzącej od szosy do El Tablon, bo sama dróżka wygląda na bardzo mało używaną. Z góry jest piękny widok na cały rezerwat i „naszą” wioskę.

No i na koniec udajemy się na drugą stronę doliny, do Alto de San Andres. Dróżka prowadzi przez zarośla bambusowe i wiszący most serpentynami, do grobowców. Tu są te najbardziej ozdobne. Na Alto de Aguacate zabrakło nam czasu (ok. 5 godz.).

Dzień 12. Powrót autobusem do Popayan.

Dzień 13. Pobudka o 5.00, bo jedziemy do Parku Narodowego Purace, wysoko w górach (ponad 4000 m n.p.m.). Wiezie nas Javier Rodrigo Alvarez Coronado, właściciel agencji turystycznej (excursionesor@hotmail.com), za 80 000 p od osoby. Atrakcją Parku są kondory, które co rano, o 8.30 mają dostarczane śniadanie w określonym miejscu. Wspinamy się serpentynami i powoli wjeżdżamy w rzadkie chmury. Miejsce widokowe znajduje się na wys. 2650 m, nad wąwozem. Naprzeciwko sterczy samotna skała, na której pracownik Parku zostawia żer dla ptaków.

Pierwsze nadlatują gallinazos (sępowate), a dopiero po dłuższym czasie pojawiają się majestatyczne kondory. Od ptaków dzieli nas zaledwie 15 m, więc widać je dokładnie. A one, przyzwyczajone do widzów, zajmują się ucztowaniem. Obżarte odlatują, a my jedziemy jeszcze wyżej, na paramo (płaskowyż) pokryte bagniskami i endemicznymi roślinami – frailejones. Z góry podziwiamy jezioro, niecodzienną florę i wodospad. Zimno!

W drodze powrotnej zatrzymujemy się w Coconuco, gdzie są gorące źródła siarkowe i baseny do kąpieli. Woda ma ok. 40 st. i jest ponoć nad wyraz lecznicza.

A w Popayan odbieramy bagaże z hotelu i jedziemy na dworzec, żeby nocą dotrzeć do Medellin (bilet 75 000 p). Autobus ma bardzo wygodne, mocno odchylane fotele

i podpórki pod łydki, więc na miejsce dojeżdżamy bez zmęczenia. Przejazd taksówką do Hotelu Conquistadores (15 000 p/os.) kosztuje 12 000 p.

Dzień 14. Medellin to miasto, w którym urodził się i żył Pedro Escobar, szef słynnego kartelu narkotykowego, i w którym urodził się Fernando Botero, słynny malarz kolumbijski.

Hotel bardzo wygodny i przyjazny, znajduje się na Carrera 54, między Ayacucho i Colombia, ok. 10 min pieszo od stacji metra. Samo miasto zajmuje długą, wąską dolinę rzeki i jej zbocza. Wzdłuż doliny jeździ kolejka nadziemna. Z kilkunastu przystanków (w ramach tego samego biletu) można dojechać kolejką linową do najdalszych dzielnic. Jednorazowy bilet kosztuje 3800 p.

Po zakwaterowaniu wybieramy się na wycieczkę do Ogrodu Botanicznego (4 przystanki). W pobliżu zbudowano kompleks naukowo-dydaktyczny i planetarium. Ogród duży i bardzo urozmaicony, także pod względem fauny (kolorowe iguany), a w planetarium oglądamy interesujący spektakl (1200 p). Zjadamy też suty obiad za 7000 p – rosół z podrobami + tzw. bandera – taca z ryżem, surówką, fasolą i mięsem (lub rybą) z rusztu. Do tego szklanka soku.

Dzień 15. Medellin. Najpierw wizyta w kantorze, potem Museo de Antioquia, stojące przy placu, na którym umieszczono 23 ogromne, puszyste rzeźby F. Botero. W samym muzeum można podziwiać 90 innych jego prac, m.in. obraz ze śmiercią Escobara, zastrzelonego w czasie ucieczki. Jest też malarstwo zagraniczne: Picasso, Tamayo, Rauschenberg i inni. Poza tym trochę archeologii, etnografii i sklepik z pamiątkami.

Drugim, sławnym artystą z Medellin był Pedro Nel Gomez – muralista. Można zwiedzić jego dom, ale niewiele jest tam do oglądania – sypialnia, gablotka z pędzlami i kilka murali.

Dzień 16. Dziś wyprawa na wzgórze Nutibara. Ma 80 m wys. i leży w środku doliny. Jest to właściwie park miejski, a na czubku zbudowano rodzaj skansenu – rynekcek typowego miasteczka kolumbijskiego. Domki kolorowe, z balkonikami, w nich sklepiki. W jednej pierzei kościółek. Na środku fontanna i kioski ze smakołykami. Polecamy szalik z ganabamy (2000 p). Nad placikiem króluje Muzeum Miasta z makietą Medellinu.

Następnym etapem jest Parque Explora (20 000 p) – kompleks podobny do Centrum Kopernika. Główną atrakcją jest ogromne akwarium. Zahaczamy także o Centro Artesanal, czyli deptak ze sklepami z rzemiosłem ludowym – plecionki, torby, ceramika, ozdoby, stroje – jak w cepelii.

Dzień 17. O 8.45 mamy samolot do Cartageny (120 USD). Wyjeżdżamy o 6 rano, przy 13 stopniach. Dwie godziny lotu i wysiadamy w saunie – ponad 30 stopni i bardzo wilgotno. Taksówką (20 000 p) jedziemy na ul. Media Luna, do hotelu „Marlin” (35 000 p os./noc). Pokoje obszerne, klimatyzowane, ale okna wychodzą na korytarz. Za to jest ogromny salon wypoczynkowy z TV i Internetem przedłużony ukwieconą loggią.

Cartagena de Indias jest uważana za najbardziej fascynujące miasto Kolumbii. Założona w 1533 r. na wyspie, została otoczona murami obronnymi, w większości zachowanymi do dziś. Szybko stała się głównym portem Morza Karaibskiego. Tu gromadzono skarby dostarczane z kolonii, przewożone następnie do Europy. Cartagena miała też monopol na handel niewolnikami z Afryki. Nic więc dziwnego, że była łakomym kąskiem dla wszelkiej maści piratów. Najsłynniejszy był napad floty dowodzonej przez

Francisa Drake'a w 1586 r. Po tym incydencie władze hiszpańskie zdecydowały się na zbudowanie kilku fortów na sąsiednich wysepkach. Zapewniono w ten sposób skuteczną ochronę miasta przed dalszymi napadami.

Dzisiejsza Cartagena to ogromna metropolia (3 500 000 mieszkańców) i jeden z najważniejszych portów Ameryki. Ale w obrębie murów czas stanął w miejscu. Tyle, że na dawnym placu, na którym sprzedawano niewolników, dziś można sobie przysiąść i nad szklanką piwa podumać o przeszłości.

Dzień 18. Dzisiaj idziemy na zwiedzanie. Najpierw kościół i klasztor św. Pedra de Claver (8000 p). Patron kościoła, mnich ur. w Hiszpanii w 1580 r., całe swoje dorosłe życie spędził w Cartagenie, poświęcając je opiece nad niewolnikami. Zwany był Apostołem Czarnych. W głównym ołtarzu złożone są jego doczesne szczątki, a w ogromnym klasztorze można obejrzeć jego celę, a poza tym ekspozycję sztuki religijnej.

Kolejnym punktem programu jest Museo de Oro z zabytkami z tej części Kolumbii. Zwiedzamy jeszcze katedrę i kościół św. Dominika. Zaglądamy do sklepów ze szmaragdami, a po południu lądujemy na plaży. W drodze powrotnej wykupujemy toury na najbliższe dni.

Dzień 19. Tour na Wyspy Rosario (35 000 p + 13 500 p VAT + 20 000 p oceanarium). O 7.00 rano wsiadamy na duży statek. Jest nas ponad 100 osób. Z głośnika leci disco Colombino – oczywiście na cały regulator. Wyływamy o 8.30 i płyniemy prawie 3 godziny. Lądujemy na wysepce z oceanarium. W wydzielonych w morzu boksach pływają różne gatunki ryb. Jest też b. krótki pokaz tresury delfinów. Potem znów ścisk na statku i ogłuszające disco. Wreszcie dopływamy do głównej wyspy z fantastyczną plażą (Playa Blanca). Turkusowa woda jest bardzo ciepła, ale na rozkosze mamy tylko 1,5 godz., a potem kilkugodzinny powrót. Tymczasem za 35 000 p można wynająć takśówkę, która nie tylko dowiezie z hotelu na Playa Blanca (specjalną groblą), ale i poczeka parę godzin.

Dzień 20. Tour na Volcan de Lodo de Totumo, czyli Wulkan Błotny (40 000 p + 9000 p za obsługę na miejscu). Jest to atrakcja naprawdę godna polecenia. Wulkan znajduje się na brzegu słodkowodnego jeziora. Jest to góra wysoka na 18 m, na którą prowadzą drewniane schody. Wnętrze wypełnia szare, ciepłe, gęste błoto. Na szczycie oddaje się aparaty osobnikowi, który uwieczni naszą „kąpiel”. Schodzi się po drabinie w gęstą maź, a tam paru tubylców dokładnie nas wynurza w błocie, zrobią masaż, umieszczą w pozycji horyzontalnej i zaczną przesuwac w kierunku drugiej drabiny. Nie ma ograniczeń czasowych, a sama „operacja” jest i zabawna, i przyjemna. Na górze oskrobują nas z błota, a potem pędzimy do laguny, gdzie czekają panie z czerpakami, żeby nas dokładnie domyc. Przy okazji zdzierają z nas kostiumy do przepierki. A wszystko to robią z zaskoczenia i nie sposób się wybronić.

Po kąpielach obiad w wiosce rybackiej z fantastyczną plażą. Bez poganiania.

Dzień 21. Rano oblatujemy mury i zwiedzamy Muzeum Inkwizycji (15 000 p), a po południu jedziemy na City Tour malowniczym autobusem. Pierwszym celem jest Popa – kościół i klasztor zbudowane na szczycie górującym nad miastem. Stąd dopiero widać ogrom Cartageny. Następnie jedziemy do Fortu San Felipe (XVIII w.). Obiekt jest ogromny i świetnie zachowany. Wewnątrz kryje labirynt korytarzy z pomieszczeniami na magazyny i koszary garnizonu. Do hotelu wracamy pieszo.

Dzień. 22. W agencji od tourów kupiliśmy sobie bilety (a' 42 000 p) do Santa Marta. Trochę drożej niż zwykłym autobusem, ale przewożą nas z hotelu do hotelu. Śpimy w „Casa Familiar” (20 000/os./noc), ul. 10c – info@hotelmiramar.com.co. Na spacerze odkrywamy na Placu Bolívara kawiarenkę – „Cafe' Valdez” – ze sklepikiem oferującym różne gatunki kawy po bardzo przystępnych cenach. Wybór jest ogromny. Korzystamy też z miejskiej plaży.

Dzień 23. Na Placu Bolívara, w budynku banku znajduje się Muzeum Złota (wstęp wolny). Oczywiście zwiedzamy i to z zachwytem.

Potem, taksówką (36 000 p za 2 osoby z poczekaniem) jedziemy do Quinta de San Pedro Alejandrino, gdzie w 1830 r. zmarł Simon Bolívar. Zwiedzanie z przewodnikiem 10 000 p. Główny budynek pochodzi z 1608 r. Należał do rodziny Mier, plantatorów trzciny cukrowej. Oprócz pamiątek po Libertadorze (m.in. sypialnia i łóżko, na którym zmarł) zwiedza się także budynki gospodarcze, w których przerabiano trzcinę na cukier, a także wielki park z imponującym figowcem przy wejściu. Jest też mauzoleum poświęcone bohaterowi.

Dzień 24. Dziś wycieczka do Taganga, miasteczka położonego nad kolistą zatoką otoczoną górami. Plaża, kąpiele, spacer i pyszna ryba na obiad. Dojazd autobusem 1500 p lub taksówką 12 500 w jedną stronę.

Dzień 25. Poprzednio wykupiliśmy sobie wycieczkę, a właściwie transport (30 000 p w obie strony) do Parku Narodowego Tayrona. Większość bagaży zostawiamy w przechowalni hotelowej. Zabieramy tylko rzeczy na 3 dni. Park otwierają o 8.00. Wstęp 47 500 p.

Od wejścia w Canaveral trzeba iść albo wynająć muła. Oczywiście idziemy, choć upał jest nieznośny, a plecaki ciężą. Idzie się głównie po drewnianym pomoście, przez suchą dżunglę, wzdłuż brzegu morza usianego ogromnymi głazami. Droga jest bardzo malownicza, więc do stancji „Arecifes” docieramy dopiero po prawie 2 godzinach. Decydujemy się na mieszkanie w „El Paraiso”. Można spać w dusznym pokoju za 75 000 p/os., a można wybrać hamak za 16 000 p. Oczywiście śpimy w hamakach. Kupujemy też luksusowe śniadania a' 29 000 p. Hamakownia (wiata z 30 hamakami) otoczona jest moskitierą. A potem plaża. Najbliższa jest ogromna, ale silne prądy morskie nie pozwalają na pływanie. Za to, trochę dalej, między wielkimi głazami są małe, spokojne zatoczki ze złotym piaskiem na brzegu i dżunglą na zapleczu oraz barem w niej ukrytym.

Dzień 26. Na terenie parku znajduje się rezerwat archeologiczny El Pueblito. Indianie Tayrona zajmowali od ponad 2000 lat półwysep u stóp Sierra Nevada. Byli rolnikami. Ich pola znajdowały się w dolinach rzek, natomiast osady budowali wysoko. Pueblito (w jęz. Indian Charaima) założone 1000 lat temu liczyło ponad 10 000 mieszkańców. Państwo Tayronów było świetnie zorganizowane i aż do początków XVII w. opierało się Hiszpanom, których bazę wypadową – Santa Martę – wielokrotnie niszczyli. W końcu najeźdźcy zrezygnowali z podboju i wyruszyli na południe. Byli to założyciele Bogoty.

Tayronowie wznosili swoje domy z bambusa, na kamiennych, owalnych cokołach. Po wykopaliskach zrekonstruowano kilka z nich, łącznie z wyposażeniem. Przetrwaly jednak ulice wyłożone płytami kamiennymi i sieć wodociągowa. Pueblito znajduje się

na wys. 260 m n.p.m. Idzie się do niego ścieżką zbudowaną 1000 lat temu, miejscami bardzo stromą (II stopień trudności), ale widoki wynagradzają w pełni wysiłek. Warto.

Dzień 27. Dolce far niente z plażowaniem i pływaniem.

Dzień 28. O 15.00 jesteśmy umówione przy bramie parku z naszym przewoźnikiem, z którym wracamy do Santa Marta. Kawowe zakupy, przepakowanie bagażu, bo jutro lecimy do stolicy.

Dzień 29. Taksówka na lotnisko kosztuje 10 000 p. Dwie godziny lotu i już jesteśmy w chłodnej Bogocie. Tym razem jedziemy do hotelu „Masaya” (37 000 p os./noc). Drożej, ale na koniec chcemy zażyć odrobinę luksusu. Ostatnie zakupy – m.in. w delikatesach niedaleko Muzeum Złota, obok sklepów z artesanią (cepelía) nabywamy tutejszą, sławną czekoladę i rum kolumbijski.

Dzień 30. Samolot mamy wieczorem, więc rano jedziemy taksówką (8000 p) do Muzeum Narodowego (2000 p). Ogromne. Na parterze archeologia, Na I p. pamiątki po bohaterach i ważnych osobistościach, a także dokumenty i eksponaty z okresu konkwisty. Ostatnie piętro to sztuka współczesna.

Na zakończenie zwiedzamy Muzeum Szmaragdów (6000 p). Ogromna wystawa + rekonstrukcja fragmentu kopalni. Zwiedza się z przewodnikiem. Zakaz fotografowania.

A potem z hotelu na lotnisko (25 000 p). No i następnego dnia w południe jesteśmy w Warszawie.

UWAGI OGÓLNE

Zdecydowałyśmy się na wersję wygodną, ale tym samym droższą. Po Kolumbii, zamiast samolotem, można podróżować autobusem. Dla mniej wymagających, w wymienionych hotelach są także tańsze pokoje z łazienką na korytarzu oraz dormitoria. Z dworców i lotnisk kursują autobusy do centrum. Ogólnie, można w ten sposób zaoszczędzić nawet połowę wydatków. Zakupy pamiątek najlepiej robić w Bogocie – wybór wielki, a ceny dużo niższe niż gdzie indziej. Nawet ozdoby ze szmaragdami są tu tańsze. W sklepach z biżuterią przy zakupie dostaje się certyfikat. Natomiast sprzedawcy uliczni często oferują szkiełka – oczywiście po bardzo atrakcyjnych cenach.

Pogoda w lutym wszędzie jest bardzo podobna – słonecznie i ciepło. W wysokich górach bywa chłodno, a na wybrzeżu upalnie.

Wszędzie jest bezpiecznie i sympatycznie. Życzymy miłego pobytu.

Peru i Boliwia 2014



Termin podróży: 16 maja – 8 czerwca 2014 r.

Trasa podróży: Katowice – Barcelona – Lima – Paracas – Islas Ballestas – Nazca – Arequipa – Kanion Colca – Puno – La Paz – Uyuni (Salar de Uyuni) – Cusco – Chinche-ro – Moray – Maras – Ollantaytambo – Aguas Calientes (Machu Picchu) – Cusco – Lima – Barcelona – Katowice

Przeloty: Katowice – Barcelona – Katowice Wizzair zakupiony za punkty
Barcelona – Lima (przez Amsterdam) – Barcelona (przez Paryż) – 2000 zł/os.

Uwaga: Ceny noclegów poniżej podane dotyczą zawsze pokoju dwuosobowego.

Waluta: Perusol (S), wymienialiśmy najczęściej po kursie 100 USD = ok. 276 S
Boliwiaboliwiano (Bs), 100 USD = 692 Bs.

Różnica czasu między Peru i Polską – 7 godzin (Peru 7.00, Polska 14.00)

18 maja – Lot z Barcelony do Limy

Lot do Limy z Barcelony przez Amsterdam linią KLM mieliśmy o 6.20. Do Amsterdamu lecieliśmy ok. 2 godz. Stamtąd o 12.30 mieliśmy lot do Limy, który trwał około 12 godzin. Ciepły posiłek w postaci kurczaka w sosie musztardowym był całkiem znośny. Nie bez znaczenia był również fakt, że do posiłku można było bezpłatnie zamówić sobie wino. W Limie wylądowaliśmy planowo o 18 miejscowego czasu. Zaskoczyło nas, że o tej porze zaczynało już zmierzchać. Z lotniska odebrał nas zamówiony wcześniej samochód (45 S), który zawiózł nas do zabukowanego przez Internet popularnego wśród Polaków hotelu España. Po drodze do hotelu kupiliśmy jeszcze po piwie (Pilsen Calle 473 ml – 4,2 S) i coca-colę (1,5 l – 6,5 S), aby już w pokoju uczcić szczęśliwe dotarcie do celu.

Nocleg: Hotel España (<http://www.hotelespanaperu.com/>) 60 S za pokój dwuosobowy z łazienką.

19 maja – Lima, Paracas

Ze względu na jetlag wstaliśmy dość wcześnie, bo już o 6.00, zjedliśmy śniadanie kontynentalne w hotelu (6,5 S) i poszliśmy zwiedzać stolicę Peru. Na początku wstąpiliśmy do kościoła Santo Domingo, w którym jako pierwszy w oko wpadł nam obraz na-

szej polskiej MB Częstochowskiej, co uznaliśmy za dobry znak na rozpoczęcie naszej podróży. Ze względu na wczesną porę część klasztorna była jeszcze zamknięta i postanowiliśmy ją zostawić sobie na powtórny wizytę w Limie przed wylotem do Polski. Kolejnym punktem zwiedzania była Katedra Limska, zlokalizowana przy głównym placu historycznej części Limy. Wstęp 10 S/os. W katedrze znajduje się 10 kaplic bocznych, z czego najsłynniejsza jest kaplica Jana Chrzciciela, w której znajduje się jedna z najpiękniejszych rzeźb Chrystusa w Ameryce, oraz kaplica, w której znajdują się szczątki Franciszka Pizzaro (hiszpańskiego konkwistadora, założyciela Limy). W porze obiadowej zjedliśmy po kawałku pizzy, popijając ją kawą i jakimś słodkim napojem za co zapłaciliśmy 6 S.

Po południu wzięliśmy nasze plecaki z hotelu i poszliśmy na dworzec, aby udać się do następnej naszej destynacji – Pisco. Bilet linią autobusową Flores kosztował 15 S/os. Po około 4 godzinach dotarliśmy do Pisco, skąd od razu wzięliśmy colectivo do oddalonego o około 15 km Paracas (4 S/os.). Na miejscu od razu złapał nas naganiacz, który zaoferował całkiem ładny pokój z widokiem na Ocean Spokojny, więc skorzystaliśmy z okazji. U tego samego gościa zamówiliśmy na następny dzień wycieczkę na Wyspy Ballestas (35 S/os. + 12 S/os. za wejście do portu i rezerwatu). Po krótkim odpoczynku poszliśmy zanurzyć po raz pierwszy w naszym życiu nogi w Oceanie Spokojnym. Na zakończenie dnia skusiliśmy się na degustację lokalnego alkoholu – pisco. Beta w postaci pisco sour (12 S), a więc koktajlu na bazie tegoż alkoholu oraz soku z limonki, białek jaj kurzych i gorzkiego likieru angostura. Ja zdecydowałem się na spróbowanie czystego pisco (50 ml – 5 S), które w smaku przypomina whisky, z tym że koloru czystej wódki.

Inne ceny:

Notes ozdobny z Peru: 10 S

Ananas (kawałek): 1 S

Suszony banan: 1 S

Toaleta na dworcu: 0,5 S

Piwo Cusqueño (620 ml): 5,5 S

Woda (0,5 l): 1,5 S

Hamburger: 5 S

Półówka kurczaka z grilla: 12 S

Nocleg: Hotel Ballestas Island (<http://www.booking.com/hotel/pe/paracas-ballestas-island.en-gb.html>) 40 S za pokój dwuosobowy z łazienką.

20 maja – Islas Ballestas

O 8.00 wyruszyliśmy na dwugodzinną wycieczkę na Wyspy Ballestas (47 S/os.). Podczas wycieczki nie można opuszczać łodzi, bo zwiedzany teren stanowi ścisły rezerwat, ale i tak można zobaczyć wiele zwierząt, m.in. pingwiny Humboldta, głuptaki i pelikany. Spotkaliśmy również wygrzewające się w słońcu lwy morskie. Na wyspie znajduje się jeszcze pozostałość starej fabryki, która dawniej z guana ptaków wyrabiała cenny nawóz.

Po powrocie z wycieczki najbliższym autobusem (o 11.00) udaliśmy się do Nazca (linia autobusowa Oltursa 30 S/os., w cenie ciepły posiłek z napojem). Dojechaliśmy ok. 15.00 i tradycyjnie już na dworcu pojawiło się wielu naganiaczy oferujących swój hotel. Po zakwaterowaniu w hotelu, od razu w zasadzie udaliśmy się zwiedzić cmen-

tarz Chauchilla, na którym możemy podziwiać 12 odrestaurowanych grobów z okresu Chincha (1000–1400 n.e.). Nie zdecydowaliśmy się na wycieczkę objazdową, która oprócz cmentarza miała obejmować jakieś fabryki i sklepy, bo w zasadzie interesował nas tylko cmentarz. Ponieważ nie można tam dojechać komunikacją publiczną, to w hotelu załatwili nam przejazd prywatnym samochodem i niestety znacznie przepłaciliśmy (100 S). Sam przejazd bez przewodnika powinien być znacznie tańszy!!! Zwiędzanie cmentarza (wstęp 8 S/os.) jednak polecamy, okryte całunami mumie z długimi włosami ułożone w odkrytych grobach robią ogromne wrażenie.

Po powrocie zakupiliśmy bilety na przeloty nad liniami Nazca (firma Aeroparacas – 75 USD/os., ponoć posiadająca najlepszą flotę – my również ją polecamy) oraz bilet na następny dzień do Arequipy (Oltursa – 85 S/os. wyjazd 22.00, przyjazd 6.45).

Inne ceny:

empañada (z serem lub mięsem) – 2,5 S

1/4 kurczaka + frytki + sałatki – 14 S

Piwo Cusqueño (660 ml w knajpie) – 8 S

Nocleg: hotel Guang Zhou (<http://www.booking.com/hotel/pe/hostal-guang-zhou.en-gb.html>) 30 S + 20 S za przedłużenie doby hotelowej do 21.00)

21 maja – Nazca

Dzień rozpoczęliśmy śniadaniem na mieście, w przydrożnej budce kupiliśmy po 2 bułki z kurczakiem (1 S/szt.). O 9.00 pod biuro linii lotniczej Aeroparacas podjechał po nas busik, który zawiózł nas na małe lotnisko, skąd odbywają się loty widokowe nad słynnymi liniami Nazca. Obecnie loty są oferowane przez sześć firm, z tego wybrana przez nas firma Aeroparacas ponoć cieszy się najlepszą renomą, a ceny wszędzie są zbliżone (75 USD/os. po krótkim targowaniu). Po kilku wypadkach, które miały miejsce w 2010 r., wymaga się aktualnie, aby w samolocie było 2 pilotów – dla pasażerów zostają 4 miejsca. Każda osoba jest przed lotem ważona, a osoby, które ważą ponad 130 kg, muszą uiścić dodatkową opłatę. My na szczęście zmieściliśmy się w dopuszczalnym limicie ☺. Na lotnisku trzeba dodatkowo opłacić podatek lotniskowy w wysokości 25 S od osoby. Lot trwa ok. 30 minut, podczas których piloci skracają samolotem to w lewo, to w prawo, aby każdy mógł zobaczyć ok. 14 figur o tajemniczym pochodzeniu, które powstały ponoć między 500 a 600 rokiem n.e. Rysunki nie są widoczne z ziemi, w całej okazałości można je zobaczyć tylko z powietrza. Najbardziej znane rysunki to:

koliber – rysunek o wymiarach 96 na 66 metrów,

małpa – uważana za istotę boską,

pająk – symbol życia i płodności,

drzewo – jedyna z figur widoczna z platformy widokowej,

wieloryb – pierwszy odkryty geoglif.

Po zakończonym locie był czas na pamiątkowe zdjęcie z pilotem. Otrzymaliśmy również certyfikaty potwierdzające przelot nad liniami Nazca.

Do miasta wróciliśmy około 12.00, na obiad zjedliśmy po pizzy (Americano + Clasic 47 S), kupiliśmy pocztówki (1 S/szt.) oraz znaczki do Polski (6,4 S). Później odpoczęliśmy trochę w hotelu przed całonocną podróżą do Arequipy.

Inne ceny:

chipsy – 5,5 S

lody – 1,5 S
orzeszki – 1,0 S

22 maja – Arequipa

Do Arequipy dojechalśmy ok. 9.00. W autobusie fotele były rozkładane, więc nawet się wyspaliliśmy. Arequipa leży już na wysokości ok. 2300 m n.p.m. Za dojazd z dworca autobusowego do centrum zapłaciliśmy 8 S. Noclegu poszukaliśmy sami, bo dwa zaproponowane miejsca przez gościa z dworca nie przypadły nam do gustu. Ostatecznie śpimy jak dotychczas w najdroższym hotelu – Los Andes, ale za to zlokalizowanym bardzo blisko głównego placu. Zaraz po zakwaterowaniu poszliśmy do Museo Santuarios Andinas de la Universidad Catolica de Santa Maria (wstęp 20 S/os. + 7 S za przewodnika). Najcenniejszym eksponatem tego muzeum jest Juanita – lodowa dziewczynka. Znalaziono ją na wysokości ok. 6310 m n.p.m. i należy ona do najlepiej zachowanych mumii świata. Fotografowanie jest kategorycznie zabronione.

Następnie poszliśmy do przypominającego małe miasto klasztoru św. Cataliny (35 S/os.). Obejmuje on ok. 100 pomieszczeń, trzy dziedzińce oraz kościół. W porze obiadowej skorzystaliśmy z „menu del día” w jednej z restauracji przy rynku i zjedliśmy dwudaniowy obiad za 12 S/os. Następnie w agencji turystycznej Mundo Andino (wiele z nich również znajduje się przy rynku) zamówiliśmy 2-dniowy trekking do kanionu Colca (100 S/os.). Wieczorem poszliśmy jeszcze zwiedzić katedrę, która oświetlona robi duże wrażenie. Kupiliśmy również bilet autobusowy do Puno po zakończeniu trekkingu (45 S/os. – firma Jalsa – nie polecamy, wyjazd z Arequipy 23.00, planowany przyjazd do Puno 5.30).

Po wyczerpującym dniu załapał się na „happy hours” i kupiliśmy 2 pisco sour za 10 S. Później już tylko do łóżka, bo o 2 pobudka na trekking.

Nocleg: hotel Los Andes (<http://www.losandesarequipa.com/>) 80 S za pokój dwuosobowy z łazienką.

23 maja – Kanion Colca

Po godzinie 2.00 podjechał po nas bus, który zbierał ludzi na trekking. W naszej grupie oprócz nas jak się okazało była jeszcze Hiszpanka, Izraelczyk, dwóch Francuzów, Niemiec i Anglik. Dodatkowo za wstęp do parku narodowego musieliśmy zapłacić po 70 S/os. Po drodze zjedliśmy w jakiejś wiosce śniadanie (w cenie trekkingu). Po drodze do miejsca startu zatrzymaliśmy się jeszcze w punkcie Cruz del Condor, gdzie – jak sama nazwa wskazuje – można podziwiać majestatyczne ptaki, jakimi są kondory (rozpiętość skrzydeł sięga 3 metrów). Właściwy marsz rozpoczęliśmy ok. 10.00 z punktu widokowego San Miguel. Cała dzisiejsza trasa miała 15 km. Po drodze, na dole kanionu zjedliśmy lunch w postaci pożywnej zupy oraz ryżu z mięsem z alpaki. Po lunchu, do miejsca noclegu – osady Sangalle (2100 m n.p.m.) zostało nam około 8 km, które pokonaliśmy w niecałe 3 godziny. Przewodnik, motywując nas do marszu, pokazywał nam z góry małą niebieską plamkę, która miała być basenem przy naszym noclegu. Po przybyciu na miejsce basen oczywiście był, ale woda w nim była bardzo zimna, więc tylko nieliczni skorzystali z kąpeli (w tym ci piszący te słowa ☺). Nagrodą za całodzienny trud było zakupione przez nas piwo, niestety dość drogie, bo butelka za 10 S. Później jeszcze zamówiliśmy 2 drinki mojito (15 S za 2) oraz kupiliśmy wodę na drugi dzień (1,5 l – 10 S, zalecamy kupić przynajmniej 2 razy tyle). Kolacja (już w cenie trekkingu) składała się z zupy i dość smacznego spaghetti. Atrakcją wieczoru był brak prą-

du, który przyczynił się do romantycznego spędzenia czasu przy świeczce w naszym drewnianym skromnym domku.

24 maja – Kanion Colca

Około 5.00 zaczęliśmy marsz w górę kanionu. Choć do pokonania było tylko 5 km, marsz był trudny, bo podejście wynosiło ok. 1,2 km, co powodowało, że w zasadzie cały czas szlak ostro pięł się do góry. Rano szliśmy z czołówkami, ale po około pół godzinie zrobiło się już widno. Wysokość dawała się we znaki, brakowało powietrza, oddychało się ciężko. Alternatywnie osoby, które nie dają rady podejść, mogą skorzystać z mułów, które za ok. 40–50 S podwiożą na szczyt (my na początku trasy mułów nie widzieliśmy, później po trasie spotkaliśmy ich trochę). Ok. 8.00 w końcu doczłapaliśmy na szczyt, wstyd się przyznać, ale jako ostatni z grupy (ale zmieściliśmy się w zakładanym czasie). Zrobiliśmy tam sobie zdjęcie grupowe, a później udaliśmy się do Cabanaconde na śniadanie (jajecznica + dodatki). W drodze powrotnej do Arequipy (już busem) zatrzymywaliśmy się w jeszcze kilku interesujących miejscach. Pierwszym z nich był punkt widokowy na tarasy rolnicze ludu Collagua. Następnym przystankiem była wioska Maca, w której odwiedziliśmy bogato zdobiony biały kościółek, a także kupiliśmy po soku z kaktusa (3 S). Następnie dla chętnych była możliwość skorzystania z kąpieli w ciepłych źródłach. Nam 1 godzina razem z dojściem i przebraniem wydała się zbyt krótkim czasem, więc w tym czasie odpoczęliśmy trochę, popijając piwo Cusqueña w puszcze (4 S). Kolejnym przystankiem był punkt widokowy na wysokości 4910 m n.p.m. (wyżej niż sięga Mont Blanc), z którego rozpościerał się widok na wulkany otaczające Arequipę. Ostatnim przystankiem był rezerwat, w którym podziwialiśmy dzikie stada lam i alpak.

Do Arequipy wróciliśmy ok. 18. Poszliśmy na dobrą kawę do Starbucksa (6 S), a następnie odebrać nasze plecaki z hotelu, w którym spaliśmy przed trekkingiem. Pozytywne zaskoczenie czekało nas w hotelu, gdzie otrzymaliśmy ręczniki i możliwość wzięcia kąpieli, co było dla nas zbawieniem po trudach trekkingu. Planowo o 23 wyjechaliśmy autobusem firmy Julsa do Puno (podatek wyjazdowy z Arequipy 2,5 S/os.). Niestety, w autobusie było strasznie zimo, szyby całe oblodzone. Mieliśmy wrażenie, że w ogóle nie działało żadne ogrzewanie.

25 maja – Puno

Do Puno – miejscowości leżącej na wysokości 3830 m n.p.m. dotarliśmy ok. 6.00. Po wyczerpującej podróży w autobusie zdecydowaliśmy się tutaj na nocleg, którego wcześniej nie planowaliśmy. Już na dworcu dorwał nas gość, u którego kupiliśmy wycieczkę na pływające wyspy Uros na jeziorze Titicaca – najwyżej położonym jeziorze żeglownym świata (wycieczka od 12 do 15,35 S/os.) oraz nocleg w centrum miasta. U niego kupiliśmy również przejazd następnego dnia do La Paz w Boliwii z przesiadką w Copacabanie (35 S/os.).

Przespaliśmy się parę godzin aż do wycieczki na wyspy Uros. Do portu, gdzie czekała na nas łódź, zawiozła nas taksówka (w cenie wycieczki). Wyłynęliśmy na jezioro Titicaca, gdzie znajduje się szereg wysp. Naszym celem były pływające wyspy Uros, zbudowane z trzciny. Gdy dolne warstwy ulegają rozkładowi, układane są nowe. Następnie zabrano nas na wyspę, gdzie miejscowi sprzedawali wyrabiane przez siebie przedmioty. Skusiliśmy się wyłącznie na wbicie specjalnej pieczętki do paszportu (1 S).

Po powrocie z wycieczki zwiedziliśmy jeszcze katedrę w Puno, a następnie na kolację zjedliśmy bardzo dobrą pizzę, popijając ją piwem (34 S/os.)

Nocleg: Hotel Maison de Lago (<http://maisondeilagopunoperu.blogspot.com/>) – 50 S za pokój dwuosobowy, niestety, bardzo zimno, bez ogrzewania.

26 maja – La Paz

O godzinie 5.20 przyjechała taksówka, która zawiozła nas na dworzec autobusowy (5 S). Autobus linii Titicaca (35 S/os., dużo lepszy niż ten wczorajszy) w około 3 godziny dowiózł nas do granicy peruwiańsko – boliwijskiej. Formalności na granicy, wbrew naszym obawom, nie trwały długo i, o dziwo, nikt od nas nie chciał żadnej łapówki. Następnie dojechalśmy do miejscowości Copacabana, gdzie w ramach tego samego biletu przesiadliśmy się do kolejnego autobusu, którym w ciągu kolejnych 3,5 godzin jechaliśmy do stolicy Boliwii – La Paz. Po drodze czekała nas jeszcze jedna ciekawostka, przeprawa na tratwach przez jezioro Titicaca – autobus osobno, pasażerowie osobno (2 Bs/os).

Od razu po przyjeździe chcieliśmy kupić bilety na nocny przejazd do Uyuni, niestety bilety były dostępne dopiero na kolejny dzień (120 Bs/os. firma Panasur). W związku z tym znaleźliśmy nocleg tuż obok dworca autobusowego (notabene zaprojektowanego przez Gustave'a Eiffela – tego od słynnej wieży w Paryżu ☺). Na szczęście chyba dzięki specyficznemu położeniu La Paz, w niecce między górami, było cieplej niż w Puno. Poszliśmy na krótki spacer, zapoznając się z miastem, które na pierwszy rzut oka wygląda na strasznie zatłoczone, z ogromnym ruchem. Na kolację zjedliśmy po udku z kurczaka z frytkami + cola (15 Bs/os.). Nie mogliśmy sobie również odmówić skosztowania boliwijskiego piwa Paceña (puszka 473 ml za 11 Bs).

Nocleg: Hotel Sapak Pacha – 150 Bs, super gorąca woda i ciepłe kołdry.

Inne ceny:

truskawki w czekoladzie, pianki w czekoladzie – 1,5 Bs,

popcorn – 5 Bs,

coca-cola 2,5 l – 11 Bs,

przechowanie bagaży na dworcu autobusowym (7 Bs/szt. – niezależnie od liczby godzin, trzeba odebrać przed 23).

27 maja – La Paz

Śniadanie zjedliśmy w hotelu. Później poszliśmy kupić bilety powrotne po 3-dniowym zwiedzaniu południowej Boliwii z Uyuni do La Paz na 30 maja, aby nie okazało się że znowu nam ich braknie. Zdecydowaliśmy się na zakup biletu w autobusie o podwyższonym standardzie przeznaczonym dla turystów, aby w miarę wygodnie dojechać do La Paz, bo zaraz potem zamierzaliśmy jechać dalej do Cuzco (firma Todo Turismo, 250 Bs/os.). Następnie taksówką za 15 Bs pojechaliśmy na jeden z wielu punktów widokowych górujących nad La Paz – Kili Kili. Później spacerkiem udaliśmy się na kolejny punkt widokowy Laika Kota, ale widok z niego nie dorównywał temu, który widzieliśmy w poprzednim miejscu. Jako że autobus mieliśmy dopiero o 19, położyliśmy trochę po mieście, odwiedzając m.in. słynny Targ Czarownic, na którym można kupić wiele dziwnych specyfików (z europejskiego punktu widzenia), m.in. suszone płody lamy, które zakopane pod fundamentami domów mają przynieść szczęście rodzinie zamieszkującej dane domostwo. Na obiad znowu kurczak z frytkami i ryżem (taka boliwijska spe-

cyfika ☺) za 14 Bs za porcję. W autobusie do Uyuni po raz pierwszy podczas tej podróży spotkaliśmy parę Polaków.

28 maja – Uyuni (Salar de Uyuni)

Do Uyuni przyjechaliśmy punktualnie ok. 7.00. Od razu po wyjściu z autobusu otoczyli nas różni naganiacze, którzy prezentowali swoje oferty wycieczek na Salar de Uyuni i pozostałą część Altiplano. Nie chcieliśmy pochopnie podejmować decyzji, więc odwiedziliśmy kilka agencji. W zasadzie trasa wszędzie jest identyczna, więc o wyborze danej oferty decydują detale. My kupiliśmy 3-dniową wycieczkę w agencji Betto Tours za 750 Bs/os., która w cenie zaoferowała wypożyczenie śpiworów (bardzo się przydadzą podczas okropnie zimnych nocy). Wycieczka miała się rozpocząć o 10, więc poszliśmy zjeść w jednej z knajpek śniadanie (śniadanie americano z jajecznicą za 14 Bs/os.). Kierując się wskazówkami w agencji, poszliśmy kupić spore zapasy wody na drogę (3x2 l – 21 Bs – jak się okazało, nie było potrzebne aż tyle wody) oraz 4 batoniki i Pringels, które niestety, jako że były słodyczami z Europy, kosztowały sporo, bo aż 56 Bs.

Razem z nami do jednego jeepa zapakowano australijskie małżeństwo oraz dwie urocze Hiszpanki. Nasz kierowca, niestety, nie mówił w ogóle po angielsku, ale na szczęście najważniejsze rzeczy tłumaczyły nam owe Hiszpanki. Pierwszym przystankiem tradycyjnie było cmentarzysko pociągów, które pozostały na skraju pustyni solnej jako ślad istniejącej tu ponoć w przeszłości linii kolejowej. Następnie odwiedziliśmy targ solny, na którym zakupiliśmy sobie drobne pamiątki z Salaru. Później wjechaliśmy na główną atrakcję całej wycieczki – Salar de Uyuni. Jest to największa pustynia solna na świecie o powierzchni ok. 12 tys. km², zlokalizowana na wysokości ok. 3653 m n.p.m. Jest to zarazem jeden z najbardziej płaskich terenów na ziemi, na całym obszarze pustyni solnej różnica poziomów wynosi zaledwie 40 cm. Kolejnym przystankiem była wysepka pełna kaktusów – Isla Incahuasi, która dookoła jest otoczona przez pustynię solną. Wejście na teren wyspy jest dodatkowo płatne – 30 Bs od osoby. Ze szczytu wzgórza roztacza się przepiękny widok na bezkres pustyni solnej. Po drodze na nocleg zatrzymaliśmy się jeszcze w miejscu, w którym utworzyły się przeręble, ukazujące przekrój przez warstwę soli oraz znajdującą się pod nią lodowatą wodę. Skorzystaliśmy z okazji i wyłowiliśmy dla siebie kilka drobnych kryształków soli.

Nocleg mieliśmy zaplanowany w wiosce San Juan w hotelu praktycznie całkowicie zbudowanym z soli, co dawało niesamowity efekt. Na kolację podano nam gorącą zupę oraz kurczaka z frytkami. Wieczór spędziliśmy sympatycznie, integrując się z resztą grupy przy grze w karty. Przed snem na rozgrzanie wypiliśmy jeszcze resztę naszego polskiego Krupniku i poszliśmy spać. Było bardzo zimno, więc radzimy zabrać ze sobą bardzo ciepłe ciuchy.

29 maja – Altiplano

Dzień rozpoczęliśmy śniadaniem o 8.00, po którym wyruszyliśmy naszym Lexusem 4x4 na drugi dzień zwiedzania południowej Boliwii. Pustynia solna już za nami, teren stał się bardziej urozmaicony, ale nadal brak śladów cywilizacji. Nasz przewodnik, kucharz i kierowca w jednym, poinformował nas, że w wiosce, w której spaliśmy, mamy jedyną okazję dokonania zakupów na kolejne prawie 2 dni. Jako że wody mieliśmy aż zanadto, to kupiliśmy po małym piwie na wieczór (12 Bs/szt.). Pierwszą atrakcją w tym dniu był wulkan Ollague o wysokości 5865 m n.p.m., leżący na granicy Boliwii z Chile. Następnie zobaczyliśmy kilka lagun, m.in. Lagunę Cañapa, w których bro-

dziły dostojnie flamingi. Podczas przerwy nasz kucharz przygotował nam lunch w postaci kotleta z kury z ziemniakami. Kolejnym punktem po ok. 170 km było kamienne drzewo – Arbol de Piedra. W dalszej drodze dotarliśmy do oficjalnego punktu poboru opłat za wstęp do parku narodowego Reserva Nacional de Fauna Andina Eduardo Abaroa (150 Bs/os.). Kolejnym przystankiem była Laguna Colorada, jezioro charakteryzujące się pięknymi czerwono-pomarańczowo-białymi barwami. Leży ono na wysokości 4278 m n.p.m., obejmuje obszar około 60 km² i osiąga maksymalną głębokość 80 cm. Była to ostatnia atrakcja drugiego dnia naszej wycieczki, po której udaliśmy się na nocleg do miejscowości Huayajara. Jest to najzimniejsza noc na całej trasie, ponieważ śpi się na wysokości około 4600 m n.p.m. Tutaj spaliliśmy całą grupę na sali 6-os., ale przed snem ponownie integrowaliśmy się, grając w karty. Integrację ułatwiała nam podana do kolacji (zupa i spaghetti) butelka wina. Druga butelka została zasponsorowana przez Australijczyków.

30 maja – Altiplano

Już o 5.00 było śniadanie (naleśniki), a godzinę później wyjechaliśmy na dalszy podbój południowej Boliwii. Pierwszą atrakcją tego dnia były gejzery Sol de Mañana, na wysokości 4850 m n.p.m. Jak na gejzery przystało, charakteryzowały się one dymem, bąbelkami oraz zapachem siarki. Po kolejnych 52 km dojechaliliśmy do imponującej niebiesko-zielonej laguny Verde (4400 m n.p.m.), nad którą góruje wulkan Licancabur (5920 m n.p.m.). Następnym punktem naszej wycieczki były gorące źródła Termas de Polques (wstęp 6 Bs/os.). Po ostatnich zimnych nocach kąpiel w tych źródłach o temperaturze wody 29,4°C była prawdziwą przyjemnością. Potem droga wzbijała się na wysokość ponad 5000 m n.p.m. i przechodziła obok wspaniałych skał Rocas de Dali, ale ze względu na uporczywy, zimny wiatr nie wychodziliśmy z auta. Kolejnymi formacjami skalnymi zwiedzanymi przez nas były Valles de Rocas. Następnie udaliśmy się już w kierunku Uyuni, zahaczając o wioskę górniczą San Cristóbal, w którym można podziwiać 350-letni kościółek (niestety, podczas naszego pobytu był zamknięty). Ok. 16.30 dojechaliliśmy po 3 dniach spędzonych w zasadzie w aucie do Uyuni, skąd o 20 mamy nocny autobus do La Paz (firma Todo Turismo, 250 Bs/os.).

31 maja – Przejazd z Uyuni do Cusco

Po 12 godzinach dojechaliliśmy do La Paz, gdzie mieliśmy tylko 30 minut na przeładunek do kolejnego autobusu do Cusco w Peru. Zdążyliśmy na dworzec jedynie zjeść po hamburgerze (10 Bs/szt.) i kupić Pringelsy na drogę (5 Bs). O 8.30 wyjechaliliśmy do Cusco (firma Litoral, 130 Bs/os.). W autobusie dostaliśmy jakieś słodczyce i sok. Ok. 22 (godzinę po planowanym przyjeździe) dojechaliliśmy do Cusco. Już w autobusie jakiś koleś zagadał do nas z ofertą pokoju. Jako że po 25 godzinach jazdy byliśmy wykończeni, przystaliśmy na jego propozycję, aczkolwiek na miejscu urwaliliśmy jeszcze z ceny 10 Bs. Zostajemy tutaj na dwie noce. W hotelu wzięliśmy tylko gorący prysznic, wypiliśmy po piwie i poszliśmy spać – nie mieliśmy już nawet sił, aby iść coś zjeść.

Nocleg: Inka Ollantay (<http://www.agoda.com/pl-pl/hostal-inka-ollantay/hotel/cuzco-cusco-pe.html?cklg=1>) – 50 \$/dobę za pokój dwuosobowy z łazienką i śniadaniem.

1 czerwca – Cusco

Po śniadaniu w hotelu (bułki, dżem, kawa) zebraliśmy nasze brudne ciuchy (wyszło ok. 4 kg) i oddaliśmy do prania – 21 \$. Później poszliśmy zwiedzać jedno z najbardziej

malowniczych miasteczek w Peru, które w 1983 roku zostało wpisane na listę UNESCO. Na głównym placu – Plaza de Armas trwała jakaś fiesta, może dlatego, że była niedziela. Udało nam się wejść do katedry, ponieważ akurat odbywała się msza św., co pozwoliło nam po jej zakończeniu na szybkie zwiedzanie, bo normalnie katedra była w tym dniu zamknięta dla zwiedzających. Ciekawostką w katedrze jest ciemnoskóry Chrystus – El Negrito, który ponoć ma ciemną skórę od dymu świec. Na uwagę zasługuje również nietypowy obraz ostatniej wieczerzy, przedstawiający Chrystusa i jego uczniów jeżdżących jako danie główne pieczoną świnkę morską.

Z drugiej strony rynku stoi Iglesia de la Compañia (wstęp 15 S/os.) – miał to być największy kościół w Cusco, ale plany jezuitów zniweczył biskup, który stał na stanowisku, że żaden kościół nie powinien przewyższać swoim majestatem katedry. Zdjęć zarówno w katedrze, jak i w tym kościele robić nie można, ale tutaj w cenie biletu wstępu dostaliśmy płytkę CD, która zawierała m.in. zdjęcia. Zajrzeliśmy jeszcze do Qorikancha oraz klasztoru Santo Domingo (www.qorikancha.org/). W kościele tym jedna z naw była poświęcona MB Częstochowskiej, Janowi Pawłowi II oraz siostrze Faustynie Kowalskiej.

Po zobaczeniu tych ciekawych zakątków w centrum poszliśmy ok. 2 km w górę wąskimi uliczkami zwiedzić ruiny Inków zwane Sacsayhuaman. W związku z tym kupiliśmy tutaj Boleto Turistico (130 S/os.), który oprócz owych ruin uprawniał do odwiedzenia wielu innych, planowanych przez nas w kolejnych dniach (bilet jest ważny bodajże tydzień – szczegóły: <http://www.cosituc.gob.pe/>). Jest to opłacalna opcja dla tych, którzy zamierzają zwiedzić kilka ruin, bo pojedyncze bilety kosztują w najdroższych miejscach około 70 S. W pobliżu stoi też pomnik Chrystusa podobny do tego w Rio de Janeiro, ale oczywiście znacznie niższy. Tutaj też zakupiliśmy dla znajomej małą miniaturę Machu Picchu (5 S). Wieczorem kupiliśmy jeszcze inne pamiątki dla znajomych: czapki (8 S/szt.), buteleczki 250 ml pisco (15 S). Korzystając z Internetu, zarezerwowaliśmy bilety na 4 czerwca do Limy (180 S/os.), bo w agencjach za te same bilety chcieli nawet 250 S. Na obiadokolację zjedliśmy już niemal tradycyjnie po 1/4 kurczaka z frytkami i ryżem (12 S) plus 1 l coca-coli za 5 S.

Inne ceny: sok z banana lub ananasa – 3 S, inca cola – 2 S, woda 0,5 l – 1,2 S.

2 czerwca – Święta Dolina Inków

Wstaliśmy ok. 7, kąpiel i śniadanie w pokoju. Do godz. 10 musieliśmy opuścić pokój, ale zostawialiśmy nasze bagaże na czas podróży do Machu Picchu w depozycie. Głównie bagaże zostają w Cusco, gdyż z informacji wynikało, że pociągiem, którym pojedziemy do Aguas Calientes, można przewozić tylko bagaż podręczny do 5 kg. Szczegółowo powiedziawszy, nikt tego nie sprawdzał, ale też nie widzieliśmy nikogo z dużym bagażem. W hotelu doszło jeszcze do małego zgrzytu, ponieważ właścicielka mimo pierwotnych ustaleń chciała od nas opłaty za przechowanie bagażu – oczywiście w końcu nie zapłaciliśmy ani grosza. Po zostawieniu bagaży poszliśmy na lokalne colectivo (5 S/os.), aby pojechać do pierwszej atrakcji, tj. ruin w Chinchero. Niestety (albo na szczęście) po paru kilometrach zauważyliśmy, że nie mamy paszportów, które przypadkowo zostawiliśmy na stole w hotelu. Na szczęście po naszym szybkim powrocie do hotelu okazało się, że paszporty leżały nienaruszone. W końcu dotarliśmy do Chinchero (wstęp w ramach Boleto Turistico), gdzie zwiedziliśmy ruiny Inków wraz z rozległymi tarasami uprawnymi oraz wybudowany później kościół.

Kolejnym celem były miasteczka Moray i Maras, oddalone o kilkanaście km od Chinchero. My pojechalismy lokalnym autobusem za 2 S do rozwidlenia dróg, z których jedna prowadzi właśnie do Maras, stamtąd po uzgodnieniu z jednym z miejscowych jego samochodem udalismy się za 42 S najpierw zwiedzić kręgi rolnicze w Moray (wstęp w ramach Boleto Turistico), a następnie tarasy solne w Maras (7 S/os.). W Moray znajdują się kamienne kręgi, które są uznawane za inkaskie laboratorium rolnicze. W zależności od położenia kręgu cechował się on innym nasłonecznieniem oraz warunkami uprawy roślin. Z kolei w Maras znajdują się tarasy solne zwane salinas – naturalnie słona woda spływa ze zbocza do około 3 tys. wykopanych ręką człowieka studni. W owych studniach na dnie osadza się sól, która jest zbierana do dnia dzisiejszego. Zgodnie z radą naszego kierowcy nie wracalismy z nim do Maras, tylko, zwiedzając tarasy solne oraz schodząc do doliny, doszliśmy do drogi gdzie po ok. 10 minutach złapalismy colectivo do Ollantaytambo (1,5 S/os.). Tam zwiedzilismy najładniejsze ruiny w dniu dzisiejszym, położone na zboczu góry. Tutaj również wejście było zawarte w ramach Boleto Turistico. Po zakończeniu zwiedzania poszliśmy na zasłużoną pizzę (32 S + 1 l coca-coli za 5 S). O godzinie 19 mieliśmy kupiony już w Polsce bilet na pociąg do Aguas Calientes (Peru Rail 56 USD/os.). Około 21 dotarliśmy na miejsce, gdzie zaraz po wyjściu z pociągu dorwał nas chłopak, oferując pokój za 50 S. Po obejrzeniu pokoju zeszliśmy z ceną do 40 S za dobę. Wieczorem w ramach relaksu kupiliśmy 4 pisco sour za 25 S.

Nocleg: Hotel Angie's (<http://www.imachupicchu.com/hostal-angies>) – 40 S za pokój dwuosobowy z łazienką.

3 czerwca – Aguas Calientes (Machu Picchu)

Wstaliśmy o 4.45, bo bez bagaży nie mieliśmy wiele do roboty. O 5.30 odjeżdża pierwszy autobus z Aguas Calientes na górę pod wejście do Machu Picchu (10 USD/os. w jedną stronę, gdy ktoś od razu kupuje bilet powrotny to płaci 18 USD). Można iść pieszo, ale jest to około 8 km non stop pod górę. Ponieważ mieliśmy zaplanowane oprócz zwiedzania samego Machu Picchu, również wejście na jeden ze szczytów górujących nad tym zabytkiem, zdecydowalismy się na autobus. Mimo że byliśmy jeszcze przed czasem, była już spora kolejka, ale wszystko szło sprawnie – autobusy podjeżdżały jeden za drugim. Za wstęp do Machu Picchu oraz możliwość wejścia na szczyt Huayna Picchu zapłacilismy 156 S/os. Bilety rezerwowalismy ze sporym wyprzedzeniem z Polski przez Internet (<http://www.machupicchu.gob.pe/>), ponieważ obowiązuje limit wejść (400 osób na dzień) na szczyt Huayna Picchu, który koniecznie chcieliśmy zdobyć. Samo wejście do Machu Picchu kosztuje bodajże 128 S/os. Machu Picchu zrobiło na nas duże wrażenie, chyba największe z dotychczas zobaczonych czterech tzw. cudów świata. Dzięki temu, że zostało odkryte na nowo dopiero w 1911 r., jest w dobrym stanie, bo nie zostało splądrowane przez Hiszpanów. Z Machu Picchu wyszliśmy około 14, ponieważ chcieliśmy jeszcze zdążyć coś zjeść przed naszym powrotem do Cusco pociągiem, który mieliśmy o 16.43 (Peru Rail 75 USD/os.). Można tam spędzić jeszcze więcej czasu, warto jedynie pamiętać o zabraniu ze sobą większej ilości wody, bo choć można ją kupić przed wejściem, to jest stosunkowo bardzo droga (0,5 l za 8 S). Warto również pamiętać, że ze względu na to, że Machu Picchu jest uważane za święte sanktuarium Inków, na całym obiekcie nie ma żadnej toalety. Znajduje się tylko jedna przy wejściu głównym (1 S). Ponieważ byliśmy bardzo zmęczeni, ponownie skorzysta-

liśmy z autobusu, który za kolejne 10 USD/os. zwiózł nas na dół. Tam zjedliśmy obiad (pizza + cola za 40 S), a później poszliśmy do pociągu. Tym razem jechał ok. 4 godz., lecz nie dojechał do samego Cusco, tylko do nieodległej miejscowości Poroy. Za tak-sówkę do Cusco, wspólnie z parą z Ekwadoru zapłaciliśmy 30 S. Na nocleg w tym samym hotelu (Inka Ollantay), w którym spaliśmy wcześniej, dotarliśmy ok. 21.

Inne ceny: magnesy na lodówkę – 10 S,

piwo Cusqueña 620 ml – 8 S,

małe Pringelsy – 5 S

4 czerwca – Przejazd Cusco – Lima

Po śniadaniu w pokoju, zadzwonieniu do domu, zostawiliśmy plecaki i poszliśmy kupić jakieś pamiątki. Kupiliśmy m.in. miniaturę Machu Picchu do naszej kolekcji słynnych budowli (20 S) oraz ręcznie robione słynne peruwiańskie czapki (20 S – damska, 25 S – męska). O 14.00 mieliśmy autobus do Limy (Cruz de Sur 180 S/os.). Po drodze czekała nas niespodzianka w postaci zamkniętej drogi z powodu jej remontu. Na szczęście przerwa w podróży trwała tylko ok. 1,5 godz., które spędziliśmy nad pobliską rzeczką, popijając zakupione wcześniej przezornie piwo.

5 czerwca – Lima

Do Limy dotarliśmy ok. 13 po 23 godzinach w podróży, ale już się przyzwyczailiśmy do tylu godzin spędzanych w autobusach. Z dworca autobusowego wzięliśmy taxi (10 S) do hotelu España, w którym spaliśmy też na samym początku naszego pobytu w Peru. Zaraz po zakwaterowaniu poszliśmy zwiedzić znajdujący się tuż za rogiem klasztor św. Franciszka (7 S/os.). Ciekawostką była tam biblioteka klasztorna, w której znajduje się ponad 20 tys. woluminów pochodzących z okresu od XV do XVIII w. Ciekawe były też katakumby, w których spoczywają doczesne szczątki franciszkanów. Tuż również znajduje się obraz przedstawiający ostatnią wieczerzę ze świnką morską jako danie główne. Na obiad poszliśmy do taniej knajpki, w której zjedliśmy jakieś kurczaki po 6 S. Później pojechaliśmy lokalnym colectivo (1,5 S/os.) do dzielnicy Miraflores, znajdującej się nad Pacyfikiem. Choć znajduje się ona tylko ok. 7 km od centrum, to z powodu ogromnego ruchu jechaliśmy tam prawie godzinę. Niestety, drogie hotele, knajpy i inne przybytki nastawione na nadzianych klientów, to nie nasze klimaty i szybko się stamtąd zmyśliśmy. Wieczór, ze względu na przypadającą w tym dniu naszą rocznicę ślubu, spędziliśmy romantycznie przy butelce wina (13 S).

Inne ceny: churros (przepyszna rurka nadziewana czekoladą) 1 S

Nocleg: Hotel España (<http://www.hotelespanaperu.com/>) 65 S za pokój dwuosobowy z łazienką.

6 czerwca – Lima – wylot do Barcelony

Ten ostatni nasz poranek w Peru zaczęliśmy od śniadania americano w pobliskiej knajpie (6 S/os.). Jeszcze bez bagaży poszliśmy zrobić ostatnie zakupy. Kupiliśmy m.in. dla naszych braci po butelce pisco (750 ml 20,9 S), dla nas też butelkę pisco, ale w ozdobnym opakowaniu (40 S) oraz miniaturkowe buteleczki za 5 S. Po drodze miejscowi ostrzegli nas, że mamy nie skręcać w jedną z przecznic, bo okolica tam niebezpieczna. Oczywiście skwapliwie posłuchaliśmy ich rady ☺. Dla naszych rodziców dokupiliśmy jeszcze po małej lamie (oczywiście maskotce – 10 S). Po zrobieniu zakupów poszliśmy to wszystko zapakować, zostawiliśmy plecaki w depozycie i wyszliśmy jeszcze na kilka godzin na miasto. W jednym z parków wypiliśmy po piwku, zwiedziliśmy

klasztor Santo Domingo (7 S wraz z wejściem na wieżę). Na obiad w ostatnim dniu postanowiliśmy skosztować pieczonej świnki morskiej. Pomimo swej dość wysokiej ceny (50 S) nie przypadła nam do gustu – mało mięsa, twarda skóra i dużo kości. Po godzinie 17 zamówioną taksówką pojechaliśmy na lotnisko (25 S). Na lotnisku po oddaniu bagaży mieliśmy jeszcze czas, aby pożegnać się z Peru, wypijając ostatnie piwo Cusqueña na parkingu przed lotniskiem. Lot linią Air France mieliśmy o 21.20. W samolocie catering był na przyzwoitym poziomie, zwłaszcza że do ciepłej kolacji podano po 2 buteleczki wina ☺. Dość dobry system rozrywki pokładowej umilił nam ponad 11-godzinny lot do Paryża.

7 czerwca – Przylot do Barcelony

Lot do Paryża szybko zleciał – na miejscu wylądowaliśmy ok. 16. Kolejny samolot do Barcelony mieliśmy o 20.55. Z powodu opóźnienia w Barcelonie wylądowaliśmy grubo po 23. Na szczęście autobusy z lotniska do centrum, gdzie mieliśmy nocleg, kursowały nawet po 24. Znaleźliśmy naszą kwaterę, którą dzięki kodom zarezerwowaliśmy na portalu airbnb za darmo. Pomimo pierwotnych trudności z dodzwonieniem się do gospodarza w końcu wylądowaliśmy w łóżkach.

8 czerwca – Przylot do Katowic

Pokój niestety musieliśmy opuścić przed 10 i to z bagażami. Nie za bardzo chciało nam się chodzić z ciężkimi bagażami po mieście, więc zasadniczo udaliśmy się praktycznie zaraz na lotnisko, gdzie wypiliśmy kawę i wrzuciliśmy coś na ząb. Nasz samolot linii Wizzair odleciał punktualnie o 15 do Katowic, gdzie wylądowaliśmy po około 3 godz. i skąd już mamy tylko paręnaście kilometrów do domu.

Brazylia – kraj mlekiem i kawą płynący



Termin: 15 lutego – 18 marca 2015 roku

Trasa: Warszawa – Madryt – Rio de Janeiro – Petropolis – Oruro Preto – Mariana – Belo Horizonte – Marila – Londrina – Foz Do Iguaçu – Ciudad del Este – (Paragwaj) – Asuncion – Encarnacion – Trynidad – Jesus de Tavarangue – Posadas – S'Ignacio Mini (Argentyna) – Posadas – Santo Tome – S'Borja – Sao Francisco – Cambara – Argoio Do Sul – Torres – Laguna – Curitiba – Paranaagua – Curitiba – S. Paulo – Madryt – Berlin – Warszawa

Komunikacja: Warszawa – Madryt (Norwegian 200 PLN), Madryt – Rio de Janeiro, powrót: S'Paulo – Madryt – Berlin (Iberia 1100 PLN). Berlin – Warszawa – autobus (95 PLN)

Pewnie nie tylko podróżnicy marzą, aby uczestniczyć w paradzie karnawałowej w Rio de Janeiro? Kiedy kupowałem bilet lotniczy, zorientowałem się, że dzień wylotu z Madrytu dokładnie przypadał na koniec karnawału, trochę się przestraszyłem wizji roztańczonych tłumów na ulicach. Muszę sobie poradzić! Postanowiłem.

15 lutego

W południe wylatuję z Warszawy do Madrytu, zdecydowałem się na lot „Norwegianem” i po raz kolejny przekonałem się o solidności tego przewoźnika. Z lotniska metrem jadę do centrum Madrytu, najlepszy sposób poruszania się po mieście. W historycznym centrum jest bardzo dużo tanich hosteli, łatwo znaleźć ich adresy w Internecie. Z mojego jest blisko do Muzeum Prado. Kolejka potencjalnych zwiedzających zaczyna się od ogrodu botanicznego, ale posuwa się szybko, czekam około dziesięciu minut i wchodzę na ekspozycję, w niedzielę od 17 do 19 wstęp bezpłatny. Wieczorny spacer po Madrycie, powrót do hostelu i spanie.

16 lutego

Po śniadaniu na lotnisko i odlot do Rio. Przylot wieczorem, z terminalu autobus lotniskowy do centrum 12 R (reali). Wsiadam blisko pętli autobusów miejskich i wsiadam, przednim wejściem, przez kołowrotek (bardzo niewygodnie dla plecakowicza!) w autobus 133, którym dojeżdżam pod sam hostel, dormitorium 12 euro, ale w okresie karnawału łóżko trzykrotnie droższe, padam na nie zmęczony i zasypiam.

17 lutego

Mieszkam w dzielnicy Flores, blisko stacji kolejki linowej na Corcovado, czyli górę z posągiem Chrystusa. Do kasy kolejka, nie uwzględniają żadnych praw do zniżek, wjazd za kilka godzin. Oferowany jest przejazd mikrobusami, warto skorzystać. Postanawiam iść pieszo, ale po kilkudziesięciu metrach dyszę ze zmęczenia w upale i zatrzymuję motocykl, za 15 R przejeżdżam przez favele, czyli osiedla bieda-domków, wjeżdżam na kolejny parking dla mikrobusów, mogę jednak iść pieszo, szlak prowadzi przez tropikalny las – odnajduję kwitnące bromelie i inne egzotyczne rośliny. Aby znaleźć się pod figurą Zbawiciela, trzeba kupić bilet wstępu, nabywam go u kobiety, która sprzedaje również bilety na przejazd mikrobusami. Pod sam posąg wjeżdżam windą, roztacza się piękny i rozległy widok, ale ścisk okropny! W dół zjeżdżam mikrobussem, a potem inną drogą schodzę blisko mojej ulicy. Po południu odpoczywam, idę do banku i poznaję najbliższą okolicę.

18 lutego

Wtorek, a więc mogę zacząć zwiedzanie miasta i jego muzea. Jadę autobusem do stacji kolejki linowej na „głowę cukru”, tych głów okazuje się, że jest kilka, płacę 5 R za bilet, a więc podejrzanie tanio. Kiedy chcę wysiąść na pierwszej stacji, informują mnie, że na „głowę cukru” są trzy przystanki, ok. jadę do końca. Widoki tylko na favele i niedalekie góry, bilet w dół też 5 R. Wracam autobusem do centrum, zwiedzam Bibliotekę Narodową, okazuje się, że jest na liście UNESCO ze względu na zbiory dokumentów związanych z kolonizacją i chrystianizacją Brazylii i Ameryki Południowej. W Ope-rze Narodowej odnajduję malowidło przedstawiające Polaków w stroju szlacheckim, rodem ze „Strasznego dworu”. Ciekawe jest usytuowanie i wyposażenie najstarszego kościoła; pobliska katedra jest nowoczesną budowlą, ale warto do niej zajrzeć. Niestety, zabytkowy tramwaj do dzielnicy kolonialnej św. Teresy nie kursuje, ale w restauracji przy pętli tramwajowej jem obiad po promocyjnej cenie 3,50 R za 100 gram potraw, kawa gratis, w dowolnych ilościach.

Po obiedzie wracam do hostelu, aby odpocząć przed karnawałowymi szaleństwami. Wychodzę o szóstej po południu, na ulicach fantastycznie przebrani ludzie, jedni idą na plac, na którym spotkają się miłośnicy samby, drudzy zmierzają na miejsce zbiórki fanów flamenco. W paradach uczestniczą młodzi i starsi, miejscowi i turyści, wszystkich rytm samby mobilizuje do rytmicznego kołysania biodrami, ja też tańczę i bawię się znakomicie. Na dużym placu spotykają się miłośnicy różnych rytmów, ale wszystkich łączy samba. Wracam do hostelu późnym wieczorem.

19 lutego

Planuję dziś zwiedzanie Muzeum Narodowego (wstęp gratis) i odpoczynek na plaży Copacabana. Nie mogę długo uleżeć na gorącym piachu, spaceruję brzegiem oceanu w kierunku fortu. Na forteczne wzgórze dla emeryta wstęp bezpłatny. Droga na szczyt prowadzi przez tropikalny las. Zauważam małpki marmozety zwyczajne, chociaż nie są pospolite i bardzo sympatyczne, mają charakterystyczne białe kosmate uszy, które czynią głowę ich tak dużą jak one same. Odnajduję też inny gatunek bromelii. Widok z twierdzy jest fantastyczny na zatokę Oceanu Atlantyckiego z piaszczystymi, szerokimi plażami, okoliczne „głowy cukru”, Corcovado i bezmiar wody oceanu. Wieczorem wracam do hostelu.

20 lutego

Ruszam w interior. Autobus 133 na dworzec odjeżdża spod mojego hostelu. Do Petropolis są częste kursy, bilet 32 R. Można spróbować nie wysiadać na końcowym przystanku, a na pierwszym w drodze powrotnej do Rio, wtedy autobus zatrzyma się prawie pod hotelem „148”. Z terminalu (rodovaria) jest ok. stu metrów do kościoła, trzeba iść z lewej jego strony i skręcić w pierwszą ulicę w lewo, pod górę, z daleka widać numer i zarazem nazwę „148”. Noc w dormitorium 45 R ze śniadaniem, jak mówią w Brazylii „con kafe”. Petropolis to cesarskie miasto, bardzo ciekawe i piękne. Główny pałac w uporządkowanym ogrodzie, wstęp płatny, ale do innych pałaców, należących do wysokich rangą urzędników cesarstwa, wejście gratis. Wyposażenie obiektów meblami z końca XIX wieku, w katedrze groby cesarzy brazylijskich.

21/22 lutego

Okazuje się, że nie ma bezpośredniego autobusu do Oruro Preto, kupuję bilet do Juiz de Fora, potem do Lafaiete, Oruro i Oruro Preto. Schronisko Młodzieżowe HI jest obok okazałego ratusza, obecnie muzeum, z dworca autobusowego ok. 10 minut piechotą, często kursują autobusy miejskie. W dormitorium (38 R ze zniżką na nasze PTSM HI) byłem sam przez dwie noce, śniadanie podawane w stylowej jadalni z widokiem na zabytki miasta. Wstęp do niektórych kościołów jest płatny, jednak przed mszą i po niej można wejść swobodnie, zawsze trzeba kupić bilety do muzeum sztuki sakralnej. Do innych muzeów i galerii wstęp bezpłatny, oprócz tego w ratuszu. Warto kupić wyroby z kamieni półszlachetnych oraz wyroby ze złota, któremu miasto zawdzięcza rozkwit i wpisanie na listę UNESCO.

23 lutego

Aby dojechać do sąsiedniego, kolonialnego miasta, też z listy dziedzictwa kulturowego, nie trzeba iść na dworzec, przystanek autobusu jest przy dużej, jezuickiej szkole, która mieści się przy placu ratuszowym. Po Marianie chodzi się dobrze, ponieważ ulice nie prowadzą na wzgórze. Do zobaczenia budownictwo historyczne: kamieniczki i kościoły, łącznie z katedrą, muzea gratis. Niestety większość kościołów w poniedziałki zamkniętych. Jadę do Belo Horizonte.

W środy i niedzielę odjeżdżają bezpośrednio, nocne autobusy do Iguacu, oczywiście z Belo Horizonte, do którego bez problemu dojeżdżam z Mariany. Mimo pięknej nazwy w mieście nic ciekawego nie ma, autobus do Marylii (148 R) odjeżdża o 19.30.

24 lutego

Przyjeżdżam o 8.30. Nocne podróżowanie jest wygodne, w autokarze jest toaleta, woda pitna, rozkładane fotele, trzeba pamiętać o cieplej odzieży, bo można zmarznąć w klimatyzowanym pojeździe. Okazuje się, że muszę czekać do wieczora na następny autobus, decyduję się na przejazd do Londriny, potem do Maringi (116 R). Kolację jem w systemie bufetu, płacę 13 R i jem do woli, rzucam się na wołowinę duszoną, kiedyś u nas nie była taka droga, więc teraz korzystam z okazji, oczywiście kawa gratis. Autobus do Iguacu (90 R) odjeżdża o 23.35.

25 lutego

Jestem w Iguacu o 8.00. Wypijam kawę, jem śniadanie, muszę przejechać na dworzec autobusów miejskich, ale to żaden kłopot. Autobus 120 jedzie do parku narodowego. Trzeba wsiadać środkowym wejściem, przejazd dla wszystkich turystów jest bez-

płatny. Wsiadam przy drodze do schroniska HI, dobre oznaczenie, warto poczekać na specjalny, bezpłatny autobus, który podjeżdża pod bramę schroniska i kempingu. Hostel jest luksusowy, 35 R ze śniadaniem (ceny podają ze zniżką na PTSM HI). Do dyspozycji gości basen, bardzo miła obsługa, ten dzień przeznaczam na odpoczynek po podróży i pranie.

26 lutego

Specjalnym autobusem dojeżdżam do przystanku 120 i też bezpłatnie pod bramę, a raczej kasę parku narodowego. Wstęp 55 R bez zniżek, bo nie uwzględniają żadnych praw turystów, wstęp do Parku Ptaków 35 R, ale przy dworcu autobusów miejskich do ogrodu zoologicznego wstęp jest darmowy. W cenie biletu jest przejazd specjalnym autobusem, który zatrzymuje się przy ciekawych miejscach do zwiedzania. Gdy wsiądziemy na drugim przystanku, to trafimy na początek trasy spacerowej wzdłuż krawędzi wodospadów. Niestety, wstęp na teren rezerwatu do godziny 16, a o 17 trzeba wracać. Powrót 120 do miasta jest płatny. Nie będę się silił, aby opisać piękno i grozę wodospadów Iguacu. Kilka lat wcześniej spacerowałem przy wodospadach po stronie argentyńskiej. Która ciekawsza, ocenicie sami, tym bardziej że nie obowiązują wizy, możemy więc swobodnie krążyć między Argentyną a Brazylią, Paragwajem itd.

27 lutego

Muszę wrócić do Fort Iguacu, dojeżdżam na terminal, z którego często kursuje autobus do Paragwaju do Ciudad del Este. Trzeba uważać, aby nie zgubić biletu, ponieważ wsiadamy na posterunku granicznym Brazylii, załatwiamy pieczętkę wyjazdową (jako cudzoziemcy musimy to zrobić), nie sprawdzają jednak karty wjazdowej, którą wypełniałem w samolocie i podstemplowałem na lotnisku w Rio. Przechodzę przez most, załatwiam pieczętkę wjazdową do Paragwaju i wsiadam do autobusu na ten sam bilet, który kupiłem w Brazylii. Ciudad del Este jest jednym, ogromnym bazarem. Na granicy można wsiąść do autobusu do Asunción, ja jadę na terminal i tam rozpoczynam podróż do stolicy. Przyjeżdżam, kiedy jest już ciemno, miasto straszne, poszukuję hoteliku w okolicach katedry, rejon niebezpieczny, nieoświetlone, brudne ulice, wszędzie bezdomni, trafiają do burdelu i tam nocują, tanio i dobrze.

28 lutego

Mieszkam w centrum, więc blisko na główny plac, na którym Narodowy Panteon z ołtarzem Ojczyzny, trafiają na uroczystą zmianę warty. Idę do katedry, typowa budowla sakralna z czasów kolonialnych. Warto zwiedzić Muzeum Narodowe, bezpłatnie, ale poruszanie się po mieście nie sprawia przyjemności ze względu na bezdomnych, którzy są wyjątkowo brudni i zebrzą w sposób natarczywy. Na rogach ulic stoją policjanci, ale nie mogą interweniować, jeżeli coś się dzieje pięćdziesiąt metrów dalej, ponieważ opuściliby wówczas posterunek. Wracam na dworzec autobusowy inną drogą, przejeżdżam przez dzielnicę willową – niektóre rezydencje bardzo piękne, ale wręcz ufortyfikowane, lepiej widoczne z okien autobusu niż z perspektywy pieszego. Na szczęście jest bezpośredni autobus do Trynidadu, przez Posadas, trzeba pamiętać, aby nie wsiadać w Posadas, mimo że prawie wszyscy wsiadają, za chwilę wsiądą nowi pasażerowie i dojedziemy do Trynidadu del Parana. Nocuję w domowym pensjonacie za 110 peso ze śniadaniem, dwie noce. Hotel tuż przy ruinach oferuje pokoje za 50 peso.

1 marca

Jest niedziela, a więc kościół parafialny jest otwarty, warto go zwiedzić, ponieważ zachowane jest częściowo wyposażenie z kościoła misyjnego. Bilet do ruin dość drogi 250 peso, ważny do trzech misji, w muzeum obok kasy praktycznie nic nie ma, dlatego warto zwiedzić kościół parafialny. Ruiny kościoła, klasztoru i domów Indian Guarani wyjątkowo okazałe, jedno z najpóźniejszych z 1706 roku. W dawnej zakrystii ciekawe lapidarium, należy powiedzieć strażnikowi przy bramie, że chce się zwiedzić muzeum, wtedy podejdzie z nami i otworzy szeszel. Okazując ten sam bilet o 20.30 uczestniczę w wieczornym pokazie „światło i dźwięk” jako jedyny turysta.

W niedzielę nie funkcjonuje zbiorowa komunikacja do misji Jesus de Tavarangue z 1685 roku, ale miejscowy chłopak podwozi mnie motorem. Kościół misyjny zachował fasadę i ślady polichromii na pilastrach; ciekawe jest małe muzeum przy kasie. Wracam też motorem do głównej drogi, skąd parę kroków do domu. Jem kolację, częstuję się owocami, które ułożyła na paterze gospodyni. Zaczyna padać, ale idę na wieczorne zwiedzanie ruin, fantastycznie!

2 marca

Nie zwiedziłem wczoraj muzeum-lapidarium, więc idę jeszcze raz, już z plecakiem, odnajduję inne ciekawe fragmenty dekoracji, których wczoraj nie zauważyłem. Cieszę się, że dotarłem tutaj, nie bez powodu ruiny te zakwalifikowano na listę UNESCO. Dojeżdżam do Posadas po stronie Argentyny i dalej do San Ignacio, autobus zatrzymuje się dość daleko od drogi do miasteczka. W biurze informacji wprowadzają mnie w błąd, twierdząc, że brak tanich noclegów, dochodzę do kościoła i widzę strzałkę do schroniska HI, jest ono luksusowe i tanie 95 peso, ale wstęp do ruin drogi 150 peso. W San Ignacio najlepiej zachowane są domy Indian, ruiny kościoła i klasztoru mniej efektowne, wieczorem można uczestniczyć w pokazie „światło i dźwięk”. Wracam do Posadas 28 P i późnym wieczorem docieram do S'Tome; przejście graniczne do Brazylii bardzo daleko od miasta, dojazd tylko taxi 50 P. Z granicy do S. Borja kilkanaście kilometrów, trafiaam o północy do motelu za 40 R, zaczyna lać deszcz.

3 marca

Z motelu jeszcze kilka kilometrów do centrum, są autobusy, ale kursują okazjonalnie, terminal po drugiej stronie miasta. Okazuje się, że niepotrzebnie idę na dworzec, bo autobus do S'Miguel przejeżdża obok motelu, w którym nocowałem. Do ruin S'Miguel z głównej drogi kilka kilometrów, dojeżdża autobus, ale rzadko jeździ. Schronisko HI przy samych ruinach, najbardziej eleganckie i tanie (40 R). Wieczorem oglądam widowisko historyczne, wstęp 2,5 R dla seniora.

4 marca

Rano po obfitym śniadaniu zwiedzam okazałe ruiny (wstęp dla zwiedzających, którzy ukończyli 60 lat gratis). Bardzo ciekawe jest Muzeum Misyjne, trafiaam na czasową wystawę poświęconą św. Stanisławowi Kostce, eksponowane są rzeźby polichromowane z drewna przedstawiające świętego. Idę do sąsiedniej wsi, aby zobaczyć studnię a raczej ujęcie wody dla Indian Guarani, mieszkających w dalszych osadach. Autobus do S'Angelo odjeżdża dopiero wieczorem i nie mam czasu, aby zwiedzić jedyny zachowany kościół z czasów państwa kościelnego jezuitów. W planach mam dotarcie w góry, a potem nad ocean, autobus do Caxias Do Sul odjeżdża o 20.00 (95 R).

5 marca

Przyjechałem kilka minut po piątej, jest już widno, ale nie lubię przyjazdów o tej godzinie do nieznanego miasta. O szóstej odjedzie autobus do Canelii, przy samym dworcu jest schronisko HI (60 R bez zniżki). Do Caracol niewiele kursów autobusu miejskiego, który podjeżdża pod samą bramę parku – rezerwatu przyrody. Wstęp 9 R ze zniżką. Wszędzie kwitnie niebiesko hortensja, przede wszystkim zachwycają endemiczny gatunek olbrzymich araukarii i piękne wodospady, które można podziwiać z widokowego tarasu lub zejść po żeliwnych schodach do miejsca, w którym strumień wody rozpryskuje się i tworzy mokrą mgłę. Przy ścieżkach, a zwłaszcza przy schodach do wodospadów, są ławeczki. Po drodze do miasta jest jeszcze rezerwat starych sosn, też wart odwiedzenia.

6 marca

O 8.00 odjeżdża autobus do Sao Francisco (10 R), o 9.15 do Cambary, ale dalej już nie dociera publiczna komunikacja, jestem skazany na autostop. Nie czekam długo, sympatyczne małżeństwo brazylijskie podwozi mnie do Parku Narodowego Aparsados Da Serra i największego kanionu Ameryki Południowej: Itaimbezinho, który ma 700 metrów głębokości, do dwóch kilometrów szerokości i siedem kilometrów długości. Wytyczono trasy: krótszą, aby nią przejść wystarczy godzina, i dłuższą do jej pokonania trzeba kilka godzin, zapewnia zejście na dno kanionu. Ze ścian kanionu spadają liczne strumienie wody, na krawędziach porasta tropikalny las, który tworzą siedemsetletnie araukarie o oryginalnych kształtach. Miejsce fantastyczne, a tak mało znane, fakt, że dojazd jest bardzo trudny. Wracam pełen wrażeń z zaprzyjaźnionym małżeństwem z Porto Alegre. Muszę czekać do 14.00 w Kambarze, aby odebrać plecak ze sklepu, w którym go zostawiłem. Z plecakiem idę na dworzec i dowiaduję się, że autobus do Tantos odjedzie jutro po 13. Próbuję autostopu, bez rezultatu, nareszcie zabiera mnie ciężarówka, podrzuca mnie do drogi w kierunku Terra Do Arco, do celu, który sobie postawiłem na dziś tylko 55 kilometrów. Tym razem uprzejmy kierowca zawozi mnie aż do Arroio Do Sul, tuż nad oceanem. Jest sobota, ale znajduję apartament, kompletnie urządzony za 200 R za trzy noce, bez śniadania. Z willi wychodzę wprost na piaszczystą plażę, której końca nie widać.

7–10 marca

Spaceruję po plaży, w niedzielę jest zatłoczona, ale w poniedziałek zupełnie pusta. Czasem kroi deszcz, ale mi zupełnie nie przeszkadza, wchodzę wtedy do wody. Samodzielnie przyrządzam sobie posiłki, w najbliższej okolicy jest kilka supermarkado.

10 marca

Od rana pada, nie spieszę się więc z opuszczeniem apartamentu, autobus do Terra odjeżdża o 13.00. Potem przesiadki i wieczorem dojeżdżam do Laguny, kolonialnego miasteczka. Zatrzymuję się w pierwszym hotelu przy dworcu (30 R ze śniadaniem), wieczorem jem kolację: danie dnia za 20 R.

11 marca

Rano też pada, ale zostawiam plecak w hotelu i ruszam na zwiedzanie miasta. Wieczorem nie zorientowałem się, że zamieszkałem w hotelu przy promenadzie, obok portu rybackiego. Wody laguny są wzburzone, kołyszają się rybackie kutry. Zagłębiam się w uliczki miasteczka; niektóre domy wyglądają jak ciastka tortowe, kolorowe i przy-

brane sztukateriami jak kremem. Ciekawy jest kościół parafialny, a obok dom Anity, bohaterskiej Francuzki z Nicei, która walczyła o republikę, niestety muzeum z czasów kształtowania się Republiki Garibalina w Casa Pinto O'Ulyseasa zamknięte. Oglądam pomnik heroiny przed dawnym ratuszem, a obecnie muzeum. Mimo nawracającego deszczu zadolowany jestem z wizyty w miasteczku Laguna. Tuż po południu wyjeżdżam do Curitiba; podróż trwa siedem godzin, lepiej więc jechać nocą. Lokuję się w tanim, ale wstrętnym hoteliku przy dworcu (30 R).

12 marca

Wyspałem się jednak i tuż po śniadaniu w sąsiedniej kawiarni, po dziesiątej, docieram do hostelu Roma, recepcja czynna jest non stop, szkoda, że nie dotarłem tu wczoraj w nocy. Schronisko HI znajduje się w zabytkowym budynku, obok dawnego dworca kolejowego, w którym jest muzeum kolejnictwa i ogromne centrum handlowe. Curitiba wygląda na eleganckie miasto, historyczne obiekty giną pomiędzy wieżowcami. Ze spisu zabytków dowiaduję się o pomniku Polski i Polaków w Bosque Jaao Paulo II. Idę więc dość daleko poprzez las tropikalny, aż trafiam na wieś małopolską z drewnianymi chatami, obórkami i stodołą, chaty kryte strzechą i wyposażone jak w skansenie. Oprowdza mnie pani Danuta Lisicka, dyrektorka muzeum od 35 lat. Nie sposób tu wszystkiego powtórzyć i opisać, ale miejsce warte odwiedzenia!

13 marca

Już o 8.00 rano z obecnego dworca rusza zabytkowy pociąg z turystami do Paranagua. Bez zniżek bilet kosztuje 75 R, ale warto przejechać, prawie trzy godziny, przez góry po wiaduktach nad przepaściami, przez kilka tuneli. Pamiętać – zarezerwować miejsce z lewej strony! Do miasteczka kolonialnego Paranagua trzeba dojechać autobusem z dworca, dla seniorów przejazd bezpłatny, trzeba wsiadać tylnym wejściem. Do schroniska HI kilka kroków, jest usytuowane nad samą Paraną, w ciągu zabytkowych kamieniczek. Zachowany częściowo klasztor jezuicki zaadaptowany na muzeum, wstęp gratis. Oglądam zabytkowe kościoły i teatr.

14 marca

Przeżywam kolejny szok: bardzo wygodny pokój, stół śniadaniowy nakryty jak w czterogwiazdkowym hotelu, duży wybór potraw dla mnie, bo jestem jedynym gościem! Cena 45 R, czyli ok. 13 euro. Zostawiam plecak, bo o 9.30 odpływa stateczek spacerowy Paraną do jej ujścia (20 R w jedną stronę). Dopływam do Miodowej Wypły. Brzegi Parany porasta roślinność namorzynowa, są rezerwatem. Wypły jest wpisana na listę UNESCO, zachowana jest pierwotna tropikalna roślinność na Oceanie Atlantyckim. Do zwiedzenia liczne zabytki, między innymi latarnia morska. Mnie fascynują piaszczyste plaże, wzgórza porośnięte bromeliami ananasowymi. Kiedyś były tu dwa schroniska HI, ale w dalszym ciągu istnieje możliwość nocowania i kilkudniowego odpoczynku. Muszę niestety wracać, ostatni stateczek odpływa o 17.00, ale zdążam na autobus o 18.45, bo potem mam nocny autobus o 22.15 do S'Paulo.

15 marca

Około 5.00 przyjeżdżam na ogromny terminal, wypijam kawę i czekam do 6.00, kiedy otworzą informację turystyczną. Mam nadzieję, że dowiem się o dojazd do schroniska HI, położonego w centrum miasta. Sympatyczny informator kieruje mnie do schroniska w Down Town. Stoję w kolejce, aby kupić bilet na metro, pytam o zniż-

kę. Okazuje się, że komunikacja dla seniora, powyżej 60 lat, jest bezpłatna, należy okazać dokument potwierdzający wiek pracownikowi przy przejściu na peron. W wagonie młodzi, widząc starszego człowieka ustępują miejsca! Docieram do schroniska przed 10, a więc zostawiam plecak i idę do Muzeum Narodowego, które otwierają o 10.00. Idąc do muzeum, jestem zdumiony liczbą bezdomnych. Trzeba bardzo uważać, aby nie wdepnąć w coś, tu jest bardziej brudno niż w Asuncion. Galeria Narodowa znakomita, zgromadzono kilkanaście obrazów impresjonistów europejskich, ale najbogatsza jest Pinacoteca Paulista; próbuję dojechać metrem. Na peronach, w wagonach widzę ludzi z pomalowanymi twarzami w barwy narodowe. Ubrani są również w stroje w kolorach żółtym i zielonym, pewnie jadą na mecz, myślę... Dziwię się, że jadą rodziny z dziećmi, osoby starsze, no cóż piłka nożna to narodowy sport. Hałas okropny, bo piszczą wu-wuzele, gwizdzą, bębnią... Wsiadam z metra na stacji obok galerii, wychodzę i trafiaam w środek wielotysięcznej manifestacji antyrządowej. Rozumiem tylko jedno hasło: nie chcemy jeść mortadeli. Faktycznie w każdym schronisku była na śniadanie jako najtańsza wędlna. Przez kilka godzin staram się wydostać z tłumu, w końcu przy pomocy policjanta trafiaam do schroniska.

16 marca

Zostawiam plecak i jadę do katedry, zwiedzam historyczne kościoły, zabytkowe budowle, np. Operę. Jadę powtórnie na Avenida Paulista, ale galeria jest zamknięta. Wiem, wiem: poniedziałek! Nowoczesne centrum miasta jest czyste i eleganckie. Wracam po plecak i jadę metrem czerwonej linii do stacji Taupo i autobusem na lotnisko bezpłatnie, a firmy turystyczne żądają 49 R. Czekają mnie dwie noce w samolocie do Berlina i autobusie do Warszawy.

PODSUMOWANIE

Brazylia jest ogromnym i bardzo ciekawym krajem, nie jest możliwe poznanie go podczas jednej wizyty, wybrałem więc wariant południowy, doskonały dla zainteresowanych niezwykłą przyrodą i misjami jezuickimi. Standard podróżowania bardzo wysoki: wygodne autobusy, luksusowe i niedrogie schroniska. Polecam moją trasę jako mniej popularną, a zróżnicowaną. Jedzenie w Brazylii tanie i obfite, łatwo dostępne niezależnie od godziny, a zamiast coca-coli polecam wino brazylijskie.

Ewa Flak
Jarosław Kociel

Australia camperem



Termin: 8 lutego – 11 marca 2014 r.

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Jacek, Mirek, Piotrek

Trasa lotnicza: Katowice – Dublin (Ryanair – 1 lot) – 196 PLN/os., Dublin – Abu Dhabi – Melbourne (Etihad Airways); powrót: Melbourne – Abu Dhabi (Etihad Airways), Abu Dhabi – Dusseldorf – Wiedeń (Air Berlin) – 5 lotów – 2442 PLN/os.

Trasa lądowa: Melbourne – Joanna Beach – Portland – Adelajda – Woomera – Coober Pedy – Marla – Uluru – Kata Tjuta – Kings Canion Resort – Alice Springs – Przesmyk Standleya – Barrow Creek – Devils Marbles – Camooweal – Mount Isa – Praire – Townsville – Airlie Beach – Hervey Bay – Noosa – Nambucca Head – Sydney – Katoomba – Canberra – Jindabyne – Park Wilsona – Wyspa Filipa – Melbourne

Koszty podróży: 9523 PLN/os. razem z pamiątkami.

Kursy walut: Bardzo niekorzystna jest wymiana pieniędzy przywiezionych z sobą na dolary australijskie. W kantorach pobierana jest opłata, tzw. service fee 8,12%, oraz tzw. compliance fee 3,95 AUD za wymianę. Stąd wynika, że kupując dolary australijskie w Polsce, oszczędza się ponad 10% na wymianach. My zamawialiśmy dolary australijskie w kantorze, płacąc za 1 AUD = 2,82 PLN.

Czas: +10 godz. w stosunku do Polski.

Bezpieczeństwo: Turysta może czuć się w Australii bezpiecznie.

Wizy: Do Australii jest wymagana. Można załatwić ją elektronicznie, otrzymując poprzez odpowiednią aplikację (eVisitor), którą należy złożyć przynajmniej dwa tygodnie przed planowanym wyjazdem. Należy podać między innymi numer paszportu ważnego przez kolejnych 6 miesięcy w momencie uzyskania wizy oraz aktualny adres e-mailowy. Po zaaplikowaniu otrzymaliśmy ją już po minucie.

Język: Z Australijczykami niełatwo się porozumieć, nie tylko ze względu na nietypowy akcent, ale z powodu skrótów czy zupełnie niesłownikowych wyrazów. Na odmienność „australijskiego” składa się nagromadzenie typowych tylko dla tego kraju

słów, inna wymowa, inna melodia języka. Jego podstawą był slang więźniów i pionierów pełen uproszczeń i wulgaryzmów.

Pogoda: Ze względu na ogromną powierzchnię kraju klimat jest zróżnicowany, i tak: gdy średnia temperatura na wybrzeżu oscylowała wokół 25°C, to w części środkowej Australii było prawie 40°C, a w górach 10°C.

Elektryczność: 220V, należy mieć adapter z trzema płaskimi bolcami.

Przewodniki i mapy: Lonely Planet i Gazeta Wyborcza „Australia”.

Koszyk podróżnika: woda mineralna duża 1 AUD, coca-cola 2l – 3 AUD, mleko 2 l – 2 AUD, lody 2 l – 2,19 AUD, banany 1 kg – 1,99 AUD, pomarańcze 1 kg – 4 AUD, jabłka 1 kg – 3 AUD, chleb 1–2 AUD, ser żółty 1 kg – 6 AUD, jajka 12 szt. 3,49 AUD, olej 2 l – 4 AUD, margaryna – 1,89 AUD, makaron (paczka) – 0,99 AUD, ryż – 2 AUD, piersi z kurczaka 1 kg – 12 AUD, kangur 1 kg – 7,99 AUD, wątróbka 1 kg – 5,99 AUD, steki wołowe 5 kg – 12,49 AUD, piwo od 3–4 AUD, wino od – 7 AUD, Internet 1 godz. – 2 AUD, znaczek – 2,60 AUD, kartka pocztowa 1 AUD, (doszły do Polski po 14 dniach), 1 l benzyny – 1,54–2,54 AUD. Zakupy najlepiej robić w supermarketach, które znajdują się prawie w każdym miasteczku. W segmencie ogólnospożywczym mamy dwie firmy (Woolworths i Coles), mające łącznie ponad połowę rynku. Wszystkie ceny artykułów spożywczych można znaleźć na stronach marketów: www.woolworths.com.au, www.coles.com.au, www.aldi.com.au,

8 lutego. Katowice – Dublin

Rano Jarek pojechał do Warszawy, by pobiec w „Półmaratonie Komandosa”. Wprowadziło to trochę zamieszania, bo nie wiedzieliśmy, czy wyrobi się w czasie i zdąży dojechać do domu, aby się przygotować do wyjazdu. Tak więc, na wszelki wypadek spakowałam wszystko sama. Wieczorem przyjechał po nas Jacek i pojechaliliśmy na lotnisko do Pyrzowic. Tam już czekali na nas nasi kompani podróży Mirek i Piotrek. O godz. 21.20 lecimy „Ryanair” do Dublina, lot trwał prawie 3 h. Na miejscu znaleźliśmy halę McDonalda, gdzie rozłożyliśmy się na kanapach i pospaliśmy do rana.

9 lutego. Dublin – Abu Dhabi

O godz. 8.20 liniami „Etihad Airways” lecimy z Dublina do Abu Dhabi (6.45 h). Z Abu Dhabi mieliśmy kolejny lot do Melbourne o godz. 22.30. Po 12.45 h byliśmy na miejscu. Różnica czasu między Polską a Irlandią to –1 h, ZEA +3 h, Australią +10 h, czyli, gdy w Polsce jest 12.00 w południe, w Australii mamy 22.00 wieczorem.

10 lutego. Melbourne

Po wylądowaniu w Melbourne trzeba przygotować się na nieuchronny kontakt ze słynną australijską kwarantanną. Wszystkie produkty pochodzenia zwierzęcego i roślinnego mają zakaz wjazdu do Australii, należy je obowiązkowo zgłosić, w przeciwnym razie ryzykuje się poważnymi karami finansowymi. Wszystkie te produkty można wrzucić do ustawionych na lotnisku kontenerów. Dzięki polityce kwarantanny Australia jest wolna od wielu chorób i szkodników. Z lotniska odebrał nas kierowca z hotelu „Ciloms Airport Lodge” przy 398 Melrose Drive, gdzie mieliśmy zarezerwowany pierwszy nocleg (25 EUR/os.). Warunki w hotelu mieliśmy bardzo fajne: basen, sauna, siłownia. Obejrzeliliśmy pierwsze wiadomości australijskie, a w nich news dnia to zamknięcie fabryki Toyota, wypuszczenie na wolność dealerki narkotyków z więzienia w Tajlandii,

pożar buszu wokół Melbourne, a na koniec rewolucja na Ukrainie. Spróbowaliśmy za-
snąć, aby pokonać jet lag, ale bardziej się umęcziliśmy niż spaliśmy.

11 lutego. Melbourne – Joanna Beach (228 km/3.15 h)

O godz. 11.00 zgłosiliśmy się w biurze „Apollo”, aby wypożyczyć campera Ford Transit. Musieliśmy poczekać na przygotowanie samochodu do drogi oraz doposa-
żenie go w niezbędne przedmioty typu: garnki, sztućce, chemię do toalety. Proce-
dura wynajmu jest dosyć skomplikowana i nie do końca zgadza się z tym, co widnie-
je na stronach internetowych. Sama rezerwacja i wycenienia są proste, dochodzi do
tego kaucja 2500 AUD, przewidziana za opłatę kartą kredytową, przewalutowanie, dodat-
kowe ubezpieczenia, opłata za środek chemiczny do toalety, wykupienie butli gazo-
wych, nawigacja. Potem jeszcze ewentualne mandaty, płatne autostrady, uszkodzenia
itp. Tak więc koszt campera wypożyczonego na 27 dni wyniósł 4791 AUD/5 os. Trochę
trwa cała procedura, ale w końcu po wnikliwym obejrzeniu całego campera i naprawie
uszkodzonych drzwi, moskitiery, zamków, wskazaniu otarć, obić, zaklejeniu taśmą kle-
jącą rozbitego kierunkowskazu, ruszyliśmy w drogę. W Australii odległość do najbliż-
szego warsztatu samochodowego wynosi nieraz kilkaset kilometrów, a koszt holowa-
nia kilkakrotnie może przekroczyć wartość samochodu, dlatego warto mieć dodatko-
we ubezpieczenie. Nasi kierowcy (Piotrek – Jacek) szybko opanowali wszelkie zasady
jazdy i według nawigacji rozpoczęliśmy podróż na zachód. Dzisiaj według założonego
planu mieliśmy dojechać do Joanna Beach. Po drodze zatrzymaliśmy się w pierwszym
supermarkecie „Coles”, gdzie dokonaliśmy zakupów żywnościowych. Wieczorem ugo-
towałam pierwszy obiad. Mając do dyspozycji trzy garnki, patelnię i czajnik, próbowa-
łam ogarnąć obiady dla pięciu osób. Na wyposażeniu są też duże i małe talerze, mi-
seczki, szklanki, kubki, sztućce, podstawowe akcesoria kuchenne, toster i czajnik bez-
przewodowy. Należy zwrócić uwagę, że campera trzeba doładowywać co dwa dni, bo
akumulator, który odpowiada za lodówkę i światło jest w stanie wytrzymać maksymal-
nie tyle, potem jest już ryzyko, że nie będzie światła, chociaż trochę można go podła-
dować dłuższą jazdą. My codziennie przemieszczaliśmy się po kilkaset kilometrów, ale
wysoka temperatura powodowała, że środek samochodu i blacha zewnętrzna nagrze-
wała się mocno, co powodowało większe zużycie lodówki. To takie praktyczne rady.
Ponadto stwierdziliśmy, że pięć osób korzystających z toalety i prysznicza szybko zużyje
wodę, a po kilku dniach w środku będzie jak w publicznej ubikacji, tak więc przez cały
miesiąc ani razu nie skorzystaliśmy z kibelka w środku, a wnęka służyła nam jako sza-
fa, w której można było przechowywać plecaki. Okazało się to dobrym rozwiązaniem,
bo w trakcie drogi wychodziły na jaw dodatkowe „atrakcje” użytkowania campera. Tak
więc, podróżowaliśmy już po drogach pieszko, na dwóch kółkach lub czterech kopy-
tach, tuktukiem, traktorem, samochodem 4x4, wszelkimi ciężarówkami, autobusem na
dachu, a teraz przyszedł czas na campera.

Naszą przygodę z Australią rozpoczęliśmy od odwiedzenia latarni morskiej Split
Point, znajdującej się przy Great Ocean Road. Droga prowadzi przez poszarpane kli-
fowe wybrzeże. Z jednej strony mamy porośnięte lasem skały, a z drugiej turkusow-
ą otchłań Pacyfiku. Great Ocean Road to kręta 242 km droga pomiędzy Torquay
i Warrnambool prawie cała na klifowym wybrzeżu, gdzie fale wyrzeźbiły w skałach naj-
przeróżniejsze formacje. Najciekawsze punkty od wschodu do zachodu to: Apollo Bay,
The Twelve Apostles, Loch Ard Gorge, The Arch, London Bridge, The Grotto.

Pierwszą noc spędzamy w Joanna Beach, jest to kawałek parkingu na dziko, gdzie zatrzymuje się większość camperów i samochodów z przyczepami. Odbywa się tu piknik i grillowanie w odległości 200 metrów od oceanu. Za niewielką wydłą rozciąga się plaża, gdzie można łowić ryby. Piękne miejsce, wyposażone w bieżącą (tylko zimną) wodę i toaletę. Tak rozpoczęła się nasza przygoda z Australią w domu na kółkach.

12 lutego. Joanna Beach – Portland (226 km/3.30 h)

W drodze do Portland oglądamy z tarasu widokowego „Dwunastu Apostołów”, choć widać ich tylko siedmiu. „Dwunastu Apostołów” jest to grupa naturalnie powstałych wapiennych formacji skalnych stojących tuż przy brzegu w oceanie. Aby zobaczyć wszystkich, można wykupić wycieczkę helikopterem za 175 AUD/15 min. Dalej podjeżdżamy do Tower Hill Reserve, gdzie widzimy emu oraz kilka gatunków ptaków wodnych. Obszar znajduje się wewnątrz krateru wygasłego wulkanu stworzonego jakieś 30 000 lat temu. Tower Hill to idealne miejsce, aby doświadczyć australijskiego buszu i cieszyć się wspaniałymi krajobrazami i pejzażami. Można podejść blisko do niektórych z najbardziej znanych rodzimych ptaków i zwierząt w Australii, w tym do emu, koala, kangura, kolczatki. Tam robimy sesję zdjęciową jednemu koali siedzącemu na drzewie eukaliptusowym. Krater ma do zaoferowania kilka szlaków wiodących po wzgórzach. Trasa nie jest jakoś szczególnie wymagająca kondycyjnie. Wieczorem dojeżdżamy do Portland, gdzie zatrzymujemy się przy 37 Percy Street, 3305 Portland Holiday Village w caravan parku za 40 AUD. Cena miejsc w caravan parkach zależy od liczby osób w camperze, podłączenia lub nie do prądu i wody.

13 lutego. Portland – Adelajda (549 km/6 h)

Dzisiaj prawie cały dzień jedziemy. Późnym popołudniem dotarliśmy do Parku Narodowego Grampiany (pasmo górskie). Jedyne miasto na terenie gór to Halls Gap, będące jednocześnie centrum turystycznym regionu. Jadąc krętą drogą przez las, zatrzymujemy się przy punkcie widokowym Reed's Lookout, wysoko nad Victoria Valley. Następnie robimy kilkunastominutowy spacer, który doprowadza nas do The Balconies – „balkony” piaskowcowej skały, zwieszającej się nad przepaścią. Chcieliśmy jeszcze podjechać na inne szlaki, ale droga była zamknięta z uwagi na pożary. Zrobiliśmy zdjęcia i ruszyliśmy do Adelajdy. Tu zatrzymaliśmy się w Levi Park Caravan Park przy 1 Harris Rd, Vale Park South Australia 5081 za 45 AUD bez prądu.

14 lutego. Adelajda – Woomera (518 km/6 h)

Od rana pada deszcz. Podjechaliśmy do fabryki czekolady (Haigh's Chocolates), gdzie wstęp jest darmowy, ale trzeba się wcześniej umówić na zwiedzanie. My przyszliśmy bez wcześniejszej rezerwacji, więc załapał się na szybką opowieść o wytwarzaniu słodkości, a potem poprobowaliśmy kilku rodzajów pralinek. Następnie pojechaliśmy do Muzeum Kolejnictwa, wstęp 12 AUD/os. Muzeum jest zadaszone, więc spokojnie mogliśmy oglądać ciekawe eksponaty. Jest to naprawdę fajne miejsce, gdzie można zobaczyć, jak wyposażone były wagony w pociągach, którymi dokonywano podboju kontynentu. Jak również w jakich warunkach podróżowano po kraju w klasach turystycznych. Są to cudneka, jakich mogą obecnie pozazdrościć pasażerowie I klasy IC.

Dalej ruszyliśmy w kierunku Coober Pedy. Drogowskazy pokazywały odległości w tysiącach kilometrów, a my odmierzaliśmy drogę, licząc martwe kangury. Po około 200 kangurach postanowiliśmy spędzić pierwszą noc w pięknych okolicznościach

outbeck'u (buszu). Zatrzymaliśmy się przy Stuart H-wy, na wysokości Woomera, 518 km od Adelajdy. Jak się okazuje, 500 km w skali australijskiej to „tuż obok”. Tutejsze drogi przypominają obraz po bitwie kangurów z samochodami. Co kilkadziesiąt metrów na poboczu leżą martwe zwierzęta... Postanowiliśmy trzymać się wskazówek innych kierowców, którzy wielokrotnie informowali nas o wskazujących na trasę kangurach. Przy głównej trasie w kierunku Alice Springs są przygotowane dla kierowców rest area, czyli zatoczki, przeważnie z dostępem do wszechobecnego grilla, ławek, wody zdatnej do picia i toalety. Zaskoczyła nas czystość tych miejsc, tak więc niestraszne nam było nocowanie na dziko, bo nie spotkaliśmy żadnych pajaków i węży, za to... miliardy much!

15 lutego. Woomera – Coober Pedy(327 km/3.30 h) – Marla (234 km/3 h)

Jedziemy w kierunku Coober Pedy położonego w księżycowym krajobrazie słynącego z kopalni opali. Jest to najdziwniejsze miasto w Australii, sama nazwa oznacza „dziurę w ziemi białego człowieka”. Tych dziur jest w okolicy około 250 tys., mieszka tu zaledwie 2 tys. ludzi, którzy reprezentują aż 45 narodowości. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od wizyty w kopalni opali, wstęp 10 AUD/os. Następnie spędziliśmy dłuższy czas na złomowisku położonym przy wylocie z miasta, na którym można zobaczyć samochody z cyberpunkowego klasyka filmowego „Mad Max”. Znajduje się tu również tor wyścigowy, na którym można pościgać się samochodami. Odwiedziliśmy kościół, który został wydrążony w głębi skały, a następnie weszliśmy na punkt widokowy. Bardzo trudno tu żyć, zwłaszcza w lecie, kiedy temperatura w cieniu dochodzi do 50°C. Miasto położone jest w głównej mierze pod ziemią, wykorzystując powstałe wskutek urobku sztolnie, jako domy, hotele, bary, kościoły, sklepy z opalami. Standardowe „mieszkanie” to: trzy sypialnie, kuchnia, łazienka. Temperatura wewnątrz jest stała i nie przekracza 23–26°C. Oczywiście wokoło rozciągają się wyrobiska, które określają usypane kopczyki ziemi. Potwornie tu wieje, więc nie dziwi nas przeniesienie życia pod ziemię, w bardziej przyjazne warunki. Miasto sprawia dziwne wrażenie, jest jakby opuszczone. Rozwinięta jest tu także lokalna przedsiębiorczość, dlatego niepisany „zakaz wstępu” mają tu wielkie sieci handlowe i gastronomiczne. W Coober Pedy w ogóle nie ma zieleni, pole golfowe usypane jest ze zmielonego na pył gresu. Po ulicach snują się Aborygeni, którzy proszą o parę dolarów. W obrębie sklepów widnieją napisy zabraniające spożywania alkoholu. Jest to jedna z kampanii przeciwdziałającej alkoholizmowi wśród autochtonów. Problem jest widoczny, bo w tym rejonie, jak również Alice Springs mieliśmy możliwość zaobserwowania, że Aborygeni, niestety, często są pijani, siedzą całymi dniami w parkach, grają w karty i właściwie nic nie robią.

Po jakimś czasie stwierdziliśmy, że pojedziemy dalej, bo Coober Pedy nie ma nic więcej do zaoferowania. Podjechalśmy do Marla, gdzie zatrzymaliśmy się przy stacji benzynowej Mobil. Obok jest caravan park, gdzie można było skorzystać z jego... gościny.

16 lutego. Marla – Uluru (515 km/6.30 h)

Po śniadaniu ruszamy w dalszą drogę. Zatrzymujemy się co jakiś czas, aby zrobić zdjęcia, ale przede wszystkim pokonujemy setki kilometrów. Dotarliśmy do parku narodowego Uluru, gdzie zapłaciliśmy za wstęp 25 AUD/os. Zostawiliśmy samochód na parkingu i poszliśmy na szlak (9,4 km) wokół magicznego miejsca aborygenów (obejście zajęło nam ok. 3 h). Upał niemiłosierny, wejście na górę (348 m n.p.m.) zostało za-

mnknięte z uwagi na 36°C oraz mocno wiejący wiatr. Wejście na Uluru jest możliwe, ale trasa jest otwierana tylko wtedy, gdy pogoda na to pozwala. Brane są pod uwagę liczne warunki pogodowe, takie jak: temperatura, siła wiatru, zachmurzenie, opady deszczu itp. Jest to tak skonstruowane, aby każdego dnia można było dopasować inny czynnik, który zabrania wchodzenia na Uluru. Tak więc, pozostało nam obejście tego ogromnego kamienia. Uluru w promieniach popołudniowego słońca to potężny monolit z piaskowca lśniący jaskrawą czerwienią. W jaskiniach u podnóża góry znajdują się rysunki aborygenów. Po obejściu góry, udaliśmy się samochodem na punkt widokowy, skąd mogliśmy obejrzeć zachód słońca (dzisiaj o 19.26). Dziesiątki turystów codziennie odbywa ten sam rytuał. Dziś turyści przybywają tu z całego świata, by podziwiać zmianę barw skały i jej wielkość. Uluru zmienia się jak w kalejdoskopie. Barwa jej powierzchni początkowo jaskrawoczerwona staje się złota, później różowa, jasnoszkarłatna, aż wreszcie purpurowa, gdy słońce znika za widnokręgiem. Ta zdumiewająca zmiana barw wzbudzała zachwyt wśród ludzi stojących u stóp Uluru. Ludzie piją piwo, otwierają wino, szampana, odbywa się wielkie grillowanie, pstrykają migawki aparatów. Oprócz gorąca, dzisiejszego dnia dokuczały nam również muchy. Najpierw myślałam, że to nas tak doceniły i zleciały się z całego outbacku, ale okazało się, że lubią wszystkich bez wyjątku. Bardzo praktyczne okazały się tutaj moskitiery nakładane na głowę lub czapkę, co odrobinę utrudniało muchom penetrację naszych twarzy. Mucha nie jest taka głupia, jakby mogło się wydawać, i tak: potrafi wejść pod okulary, bo słońce też ją razi, może wejść do ucha, nawet jak masz słuchawki, bo też chce posłuchać muzyki. Okazało się, że dobrym miejscem jest dziurka w nosie, a w nim... raj kulinarny. Mucha występuje częściej niż kangury, pająki, węże i króliki, i to ona powinna być uznana za szkodnika lub symbol Ozi. Co ciekawe, wjeżdżając do miasta, muchy zazwyczaj znikały, więc jest to domena buszu. I tyle o muchach, chyba że mi się coś jeszcze przypomni.

Po spektaklu zachodzącego słońca, podjechaliśmy do Yulara, gdzie zatrzymaliśmy się w caravan parku za 68 AUD, bez prądu/z prądem 77 AUD. Parking jak za taką cenę był słabo wyposażony, ale jest to jedyne miejsce, gdzie można zostać, bo na dziko w tym rejonie nie wolno parkować. Yulara jest małym miasteczkiem z supermarketem i kilkoma hotelami w różnej klasie. Można spędzić tutaj czas w ekskluzywnych warunkach, jak również w namiocie. Ceny jednak w każdej klasie są wysokie.

17 lutego. Uluru – Kata Tjuta (52 km) – Kings Canion (319 km/4 h)

O godz. 6.32 był wschód słońca. Zerwaliśmy się, aby obejrzeć drugą część spektaklu pod nazwą „światło i muchy”. Dotarliśmy na miejsce w ostatnich sekundach, aby uchwycić najlepsze sceny. Widok tak samo urzekający, choć aparaty wariowały od kontrastów. Co jednak zarejestruje soczewka oka, na zawsze pozostanie w pamięci. Następnie podjechaliśmy do grupy podobnych monolitów Kata Tjuta, znaczy „Wiele głów”, to nazwa jaką nadali Olgom Aborygeni, dla których to miejsce podobnie jak Uluru jest święte i wygląda jak fatamorgana. Jest to grupa 36 monolitów, każdy jak kopuła meczetu idealnie wypolerowany. Najwyższa góra Olga ma 546 m n.p.m wysokości, bije więc wzrostem Uluru. Chcieliśmy wejść na szlak, który wiedzie wokół skał, ale z uwagi na upały był zamknięty. Poszliśmy więc na krótszy (3 km). Następnie pojechaliśmy do Kings Canion Resort w Parku Narodowym Watarrka. Tu obeszlśmy 6 km szlakiem wokół górnej krawędzi kanionu, skąd rozciąga się wspaniały widok na okolicę.

Ścieżka wiedzie w górę 100 m na krawędź kanionu. W połowie wijącej się drogi pomiędzy ceglasczerwonymi rozpadlinami i wzniesieniami można ochłonić w Rajskim Ogrodzie (Garden of Eden). Mały zbiornik w dnie kanionu stanowi źródło życia wielu roślin (wszechobecnych eukaliptusów). Widoki w dół głębokiego, czerwonego piaszczowego (wysokiego do 300 m) wynagradzają wędrówkę. Stwierdziliśmy, że są to o wiele ładniejsze miejsca niż Uluru i Olgas razem wzięte. Dziś zatrzymujemy się na nocleg w okolicy parku. Próbujemy kangurzego mięsa w postaci mielonych kotletów. Smakuje jak wołowina, lekko słodkie i smaczne.

18 lutego. Kings Canion – Alice Springs (366 km/6 h)

Po śniadaniu ruszyliśmy w drogę do Alice Springs. Po drodze zatrzymaliśmy się przy Kings Creek Station, gdzie znajduje się lądowisko helikopterów. Za 120 AUD można było wynająć maszynę. Sam lot trwa krótko, bo uruchomienie i procedury lotnicze zabierają czas. No, jak każda atrakcja turystyczna ma cieszyć i pozostawiać niedosyt. Widoki wspaniałe, helikopterem nie trzęsło, więc nie mieliśmy przykrych niespodzianek. Potem ruszyliśmy w dalszą drogę do Alice Springs. Patrząc na mapę, wydaje się, że można zrobić wiele skrótów i szybciej dojechać z punktu A do B, ale okazuje się, że wiele z tych dróg to nieutwardzona, czerwona gleba i camper miałby problem z jej pokonaniem. Czasem z zazdrością patrzyliśmy na paliwożerne Toyoty 4x4, które bez trudu przejeżdżały trudno dostępne rejony, ale my, naszym „wehikułem przygody” telepaliliśmy się, jadąc 90–100 km/h. Byle do przodu! W pewnym momencie czas zatrzymuje się jakby w miejscu i można odnieść wrażenie, że wciąż jesteśmy w tej samej okolicy. Czasem busz zamienia się w prerię, czasem są jakieś pagórki, które urozmaicają krajobraz. My mieliśmy frajdę z odczytywania znaków drogowych, np. następny telefon alarmowy za 10 km, albo do następnego supermarketu 300 km. Super, wszędzie blisko!! Dojeżdżamy do Alice Springs, stolicy „Czerwonego Środka”, która i tak jest wielkim światem w porównaniu z porozrzucanymi w buszu farmami czy niewielkimi osiedlami zamieszkałymi głównie przez Aborygenów. Przeciętnemu Europejczykowi trudno wyobrazić sobie życie w miasteczku, z którego do najbliższej metropolii są tysiące kilometrów. Mieszkańcy Alice Springs są do tego przyzwyczajeni. Jeśli pojedą 1614 km na południe, dotrą do Adelajdy, jeśli pojedą 1535 km na północ, znajdą się w Darwin. Przez miasto płynie rzeka Todd River, jednak jej koryto najczęściej bywa wyschnięte. Miejscowa ludność wykorzystuje ją do niezwyklej regat, w czasie których łodzie są noszone przez drużyny biegaczy po spieczonym słońcem dnie rzeki. Całość jest zakładana na siebie i łodzie poruszają się niczym bohaterowie kreskówki „Między nami jaskiniowcami”, pędząc na złamanie karku zgodnie z domniemanym nurtem. Jeśli w rzece pojawi się woda, zawody są odwoływane. Co do pojęcia busz – to w Australii jest ono bardzo ogólnikowe, określa się nim wszystko, co znajduje się poza miastem. Dojeżdżając do przedmieść Alice Springs, odwiedzamy Muzeum Transportu, gdzie zgromadzono wiele ciekawych eksponatów, samochodów osobowych, ciężarówek oraz kolejowych (wstęp 15 AUD/os.) Następnie podjechaliśmy do miasta na zakupy spożywcze i udaliśmy się do caravan parku w Heavitree Gap Outback Lodge przy Palm Circuit, 0871 Alice Springs za 56 AUD. Dziś zrobiliśmy sobie BBQ jak prawdziwi Ozi.

19 lutego. Alice Springs – Przesmyk Standleya – Barrows Creek (391 km/5.30 h)

Rano pojechaliśmy w Góry McDonella do Przesmyku Standleya, gdzie można przejść kilka malowniczych szlaków w obrębie gór (wejście kosztuje 5 AUD/os.). Atrak-

cją jest gra światła od godziny 11.30 do 13.00, tak więc najlepiej być tam około południa, kiedy promienie słoneczne dokładnie nakierowują się na dno wąskiej szczeliny, pomiędzy wysokimi na 80 m intensywnie czerwonymi skałami. Wracamy do miasta i tu odwiedzamy Latającą Szkołę (School of the Air wstęp 7,5 AUD/os.). Niezwykła szkoła prowadzi lekcje przez radiostację; dla dzieciaków mieszkających na odległych ranchach jest to jedyna szansa na edukację. Nauczyciel prowadzi lekcję przez mikrofon, siedząc przed monitorem komputera. Klasówki zastępują 10-min indywidualne rozmowy. Od czasu do czasu nauczyciel wsiada do jeepa i jedzie odwiedzić podopiecznych. Uczniowie przyjeżdżają do Alice Springs dwa razy w roku, jest to jedyna okazja, by zobaczyć szkolnych kolegów. Podobnie jak szkoła, działa też system „Latającego Doktora”. W nieskomplikowanych przypadkach rady lekarza można zaciągnąć przez radiostację. Jeśli fachowa pomoc jest niezbędna, lekarz wsiada do samolotu, albo raczej do „latającej karetki” i odwiedza pacjenta (wstęp do Latających Doktorów 12 AUD/os.). Po drodze wchodzimy do niewielkiego Muzeum Lotnictwa (darmowe).

Ruszamy w drogę, mając w planie dojechać jak tylko możemy najdalej. Wieczorem zatrzymujemy się przy Barrow Creek Hotel, czyli oświetlonym kilkoma kolorowymi żarówkami dystrybutorze paliwa. Weszliśmy z Jarkiem do środka i staliśmy się bohaterami filmu rodem z dzikiego zachodu. Ja ubrana jak turystka, Jarek w samych spodniach, wchodzimy do knajpy, a tam dwóch zakapiorów pije piwo, oni na nas, my na nich i cisza. Tak więc, pytamy, czy możemy zostać na noc. Pani zza lady powiedziała, że możemy. Wszyscy się na nas dziwnie patrzyli. Obeszliśmy okolicę, stwierdzając, że to miejscę lata świetności ma już dawno za sobą.

20 lutego. Barrows Creek – Devils Marbles (129 km/2 h) – Camooweal (566 km/7 h)

W Tennant Creek 138 km przed miasteczkiem, tuż przy głównej drodze znajdują się ciekawe granitowe głązy zwane Devils Marbles. Nazwa oznaczająca „diabelskie kulki” trafnie opisuje szereg olbrzymich granitowych otoczków rozrzuconych po obydwu stronach szosy na odcinku kilku kilometrów. Część gładów stoi na płaskich postumentach, chyba cudem utrzymując równowagę. Okazuje się, że przez miliony lat to właśnie wiatr i woda ukształtowały i wygładziły twarde kule. Spędziliśmy tu trochę czasu, bo obszar jest dosyć rozległy. Mimo że są to rzeczywiście formacje skalne w kształcie kuli, wciąż zaskakiwały nas kolejne widoczki. Potem jechaliśmy wiele godzin, zatrzymując się na tankowanie, toaletę lub zdjęcia. Jedną z ciekawostek była stacja benzynowa w Wycliffe Well, utrzymana w konwencji UFO. Obok znajduje się caravan park, gdzie witają nas zielone stwory z kosmosu. Śmieszny element krajobrazu, urozmaicający monotonność buszu. Nocujemy w okolicy Camooweal, przy trasie.

21 lutego. Camooweal – Mount Isa (191 km/2 h) – Praire (565 km/7 h)

Docieramy do górniczego Mount Isa; tu znajduje się punkt widokowy i kierunkowskaz wskazujący odległości do różnych miast na świecie (np. stąd do Londynu mamy 15 724 km, Rzymu 14 559 km!). Jeśli trasa nie wiedzie przez to miasteczko, to nic więcej godnego uwagi tu nie ma. Dalej pojechaliśmy w kierunku wybrzeża. Zatrzymaliśmy się w miejscowości Praire, obok restauracji. Trwała tu w najlepsze impreza, kobiety poubierane elegancko, w makijażu. Wokoło niczego nie ma tylko pustkowienie i droga w dwóch kierunkach, a tu stylizacja jak w jakimś większym mieście. Knajpa pełniła też rolę muzeum i ukazywała australijskie wyposażenie dawnych domów.

22 lutego. Praire – Townsville – Airlie Beach (554 km/6.40 h)

Jedziemy kilka godzin i docieramy do Townsville. Tu odwiedziliśmy oceanarium (Great Barrier Reef Wonderland), wstęp 26 AUD/os. Największe wrażenie zrobiły na nas rybki Light Fish, których nie było widać. Jeśli podświetliło się lampą akwarium, to można było zauważyć tylko dwa neonowe znaczki. Niesamowity efekt! W oceanarium można zobaczyć rybę piłę, rekiny, żółwie, brzanki sumatrzańskie i wiele innych gatunków fauny i flory oceanicznej. Po wizycie pojechaliśmy do Airlie Beach. Tu zatrzymaliśmy się w Flametree Tourist Village przy 2955 Shute Harbour Road, 4802 Airlie Beach. Za miejsce z prądem zapłaciliśmy 45 AUD. Miasto jest bardzo fajne, co najważniejsze, nie ma tu betonowych pałaców-hoteli, jak nad rafami egipskimi. Airlie Beach jest głównym centrum turystycznym, które stanowi bazę wypadową zarówno morską, jak i lotniczą na wyspy Whitsundays. Można tam znaleźć wszystko, czego potrzeba przeciętnemu turyście: mnóstwo miejsc noclegowych we wszystkich kategoriach cenowych, sporo restauracji, barów oraz agencji turystycznych, gdzie można zarezerwować różne wycieczki po wyspach. Jako że klimat w tej okolicy jest już tropikalny, porównywalny z Filipinami czy Tajlandią, więc po prostu marzy się o kąpeli w chłodnym oceanie. Niestety, przez połowę roku pływają w nim jadowite meduzy, co skutecznie każdego odstrasza przed zamoczeniem nawet czubków palców w oceanie. Z tego też powodu do snorkellowania trzeba założyć specjalny kombinezon.

23 lutego. Airlie Beach – Park Eungella – Airlie Beach (368 km/5 h)

Rano jedziemy do kilku agencji, aby rozeznac ceny nurkowania na rafie koralowej przy Whitsundays. Chłopaki zapłacili po 131 AUD/os. za wyprawę, która miała odbyć się w poniedziałek, bo niedziela jest dniem wolnym dla rejsów. Jednodniowa wycieczka to doskonała alternatywa dla osób o skromniejszym budżecie lub też o ograniczonym czasie. W programie wycieczki są takie atrakcje, jak pobyt na wybranych plażach czy też nurkowanie lub snorkelling. Następnie pojechaliśmy do Parku Eungella, gdzie piechotą dotarliśmy do wodospadu Araluen w wąwozie Finch Hatton. Wjazd do parku był utrudniony, ponieważ ostatnie kilka kilometrów jedzie się szutrem, a na dodatek ulewa załała drogę i ostatnie 3 km przebyliśmy pieszo, brodząc po łydki w wodzie. Trasa wiedzie przez las deszczowy, co odczuliśmy dosłownie na własnej skórze. Na końcu kanionu znajduje się mały wodospad, gdzie woda wypada ze skał do niewielkiego jeziora. W dalszej części naszej wycieczki pojechaliśmy w jedno z najlepszych miejsc, żeby zobaczyć na żywo dziobaka. Zatrzymaliśmy się za mostem River Broken w miejscu, gdzie one występują. Rzeczywiście, co jakiś czas wypływały na powierzchnię rzeki, ale trwało to kilka sekund i znów nurkowały. Trudno było zrobić dobre zdjęcie, ponieważ padał deszcz, a woda była zamulona, tak więc staliśmy na pomoście i wypatrywaliśmy tych dziwnych stworzeń.

24 lutego. Airlie Beach – Whitsundays Islands N.P.

Rano podjechaliśmy bussem do portu, gdzie chłopaki wyruszyli na rafę koralową w rejonie wysp Whitsundays. Są to 74 jedyne w swoim rodzaju wyspy. Ja w tym czasie zwiedziłam miasteczko, a Mirek oddawał się błogiemu lenistwu w camperze. Po powrocie autobusem miejskim (3,60 AUD/os.) pojechałam do caravan parku, skorzystałam z basenu i odpoczynku. Chłopaki wrócili zadowoleni i zachwyceni pięknymi widokami, błękitną wodą i niebem oraz zielonymi wysepkami. To było coś! Nurkowanie wśród kolorowej rafy, niesamowita liczba ryb i innych stworzeń oceanicznych. Naj-

piękniejsza plaża Whitehaven to po prostu raj na ziemi, niewyobrażalnie piękne miejsce. Plaża ta nie bez powodu regularnie wygrywa w plebiscytach na najpiękniejszą plażę świata (Top Ten Beaches). Kolejne małe marzenia zostały spełnione. Rafa Koralowa liczy sobie 2010 km i jest największym na świecie królestwem koralu, składa się co najmniej z 2800 raf. Część z nich to rafy barierowe – falochrony, które wznoszą się na skraju szelfu. Za tym kordonem w spokojnym morzu pojawiają się rafy w postaci regularnych kręgów i półksiężyców zwanych platformowymi. Mniejsze formacje nazywane są mozaikowymi i są rozrzucone na płytszych obszarach. Jest to największy na świecie system raf koralowych i największa budowla wzniesiona przez żywe organizmy. Jest tu 5 tys. gatunków mięczaków, 1,8 tys. ryb, 125 gatunków rekinów, koralu ośmioramienne, glony oraz gąbki ubarwiające rafę. Rafa ulega też ciągłej erozji: niszczą ją fale, procesy chemiczne oraz zwierzęta podgryzające koralowce. Warto pamiętać, że w marcu, między siódmym a dziesiątym dniem po pełni Księżyca na rafę przybywają liczne rzesze turystów, aby nocą obserwować zachwycający spektakl rozrodu koralu. Polipy w tym czasie wytwarzają obłoki świecących jajeczek, z których w późniejszym czasie rozwijają się larwy. Jest to jeden z najpiękniejszych klejnotów naszej planety w kolorze lazuru, indygo, szafiru i najczystszej bieli. Koral może się rozwijać tylko w płytkim morzu przepuszczającym odpowiednią ilość światła. Whitsundays zastąpiły również z nietuzinkowej rekrutacji na „najlepszą pracę świata”, czyli pracy na Hamilton Island w roli „Opiekuna Wyspy”. Aby wziąć udział w selekcji, trzeba było przygotować 60-sekundowe video o sobie.

25 lutego. Airlie Beach – Mont Repos (783 km/9.40 h) – Hervey Bay (123 km/1.30 h)

Przy śniadaniu okazało się, że na kempingu nastąpiła awaria prądu. Wybuchły tostery, czajniki gotowały wodę w kilka sekund, mikrofalówki spalały jedzenie na węgiel. Po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę na południe kraju. Po wielu godzinach jazdy dotarliśmy do Mont Repos, gdzie znajduje się rezerwat ochrony żółwi. Wstęp 10 AUD/os. Zwiedzanie odbywa się w grupach po kilka osób. Otrzymuje się naklejki z numerem grupy i czeka na swoją kolej. Wizyta, to spacer po plaży w poszukiwaniu gniazd z żółwimi jajami lub podglądanie samic składających jajka. Nam udało się trafić na wyłęg malutkich żółwików. Opiekun pomógł im, odkopując trochę piasek, a potem małe skrabry wypęzłały z gniazda. Zostały pozbierane do kosza, a następnie wypuszczone parę metrów od wody. 126 sztuk popęzłało w kierunku oceanu, a ludzie ustawieni w rzędzie świecili latarkami, udając smugę księżyca. Było to dla nas ciekawe doświadczenie, bo 10 lat wcześniej widzieliśmy na wybrzeżu Sri Lanki, jak żółwica złożyła jaja. Teraz mogliśmy zobaczyć, jak zamyka się cykl rozrodczy. Postanowiliśmy jeszcze trochę jechać, więc pokonaliśmy 123 km, zatrzymując się na noc przy kaplicy baptystów. Dzisiaj przejechaliśmy w 14 h 906 km, był to nasz dzienny rekord.

26 lutego. Hervey Bay – Fraser Island – Hervey Bay (Pialba)

O 9.00 rano udaliśmy się do jednej z wypożyczalni samochodów 4x4, gdzie skierowano nas od razu do portu przy Hervey Bay Boat Club, Buccaneer Dr, Urangan QLD 4655, skąd promem przepłynęliśmy na Wyspę Frasera do Kingfisher Bay. Tam wypożyczyliśmy Toyota Land Cruiser za 720 AUD/5os. (całkowity koszt okazał się po dokonaniu obciążeń z karty kredytowej) oraz zapłaciliśmy za permit do parku 43,60 AUD. Tak więc rozpoczęliśmy wycieczkę po wybojach i wertepach piaszczystej wyspy. Hm...

po kilkunastu dniach w camperze, w którym wszystko trzęsie i podskakuje, taka atrakcja nie robiła już na nas większego wrażenia. Jest to raj dla amatorów jeżdżenia samochodami terenowymi. Asfalt na wyspie położony jest tylko w obrębie kurortu, a dalej tylko wertepy. Ograniczały nas też wydmy, które mogły stanowić niebezpieczeństwo wywrotki lub zakopania. Na wyspie Fräsera znajdują się unikatowe (240 m wysokości) wydmy, sprawiając, że to miejsce zostało wpisane na listę UNESCO. Okazuje się, że Fraser Island ma najwięcej piasku ze wszystkich wysp na świecie. Jej wymiary to 120 km długości, 24 km szerokości. Zdumiewać może fakt, że na tym niezbyt urodzajnym podłożu wyrósł wilgotny tropikalny las. Wzdłuż jej wybrzeży ciągną się plaże i wydmy. Poza piachem można tu również zobaczyć rdzewiejący wrak statku Man-heno zepchniętego do brzegu przez cyklon w 1934 r., oraz hasające dzikie psy dingo. Wyspa ma znaczne zasoby słodkiej wody i urozmaiconą faunę. Znajduje się tu wiele jezior, największe wrażenie robi McKenzie, mieniące się w odcieniu błękitu. Po 6 godz. szalonej jazdy wróciliśmy do przystani, a potem promem z powrotem wróciliśmy do Hervey Bay, podjeżdżając do Pialba (dzielnica Hervey Bay), gdzie zatrzymaliśmy się w caravan parku za 40 AUD.

27 lutego. Hervey Bay – Noosa (191 km/2.40 h) – Brisbane (138 km, 1.40 h)

Rano pojechaliśmy do Noosa, która okazała się uroczym, kurortem nad oceanem. Zaparkowaliśmy w jednej z bocznych uliczek i przeszliśmy do Parku Narodowego Noosa (wstęp wolny). Postanowiliśmy przejść kilka szlaków, które zaznaczone są na mapie. Widoki zapierające dech, bo ścieżka wiedzie wzdłuż klifu. Na piasku wylegają się plażowicze, co skusiło także Piotrkę i Jacka. My poszliśmy dalej, pokonując ok. 10 km. Miasto jest ładne, czyste i dosyć zamożne, co można zauważyć po samochodach i domach. Następnie pojechaliśmy w kierunku Nambour (76 Nambour Connection Rd, Woombye QLD 4559), gdzie znajduje się ogromny ananas z włókna szklanego. W jego wnętrzu można obejrzeć ekspozycję dotyczącą „przemysłu ananasowego”. Ananas ma zachęcić do odwiedzenia plantacji i kupna owoców. Na zewnątrz można obejrzeć cały proces sadzenia, dojrzewania i przetwarzania ananasów. Jedziemy dalej, aż docieramy na przedmieścia Brisbane. Tu śpimy na dziko przy plaży.

28 lutego. Brisbane – Byron Bay (latarnia morska) – Nambucca Head (439 km/5 h)

Dziś chcemy dojechać jak najbliżej Sydney. Najpierw docieramy do Byron Bay, gdzie znajduje się najdalej wysunięty na wschód punkt Australii. Atrakcją jest latarnia morska, która bardzo ładnie prezentuje się na tle błękitnego nieba. Podobno światło w niej jest tak mocne, że widać je na 50 km. Za wjazd samochodem na parking przy latarni trzeba zapłacić 7 AUD. Znajduje się tu również muzeum i restauracja. Spędziliśmy tu godzinę, spacerując po szlakach wytyczonych wokół cypla. Podziwialiśmy wspaniałą panoramę, rozciągającą się wzdłuż „Złotego Wybrzeża”. Potem pojechaliśmy dalej, zatrzymując się na nocleg w Nambucca Head, przy plaży.

1 marca. Nambucca Head – Sydney (946 km/10 h)

Od wczesnego rana jedziemy, przystając tylko na tankowanie oraz robienie zdjęć jakiemuś urokliwemu miejscu. Zatrzymaliśmy się na przedmieściach Sydney w caravan parku Lane Cove National Park Picnics przy Plassey Rd, Macquarie Park NSW 2113. Okazało się, że nie było miejsca, ponieważ potrzebna była wcześniejsza rezerwacja z powodu Mardi Grass, ale recepcjonistka zasugerowała, aby zadzwonić ok.

godz. 18.00 z nadzieją, że może coś się znajdzie. Zostawiliśmy samochód na poboczu, a sami metrem pojechaliśmy do centrum Sydney. Niedaleko parku przy Delhi Rd. znajduje się wejście do metra. Bilet w dwie strony kosztuje 6,20 AUD/os. Wysiedliśmy na stacji Town Hall, stąd doszliśmy do Oxford Street, gdzie dziś odbywa się parada gejów i lesbijek z całego świata. Tęczyowy korowód przebiegał wypełnia Oxford Street, dając sygnał do zabawy dla kilkuset tysięcy osób. Parada Mardi Grass swoim rozmachem i stylem przypomina gorący karnawał w Rio de Janeiro. Sydney jest światową stolicą homoseksualistów. Ulica jest przygotowana na to wydarzenie, chodniki odgródzone zostały barierkami, wolontariusze zachęcają do zabawy, rozdają okolicznościowe gadzety, m.in. prezerwatywy, kolorowe korale, świecące miecze. Jest głośno, barwnie i wesoło. Nawet najwięksi przeciwnicy takich imprez i innej orientacji seksualnej stwierdzają, że zabawa jest fajna. Po kilku godzinach barwnej parady, podczas której prezentują się wszelkie grupy zawodowe i społeczne, uczestnicy rozchodzą się do pobliskich restauracji i knajp na after party. W pochodzie maszeruje prawie 10 tys. osób reprezentujących wszystkie orientacje seksualne. Byli tu przedstawiciele wszystkich dużych partii, straży pożarnej, policji, armii, tajscy lady-boy, aborygeńskie lesbijki, rodziny z dziećmi, starsi ludzie. Tutaj to wcale nie szokuje, orientacje seksualne, tak samo jak kwestia religijności, są uznawane za sprawy tak osobiste, że nie mają one prawa podlegać ocenie społecznej. Ja z Piotrkim pojechaliśmy wcześniej do caravan parku, aby załatwić nocleg. Okazało się, że znalazło się dla nas miejsce za 59 AUD. Byliśmy zadowoleni, bo samochód domagał się już prądu i wody, a w innych caravan parkach nie było już miejsc.

2 marca. Sydney

Rano udajemy się metrem do centrum. Przez kilka godzin zwiedzamy miasto, ale wilgotność i zachmurzone niebo nie sprzyja fajnym zdjęciom. Najpierw przechadzamy się przez starą zabudowę Sydney, jeśli można tylko mówić o czymś co ma 150 lat z małym hakiem. Odwiedzamy Queen Victoria Building, jest to dawna hala targowa, obecnie odrestaurowana skupia pod swym dachem sklepy i restauracje. Witraże, bizantyjskie łuki, gipsowe sztukaterie czynią QVB jednym z najpiękniejszych centrów handlowych świata. Następnie udajemy się do chińskiej dzielnicy, gdzie w parku odbywa się festiwal... prezentujący Turcję. W Chinatown, które stanowi alternatywę gastronomiczną dla drogiego miasta, zjedliśmy obiad. Okazało się, że z tej oferty korzysta wielu miejscowych i turystów. Następnie, udając się w kierunku Opery, zatrzymujemy się przy pomniku ku czci żołnierzy, upamiętniającym udział wojsk australijskich w wojnach na kilku kontynentach. Przechodząc w kierunku portu okazuje się, że Opera na tle Bridge Harbour świetnie się prezentuje. Gmach Opery został zaprojektowany w latach 50. przez Duńczyka Jorma Utzona. Natchnieniem projektanta były żagle jachtów, a także świątynie Azteków i Majów. Na żaglach ułożono ponad milion szwedzkich antygrzybiczych płytek, które lśnią w słońcu i nie wymagają czyszczenia. Budowa ciągnęła się przez 15 lat, a jej koszty wielokrotnie wzrosły. Gmach Opery został otwarty 20 października 1973 r. Opera wyprzedziła ówczesną rzeczywistość o kilka dekad. Jest tu kompleks sal koncertowych goszczących artystów niemal wszystkich dziedzin, od baletu i opery poprzez koncerty jazzowe, aż po pokazy mody i przedstawienia teatralne. Sydney słynie również z mostu Harbour przerzuconego nad rzeką Parramatta River. Ma on 1149 m długości, a jego najwyższy punkt znajduje się 134 m nad poziomem za-

toki, stalową konstrukcję łączy rekordowe 6 mln nitów. Projektantem mostu był John Bradfield, a został on otwarty 19 marca 1932 r. Można też z przewodnikiem wspinać się na sam szczyt przęsa mostu ponad portem za jedyne... 245 AUD/os. Pod namiotowymi płachtami Sydney Harbour w każdy weekend odbywają się na świeżym powietrzu koncerty popularnych artystów. W okolicy zwanej Rocks znajdują się restauracje, puby, ogródki piwne, galerie, jest tu też sporo sklepów z opalami i aborygeńskimi dziełami sztuki. Tu też po prawdę „okazyjnej” cenie kupiliśmy oryginalny instrument didgeridoo. Duet Opera i Harbour Bridge jest dla Sydney tym, czym dla Australii kangur i koala. Na koniec przechodzimy przez dzielnicę biznesu (Central Business District), są to przeszklone wieżowce wyrastające pośród budynków z poprzednich dwóch stuleci. Tętniąca życiem australijska metropolia jest kosmopolityczna i nowoczesna. Wieczorem zrobiliśmy sobie drinkowe after party Mardi Grass, tylko gejów brakowało...

3 marca. Sydney – Katoomba (105 km/1.30 h)

Rano pojawiło się słońeczko, więc stwierdziliśmy, że pojedziemy jeszcze raz do centrum miasta i obejdziemy najważniejsze miejsca, robiąc fotki. Okazało się, że wiele atrakcji turystycznych, w tym Opera, prezentuje się wspaniale w promieniach słońca. Odwiedzamy plażę Bondi Beach, na której od 1906 r. członkowie słynnego pogotowia ratowniczego dbają o bezpieczeństwo plażowiczów. Ich praca jest bezpłatna i ochotnicza, co więcej, to ratownicy płacą 30 AUD rocznie składek członkowskich za przywilej ratowania życia. Jest około 700 członków klubu. Kilometr plaży patroluje zespół od 10–15 ratowników. W gorący dzień na tej plaży bywa 60 tys. osób. Następnie podjechalismy do kompleksu olimpijskiego, gdzie znajduje się stadion na 110 tys., który zaprojektował Polak, inż. Edmund Obiała. Obiekty letniej olimpiady w Sydney 2000 można codziennie zwiedzać z przewodnikiem (28 AUD/os. 11.00, 13.00, 15.00). Odwiedzamy jeszcze Muzeum Rugby (wstęp wolny). Jest zdecydowanie mniejsze niż w Nowej Zelandii, ale widać, że tworzą go pasjonaci. Z miast, które już widzieliśmy na świecie, tylko Rio de Janeiro dorównuje Sydney pod względem lokalizacji. Mieszkają tu przybysze z całego świata, których liczba gwałtownie wzrosła po II wojnie światowej. Miasto zamieszkane było głównie przez Australijczyków pochodzenia brytyjskiego i rdzennych mieszkańców Aborygenów. Po wojnie zaczęli napływać imigranci z Grecji, Jugosławii, Włoch i Turcji. Jest to najstarsze i największe miasto w Australii, mimo to nie jest stolicą, tę funkcję pełni Canberra. Następnie ruszyliśmy w kierunku Katoomba, które jest głównym miastem regionu i skąd prowadzą szlaki w najbardziej znane formacje skalne Gór Błękitnych. Tu zostaliśmy na noc, na dziko.

4 marca. Katoomba (Blue Mountains) – Canberra – Jindabyne (505 km/5.40 h)

Obudziliśmy się, a tu zimno, gęsta mgła, a na dodatek pada deszcz. Czyżby to już początki jesieni? Widoczność była praktycznie zerowa, więc wyjście na szlaki Gór Błękitnych miałoby się z celem. Postanowiliśmy pojechać do Jindabyne, skąd zaczynają się trasy na Górę Kościuszki. Po drodze zatrzymujemy się w stolicy Australii Canberze. Samochód zaparkowaliśmy przy „Captain Cook Memorial Water Jet”, fontannie-pomniku wyrzucającej wodę na 140 m wysokości. Samo miasto jest godne odwiedzenia tylko z racji bycia stolicą. Warto przejść się tu do nowoczesnego budynku Parlamentu, wzniesionego kosztem biliona dolarów, którego dach łagodnie opada ku ziemi wzgórzem porośniętym trawą, by naturalnie wpasować się w otoczenie. Naprzeciwko zaś znajduje się Stary Parlament. Na pobliskich wzgórzach w odległości kilkunastu ki-

lometrów od miasta można było zauważyć pożar buszu. Po kilku godzinach jazdy dotarliśmy na miejsce, gdzie zatrzymaliśmy się w caravan parku Jindabyne Holiday Park przy Kościuszk Road Jindabyne 2627, Snowy Mountains NSW.

5 marca. Jindabyne – Góra Kościuszki (18 km/20 min.)

Z samego rana wjeżdżamy do Parku Narodowego Kościuszki położonego w Górach Śnieżnych w paśmie Alp Australijskich. Tu zostawiamy na poboczu samochód, bo nie ma w okolicy parkingu, następnie ruszamy 9 km szlakiem Summit Walk, prowadzącym na Górę Kościuszki (2228 m n.p.m.), Australijczycy mówią na nią Mt. Kozzie lub Koziosko. Jest to najśłynniejszy polski akcent na antypodach. Góra została zdobyta i nazwana przez polskiego odkrywcę i podróżnika Edmunda Strzeleckiego 12 marca 1840 r. Trasa jest łatwa i nie wymaga specjalnego wyposażenia. Nam co prawda towarzyszył mocny wiatr, ale to nawet lepiej niż wędrówka w upale. Droga na szczyt prowadziła już w chmurach, więc było o wiele chłodniej. Przydały się kurtki i zimowe czapki. Sam wierzchołek spowity był chmurami i nie mogliśmy zrobić spektakularnych widoczków. Panowie wdrapali się na specjalny obelisk i zrobili pamiątkowe fotki z flagą Polski. W drogę powrotną postanowiliśmy pójść Main Range Track, który wiódł przez 11 km. Tu trochę zmarzliśmy, bo większość trasy wiedzie w chmurach. Trochę szkoda, bo krajobrazy są tu wspaniałe. Całość wędrówki zajęła nam 5 godzin. Mimo że szlak nie jest trudny technicznie, to jednak zmienna pogoda i mocny wiatr dał nam trochę popalić. Latem na zboczach pojawia się mnóstwo kwiatów, zimą doskonale szusuje się tu na nartach. Góra Kościuszki jest najwyższa w Australii kontynentalnej, ciekawostką jest, że najwyższa góra Australii to właściwie Mawson Peak (2745 m n.p.m.), leżąca na Heard Island. Obecnie Góra Kościuszk została wpisana 7 listopada 2009 r. na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Wracamy do caravan parku, bo nie zapłaciliśmy za nocleg. Tak więc uregulowaliśmy należność w wysokości 26 AUD bez prądu. Właścicielka była zaskoczona, że wróciliśmy zapłacić, bo nawet nie wiedziała, że u niej nocowaliśmy. Następnie pojechaliśmy w kierunku Parku Wilsona. Dziś postanowiliśmy przespać się na dziko przy plaży.

6 marca. Jindabyne – Park Wilsona (607 km/7.30 h) – Inverloch (93 km/1.30 h)

Po południu dotarliśmy do Wilson's Promontory National Park, jest to granitowy półwysp wysunięty w morze w kierunku Antarktydy. Najpierw poszliśmy na plażę (podczas tej wyprawy okazało się, że niektórzy nasi kompani są wielkimi amatorami plaż, więc realizowaliśmy też ich potrzeby). Miejsce jest urokliwe i służy odpoczynkowi. Każdy znajdzie tu coś dla siebie, bo można udać się na piesze wycieczki, kąpać się w oceanie, surfować lub też kajakować. Następnie podjechaliśmy do miejsca, gdzie zaczyna się Lilly Pilly Gully's Nature Walk. Jest to krótki (4,7 km) szlak, wiodący przez las deszczowy. Dzień zakończyliśmy w Inverloch Foreshore Camping Reserve przy The Esplanade VIC 3996, zapłaciliśmy 32 AUD.

7 marca. Inverloch – Wyspa Filipa (60 km/1 h) – Melbourne (139 km/1.40 h)

Rano podjechaliśmy na Wyspę Filipa na tor wyścigów motocyklowych. Akurat trwały wyścigi starych samochodów i bolidów F1. Trochę pokręciliśmy się po okolicy, próbując wejść na lewo, ale nam nie wyszło. Następnie udaliśmy się do Parku Koali, wstęp 11,90 AUD/os. Rzeczywiście koale są i siedzą na drzewach, naliczyliśmy 6 sztuk oraz 2 kangury. Znow zaczął padać deszcz, więc miśki pochowały głowy i nici z fotografowania. Potem dotarliśmy do Melbourne, gdzie zatrzymaliśmy się w Hobson's Bay

Caravan Park przy 222 Kororoit Creek Rd, Williamstown North VIC 3016. Płaciliśmy 40 AUD. Był to najtańszy caravan park pod względem wyposażenia i czystości, w jakim byliśmy. Bardziej przypominał lepszej jakości slums. Okazało się, że na stałe mieszka tu ok. 200 osób. Posadzone są tu kwiaty, drzewka, stare campery wyposażane są dodatkowo w przybudówki, niektóre mają nawet dostawione werandy. Dziwnie to wygląda, okazało się, że na całym parkingu jest tylko pięć camperów z turystami. Do stacji metra Wiliamstown North mamy 1,5 km piechotą. Postanawiamy zrobić rekonesans i pojechaliśmy do centrum miasta. Trzeba wykupić tzw. Myki Pass za 16 AUD, z czego karta kosztuje 10 AUD, doładowanie na weekend to 6 AUD, które wystarcza na nieograniczoną liczbę przejazdów wszystkimi środkami komunikacji. Wysiedliśmy na stacji w centrum Melbourne, gdzie przy samym dworcu znajduje się przystanek zabytkowego tramwaju (City Circle Tram), który za darmo obwozi turystów po zabytkowych miejscach. Trasa wiedzie koło parlamentu, katedry, portu, stadionów, dworca kolejowego. Jest to dobra opcja, aby wcześniej rozeznać odległości oraz wstępnie obejrzeć interesujące nas punkty jutrzejszego zwiedzania.

8 marca. Melbourne

Dzisiaj rozdzieliliśmy się na dwie grupy i postanowiliśmy cały dzień pozwiedzać piechotą najciekawsze atrakcje miasta. Ścisłe centrum to dworzec kolejowy Flinders Street Station z 1911 r. oraz nowoczesne wieżowce ze szkła, stali i betonu. Nad miastem wznosi się iglica Victoria Arts Centre, to jeden z symboli współczesnego Melbourne. Miasto rozpięto się na brzegach rzeki Yarra i jest spięte pięknymi mostami, a na jej wodach trenują ekipy wioślarskie oraz kajakarskie. Najpierw udaliśmy się do Royal Garden Botanic. Jest to najwspanialszy w mieście park położony 30 min, idąc pieszo od centrum. Zajmuje pagórkowaty teren nad brzegiem Yarry. Można tu odkryć tysiące egzotycznych gatunków roślin z całego świata lub patrzeć na pływające łabędzie. Następnie wjechaliśmy na wieżę widokową Melbourne Observation Deck, na 88 piętro, skąd rozciągał się widok na całe miasto. Wstęp wynosi 18,50 AUD/os. Dodatkową atrakcją stanowi szklana kostka, wystająca kilka metrów poza budynek na którą można wejść za 12 AUD/os. Następnie odwiedzamy Chinatown na Little Bourke Street, dzielnicę wyróżniającą się własnym charakterem, tutaj warto zjeść obiad. W centrum miasta godne uwagi są takie budynki, jak: Princess Theatre (z ozdobną figurą Anielskiego Trębacza), Hotel Windsor, Parlament House w wiktoriańskim stylu, Ratusz, katedra św. Patryka, synagoga żydowska, odrestaurowane łaźnie miejskie i wiele innych ciekawych miejsc. Kolejne punkty, w które się udajemy, to największy targ Australii Queen Victoria Market działający nieprzerwanie od 100 lat, jest tak popularny, że organizuje się do niego wycieczki. Następnie odwiedzamy Crown Casino, największe i najnowocześniejsze kasyno południowej półkuli wybudowane za 1,6 miliarda USD. Jest to jeden z największych na świecie przybytków hazardu czynny non stop. Mieści 350 stołów do gry, 2,5 tys. maszyn, a dodatkowo mamy tam kluby nocne, restauracje, kina, sklepy znanych marek. Po kilku godzinach chodzenia stwierdziliśmy, że możemy wracać do campera. Idąc w kierunku dworca, zobaczyliśmy, jak bawią się ludzie podczas Moomba Festival. Są tu lunaparki, jest kolorowo, hałaśliwie i widać wielki rodzinny festyn. Ostatni punkt naszego zwiedzania to centralne korty tenisowe zawodów Wielkiego Szlema „Rod Laver Arena”, o pojemności 14 820 widzów. Nie ma w Australii miasta, które pod względem świetności architektury dorównałoby Melbourne, zarówno jeśli chodzi

o XIX-wieczne zabytki, jak i nowoczesne budowle. Stolica Victorii to serce australijskich finansów i handlu.

9 marca. Melbourne

Rano zaplanowaliśmy mycie i czyszczenie naszego camperka. To już ostatni jego dzień, więc należy mu się „odnowa biologiczna”. Chłopaki wyszorowali i wypucowali go na błysk. Potem pojechaliśmy na plażę Brighton Beach, gdzie znajdują się kolorowe domki plażowe, z których każdy wart jest około 50 tys. AUD. Wszystkie w żywych i mocno kontrastowych barwach. Ustawione w rzędzie żółte, czerwone, fioletowe, z australijską flagą, z zielonymi drzwiczkami, z białym dachem. Jest to bardzo urokliwe miejsce, pełno tu plażowiczów, biegaczy i rowerzystów. Tutejsza zabudowa nowoczesnych architektonicznie domów świadczy o zamożności mieszkańców. Następnie zjedliśmy ostatni obiad i pojechaliśmy na lotnisko. Tu zostaliśmy z bagażami, a Piotrek z Jackiem pojechali oddać campera. Na lotnisku okazało się, że odlot mamy opóźniony o 180 minut i lecimy o godz. 2.00 w nocy. Z tego powodu linie Etihad dały nam voucher na posiłek za 20 AUD/os., do wykupienia w dowolnej restauracji na lotnisku. My skorzystaliśmy z McDonalda, którego w Polsce omijamy szerokim łukiem. Po dłużych oczekiwaniach, w końcu wsiedliśmy do samolotu i ruszamy w podróż do domu.

10 marca. Melbourne – Abu Dhabi – Dusseldorf – Wiedeń

Zmiana czasu już dała o sobie znać, mimo że próbowaliśmy spać w samolocie. Po 13,30 h lotu byliśmy w Abu Dhabi; tu bardzo szybko przeszliśmy do bramki, skąd odlatywał samolot do Dusseldorfu. Okazało się, że w wyniku opóźnienia z Melbourne, wszystkie samoloty oczekiwały na nasz przylot. Mimo wszystko linie Etihad stanęły na wysokości zadania i opóźnienie nie wpłynęło na nasze dalsze podróżowanie. Lot do Europy trwał 6,30h. W Dusseldorfie o godz. 17.10 mieliśmy samolot do Wiednia, by po 1,25 h wylądować w stolicy Austrii. Tu mieliśmy już obeznaną trasę przejazdu metrem na dworzec południowy (3,80 EUR/os.), skąd odjeżdża Polski Bus. O godz. 22.15 ruszyliśmy w drogę do Katowic.

11 marca. Wiedeń – Katowice – Bytom

O godz. 5.55 byliśmy w stolicy Górnego Śląska. Następnie autobusem 820 pojechaliśmy do Bytomia. Termometr pokazuje dzisiaj 0°C. Potem szybka kąpiel i o godz. 7.30 melduję się w pracy. Wróciłam z antypodów dosłownie na styk, miałam szczęście, że tramwaj się nie spóźnił...

25 marca. Dogrywka

Niespodzianka: niestety, po dwóch tygodniach od przylotu, dostaliśmy do zapłaty mandat za nieopłacony przejazd autostradą, po której jechaliśmy. Pobrano z karty 4,37 AUD, (12,94 PLN) mandat, oraz tzw. processing fee, czyli opłatę manipulacyjną 76,53 AUD (226,71 PLN). Umowa jest tak skonstruowana, że wypożyczalnia camperów „Apollo” może ściągnąć niezapłacone należności z karty przez kilka tygodni. Dobrze, że ta kwota dzielona jest na pięć osób.

PODSUMOWANIE

Przejechaliśmy 10 771 km, spaliliśmy 1572,9 litrów paliwa, za które zapłaciliśmy 2767 AUD. Średnie spalanie naszego „wehikułu przygody” to 14,60 l/100 km. Najtańsze paliwo kosztowało 1,54 AUD, najdroższe 2,54 AUD. W Australii ceny paliwa różnią się znacznie w zależności od dnia tygodnia, np. w piątek może być 20% droż-

sze niż w poniedziałek. Warto zabrać ze sobą nawigację, bo wypożyczenie kosztuje 15 AUD na dzień.

Podawane dzienne odległości są według Google, tak więc przejechaliśmy 10 245 km, nie zaznaczając dodatkowych kilometrów na dojazdy, objazdy, parkowania i takie tam...

Ponieważ odległości pomiędzy stacjami benzynowymi bywają spore (nawet 200–300 km), najlepiej jest tankować do pełna przy każdej nadarzającej się okazji. Odległości mierzy się tu w godzinach jazdy samochodem. Przemieszczanie się po Australii to sama rozkosz, benzyna jest tania, drogi dobrze oznakowane, a nawierzchnia w dobrym stanie. Gdyby jeszcze nie kangury, które lubią pakować się pod rozpędzone auta. Dlatego jadąc pustkowiem po ciemku, bezpiecznie jest nie przekraczać prędkości powyżej 30–40 km/h. Spać można praktycznie wszędzie: pod gołym niebem, w buszu, na plaży, na parkingu.

Ruch na drogach jest tu wręcz usypiający, wszelkie zakazy i nakazy są skrupulatnie przestrzegane. To się normalnie nie opłaca. Kierowca ma do stracenia 12 pkt w ciągu 3 lat. Przekroczenie prędkości o 50% może kosztować nawet 5 pkt. Życie w Australii bez samochodu jest niemal niemożliwe, komunikacja miejska jest szczątkowa.

Aby poznać Australię, trzeba spędzić co najmniej miesiąc w jej miastach, górach, lasach, parkach, na plażach i pustyniach. Jest to jeden z najłatwiejszych do podróżowania zakątków świata, a jednocześnie najbardziej monotony kontynent, każdy bez problemu tutaj sobie poradzi.

Australia podzielona jest na trzy strefy czasowe, przez co zależnie od stanu różnica czasu w stosunku do Polski wynosi od 9–11 godz. Kiedy u nas jest południe, w Perth jest godz. 21.00, w Adelajdzie 22.30, a w Sydney 23.00.

Zgadzamy się z powiedzeniem, że nie widziałeś Australii, jeśli nie byłeś w jej wnętrzu (outboku).

Miejscową tradycją jest grill, tak więc warto spróbować mięsa kangura czy emu.

To właściwie Australijczycy wymyślili instytucję BYO, czyli Bring Your Own (przynies własną butelkę) ulubionego piwa, wina, szampana. Alkohol wręcza się kelnerowi, ten go chłodzi (jeśli potrzeba), otwiera i rozlewa do kieliszków. Za usługę „obsługi butelki” płaci się grosze, ok. 2 AUD.

Niestety, nie wszędzie ta zasada działa. Do licencjonowanych restauracji własnej butelki przynosić nie wolno.

W tym kraju nie ma uprzedzeń, nikt nie czuje się na cenzurowanym. Brak jakiegokolwiek snobizmu ma tu swój nieodparty urok, wszyscy żyją tu na niesamowitym luzie.

Największe wrażenie robią tu kolory. Australia mieni się wszystkimi odcieniami błękitu, zieleni, żółci, czerwieni, są to barwy, jakie przybiera ocean, niebo, busz i skały.

Pamiętaj! Zanim założysz buty, sprawdź czy nie ma w nim jakiegoś lokatora. Lokatorem może być wąż, jadowity pająk czy choćby skorpion. Po prostu: witaj w australijskim buszu!!!

Australia jest miejscem, gdzie można wyraźnie poczuć zależność człowieka od siły natury. Ludzie tu muszą regularnie zmagać się z pożarami, powodzią i cyklonami, które czynią wielkie spustoszenie. Przyroda potrafi być tu nieobliczalna. Jest jednak coś niezwykle pociągającego w tej dzikości, coś co czyni Australię miejscem surowym, ale jednocześnie przyjaznym. Ludzie przybyli tu z różnych stron świata, ale cechuje ich ten sam optymizm.

CEKAWOSTKI

- Z 23 mln Australijczyków co czwarty mieszkaniec urodził się za granicą. Dla porównania w Australii żyje dwa razy więcej kangurów niż ludzi (ponad 40 mln). Aborygeni stanowią 2,3% populacji. Gęstość zaludnienia to około 3 osoby na km².
- Australia dzieli się na sześć stanów (Zachodnia Australia, Południowa Australia, Queensland, Wiktorja, Tasmania, Nowa Południowa Walia) i dwa terytoria (Stołeczne i Północne), każdy z tych stanów zachowuje wielką autonomię.
- Didgeridoo unikalny instrument dęty znany od 1500 lat. Oryginalny robiony jest z lokalnych odmian drzewa eukaliptusa. Powstał dzięki australijskiej naturze, a dokładnie termitom. Te drzewożerne mrówki, które gałęzie zamieniają w słomki, drążą wewnątrz drzew tunele, wydając tkankę, a zostawiając korę i milimetrową ściankę. Aborygeni nazywają ten instrument Yidaki. Niestety punkty turystyczne oferują nędzne kopie tych instrumentów – turystycznych gadżetów made in Indonezja.
- Bumerang – istnieją dwa typy bumerangów. Powszechnie znana wersja myśliwska powraca do rzucającego, natomiast tzw. bumerang bojowy został tak zaprojektowany, by zagłębił się w ciele przeciwnika.
- Warto pamiętać, planując trasę swego przejazdu, że na południowej półkuli słońce świeci od strony północnej.
- Naświetlenie jest tu tak silne, że kraj ten zajmuje pierwsze miejsce w liczbie zachorowań na raka skóry. Warto więc stosować kremy z dużym filtrem, a także nakrycia głowy.
- Najbardziej fotografowane są tu znaki drogowe, ostrzegające przed zwierzętami na drodze.
- Surfing to sport narodowy Australijczyków, jest niezwykle popularny, bo 80% populacji tego kraju mieszka nie więcej niż 50 km od oceanu. Mówi się nawet o plażowym stylu życia.
- Ze 140 gatunków węży, jakie tu żyją, 100 jest jadowitych.
- Australia jest jedynym państwem, które jest również kontynentem, stanowi szóste pod względem powierzchni państwo świata. Jego powierzchnia to 7682 km² (24 razy większa od Polski). Australia nie posiada granic lądowych z żadnym państwem, ale ma sąsiadów poprzez morza: od północy są to Indonezja, Timor Wschodni i Papua Nowa Gwinea, na północnym wschodzie Wyspy Salomona, Vanuatu oraz Nowa Kaledonia, oraz na południowym wschodzie Nowa Zelandia.
- Prawo wyborcze przysługuje obywatelom, którzy ukończyli 18 lat, wybory są tu obowiązkowe dla wszystkich obywateli. Kara za nieoddanie głosu wynosi 50 AUD.
- Australia jest trzy razy większa niż największa wyspa na świecie Grenlandia.
- Znajduje się tu też najdłuższy prosty odcinek torów kolejowych na świecie o długości 477 km.
- 146 km odcinek pomiędzy Beladonia a Caigunia, to najdłuższa w Australii droga w linii prostej.
- Najdłuższy płot świata „Dog Fence” biegnie ze stanu Queensland do stanu Australii Południowej, ma 5331 km długości i ma chronić farmy oraz osiedla ludzkie przed dingo.

- Dominują tu endemity, czyli gatunki niespotykane nigdzie indziej. Wśród zwierząt jest ich około 80%, wśród roślin 75%. Obszar Australii stanowi 75% powierzchni Starego Kontynentu.
- Australijskie ciężarówki (Road Train): maksymalna długość przyczep to 54 m, ładowność do 200 ton, zbiornik mieści około 1500 litrów paliwa.
- W tym kraju jest wszystko: pustynia, tropik, ośnieżone stoki gór, rafy koralowe.
- Australijskie strusie emu to drugie pod względem wielkości ptaki naszej planety (większe są tylko strusie afrykańskie), choć z pozoru ciężkie są świetnymi biegaczami (mogą biec z prędkością 50 km/h).
- W Australii są dwa gatunki krokodyli: słonowodne (saltes) osiągające 4–7 m długości i słodkowodne (freshies) „małuchy” dorastające do 1,5 m.
- W Australii dystansu drogi nie liczy się w kilometrach, tylko mówi się że za „czteropak lub sześciopak piwa” będziemy w danym miejscu lub miejscowości.

ABORYGENI

Przez 49 800 lat mieli kontynent wyłącznie dla siebie. W ciągu tysiącleci żyli w małych koczowniczych grupach, wiodąc typowe życie myśliwych-zbieraczy. Aż do 29 kwietnia 1770 roku, gdy brytyjski odkrywca James Cook zacumował na statku „Endeavour” w pld.-wsch. Australii. Następne 200 lat upłynęło pod znakiem kulturowego unicestwienia, masakr, chorób, alkoholizmu, narzuconej asymilacji. Dzisiejszą Australię zamieszkuje ponad 0,5 mln Aborygenów, stanowiących mniej niż 3% populacji. W latach 70. XX w. Aborygeni zaczęli porzucać miasta i przenosić się na zwrócone im przez rząd ziemie przodków. Około 20% z obecnej populacji 670 tys. Aborygenów mieszka w odizolowanych społecznościach. W 1976 r. uchwalono ustawę, na mocy której ponad 90 tys. km² Ziemi Arnhema zwrócono pierwotnym właścicielom. Plagą Aborygenów jest wąchanie oparów benzyny, do tego stopnia, że na części ziem zamieszkanych przez nich sprzedaje się wyłącznie specjalne paliwo marki Opal, prawie bezzapachowe i niezależniące. Część z nich prowadzi koczowniczy tryb życia na pustyniach, część mieszka w rezerwach. Do dzisiaj każde plemię ma własną nazwę, dialekt i zwyczaje. Prowadzi się szkoły, w których uczą się w ich rdzennym języku, a angielski jest językiem dodatkowym. Aborygeni nie mają nazwisk, nie posługują się datami, co doprowadza do rozpaczki urzędników. W niektórych plemionach dziewczynka może założyć rodzinę już w wieku 11 lat, a mężczyźni mając dopiero 28 lat. Trudno się dziwić, że w takiej sytuacji małżonek zainteresowany jest często bardziej teściową niż żoną. Problemem jest również edukacja Aborygenów, choć odkąd zaczęto im płacić za posyłanie dzieci do szkoły, sytuacja się poprawiła. Aborygeni nigdy nie stworzyli pisma, od 1968 r. posiadają własną flagę.

Ewa Flak
Jarosław Kociel

Hawaje – czyli 226 km w tempie Ironman



Termin: 8–22 października 2014 roku.

Uczestnicy: Ewa, Jarek.

Trasa lotnicza: Praga – Londyn – Los Angeles (British Airways), Los Angeles – Kailua Kona (American Airlines), powrót taki sam (6 lotów 1844 PLN/os.). Na Hawajach dwa przeloty Kailua Kona – Honolulu – Kailua Kona (Mokulele Airlines 102 USD/os., oraz Hawaiian Airlines 98 USD/os.) + 25 USD za sztukę bagażu.

Trasa lądowa: Kailua – Kona – Mauna Kea – Hilo – Rainbow Falls – Lava Tree State Monument – Pahoa, Papakolea Green – Park Narodowy Hawajskich Wulkanów – Thurston Lava Tube – Lapakahi State Historical Park – Upolu Point – Hawi – Kapa’au – Polo’lu Valley Lookout – Waipo Valley – Honolulu – Waikiki – Pearl Harbor – Capitan Cook Monument – Kona.

Koszty podróży: 5743 PLN/os. razem z pamiątkami.

Kursy walut: 1 USD = 3,37 PLN, 1 CZK = 1,57 PLN.

Czas: –12 godz. w stosunku do Polski.

Bezpieczeństwo: Hawaje cieszą się sławą gościnności symbolizowanej słowem „aloha”.

Wizy: obowiązuje tu wiza amerykańska, Hawaje bowiem są 50 stanem USA.

Język: angielski w każdym wydaniu, japoński oraz chiński.

Pogoda: temperatura jest tu stabilna, zimą wynosi 26°C, a latem 31°C.

Elektryczność: sprzęt elektryczny jak w całych Stanach Zjednoczonych 110V.

Przewodniki i mapy: Lonely Planet i Gazeta Wyborcza „Hawaje”.

Koszyk podróżnika: woda mineralna duża – 1 USD, coca-cola 2 l – 1,99 USD, lody galon – 8,30 USD, banany 1 kg – 2 USD, pomarańcze 1 kg – 1,79 USD, chleb od 3 USD wzwyż, bagietka – 1,99 USD, ziemniaki 1 kg – 1,49 USD, ananas – 2,49 USD szt., ser żółty 1 kg – 6 USD, jajka 12 szt. 3,29 USD, margaryna – 1,69 USD, makaron (paczka) – 1,62 USD, sos pomidorowy – 0,59 USD, ryż – 2,14 USD, piersi z kurczaka taca – 4,51 USD,

piwo od 3 USD w górę, wino od – 7 USD, Internet 1 godzina – 2,5 USD, warto korzystać z darmowego Wi-Fi w McDonald's i innych miejscach z darmowym dostępem, 1 galon benzyny – 4,18 USD, paczka Marlboro – 11 USD. Zakupy najlepiej robić w supermarketach, które znajdują się prawie w każdym miasteczku. W segmencie ogólnospożywczym mamy firmę Walmart, mającą łącznie ponad połowę rynku. Wszystkie ceny artykułów spożywczych można znaleźć na stronach: www.walmart.com, www.ktasuperstores.com

8 października. Bytom – Wrocław – Praga

Podróż była nieźle skonfigurowana logistycznie. Wyruszyliśmy o godz. 12.30 pociągiem z Zabrza do Wrocławia. Bilety kupiliśmy trzy tygodnie wcześniej za 61 zł/2 os. (w PKP była 30% promocja). Następnie Polskim Busem o godz. 16.15 pojechaliśmy do Pragi. Na miejscu byliśmy o godz. 21.40. Tutaj kupiliśmy bilety na komunikację miejską po 32 CZK na 90 minut. Najpierw podjechaliśmy metrem do stacji Dejvická, a potem autobusem 119 na lotnisko Praha Ruzyně. Tu zaczęło się pierwsze, żmudne czekanie...

9 października. Praga – Londyn – Los Angeles – Kailua – Kona

O godz. 7.00 mamy odlot z Pragi do Londynu. Tu przemieściliśmy się na inny terminal, skąd odlatywały samoloty „British Airways” do Los Angeles. Przelot trwał ponad 10 godzin. W LA czekaliśmy do 17.05 na samolot „American Airlines” do Kailua – Kona na Hawajach. Samoloty brytyjskich i amerykańskich przewoźników oferują słaby catering (jeden ciepły posiłek, a potem sandwich z napojami). Zauważyliśmy, że przezorni pasażerowie wyposażyli się w kanapki, chipsy, batony. My też w drodze powrotnej mieliśmy ten fakt na uwadze. Na miejscu byliśmy o godz. 19.45 miejscowego czasu. Różnica czasu między Polską a Londynem to –1 h, Los Angeles –9 h, Kailua-Kona –12 h, czyli gdy na Hawajach jest 8.00 rano, w Polsce mamy 20.00 wieczorem. Po wylądowaniu podjechaliśmy do wypożyczalni samochodów, których przy lotnisku jest kilka. W mieście nie ma żadnych agencji, a pośrednicy i tak załatwiają auta przy lotnisku. Okazało się, że prawie wszystkie samochody są zarezerwowane, bo w tym czasie odbywają się zawody Ironman. Proponowano nam półciężarówki za prawie 200 USD. W takim razie postanowiliśmy, że samochód wypożyczymy następnego dnia po Ironman. Tak więc takśówką za 60 USD dojechaliśmy do „Pineapple Hostel” (81-6363 Mamalahoa Highway, Kealahouka) 88 USD/2 os. w pobliżu Capitan Cook. Było już późno i wszystkie sklepy były zamknięte, w związku z tym szefowa hostelu poczęstowała nas swoim jedzeniem. Zmęczeni po prawie dwóch dniach podróży udaliśmy się spać.

10 października. Kailua-Kona

Rano poszliśmy do sklepu oddalonego o ok. 2 km. Stwierdziliśmy, że dobrze to robi naszym nogom, bo po tylu godzinach w samolotach trzeba rozchodzić ewentualne opuchlizny. Mieliśmy też możliwość przywitać się z wilgotnym, hawajskim powietrzem. W ogóle nie przypomina wyspiarskiego klimatu. Jest tu prawie 100% wilgotność, od której „spływają nadruki z T-shirtów”. Pogoda jest zmienna i zazwyczaj wieczorem pada deszcz, o czym mogliśmy się przekonać w ciągu najbliższych dni. Supermarket prowadzą Chińczycy i jest on bardzo dobrze zaopatrzony. Ceny są przystępne, duży wybór warzyw i owoców, pieczywo w postaci chleba tostowego. Kupiliśmy spaghetti, sos pomidorowy, chleb i ruszyliśmy „na stopa” w drogę powrotną do hostelu. Zjedliśmy pierwsze amerykańskie śniadanie, czyli chleb tostowy z masłem orzechowym.

wym i pokrojonym w plasterki bananem. Była to fajna opcja śniadaniowa, pożywna i energetyczna. Należy nadmienić, że jest tu wiele odmian masła orzechowego i warto poprobować tych smaków. Potem wyszliśmy na ulicę łąpać stopa do Kailua-Kona. Miejscowi na główne miasto mówią Kailua, ponieważ okręg zwie się Kona, urzędy pocztowe używają określenia Kailua-Kona. Nazwy w zasadzie stosuje się wymiennie, chociaż Kona używana jest powszechnie w odniesieniu do miasta, okręgu i wybrzeża. Transport publiczny jest bardzo ubogi, można właściwie powiedzieć, że bez samochodu trudno przemieszczać się po tej małej wysepce. Po kilku próbach zatrzymała nam się kobieta i podwoziła do 12 tys. Kailua-Kona. Jest to jedno z większych miast na Big Island, chociaż nie sprawia takiego wrażenia. Centralny punkt miasta stanowi Kailua Bay, zatoka otoczona przez Ali'i Drive oraz wał nadmorski. Jest to doskonałe miejsce dla miłośników spacerów, amatorów zakupów i pasjonatów sportu. W mieście trwały przygotowania do Ironman, czyli zawodów triathlonowych. Budowano scenę, metę, wytyczano trasę, zawodnicy rejestrowali się, poddawani byli kontrolom. Praktycznie od południa trwały ostatnie przygotowania rowerów, kasków, ustawianie ich w bokсах. Ponadto kibice robili sobie z zawodnikami wspólne pamiątkowe zdjęcia, największą zaś atrakcję stanowili pretendenci do zwycięstwa. Sprawiło to wrażenie ogromnego przedsięwzięcia sportowego. Obeszliśmy kilka razy rejon startu i mety, porobiliśmy zdjęcia. W hotelu Marriott otrzymaliśmy rozkład jazdy autobusów miejskich Hele-on-Bus. Dwa dni trwało, zanim doszliśmy, o co chodzi z tym rozkładem. Okazało się jednak, że rozkład rozkładem, a busy jeżdżą jak chcą. Tak więc, na wszelki wypadek poszliśmy pod K-Mart, skąd na pewno miały odjeżdżać autobusy na południe wyspy. Należy nadmienić, że autobus ma trasę z południa na północ miasta i z powrotem. Horror podróżnika!!! Czekaliśmy pod marketem, aż w końcu przyjechał zdezelowany potwór, ziejący zmrożonym powietrzem. Pani kierowca uprzejmie zapytała, kim jesteśmy, bo robi statystyki i ma wyszczególnionych: emerytów, niepełnosprawnych, studentów, meneli itd. A wy? – My turyści. Zapłaciliśmy po 2 USD i rozpoczęliśmy pogawędkę o tym i owym. Zimno jak w zamrażarce. Po półgodzinie jazdy przez kurorty, re-sorty dotarliśmy do hostelu. Zjedliśmy kolację i padliśmy jak dzieci o godz. 19.40. Zazwyczaj na całym świecie w hostelach tętni wieczorne życie, ludzie siedzą do późna, rozmawiają, oglądają filmy, itd. Tu jak makiem zasiał... o godz. 20.00 hostel wymierał. Większość z nas dopiero co przyleciała na Hawaje i każdy miał jet lag. Wstawaliśmy ok. godz. 4.00, a od godz. 5.00 hostel powoli budził się do życia...

11 października. Kailua – Kona (Ironman)

Wcześniej rano Jarek pojechał pick-upem z zawodnikami mieszkającymi w „Pineapple Hostel” na start Ironman, a ja o godz. 6.00 dojechałam autobusem. Tu już wszędzie stało kilka tysięcy kibiców, którzy przyszli oglądać zawody, wolontariusze, służby medyczne, policja, straż. Miasteczko całkowicie było odmienione. Główne trasy odgrodzone były kolorowymi barierkami z banerami sponsorów. Zawody były monitorowane przez helikoptery oraz drony z kamerami sportowymi Go Pro, z których później montowana była relacja do mediów. Okazało się, że w naszym hostelu mieszka Bartek Holda, który startuje w zawodach. Poczuliśmy lokalny patriotyzm i postanowiliśmy mu kibicować. Wiemy, jak ważny jest doping na trasie maratonu, kiedy już traci się siły i walczy z każdym metrem. Tu mieliśmy podziwiać zawodników, którzy mierzą się z niewyobrażalnym dystansem, tj. 3,9 km pływania, 180 km jazdy na rowerze

i 42,195 km biegu. Wszystko w ciągu jednego dnia w limicie 17 godzin. Niesamowite było oglądanie takiego wyczynu, szczególnie osób niepełnosprawnych. Wzruszające były widoki wolontariuszy pomagających wydostać się z wody zawodnikom bez nóg, widzieliśmy również parę, która jechała rowerem z wózkiem. Trzeba mieć silną psychikę i determinację, aby pokonać ten morderczy dystans. Widzieliśmy na trasie Marka Jaskółkę, który był w czołówce, oraz kolejnych Polaków, którzy serdecznie reagowali na naszą białą-czerwoną flagę. Po 10.43 h linię mety przekroczył Bartek Holda i usłyszał magiczne: „Yes, You are an Ironman!!!”. Wokół zawodów toczyło się życie kibica, czyli zdzieranie gardła, bicie brawa, polewanie wodą biegnących, a także grillowanie i leżakowanie. Organizacja całego przedsięwzięcia z punktu widzenia obserwatora wydawała nam się na wysokim poziomie. Po zawodach spotykaliśmy wielu bardzo zmęczonych, ale szczęśliwych ludzi, uczestniczących w tej imprezie. Okazało się, że tego dnia nie mamy co liczyć na transport publiczny, bo trasy były zmienione, tak więc wraz z zachodem słońca wróciliśmy „na stopa” do oddalonego o 10 mil hostelu. Był to naprawdę niesamowity dzień.

12 października. Kailua-Kona (Petroglify)

Znów obudziliśmy się o godz. 4.00, próbowaliśmy pospać dłużej, ale wciąż się nie przestawiliśmy. Mieliśmy nadzieję, że zmęczenie przyspieszy proces aklimatyzacji, ale jednak nie da się oszukać zegara biologicznego. Po śniadaniu pojechaliśmy na lotnisko, sprawdzić, czy są już jakieś samochody do wynajęcia. Okazało się, że jeden z chłopaków z hostelu zabukował Chevroleta Camaro za 60 USD/dzień. My dostaliśmy w ofercie Dodge Cherokee za 189 USD!!! Lekkie przegięcie. Pani z wypożyczalni, patrząc na stronę internetową, sama była zdziwiona tą sytuacją, mimo że było mnóstwo samochodów na parkingu, w systemie tego nie miała. Nic z tego nie rozumieliśmy. Greg zaproponował, że może nas wziąć z sobą na trzy dni i pojeździć po wyspie. Na początku przystaliśmy na tę ofertę, ale gdy zaczął przebąkiwać o zmianie hostelu, poszukiwaniach pracy, wtedy zapaliła nam się lampka, że z naszej eskapady może być wielka lipa. Po powrocie do hostelu szefowa zapytała się o wypożyczenie przez nas samochodu i po opowiedzeniu jej całej sytuacji, z lekka poirytowana, pomogła nam zarezerwować i wypożyczyć auto w normalnej cenie. Okazało się, że w wypożyczaniu samochodów tkwi mały niuans. Jeśli bukując wpisze się kraj pochodzenia, cena automatycznie idzie w górę. Amerykanie każdemu cudzoziemcowi naliczają dodatkowe koszty, bo podobno ryzykowniej jeżdżą. Przyjechalśmy znów na lotnisko i z wypożyczalni Alamo dostaliśmy nowiutkiego Nissana Elantrę za 80 USD/dzień z dodatkowym ubezpieczeniem. Tak zaczęła się nasza niezależna podróż po Big Island. Najpierw pojechalśmy pooglądać ogromne pola lawy, które rozciągają się na północ od Kony. Trochę dalej zaczynają się zielone wzgórza, a krajobraz jest urozmaicony pod względem widoczków, roślinności i klimatu. Wzdłuż wybrzeża ulokowały się bogate resorty, zapewniające luksusowe atrakcje, pola golfowe z 18 dołkami, baseny itp. Jest to wszystko zagospodarowane na lawie, więc tym bardziej robi wrażenie. My postanowiliśmy poszukać petroglifów wrytych w lawie, które znajdują się na tym obszarze. Są to ryciny stworzone przez Polinezyjczyków, którzy jako pierwsi osiedlali się na tych wyspach. Rysunki są prymitywne, ale stanowią atrakcję turystyczną na miarę hieroglifów egipskich. Nie ustalono ich wieku, a znaczenie wielu z nich pozostaje niejasne. Po kilku godzinach wróciliśmy do hostelu, gdzie przyrządziliśmy kolację.

13 października. Kona – Mauna Kea – Hilo – Rainbow Falls – Lava Tree State Monument – Pahoa

Śpiemy aż do godz. 5.00. Hostel budzi się do życia ok. godz. 6.00, bo kuchnia jest od tej godziny otwierana. Trwają więc kulinarne popisy i tak: na patelnię trafiają jajka na bekonie, kiełbaski i inne „niezdrowe” produkty. W użyciu jest masło orzechowe, chleby tostowe. Ot, amerykański standard! Potem ruszamy na wulkan Mauna Kea 4205 m. n.p.m. Jest to najwyższy punkt na Hawajach i w basenie Oceanu Spokojnego. Mierząc od podstawy znajdującej się pod wodą, jest to najwyższa góra na Ziemi, mająca ponad 10 203 m wysokości bezwzględnej. Drzemiący dziś Mauna Kea po raz ostatni wybuchł 3500 lat temu. Na szczyt można wjechać samochodem. Zalecane jest użycie pojazdu 4x4, ale my naszym autkiem dotarliśmy na samą górę (choć wypożyczalnie samochodowe nie pozwalają na nią wjeżdżać). Trasa najpierw jest asfaltowa, ale potem wytyczona jest po dosyć mocno ubitym szutrze. Wulkan otaczają ciemne lasy, które rzadną wraz z wysokością, aż w końcu znikają wraz z krzewami, trawami i ptakami. Na szczycie okazało się, że temperatura spadła do 38°F, czyli 3°C. Dosyć zimno i wietrznie, szczególnie, że my byliśmy ubrani jak na plażę, czyli krótkie spodenki i podkoszulki. W szczytowych partiach zimą zalega tu śnieg, któremu wulkan zawdzięcza nazwę „biała góra”. Znajduje się tu 13 gigantycznych teleskopów oraz obserwatorium meteorologiczne. Sesja zdjęciowa trwała wyjątkowo szybko, chociaż widoki są naprawdę niezwykłe. Rejon jest iście księżycowy, w kolorach miedzi i szarości. Z góry rozciąga się wspaniały widok na dolinę, a wrażenie potęguje fakt bycia ponad chmurami. Zjechaliśmy w dół i skierowaliśmy się w kierunku Hilo. Trasa wiodła Saddle Road, która w przewodniku zaznaczona była jako jedna z bardziej „niebezpiecznych” dróg na wyspie. Jechaliśmy nią wśród malowniczych łąk, gospodarstw rolnych, jak również kilku miasteczek i nie zauważyliśmy niczego szczególnego. Jest kręta i czasem wznosi się i opada, ale nie jest to droga szczególnie niebezpieczna w porównaniu z Boliwią, Nepalem czy Birmą. Na przedmieściach Hilo przywitał nas deszcz, który z każdym kilometrem nasilał się. Dojechaliśmy do Rainbow Falls, ale z uwagi na ulewę nie mieliśmy możliwości obejrzeć tego wodospadu. Postanowiliśmy pojechać na południe wyspy w nadziei, że uciekniemy przed ulewą. Dotarliśmy do Lava Tree State Monument, gdzie w parku narodowym stoją pozostałości po spalonych, zatopionych w lawie drzewach. W 1790 r. lawa zalała las deszczowy, pozostawiając na drzewach zastygłe skorupy. Powstałe w ten sposób lasy lawowe stanowią bajeczny widok. Zrobiliśmy kilka zdjęć i pojechaliśmy dalej. Po drodze można posilić się u Pana Hotdoga (Hot-dog Man), który jest zaznaczony w przewodniku Lonely Planet. Jest tu facet z budką z hot-dogami stanowiący atrakcję turystyczną. Oczywiście spróbowaliśmy jego specjału, który smakował wybornie. Skierowaliśmy się do Pahoa, bo stamtąd miało być blisko do wioski Kalapana, która ucierpiała podczas ostatnich erupcji wulkanu i została zalana przez lawę. Ponadto liczyliśmy na zobaczenie drogi pokrytej lawą, której zdjęcie mieliśmy w przewodniku. Deszcz przybierał na sile, a w radio pojawiły się komunikaty o tropikalnym sztormie. Szukając drogi, zatrzymaliśmy się przy jednym z hoteli, gdzie w recepcji poinformowano nas o nadciągającej tropikalnej ulewie. Stwierdziliśmy, że na dzisiaj zakończymy naszą eskapadę i w strugach deszczu wróciliśmy do Kony. Zjeżdżając z gór, okazało się, że po zachodniej stronie wyspy przeszedł tylko cowieczorny „kapuśniaczek”. Po drodze pierwszy raz zatankowaliśmy, płacąc za galon benzyny 4,18 USD, czyli na pol-

skie 3,65 PLN za litr. Płatności w USA to przede wszystkim karty płatnicze. System jest tak skonstruowany, że większość transakcji dokonywana jest plastikowym pieniądzem. Gotówka jest czymś rzadkim i nawet w niektórych miejscach wzbudza podejrzenia.

14 października. Plaże Papakolea Green – P.N. Hawajskich Wulkanów – Thurston Lava Tube

Rano pojechaliśmy z Bartkiem na południe wyspy, gdzie znajduje się najdalej wysunięty punkt Big Island, a podobno i Stanów Zjednoczonych. Niedaleko od głównej drogi są również zielone plaże Papakolea Green. Dojeżdża się tu do końca asfaltowej drogi, potem można jechać tylko samochodem miejscowych z napędem 4x4 za 10 USD. My zrobiliśmy kilkukilometrowy spacer na wschód od South Point przez porośniętą trawą równinę, która prowadzi do jedynej w swoim rodzaju Papakolea Green – plaży z zielonym piaskiem. Podobno wiele lat temu do zatoczki wpadł cały wulkaniczny stożek zbudowany z oliwinu, który fale rozdrobniły i zabarwiły piasek na zielono. Fajnie to wygląda. Następnie pojechaliśmy do Parku Narodowego Hawajskich Wulkanów (wjazd 10 USD/ za samochód). Dojechaliśmy do Kaldera Kilauea. Cała trasa wiedzie wokoło krateru, z którego wciąż wydobywa się dym. Obszar jest ogrodzony i niebezpieczny. Krater ma wymiary 4 km na 3,2 km, a jego ściany tworzą klify sięgające 120 m. Przykładając rękę do ziemi, czuje się gorąco, a z pęknięć wydobywa się para i różne gazy. Czasem czuć siarkę. Trochę przypomina to rejon Rotorua w Nowej Zelandii. Obok jest centrum turystyczne, gdzie można zobaczyć filmy o tutejszych wulkanach, jak również można uzyskać informacje o bezpieczeństwie pieszych tras. My wciąż mieliśmy nadzieję na znalezienie drogi zalanej lawą. W Kilauea Visitor Center jeden z rangersów powiedział, gdzie szukać tego widoku. Zjechaliśmy więc 17 km Crater Rim Drive w dół doliny i syciliśmy oczy niesamowitymi widokami. Po dwóch stronach drogi widzieliśmy zastygłe strumienie lawy z lat 1921, 1971, 1974. Okazało się, że w tym rejonie jest sporo spalonych drzew stojących w lawie. Ponadto znajdują się tutaj tunele z lawy, ogromne zwałowiska, zastygnięte czopy oraz jęzory lawy o różnych strukturach i kolorach. Zastygła lawa jest przede wszystkim czarna, zdarza się w odcieniu brązu, fioleto, a przyglądając się bardziej, można zobaczyć błyszczące drobinki różnych minerałów. Skamielina jest zresztą poddawana ciągłym badaniom geologicznym, a pozyskiwane twardsze bazaltowe bryły służą do budowy dróg, domów i innych zastosowań. W końcu dotarliśmy do „naszej” drogi. W 2003 r. wylew lawy przeciął drogę, zmierzając do oceanu, w ten sposób wskutek zetknięcia się dwóch żywiołów (ognia i wody) powiększa się co roku powierzchnia wyspy. Rzeczywiście wygląda to tak, jakby betoniarzka smoły wylała się na drogę i zastygła. Wsadzony jest tu znak drogowy „Road closed” i tak się ciągnie na kilku kilometrach. Tam też gdzieś jest wioska Kalapana. Należy zwrócić uwagę, że w niektórych miejscach lawa sięga ponad 5 m, więc pozbycie się tego wcale nie jest łatwe. To nie zwały błota, które kiedyś może zmyje deszcz, tu wchodzi ciężki sprzęt budowlany, kamienie są wzmacniane w stalowe siatki, oblewane płynnym betonem. Znow zaskoczyła nas pomysłowość ludzka i wytrzymała walka z żywiołem, który nie wiadomo kiedy da o sobie znać (dał tydzień później). W drodze powrotnej podjechaliśmy do popularnego w okolicy Thurston Lava Tube, czyli oświetlonego tunelu lawowego, do którego prowadzi niezbyt długi szlak, wijący się wśród gajów paprociowych. Wulkan Kilauea jest największą atrakcją wyspy. Nie zaprzestaje erupcji od 1983 r. i jest najbardziej aktywnym wulkanem na świecie, sprawiającym, że powierzch-

nia Big Island stale się powiększa. Wycieczka po polach lawy to podróż do środka ziemi. Widać, że pod skorupą wszystko się gotuje, a z każdej szczeliny bucha biała para. Wróciliśmy do hostelu, gdzie Bartek spakował swój sprzęt triathlonowy i ruszyliśmy na lotnisko, skąd miał samolot do Anglii.

15 października. Lapakahi State Historical Park – Upolu Point – Hawi – Kapa’au – Pololu Valley Lookout – Waipo Valley

Dzisiejszy dzień rozpoczynamy od zwiedzania 600-letniej hawajskiej wioski rybackiej Lapakahi, odkrytej w 1968 r. przez archeologów, znajdującej się w pobliżu autostrady 270. Na tych terenach utworzono Lapakahi State Historical Park, który zwiedza się we własnym zakresie. Zachowały się tutaj odrestaurowane fundamenty i kamienne ogrodzenia wioski rybackiej. Potem jedziemy na najbardziej na północ wysunięty kraniec wyspy „Upolu Point”, znajdujący się kilkaset metrów za niewielkim lotniskiem. Po drodze odwiedzamy miasto Hawi, gdzie natknęliśmy się na starą zabudowę. W sąsiednim Kapa’au stoi oryginalny pomnik króla Kamehamehy I (zresztą jeden z wielu). Potem pojechaliśmy do Pololu Valley Lookout z pięknymi panoramami wybrzeża, klifów i dolin. Stromy szlak prowadzi w dół do skalistej plaży, której część widać z punktu widokowego. Piasek na plaży jest koloru czarnego, powstał z lawy i pumeksu wulkanicznego, i naprawdę robi to wrażenie. Była to kolejna ciekawostka Big Island. Dalej trasa wycieczki wiodła nas do Waipo Valley, rozreklamowane jako spektakularne miejsce tętniące zielenią. Dojechalśmy na miejsce, wilgotność powalała, a nad nami rozciągały się ciężkie, szare chmury. Postanowiliśmy wrócić do hostelu. Tu angażujemy właścicielkę, aby pomogła nam zarezerwować bilety lotnicze na O’ahu i z powrotem, oraz miejsca hotelowe w Waikiki Beach. Wszystko oczywiście odbywa się przy użyciu karty kredytowej.

16 października. Honolulu – Waikiki

Po śniadaniu pojechaliśmy na lotnisko oddać samochód. Pani podeszła, szczytała kod kreskowy naklejony na szybie i zapytała o formę płatności. Wydrukowała rachunek i kazała zostawić kluczyki w stacyjce. I tak skończyła się nasza samochodowa wycieczka (przejechaliśmy 847 km). Podjechalśmy do terminalu busem z wypożyczalni, bo wszystkie agencje mają shuttle busy, jeżdżące dookoła lotniska. O godz. 11.00 liniami „Mokulele Airlines” mieliśmy lot na O’ahu, z powrotem wykupiliśmy „Hawaiian Airlines”. Mimo że udało nam się kupić bilety w dobrej cenie, to na lotnisku trzeba zapłacić 25 USD za bagaż. Mieliśmy tylko 1 duży plecak, jeśli byłoby dwa to płacilibyśmy za drugi 35 USD. Odlecieliśmy do Honolulu, napawając oczy pięknymi widoczkami z góry. Po kilkudziesięciu minutach dolecieliśmy na wyspę Maui, gdzie było międzylądowanie. Tu kazano nam wysiąść, przejść przez halę odlotów i parę minut później wsiąść z powrotem do 10-osobowego samolociku. Dosiedli się inni pasażerowie i odlecieliśmy do stolicy. Z lotniska do Waikiki odjeżdżają autobusy nr 19 i 20. Jadą co 15 minut, więc nie ma problemu z dostaniem się do miasta. Przejazd w obrębie aglomeracji, niezależnie od odległości, kosztuje 2,50 USD. Po ponad godzinie jazdy docieramy do Waikiki Beach. Tu meldujemy się w „Hostel HI” (2556 Lemon Road, B 101) 80 USD/2 os. Po dokonaniu opłaty, poprosiliśmy o pomoc w poszukaniu kolejnego noclegu. Okazało się, że dwie przecznice dalej jest kolejny hostel, który ma jeden pokój wolny. Szybko go zarezerwowaliśmy, bo tutaj z tanimi noclegami są problemy. Potem poszliśmy na rekonesans w poszukiwaniu sklepów spożywczych, przystanków autobusowych i innych waż-

nych dla nas rzeczy. Następnie udaliśmy się w kierunku słynnej plaży Waikiki. Stoi tu odlany z brązu pomnik Duke'a Kahanamoku, z deską surfingową odwzorowującą klasyczną 7,5 m deskę koa. Duke był trzykrotnym rekordzistą w pływaniu, a poza tym reklamował hawajski surfing na całym świecie. Tu wykąpaliliśmy się w oceanie, w którym temperatura wody o tej porze roku wynosi 26°C. Posiedzieliśmy do wieczora, obserwując ludzi, stożek wygasłego wulkanu Diamond Head i „banalny” zachód słońca. Jest to jedno z najlepszych miejsc na świecie do uprawiania sportów wodnych, takich jak: surfing, windsurfing, kiteboarding, żeglarstwo, nurkowanie czy wędkowanie. Każdy znajdzie tu coś dla siebie.

17 października. Pearl Harbor – Aloha Stadion – Chinatown

Rano autobusem nr 42 (lub 20) pojechaliśmy do Pearl Harbor. Miejsce to zapisało się w historii rankiem 7 grudnia 1941 r., kiedy to japońskie bombowce zniszczyły bazę amerykańskiej floty na Oceanie Spokojnym. Wstęp do USS „Arizona” Memorial jest darmowy, bilety kupuje się tylko na zwiedzanie poszczególnych okrętów wojennych. Przed wejściem należy oddać wszelkie plecaki, torebki oraz bagaż podręczny, płacąc depozyt, który wynosi 3 USD. Poszliśmy pobrać wejściówki na określoną godzinę. Potem przewodnicy informują, że najpierw obejrzymy film, potem mamy się ustawić z biletami w rękę i podnieść je do góry, aby były widoczne. Następnie jak „cielaki” idziemy z obsługą do małego kina. Tu ponownie oglądamy propagandowy film, a potem poszliśmy na przystań, z której odpływały statki do memoriału. Sama budowla postawiona została na wraku statku USS „Arizona”, który znajduje się 14 m pod powierzchnią wody. Jest to biały pawilon, w którym wykute są nazwiska zatopionych marynarzy. Obok w wodzie wystają kominy okrętu, a czasem na powierzchnię wypływają plamy oleju. Rejon jest typowo wojskowy, a atrakcję stanowią ogromne okręty wojenne, które można zwiedzać. W USS „Bowfin” Submarine Museum and Park można obejrzeć rozbrojone torpedy i wnętrze odrestaurowanego okrętu podwodnego. Po wyjściu z Pearl Harbor, poszliśmy na „Aloha” stadion z miejscami dla 50 tys. widzów, na którym odbywają się zawody ligi futbolowej NFL oraz baseballu. Ponadto w środy, soboty, niedziele, na terenie parkingu organizowany jest ogromny pchli targ. Autobusem podjechaliśmy do Chinatown (chińskiej dzielnicy), otoczonej przez tereny portowe. Obszar obejmuje kilka ulic i jest typowym azjatyckim zakątkiem. Przed wejściem do dzielnicy stoją dwa ogromne kamienne lwy, wyznaczające początek Chinatown. Dzielnica chińska to, jak sama nazwa wskazuje, barwne azjatyckie targowiska, sklepiki, fabryki, galerie sztuki i antyków, liczne świątynie. Warto zapuścić się tu w boczne uliczki. Maunakea Market to nowoczesny, otwarty plac targowy pośród starej zabudowy (warto przyjrzeć się zegarowi o chińskiej numeracji). Tu można zrobić tanie, żywnościowe zakupy, jak również zjeść posiłek w przystępnej cenie. Ponieważ całe Hawaje sprawiają wrażenie dosyć azjatyckich, to tylko tutaj budynki lub ozdobniki typowe dla tej kultury tworzą specyficzny klimat. Natomiast mieszkańcy o azjatyckim pochodzeniu zasiedlili wszystkie wyspy i stanowią powszedni widok. Z Chinatown postanowiliśmy przejść piechotą do Waikiki. Okazało się to dłuższą, około 10 km wycieczką. Po drodze zwiedziliśmy marinę, browar, mijaliśmy salony samochodowe, warsztaty i na pewno nie były to miejsca, gdzie można było spotkać turystę. Samo centrum Honolulu, to przede wszystkim wieżowce biurowe zajmowane przez różne agencje, siedziba władz, ministerstwa, konsulaty, banki itp. Dalej, w kierunku Waikiki ustępują ogromnym hotelowym komplek-

som i sklepom. Zmienia się też otoczenie, jest czyściej, mniej bezdomnych i wariatów, a więcej turystów i zakupowiczów z torbami znanych marek.

18 października. Honolulu

Dzień rozpoczynamy od przenosin do „Hale Aloha Hostel” (2417 Prince Edward St.) 80 USD/2os. Od rana zwiedzamy centrum miasta z zabytkami. Trudno tu mówić o starociach w odniesieniu do starożytnych budowli w Europie czy na Bliskim Wschodzie. Tutaj zabytkami są budowle z XIX wieku. Czyli wszelkie katedry, kościoły, teatry, dom gubernatora, Iloani Palace – rezydencja króla, która jest jedynym pałacem królewskim na amerykańskiej ziemi, oraz parlament. Zobaczyliśmy pomnik króla Kamehamehy I, który w 1810 r. zjednoczył wyspy w jedno królestwo. Za budynkiem stoi Judiciary Building, czyli gmach sądu. Podeszliśmy do Kawaiaha’o Church, jednego z najstarszych kościołów, gdzie podglądaliśmy nowożeńców. Dalej przeszliśmy do Mission Houses, a nieopodal stoi ratusz miejski Honolulu Hale. Obeszliśmy cały rejon, który zaznaczony jest jako atrakcja turystyczna, ale zaczęło mocno padać, więc poszukaliśmy schronienia w salonach samochodowych. I tak najciekawszą atrakcją dla nas okazało się oglądanie najnowszych modeli Lamborghini, Ferrari, Maserati, Porsche. Potem poszliśmy do autosalonu Mini Coopera i tu posiedzieliśmy w tym sympatycznym autku, ponaciskaliśmy wszelkie guziki i pstryczki, ciesząc się jak dzieciaki resorakami. Fajny, w miarę przystępny, miejski samochód. Niebo przybrało szary kolor, w TV wciąż ostrzegano przed zbliżającym się huraganem, ale prognozy wskazywały, że uderzenia w wyspy nie będzie, a oczekiwane są mocne ulewy przez najbliższe dni. Trochę nas to martwiło, bo w mediach podawano komunikaty o odwoływanych lotach. Tak więc, czekaliśmy na rozwój sytuacji.

19 października. Honolulu

Dziś leje jak z cebra. Postanowiliśmy pójść do Oceanarium, które znajdowało się dwie przecznice od hostelu. W taki dzień wielu ludzi skorzystało z tej atrakcji turystycznej i przed wejściem ciągnęła się długa kolejka. Wstęp kosztuje 12 USD, ale dla Jarka wynegocjowałam bilet dla niepełnosprawnego z uwagi na jego rękę w gipsie z wystającym drutem z kości. Pani nie była za bardzo pewna jego dysfunkcji, ale widząc zniecierpliwienie reszty turystów w końcu sprzedała bilet za 5 USD. Zawsze to coś, np. na lody za 7 USD/galon. W środku jest wiele akwariów, w których można podziwiać oceaniczne stwory. Oceanarium jest małe, ale jest tu kilka akwariów z konikami morskimi lub meduzami, które stanowią dużą atrakcję. Następnie autobusem podjechaliśmy na Ala Moana, gdzie znajduje się punkt przesiadkowy na inne autobusy. Chcieliśmy pojechać do świątyni buddyjskiej. Po prawie dwóch godzinach czekania wróciliśmy do Waikiki. Okazało się, że w niedzielę autobusy w tamtym kierunku odjeżdżają z innego przystanku. Niestety, nigdzie nie ma rozkładu jazdy. Takich jak my było już kilku turystów, więc poirytowani deszczem i stratą czasu wróciliśmy do hostelu.

20 października. O’ahu – Big Island – Kailua-Kona – Capitan Cook Monument

Wczesnie rano jedziemy na lotnisko, obawiając się porannych korków. Na lotnisku obowiązują procedury bezpieczeństwa, które ustalono po ataku na WTC 11 września. Spowodowało to wzrost paranoi i wszechobecnego zagrożenia. Mimo że przeszliśmy już wiele kontroli lotniskowych, m.in. w Izraelu i Iranie, to tutaj kontrole to wielka próba cierpliwości. Najpierw przechodzimy koło strażnika, który sprawdza paszporty i kieruje do odprawy bagażowej. Tu jest kilka stanowisk elektronicznych, gdzie bagaż jest wa-

żony, dokonuje się opłaty za przewóz w kwocie 25 USD za pierwszą sztukę, następnie idziemy po karty pokładowe. Jarek znów został poddany dodatkowej kontroli, bo ręka w gipsie budziła podejrzenie. Pocierali więc specjalnymi paskami i dawali do urzędzenia, które dokonywało analizy. Samolot odleciał o godz. 8.39, tym razem stewardesy podawały kawę i sok. Po wylądowaniu na Big Island czuliśmy się jak u siebie w domu. Nic nie było nam obce, trasę mieliśmy obeznaną, tak więc udaliśmy się na skrzyżowanie (w pobliżu lotniska), gdzie mieliśmy nadzieję złapać stopa do miasta. Po kilku próbach zatrzymał się kierowca, który podwiózł nas do centrum. Tam mieliśmy rezerwację w hostelu „Patey's Place Inn” (75-184 Ala Ona Street), który znajduje się w pobliżu Ali'i Drive. Fajna lokalizacja, ale hostel pozbawiony takiego klimatu jak Pineapple Hostel. Zapłaciliśmy 65 USD/2 os. + 10 USD za klucz (do zwrotu przy wymeldowaniu). Następnie poszliśmy na przystanek autobusowy i podjechaliśmy do skrzyżowania, skąd mieliśmy dotrzeć do Monumentu Kapitana Cooka; jest to miejsce, gdzie zginął Cook wraz z członkami jego załogi. Żle nas pokierowano i dojechaliśmy nad samo wybrzeże, także historyczne, ale po drugiej stronie zatoki, tak więc monument widzieliśmy z daleka. Idąc w dół do zatoki, mijaliśmy pijalnię kawy, w których można zaopatrzyć się w paczki rozmaitych gatunków kawy rodem z Kona (jest to jedyna plantacja w Stanach Zjednoczonych). Można spróbować przy okazji różnych wypieków, przetworów z owoców, produkowanych na licznych organicznych farmach. Okazało się, że wejście na szlak jest zaraz przy skrzyżowaniu i w ogóle nie jest oznaczone. Wróciliśmy na przystanek i autobusem podjechaliśmy do miasta. Tym razem postanowiliśmy przejechać całą trasę, aby zobaczyć, gdzie najbliższej lotniska zatrzymuje się bus. No, była to wycieczka krajoznawcza. Trasa wiedzie przez osiedla, do których pewnie nie trafilibyśmy sami. W środku pojazdu klimatyzacja włączona była na full, tak więc pozwoliliśmy sobie na trochę czułości i przytuleni do siebie podziwialiśmy okolicę w zachodzącym słońcu. Wysiedliśmy przy Walmarcie, gdzie na chwilę weszliśmy zrobić zakupy spożywcze. Po wyjściu na zewnątrz uderzyło nas ciepłe, wilgotne powietrze, które przyjeśliśmy z wdzięcznością po ponad godzinnej „kwarantannie w lodówce”. Wieczorem Jarek przebiegł 1/4 dystansu trasy maratonu Ironmana.

21 października. Kailua-Kona

Rano poszliśmy na ostatnie zwiedzanie i pamiątkowe zakupy. Jakże inaczej wyglądało miasto bez Ironmana, tłumu turystów, samochodów, hałasu. Takie spokojne miejsce jak Jastarnia po sezonie. Oczywiście ich kryterium sezonu to dla nas wciąż ciepło i słońce. Hawajowie kończą już okres wakacyjny i przygotowują się do deszczów i sztormów. Zaczynają pojawiać się ozdoby świąteczne, m.in. Mikołaj w koszuli hawajskiej z deską surfingową, oraz drzewka choinkowe. Sklepiki i restauracyki pozamykane, hotel Marriott świecił pustkami. Ciekawe, że tydzień wcześniej było to centrum świata triathlonowego. Ceny wróciły do normy i można było spokojnie żyć. Przy głównej ulicy znajduje się małe targowisko z rękodziełem i produktami rolnymi. Można tu kupić świeże papaje, dragon fruty, banany w cenach o wiele mniejszych niż w markecie. Dalej poszliśmy do Bubba Gump, czyli restauracji utrzymanej w konwencji Foresta Gumpa. Wystrój jest typowo amerykański, a widoki z werandy na ocean zapierają dech. Obok znajduje się szereg małych sklepików, które reklamują rękodzieło miejscowych artystów. Działa tu wiele galerii oferujących różne formy dokonań artystycznych, jak: fotografia, malarstwo, ceramika, szkło, rzeźby... Następnie skierowaliśmy się

do Browaru w Konie. Tutaj trzeba się wcześniej umówić na zwiedzanie. Jest tu fajny pub i restauracja, gdzie można za 9 USD degustować pięć rodzajów piw w małych szklanceczkach. Kelnerka przyjmuje zamówienie i potem stawia piwko na specjalnej podkładce z opisem, aby wiedzieć, jaki rodzaj piwa się testuje. Warto też skosztować amerykańskich przysmaków w postaci kopianego talerza frytek i burgerów. Knajpa cieszy się popularnością, warto więc zrobić rezerwację, aby długo nie czekać na stolik. Znajduje się w ścisłym centrum handlowo-restauracyjnym. Po kilku godzinach wróciliśmy do hostelu, wykąpaliliśmy się, ugotowałam obiad z resztek prowiantu i przygotowaliśmy sobie lunch boksy, bo wiedzieliśmy już, że nie dostaniemy jedzenia w samolocie. Trzeba przyznać, że we wszystkich hostelach, w których nocowaliśmy, są dobrze wyposażone kuchnie. Potem ustawiliśmy plecaki na przystanku i czekaliśmy cierpliwie na autobus. Według planu miał przyjechać ok. 17.00, ale nie przyjechał. Po godz. 18 podjechał rozklekotany pusty Hele-on-bus i wsiedliśmy do niego. Po kilku przystankach kierowca w ogóle przestał zatrzymywać się i ruszył ku naszemu zdumieniu prosto na lotnisko. Jakaż była nasza radość, kiedy dotarliśmy w pobliże wypożyczalni samochodów, bo stąd już darmowymi busikami podjechalśmy do terminala. Daliśmy kierowcy pieniądze do ręki, czym był wyraźnie wstrząśnięty, a my tym, że dowiózł nas na miejsce, mimo że nie miał tego w rozkładzie jazdy. Firma obsługująca linie autobusowe powinna zostać nagrodzona jakąś „Złotą...” za geniusz planowania tras i rozkładu jazdy. Na lotnisku przepakowaliśmy bagaże i przebraliśmy się w ciepłe ubrania. Potem rozpoczęła się odprawa i nadawanie bagażu do Pragi. Trwało to bardzo długo. Następnie kontrole paszportowe i czekanie w terminalu na świeżym powietrzu. Odlot mieliśmy o godz. 21.15. Po 5 godzinach byliśmy w Los Angeles.

22 października. Los Angeles – Londyn – Praga – Ostrawa – Czeski Cieszyń – Bytom

Od wczesnego rana koczujemy na lotnisku. Zjedliśmy część naszego awaryjnego prowiantu i czekamy na otwarcie bramek i odprawę. Po kilku godzinach poszliśmy do kontroli. Tu znów rytuał z Jarka gipsem, ale podejrzenie wzbudził też nasz ser żółty, który przybrał gumowatą konsystencję. Poddany został analizie chemicznej, która niczego nie wykazała. Hm..., albo był taki zdrowy i nie miał konserwantów, albo skład chemiczny nie budził podejrzeń. Poszliśmy na strefę wolnocłową, gdzie znaleźliśmy ustronne miejsce i dospaliśmy kilka godzin. Prawie 11 godzin lotu z Los Angeles do Londynu szybko nam minęło na słuchaniu muzyki i oglądaniu filmów. Tutaj znów przejazd na inny terminal. Odlot do Pragi mieliśmy o godz. 11.50. Wszystko przebiegało planowo. Z lotniska w Pradze autobusem 119 podjechalśmy do stacji metra, następnie na dworzec kolejowy, ale brakło nam 2 minut, aby zdążyć na pociąg do polskiej granicy. Za godzinę mieliśmy kolejny do Českého Tešína. Kupiliśmy bilety za 340 CZK/os. + 100 CZK za miejscówkę, potem zrobiliśmy zakupy w Billy, m.in. kilka czeskich piw i suchą kiełbasę. Okazało się, że pierwszy raz pojedziemy pociągiem Pendolino do Ostrawy, skąd mieliśmy przesiadkę do Českého Tešína. Na dworcu kolejowym czekali na nas Beata z Darkiem, z którymi dojechalśmy do Bytomia.

PODSUMOWANIE

Na Hawajach nie ma czterech pór roku, tam przez 12 miesięcy jest przepiękna pogoda. Zima właściwie nie różni się tu od lata. Bywa, że różnica w temperaturze tych

dwóch pór roku to zaledwie pięć stopni. Długość dnia maksymalna: czerwiec 13 godz., minimalna: grudzień 11 godz.

Są to najbardziej samotne wyspy, gdzie do najbliższego lądu stałego jest ponad 4 tys. km.

Hawaje leżą po drugiej stronie kuli ziemskiej. Wyruszając z Polski, teoretycznie nie ma różnicy, czy wyjedziemy w kierunku zachodnim czy wschodnim, w każdą stronę będziemy mieli tak samo daleko. Leżą w strefie podzwrotnikowej (na tej samej szerokości geograficznej co miasto Meksyk, Bombaj i Hongkong), dlatego pory roku nie różnią się tu wyraźnie od siebie.

Hawaje nigdy nie były skolonizowane, dopiero w 1900 r. stały się terytorium amerykańskim, a w 1959 r. pięćdziesiątym ostatnim stanem USA – Aloha State.

Hawaje rozciągają się na długości około 2,4 tys. km na Oceanie Spokojnym. Archipelag składa się z 137 wysp, ale tylko 8 z nich jest zamieszkałych. Ludność liczy 1,2 mln mieszkańców, z czego samych Hawajczyków jest około 100 tys.

W wodach w pobliżu wybrzeży Kona żyją ryby zaliczane do najsmaczniejszych na świecie. Każdego lata odbywa się tu międzynarodowy turniej – Hawaiian International Billfish Tournament. Można tu złowić błękitnego marlina, tuńczyka, albule, karanksy, koryfeny.

Jeszcze w latach 20. XX w. na całym archipelagu był tylko jeden hotel. Dziś słynna plaża Waikiki pod Honolulu, na stołecznej wyspie O'ahu nieznacznie różni się od Manhattanu. Jednak udało się zachować tutaj równowagę pomiędzy przemysłem turystycznym a pięknem raj. Życie toczy się tutaj bez pośpiechu, trwa wieczne lato, stale kwitną kwiaty. Miejscową gospodarkę napędza przede wszystkim turystyka, ale znaczącą rolę odgrywają też bazy wojskowe i rolnictwo. Wyspy odwiedza rocznie prawie 7 mln turystów, nabijając miejscową kase ponad 10 mld USD.

O'ahu jako jedyna z wysp hawajskich utrzymuje system zbiorowego transportu. Ponad 65 tras pokrywa teren wyspy, a sieć „The Bus” zapewnia przemieszczanie się. Autostop jest tu dozwolony, próbowaliśmy kilka razy i zawsze się udawało.

Tym razem nasza podróż była bardzo krótka, ale jak zwykle warta każdych pieniędzy.

Zaowocowało to również tym, że w 2015 r. w organizowanych po raz pierwszy w Polsce zawodach „Ironman” w Gdyni swoich sił będzie próbował Jarek.

CIEKAWOSTKI

- Wybrzeże Hawaii, na którym leży Kailua-Kona, zajmuje stronę zawiętrzną. Jest to sucha część wyspy, ponieważ centralnie położone góry wychwytyją wilgotne pasaty z północnego zachodu i kierują deszcz na stronę nawietrzną. Krótko mówiąc, zachodnie wybrzeża na Hawajach są zwykle suche i słoneczne.
- O'ahu ma w ofercie bardzo różnorodne atrakcje, od wspaniałego zielono-niebieskiego oceanu, po góry, zatoki, wodospady, tropikalną roślinność, zachody słońca, no i hotele z betonu i stali na Waikiki.
- W miesiącach zimowych groźne sztormy w Arktyce wysyłają w stronę Hawajów fale o niewyobrażalnych wprost rozmiarach. Są to grzywacze o wysokości ponad 10 m. Tylko najwytrawniejsi surferzy wychodzą naprzeciwko takim potworom poruszającym się z prędkością 40 km/h, dając szansę na przejażdżkę życia albo zmuszając do walki o nie. Słynne na cały świat fale rozbijają się o rafy i mierzeje: Sunset, Roc-

- ky Point, Banzai Pipeline, Waimea Bay, Chun's Reef, Hale'iwa oraz Avalanche. Północne wybrzeże i Waikiki to dwa zupełnie różne światy, leżące na tej samej wyspie.
- Na Hawajach występują tzw. wulkany tarczowe szeroko rozlane o łagodnych zboczach, z których wypływa gorąca lava (prawie zawsze bez gwałtownego wybuchu). Gęsta, lepka i szybko krzepnąca lava zwykle nie zdąży rozlać się szeroko po ziemi, lecz zastęga. Ta na Hawajach ma zazwyczaj temperaturę 1150–1170°C, i płynie z szybkością 10–15 km/h, dopóki nie „ochłodzi” się do około 1100°C.
 - Miejscowy język ma 12 liter (i to od niedawna), czyni go tym samym najkrótszym na Ziemi. Dlatego język ten opiera się w dużej mierze na powtórzeniach.
 - Hawajskie drinki od lat są napojami klasycznymi, oparte na mieszance różnych rodzajów rumu, owoców i mleczka kokosowego. Są tym, czym szampan dla Szampanii, bordeaux dla Bordeaux, sherry dla Jerez i piwo dla Bawarii...
 - Jedzenie na Hawajach jest smaczne i urozmaicone. Nic dziwnego, przy takiej mieszance ludów i kultur. Mamy tutaj styl zwany „hawajską kuchnią regionalną”, oparty przede wszystkim na rybach, warzywach i owocach (oczywiście świeżych).
 - Religia: 50% to ateści, wśród pozostałych większość stanowią chrześcijanie (katolicy, mormoni) oraz buddyści.
 - Warto wybrać się na pokaz tradycyjnego tańca hula, który jest tak popularny, jak samba w Brazylii, połączony z rytualnym pieczeniem świni. Taniec ma sporą dawkę erotyzmu, tancerki najczęściej pochodzą z sąsiednich wysp Samoa, Tonga i Kiribati, to jednak nie powinno dziwić, gdyż hula ma rodowód polinezyjski.
 - Podróżując po wyspach, można często spotkać maszty sygnalizujące nadejście tsunami. Miejscowi zwracają uwagę, że jeżeli usłyszymy alarm, a nie jest to pierwszy poniedziałek miesiąca (kiedy to przeprowadzane są testy), powinno się jak najszybciej uciekać w wyżej położone partie wyspy.
 - Na stokach wygasłego wulkanu Mount Waialeale odnotowano światowy rekord średniej rocznej sumy opadów, blisko 12 000 mm wody na m².
 - Lei, czyli miejscowe girlandy, robi się z kwiatów, liści, muszelek, papieru. Wytwarza się najczęściej z plumerii, bugenwilli, imbiru. Lei na szyi, to niemal znak firmowy archipelagu (na równi z hawajskimi koszulami). Wręcza się zwykle turystom na powitanie.
 - Spis ludności pokazał, że jest tu 33% ludzi białych, 17% Japończyków, 14% Filipińczyków. Reszta składa się z Chińczyków, Koreańczyków, Afroamerykanów, Samończyków, Wietnamczyków oraz przedstawicieli innych ludów azjatyckich i pacyficznych.
 - Malownicze krajobrazy Hawajów zostały wykorzystane do takich produkcji filmowych, jak: „Jurassic Park”, „Godzilla”, „Pearl Harbor”, „Poszukiwacze zaginionej Arkii”, „King Kong”.
 - Hawaje są jedynym stanem USA, w którym uprawia się kawę, banany, ananasy.
 - Jest tam jedyne polskie biuro podróży „Hawaii Polonia Tours” prowadzone przez Bożenę Jarnot.

Sulawesi (Indonezja)



Termin wyjazdu: 12 lipca – 10 sierpnia 2014 roku

Koszt całkowity: 6700 zł/os.

w tym:

Bilety lotnicze – 3956 zł/os.

Na miejscu – 2640 zł/os.

Ubezpieczenie – 102 zł/os.

Przelot:

Emirates: Warszawa – Dubaj – Kuala Lumpur i Singapur – Dubaj – Warszawa:
2992 zł/os.

Air Asia: Kuala Lumpur – Makassar: 397 zł/os.

Silk Air: Manado – Singapur: 567 zł/os.

Wizy: W Indonezji wizę 30-dniową otrzymuje się na lotnisku w cenie 35 USD.

Ambasada

Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej w Dżakarcie
Jl.H.R. Rasuna Said Kav.X Blok IV/312950 Jakarta Indonesia

tel.: (+62 21) 2525938-40, fax: (+62 21) 2525958

E-mail: poljkt@dnet.net.id

Czas: Na Sulawesi czas w stosunku do czasu polskiego to +6 godzin latem, taka sama różnica czasu w Kuala Lumpur i Singapurze.

Waluta: Waluta to rupia indonezyjska (IDR). W lipcu 2014 r. przelicznik wynosił 1 USD – ok. 11 000 IDR.

Wymiany pieniędzy na rupie indonezyjskie można dokonać w lokalnych bankach. W Rantepao dostępne są kantory walut z całkiem przyzwoitym kursem. W miastach dostępne są bankomaty. Jadąc do mniejszych miejscowości, należy zaopatrzyć się w gotówkę, bo niestety nie ma możliwości wymiany. Tak jest np. na Togianach. Kartą można płacić tylko w dużych miastach (Makassar, Manado) w centrach handlowych.

Jako ciekawostkę można wspomnieć, że kurs wymiany na lotnisku w Makassar był również całkiem przyzwoity.

Przelicznik walut w 2014 r.

dla Indonezji: 10 000 IDR – ok. 2,80 zł

dla Malesji: 1 MYR – ok. 1 zł

dla Singapuru: 1 SGD – ok 2,60 zł

Pogoda

Jadąc na Sulawesi, trochę obawialiśmy się pogody, gdyż występuje tu klimat równinowy wybitnie wilgotny, średnia roczna suma opadów: 2000 mm. Cechuje się nierównomiernym rozkładem opadów w ciągu roku. Jednak według wielu źródeł lipiec i sierpień to miesiące z najmniejszym, wręcz minimalnym opadem. Na miejscu okazało się, że potrafi dość mocno padać. Mimo że miesiące letnie to pora sucha, miejscowa ludność cały czas nam mówiła, że trwa pora deszczowa. Niektórzy potwierdzali, że w ostatnich latach pogoda dość mocno się zmieniła. Widać to zresztą na zdjęciach osób, które w ostatnich latach odwiedzały region Tana Toradża w okresie letnim. Ceremonie pogrzebowe odbywają się w błocie.

Ponadto temperatury oscylują w tym czasie powyżej 30°C oraz występuje bardzo wysoka wilgotność powietrza, która dodatkowo wzmacnia odczucie wysokiej temperatury.

W obszarach górskich pod względem pogody jest przyjemniej, gdyż temperatura obniża się o kilka stopni. Im dalej na północ, tym było coraz mniej opadów deszczu, a więcej słońca. Na wyspach Togianach pogoda jest bardzo przyjemna, bo wieje bryza od morza.

Przewodniki: Tradycyjnie na Sulawesi korzystaliśmy z przewodnika Lonely Planet w wersji anglojęzycznej. Mieliśmy również kserokopie fragmentów przewodnika Indonezja – Podróże Marzeń. Wiele opisów na naszych stronach: www.anna.manczyk.net i www.nusatenggara.blox.pl.

Transport

Na Sulawesi na długich trasach korzystaliśmy z **transportu autobusowego**, który wielokrotnie pozostawia wiele do życzenia. Na pewno mieliśmy szczęście, że żaden z naszych autobusów nie zepsuł się po drodze. Bilety kupuje się na dworcach autobusowych, które niestety potrafią znajdować się kilka kilometrów za miastem. Czasami jest kilka dworców odległych dość daleko od siebie, obsługujących różne kierunki, więc należy sprawdzić, z którego mamy jechać. Główna trasa przez wyspę to Droga Transsulewiańska, ale nie ma nic wspólnego z autostradą, wręcz przeciwnie. Drogi zwyczajowo są w średnim albo kiepskim stanie, na dodatek większość prowadzi przez góry (Sulawesi jest bardzo górzystą wyspą), co dodatkowo wydłuża czas przejazdu. Bardzo często prędkość nie przekracza 20 km/h. Stąd przejechanie nawet niewielkiej odległości wymaga sporo czasu i to jeszcze pod warunkiem, że nic po drodze się nie zepsuje. Autobusy zazwyczaj nie są duże, bo muszą pokonywać górskie zakręty. Rzadko kiedy są też klimatyzowane, co np. przy 13 godzinach jazdy jest naprawdę męczące. Są przystosowane do mniejszych gabarytowo Indonezyjczyków, więc często nie ma dużo miejsca na nogi i na standardowym siedzeniu ciężko zmieścić się Europejczykowi. Autobusy na dłuższych trasach robią krótkie postoje na posiłki.

Najlepsza trasa autobusowa to Makassar – Rantepao, która jest specjalnie przygotowana pod transport turystów. Autobusy obsługujące tę trasę są naprawdę wygodne. Posiadają mniej niż 30 rozkładanych, wielkich, miękkich foteli z podnózkami, więc

nocny przejazd jest bardzo komfortowy. Jest tu do dyspozycji koc i poduszka, a także działająca klimatyzacja.

Natomiast im mniej turystyczny region, tym coraz gorsze autobusy. Czas przejazdu podawany jest szacunkowo i rzadko kiedy zgadza się z faktycznym czasem przejazdu. Trwa dłużej.

Na Sulawesi jest możliwość skorzystania z **transportu lotniczego** wewnątrz wyspy – istnieje wiele lotów m.in. z Makasaru do Poso, Gorontalo, Manado, Rantepao, Luwuk.

Najwięcej połączeń z innymi wyspami Indonezji jest z Makassaru i Manado.

Najważniejsze linie łączące wyspę z kontynentem azjatyckim to Air Asia latająca z Makassaru do Kuala Lumpur, Silk Air z Makassaru i Manado do Singapuru.

Innym środkiem transportu jest **bemo (zwane również mikrolet lub pete-pete)** – zazwyczaj pomalowane na niebiesko malutkie mikrobusiki z dwoma prostymi ławeczkami w środku. Ten rodzaj transportu raczej dobry na krótkie trasy, ale i tak zabiera sporo czasu. Mają bardzo nieokreślony rozkład jazdy i często są zapchane.

Jest też **mikrobus – duże bemo** jeżdżące na dalszych, kilkugodzinnych trasach. Miejsca w drugim rzędzie są droższe, gdyż jest więcej przestrzeni na nogi.

Ciekawym środkiem transportu jest **kijang**, czyli 7-osobowy minivan, do którego wchodzi 10 osób. W dwóch rzędach za kierowcą upychanych jest 8 osób, po cztery w rzędzie plus dodatkowe 2 obok kierowcy. Trzy osoby w rzędzie już mają problem, aby się zmieścić, a co dopiero cztery... i gdy jeszcze są w europejskim rozmiarze. Na dodatek siedzenia są bardzo blisko siebie i nie ma możliwości manewru nogami. Kijangi jeżdżą często na długie trasy, ale przejazd nimi jest bardzo uciążliwy, no chyba, że nie ma kompletu podróżnych.

Na Sulawesi popularnym środkiem transportu jest **statek**. Oprócz transportu na wyspy sąsiadujące z Sulawesi i na inne większe wyspy Indonezji, statki kursują również pomiędzy „ramionami” samego Celebesu. Najbardziej oblegana jest trasa po wyspach Togianach. Ceny biletów są bardzo niskie, rzędu kilkunastu złotych.

Aby dostać się na Togiany od południa, płynie się z Ampany, a z północy Sulawesi na Togiany dostaniemy się z Gorontalo lub z Bunbulan. Trzeba dobrze śledzić rozkład statków, bo pływają co kilka dni i na dodatek nie dopływają do wszystkich wysp.

Aktualny rozkład statków na Togianach publikowany jest na stronie Waleakodi:

<http://www.waleakodi.com/Schedule.html> Warto śledzić ten rozkład, bo aktualizowany jest na bieżąco, a zdarza się, że czasowo któryś z przewoźników zamyka linię na kilka tygodni.

Często się zdarza, że statek odpływa o całkiem innej godzinie niż w rozkładzie albo nie przyphływa wcale. Po Togianach najdłuższa trasa wiedzie od Ampany przez Wakai – główne „miasteczko” Togianów (5 godzin), Malenge (8 godzin) do wyspy Dolong (9 godzin). Po drodze statek zawija do kilku mniejszych portów. Jednak może się zdarzyć, że czas płynięcia może być zdecydowanie dłuższy, o czym sami się przekonaliśmy. Kończył się ramadan i bardzo dużo Indonezyjczyków podróżowało na święta do domu i dodatkowo wzięli ze sobą mnóstwo towarów. Załadunek i wyładunek owych dóbr trwał długo, więc czas podróży z 8 godzin na Malenge wydłużył się do 11. Statek był wyjątkowo obciążony. Cud, że utrzymywał się jeszcze na wodzie.

Pomiędzy wyspami Togianów można również przemieszczać się **prywatnymi łodziami** – wolnymi i szybkimi. Ceny dość spore, ale kiedy podzielimy na kilka osób, wychodzi przyzwoicie. Czasem, w przypadku jeśli publiczny statek nie przyphynie, to pry-

watna łódka będzie jedyną alternatywą. Chyba że mamy czas i możemy poczekać 2 dni na kolejny statek.

Ważną trasą jest alternatywna łącząca Wakai z Gorontalo. Tę trasę obsługuje **stalowy prom samochodowy** o nazwie Tuna Tomini, ale pływa tylko dwa razy w tygodniu. Rejs z Wakai do Gorontalo trwa 13 godzin i dopływa się o barbarzyńskiej porze: 4.30 nad ranem. Statek ma pokład samochodowy, na którym praktycznie nie ma samochodów, tylko podróżują nim ludzie śpiący na matach. Wyższy pokład, to klasa ekonomiczna i klasa „biznis” droższa dosłownie o kilka złotych, a zdecydowanie wygodniejsza – pomieszczenie jest klimatyzowane, fotele są zdezelowane, ale miękkie.

Na niewielkie odległości, np. z dworca autobusowego do centrum miasteczka czy do hotelu, można skorzystać z tzw. **ojeka**. Jest to po prostu skuter z kierowcą, który podrzuci nas we wskazane miejsce. Są też riksze motorowe lub rowerowe zwane **becakami**, które zabierają maksymalnie dwie osoby.

W wielu miejscach można wypożyczyć **skutery**, właściciele raczej wypożyczają na 1 dzień. Trudniej znaleźć wypożyczalnię na kilka dni, ale jest to możliwe. Wypożyczenie skuterów jest bardzo popularne w Tana Toradża (Rantepao), bo wygodnie można samemu pozwiedzać okolicę z licznymi zabytkami czy pojechać na ceremonię pogrzebową. Drogi są kiepskie, więc trzeba uważać, samemu kierując skuterem.

Ceny przejazdów Kuala Lumpur, Sulawesi, Singapur

Trasa (Kuala Lumpur w Malezji)	Środek transportu	Cena za 1 os. MYR, (1MYR – około 1 zł)
Lotnisko Międzynarodowe – Sentral	Autobus	10
Sentral – Pasar Seni	Metro	1
Pasar Seni – KLCC (Petronas)	Metro	1,60
Sentral – Lotnisko KLIA2	Autobus	10
Trasa na Sulawesi	Środek transportu	Cena za 1 os. IDR, (10 000 IDR – około 2,80 zł)
Lotnisko w Makassar – centrum okolice Fortu	Autobus	25 000
Becak (riksza) po mieście	Becak	15 000 (za riksę)
Przejazd na terminal autobusów jadących do Biry	Bemo	4000
Makassar – Bira	Autobus z klimatyzacją	100 000 (6 h)
Bira – Tanah Beru	Bemo	10 000
Bira – Makassar	Kijang	70 000 (4,5 h)
Z dworca południowego do centrum Makassar	Bemo	5000
Z centrum na terminal Daya w Makassar	Bemo	10 000
Makassar – Rantepao	Autobus delux sypialny	160 000 (8 h)
Rantepao – Tentena	Autobus	150 000 (13 h)
Dojazd z terminalu w Tentenie do centrum	Ojek	10 000
Tentena – Poso	Bemo	30 000 (2 h)
Poso – Ampana	Busik (duże bemo)	90 000 (5 h)

Ampana – Malenge	Statek	60 000 (miało być 8 godz., było 11)
Malenge – Wakai	Statek	40 000 (3 h)
Wakai – Gorontalo	Statek	63 000 klasa ekonomiczna 90 000 klasa z klimatyzacją (13 h)
Z portu w Gorontalo na terminal autobusowy	Becak	30 000 (za becak)
Gorontalo – Manado, ale wysiedliśmy w Tanahwangko na skrzyżowaniu dróg	Autobus	120 000 (8,5 h)
Tanahwangko – Tomohon	Bemo	9000 (1h)
Przejazd z centrum Tomohon do Volcano Resort	Ojek	10 000
Po Tomohon	Bemo	3000
Z terminalu w centrum Tomohon pod wulkan Mahawu	Bemo	15 000 (za bemo)
Tomohon – Batuputih	Wynajęty samochód z kierowcą*	400 000 do podziału na 3 osoby (2 h)
Batuputih – Manado	Wynajęty samochód z kierowcą	350 000 do podziału na 3 osoby (2 h)
Po Manado	Bemo	3000
Z Manado na lotnisko	Samochód	100 000 na 2 osoby (pół godziny)
Trasa w Singapurze	Środek transportu	Cena za 1 os. SGD (1 SGD – około 2,60 zł)
Lotnisko Changi – China Town	Metro	2,40
Outram Park – Raffles Place	Metro	1,30
Little India – Outram Park	Metro	1,70
China Town – Harbour Front	Metro	1,70
Harbour Front – Bay Front	Metro	1,70
Bay Front – Outram Park	Metro	1,30
Outram Park – Choa Chu Kang	Metro	1,10
Choa Chu Kang – Zoo	Autobus nr 927	2,10
Zoo – Ang Mo Kio	Autobus nr 138	2,10
Ang Mo Kio – Botniac Garden	Metro	1,90
Botniac Garden – China Town	Metro	1,90
Outram Park – Lotnisko Changi	Metro	2,30

* – Lepiej było wynająć prywatny samochód niż jechać transportem publicznym, którym przejazd z przesiadkami zajmuje około 4,5 godziny. Akurat była niedziela, więc ruch był mniejszy, toteż zapewne jechalibyśmy jeszcze dłużej.

ELEKTRYCZNOŚĆ

Wtyczki na Sulawesi dokładnie takie jak w Polsce (tzw. system Schuko – niemiecki). Natomiast w odległych miejscach zdarzają się przerwy w dostawie prądu. Na Togianach prąd jest z generatorów tylko w określonych godzinach, np. tylko między 18 a 22.

BEZPIECZEŃSTWO

Sulawesi jest raczej bezpiecznym miejscem. Można zostawić nawet kask powieszony na lusterku skutera i nikt go nie ukradnie. Czasem zostawialiśmy też nasze plecaki u ludzi w sklepie czy na dworcu i też nie było z tym problemu. Od innych turystów również nie słyszeliśmy o żadnych incydentach.

ZDROWIE

Zaleca się standardowe szczepienia (WZW A+B, tężec, dur brzuszny).

Warto wziąć własne lekarstwa na dolegliwości żołądkowe, leki przeciwbólowe, antybiotyki.

Sulawesi zalicza się do regionów malarycznych, w związku z tym należy indywidualnie rozważyć profilaktykę antymalaryczną.

UBEZPIECZENIA

Korzystaliśmy z ubezpieczenia Warty Travel kupionej online w cenie około 100zł na osobę na miesiąc. Taka ciekawostka, spotkaliśmy turystów z Holandii, którzy ulegli wypadkowi na skuterze i koszt rozmowy telefonicznej z ubezpieczycielem przewyższył kilkakrotnie cenę kosztów leczenia w szpitalu, bo za usługę ambulatoryjną w Ran-tepao dwie osoby zapłaciły 5 dolarów. Holendrzy bardzo sobie chwalili poziom opieki.

TELEFONY

Na terenie Sulawesi w większości miejsc nie ma problemu z połączeniami telefonicznymi.

Korzystaliśmy z lokalnej telefonii komórkowej. Zdecydowanie lepiej zakupić na miejscu kartę SIM lokalnego operatora i korzystać z niej zarówno do połączeń miejscowych, jak i zagranicznych. Telefonacja komórkowa w Indonezji jest bardzo tania. SMS do Polski to koszt 600 rupii, czyli 17 groszy. Rozmowy miejscowe wychodzą jeszcze taniej.

Dodzwonienie się na numery podane w przewodniku graniczy z cudem, gdyż Indonezyjczycy dosyć często zmieniają numery telefonów.

Na wyspach Togianach z wyjątkiem Wakai nie ma zasięgu telefonii komórkowej.

INTERNET

Najprostszym sposobem na posiadanie Internetu w Indonezji jest po prostu zakupienie lokalnej karty SIM. My za 65 000 IDR kupiliśmy ważną przez miesiąc kartę operatora SIMPATI. W podanej cenie zawarty był transfer danych 2 GB, co wystarczyło zarówno do wykonywania lokalnych rozmów, jak i przeglądania stron www oraz prowadzenia własnego bloga i zamieszczania na nim zdjęć.

W niektórych miejscach noclegowych była możliwość skorzystania z Wi-Fi.

WYŻYWIENIE

NAPOJE:

Malezja – Kuala Lumpur (MYR)

- sok z trzciny cukrowej – 3,50
- kawa na lotnisku KLIA 2 w Old Town White Cafe – 5,60

Sulawesi (IDR):

- woda 1,5 litra – 6000
- sok z papai – 12 500

- świeży sok z marakui – 12 000
- coca-cola 0,5 l – 5000
- coca-cola w puszcze – 9000
- filiżanka kawy toradżańskiej w Kopi Toraja przed Rantepao – 20 000
- napój z ogórka i limonki – 14 000
- piwo Bintang w restauracji – 35 000
- piwo Bintang na Togianach – 50 000
- piwo Bali w supermarkecie – 23 000
- puszka Bintang na statku – 25 000
- napój z melona – 5000

Singapur (SGD):

- woda 0,5 l – 1
- woda 0,5 l – 0,40 (promocja)
- napój w puszcze – od 0,50
- cola w McDonalddie – 1
- sok mango – 1
- napój orzechowy – 1
- napój owoc smoczy i gruszka – 1

DANIA I OBIADY

Na Sulawesi dominuje lokalna kuchnia z nasi goreng (smażonym ryżem) oraz mie goreng (smażonym makaronem) na czele. Potrawy nie są ostre. Bardzo dużo potraw składa się z ryb. Ciekawostką jest to, że do większości potraw podaje się jajko pod różną postacią i koniecznie w keczupie. Na Togianach najprostszym posiłkiem są zupki chińskie, które mogą być podawane nawet na śniadanie.

Kuala Lumpur (MYR)

- zupa z mięsem i warzywami – 10

Sulawesi (IDR):

- Makassar, restauracja Lae-Lae – ryba 50 000. Wybieramy ze skrzyni świeżą rybę. Następnie ryba jest grillowana, a my dokupujemy dodatki: 2 x ryż, 3 sosy, sałatka z zieleniną, 2 soki z mango kolejne 50 000.
- Bira, Salassa GH – kurczak w curry, krewetki, 2 x ryż, 2 coca-cola – 100 000
- Bira, Salassa GH – nasi goreng z jajkiem 20 000, zupa z jajkiem 15 000, sok z limonki – 13 000
- Batutumonga – zielona zupa warzywna – 14 000
- Rantepao, restauracja Aras – nasi special z kurczakiem, makaron z kurczakiem i krewetkami oraz piwo – 115 000
- Rantepao, restauracja Mambo – nasi goreng – 26 000
- Rantepao, restauracja Mambo – papiong z kurczaka (regionalne danie toradżańskie) – 55 000
- Ampana – obiad w barze przydrożnym – 20 satajów plus ryż – 25 000
- Malenge – 3 posiłki w cenie noclegu. Lunch i kolacja składająca się z różnych ryb, warzyw. Najlepsze posiłki na całym Sulawesi
- Wakai – mie goreng, zupa, 4 cole – 80 000

- Tomohon – obiad w Volcano Resort – nasi goreng, zupa – 15 000
- Tomohon, restauracja Hello Kitty – 2 soki z mango i marakui, smażone krążki kalmarów, makaron z krewetkami, makaron bolognese – 101 000
- Manado, restauracja Sate Raja – 2 razy grillowany kurczak z frytkami, marchewką, kapustą i kukurydzą, dwa napoje – 81 000
- Manado, Pizza Hut – dwa soki pomarańczowo-arbuzowe, 3 bruschetty, mała pizza z makaronem, makaron z kurczakiem i ziemniakami – 60 000
- **Singapur (SGD):** Najbardziej popularne miejsca do jedzenia to tzw. food court zwane hawkerami, centra, gdzie znajduje się kilkadziesiąt stoisk serwujących różne rodzaje kuchni azjatyckich. Obiad zazwyczaj można zjeść wraz z napojami w cenie do 6–8 dolarów singapurskich.
- Maxwell Food w China Town – ryż z kurczakiem sojowym na słodko, sok z trzciny cukrowej – 6, kaczka z pierożkami – 4,50
- Maxwell Food w China Town – kurczak BBQ z frytkami – 6,50
- Food Center na Sentosie – ryż z kurczakiem i warzywami zapiekany w glinianej misie, danie na dwie osoby – 13
- mały food center w budynku Pearl's – misha makaronu z soją – 4, zupa z pierożkami won ton – 5
- Maxwell Food w China Town – ryż z kurczakiem i orzechami – 4

PRZEGRYZKI, czyli coś na szybko z budki:

Sulawesi (IDR):

- martabak – placek z warzywami i jajkiem – 25 000
- zestaw w McDonalddie – hamburger, frytki, napój – 37 000
- placek z czekoladą – 5000
- paczka ciastek krakersów – 7000
- zupka chińska – 5000
- pierożki smażone na głębokim oleju 1 szt. – 1000
- banany smażone w cieście 1 szt. – 1000
- zupka chińska na statku – 10 000
- ciasteczko kokosowo-orzechowe – 1500
- ciasto bananowe – 12 000

Singapur (SGD):

- lody w chlebie – 1
- śniadanie na ulicy – kanapki od 1,40 w Chinatown, od 2,50 w Seven Eleven
- śniadanie parotha z bananem – 2, parotha z jajem – 1,40
- daal indyjski i placek ciapati – 2
- samosa – 1,50

OWOCE (na Sulawesi IDR):

- kokos – 10 000
- papaja – 10 000
- limonki 2 szt – 1000
- 1 kg rambutanów – 10 000
- arbuz – 25 000
- ananas – 20 000

CENY NOCLEGÓW

Na Sulawesi standard większości noclegów nie jest adekwatny do ceny. W tej cenie w innych regionach Azji Południowo-Wschodniej można mieć pokój z klimatyzacją, tv. Jednak jak zapisane w tabelce, praktycznie w każdym przypadku śniadanie jest wliczone w cenę. Wszelkie udogodnienia podane są poniżej.

Posiadaliśmy informację o cenach z poprzedniego sezonu i niestety skoczyły one 50 do 100% we wszystkich miejscach z wyjątkiem Manado.

Miasto	Hotel	Cena za pokój 2-osobowy (IDR lub zł)
Kuala Lumpur (Malezja)	Matahari Lodge 58-1 Jalan Hang Kasturi, Kuala Lumpur, Malezja (Wi-Fi, klimatyzacja, łazienka na zewnątrz, śniadanie)	ok. 80 zł
Makassar (Sulawesi)	New Legend Hostel Jalan Jampea, 5G (klimatyzacja, tv, łazienka na zewnątrz, śniadanie, ręczniki)	125 000
Bira	Salassa Guest House http://salassaguesthouse.over-blog.com/ (wiatrak, łazienka na zewnątrz, śniadanie) Uwaga: wejście do wsi – 20 000. Opłata za strefę plażową.	120 000
Rantepao	Wisma Maria 1 Jl Sam Ratulangi (Wi-Fi, ciepła woda, łazienka w pokoju, tv, śniadanie, ręczniki)	170 000
Tentena	Hotel Victory Jln.Diponegoro No.18 http://victorytentena.com/ (z łazienką, śniadanie, ręczniki)	150 000
Ampana	Oasis Hotel Jln R.A. Kartini 5 (Wi-Fi, ręczniki, łazienka, wiatrak, śniadanie)	150 000
Malenge (Togiany)	1. Losmen Indah w porcie w Malenge (bardzo spartańskie warunki, łazienka – mandi, z jedzeniem) 2. Malenge Indah – chatki na plaży http://malengeindah.com/ (elegancki domek z łazienką, toaletą, 3 posiłki, herbata przez cały dzień, transport z portu i do portu) UWAGA – brak telefonii i Internetu na wyspach, więc bardzo utrudniony kontakt, mimo że kontakt jest na stronie www, to nie jest to bezpośredni kontakt na wyspę.	100 000 za osobę 200 000 za osobę
Tomohon	Volcano Resort Jalan Kakaskasen (domek z łazienką, zimna woda, ręczniki, śniadanie)	200 000
Batuputih	Tarsius Homestay (łazienka, ręczniki, wiatrak, 3 posiłki)	150 000 za osobę

Manado	Rex Hotel JL. Kol. Soegiono 3 http://www.hotelrexmanado.com/ (łazienka, klimatyzacja, ręczniki, tv, śniadanie)	137 000
Singapur	Pokój w prywatnym mieszkaniu w China Town w budynku Pearl's Centre zaraz obok metra Outram Park. Rezerwacja przez stronę www.airbnb.com To jedna z najtańszych opcji w Singapurze.	ok. 150 zł

CENY WSTĘPÓW/ WYCIECZEK

Miasto	Miejsce	Cena (IDR)
Rantepao	– Całodzienna wycieczka samochodem z przewodnikiem i kierowcą na ceremonię pogrzebową, wzgórze Batutumonga, wieś Palawa i mniejsze wioski.	80 USD za wszystko (wraz z całym kartonem papierosów w darze na pogrzebie)
Rantepao	– Wieś Kete Ketsu – Sangalla – baby grave – Lemo – Londa – Kerasik	20 000 20 000 20 000 20 000 20 000
Tentena	– Przypadkowa wycieczka do wsi Dulumai na dożynki. Koszt tylko łodzi w obie strony.	30 000
Ampana	– Wynajęcie łodzi na ognisty przylądek	300 000
Togeany - Malenge	– Łódka na rafę nr 5 – Szybka łódka do wsi morskich cyganów – na Pulau Papan – przewodnik do dżungli	250 000 (do podziału na 6 osób) 150 000 25 000
Batuputih	– 4-godzinna wycieczka do lasu na obserwację wyroków upiórów (wieczór) – 6-godzinna wycieczka do lasu na obserwację zwierząt, głównie czubatych makaków (wcześnie rano)	85 000 200 000
Singapur	– Sentosa – wstęp na wyspę – Oceanarium – Zoo singapurskie – National Orchid Garden – taras widokowy w hotelu Marina Bay Sands* – Botanic Garden – Gardens by the Bay – Świątynia Zęba w China Town	1 SGD 38 SGD 28 SGD 5 SGD 20 SGD free free free

* – zamiast płacić za taras widokowy 20 SGD, lepiej skorzystać z Baru KuDeTa, który znajduje się na 57 piętrze hotelu Marina Bay Sands, zaraz nad tarasem widokowym. Wstęp do baru jest darmowy, trzeba zakupić jakiś napój. Najtańsze piwo to koszt 16 SGD plus podatek, drinki od 20 SGD. Bar to zdecydowanie lepsza opcja. Należy pamiętać o stosownym ubraniu, bo można nie zostać wpuszczonym.

PAMIĄTKI (IDR):

- figurki tau-tau – 45 000
- t-shirt – 50 000
- figurka świnki – 30 000
- wisiolek – 10 000–25 000
- 200g toradżanskiej kawy – 60 000
- mydła egzotyczne – od 1000
- krem z papai – 10 000
- książeczka o makakach – 10 000
- materiał batikowy na obrus – 45 000

INNE PRZYKŁADOWE CENY

Sulawesi (IDR):

- wiza indonezyjska na lotnisku 35 USD
- karta SIM z netem 2 GB, ważna przez miesiąc – 65 000 IDR
- pranie zazwyczaj poniżej 10 zł za kilka ubrań
- wypożyczenie skutera na cały dzień w Rantepao – 60 000–80 000
- litr paliwa do skutera – 6000–8000
- okulary przeciwsłoneczne – 25 000
- pocztówka – 3000
- znaczek do Polski – 10 000
- wypożyczenie maski i rurki do snorkelingu na Togianach – 25 000, płetwy – 10 000
- naprawa sandałów – szycie – 50 000
- 1 szt. gałki muszkatołowej – 2000
- pęczek kory cynamonowej – 3000
- cynamon mielony – 20 000
- cukier palmowy – 20 000
- cukierki durianowe – 3600
- kardamon – 5000
- kurkuma – 1000
- 200 g goździków – 30 000

Singapur (SGD):

- sandały proszek – 2,90
- indyjska bluzka – 12

Fidži – wyspy „ludożerców”



Termin wyjazdu: 3–16 sierpnia 2015 roku.

Liczba uczestników: 15 osób (wycieczka B.P. Opal Travel).

Przelot: Warszawa – Amsterdam – Abu Dabi – Sydney – Nadi – Taveuni – Nadi – Sydney – Abu Dabi – Amsterdam – Warszawa.

Język urzędowy – angielski, fidżyjski, hindustani.

Waluta: dolar fidżyjski (FJD), ok. 0,5 dolara USA.

Przykładowe ceny

Piwo 2 FJD

Coca-cola 0, 7 FJD

Obiad w restauracji 20–30 FJD

Śniadanie 5–6 FJD

Rum (0,7 l, 58%) 60 FJD

Taksówka (do 5 km) ok.10 FJD

Wyspy Fidži, zwane jeszcze w wieku XIX wyspami ludożerców interesowały mnie od dawna. Ich odkrywcy Tasman, kpt. Cook, kpt. Bligh (znany ze słynnego buntu na „Bo-unty”) kojarzyli się z wielką przygodą, stąd moje zainteresowanie rzadką okazją odwiedzenia tego regionu świata i chętnie skorzystałem z pojawiającej się możliwości.

1–2 dzień. Wylot z Warszawy z przesiadkami w Amsterdamie, Abu Dabi i Sydney i po dwóch dobach podróży (28 godzin lotu liniami KLM i Etihad) wylądowaliśmy w Nadi, głównym porcie lotniczym Fidži. Po kontroli paszportowej spotkaliśmy pilota grupy, obywatela USA Miłosza Maksymowicza, mówiącego bardzo dobrze po polsku, który zawiózł nas do hotelu.

3 dzień. Przejazd do centrum Nadi, spacer ulicą Królowej, wymiana waluty (za 100 USD około 210 FJD) i wizyta w słynnej drawidyjskiej świątyni Sri Siva Subramaniya, bażecznie kolorowej i ukwieconej. Na Fidži bowiem zamieszkałej przez około 900 tys. mieszkańców niemal połowę stanowią Hindusi. Zostali oni sprowadzeni w połowie wie-

ku XIX przez Anglików do uprawy trzciny cukrowej, jako że ówcześni tubylcy nie chcieli się tym zajmować. Po uzyskaniu niepodległości w 1970 roku, w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, władza praktycznie przeszła w ręce bogatszych i lepiej wykształconych Hindusów, co w konsekwencji prowadziło do zamieszek etnicznych i w latach następnych do dwóch zamachów stanu, w efekcie których tylko rodowici Melanezyjczycy uzyskali prawo do posiadania ziemi i dominacji w parlamencie i rządzie. Rezultatem tego było wykluczenie Fidżi z Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, ale pozostał język angielski jako urzędowy, ruch lewostronny, flaga brytyjska będąca elementem flagi narodowej. Wieczorem odwiedziliśmy lokalny targ wypełniony owocami, przyprawami, chińskimi zabawkami, karuzelami, strzelnicami i oczywiście tłumem ludzi.

4 dzień. Mikrobusem pojechaliśmy do miejscowości Sigatoka, obok której znajduje się Park Narodowy Sigatoka. Idąc lasem, dotarliśmy do kilkunastometrowych piaszczystych wydm znajdujących się nad brzegiem morza. Lokalny przewodnik zwrócił uwagę na wielkie nietoperze uczepione w koronach drzew. Były one (poza ptakami) jedynymi przedstawicielami lokalnej fauny na całym archipelagu wysp Fidżi. W malutkim ogrodzie zoologicznym w parku Kula znajdowały się jeszcze legwany wityjskie. Najprawdopodobniej wynika to ze znacznego oddalenia wysp od lądów stałych, takich jak Australia czy Nowa Zelandia. Dość ciekawym dla turystów, choć niezbyt interesującym dla Fidżijczyków, miejscem był Fort Tavuni. Na zalesionym wzgórzu w niezbyt odległych czasach znajdowała się wioska tubylcza. Pozostały tylko głazy, na których budowane były chatki jej mieszkańców. W miejscu centralnym znajdowała się chata wodza, a nieopodal poziome głazy służące do zabijania i ćwiartowania jeńców wojennych, a następnie ich konsumowania. Te obyczaje zakończyły się ponoć w połowie wieku XIX, wraz z napływem misjonarzy i rozwojem wymiany handlowej wspartej rządami Anglików.

5 dzień. Głównym elementem tego dnia zwiedzania był rezerwat Colo-i-Suva. Nieliczne ścieżki prowadzą praktycznie przez dżunglę, zbitą masę bujnej zieleni, drzew, krzewów, porostów. Idąc do góry i na dół, i znowu do góry, napotykamy źródło, z którego wypływa strumyk kończący się na dole jeziorkiem. Miejscowi chłopcy zawiesili na drzewie linę i bujając się na niej skakali do wody, zapraszając nas, ale skusiła się tylko jedna osoba. Przez cały czas siał deszcz i nasze nastroje były fatalne.

Po południu zwiedzaliśmy stolicę kraju – Suwę. Praktycznie jedynymi godnymi uwagi budynkami, uchodzącymi za zabytki, były: bank, poczta, ratusz i parę domów w stylu kolonialnym, wzniesione pod koniec wieku XIX, w okresie panowania Wielkiej Brytanii.

W malutkim Muzeum Narodowym znajdowały się repliki tubylczych łodzi, narzędzia codziennego użytku, toporki, dzidy, siekierki oraz makieta rafy koralowej, a nadto dużo fotografii ilustrujących historię archipelagu. Późnym popołudniem udaliśmy się do miejscowości Bau, z której po godzinnym rejsie motorówkami dopłynęliśmy do wyspy Leleuvia.

6 dzień. Koralowa wyspa Leleuvia, o powierzchni ok. 1 km² ma wygląd bajeczny: palmy, złocista plaża, domki w stylu tradycyjnych fidżyjskich chat „bure”, motorówki, możliwość korzystania z nurkowania i obserwacji życia na rafie koralowej. Ale cóż – padał nieustannie deszcz, morze było silnie wzburzone i pozostał tylko spacer.

7 dzień. Po południu przeprawa motorówkami na wyspę Ovalau do miejscowości Levuka, znajdującej się na liście UNESCO (chyba przesadnie), dawnej stolicy Fidżi, miej-

sca, w którym czas zatrzymał się w latach kolonialnych. Trochę budynków z XIX wieku, ratusz, kościół, szkoła i hotel (jedyne w mieście) jakby wyjęty z ówczesnych rycin.

8 dzień. W tym dniu udaliśmy się do wioski Lovoni położonej w kraterze wygasłego wulkanu. Miejscowy przewodnik poprowadził nas ścieżkami przez dżunglę, objaśniając, jakie rośliny mają charakter leczniczy – na bóle żołądka, złamania, a nawet leczą raka (!).

Potem nastąpił lunch, składający się z miejscowych potraw roślinnych, o różnym smaku i niezbyt atrakcyjnych dla naszych żołądków. W jego trakcie zostaliśmy poczęstowani kawą, niemającą nic wspólnego z naszą kawą, gdyż jest to „pieprz metystynowy”. Kawa jest tradycyjnym napojem ludów basenu Oceanu Spokojnego. Jej sproszkowane korzenie zawiąza się w jakąś chustę, a następnie wielokrotnie się je wyżył w specjalnym naczyniu napełnionym zimną wodą. Po kilkunastu minutach tego wyżyłania nalewa się ją do czarki i kolejni uczestnicy biesiady, uprzednio klaszcząc dwa razy, wypijają swoją porcję, przekazując czarkę następnej osobie i tak dalej aż do opróżnienia naczynia. Nie jest ona smaczna, można by ją porównać z naszą kawą zbożową lekko doprawioną pieprzem. Kawa pita w dużych ilościach przynosi uspokojenie, rozleniwienie, a nawet otępienie.

9 dzień. Po przyjeździe do przystani morskiej zostaliśmy zaokrętowani na ogromnym promie, którym przepłynęliśmy przez Morze Koro na wyspę Vanua Levu do miejscowości Savusavu. Jest to miejscowość turystyczna z niezłymi hotelami i pięknym portem jachtowym. Kolejna wycieczka odbyła się do rezerwatu lasu deszczowego Waisali o zróżnicowanej roślinności i drzewostanie.

10–11 dzień. Lokalnym autobusem, w towarzystwie bardzo życzliwych i miłych Melanezyjczyków dotarliśmy do wioski Natuvu Creek, skąd odpływał niewielki stateczek do miejscowości Matei na wyspie Taveuni. Uznawana jest ona za jedną z najpiękniejszych i różnorodnych wysp na Fidżi. Znajduje się też na niej obelisk, ufundowany przez miejscowych Rotarian, oznaczający miejsce zmiany daty – po jednej stronie dziś, po drugiej wczoraj. Ciekawy i bujny jest las namorzynowy porastający na skraju oceanu. Ciekawie też wyglądały Melanezyjki o obfitych kształtach, splatające maty z włókien trzciny cukrowej.

Piękna Tęczowa Rafa, niestety, nie była przez nas widziana ze względu na mocno wzburzone morze.

12–13 dzień. Przeprawa stateczkiem ponownie do Savusavu, przy bardzo wzburzonym morzu (4–5 stopni w skali Beauforta) i kolejna wycieczka do innego lasu deszczowego Waisali (gęstwina, mroczno, wilgotno). Po dwugodzinnej jeździe półciężarówką przez góry w poprzek wyspy Vanua Levu dotarliśmy na niewielkie lotnisko w Labasie, z którego dolecieliśmy samolotem do Nadi (bez walizek, które dotarły dopiero wieczorem).

Jedną z największych atrakcji była wizyta w wiosce tubylczej Navala. Nie jest ona umieszczana w programach turystycznych, gdyż mieszkańcy chcą żyć tradycyjnie. Dotarliśmy się do niej po długich pertraktacjach miejscowego przewodnika i znacznego datku na potrzeby wsi oraz dostarczeniu kawy. Wioską rządzi wódz, przy pomocy asystenta, który decyduje o dostępie do wodza. Wódz decyduje, kto będzie pracować w mieście, kto będzie się kształcić, ale też dostaje pieniądze od osób pracują-

cych w kraju czy za granicą i przeznacza je na potrzeby wioski i jej mieszkańców. Rada Wodków archipelagu wskazuje kandydata na prezydenta kraju. Wioska ta składała się z kilkudziesięciu chat „Bure” i wielkiej chaty wodza. W niej odbył się ceremoniał picia kawy. Wódz i jego dwóch asystentów rozpoczęli recytacje w swoim języku, które trwały ok. 10 minut, a następnie rozpoczęła się znany nam ceremoniał. Przewodnik powiedział, że w dolnej części wsi, absolutnie niedostępnej, mieszkają tubylcy, chodzący nago bądź w przepaskach na biodrach.

14 dzień. W dniu tym odbyliśmy całodzienny rejs katamaranem wzdłuż archipelagu koralowych wysepek Mamanucas i wulkanicznych Yasawas. Wysepki otoczone błękitem wody, porośnięte palmami i pięknymi plażami, wyglądałyby bajkowo, gdyby nie ustawiczny deszcz. Na wysepkach znajdują się hotele, z których wypływały małe motorówki, wywożąc turystów i zabierając następnych oraz prowiant.

15–16 dzień. Powrót taką samą trasą jak przylot.

Próbując ocenić swój pobyt na Fidżi, mógłbym powiedzieć, że był on niezbyt interesujący, za to bardzo uciążliwy. Niewiele jest ciekawych obiektów do oglądania, poza wioską Navalo i wysepkami koralowymi tudzież obyczajem picia kawy. Spacerów przez dżunglę są monotonne, gdyż poza ptakami i owadami nie występują żadne zwierzęta i jakieś dodatkowe atrakcje, np. wulkany. Nie dziwię się, że turyści z Nowej Zelandii i Australii przebywają tylko w specjalnym ośrodku na wyspie Viti Levu albo w hotelach na wysepkach koralowych. Mają oni stosunkowo blisko, bo tylko 5–6 godzin lotu, a nie niemal 30 jak z Polski. Kraj jest dość ubogi, ale nie biedny, dochód narodowy na głowę sięga 5 tys. dolarów USA i opiera się głównie na eksporcie cukru i turystyce. Szkolnictwo, prowadzone przez kościoły różnych wyznań, jest dobrze rozwinięte, nie widzi się też żebraków i slumsów, jak w wielu innych krajach Trzeciego Świata.

Przez świat w 80 dni



Termin: od 17 lutego 2014 roku – osiemdziesiąt dni

Trasa: Warszawa – Berlin – Chicago – Los Angeles – Kiribati – Fidzi – Nowa Zelandia – Australia – Malezja – Hongkong – Helsinki – Warszawa

Uczestnik: autor relacji

Informacje praktyczne: zawarte w tekście

ETAP 1 – Kalifornia USA

Dni 1–11

17 lutego. Zatem zrobiłem pierwszy krok, wyruszając w podróż dookoła świata. Dzień pierwszy był najdłuższy. Zimowy, słoneczny ranek w Europie, bardzo mroźne popołudnie w Chicago i pogodny, ciepły wieczór w Los Angeles. Tym razem odprawa paszportowa i bagażowa bez problemów. W biurze informacji turystycznej udostępnił mi telefon i zadzwoniłem do Tradewinds Hostel, aby przyjechał po mnie hotelowy busik. Nie wiem, dlaczego suma wyliczona przez recepcjonistkę różni się od tej, którą mam wyliczoną i podaną w potwierdzonej rezerwacji internetowej. W dormitorium jest kilkanaście łóżek, ale pełny węzeł sanitarny. W hostelu zapewniają gratis śniadanie, popołudniową kawę lub herbatę z tortem, zazwyczaj podawanym z wieczornym poczęstunkiem w formie szwedzkiego bufetu, do wyboru smażone i pieczone ziemniaki, ryż, czasem sałatka. Można częstować się popcornem. W recepcji otrzymałem bon na kieliszek szampana, wypijam go za powodzenie mojej wyprawy.

18 lutego. Do centrum kursuje autobus nr 40, bilet 1,50 USD u kierowcy, należy mieć odliczone pieniądze. Jedzie się dość długo, ale można obserwować ludzi i miasto. Wsiadłem w downtown, kieruję się strzałkami i trafiam do interesujących mnie obiektów. Zwiedzam starą i nową katedrę katolicką, ratusz, również wnętrza. W dzielnicy latynoskiej kościół, który wygląda jakby przeniesiony z XVII wieku. Obok kolonialny ratusz i kolorowe mercado. Po drugiej stronie hiszpańskiego placu chińskie kamieniczki, w jednej z nich muzeum, wejście gratis. Dochodzę do Union Station, główne-

go dworca kolejowego; w informacji dowiaduję się o dojazd do Las Vegas i Parku Narodowego Sekwoi. W centrum Los Angeles zwiedzam historyczny gmach biblioteki miejskiej i nowoczesną salę koncertową; budynek bardzo podobny do Muzeum Sztuki Współczesnej w Bilbao. Przechodzę przez ulicę Tadeusza Kościuszki, aby wrócić do hostelu, kieruję się do przystanku 40.

19 lutego. Postanawiam dzisiaj być w Las Vegas. „Czterdziestką” jadę na dworzec autobusowy, który jest obok kolejowego, bilet kupuję w kasie (46 USD). Przejazd okazał się wyjątkowo interesujący. Autobus zatrzymał się w Seligman przy muzeum drogi 66, zainteresował mnie gabinet cyrulika i zarazem fryzjera. Jest oczywiście sklep z pamiątkami. Z tyłu budynku kilka starych samochodów. Postój jest oczywiście w celu zjedzenia lunchu, hamburger, popijany coca-colą. Korzystam z okazji i fotografuję stare, drewniane domy typowe dla amerykańskiej prowincji. Blisko od szosy 66 roślinność charakterystyczna dla pustyni Mojave, między innymi kaktusy i drzewa Jozuego. Terminal autobusowy jest w mieście, trzeba przejść przez jaskinie hazardu, aby wyjść na ulicę Fremont, pod numerem 1322 znajduje się Las Vegas Hostel, łóżko w czteroosobowym dormitorium z łazienką kosztuje 18 USD ze śniadaniem, do dyspozycji gości kawa i herbata gratis przez całą dobę. Sympatyczny recepcjonista informuje mnie o możliwości udziału w zorganizowanej wycieczce do Grand Canyon za 90 USD, zapisuję się na jutro.

20 lutego. Kierowca przychodzi po mnie o 6.30, jestem pierwszym pasażerem busiku, więc objeżdżamy kolejne hotele. Mam okazję popatrzeć na miasto, między innymi na gigantyczny diabelski młyn, który dorównuje swoją wysokością kilkunastopiętrowym budynkom. Busikiem dojeżdżamy na parking autokarów, przed wejściem dostajemy butelkę wody mineralnej, kanapkę i słodycze na lunch. Pierwszy postój jest w Arizona Hooverdam przy ogromnej zaporze i elektrowni, które powstały przed II wojną światową. Podziwiam jezioro, jego szmaragdową barwę, a jednocześnie przeraża mnie księżycowy krajobraz, góry pozbawione roślinności, spalone słońcem, ale również zniszczone przez człowieka. Dalsza droga prowadzi obok pól uprawnych, przez szerokie, prawie płaskie równiny. Wjeżdżamy na parking w sosnowym lasu, czyli dojechaliśmy do Mother Point Grand Canyon. Rozczarowanie!!! Kierowca informuje, że mamy na spacer cztery godziny, skąd i o której wyjeżdżamy w drogę powrotną. Rozdaje mapki z zaznaczonymi atrakcjami po trasie. Idę w tłumie, trochę zły, że jestem skazany na masową turystykę. Pierwsze spojrzenie na kanion wywołuje zachwyt!!! Marzyłem o zobaczeniu tego cudu natury. Znajduję się na krawędzi południowego tarasu. Fotografuję góry, przez które przeciska się turkusowo-mleczna rzeka Kolorado, z tej odległości i wysokości wygląda jak niewielki strumień. Skały są w różnych odcieniach czerwieni, prawie fioletu, przestronięte lekką niebieskawą mgiełką. Oj! chyba mnie ponosi! Chcę dokonać niemożliwego, opisać majestatyczne piękno Wielkiego Kanionu. Szlak do miejsca, z którego odjedzie autokar, ma długość około czterech kilometrów, ale co chwilę zatrzymuję się, aby fotografować. Panorama zmienia się zależnie od oświetlenia, bo właśnie nadciąga chmura i zasłania słońce. Na krawędziach przepaści pojawiają się drzewa, spotykam mniej ludzi, spostrzegam sarny i jelenie wapiti, niestety już po godzinach, nie mają okazałych rogów, nie są strachliwe i nie uciekają, można więc je fotografować. Dochodzę do bocznego kanionu, pewnie jest ich więcej. Po drodze wchodzę do wystawowego pawilonu z pięknym widokiem na kanion, a teraz dochodzę do

Grand Canyon Village. Istnieją różne możliwości noclegowe, nawet na polu namiotowym. W historycznym budynku schroniska niewielkie muzeum, wstęp gratis. Dojeżdża do tej miejscowości pociąg, a więc można samemu przyjechać. Planowałem, że zejdę na dno kanionu i tam na kempingu rozbiję namiot, w dole zawsze jest o kilka stopni cieplej. Zejście zajmuje ok. czterech godzin, wejście trochę dłużej, dałbym radę! Ale i tak jestem szczęśliwy, że zobaczyłem ten cud natury. O 20 zostałem podwieziony pod hostel; to dobry czas na kolację, można gratis skorzystać z Internetu, aby przekazać wrażenia.

21 lutego. Dzisiaj mam czas na zwiedzanie miasta. Ulicą Fremont dochodzę do jakby hali targowej, ale zamiast straganów – saloony gry. Girlsy w skąpych kostiumach lub efektownych sukniach z piórami tu i tam, przyklejonymi rzęsami i uśmiechami zapraszają do jaskiń hazardu, ofiarowują korale z plastikowych perełek. Takie to wszystko sztuczne! Jest przed południem, przy automatach siedzą emeryci z blaskiem w oczach i złudnymi nadziejami w sercu. Wieża telewizyjna i zarazem widokowa wyznacza początek downtown. Coraz wyższe hotele, coraz bardziej ekskluzywne centra handlowe i kasyna, kasyna. Aż tu nagle Pałac Dożów, Canale Grande, gondolierzy – Wenecja! Z daleka widzę wieżę Eiffa. Spacerowicze popijają napoje z naczyń w kształcie damskiej nóżki w kabaretkach i w czerwonych szpilkach, cha! cha! Butelki szampana to oczywiście naczynia na lemoniadę. Jestem już w Nowym Yorku, przy ulicy stoi Statua Wolności. A przede wszystkim kasyna, przed jednym z nich szczęśliwa gwiazda Elvisa Presleya, obok wejścia spiżowe panienki świecą zgrabnym tyłeczkami, które od ciągłego głośkania połyskują jak złote. Potem Disneyland, a obok szklana piramida. Wracam do hostelu, przyrządzam sobie chińską zupkę. Uprzejmy recepcjonista pomógł mi kupić elektroniczny bilet do Los Angeles na Boltbus, cena o połowę niższa od tej proponowanej przez Grayhounda.

22 lutego. Przystanek Boltbusa też jest przy Cassino Las Vegas; trzeba być kilka minut wcześniej przed odjazdem, wystarczy numer rezerwacji jak w Polskim Busie. Planowo jestem w Los Angeles, nie czekam długo na autobus do Visalia. Przyjeżdżam ok. 19, nie jest to dobra godzina, aby znaleźć nocleg w sobotni wieczór. W końcu trafiam do motelu za 60 USD.

23 lutego. Rano idę na dworzec autobusowy i dowiaduję się, że w niedzielę nie ma transportu publicznego w stronę Parku Narodowego Sekwoi.

24 lutego. I znów dworzec, nie czekam długo na autobus, który krąży po ulicach przedmieścia, aż dojeżdża do miejsca obok drogi w kierunku parku narodowego, mam do przebycia ok. 80 kilometrów. Niestety komunikacji publicznej brak poza sezonem, pozostaje mi tylko dostać się tam zatrzymanym samochodem. W demokratycznych USA autostop jest zabroniony, można być aresztowanym za włóczęgostwo. Zarzykuję. Uczynny kierowca podwiózł mnie ok. 50 kilometrów do drogi, która bezpośrednio prowadzi do bramy parku. Podziękowałem i zacząłem wędrówkę, ale podwiózła mnie starsza pani. Na bramce, w kasie zapłaciłem 10 USD za bilet ważny przez tydzień. Sympatyczna kobieta podjechała ze mną na kemping. Za rozbicie namiotu płaci się 18 USD, należy wpisać swoje dane; to się nazywa zaufanie, bo nikt tego nie sprawdza. Z pola namiotowego jest jeszcze 12 kilometrów do rezerwatu sekwoi. Kiedy dziarsko maszeruję, podwozi mnie kierowca pod Visitor Center. Oglądam ekspozycję po-

święconą przyrodzie okolicy. Zaopatrzony w mapkę, gratis, ruszam, witają mnie „trzej strażnicy” – obok siebie rosnące trzy mamutowce. Idę dalej ścieżką olbrzymów, leżą jeszcze płyty śniegu. Przechodząc obok drzew, dotykam ich kory, jest miękka i aksamiтна, podnoszę szyszkę, bardzo małą jak na owoc tak ogromnego drzewa. Salutuję Generałowi (81 metrów wysokości), nie jest najpotężniejszym, najwyższym, ani najstarszym drzewem, ale majestatycznym. Wrażenie świętości potęguje się w sanktuarium, odwiecznym mateczniku. Niektóre drzewa rosną od czterech tysięcy lat. NIEWIARYGODNE! Szczęście mi sprzyja, podwieziono mnie na kemping. Z sąsiadami: dziewczyną i chłopakiem z San Francisco spędzam miły, upojny wieczór.

25 lutego. W nocy po prostu zmarzłem, ale zagotowałem wodę na kawę. Kiedy moi przyjaciele obudzili się, zjedliśmy wspólne śniadanie i oni zaproponowali mi podwiezienie do Visalii. Na kempingu są setki norek gofferów. Tym razem nocleg znalazłem w American Best Value In za 30 USD. Kupiłem bilet ze zniżką 29,10 USD.

26 lutego. Około południa przyjeżdżam do Los Angeles, niestety, nie na Union Station, ale do „czterdziestki” nie jest bardzo daleko. Dojeżdżając do miasta, z daleka widzę ogromny napis Hollywood, ale celowo rezygnuję ze zwiedzania krainy snów, nie jestem zwolennikiem kina amerykańskiego. W hostelu tym razem otrzymuję łóżko w eleganckim pokoju z aneksem kuchennym i łazienką. Czyżby rekompensata za nieporozumienia z rezerwacją, a potem zawyżoną opłatą? Ustalam godzinę dowiezienia mnie na lotnisko, w cenie noclegu.

ETAP 2 – Hawaje

Dni 11–16

27 lutego. 14.40 przylatuję do Honolulu, stolicy Hawajów, ponieważ są one obecnie stanem w USA, więc obyło się bez kontroli. Z lotniska jadą bezpośrednie autobusy 19 lub 20 (2,50 USD, u kierowcy) prawie pod hostel Waikiki Beachside przy 2556 Lemon Road, w którym łóżko zarezerwowałem przez Internet w domu, nocleg w dormitorium ośmioosobowym 20 USD + 20 USD depozyt za klucz. Odwiedzam kilka biur turystycznych; wycieczka jednodniowa na Big Hawai kosztuje ponad 400 USD, dla mnie cena zaporowa, ale kupuję bilet lotniczy do Hilo za 207 USD. Też drogo, ale trudno, płacę i płacę. Spaceruję po plaży nadmorską promenadą. Na lotnisku nie przywitano mnie wieńcem z pachnących kwiatów; teraz mogę sobie kupić kwiaty jaśminu nanizane na nitkę i dekorować, i witać sam siebie. Jest ciepły wieczór, na estradzie między plażą a promenadą odbywa się koncert, charakterystyczne hawajskie gitary i tańce z różnymi rekwizytami.

28 lutego. Zwiedzam miasto, dochodzę do Pałacu Lolani, króla Kalakaua z 1882 roku, oglądam pomnik monarchy Kamehamehy Wielkiego, zabytkowy gmach parlamentu, katedrę anglikańską. Spaceruję po dzielnicy portowej, widzę starą latarnię morską, w dawnych magazynach sklepy i hurtownie chińskich towarów. Od Muzeum Wojny wracam zielonym, bezpłatnym autobusem. Kursuje bardzo nieregularnie, a co chwilę podjeżdżają te przeznaczone dla japońskich turystów. Wieczorem znów spacer po promenadzie.

1 marca. O ósmej odlatuję na Big Hawai. Z samolotu widzę doskonale wyspę, ale wulkany drzemią, unoszą się tylko białe dymy. Spodziewałem się erupcji i widokowego wypływu lawy, bo takie fotografie znamy z przewodników, ale wtedy przylot byłby

niemożliwy. Wysiadam i idę do informacji turystycznej, dowiaduję się, że komunikacja miejską nie dojadę do parku narodowego. Za mną stoi Holender, który zaprasza mnie do swojego samochodu, zaraz odbierze go z wypożyczalni, a teraz przyszedł po mapy i foldery. Wybieramy trasę do Kilauea Visitor Center (45 km), po drodze wstępujemy na plantację kawy, zwiedzamy niewielką palarnię i możemy skosztować świeżo zaparzonego napoju, pycha! W kasie przy bramie kupuję bilet do Hawaii Volcanes National Park, ponieważ jestem piechurem, płacę 5 USD. Zamierzam pieszo wędrować i nocować na kempingu, tym bardziej, że pogoda dopisuje, a w wyznaczonych miejscach biwakowanie jest bezpłatne. W Kilauea Visitor Center oglądam film o wulkanach, spektakularne erupcje lawy, bardzo chcę zobaczyć najbliższe, dostępne miejsca. Po drugiej stronie drogi jest Volcano House, z jego tarasu wspaniały widok na kalderę Kilauea, w oddali dymiący krater Halema'uma'u, ale wszystkie ścieżki do niego prowadzące są zamknięte dla ruchu turystycznego, można tylko drogą południową dojść do szlaku Kilauea Crater. Początkowo idzie się krawędzią kaldery przez bujny las, czasem widać dno krateru, potem zejście i około godzinny marsz po polach lawowych. W niektórych miejscach lawa spiętrzyła się, wygląda groźnie, wydaje się jeszcze gorąca, chociaż ostatnia erupcja była w roku 1959. Już pojawiły się sukulentki, chociaż z niektórych szczelin unosi się dymek, widzę niewielkie czynne fumarole, oczywiście czuć specyficzny, siarkowy smrodek.

Chodzę razem z moim Holendrem, wzajemnie robimy sobie zdjęcia. Jest dużo młodszy, nie chcę spowalniać tempa jego wędrówki, dziękuję mu bardzo za pomoc i żegnamy się. Siedzę na skraju pola lawowego i odpoczywam. Wychodzę na wprost Thurston Lava Tube. Na parkingu stoi kilka autokarów, a więc atrakcja turystyczna. Spotykam mojego Holendra i idziemy razem przez lawowy tunel, który zarasta już bujna roślinność, wejście ozdabiają różne gatunki paproci, widzę nawet dzikie ananasy. Przejście tym tunelem jest emocjonujące, zachęcam. Wracamy na parking i jedziemy do Sulphur Banks. Najciekawszy jest szlak po prawej stronie szosy w kierunku Jaguar Museum. Pogoda gwałtownie się załamuje. Zimna mgła miesza się z dymami fumaroli. Wchodzimy do kolejnej kaldery, z której została tylko jedna ściana; jest splekana, wygląda jak paleta malarza, duże plamy czerwone, pomarańczowe, błękitne, a tam, skąd uchodzi dym, szczeliny są żółte. Słyszymy syk pary, bulgotanie wody, ponieważ mgła zgęstniała, a więc jest ograniczona widoczność, traci się poczucie rzeczywistości. Niezwykły, piekielny obraz dopełnia duszący, gęsty smród siarki. Miejsce nie tyle straszne, co fascynujące.

Wracamy na parking, z którego widać wyraźniej krater Halema'uma'u – ten dym jak komin elektrociepłowni. Tuż przy krótkim szlaku w stronę krawędzi kaldery naturalne baseny z gotującą się wodą, która bulgoce i paruje. Za zamkniętym Jaggar Museum jedziemy do Kipukapuaulu, jest tam pole namiotowe, we mgle ledwo dostrzegamy strzałki, kierujące do wjazdu. Nie ma nikogo, żadnego namiotu, samochodu, bardzo zimno, pada deszcz, nie mam odwagi tu zostać. Wracamy do Volcano Village, zatrzymujemy się przy Kilauea Military Camp, niestety cena za wynajęcie bungalowu przekracza moje wyobrażenia. Holender ma zarezerwowany hotel. We wsi w sklepie robię zakupy spożywcze, pytam o możliwości noclegu, cena w pensjonacie B&B też przekracza moją zdolność finansową. Uświadamiam sobie, że jestem ok. 50 kilometrów od lotniska, a mój samolot do Honolulu odlatuje jutro o 9.20. Postanawiam

za wszelką cenę wrócić do Hilo. Przyjacielski Holender podjechał ze mną do głównej drogi nr 11, skręcił w boczną drogę do swojego hotelu, ja szedłem prosto w kierunku miasta. Podwiózł mnie sympatyczny Hawajczyk. Wszystkie łóżka w tanich hotelach były zajęte, ale znalazłem miejsce w Hilo Bay Hostel za 25 USD; szczęśliwy i zmęczony usnąłem natychmiast.

2 marca. Okazało się, że w patio hostelu można rozbić namiot, ale spanie w łóżku jest jednak wygodniejsze. Hostel mieści się tuż przy ujściu rzeki Wasiluku, przy której jest Tęczowy Wodospad. Do lotniska mam do przejeżdża ok. czterech kilometrów, ale podwiózł mnie elegancki kierowca w szybkim, ekskluzywnym samochodzie.

Wróciłem do Honolulu, do swojego hostelu, mimo że w pokoju, w którym poprzednio nocowałem, były pluskwy... „W Honolulu na Hawajach...”. Miałem do dyspozycji dużo czasu, wykupiłem bilet za 2,50 USD, który jest praktycznie na cały dzień, ale przy wysiadaniu z autobusu nie należy go oddawać kierowcy. Pojechałem miejskim autobusem numer 20 do Pearl Harbor, wstęp bezpłatny, zwiedzanie warto zacząć od rejsu do USS Arizona Memorial. Trzeba zostawić nawet niewielki bagaż w przechowalni za 3 USD. Trudno opisywać wszystkie obiekty, które się zwiedza, do niektórych wstęp jest płatny. Pamiętacie, że atakiem Japończyków na Pearl Harbor w 1941 roku rozpoczęła się II wojna światowa na Pacyfiku i przystąpienie USA do walki. Wróciłem do centrum. Przy promenadzie jest trochę ukryta katedra katolicka, o 17 rozpoczęła się msza św. ze śpiewami hawajskimi. Bardzo wielu wiernych ubranych współcześnie, miało elementy strojów hawajskich, np. stylizowane spódniczki, wianuszki kwiatów zawieszane na szyi, dziewczynki miały je zrobione ze storczyków, jaśminu lub plumerii. Zdążyłem na kolejny zachód słońca na głównej plaży. Niestety, w niektórych miejscach na plaży przed eleganckie hotele były wystawione stoliki i szwedzkie bufety. Uczującym przegrywały hawajskie, trochę smętne zespoły muzyczne. Dobrze, że słońce wschodzi i zachodzi dla wszystkich.

3 marca. Z plaży Waikiki mogę dojść do wulkanu Diamond Head. Kiedy skończą się kompleksy hotelowe, zaczyna się dzielnica willowa, czyli eleganckie rezydencje za murami, ponad które zwieszają się bugenwille o różnych kolorach. Ulica nadmorska prowadzi pod górę, czasem między rezydencjami są skwery i wówczas można podziwiać lazurowy ocean. Z lewej strony widać pionowe ściany zewnętrzne wulkanu, w rzeczywistości nie jest wysoki, tylko 231 metrów nad poziom morza, czyli około stu metrów wysokości bezwzględnej. Myślę, jak się tam wdrapię, ale skoro autobusy z japońskimi turystami jadą jeden za drugim, to jest jakieś dogodne wejście? Są już strzałki dojazdu samochodów. To chyba niemożliwe? Okazuje się, że u podstawy krateru wydrążono tunel, który prowadzi do wnętrza kaldery! Wstęp płatny 1 USD, jest Visitor Center, gdzie można dostać folderki, zasięgnąć informacji. Postanawiam wejść na krąg kaldery. Droga dość stroma, ale bardzo dużo osób się wspina, na górze jest taras widokowy, sięgam wzrokiem po horyzont oceanu i nieba, oglądam z góry Honolulu – trud wejścia wynagrodzony estetycznymi wrażeniami. Wieczorem pożegnalny spacer promenadą i brzegiem Waikiki Beach.

4 marca. A zatem spokojnie jem śniadanie, oddaję klucz i odbieram 20 USD depozytu. Na przystanek „dziewiętnastki” tylko kilka kroków, niecierpliwie czekam na autobus, mam niewielki bagaż, więc o nic nie obawiam się; pasażerowie z dużymi walizkami nie są zabierani, zostaje im taksówka. Ostatnie spojrzenie na miasto, stolicę Hawajów,

największe miasto, już prawie milionowe, ale przejeżdżam obok drewnianych domków w ogródkach, typowych dla amerykańskiej architektury mieszczańskiej. Hola, hola jakiej amerykańskiej? Do końca dziewiętnastego wieku suwerenne królestwo! A teraz wyspa amerykańskiej demokracji. Hawajczyków potraktowano lepiej niż Murzynów, ale tak samo jak Indian, zabrano im państwo, narzucono ustrój, odmienną kulturę.

ETAP 3 – Kiribati

Dni 16–24

4 marca. Nadlecieliśmy nad archipelag Kiribati, na który składają się atole koralowców. Patrzę w dół, nieregularne skrawki lądu, wynurzającego się z wody o różnych kolorach; dominują błękit, granat, turkus, ale widzę też ogromne czerwone plamy. Wysepki obwiedzione są białymi koroneczkami fal, rozbijających się o krawędzie lądu, który przykrywa żółty piach. Wszystko wygląda jak paleta malarza kolorysty. Lądujemy, chociaż widzę tylko wodę! Są pierwsze palmy, a więc ląd! Już w samolocie zauważyłem, że pasażerami są głównie mężczyźni. Czekając do emigracji, widzę, że wyładowuje się coś w czarnych, podłużnych pokrowcach... myślę, że to wędkę? Bo czytałem, że przylatują tu wędkarze, aby łowić duże, oceaniczne ryby. Nic dziwnego, że ja (tylko z plecakiem) zwróciłem uwagę straży granicznej, zapytali mnie o rezerwację hotelu, pokazałem wydruki mejli, które wymieniałem z właścicielem hotelu, prosząc o potwierdzenie rezerwacji. Urzędnicy spojrzeli na siebie znacząco i poprosili o otworenie plecaka. Z dziwnym uśmiechem wbili do mojego paszportu pieczęć wjazdową do Republiki Kiribati. Przed barakiem niestaranie skleconym, a stanowiącym hałę przylotów, stały samochody z hotelu Thomas Cook, o którym czytałem, ale nie brałem go pod uwagę ze względu na bardzo wygórowane ceny. Wiedziałem, że po głównej drodze kursują autobusy. Kiedy spytałem o Main Road, w odpowiedzi słyszałem tylko śmiech. Weseli ludzie tu mieszkają, pomyślałem. Zarzuciłem plecak na ramiona i w drogę. Po kilkudziesięciu metrach zobaczyłem chatę z palmowych liści, przed nią w hamaku kołysał się mężczyzna. Podeszedłem i spytałem o główną drogę, on roześmiał się i śmiał się tak szczerze, że omal nie wypadł z hamaka. Nadjechał samochód, zatrzymał się i wysiadła kobieta, uśmiechnęła się i zaprosiła mnie do środka, wewnątrz siedziały dwie panie, spytały, dokąd chcę jechać? Odpowiedziałem, że na północ wyspy, do portu, z którego pływają promy na Tarawę, gdzie mam zarezerwowany hotel. Kobiety wybuchnęły i wręcz pokładały się ze śmiechu. Dziwna wyspa pomyślałem, skoro się wszyscy śmieją i ja zacząłem chichotać. Kiedy wszyscy się opanowaliśmy, kobieta zza kierownicy wyjaśniła, że na Tarawę trzeba lecieć z Honolulu lub z Nandi, bilet kosztuje tysiąc dolarów australijskich. Prom od dawna nie pływa, na wyspie, na której jestem, nie ma hoteli, barów czy restauracji, bo tu nie przylatują turyści, a amerykańscy wędkarze mieszkają w resorcie Thomas Cook. Oj nie było mi do śmiechu! Lot na Fidżi mam dopiero za tydzień! Mina mi zrzedła. Sympatyczna pani zaproponowała mi zamieszkanie w jej domu z rodziną. Przyjąłem zaproszenie i bardzo się ucieszyłem. Ich dom od brzegu oceanu dzieliło dziesięć metrów.

5 marca. Mieszkam we wsi Londyn; faktycznie w jej centrum stoi stary, kamienny, kościółek anglikański, ale obok jest współczesna świątynia katolicka. Spaceruję po wsi, szukając zejścia do oceanu, aby pływać w masce z rurką nad rafą, bo przecież jestem

na atolu koralowym. Z jednej strony jest laguna, a pływanie w oceanie uniemożliwiają bardzo wysokie fale. Na plaży leżą muszle, które ważą ok. dwóch, trzech kilogramów. Taką muszelką kilka razy zostałem uderzony w piętę, w nogę, a więc muszę uważać. Oglądania zachodu słońca nic nie jest w stanie zakłócić.

6 marca. Czyli 7 marca, a więc Dzień Kobiet. Kilka minut po dziesiątej na plac w centrum wsi wkraczają grupy pań, reprezentują kościoły, których są wyznawczyniami, lub wieś, w której mieszkają. Bardzo jestem zdziwiony, kiedy widzę kobiety w białych bluzkach i czerwonych spódnicach; chorążyni trzyma flagę biało-czerwoną. One są z Poland! Muszę się wybrać do tej wsi. Wszystkich pozdrawia burmistrz i pewnie chwali panie z okazji ich święta. Posadzono mnie obok burmistrza, policmajstra i dwóch misjonarzy kościoła, którego na wyspie jeszcze nie ma. Udekorowano nas wieńcami z kwiatów, więc się nareszcie doczekałem! Na Hawajach nie witano mnie kwiatami, bo nie było to uwzględnione w cenie pobytu w hostelu. Po defiladzie pań i części oficjalnej zaproszono wszystkich na ucztę, a potem występy i wspólne tańce, tańczyłem i ja....

7 marca. Idę do wsi Bambu Village, wszędzie są chaty z liści palmowych, brak anten telewizyjnych, bo nikt tu telewizji nie ogląda, ale są maszty telefonii komórkowej i Internet działa, chociaż bardzo wolno. Nie ma żadnego budynku piętrowego!

8 marca. Dziś jest niedziela, czyli faktycznie na świecie sobota, a więc wszyscy chrześcijanie świętują. Uczestniczę w nabożeństwie adwentystów, bo do tego kościoła należą moi gospodarze, potem wspólny obiad – dominują ryby przyrządzane na różne sposoby.

9 marca. Kupuję na pocztę znaczki i pocztówki, które adresuję do Polski i wysyłam, mając nadzieję, że dotrą. To gratka otrzymać korespondencję z Wyspy Bożego-narodzenia, zwłaszcza w okresie Wielkanocy. Nie mogę wysłać esemesa, ani mejla, a więc poczucie, że jestem na końcu świata, chociaż to tu właśnie najwcześniej zaczyna się każdy kolejny rok. Umawiam się z księdzem, że zabierze mnie nazajutrz do Poland.

10 marca. Przychodzę na plebanie o 10, ksiądz jest już gotowy do wyjazdu. Z Londynu przez Bambu Village do Poland jest ok. 70 kilometrów. Najpierw jedziemy drogą asfaltową, po obu jej stronach palmy kokosowe, za Bambu Village wjeżdżamy w busz. Przed Poland pojawiają się słone jeziora; łatwo je rozpoznać po czerwonym, prawie brunatnym kolorze, na brzegach białe koronki skryształizowanej soli. Właśnie pozyskiwanie soli stanowi jedno ze źródeł utrzymania mieszkańców. Widać już skromne chaty Poland i kościół pod wezwaniem św. Stanisława, wewnątrz obrazy również łączone z Polską m.in. Matki Boskiej Częstochowskiej. Kiedy wracamy, zaczyna padać i nadciąga burza, w mgnieniu oka nasza droga znajduje się pod wodą. Jestem przerażony, jak w koszmarnym śnie, jedziemy samochodem przez środek oceanu, po wodzie! Ksiądz widząc strach w moich oczach, przyznaje, że gdy droga jest zalewana, to do wsi płynie się łodzią. Dostrzegam suchy ląd, busz i już jestem spokojny.

W domu są ludzie znani mi z kościoła adwentystów, przyjeżdża pastor i kaznodzieja, który prowadził niedzielne spotkanie. Okazuje się, że przygotowano pożegnalną ucztę, proszą mnie, abym powiedział kilka słów, przywitał gości i zaczął jeść, aby inni mężczyźni mogli zacząć ucztować, a potem kobiety. Udekorowano mnie kwietnym wieńcem i подарowano na pamiątkę naszyjnik z muszelek. Rozmowy przeciągają się do późna w nocy.

11 marca. W towarzystwie mojej gospodyni i jej synowej Luizy przyjeżdżam na lotnisko. Odlot jest trochę opóźniony, przedłuża się sen o wyspie szczęśliwej.

ETAP 4 – FIDŹI

Dni 24–34

12 marca. Gubię w powietrzu jeden dzień, który zyskałem, i ok. 20 jestem na lotnisku w Nandi na Fidżi. Odprawa bez problemów, przy wyjściu informatorka kieruje do hoteli i kontaktuje z kierowcą, dojazdy gratis. Zatrzymuję się w Nandi Bay Resort, w którym są pokoje i dormitorium zakwalifikowane jako schronisko HI, ze zniżką za dwie noce 80 dolarów Fidżi (DF), czyli ok. 20 USD, ze śniadaniem. Dormitorium pięcioosobowe z klimatyzacją i łazienką. Śniadanie tradycyjne: grzanki, dżemy, masło i kawa bez ograniczeń.

13 marca. Podczas podróży zgineła saszetka z lekarstwami, a zwłaszcza z adrenaliną, która ratuje mi życie po ukąszeniu osy itp. Dzień zaczynam od wizyty u lekarza. Cena leku jest przerażająca, ok. 400 USD, podczas drugiej wizyty u tego lekarza otrzymuję gratis jedną ampułkę adrenaliny, strzykawkę i igłę, no mogę ruszać w interior.

14 marca. Wyjeżdżam autobusem miejskim do Loutoka. Tuż przed wjazdem do miasta przystanek przy porcie, z którego odpływają promy na okoliczne wyspy. Pobieram pieniądze z bankomatu, jadę do Ba (1 godzina 30 DF). Trochę czekam na autobus do Nawali, dwie godziny jazdy. Wstępi do wsi 35 DF. Kiedyś należało mieć teve-teve, czyli prezenty dla wodza wioski, teraz wystarczy gotówka. Już w autobusie zaopiekował się mną starszy mężczyzna z maczetą w ręku, zaprowadził mnie do chaty wodza, tam uiściłem opłatę, a zamiast teve-teve dałem 5 DF na kawa-kawa, tradycyjny napój o lekkich właściwościach odurzających, koloru herbaty z mlekiem, potwornie gorzki, nie bardzo mi smakował. Wychodzę z chaty, aby zwiedzać wieś, zapraszają mnie do domów. Idę na spacer po malowniczej okolicy. Za nocleg z kolacją płacę 20 DF.

15 marca. Nie spałem dobrze, bo w chacie bardzo duszno; jest tylko troje drzwi, które w nocy były zamknięte. Na matach rozłożonych na klepisku spała cała rodzina, a więc pochrapywania i kwilenie dziecka. Kiedy wychodziłem w nocy, musiałem zgiąć się, a na chyboliwych kamieniach, zamiast schodka, nie utrzymałem równowagi, a ponieważ całą noc padał deszcz, więc wylądowałem na mokrej trawie, która zarasta główny plac wsi. Poranną kawę wypijam w pośpiechu, bo autobus odjeżdża o szóstej, muszę nim wyjechać, bo następny będzie w poniedziałek. Droga do Ba bardzo widokowa, bliżej miasta przeważają uprawy trzciny cukrowej. Na autobus do Tavua (1 godz.) nie czekam długo, ale odjazd do Nawai dopiero o 15.00. Współpasażer proponuje mi nocleg u siebie. Jadąc do wsi, przejeżdżamy przez piękny, stary, las górski, w siedzibie zarządu lasów państwowych jest możliwość zatrzymania się, ale ja chcę dojechać do końca trasy, aby mieć możliwość spacerów do sąsiednich wsi. Niestety, Navai niczym szczególnym się nie wyróżnia.

16 marca. Wiedziałem, że autobusy nie kursują do Nadrau. Ponieważ czytałem, że są tam najstarsze i charakterystyczne chaty, postanowiłem się wybrać na dwudziestokilometrową wędrowkę. Zaopatrzony w kanapki, wodę i parasol ruszam po śniadaniu. Za wsią idę przez las, droga przebiega przez wzgórza, ze skarp zwisają girlandy pachnących storczyków! Przechodząc przez następną wieś, zostaję zaproszony na herba-

tę ze świeżych listków cytryny, pycha. Do Nadrau muszę zejść stromą ścieżką. Zabudowa wsi niejednorodna, wśród bezstylowych chat odnajduję kilka tych z ogromnymi czapami strzech. Zostaję zaproszony do środka, jestem częstowany zielenizną, której nie znam i nie mam odwagi spróbować, bo czeka mnie droga powrotna. Zaczyna padać deszcz, który przeradza się w ulewę, rozpętuje się burza. Dochodząc do Navai już zapada zmrok, w którym majaczy sylwetka ludzka. Okazuje się, że mój gospodarz wyszedł po mnie.

17 marca. O szóstej rano odjeżdża autobus do Tavua, skąd zaraz jest kurs do Suwy, stolicy Fidżi. Nocuję w hotelu za 15 DF, który jest widoczny z dworca autobusowego. Z tarasu hotelu widok na port, w którym cumuje akurat kilkunastopiętrowy wycieczkowy kolos! Miasto wywiera bardzo przyjemne wrażenie. Trochę zabudowy kolonialnej, w dawnej rezydencji gubernatora muzeum. Okazałe i stylowe gmachy państwowe, nadmorska promenada, ciekawe kościoły, między innymi katedra katolicka.

18 marca. Rano wyjeżdżam na Cost Coral, nie umiem wymienić nazwy żadnego miejsca docelowego. Chcę, aby niedrogi hotel znajdował się nad brzegiem morza, aby była rafa, łatwo dostępna. Moje oczekiwania respektuje kierowca autobusu, który go zatrzymuje i poleca, abym wysiadł w Beachhouse (www.fijibeachhouse.com). Płacę 40 DF za noc, pokój jest sześćosobowy, ale tylko przez ostatnią noc mojego pobytu mam współlokatorów. Łazienka z gorącą wodą przypada na kilka pokoi, ale jest kilka kabin prysznicowych. Cena obejmuje śniadanie i popołudniową kawę z bułeczkami, specjalnie pieczonymi dla gości resortu. W zatoce jest tylko ten ośrodek, rafa dość zniszczona, ale dostępna z brzegu, czasem trzeba poczekać na przypływ. Oczywiście jest basen, leżaki i zawieszane między palmami hamaki, z których patrzeć na morze i piaszczystą plażę.

19, 20, 21 marca. Odpoczywam, pływając nad rafą, spacerując brzegiem morza. Wiem, że w Nowej Zelandii nie pozwolę sobie na taki luksus. Z rajskiej plaży jadę do Nandi, zatrzymuję się w Down Hotel za 20 DF ze śniadaniem. Pokój dwuosobowy z łazienką i klimatyzacją. W mieście warto odwiedzić świątynię tamilską i bazar z rękodziełem, gdzie jest duży wybór tanich regionalnych wyrobów.

22 marca. Z hotelu jest bezpłatny transport na lotnisko, ale o określonej godzinie; dojazd autobusem miejskim nie stanowi żadnego problemu.

ETAP 5 – Nowa Zelandia

Dni 34–48

22 marca. O 15.10 ląduję w Auckland, odprawa bez problemów, w informacji dowiaduję się, że o 16.00 mogę pojechać bezpośrednim autobusem do Rotoury. Bilet kupuję ze zniżką dla seniora za 31 dolarów nowozelandzkich (DNZ), o 19.15 jestem na miejscu. W mieście jest duży wybór hosteli, w HI brak miejsc, ale obok w Cactus Hostel, płacę 23 DNZ. Jest to ośmioosobowe dormitorium bardzo ciasne, właściciel okazuje się niesympatyczny, nie polecam.

23 marca. Mój hostel i wiele innych znajduje się blisko parku, w którym wytyczone są ścieżki pomiędzy diabelskimi kałamarzami, szampańskimi basenami, a więc bardzo ciekawe zjawiska geotermalne. Około czterech kilometrów, między innymi wzdłuż pól

golfowych, można przejść do Te Puia. Podziwiam marmurowe tarasy, przywodzące na myśl tureckie Pammukale. Z ich prawie równej powierzchni wytryskuje gejzer na wysokość ok. 30 metrów! Oczywiście zobaczymy gotujące się niebieskawe błoto, kolorowe jeziora. Bardzo interesująco przybliżono kulturę Maorysów, odtworzono domy, miejsca zebrania, modłów i pochówku. Atrakcję stanowi pawilon, w którym ogląda się ptaki kiwi. Około dwudziestu kilometrów liczy droga do Doliny Wulkanów. Od głównej Taupo Highway odchodzi boczna droga, przy której są ogrodzone pastwiska i czasem zabudowania farm. Na łąkach pasą się owce, ale również krowy. Wstęp do Doliny Wulkanów jest bardzo drogi, ale pani w kasie informuje mnie, że mogę bezpłatnie spacerować po sąsiedniej dolinie Rianbow Mountain. Faktycznie oglądam kilka kolorowych jezior, zachwyca zwłaszcza turkusowo-szmaragdowe. Okazją wracam do Rotoury.

24 marca. Wykupiłem bilet autobusowy (33 DNZ) do Wellington na godz. 23, a więc mam cały dzień, aby zwiedzać miasto Rotoura i okolice. Tylko do 12 mogę bezpłatnie zostawić plecak w hostelu, potem trzeba płacić dwa dolary za każdą godzinę, a więc zniechęcam do oferty Cactus Hostel. Swobodny idę do Muzeum w dawnych łazienkach sanatoryjnych. Budowla w stylu europejskich domów zdrojowych, efektowny budynek z kilkunastoma wieżyczkami i zegarem na najwyższej wieży. Warto zwiedzić to muzeum. W zadbanym parku pawilony ogrodowe o różnym przeznaczeniu. Wracam po plecak. Idę teraz promenadą nad jeziorem Rotoura do wioski maoryskiej. W jej centrum, stary, drewniany kościół anglikański ST Faith i dom spotkań Maorysów, przed którym totemy. W nowym budynku muzeum sklep z pamiątkami. Otoczenie wioski jest niezwykle, na głównym placu szumi para z gorących źródeł, obudowanych i zabezpieczonych. Minikratery są w przydomowych ogródkach, na brzegu jeziora. Przy kościele stara łódź maoryska, w trzcinach słychać ptaki, a po czystej tafli jeziora pływają czarne łabędzie. Z nadbrzeża możemy popłynąć wycieczkowym stateczkiem w rejs po jeziorze. Przy promenadzie oglądam kolejną łódź maoryską; jest zabezpieczona daszkiem, ogrodzona, czytam jej historię wydobycia i rekonstrukcji. Odnajduję ścieżkę dydaktyczną, która prowadzi brzegiem jeziora. Można obserwować różne ptaki; dochodzi się na półwysep, który okupują dzikie gęsi. Wracam przez las i dochodzę do różanego ogrodu, który jest częścią parku zdrojowego. Na przyległych uliczkach znajdują się zabytkowe, drewniane wille i rezydencje w stylu angielskim, a może amerykańskim? Przechodzę przez centrum, aby resztę dnia spędzić w parku geotermalnym. Jeszcze raz oglądam błotne gejzery, fumarole, gorące źródła; niektóre są obudowane i zabezpieczone daszkami, mogę zanurzać zmęczone nogi. Wracam do parku zdrojowego i w ogrodowym pawilonie zjadam kolację i odpoczywam. Dworzec autobusowy jest również obiektem zabytkowym. Odjeżdżam punktualnie.

25 marca. O siódmej rano jestem w Wellington. Dworzec autobusowy jest razem z kolejowym. Wypijam kawę, korzystam z łazienki, gratis, kupuję bilet na prom na Wyspę Południową. Okazuje się, że ostatni odpływa o 15. Ruszam zwiedzać miasto, najbliższej znajdują się reprezentacyjne gmachy rządowe, biblioteka i katedry katolicka i anglikańska. Schodzę do dzielnicy stuletnich drewnianych domków pionierów osadnictwa europejskiego w Nowej Zelandii. Wart zobaczenia jest kościółek św. Pawła o fantastycznej drewnianej konstrukcji, bardzo odmiennej od naszych cerkiewek i góralskich cudeniek. Z drugiej strony dworca zaczyna się reprezentacyjne nadbrzeże aż do Muzeum Narodowego Tata, w którym odnajduję przedwojenny obraz Antoniego Mi-

chalaka. Poloników jest więcej: przy promenadzie wśród pamiątkowych tablic czytam o losie 600 dzieci polskich, które udało się wyprowadzić z ZSRR i znalazły schronienie w Nowej Zelandii. Muszę przyspieszyć kroku, aby dojść do portu. Punktualnie wypływam i patrzę na stolicę Nowej Zelandii – miasto rozłożyło się w zatoce, otoczone wysokimi górami!

26 marca. Bilet ze zniżką kosztował 50 DNZ, wieczorem przybiłem do nabrzeża w Picton, w którym jest bardzo duży wybór hosteli. Zaplanowałem na dziś przejazd do Nelson. Autobus odjeżdża dopiero ok. 16, postanawiam korzystać z autostopu. Dojeżdżam do Havelock, zatrzymuję kolejne samochody, w wystawioną rękę wbija się osa! Mam w plecaku adrenalinę, ale ponieważ jestem w mieście, chcę dostać się do szpitala, który, jak się okazuje, jest bardzo daleko, po drugiej stronie miasta. Po półgodziny nie następuje szok uczuleniowy, dochodzę do oddziału ratunkowego, ale ręka jest tylko trochę spuchnięta i gorąca, stosunkowo nieduży rumień, a oddycham normalnie. Siedzę około godziny w poczekalni, nic się nie dzieje. Wracam więc na szosę. Za Havelock zaczynają się winnice. Równe rzędy winorośli zaczynają się prawie na brzegu morza i wkraczają na wzgórza po lewej stronie szosy. A więc to tu czyni się wino, które można kupić w polskich sklepach. Z parą sympatycznych Czechów dojeżdżam do Nelson. Sześciuosobowe dormitorium w schronisku HI kosztuje 23 DNZ. Recepcjonistka sprezentowała mi ładowarkę do mojego telefonu. Hurra! mogę robić zdjęcia i wysyłać esemesy!

27 marca. W muzeach poznałem już kulturę Maorysów, ale nie spotkałem żadnego. W Nelson można zwiedzać położoną na wzgórzu katedrę anglikańską, w niej bardzo piękne witraże. Drogi wylotowe z miast Nowej Zelandii nawet kilka kilometrów od centrum są zabudowane, a więc trudno znaleźć miejsce do zatrzymania samochodu, chyba że kierowca nie przestrzega przepisów drogowych; tym razem tak się stało. Zwróciłem uwagę, że zatrzymał się niezbyt elegancki i czysty samochód, za jego kierownicą siedział młody człowiek, wytatuowany chyba wszędzie: na rękach, twarzy, szyi, dopiero później do mnie dotarło, że podwiózł mnie Maorys, bardzo sympatyczny i wesoły, niechętnie wysiadałem w Richmond. Dalej jadę szosą do Wakefield, wysiadam przy bocznej drodze do Belgrova Kawatiri Jucton. Jadąc, podziwiam górskie panoramy, przy drodze rosną dzikie róże takie jak w Polsce, ale one są obsypane czerwonymi owocami, bo przecież tu już jesień. Uczynny kierowca podwozi mnie na sam brzeg jeziora. Czytałem, że jest bardzo piękne: faktycznie, woda tak przejrzysta, że odbijają się w niej szczyty gór, które otaczają jezioro. Bardzo dokuczają meszki, ale muszę wytrzymać i spokojnie zatopić się w ciszę wieczoru, patrząc na słońce opadające w jezioro. Rozbijam namiot, niedaleko stoją samochody, z których wysiedli biwakowicze i siedzą w składanych fotelach, popijając herbatę. Nagle pojawiają się strażnicy przyrody i grożą mi mandatem za nielegalny kemping, potem proponują podwiezienie na płatne pole namiotowe, aż w końcu zawożą mnie w miejsce, w którym mogę biwakować bezpłatnie. Jest wc, ale brak wody pitnej. Za chwilę przyjeżdżają inni turyści. Nad głową rozgwieżdżone niebo, chyba wróży to nocny chłód.

28 marca. Faktycznie zmarzłem, ale zagotowałem wodę na mojej kuchence i zaparzyłem kawę. Z St. Armad do głównej drogi jest 25 kilometrów, ale zatrzymałem kierowcę, który podwiózł mnie aż do Murchison, potem półciężarówką podjechałem do Inugakua, miejsca, w którym bardzo prędko powstało miasto w okresie „gorączki złota”

ta" i tak samo prędko przestało istnieć. Znalazłem się tu dzięki uprzejmości i wiedzy mojego kierowcy, podwiózł mnie do skrzyżowania dróg, on pojechał w stronę Christchurch, a ja chcę dojechać do Westport. Tym razem na szosie miałem konkurentów, dwóch młodych Niemców, którzy mogą przyjeżdżać do Nowej Zelandii bez wiz i podejmować pracę bez żadnych ograniczeń. Szczęśliwie dotarłem do celu, zatrzymałem się w schronisku HI, dormitorium trzyosobowe, wyjątkowo dobre warunki i cena 22 DNZ. Ach, to już półmetek mojej podróży.

29 marca. Centrum Wesport wygląda jak z westernu, ale jest daleko od drogi do Skał Naleśnikowych. W niedzielny poranek ruch na szosie nie jest duży. Idę pod górę i widzę nadjeżdżający samochód, kierowcą okazuje się Czech, oni potrzebują specjalne wizy, aby móc podjąć pracę i wyznaczono limit tych pozwoleń. Czeski przyjaciel podwozi mnie pod restaurację, w której będzie pracował, a na miejsce jadę z parą młodych ludzi, Nowozelandka jako przewodniczka i jej chłopak. Zatrzymujemy się przy punkcie widokowym, z którego patrzymy na nadmorskie klify. Dojeżdżamy do Punakaiki, do rezerwatu przyrody wstęp jest bezpłatny, a skały wyglądają zgodnie ze swoją nazwą jakby ktoś usmażone naleśniki poukładał jedno na drugim w stosy. Można między nimi oglądać naturalne baseny, do których z hukiem wpływa woda, aby za chwilę wypłynąć, tryskają fontanny z różnych szczelin. Miejsce warte zobaczenia. Plecak zostawiłem w Visitor Center, więc go odbieram. Na szosie nie stoję długo, zatrzymuje się Austriak, ujawnia swoją narodowość po moim stwierdzeniu, że nie lubię poddanych Marii Teresy. Z Tomaszem podjeżdżamy do Hokitika, centrum wydobywania i obróbki jadeitu. W Głównej Galerii jest muzeum, szlifiernia, można zobaczyć tworzenie biżuterii i oczywiście nabyć gotowe wyroby. Rozmawiamy bardzo sympatycznie z Tomaszem, który okazał się dowcipny i inteligentny. Stwierdzam, że jest drugim po Mozarcie Austriakiem, którego polubiłem. Zatrzymuję się w hostelu w Franz Josef Glacier. Do zachodu słońca zostało ponad dwie godziny, do czoła lodowca trzeba iść 12 kilometrów. Podwozi mnie przewodnik górski, wskazuje i nazywa najbliższe góry, które zaczyna zakrywać mgła. Dolina, do której schodzi lodowiec, jest widoczna dobrze, drogę do bramy Franza Josefa pokrywa piarg, trzeba pamiętać o dobrych butach! Podchodzę pod samą bramę, pod którą jest niewielkie białe-szare jezioro lodowcowe. Z punktu widokowego patrzę na jezioro lodowca, niespecjalnie efektowny, wpływa jakby z mgły opadającej nisko, należy trzymać się ścieżki. Do miasteczka wracam okazją, pod sam hipermarket, robię zakupy spożywcze. W schronisku częstują zupą, podgrzewam ją na kuchni i zjadam z apetytem, w towarzystwie młodych backpackersów z całego świata.

29 marca. Wszyscy mówią o niezwykłości Nowej Zelandii, potwierdzam tę opinię! Do Fox Glacier podwozi mnie ksiądz, w Visitor Center zostawiam plecak, idę wytyczonym szlakiem poprzez dżunglę, wysokie bambusy, paprocie drzewiaste, wilgotny półmrok. Wychodzę na szosę, przekraczam ją i przez spienioną rzekę po wiszącym moście wspinam się do punktu widokowego. W prześwitach pomiędzy ogromnymi paprociami i drzewami widzę biały jezioro lodowca. Muszę wrócić tą samą drogą, a potem znów przez tropikalny las do parkingu, skąd na lodowiec prosta droga. Fox Glacier jest bardziej okazały, bardziej biały, dostrzegam spękania o turkusowo-niebieskawej barwie, pięknie lśni w słońcu. Kiedy schodzę do parkingu, patrzę na jezioro, nad którym odpoczywają gęsi nowozelandzkie. Po odebraniu plecaka ruszam w drogę, nie wiem do-

kładnie dokąd, znam tylko słuszny kierunek. Dojeżdżam do Hast, w motelu dormitorium czteroosobowe za 25 DNZ, bez śniadania, właściciel mało sympatyczny.

30 marca. Współlokator proponuje mi podwiezienie do Wanaka, skąd ciężarówką jadę w kierunku Mont Cook. Po drodze wpadamy w sam środek dużego stada owiec, z szoferki doskonale widać cały kierdel i inne samochody uwięzione tak jak my. Wysiadłem przy drodze do Mont Cook Village, biegnie ona wzdłuż jeziora Pukaki. Dziewczyny z Francji, które mnie podwożą, zatrzymują samochód kilka razy, wysiadamy i robimy zdjęcia. Faktycznie krajobrazy wyjątkowo piękne. W schronisku HI brak miejsc, w pobliskim motelu jest dormitorium czteroosobowe z łazienką za 36 DNZ. Z balkonu roztacza się wspaniały widok na górską halę, nad którą wyrastają wysokie, ośnieżone szczyty. Idę w ich kierunku poprzez rozległe łąki, trawa jest już pożółkła i prawie sucha, odnajduję jednak kępy kwitnącego łubinu o barwie fioletu, różu i bieli. Po lewej stronie góra Seton, na której wiszą lodowce, podtrzymywane przed spadkiem przez ostre skały. Dochodzę do Viv Kea Point, siadam na skale i uczestniczę w misterium zachodzącego słońca. Wracam, kiedy już ciemno, a nad głową mam rozgwieżdżone niebo Południa.

1 kwietnia. Wczesnym rankiem wychodzę w kierunku Mont Cook, jest on zasłonięty przez inne góry. Dochodzę do lodowca Muellera, pod którego bramą znajduje się duże jezioro turkusowo-szarawe. Szlak wiedzie przez kilka ukwieconych dolin, po drewnianych pomostach nad podmokłymi łąkami, po wiszącym moście, pod górę i wreszcie wspaniały widok na Mont Cook, u którego stóp jezioro z pływającymi górami lodowymi! Oderwane od lodowca Tasmana jak olbrzymie łabędzie biało-turkusowe, ich skrzydła lśnią i skrzą się w słońcu! A to już nie wyobrażnia, spotykam rodaków, a nawet sąsiadów zza Lasu Kabackiego. Rozmawiamy, dzieląc się wrażeniami, proponują mi podwiezienie do głównej szosy, dalej nasze drogi pobiegną w różnych kierunkach. Mam przed sobą niedaleką drogę do jeziora Tekapo. Miejsca w schronisku HI nie ma, ale w hotelu, obok biura informacji turystycznej, są dormitoria sześciuosobowe w cenie 25 DNZ. Wczesne popołudnie sprzyja spacerom, idę więc do kamiennego kościoła Dobrego Pasterza, malowniczo usytuowanego nad brzegiem jeziora. Przez panoramiczne okno widać daleką perspektywę, góry, które schodzą wprost do wody. Obok świątyni wznosi się pomnik psa, przecież niezbędnego przy zaganianiu owiec. Przy moście stara studnia pod jabłonką, obsypaną czerwonymi jabłuszkami, ale nie są smaczne. Po kolacji idę przez łąkę nad jezioro, nie tylko przy zachodzącym słońcu drzewa są złote, rubinowe, bogate w barwy jesieni.

2 kwietnia. Jezioro Tekapo ma niezwykle ciemnoszmaragdowy kolor, ale widoczny tylko z góry, najlepiej tej nad termami, do których wstęp jest dość drogi. Na brzegach kwitną pomarańczowe maki, a pod sosnami maślaki, nikt ich nie zbiera. Gdybym kupił cebulę, śmietanę i masło do smażenia, to bym je zebrał, ale mam pewne obawy, a jutro muszę jechać dalej. Dowiedziałem się o tanim autobusie z Quinston do Christchurch, poprosiłem recepcjonistkę w moim hostelu i kupiła mi bilet przez Internet, zasady takie same jak w Polskim Busie. Wybieram się na pożegnalny spacer, zauważyłem topole szumiące przed wieczorem, zadomowione tu, sprawiają, że krajobraz jest swójski, trochę nostalgiczny.

3 kwietnia. Autobus do Christchurch odjeżdża o 13.40, będzie na miejscu ok. 17. Noctobus zatrzymuje się przy lotnisku, korzystam z okazji i wysiadam, obok terminalu

brak sklepów spożywczych, ale jest McDonald, ceny nawet przystępne. Między barem a lotniskiem znajduje się Centrum Arktyczne, bilety bardzo drogie; słyszałem opinie, że ekspozycja nieciekawa. Mój samolot do Sydney odlatuje o 7.25, ale linie lotnicze Qantas wymagają, aby stawić się do odprawy trzy godziny wcześniej. Postanawiam, więc noc spędzić na lotnisku. Upatrzyłem sobie ciepły kąciek, ale pracownik ochrony kieruje mnie do zimnej poczekalni albo do płatnej 5 DNZ, w której można drzemać na pu-fach, dostosowują się do ułożenia ciała. Niestety ok. 3.30 muszę opuścić legowisko. Można liczyć na obudzenie, bo recepcjonistka zapisuje numer lotu i godzinę odprawy. Żegnaj piękna Nowa Zelandio!

ETAP 6 – Australia

Dni 48–62

4 kwietnia. Czeką przygoda w Australii. Już o 9.25 ląduję na lotnisku w Sydney i zaczynają się kłopoty. Moja wina, że nie wpisałem do deklaracji nazwy hotelu, a więc urzędniczka emigration przekazała mnie swojej koleżance wyższej rangą. Ona konsultuje się z przełożonymi. Kiedy pojawia się powtórnie, zarzucam ją dokumentami podróży, pokazuję karty bankowe, podnoszę głos, wyrażając swoje oburzenie z powodu złego potraktowania mnie. Urzędniczka mięknie, tłumaczy się procedurami, przeprosza i oddaje mi paszport, pomagając odnaleźć plecak i kierując mnie do kontroli sanitarnej, ale widzę otwarte drzwi do hali przylotów i wychodzę, przez nikogo nie zatrzymany. Nie muszę wymieniać pieniędzy, bo już w Warszawie kupiłem ponad 800 dolarów australijskich. Nabywam bilet kolejowy do Circular. Okazuje się, że kolega Witek wprowadził mnie w błąd: najwięcej hosteli, tanich hotelików jest w okolicy głównego dworca kolejowego, nawet w starej jego części znajduje się schronisko HI. Ja nocuję w sąsiednim HI w ośmioosobowym dormitorium za 37 AUD ze zniżką, bez śniadania. Hostel nie jest wygodny, a bardzo drogi, jego zaletę stanowi fakt, że leży w samym centrum. Ulicą George Street idę w stronę portu, po drodze zwiedzam ST Andrews Cathedral, wnętrza ratusza i Victoria Building. Bocznymi uliczkami o ciekawej kolonialnej zabudowie docieram do Harbor Bridge – ceny wstępu są absurdalne! Ze skweru obok widoczna doskonale Opera. Zwiedzam Muzeum Sztuki Współczesnej, gratis. Po drodze do Royal Botanic Gardens, zwiedzam Muzeum Sydney. Park jest starannie utrzymywany, wszędzie papugi, głównie kakadu. Przy ulicy Pitt Street znajduje się Muzeum Narodowe i katedra katolicka, bardzo piękna. Idąc prosto, dochodzę do dworca kolejowego i mojego hostelu.

5 kwietnia. Po wczesnym śniadaniu wymeldowuję się; dobrze, że dworzec kolejowy mieści się po drugiej stronie ulicy. Kupuję bilet kolejowy do Kaatakomba, wyjątkowo tani, bo 15 AUD w obie strony. Ze względu na remont torów wyjeżdża się z Sydney autobusem, ale to nie przeszkadza mi, pozwala zobaczyć miasto. Niestety autobus i pociąg nie są skomunikowane i czekam dość długo na połączenie; podróż trwa ponad dwie godziny, chociaż to nie jest daleko. Podczas przejazdu psuje się pogoda; kiedy docieram na miejsce nie pada, ale mgła przesłania góry. Blisko dworca kolejowego jest schronisko HI. Ponieważ jutro rano mam samolot, więc muszę wracać do Sydney. Z dworca do Doliny Echa przejście ok. trzech kilometrów. Od 25 do 35 AUD w biurach oferowane są wycieczki. Zaczynam od wodospadów w lesie deszczowym; cały czas mgła, ale gdy wchodzę na taras widokowy wspaniale widać Góry Błękitne! Zawdzię-

czają swoją nazwę niebieskiej mgiełce olejków eterycznych z eukaliptusów, rozgrzanych słońcem, dziś tego zjawiska nie zobaczę, ale to, co widzę, satysfakcjonuje mnie. Ruszam szlakiem w kierunku Trzech Sióstr. Te trzy skały obok siebie mogą oglądać tylko z odległości, chociaż można do nich bliżej podejść, stanowią święte miejsce dla Aborygenów. Mijam piękne kaskady wodne i dochodzę do Doliny Echa. Szlakiem szedłem około dwóch godzin, nie mam czasu, aby iść dalej. Wracam do dworca w deszczu, wieczorem przyjeżdżam do Sydney, znajduję miejsce w tanim chińskim hoteliku za 25 AUD, wykupuję przejazd busikiem na lotnisko.

6 kwietnia. O 10.30 odlatuję do Ayers Rock i w czasie lotu patrzę na bezkresne obszary Australii. Widzę pustynny krajobraz, spaloną brunatną ziemię, białe plamy słonych jezior. Ten pejzaż przeraża mnie, zastanawiam się, jak dam sobie radę? Muszę przejechać z Ayers Rock do Alice Springs. Gdy nadlatujemy nad Uluru, mgłą przesłania wszystko. Wychodzę z samolotu w strugach deszczu. Na lotnisku nie ma biura informacji turystycznej, jestem zdezorientowany. Wsiadam do pierwszego autobusu, który stoi w szeregu innych, którymi pasażerowie będą odwiezieni do hoteli. Jazda raczej krótka, kiedy wszyscy wysiadają i ja też. Pytam kierowcę o dojazd do centrum informacji turystycznej, wskazuje mi bezpłatny busik, za kilka minut jestem przy centralnym placu miasteczka; są tu sklepy, bary i spożywczy supermarket. W informacji dowiedziałem się, że miejsce na kempingu kosztuje 19 AUD; trochę jeszcze pada. Decyduję się na rozbiście namiotu. Po południu idę na spacer po okolicy, odnajduję kilka obozowisk z wieloosobowymi namiotami, kuchnią, sanitariatami, ale są one przeznaczone dla turystów, którzy wykupią dwudniowe safari, w granicach 300 dolarów. Odnajduję wzgórze, z którego widzę Uluru! Jest naprawdę magiczne, pomarańczowo-czerwone, unosi się nad nim mgiełka po ulewnym deszczu, w linii prostej to ok. 10 kilometrów.

7 kwietnia. W namiocie spałem doskonale, szybkie śniadanie i cel – Uluru, dwaście kilometrów, spróbuję może okazać? Idę we właściwym kierunku, czasem mam wrażenie, że pędzące samochody wynajęte przez turystów. Zatrzymuje się Australijczyk, który przyjechał na kontrolę finansów parku narodowego, przejeżdżamy przez bramkę, otwiera się szeroko przed panem inspektorem, podwozi mnie do Centrum Kultury Aborygenów, stąd zaczyna się szlak dookoła Uluru. Trasa wynosi ok. 16 kilometrów, widzę krawędź wschodnią, ale idę w kierunku zachodnim. Panuje cisza, nikt mnie nie mijają, mam więc nadzieję na spotkanie z kangurem, chciałbym też zobaczyć Aborygena, przecież to ich święta góra. Słyszę pisk... klaksonów, charkot motorów, a więc dochodzę do parkingu, z którego też można zacząć wędrówkę. Z daleka widzę grupę ludzi, mężczyzna ma ciemną twarz, pewnie Aborygen! Cieszę się ze spotkania; kiedy podchodzą blisko, okazuje się, że to turysta, który idzie w kapeluszu z gęstą siatką przeciw bardzo dokuczliwym muszkom. Jest ich tysiące, próbują wcisnąć się do uszu, oczu i nosa. Kapelusze podobne do tych dla pszczelarzy można kupić w sklepie z pamiątkami, warto je mieć! W niewielkiej odległości od parkingu jest ścieżka na szczyt Uluru, teraz zamknięta, ponieważ po deszczach jest bardzo śliska, chociaż widzę lino-we poręcze. Zauważyłem szczeliny w kamiennym monolicie. Dochodzę do jaskini, która służyła i służy Aborygenom jako sala zebrań, może modłów? Na ścianach prymitywne rysunki, dominuje motyw gałązki drzewa iglastego, inne znaki trudne do odczytania. Od jaskini szlak prowadzi do szczeliny tak głębokiej, że tworzy rodzaj kanionu, a z góry spada woda. Mam zamiar okrążyć Uluru, a więc muszę wrócić do głów-

nego szlaku. Zaczyna padać deszcz, przeradza się w ulewę, coraz częściej błyskawice rozświetlają czarne niebo, grzmoty potęguje echo. Patrząc na Kamień, jest magiczny! Prawie niebieski! Po sinoczerwonych ścianach spływają wodospady, jest ich setki! Ich białe nitki zmieniają barwę skał trudną do określenia. Trochę się boję, ale uczestniczę w mistycznym zdarzeniu! Brnę po kałużach, wpadam w doły z wodą, sięgając powyżej kolan. Dochodzę do kolejnego parkingu, wyczerpany i przemoczony siadam na ławce pod daszkiem, po odpoczynku oglądam kolejną grotę z malowidłami, lepiej zachowanymi, rozszyfrowuję postaci kobiety i mężczyzny, a raczej pramatki i praojca. Boli mnie noga, nie wiem dlaczego? Wychodzę na parking, stoi kilka samochodów, może mam szansę na podwiezienie? Zatrzymuje się jeep strażnika parku, informuje mnie, że idę w odwrotnym kierunku niż do Ayers Rock Village. Zawracam. Strażnik podjeżdża półciężarówką i zaprasza mnie, abym wsiadł, podwozi do Centrum Kultury Aborygenów. Oglądam wystawę, ciekawe eksponaty i filmy. Denerwuję się, że mój namiot popłynął. Chciałbym już być na kempingu. Idę drogą i zaraz za Visitor Center zatrzymuje się Szwajcar, który podwozi mnie na pole namiotowe. Mój namiotik nawet bardzo nie przemókł, ale deszcz pada, śiapi, kropi, pada. Postanawiam przenieść się do schroniska HI. Okazuje się, że jest zlokalizowane na terenie kompleksu hotelowego, do którego przyjechałem z lotniska. W Pionier Lodge HI nocleg, ze zniżką kosztuje 35 AUD. Bez śniadania. Pawilon jest podzielony na czteroosobowe boksy, wc mieści się w osobnym budynku, a więc cena dość wysoka, ale nie mam innego wyjścia.

8 kwietnia. Całą noc była ulewa; dobrze, że spałem pod dachem. Kiedy zdjąłem przemoczone buty, okazało się, że mam popękane pięty, powstały otwarte ranki i dlatego bolały mnie podczas wczorajszego marszu i w nocy nie mogłem spać. W dzień też pada, ale mogę wyjść, aby uczestniczyć w sportowych animacjach. Po dziesiątej idę z grupą rzucających oszczepem, moje próby nie są udane. Tuż przed południem uczę się rzucać bumerangiem, nie wraca. Po obiedzie zwiedzam wystawę w Visitor Center, etnografia i przyroda, a potem spaceruję po ogrodzie botanicznym przy Desert Gardens Hotel. Odnajduję kilka gatunków eukaliptusów i endemiczne rośliny Australii. O szesnastej oglądam pokaz tańców Aborygenów. Tuż przed zmierzchem niebo wypogadza się i z punktu widokowego na terenie mojego kompleksu hotelowego mogę podziwiać kolejny zachód słońca, w odcieniach purpurowoczerwonym są niebo, słońce i Uluru.

9 kwietnia. W nocy znów padało, buty mi nie wyschły, pięty spękane, bolące przy każdym kroku. Ranek dość chłodny, ale słoneczny, niebo czyste, a więc doskonałe warunki do podróży. Nie widziałem Uluru – Kata Tjuta National Park Olgas Rock. W kuchni, kiedy robię sobie kawę, młody mężczyzna, chyba Hindus, pyta mnie o plany na dziś, odpowiadam, że muszę się dostać do Alice Springs, ale nie dysponuję samochodem, więc nie wiem, gdzie dojadę. On spokojnie proponuje mi podwiezienie, ale pyta, czy się śpieszę, bo ma zamiar zatrzymywać samochód w ciekawych miejscach. Odpowiadam, że chyba jeszcze śnię, nie wierzę własnemu szczęściu. Oczywiście bardzo proszę o zabranie mnie. Ruszamy tuż po dziesiątej. Cały czas myślę, że do Alice Springs jest około 400 kilometrów, a to się okazuje, że dwa razy dłużej, ba, zapomniałem, że odległości w Australii podawane są w milach. W samochodzie okazuje się, że mój kierowca pochodzi ze Sri Lanki, mieszka w Australii od czterech lat. Mało rozmawiamy, ponieważ on chce odpoczywać w ciszy, a mnie coraz bardziej boli noga. Moje mokre buty, wcześniej naznaczone przez kota Elvisa, po prostu śmierdzą, wstydzę się, nie wiem

co robić. Dojeżdżamy do miejsca, w którym Stuart Highway prowadzi prosto do Alice Springs, a w lewo jedzie się do Kings Canyon. To miejsce to zupełne pustkowienie, przypominać sobie widok spalonej ziemi, widzianej z samolotu. Proszę Lankijczyka, aby podwiózł mnie do kanionu, wysiadam przy skrawku do Królewskiego Wąwozu. Idę wolno ze względu na ból nogi, upał i ciężki plecak. Kilometr przed wejściem do rezerwatu zatrzymuje się niemłody Australijczyk i podwozi mnie. Zostawiam plecak pod wiatą i wspinam się w górę kanionu. Spotykam mojego Australijczyka, rozmawiając, dochodzimy do platformy widokowej, na planszach jest opisana historia miejsca świętego dla Aborygenów. Podziwiam czerwone ściany kanionu, sięgają wysokość ok. stu metrów, jego dnem płynie wartko strumień, przekracza się go, przeskakując z kamienia na kamień. Robimy zdjęcia, przedstawiamy się sobie. Bob proponuje podwiezienie do głównej drogi, a nawet na kemping w Kings Canyon, ja chcę dojechać do Kings Creek Station. Bob zapewnia, że jutro około południa będzie jechał obok mojego kempingu, wstąpi po mnie i razem pojedziemy do Alice Springs. Kiedy stoję przy szosie, dokuczają upał i natrętne muszki. Widzą mnie strażnicy Parku Narodowego Watarrka, którego częścią jest Kings Canyon, przejeżdżając, pozdrawiają i ja ich pozdrawiam, ale po kilku minutach wracają po mnie i odwożą na kemping. Płacę 18 AUD, ale obsługa nie jest miła, skąpią wrzółku, kiedy chcę zaparzyć sobie herbatę i zalać chińską zupkę. Sąsiedzi są nieuczynni i niesympatyczni, no cóż, nie wszyscy mogą być aniołami.

10 kwietnia. Rano recepcja i bar są zamknięte, nie mogę zaparzyć kawy. Wychożę na drogę, gazą zakrywam twarz, chroniąc się przed muchami, pewnie wyglądam jak duch. Bob widzi mnie z daleka, zatrzymuje się z fantazją, ładujemy plecak i w drogę, przed nami ponad 400 kilometrów. Przy szosie znaki ostrzegawcze przed wybiegającymi kangurami, ale przez całą podróż nie zobaczyłem tego zwierzęcia w jego naturalnym środowisku. Mijamy Zwrotnik Koziorożca. Stacje benzynowe są co około 60 kilometrów. Bob podwozi mnie pod szpital, nie słucha moich protestów. Za konsultację chirurgiczną żądają 400 AUD!!! Fakt, w pięcie otworzyła się rana dość głęboka, krwawi, noga jest opuchnięta. Blisko szpitala jest Aminias Palace Hostel, reklamuje się jako przyjazny podróżnikom; faktycznie 24 AUD ze śniadaniem to dobra cena. Dormitorium sześćosobowe z łazienką. W rejestracji szpitala dali mi adresy przychodni lekarskich, w których udzielą mi pomocy bezpłatnie. Okazuje się, że mnie tylko zbyli. Po kolacji bardzo zmęczony zasnąłem natychmiast i spałem snem kamiennym.

11 kwietnia. Leżę cały dzień, noga puchnie i boli. Z balkonu obserwuję papugi, są to najczęściej nimfy i kakadu, ale dużo większe od tych hodowanych w Polsce. Jest ich tak dużo jak gołębi na Rynku Głównym w Krakowie.

12/13 kwietnia. W nocy nie śpię, nie tylko dokucza mi ból nogi, ale również plaskwy. Idę powtórnie do szpitala, prośbą i groźbą uzyskuję, że na stole operacyjnym wycinają martwą tkankę i oczyszczają ranę. Dają mi antybiotyk i każą leżeć, a więc leżę, również następnego dzień. Ból ustąpił, plaskwy nie!

14 kwietnia. Muszę opuścić hostel, bo przeprowadzą dezynfekcję. Przenoszę się do pobliskiego Todes Hostel, 23 AUD, ze śniadaniem, warunki dużo lepsze. Na ulicach Alice Springs, a zwłaszcza przed szpitalem, Aborygeni, mężczyźni są zazwyczaj pijani, a kobiety bardzo zaniedbane, trzymają się w grupach, nie widziałem, aby Australijczycy rozmawiali z nimi. W historycznym centrum miasta zabytkowe budowle: Kings Ho-

spital (muzeum) stary ratusz. W Albert Nomatjira Galery obrazy pierwszego uznanego malarza Aborygena, w innych galeriach obrazy współczesnych malarzy, nawiązujących do mistrza bardzo wiernie. Na skwerze, obok kościoła Aborygeni sprzedają obrazy, najczęściej abstrakcyjno-geometryczne motywy. W centrum jest również Kings Residence; faktycznie zatrzymała się w nim Elżbieta II jako księżniczka. We wnętrzu można wypić kawę, zjeść domowe ciasto w cenach bardzo przystępnych. W kościele katolickim odnajduję obraz podarowany papieżowi Janowi Pawłowi II przez Aborygenów. Dowiaduję się w biurze informacji, że autobusem miejskim za 3 AUD dojadę do Desert Park, wstęp 20 AUD ze zniżką. Idąc do głównej bramy, zbaczam, ale idę wydeptanymi ścieżkami przez busz i niecierpliwie wypatruję torbaczy. Niestety Australia pozostaje dla mnie krajem niewidzialnych kangurów. Park, a raczej ogród zoologiczny, jest podzielony na sektory: psów dingo, sanktuarium ptaków i wybieg kangurów. Warto zaplanować wizytę do 15, ponieważ po tej godzinie zamykają wejście do ptasiego sanktuarium, chociaż w wolierach można oglądać mniejsze ptaki. Sektor dla dingo jest w remoncie, ale te psy widziałem na ulicy, znam je doskonale, bo miałem takiego rudzielca w domu; historia jego zaginięcia i odnalezienia opisana w Internecie. No nareszcie mogę popatrzeć na rodzinę torbaczy, chociaż wszystkie młode poruszają się samodzielnie. W dość dużej zagrodzie jest cała, wielodzietna rodzina, tata kangur trochę z boku czuwa nad stadem. Przez furtkę można wejść, podchodzić dość blisko, by zrobić zdjęcia, jednak na zbytnią poufałość zwierzęta nie pozwalają. Jestem zadowolony, że je odwiedziłem. W hostelu wykupuję za 12 AUD przejazd na lotnisko.

15 kwietnia. Po śniadaniu o 8.30 wyjeżdżam i na peryferiach miasta widzę prymitywne osiedla dla Aborygenów. Alice Springs to podobno największe skupisko rdzennej ludności Australii. W południe przylatuję do Perth, z lotniska miejskim autobusem jadę do historycznego centrum, w którym jest najwięcej hosteli, a nawet schronisko HI. Zatrzymuję się w Backpackers Hay Street 266/68, za 32 AUD, w starym, kolonialnym domu, ale rozbudowanym, oczywiście z basenem, ale bez śniadania. Po południu zwiedzam Muzeum Narodowe, katedrę katolicką, bardzo ciekawie rozbudowaną, katedrę angikańską. Spaceruję eleganckimi ulicami centrum handlowego.

16 kwietnia. Zwiedzanie zaczynam od starej remizy (wystawa), szpitala (muzeum) i Mennicy Państwowej, bardzo ciekawa ekspozycja i sklep, czasem można obejrzeć bicia złotych monet, wstępy gratis. Spaceruję promenadą, zwiedzam siedzibę stanowego parlamentu w dawnej rezydencji gubernatora. Bardzo rozległy jest ogród botaniczny, przechodzi w naturalny las. Oglądam panteon bohaterów wojen – do wszystkich miejsc wstęp bezpłatny. Po mieście można poruszać się turystycznymi autobusami: żółtym, czerwonym i zielonym, ale żaden z nich nie jedzie na terminal. Lot na Borneo mam o 0.40, ale Malasyairilines wymaga, aby odprawę zacząć trzy godziny wcześniej. Wieczorem odbieram plecak ze schroniska i autobusem miejskim jadę na lotnisko. Australię opuszczam bez żalu, chociaż zdarzyły się również miłe chwile.

ETAP 7 – Malezja, Brunei

Dni 62–77

17 kwietnia. Po nocnym locie o 6.00 ląduję na Borneo. Wystarczy wyjść z lotniska, dojeżdżać mniej niż kilometr do głównej drogi, co chwila jadą busiki do centrum Kota Ka-

nibal. Z końcowego przystanku trzeba przejść ok. kilometra, za dużym centrum handlowym zaczyna się rejon tanich hoteli, zresztą ceny są bardzo zróżnicowane. Trochę odsypiam i idę, aby wymienić pieniądze, uruchomić mój telefon. Okazuje się, że mogę używać mojej oryginalnej ładowarki, oczywiście za pomocą adoptora. Miasto nie zachwyca, w biurach turystycznych nie oferują żadnych atrakcyjnych wycieczek.

18 kwietnia. A więc kolejne święta wielkanocne daleko od domu, od Warszawy. Po południu w katedrze katolickiej są uroczystości pasyjne – Good Friday. Przed południem, a zwłaszcza za południe w pokoju hotelowym zaczynam pisać relację z tej podróży.

19 kwietnia. Obok parku miejskiego, bardzo blisko mojego hotelu, oczekują autobusy do Menumbok; odjeżdżam o 9.00, bilet za 18 Ringitów (R). Jadę przez Borneo, rozczarowanie! Zamiast dżungli, wzdłuż asfaltowej szosy plantacje palmy olejowej. Dojeżdżam do portu, w południe prom do Labuan (6,50 R), można skorzystać z szybszych łodzi motorowych, oczywiście droższych. Dopływając do wyspy, widzę wąskie plaże, ale dominują jakieś konstrukcje przemysłowe. Zjadam obiad, kupuję bilet do Brunei (35 R). Uwaga! proponuję kupić bilet na wodolot, w tej samej cenie co prom.

BRUNEI

O 18.00 przybijamy do portu w Brunei, odprawa paszportowa, nie potrzebujemy wiz, trwa krótko, ale tylko do szóstej po południu kursują autobusy miejskie. Warto było skorzystać z szybkiej łodzi i być wcześniej. Kantor w porcie też zamknięty, pozostaje mi liczyć na uczynność obywateli sułtanatu. Nie zawiodłem się, do centrum miasta jest ok. 20 kilometrów. Hostel (Pusat Beli) jest w części reprezentacyjnej, obok placu koronacyjnego, mieści się w centrum sportowym, dormitorium czteroosobowe z klimatyzacją, bez śniadania, tylko 10 Dolarów Brunei (DB).

20 kwietnia. Najbliżej hostelu jest Muzeum Regaliów, bardzo polecam nawet tym, którzy nie lubią tego typu placówek. W głównym holu odtworzono część orszaku koronacyjnego, dwie sale są urządzone jak gabinet i część sali tronowej w pałacu sułtana. W skarbcu, dodatkowo strzeżonym, złote korony, berła i inne regalia ozdobione drogimi kamieniami. Nie wolno robić zdjęć! Można też zwiedzać Sultan Omar Ali Saifuddin Mosque. Idę w stronę pałacu, wiem, że nie jest dostępny do zwiedzania, ale chcę podejść pod bramę, zrobić zdjęcie. Przy niewielkim kościele anglikańskim trafiając na poczetunek świąteczny, zostaję zaproszony. Po południu jadę autobusem miejskim ok. 4 kilometrów do Muzeum Technologii, wstęp bezpłatny, prezentowane są faktycznie zbiory etnograficzne, warte zobaczenia. Stylowa budowla, fundowana przez monarchę, znajduje się nad rzeką. Niestety, sąsiednie Muzeum Narodowe jest w remoncie. Wracam do centrum, wymieniam pieniądze w kantorze, zwiedzam Vaysan Shopping Complex. W moim hostelu kończy się właśnie uroczysta kolacja, częstują, zachęcają, abym wziął sobie jedzenie na potem. Po sutej kolacji idę nad rzekę, można popłynąć łodzią do Kampong Ayer, części miasta wybudowanej na palach, na drewnianych pomostach; przed południem widziałem tylko fragment i nie wzbudziła mojego entuzjazmu. Spaceruję obok placu koronacyjnego, oglądam grobowce poprzednich sułtanów. Wieczorem rozmawiam w hostelu z sympatycznymi Indonezyjczykami, którzy przylecieli tu na kilkudniową wycieczkę.

21 kwietnia. Bezpośredni autobus do Miri jest dość drogi, ale z terminalu, bardzo blisko z hostelu, jadę za 6 DB. Do Serii, a potem za 1 DB do granicznego miasteczka. Trzeba wysiąść przed wjazdem do miasta, przy rondzie, i tak do granicy jest kilka kilometrów; mam szczęście i zatrzymuję samochód aż do Miri. W Serii można zobaczyć szymba naftowe, zresztą są one wszędzie przy drodze do granicy z Malesją.

MALEZJA

Przyjeżdżam do Miri tuż po południu, ale nawet w biurze informacji trudno dopytać się o dojazd do Niah National Park. Decyduję, że prześpię noc w Pandom Cottage za 28 R ze śniadaniem, kawa, herbata do dyspozycji cały czas, dormitorium sześciuosobowe z klimatyzacją, bardzo czysto. W mieście nie ma nic ciekawego.

22 kwietnia. Rano komunikacją miejską 31A dostaję się na terminal. Jest dużo autobusów do Rest Niah, potem trzeba 14 kilometrów jakoś pokonać, po bocznych drogach, ale okazuje się, że bez problemów. Wstęp do parku narodowego 20 R i 42 R za łóżko w czteroosobowym dormitorium. Pokoje mieszczą się w drewnianych bungalowach, niestety, brak chociaż podstawowego wyposażenia kuchni. Funkcjonuje kantyna, ale tylko w dzień. Aby rozpocząć wędrowkę po rezerwach, trzeba przepłynąć łódką za 1 R do 17.00, potem 2 R. Na drugim brzegu jest muzeum, do zobaczenia działły: przyrodniczy, etnograficzny i archeologiczny, eksponowane są przedmioty zebrane w jaskiniach, które stanowią największą atrakcję tego parku narodowego. Idę czasem po drewnianych pomostach przez dżunglę, dochodzę do miejsca, w którym mieszkańci pobliskiej wsi sprzedają napoje i pamiątki. Do centrum Lubong Tulang jest ok. 1 kilometra, w centrum są dwa longhousy, raczej nowe, ale autentyczne; istnieje możliwość noclegu tylko z pełnym wyżywieniem za 70 R. Wracam do rozwidlenia dróg i idę do jaskiń. W pierwszej do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku mieszkali Ibanowie, którzy byli kanibalami! Następna jaskinia jest ogromna, wiedzie przez nią szlak po drewnianych pomostach. Słychać i czuć tysiące nietoperzy, ok. 18 spektakularnie wylatują na żer. Mam to szczęście, że w jaskini jestem sam, nie mam latarki, trochę światła wpada przez skalne szczeliny. Dopada mnie strach, ale zatrzymuje ciekawość i niezwykłość doświadczenia.

23 kwietnia. Nie wyobrażam sobie początku dnia bez kawy, mam Kuchenkę na paliwka i zagotowuję wodę, pieczywo kupiłem w Miri. Autobusami dojeżdżam do Siby. Dworzec daleko od centrum, ale jest jeszcze wcześnie, mam więc czas, aby dostać się do śródmieścia i znaleźć hotel. Znalazłem pokój za 30 R z łazienką, bez śniadania. W mieście odwiedzam piękną pagodę, przy której świątynia chińska, bo nad rzeką Rejang znajduje się chińska dzielnica. Z portu można popłynąć do kilku wsi z długimi domami, ale zniechęca mnie rejs wodolotem.

22 kwietnia. Po śniadaniu idę do Muzeum Siby, w centrum blisko mojego hotelu. Poszczególne sale poświęcone są grupom etnicznym i narodowym, tworzącym społeczność Sarawaku. Ciekawe eksponaty, bogate zbiory ceramiki i tkactwa, wstęp gratis. Do dworca dojazd autobusem lub busikiem 2 R. O 11.30 odjeżdżam do Kuchingu (40 R). Po drodze prawie cały czas palmy olejowe, o 18 jestem na miejscu; komunikacja miejska funkcjonuje do szóstej po południu, a z terminalu jest bardzo daleko do centrum. Zatrzymuje się motocyklista, a ja z duszą na ramieniu i plecakiem na grzbiecie, jedziemy wymijając samochody! Niestety, schronisko przy katedrze anglikańskiej w re-

moncie. Trafiam do hostelu Quiikcat, w dormitorium 20 R ze śniadaniem, kawa, herbata i woda gratis, dostępne cały czas, bardzo miła obsługa. Polecam, chociaż położony przy ruchliwej ulicy, ale pokoje bez okien, więc hałas do zaakceptowania.

23 kwietnia. Kuching robi bardzo sympatyczne wrażenie, regularne ulice, dużo do zobaczenia. Zaczynam od Muzeum Chińskiego, potem spacer bardzo ładną promenadą nad rzeką Sungai. W zespole historycznych, kolonialnych budowli biuro informacji turystycznej, bardzo życzliwi pracownicy. W biurze parków narodowych wykupuję tygodniowy pobyt w bungalowie Parku Narodowego Bako. Zapraszam na kawę w stylowej kawiarni i do obejrzenia kolekcji sukien dla bogatych dam. Obok bardzo polecam Muzeum Tekstyliów, gdzie piękna kolekcja wyrobów tkackich np. ikatów. Należy koniecznie odwiedzić Muzeum Narodowe z kilkoma stałymi ekspozycjami w historycznych budowlach, Muzeum Islamu i oczywiście Muzeum Kota, bo przecież to światowa stolica kotów. W biurze turystycznym kupuję bilet lotniczy do Kota Kanibalu za 85 R, w Air Asia, pewnie inne linie lotnicze dużo droższe. Wieczorem na promenadzie, na kilku estradach występy zespołów muzycznych i tanecznych.

26 kwietnia. Nieczęsto decyduję się na zwiedzanie skansenów, ale wycieczkę do Sarawaku Village polecam. O 9.00 spod hotelu Grand Margherita odjeżdża shuttlebus, 12 R w jedną stronę, powrotny 20 R płatne u kierowcy. Wstęp 30 R, bilet ulgowy, okazuje się paszport. W poszczególnych sektorach parku można zobaczyć charakterystyczne budownictwo dla różnych grup etnicznych, ich przedstawiciele są w strojach ludowych, prezentują typowe zajęcia, np. tkanie. Longhousy Ibanów są wyjątkowo okazałe, a pochodzą z XVIII wieku. W południe, w klimatyzowanej sali teatralnej, odbywa się pokaz tańców, pod koniec wszyscy widzowie zostają zaproszeni do wspólnej zabawy. Około dwóch kilometrów od skansenu idzie się do Damai Beach Resort, shuttlebus ma przystanek przy recepcji, wstęp na plażę bezpłatny. W drodze powrotnej lub jadąc do Damai można wysiąść przy bramie Parku Narodowego Talang-Satang, wspinać się na górę albo oglądać zielone, olbrzymie żółwie. Muzeum Kota jest też przy trasie tego busu, a wrócić do Kuchingu można autobusem miejskim. Warto odwiedzić rezerwat Semenggoh, w celu przyjrzenia się karmieniu orangutanów. W Gunung Gading NP mając szczęście, można trafić na kwitnące raflezje – czy kwitną podczas waszego pobytu, trzeba spytać w biurze informacji turystycznej.

27 kwietnia do 4 maja. W samo południe wyjeżdżam autobusem A1 (czerwony) do Bako National Park. Wstęp, niezależnie od liczby dni pobytu, 20 R, łódź też 20 R, w jedną stronę. W centrum informacji, a zarazem recepcji dostaję mapkę z wykazem szlaków pieszych; część jest w remoncie, ale i tak się można nachodzić, a nawet wspiąć po linach, drabinach i pomostach. Możliwe są nocne wycieczki z przewodnikiem za 10 R. Największą atrakcją stanowią małpy nosacze, langury srebrzyste i pospolite makaki. Zobaczycie też dzikie świnie, legwany w mangrowcowych zaroślach, dzikie koty leśne i całe bogactwo ptaków, np. kingfishera czyli zimorodka, kraby pustelniki, dzwigające muszle po ślimakach itd. Z kwiatów jest kilka gatunków dzbaneczników. Nocleg to zaledwie 15 R, jedzenie bardzo smaczne i tanie w dużym wyborze. To jest dobry pomysł, aby tu wypoczywać po podróży, a jednocześnie zastrzyk energii na ostatni etap. Pierwsza łódź do Bako odpływa o 13.00, czasem warto zarezerwować miejsce dzień wcześniej lub rano w dniu wyjazdu. Z Kuchingu jest autobus na lotnisko; trzeba dojechać do terminalu w dużym centrum handlowym i około kilometra pieszo lub tak-

sówką. Noc spędzam na lotnisku, bo lot mam wcześniej rano o 6.00, a trzeba być dwie godziny przed odlotem.

5 maja. Jak dobrze wrócić do miejsca, które się zna, chociaż terminal krajowy jest bliżej miasta, ale dojechać można busikiem lotniskowym za 5 R. Hotel wybrałem ten sam, w którym byłem poprzednio. A teraz na zakup pamiątek, może herbatę?

ETAP 8. POWRÓT – Malezja, Chiny, Finlandia, Polska

Dni 77–80

6 maja. Bez problemów miejskim autobusem jadę na lotnisko, o 11.35 do Hongkongu. O 14.30 jestem już w Chinach, ponieważ samolot do Helsinek jest o północy, załatwiam wizę tranzytową i autobusem miejskim jadę do handlowego centrum miasta. Nie robi sympatycznego wrażenia. Bardzo wysokie budynki mieszkalne to faktycznie slumsy wielopiętrowe, ulice prowadzą przez podwórka. Zwiedzam świątynie, bardzo nowe i próbuję dojść do tej na górze, w której jest ogromny posąg Buddy, ale brakuje mi sił i czasu, wracam na lotnisko.

7 maja. O 0.25 odlatuję do Europy. Wczesnym rankiem o 6.10 ląduję w Helsinkach, o 8.00 mam samolot do Warszawy, w której jestem o 9.00 – i tak okrążyłem ziemski glob w osiemdziesiąt dni.

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
www.travelbit.pl.....	4
W świecie globtroterów	5
OSOTT 2015	7
Konkurs na relację z wypraw	8
Krzysztof Batycki, Anna Migdał Kajakiem w poprzek Bałtyku	11
Zbigniew Hauser Greckie Cyklady: od Santorini do Mykonos	20
Piotr Wiland Cypr – lato 2014	27
Aneta Jurczyk Supra gruzińsko-armeńska 2014.....	38
Tomasz Cukiernik Kirgizja, kraj końskiego łajna	49
Leszek Czmur Indie 2014	55
Piotr Wiland Birma i Katar – 2014	79
Marta Wójciak Birma 2014.....	94
Joanna Kusiak Maroko czyli dla każdego coś miłego – 2014 r.	99

Tomasz Cukiernik	
Zdobyć Tubkal – Maroko 2015	107
Roman Husarski	
Burkina Faso – kierunek Północ.....	112
Ewa Wilczyńska-Saj, Romek Saj	
Karnawałowe Cabo Verde (Wyspy Zielonego Przylądka).....	120
Joanna Kusiak	
Tanzania 2014 – równikowa zima w środku europejskiego lata.....	132
Zbigniew Hauser	
Parki narodowe USA – z namiotem	145
Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi)	
South Dakota – Roadtrip po bezdrożach USA	153
Walenty Zajkowski	
USA – wspaniały zachód.....	172
Anna Kufel-Dzięgowska	
Kolumbia w pigułce	181
Beata i Rafał Gwóźdź	
Peru i Boliwia 2014	190
Adam Stępiński	
Brazylia – kraj mlekiem i kawą płynący.....	202
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Australia camperem.....	210
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Hawaje – czyli 226 km w tempie Ironman.....	229
Anna i Paweł Manczyk	
Sulawesi (Indonezja).....	242
Daniel Markowski	
Fidżi – wyspy „ludożerców”	253
Adam Stępiński	
Przez świat w 80 dni	257